

David Baldacci

Wygrana
(The Winner)

Przetłóżył Jacek Manicki

Dla Collina

mojego kumpla, mojego chłopaczka, mojego syna

PODZIĘKOWANIA

Dla Michelle – za zajmowanie się wszystkim, kiedy ja wędrowałem po świecie wyobraźni.

Dla Jennifer Steinberg – za nieocenioną, jak zawsze, konsultację merytoryczną.

Dla doktor medycyny Catherine Broome – za poświęcenie mi swojego cennego czasu na rozmowę przy lunchu o truciznach.

Dla Steve’a Jenningsa – za jego zawsze bystre redaktorskie oko.

Dla Carla Pattona, mojego najlepszego doradcy podatkowego, oraz dla Toma DePonta z NationsBank – za ich nieocenioną pomoc w bojach z fiskusem.

Dla Lany’ego Kirshbauma, Maureen Egen i wszystkich pracowników wydawnictwa Warner Books – za udzieloną mi pomoc i za to, że są życzliwymi, dobrymi ludźmi.

Dla Aarona Priesta – za to, że jest moim przewodnikiem, mentorem, a co najważniejsze, przyjacielem.

Dla Frances Jalet-Miller – za poprawki, które po raz kolejny wyszły na dobre mojej fabule.

Dla reszty mojej rodziny i przyjaciół – za to, że mnie wciąż kochają i wspierają.

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jackson rozejrzał się po pasażu biegnącym przez całą długość centrum handlowego. Zobaczył wymizerowane matki pchające wózki ze swoimi pociechami, grupkę starszych osób, które przyszły tu nie tyle robić zakupy, ile pospacerować i pogawędzić. Skupił ponownie wzrok na północnym wejściu do centrum. Z niego, bez wątpienia, skorzysta kobieta, z którą jest umówiony, bo dokładnie naprzeciwko znajduje się przystanek autobusowy. A ona innego środka transportu nie ma. Półciężarówkę przyjaciela, z którym od jakiegoś czasu żyła, po raz czwarty w ciągu ostatnich czterech miesięcy zajął komornik. Pewnie dziewczyna zaczyna mieć już tego serdecznie dosyć. Do odległego o jakąś milę przystanku autobusowego przy głównej drodze znowu, chcąc nie chcąc, będzie musiała dojść piechotą. Przyjedzie z dzieckiem. Nigdy nie zostawiała małej pod opieką przyjaciela. To Jackson wiedział na pewno.

W interesach używał zawsze nazwiska Jackson, ale w przyszłym miesiącu nikt już go sobie nie skojarzy z korpulentnym, niemłodym mężczyzną w garniturze w jodełkę, jakim był obecnie. Ponownie zmienia się nie do poznania rysy jego twarzy. Prawdopodobnie zrzuci trochę kilogramów. Doda sobie albo ujmie wzrostu, tudzież włosów. Będzie mężczyzną czy kobietą? Kimś w sile wieku czy młodzieńcem? Często zdarzało mu się zapożyczać powierzchowność od znanych sobie ludzi. Czasem kopiował ją w całości, kiedy indziej czerpał inspirację z cech zewnętrznych kilku osób, zszywając misternie poszczególne fragmenty, aż do uzyskania zadowalającego efektu końcowego w postaci doskonałego kamuflażu. Gatunki należące do rzadkiej klasy hermafrodyt zawsze go fascynowały. Uśmiechnął się na myśl o tych niezrównanych fizycznych dwulicowcach.

Jackson odebrał pierwszorządne wykształcenie w jednej z najbardziej prestiżowych uczelni Wschodniego Wybrzeża. Łącząc zamiłowanie do aktorstwa z wrodzonymi uzdolnieniami do nauk przyrodniczych i chemii, zrobił tam dwa dyplomy z dziedzin tak odległych, jak dramaturgia i inżynieria chemiczna. Rankami ślęczał nad skomplikowanymi wzorami i mieszał smrodliwe mikstury w laboratorium chemicznym, wieczorami brał aktywny udział w przygotowywaniu inscenizacji klasycznych sztuk Tennessee Williamsa lub Arthura Millera.

Zdobyta na studiach wiedzę teraz z powodzeniem wykorzystywał w praktyce. Och, gdyby tak mogli go w tej chwili zobaczyć koledzy z uczelni!

Jak przystało na mężczyznę w średnim wieku ze sporą nadwagą i wyraźnym brakiem kondycji – wynikającymi z siedzącego trybu życia – na jakiego się dzisiaj ucharakteryzował, na czoło wystąpiła mu kropelka potu. Jackson uśmiechnął się do siebie. W dumę wbiła go ta reakcja organizmu, choć po części przyczyniła się do niej nieprzepuszczająca powietrza watowana podpinka, włożona pod ubranie, by dodać sobie tuszy i zamaskować wysportowaną sylwetkę. Jackson szczylił się swoją umiejętnością całkowitego wczuwania się w rolę. Do osobowości, w

którą w danej chwili się wcielał, zdawał się nawet dostosowywać przebieg rozmaitych zachodzących w jego organizmie reakcji chemicznych.

Z reguły nie bywał w centrach handlowych. Gust miał o wiele bardziej wyrafinowany. Jednak jego klienci właśnie w tego typu miejscach czuli się najpewniej, a to odgrywało w uprawianym przez niego procederze ważną rolę. Na spotkaniach, które aranżował, ludzie zwykli tracić nad sobą panowanie, czasami w negatywnym tego określenia znaczeniu. Kilka miało bardzo burzliwy przebieg, wystawiając na ciężką próbę jego refleks i dar improwizacji. Reminiscencje te znowu przywołały uśmiech na wargi Jacksona. Jednak każdy sukces ma swoją cenę. Gra szła o wysoką stawkę. A wystarczy jedno potknięcie, by wszystko wzięło w łeb. Uśmiech szybko spełził z jego warg. Zabijanie nie należało do rzeczy przyjemnych. Rzadko znajdowało usprawiedliwienie, ale czasami innego wyjścia nie było. Miał swoje powody, by żywić nadzieję, że wynik dzisiejszego spotkania nie zmusi go do powzięcia tak drastycznych kroków.

Osuszył chusteczką spocone czoło i poprawił sobie mankiety koszuli. Przyglądził odstający lekko kosmyk starannie wymodelowanej peruki z włókna syntetycznego. Prawdziwe włosy skrywał pod przylegającym ciasno do głowy lateksowym czepkiem.

Otworzył drzwi do pomieszczenia wynajętego w pasażu i wszedł do środka. Panował tu ład i porządek – nienaturalny ład i porządek, przemknęło mu przez myśl, kiedy rozejrzał się po wnętrzu. Brakowało atmosfery typowej dla miejsca, w którym się pracuje.

Sekretarka siedząca za tandetnym metalowym biurkiem podniosła na niego wzrok. Zgodnie z otrzymanymi wcześniej instrukcjami nie odezwała się słowem. Nie wiedziała, kim jest ten człowiek ani po co ją tu posadzono. Miała wyjść zaraz po zjawieniu się osoby, z którą Jackson był umówiony. Wkrótce, z portmonetką grubszą nieco o honorarium otrzymane za tę drobną przysługę, będzie już opuszczała miasto autobusem. Jackson nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem. Była tylko statystką w jego najnowszej inscenizacji.

Przed kobietą stała bezproduktywnie maszyna do pisania, a obok głuchy telefon. Tak, stanowczo za schludnie – uznał Jackson, ściągając brwi. Wpatrywał się przez chwilę w plik papieru maszynowego piętrzący się na biurku. Nagłym ruchem rozsypał kilka kartek na blacie. Potem przestawił aparat telefoniczny i energicznymi obrotami wałka wkręcił czystą kartkę papieru w maszynę do pisania.

Ocecił krytycznym okiem efekt swoich zabiegów i westchnął. Trudno myśleć o wszystkim naraz.

Przeszedł przez mały przedpokoik, otworzył drzwi po prawej stronie i wkroczył do malutkiego wewnętrznego gabinetu. Usiadł za sfatygowanym drewnianym biurkiem. Z rogu pokoju gapił się nań wygaszonym ekranem mały odbiornik telewizyjny. Jackson sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów, zapalił, odchylił się na oparcie fotela. Robił, co mógł, żeby się rozluźnić, ale nie było to łatwe przy stałym przyływie adrenaliny. Pogładził cienki, ciemny wąsik wykonany, podobnie jak peruka, z włókna syntetycznego. Nos również uległ poważnej

metamorfozie. Wystarczyło trochę modeliny i z kształtnego, wąskiego zrobił się szeroki i lekko skrzywiony. Mały pieprzyk widniejący u nasady tego spreparowanego nosa też nie był prawdziwy: żelatyna wymieszana w gorącej wodzie z ziarnkami lucerny. Koronki nałożone na zęby nadawały im wygląd krzywych i popsutych. Nawet najmniej spostrzegawczy obserwator powinien zapamiętać wszystkie te szczegóły. Kiedy więc zostaną usunięte, Jackson w zasadzie zniknie. A czyż nie o to właśnie chodzi komuś zaangażowanemu całym sercem w nielegalną działalność?

Wkrótce, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, znowu się zacznie. Za każdym razem było trochę inaczej, ale właśnie to podniecało: ta niepewność. Spojrzał ponownie na zegarek. Tak, wkrótce. Spodziewał się, że spotkanie z oczekiwaną kobietą będzie bardzo produktywne, a co ważniejsze, korzystne dla obu stron.

Chciał zadać LuAnn Tyler tylko jedno pytanie, jedno proste pytanie niosące w sobie potencjał bardzo złożonych konsekwencji. Polegając na doświadczeniu, był w zasadzie pewien, jaką odpowiedź usłyszy, ale nigdy nic nie wiadomo. Miał szczerą nadzieję, że LuAnn dla swego własnego dobra udzieli tej właściwej. Bo była tylko jedna „właściwa” odpowiedź. A jeśli odmówi? Cóż, dziecko nie będzie miało okazji poznać matki, bo zostanie sierotą. Uderzył otwartą dłońią o blat biurka. Zgodzi się. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby ktoś odmówił. Jackson potrząsnął energicznie głową. Wytłumaczy jej, przekona, że godząc się na współpracę z nim, dokona jedyne logicznego wyboru. Uzmysłowi, jak odmieni się jej życie. Bardziej, niż potrafiłaby to sobie kiedykolwiek wyobrazić. Bardziej, niż mogłaby to sobie wyśnić. Jak mogłaby odmówić? Przecież to propozycja z tych nie do odrzucenia.

Jeśli przyjdzie. Jackson potarł grzbietem dłoni policzek, zaciągnął się głęboko papierosem i zapatrzył niewidzącym wzrokiem w gwóźdź wbity w ścianę. Ale właściwie dlaczego miałyby nie przyjść?

ROZDZIAŁ DRUGI

Orzeźwiający wietrzyk swawolił nad wąską gruntową drogą biegnącą przez gęsty las. Droga skręcała ostro na północ, a zaraz potem, równie ostro, na wschód i nurkowała w dół. Ze szczytu niewielkiego wzniesienia roztaczał się widok na ciągnące się dalej morze drzew. Niektóre obumierały, stojąc w udręczonych pozach, przyginane do ziemi przez wiatr, choroby i warunki atmosferyczne, ale większość przeżyła się jak na warcie, zadając szyku grabiejacymi w obwodzie pniami i rozłożystymi konarami porośniętymi obficie liściem. Po lewej stronie drogi co bystrzejsze oko mogło wypatrzeć półkolistą, błotnistą polankę porośniętą z rzadka kępami wschodzącej wiosennej trawy. Wylegiwały się tu na łonie natury zardzewiałe bloki silników, kupy śmieci, mały stosik puszek po piwie, połamane meble i cała masa innych odpadków, które w zimie, po przysypaniu śniegiem, przyjmowały kształty godne dzieł sztuki nowoczesnej, a kiedy słupek rtęci wędrował w górę, udzielały schronienia węzom i innym leśnym stworzeniom. Sam środek tej półkolistej wyspy zajmowała krótka, przysadzista przyczepa kempingowa ustawiona na fundamencie z pokruszonych pustaków. Z resztą świata łączyły ją chyba tylko przewody elektryczne i telefoniczne podciągnięte od przydrożnych grubych poprzekrzywianych słupów. Przyczepa była zdecydowanie szkaradzieństwem zagubionym pośród głuszy. Jej lokatorzy zgodziliby się z tym opisem. Określenie zagubieni pośród głuszy pasowało jak ulał także do nich.

Siedząca w przyczepie LuAnn Tyler przeglądała się w małym lusterku ustawionym na rozchwierutanej komódce. Przekrzywiała głowę pod nienaturalnym kątem nie tylko dlatego, że sfatygowany mebel utykał na jedną koślawą nóżkę, ale również dlatego, że lusterko było stłuczone. Gmatwanina pęknięć rozbiegała się po jego powierzchni niczym gałęzie młodego drzewka i gdyby LuAnn patrzyła w lusterko z normalnej pozycji, widziałaby w nim odbicie nie jedno, lecz trzy swojej twarzy.

LuAnn przyglądała się sobie bez uśmiechu. Nigdy jakoś nie chciało jej się uśmiechać do swojego odbicia. Uroda to cały twój majątek – wbijano jej do głowy, od kiedy pamiętała – ale wizyta u dentysty by nie zawadziła. Do tej sytuacji doprowadziło picie od urodzenia niefluoryzowanej wody ze studni oraz fakt, że jej noga nie postąpiła ani razu w gabinecie stomatologicznym.

– Żadnych fanaberii – powtarzał w kółko ojciec.

Stary Benny Tyler nie żył już od pięciu lat. Dla matki, Joy Tyler, która zmarła blisko trzy lata temu, okres po śmierci męża był najszcześniejszy w jej życiu. Powinno to zadać ostatecznie kłam opinii Benny'ego Tylera o jej kondycji umysłowej, ale małe dziewczynki wierzą, najczęściej bezkrytycznie, we wszystko, co słyszą od tatusiów.

LuAnn spoglądała na wiszący na ścianie zegar. Tylko on został jej po matce. Był czymś w rodzaju pamiątki rodzinnej, ponieważ Joy Tyler dostała go od swojej matki w dniu ślubu z

Bennym. Zegar nie miał żadnej wartości rynkowej. Taki sam można było kupić za jedyne dziesięć doliców w każdym lombardzie. A mimo to LuAnn traktowała go jak skarb. Jako mała dziewczynka do późnej nocy słuchała jego powolnego, miarowego tykania. Wiedziała, że jest tam zawsze pośród ciemności. Kołysał ją do snu i witał rankami. Przez cały okres dorastania stanowił dla niej jeden z punktów odniesienia. Poza tym przypominał LuAnn babcię, kobietę, którą uwielbiała. Dopóki wisiał, była tu jakby obecna także i babcia. Z biegiem lat mechanizm zużył się i zegar wydawał teraz jedyne w swoim rodzaju odgłosy. Towarzyszył LuAnn w chwilach dobrych i złych, z tym że tych ostatnich było zdecydowanie więcej, a Joy tuż przed śmiercią powiedziała córce, żeby go wzięła i dobrze o niego dbała. I teraz LuAnn trzymała go dla swojej córki.

Zebrała długie kasztanowe włosy za głowę, spróbowała upiąć je w kok, ale zrezygnowała i spłótła zrećnie w gruby warkocz. Niezadowolona z tej fryzury, zwinęła w końcu gęste włosy na czubku głowy i umocowała tam mnóstwem spinek, przekrzywiając raz po raz głowę, by śledzić na bieżąco wyłaniający się efekt. Przy swoich stu siedemdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu musiała się również pochylać, żeby widzieć siebie w lusterku.

Co parę sekund zerknęła na małe zawiniątko leżące obok na krześle. Widok sennych oczek, kształtnych usteczek, puciołowatych policzków i tłustych piąstek za każdym razem przywoływał na jej twarz uśmiech. Córeczka miała osiem miesięcy i rosła jak na drożdżach. Zaczynała już raczkować, kołysząc się zabawnie na boki. Tylko patrzeć, jak stanie na nóżki. LuAnn rozejrzała się i uśmiech zgasł. Niedługo Lisa zacznie zwiedzać swój dom rodzinny. Wnętrze, pomimo wysiłku wkładanego przez LuAnn w utrzymanie tutaj porządku, przypominało pobożowisko, a to głównie za sprawą przyływu temperamentu u mężczyzny rozwalonego teraz na łóżku. Duane Harvey, od kiedy, wtoczywszy się do środka o czwartej nad ranem i zrzuciwszy z siebie ubranie, padł na łóżko, poruszył się może ze dwa razy. Poza tym ani drgnął. Wspominała z rozrzewnieniem ten jedyne dzień we wczesnym okresie ich związku, kiedy Duane nie wrócił do domu zalany. Wtedy właśnie poczęta została Lisa. Łzy zakręciły się w piwnych oczach LuAnn, ale trwało to tylko moment. Nie miała czasu ani ochoty na rozczulanie się, zwłaszcza nad sobą. Przez dwadzieścia lat życia napłakała się już tyle, że wystarczy jej tego do śmierci.

Spojrzała znowu w lusterko. Pieszcząc jedną ręką maleńką piąstkę Lisy, drugą powyciągała wszystkie spinki z włosów i potrząsnęła głową. Włosy spłynęły bujną falą na plecy, na wysokie czoło opadła grzywka. Tak czesała się w szkole, a przynajmniej do siódmej klasy, kiedy to, idąc za przykładem kolegów i koleżanek z tego rolniczego okręgu, zaczęła opuszczać lekcje i szukać możliwości zarobkowania. Wychodzili wtedy z założenia – złego, jak się później okazało – że nauka nie wytrzymuje konkurencji z regularną wypłatą. Zresztą LuAnn wielkiego wyboru nie miała. Połowa jej zarobków szła na pomoc chronicznie bezrobotnym rodzicom. Za drugą połowę kupowała sobie to, na co rodziców nie było stać, głównie jedzenie i ubrania.

Rozwiązując pasek znoszonego szlafroka, pod którym nic nie miała, spojrzała uważnie na Duane'a. Uspokojona brakiem oznak życia z jego strony, szybko wciągnęła majteczki. Odkąd

przestała być podlotkiem i zaczęła nabierać kobiecych kształtów, nie było w okolicy chłopaka, który nie wodziłby za nią pożądanym spojrzeniem.

LuAnn Tyler, przyszła-gwiazda-filmowa-łamane-przez-super-modelka. Wielu mieszkańców okręgu Rikersville w stanie Georgia dogłębnie przemyślało przypadek LuAnn i nadało jej ten tytuł, naprawdę dobrze jej życząc i wiążąc z nią wielkie oczekiwania. Na pierwszy rzut oka widać, że dziewczyna nie pasuje do tutejszego stylu życia – zawyrokowały pomarszczone, otyłe miejscowe kobiety trzymające wieczną wartość na szerokich, popadających w ruinę werandach, i nie było nikogo, kto by się z nimi nie zgodził. Ze swoją naturalną urodą mogła zajść daleko. Była nadzieją miejscowych. Tylko kwestią czasu pozostawało, kiedy o ich LuAnn upomni się Nowy Jork, a kto wie, czy nie Los Angeles. Ale czas płynął, a ona wciąż tu tkwiła, nie wychyliwszy nosa poza granicę okręgu, w którym przyszła na świat. Rozczarowywała wszystkich, choć dopiero co przestała być nastolatką i nie miała jeszcze okazji, by osiągnąć jakikolwiek ze swoich celów. Wiedziała, że ludzie z miasteczka bardzo by się dziwili, wiedząc, że jej ambicje nie obejmują leżenia nago w łóżku z jakimś hollywoodzkim objawieniem sezonu ani dreptania po wybiegu dla modelek w najnowszych produkcjach jakiegoś nawiedzonego kreatora mody. Chociaż teraz, gdy wkładała stanik, przemknęło jej przez myśl, że ubieranie się w najmodniejsze stroje za dziesięć tysięcy dolarów dziennie nie byłoby takim znowu złym interesem.

Jej twarz. I jej ciało. Atrybuty tego ostatniego ojciec również często komentował. Zmysłowe, dojrzałe – zachwycał się, jakby mówił o jakimś odrębnym, egzystującym niezależnie od niej bycie. Króciutki rozumek w olśniewającym ciele. Dzięki Bogu nigdy nie posunął się dalej, poprzestając na tych słownych zachwytach. Zastanawiała się niekiedy nocami, czy tak naprawdę nie korciło go czasem, a tylko brakowało mu po prostu odwagi albo sposobności. Tak na nią czasem patrzył. Bywało, że w nagłym, kłującym jak igła przebłysku, z najgłębszych zakamarków podświadomości powracały oderwane okruchy wspomnień, budzące w niej podejrzenie, że taka sposobność jednak się kiedyś nadarzyła. Wzdrygała się wtedy zawsze i mówiła sobie, że nie wypada podejrzewać o taką ohydę zmarłego.

Przejrzała zawartość małej szafy. Właściwie miała tylko jedną sukienkę, która jako tako nadawała się na dzisiejszą okazję. Krótka rękawek, granatowa, z białą lamówką przy kołnierzu i dekolcie. Pamiętała dzień, w którym ją kupiła. Poszła wtedy cała tygodniówka. Okrągłe sześćdziesiąt pięć dolarów. Było to przed dwoma laty i nigdy więcej nie zdobyła się na podobną ekstrawagancję. Była to ostatnia sukienka, jaką sobie kupiła. Ciuch trochę się już wystrzępił, ale od czego ma się igłę z nitką. Szyję ozdobi sznurem podrabianych pereł, prezentem urodzinowym od byłego adoratora. Wczoraj do późnej nocy zapastowywała obtarcia na jedynej parze szpilek. Były ciemnobrażowe i nie pasowały do sukienki, ale trudno. Chodaków ani pepegów – a tylko między nimi mogła jeszcze wybierać – przecież na to spotkanie nie włoży, co najwyżej dojdzie w pepegach do odległego o milę przystanku autobusowego. Dzisiaj zacnie się może coś nowego, a przynajmniej innego. Kto wie? Może to spotkanie zmieni coś w jej życiu. Pomoże wyrwać się jej i Lisie ze światka Duane'a i jemu podobnych.

Odetchnęła głęboko, rozsunęła zamek błyskawiczny wewnętrznej kieszeni torebki, wyjęła z niej i rozłożyła metodycznie kartkę papieru. Zanotowała sobie na niej adres i kilka innych informacji, które podyktował jej przez telefon ktoś, kto przedstawił się jako pan Jackson. Po powrocie z nocnej zmiany w zajeździe dla ciężarówek, gdzie pracowała jako kelnerka, była tak skonana, że mało brakowało, a nie odebrałaby tego telefonu.

Zadzwonił, kiedy siedziała w kuchni na podłodze i z ciężkimi jak ołów powiekami karmiła piersią Lisę. Małej wyrzynały się ząbki i LuAnn oba sutki miała już boleśnie pogryzione, ale innego wyjścia nie było. Odżywki dla dzieci były stanowczo za drogie, a mleko się skończyło. Zrazu LuAnn ani myślała podnieść słuchawkę. Tej nocy w zajeździe dla ciężarówek przy międzystanowej ruch był taki, że ani na chwilę nie przytuliła Lisy, umieściła ją w dzieciennym foteliku pod bufetem. Na szczęście mała potrafiła już sama utrzymać butelkę z pokarmem, a kierownik zmiany lubił LuAnn na tyle, że pozwalał jej przychodzić do pracy z córeczką. Telefon w domu rzadko się odzywał. Jeśli już, to przeważnie dzwonił któryś z kumpli Duane'a, żeby wyciągnąć go z domu na piwo albo do pomocy przy obrabianiu jakiegoś pozostawionego bez opieki samochodu, który rozkraczył się na autostradzie. Nazywali takie wypadki organizowaniem kasy na browarek i dziewczynki. Często bez żadnego skrupowania rozmawiali o tym w jej obecności. Nie, tak wcześnie nie dzwoniłby żaden z koleśków Duane'a. Oni o siódmej rano chrapali w najlepsze po kolejnej nocnej popijawie.

Po trzecim dzwonku jej ręka, nie wiedząc czemu, sama sięgnęła po słuchawkę. Ton mężczyzny był suchy i formalny. Mówił tak, jakby czytał z kartki, i zasypiająca na siedząco LuAnn zrozumiała z tego tyle, że gość chce jej coś sprzedać. Dobre sobie! Jej, która nie ma ani kart kredytowych, ani konta w banku, a cały swój majątek w postaci paru nędznych dolarów trzyma w plastikowej torebce zawieszanej w koszu na zużyte pieluszki Lisy, czyli w jedynym miejscu, gdzie nigdy nie zagląda Duane. Nie owijaj pan w bawełnę, chcesz mnie namówić na jakiś zakup. Numer karty kredytowej? Proszę bardzo, już podaję. Visa? MasterCard? ACCX? Tak, platynowa. Mam je wszystkie, przynajmniej w marzeniach. Ale mężczyzna zapytał ją o nazwisko. A potem napomknął coś o pracy. Wcale nie próbował namawiać jej do kupna czegokolwiek. Proponował jej zatrudnienie. Spytała, skąd ma jej telefon. Wyjaśnił, że z książki telefonicznej. Powiedział to tak autorytatywnym tonem, że od razu mu uwierzyła. Poinformowała go, że ma już pracę. Zapytał, ile zarabia. Z początku nie chciała mu powiedzieć, potem, otworzywszy oczy, żeby spojrzeć na ssącą wciąż Lisę, wymieniła sumę. Sama nie wiedziała, dlaczego to zrobiła.

Później doszła do przekonania, że coś ją musiało tknąć. Bo dopiero wtedy powiedział o warunkach wynagrodzenia. Sto dolarów dziennie przy gwarantowanych dwóch tygodniach zatrudnienia bez sobót i niedziel. Porachowała szybko w pamięci. W sumie tysiąc dolarów z realną możliwością przedłużenia kontraktu na tych samych warunkach. A do tego nie były to pełne dni robocze. Mężczyzna powiedział, że czas pracy to góra cztery godziny dziennie. Nikt z jej znajomych tyle nie zarabiał. Boże, przecież to by było dwadzieścia pięć tysięcy rocznie!

Praktycznie za pół etatu. Za pełny wychodziłoby pięćdziesiąt tysięcy rocznie! Takie gigantyczne sumy kosili lekarze, prawnicy, gwiazdy filmowe, ale nie matka z nieślubnym dzieckiem i nieukończoną szkołą średnią, wegetująca na kocią łapę z niejakim Duane'em. Jakby wyczuwając, że o nim myśli, Duane poruszył się, uchylił powieki i spojrzał na nią przekrwionymi oczami.

– A ciebie gdzie diabli niosą? – Mówił z silnym miejscowym akcentem.

Przez całe życie słuchała tych samych słów, wypowiedzianych tym samym tonem przez rozmaitych mężczyzn. Wzięła z komódki pustą puszkę po piwie.

– Może jeszcze piwka, kociaczk? – Uśmiechnęła się przymilnie, unosząc pytająco brwi.

Każda sylaba spływała uwodzicielsko z jej pełnych warg. Osiągnęła pożądany efekt. Na widok swojego chmielowo-aluminiowego bożka Duane jęknął i pogrążył się z powrotem w objęciach narastającego kaca. Chociaż pił często, każdą libację ciężko potem odchorowywał. Po minucie znowu spał. Przymilny uśmiech natychmiast zgasł i LuAnn ponownie spojrzała na karteczkę.

Praca – powiedział mężczyzna – polegała na testowaniu nowych produktów, śledzeniu reklam, opiniowaniu rozmaitych rzeczy. To coś w rodzaju badania rynku. Przeprowadzanie analiz demograficznych, takiego terminu użył, cokolwiek to, u licha, znaczyło. Tym się właśnie zajmowali. Miało to jakiś związek z oceną skuteczności oddziaływania reklam zamieszczanych w prasie i puszcanych w telewizji, coś w tym rodzaju. Sto dolarów dziennie za wydanie o czymś własnej opinii? Robiła to za darmo przez całe życie.

Za piękne, żeby było prawdziwe – pomyślała nie wiadomo który raz od odebrania tamtego telefonu. Nie była taka głupia, za jaką miał ją ojciec. Pod tą urodziwą buzią krył się intelekt, który wprawiłby świętej pamięci Benny'ego Tylera w osłupienie, a do tego dochodził spryt od lat już pomagający jej w borykaniu się z przeciwnościami losu. Rzadko jednak ktoś to zauważał. Marzyła często o życiu wśród ludzi, dla których jej piersi i kuperek nie byłyby pierwszymi, ostatnimi i jedynymi przymiotami, jakie u niej dostrzegają i komentują.

Zerknęła na Lisę. Mała właśnie się obudziła, jej spojrzenie szybko obiegało pokój i spoczęło z zachwytem na twarzy matki. LuAnn uśmiechnęła się do córeczki. Ale tak naprawdę czy dla niej i dla Lisy można sobie było wyobrazić sytuację gorszą od obecnej? Pracę udawało się jej zazwyczaj utrzymać przez dwa miesiące. Jeśli miała szczęście, przez pół roku. Potem następowała redukcja z obietnicą ponownego zatrudnienia, kiedy przyjdą lepsze czasy, które jakoś nigdy nie nadchodziły. Nie mając świadectwa ukończenia szkoły średniej, wszędzie uznawana była od razu za tumana. Już dawno doszła do wniosku, że zasłużyła sobie na tę etykietkę przez sam fakt kontynuowania związku z Duane'em. Był co prawda ojcem Lisy, ale zenić się z LuAnn ani myślał. Zresztą ona nie parła do małżeństwa. Wcale jej się nie śpieszyło przyjmować nazwiska Duane'a i wiązać się na całe życie z mężczyzną o mentalności smarkacza. Jednak, mimo że sama wychowana w domu, w którym o miłości i czułości mogła sobie tylko pomarzyć, LuAnn była przekonana, że normalna, kochająca się rodzina jest dla harmonijnego rozwoju dziecka podstawą. Czytała o tym w czasopiśmie, oglądała programy telewizyjne na ten

temat. W Rikersville LuAnn była niemal przez cały czas o krok od ubiegania się o zasiłek z opieki społecznej; do najpodlejszej pracy zgłaszało się tu zawsze co najmniej dwudziestu kandydatów. Lisa mogła mieć i będzie miała w życiu lepiej niż jej matka – LuAnn zrobi wszystko, by tak się stało. Ale mając w kieszeni tysiąc dolarów, mogłaby też zadbać o siebie. Na przykład kupić bilet na autobus, obojętne dokąd, i wyjechać stąd. Zostałoby jeszcze trochę pieniędzy na przeżycie do czasu znalezienia jakiejś pracy. Mały kapitalik, o którym zawsze marzyła. Nie mogła jednak jakoś go uciąć.

Rikersville umierało. Ta przyczepa była nieoficjalnym grobowcem Duane'a. Nigdy nic w niej nie ulepszę, prędzej jeszcze bardziej zdewastuje, zanim pójdzie do piachu. LuAnn uświadomiła sobie naraz, że i ona może się tu zestarzeć i umrzeć. Ale nie, dzisiejszy dzień to zmieni. Nie dokona tutaj żywota, jeśli pójdzie na to spotkanie. Złożyła starannie karteczkę i schowała ją z powrotem do torebki. Z jednej z szuflad komódki wyjęła małe pudełeczko z drobnymi. Na przejazd autobusem wystarczy. Poprawiła włosy, zapięła sukienkę, wzięła Lisę na ręce i wyszła po cichu z przyczepy, zostawiając w niej śpiącego Duane'a.

ROZDZIAŁ TRZECI

Mężczyznę wyrwało z zadumy energiczne pukanie do drzwi. Zerwał się z fotela, poprawił krawat, otworzył kartonową teczkę leżącą przed nim na biurku. Odsunął na bok popielniczkę ze zduszonymi niedopałkami trzech papierosów.

– Wejść! – rzucił stanowczym, wyraźnym głosem.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wkroczyła LuAnn. Przez prawe ramię miała przewieszoną dużą torbę, w lewej ręce trzymała dziecięce nosidełko z Lisa, która z zaciekawieniem wodziła oczkami po ścianach nieznanego sobie pomieszczenia. Mężczyzna zauważył pulsującą żyłę, która biegła wzdłuż długiego, wyraźnie zarysowanego bicepsu kobiety i łączyła się z siecią innych na muskularnym przedramieniu. LuAnn była bez wątpienia silna fizycznie. Czy równie mocny ma charakter?

– Pan Jackson? – spytała.

Patrzyła mu prosto w oczy, czekając tylko, kiedy zacznie zjeżdżać taksującym spojrzeniem z jej twarzy na biust, biodra i niżej. Pod tym względem wszyscy mężczyźni byli tacy sami, obojętni, z jakiej ścieżki życia przychodzili. Ku jej zaskoczeniu ten nie odrywał wzroku od jej twarzy. Podał rękę. Uścisnęła mu mocno dłoń.

– Tak, to ja. Proszę spocząć, panno Tyler. Dziękuję, że pani przyszła. Śliczną ma pani córeczkę. Może postawi ją pani tutaj? – Wskazał na kąt pokoju.

– Właśnie się obudziła. Zawsze mi zasypia w autobusie. Wolę ją mieć przy sobie, jeśli to panu nie przeszkadza.

Lisa, jakby popierając stanowisko matki, zaczęła gaworzyć i wymachiwać rączkami.

Jackson kiwnął na znak zgody głową, usiadł z powrotem w fotelu i przez chwilę wertował zawartość teczek.

LuAnn postawiła wielką torbę i nosidełko z Lisa na podłodze obok swojego fotela i dała córeczce do zabawy pęk plastikowych kluczy. Usiadła prosto i z nieskrywanym zainteresowaniem przyjrzała się Jacksonowi. Był elegancko ubrany. Wyglądał na lekko stremowanego, na jego czole perliły się kropelki potu. Normalnie przypisałyby to reakcji na swoją urodę. Z reguły mężczyźni w jej obecności zaczynali zachowywać się idiotycznie, usiłując za wszelką cenę wywrzeć dobre wrażenie, albo też zamykali się w sobie jak ślimak w skorupie. Coś jej jednak mówiło, że ten mężczyzna nie należy ani do tej pierwszej, ani do drugiej kategorii.

– Nie widziałam tabliczki na drzwiach pańskiego biura. Ludzie mogą nie wiedzieć, że pan tu urzęduje. – Patrzyła na niego przekornie.

Jackson uśmiechnął się półgębkiem.

– W naszej branży nie zabiegamy o to, by klienci walili do nas drzwiami i oknami. Jest nam obojętne, czy ludzie robiący zakupy w centrum handlowym wiedzą, że tu pracujemy, czy nie.

Wszystkie sprawy załatwiamy, umawiając się wcześniej na spotkania, telefonicznie, i tak dalej.

– Wychodzi na to, że jestem teraz jedyną umówioną z panem osobą. W poczekalni nikogo nie ma.

Jacksonowi drgnął policzek. Złączył czubkami palce obu dłoni.

– Staramy się tak rozplanowywać grafik spotkań, żeby nikt nie musiał czekać. Jestem jedynym przedstawicielem firmy w tutejszej filii.

– Czyli macie jeszcze inne biura?

Skinął tylko głową.

– Czy zechciałaby pani wypełnić tę ankietę informacyjną? Proszę się nie śpieszyć.

Podał jej formularz i długopis. LuAnn zdecydowanymi pociągnięciami długopisu zaczęła wypełniać druk. Jackson nie spuszczał jej z oka. Kiedy skończyła, zabrał się do uważnego studiowania ankiety, choć z góry wiedział, co tam przeczyta.

LuAnn rozglądała się tymczasem po gabinecie. Od dziecka była dobrą obserwatorką. A świadoma faktu, że jest obiektem pożądania wielu mężczyzn, miała zwyczaj lustrować rozkład każdego zamkniętego pomieszczenia, w jakim się po raz pierwszy znalazła, choćby tylko po to, by w razie czego nie tracić czasu na szukanie drogi odwrotu.

Jackson, podniósłszy wzrok znad ankiety, przyłapał ją na tych oględzinach.

– Coś nie tak? – spytał.

– Dziwna rzecz.

– Przepraszam, nie rozumiem.

– Śmieszne ma pan biuro.

– Jak to?

– No, nie widzę tu zegara, kosza na śmieci, kalendarza, telefonu. Nie wiem, nie pracowałam jeszcze w firmie, w której trzeba przychodzić do pracy pod krawatem, ale nawet Red z zajazdu dla ciężarówek ma kalendarz, a na telefonie to już wisi całymi dniami. I ta dama z poczekalni też jakby się z choinki urwała. Z tymi trzycalowymi pazurkami musi być jej cholernie trudno pisać na maszynie. – LuAnn zauważyła konsternację na twarzy mężczyzny i przygryzła szybko dolną wargę. Ten długi jęzor już nieraz wpędzał ją w kłopoty, a jest przecież na rozmowie wstępnej w sprawie nowej pracy i nie może wszystkiego spać już na samym starcie. – Nie, żeby mi to przeszkadzało – dorzuciła czym prędzej. – Tak sobie tylko plotę. Trochę jestem zdenerwowana, rozumie pan.

Wargi Jacksona poruszały się przez chwilę niemo, a potem rozciągnęły w ponurym uśmiechu.

– Gratuluję spostrzegawczości.

– Mam oczy jak każdy.

LuAnn, uciekając się do starego, niezawodnego chwytu, obdarzyła go rozbrajającym uśmiechem i zatrzepotała powiekami. Jackson zignorował ten uśmiech i zaszeleścił papierami.

– Pamięta pani warunki zatrudnienia, które wyszczególniłem przez telefon?

Natychmiast spoważniała. Pora przejść do interesów.

– Sto dolarów dziennie przez dwa tygodnie z możliwością przedłużenia kontraktu na kolejne parę tygodni z zachowaniem tej samej stawki. W tej chwili pracuję na nocną zmianę i kończę o siódmej rano. Jeśli to możliwe, u pana zaczynałabym najchętniej zaraz po południu. Powiedzmy, około czternastej. Aha, czy będę mogła przychodzić z córeczką? Mniej więcej o tej porze zapada w poobiednią drzemkę, a więc nie będzie z nią żadnych kłopotów. Słowo daję.

LuAnn schyliła się automatycznie, podniosła z podłogi plastikowe klucze upuszczone przez Lisę i oddała je małej. Lisa podziękowała matce głośniejszym chrząknięciem.

Jackson wstał z fotela i wsunął ręce w kieszenie.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Jest pani jedynaczką, a rodzice nie żyją, zgadza się?

LuAnn drgnęła, zaskoczona tą nagłą zmianą tematu. Po chwili wahania skinęła głową i przymrużyła oczy.

– I od blisko dwóch lat mieszka pani w przyczepie kempingowej w zachodniej części Rikersville z niejakim Duane'em Harveyem, niewykwalifikowanym robotnikiem, aktualnie bezrobotnym. – Recytując jednym tchem te informacje, nie odrywał od niej oczu. Tym razem nie oczekiwał potwierdzenia. LuAnn wyczuła to i siedziała bez ruchu, wytrzymując jego wzrok. Duane Harvey jest ojcem pani ośmiomiesięcznej córki Lisy. Nie kończąc siódmej klasy, rzuciła pani szkołę i od tamtego czasu podejmowała liczne niskopłatne prace zarobkowe. Każda z tych posad okazywała się, śmiem przypuszczać, ślepym zaułkiem. Jest pani nieprzeciętnie inteligentna i obdarzona podziwu godną zaradnością życiową. Najważniejsze jest dla pani dobro córeczki. Pragnie pani rozpaczliwie zmienić na lepsze swoją sytuację życiową i tak samo rozpaczliwie pragnie pani rozstać się na dobre z panem Harveyem. Łamie sobie pani głowę, jak to zrobić bez środków finansowych, którymi pani nie dysponuje i prawdopodobnie nigdy nie będzie dysponowała. Czuje się pani tak, jakby znalazła się w pułapce. I słusznie. Rzeczywiście jest pani w sytuacji bez wyjścia, panno Tyler. – Patrzył na nią beznamiętnie ponad biurkiem.

LuAnn wstała. Policzki jej płonęły.

– Co to, u licha, ma znaczyć? Jakże ma pan prawo....

– Przyszła pani tutaj – przerwał jej bezceremonialnie – ponieważ zaoferowałem więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek dotąd pani zarobiła. Mam rację?

– Skąd pan to wszystko o mnie wie? – wyrzuciła z siebie.

Złożył ręce na piersiach i mierzył ją przez chwilę przenikliwym spojrzeniem.

– W moim najlepszym interesie leży zgromadzenie możliwie wyczerpujących informacji o osobie, z którą zamierzam ubić interes – odezwał się w końcu.

– A co informacje o mnie mają do opinii, które mam niby wydawać na temat tych analiz, czy jak im tam?

– To bardzo proste, panno Tyler. Żeby wiedzieć, w jakim stopniu mogę polegać na czyichś opiniach wydawanych w rozmaitych kwestiach, muszę znać intymne szczegóły na temat opiniodawcy. Kim pani jest, do czego dąży, co potrafi. I czego nie potrafi. Co pani lubi, czego nie

lubi, jakie ma uprzedzenia, jakie są pani mocne i słabe strony. Wszyscy je mamy, tylko w różnym nasileniu. Podsumowując, jeśli nie dowiem się o pani wszystkiego, to znaczy, że nie wywiązałem się ze swojego zadania. – Wyszedł zza biurka i przysiadł na jego krawędzi. – Przepraszam, jeśli panią uraziłem. Wiem, że potrafię być przykry, ale nie chciałem zabierać pani niepotrzebnie czasu.

Gniew zniknął wreszcie z oczu LuAnn.

– No, skoro tak pan stawia sprawę, to chyba...

– Właśnie tak ją stawiam, panno Tyler. Mogę się do pani zwracać LuAnn?

– Przecież tak mam na imię – odparowała. Usiadła z powrotem. – No nic, ja panu też nie chcę zabierać czasu, a więc jak będzie z tymi godzinami pracy? Mogę przychodzić po południu?

Jackson wrócił szybko za biurko, usiadł i zapatrzył się w blat, przecierając powoli dłonią pomarszczoną twarz. Kiedy ponownie podniósł na nią wzrok, minę miał znacznie poważniejszą niż przed chwilą.

– Czy zdarzało ci się marzyć, że jesteś bogata, LuAnn? Mam tu na myśli fortunę przekraczającą wszystkie twoje najśmielsze wyobrażenia. Tak bogata, że stać cię wraz z córką dosłownie na wszystko? Miewałaś takie marzenia?

LuAnn chciała parsknąć śmiechem, ale powstrzymał ją wyraz jego oczu. Nie było w nich wesołości, kpiny, współczucia, tylko pełne napięcia wyczekiwanie na jej odpowiedź.

– No jasne. Kto o tym nie marzy?

– Cóż, mogę cię zapewnić, że tym, którzy już są obrzydliwie bogaci, raczej się to nie przytrafia. Ale masz rację, większość ludzi na pewnym etapie życia miewa takie fantazje. Jednak praktycznie nikomu nie udaje się ich urzeczywistnić. Z tej prostej przyczyny, że nie jest w stanie.

LuAnn uśmiechnęła się rozbrajająco.

– Ale sto dolców dziennie też piechotą nie chodzi.

Jackson gładził się przez chwilę po brodzie, potem odchrząknął i zapytał:

– LuAnn, czy zdarza ci się grać na loterii?

Zaskoczyło ją trochę to pytanie, ale odpowiedziała bez wahania:

– Od czasu do czasu. Tutaj wszyscy to robią. Ale można się na tym nieźle przejechać. Duane gra co tydzień, potrafi przepuścić pół wypłaty... To znaczy, kiedy coś zarobi, a to nieczęsto mu się zdarza. Jest święcie przekonany, że kiedyś wygra. Typuje zawsze te same numery. Mówi, że mu się wyśniły. A ja mu na to, że jest głupszy od buta. Czemu pan pyta?

– A grywasz w krajowe lotto?

– Mówi pan o tym na cały kraj?

Jackson kiwnął głową. Przewiercał ją wzrokiem.

– Tak – powiedział powoli – właśnie o tym mówię.

– Raz na jakiś czas. Ale prawdopodobieństwo trafienia jest takie małe, że prędzej przespaceruję się po Księżycu, niż coś w to wygram.

– Całkowicie się z tobą zgadzam. Na przykład w tym tygodniu prawdopodobieństwo, że

padnie główna wygrana, jest jak jeden do trzydziestu milionów.

– Właśnie o to mi chodzi. Ja tam już wolę dolarowe zdrażki. Na nich ma się przynajmniej szansę zainkasować dwadzieścia szybkich dolców. Zawsze mówię, że nie ma sensu wyrzucać pieniędzy w błoto, zwłaszcza kiedy się ich nie ma.

Jackson oblizał wargi i nie odrywając od niej oczu, oparł się łokciami o biurko.

– A co byś zrobiła, gdybym ci powiedział, że potrafię zdecydowanie zwiększyć twoje szanse wygrania na loterii? – Wpatrywał się w nią wyczekująco.

– Słucham? – Jackson milczał.

LuAnn rozejrzała się dookoła, jakby szukała wzrokiem ukrytej gdzieś kamery. – Co to ma wspólnego z pracą? Panie, ja tu nie przyszłam gadać po próżnicy.

– Mówiąc ściślej – podjął Jackson, nie zwracając uwagi na jej gniewny ton – co byś zrobiła, gdybym zwiększył twoje szanse wygrania do stu procent? No, co byś zrobiła?

– To jakiś żart?! – wybuchnęła LuAnn. – Można by pomyśleć, że Duane za tym stoi. Mów pan lepiej, o co tu właściwie chodzi, zanim na dobre wyjdę z siebie.

– To nie żart, LuAnn.

LuAnn podniosła się z fotela.

– Widzę, że tu się kroi jakaś grubsza sprawa i nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nic! Nawet za sto dolców dziennie – wyrzuciła z siebie z głębokim obrzydzeniem zmieszonym z jeszcze głębszym rozczarowaniem, bo oto rozwiewały się w oczach jej nadzieje na zarobienie tysiąca dolarów. Podniosła z podłogi nosidełko z Lisa, swoją torbę i odwróciła się, by ruszyć do drzwi.

– Gwarantuję ci, że wygrasz na loterii, LuAnn – doszedł ją cichy głos Jacksona. – Gwarantuję ci, że wygrasz minimum pięćdziesiąt milionów dolarów.

Zatrzymała się jak wryta. Nie słuchając głosu rozsądku, który kazał jej brać nogi za pas i czym prędzej się stąd wynosić, odwróciła się powoli twarzą do Jacksona.

Nie poruszył się. Dalej siedział ze złożonymi jak do pacierza dłońmi za biurkiem.

– Koniec z Duane'ami, koniec z nocnymi zmianami w zajeździe dla ciężarówek, koniec z martwieniem się, skąd wziąć na jedzenie i czyste ubranka dla córeczki. Będziesz mogła mieć wszystko, czego tylko zapragniesz. Wyjechać, dokąd zechcesz. Stać się, kim zechcesz. – Mówił wciąż cicho i spokojnie.

– Mógłby mi pan zdradzić, jak się to robi?

Pięćdziesiąt milionów dolarów, powiedział?! Boże Wszechmogący! Oparła się jedną ręką o drzwi, bo zakreśliło jej się w głowie.

– Wpierw musisz mi odpowiedzieć na pytanie.

– Jakie pytanie?

Jackson rozłożył ręce.

– Czy chcesz być bogata?

– Na mózg panu padło czy jak?! Siły mi nie brakuje i ostrzegam, że jeśli zacznie pan coś

kombinować, to tak pana kopnę w ten wyleniały zadek, że wyleci pan stąd na zbity pysk aż na ulicę razem z tą połówką rozumu, z którą się pan dzisiaj obudził.

– Mam przez to rozumieć, że nie? – zapytał.

LuAnn energicznym ruchem głowy odrzuciła na bok długie włosy i przeniosła nosidełko z Lisa z prawej do lewej ręki. Mała popatrywała to na matkę, to na Jacksona, zupełnie jakby śledziła w skupieniu ich burzliwą konwersację.

– Słuchaj pan, dobrze wiem, że nie możesz mi niczego takiego zagwarantować. Wychodzę więc i dzwonię do czubków, żeby po pana przyjechali.

Jackson spojrział na zegarek, podszedł do telewizora i włączył go.

– Za minutę rozpoczyna się losowanie krajowej loterii. Co prawda do wygrania jest dzisiaj tylko milion dolarów, ale możemy je potraktować jako lekcję pogładową. Nic na tym nie korzystam, robię to tylko dla celów demonstracyjnych, by rozwiać twój całkowicie zrozumiały sceptycyzm.

LuAnn spojrzała na ekran. Poszła właśnie w ruch maszyna losująca. Rozpoczynało się ciągnięcie loterii. Jackson zerknął na nią z ukosa.

– Dzisiaj wylosowane zostaną kolejno numery osiem, cztery, siedem, jeden, dziewięć i sześć.

Wyciągnął z kieszeni kartkę i długopis i zapisał numery, które przed chwilą wymienił. Wręczył kartkę LuAnn.

Z trudem stłumiła wybuch śmiechu, z ust wyrwało jej się tylko głośnie parsknięcie. Odeszła ją ochota do śmiechu, kiedy prowadzący zakomunikował, że pierwszym wylosowanym numerem jest osiem. Potem maszyna wypluła, jedną po drugiej, kulki z numerami cztery, siedem, jeden, dziewięć i sześć i ogłoszono oficjalnie zwycięską kombinację. LuAnn popatrzyła z pobladłą twarzą na karteczkę, a potem znowu na liczby widniejące na ekranie telewizora.

Jackson wyłączył odbiornik.

– Ufam, że nie wątpisz już w moje możliwości. Może więc wrócimy do mojej oferty.

LuAnn oparła się o ścianę. W głowie jej huczało jak w ulu. Patrzyła na telewizor. Nie dostrzegała żadnych podłączonych do niego kabli ani urządzeń, które mogłyby pomóc temu człowiekowi w przewidzeniu wyniku. Żadnego magnetowidu. Tylko przewód zasilający biegnący do ściennego gniazdka sieciowego. Przełknęła z trudem ślinę i przeniosła wzrok na Jacksona.

– Jak pan to, u diabła, zrobił? – zapytała schrypniętym, wystraszonego głosem.

– Tego nie musisz wiedzieć. Odpowiedz tylko, proszę, na moje pytanie. – Podniósł trochę głos.

Oddechnęła głęboko, starając się zapanować nad roztrzęsionymi nerwami.

– Pyta mnie pan, czy zgadzam się zrobić coś nieuczciwego. A więc mówię panu prosto z mostu, że nie. Nie przelewa mi się, ale przestępcą nie jestem.

– A kto mówi, że to nieuczciwe?

– Pan wybaczy, twierdzi pan, że w gwarantowaniu komuś wygranej na loterii nie ma nic

nieuczciwego?! Mnie to wygląda na grubą przekręt! Wydaje się panu, że jak biorę gówniane roboty, to zaraz jestem głupia gęś?!

– Wręcz przeciwnie. Bardzo wysoko oceniam twoją inteligencję. Dlatego właśnie cię tu zaprosiłem. Przecież ktoś musi wygrać te pieniądze, LuAnn. Dlaczego nie miałabyś to być ty?

– Bo to nieuczciwe, ot, dlaczego!

– A kogo byś konkretnie skrzywdziła, wygrywając? Poza tym, z praktycznego punktu widzenia, nie będzie można mówić o nieuczciwości, jeśli nikt się nie dowie, jak do tej wygranej doszło.

– Wystarczy, że ja wiem.

Jackson westchnął.

– Szlachetna postawa. Ale naprawdę chcesz spędzić resztę życia u boku Duane'a?

– On swoje dobre strony też ma.

– Doprawdy? Zechciałabyś mi je wyliczyć?

– A idź pan do diabła! Wracając do domu, wstąpię chyba na policję. Mam znajomego gliniarza. Założę się, że bardzo się zainteresuje, jak mu o tym wszystkim opowiem. – LuAnn odwróciła się i sięgnęła do gałki u drzwi.

Na tę właśnie chwilę czekał Jackson.

– A więc Lisa będzie się wychowywała w rozpadającej się przyczepie w środku lasu. – Powiedział, jeszcze bardziej podnosząc głos. – Twoja córka, jeśli wdała się w matkę, będzie śliczną dziewczyną. Osiągnie pewien wiek, zaczną się nią interesować młodzi ludzie, rzuci szkołę, gdzieś tam po drodze zajdzie może w ciążę, cykl zacznie się od nowa. Tak było z twoją matką? – Zawiesił na chwilę głos. – Tak było z tobą? – dodał bardzo cicho.

LuAnn odwróciła się do niego powoli. Oczy miała szeroko otwarte, błyszczące.

Jackson patrzył na nią współczująco.

– Tak będzie, LuAnn. Dobrze wiesz, że mam rację. Jakie perspektywy macie z tym człowiekiem ty i Lisa? A jeśli nie z nim, to z innym Duane'em, a potem z jeszcze innym? Żyjesz w nędzy, umrzesz w nędzy i to samo czeka twoją córeczkę. Nic tego nie zmieni. Wiem, to niesprawiedliwe, ale fakt pozostaje faktem. Ludzie, którzy nigdy nie znajdowali się w twojej sytuacji, powiedzieliby pewnie, że powinnaś się spakować i odejść. Zabrać córeczkę i wyjechać. Ale nie powiedzieliby ci, jak masz to zrobić. Skąd wziąć pieniądze na przejazd autobusem, na noclegi w motelach, na jedzenie? Kto przypilnuje ci dziecka, kiedy będziesz szukała pracy, i potem, kiedy już ją znajdziesz, o ile w ogóle ci się to uda. – Jackson pokręcił ze współczuciem głową i nie spuszczać z LuAnn oka, podparł się ręką pod brodę. – Na policję możesz naturalnie pójść. Ale kiedy z nimi wrócisz, tutaj nikogo już nie będzie. A myślisz, że ci uwierzą na słowo? – Skrzywił się sceptycznie. – A gdyby nawet uwierzyli, to co osiągniesz? Zaprzepaszczysz życiową szansę. Przepadnie ci jedyna okazja wyrwania się z bagna, w którym tkwisz po uszy.

Potrząsnął ze smutkiem głową, jakby chciał powiedzieć: „Opamiętaj się, dziewczyno, nie rób takiego głupstwa”.

LuAnn mocniej ścisnęła rączki nosidełka i zaczęła nim kołysać, by uspokoić wierzącą się, pobudzoną Lisę.

– Skoro już mowa o marzeniach, panie Jackson, to ja mam takie. I to wspaniałe. Cholernie wspaniałe. – Głos jej drżał. Lata syzyfowej walki z przeciwnościami losu zahartowały wewnątrz nie LuAnn Tyler, ale teraz czuła się wstrząśnięta słowami Jacksona, a raczej zawartą w nich prawdą.

– Wiem o tym. Powiedziałem już, że uważam cię za osobę inteligentną, a przebieg naszego spotkania tylko utwierdził mnie w tym przekonaniu. Zaslugujesz na więcej, i to o wiele więcej, niż masz. Ale ludzie rzadko osiągają w życiu to, na co zasługują. Podsuwam ci sposób na zrealizowanie twoich wspaniałych marzeń. – Niespodziewanie pstryknął palcami. – Ot, tak.

W oczach LuAnn pojawiła się nagle czujność.

– A skąd mam wiedzieć, czy nie jest pan przypadkiem z policji i po prostu nie próbuje mnie podejść? Nie uśmiecha mi się wylądować w więzieniu. Za żadne pieniądze!

– Byłby to przecież klasyczny przypadek prowokacji. Żaden sąd nie uznałby twojej winy. Poza tym jaki interes miałaby policja w knuciu przeciwko tobie takiej wydumanej intrygi?

LuAnn oparła się o drzwi. Serce waliło jej jak młotem, gubiło rytm.

Jackson wstał.

– Wiem, nie znasz mnie, ale zapewniam cię, że do swoich przedsięwzięć podchodzę bardzo, bardzo poważnie. Nigdy nie robię niczego, co nie ma mocnego uzasadnienia. Nie ściągałbym cię tutaj dla głupiego żartu, a już na pewno nie traciłbym na takie zabawy swojego cennego czasu. – W głosie Jacksona pobrzmiwał ton władczej pewności siebie, a jego oczy wwierały się w LuAnn z intensywnością, której nie sposób było zignorować.

– Dlaczego właśnie ja? Dlaczego ze wszystkich ludzi na tym popieprzonym świecie wybrał pan akurat mnie? – zapytała niemal błagalnym tonem.

– Dobre pytanie. Ale, po pierwsze, nie mogę ci na nie w tej chwili odpowiedzieć, a po drugie – to nieistotne.

– Skąd może mieć pan pewność, że wygram?

Jackson zerknął na telewizor.

– W wynik nie powinnaś powątpiewać, chyba że twoim zdaniem miałem niebywale szczęście.

– Ha! W tej chwili powątpiewam we wszystko, co słyszę. No więc, co będzie, jeśli w to wejdę i nie wygram?

– A co masz do stracenia?

– Dwa dolce, które na początek trzeba zainwestować, żeby w ogóle wziąć udział w grze, ot co! Dla pana może to śmieszna suma, ale dla mnie tydzień przejazdów autobusem!

Jackson wyciągnął z kieszeni cztery banknoty jednodolarowe i wręczył je LuAnn.

– A więc uważaj to ryzyko za wyeliminowane, i to ze stuprocentową pewnością.

Potarła pieniądze między palcami.

– Ciekawi mnie, jaki pan ma w tym interes. Za stara trochę jestem, żeby jeszcze wierzyć w dobre wróżki i spełnianie się życzeń wypowiedzianych na widok spadającej gwiazdy. Oczy LuAnn były już przytomne i skupione.

– Jeszcze jedno dobre pytanie, lecz stanie się aktualne dopiero wtedy, kiedy zgodzisz się wziąć w tym udział. Ale masz rację: nie robię tego z dobroci serca. – Ironiczny uśmiešek przemknął mu przez wargi. – To transakcja handlowa. A na wszystkich dobrych transakcjach zyskują obie strony. I sędzę, że zyski z tego przedsięwzięcia mile cię zaskoczą.

LuAnn wsunęła banknoty do torebki.

– Jeśli oczekuje pan ode mnie odpowiedzi w tej chwili, to zdecydowanie odmawiam.

– Zdaję sobie sprawę, że moja propozycja niesie ze sobą potencjalne komplikacje. Dam ci więc czas do namysłu. – Zapisał na karteczce numer bezpłatnej linii telefonicznej i pokazał go LuAnn. – Ale decyzję musisz podjąć szybko. Do comiesięcznego ciągnięcia loterii pozostały cztery dni. Muszę znać twoją odpowiedź najpóźniej o dziesiątej rano pojutrze. Pod tym numerem złapiesz mnie wszędzie, o każdej porze dnia i nocy.

– A jeśli za dwa dni też odmówię, a tak prawdopodobnie będzie? – spytała, spoglądając na karteczkę.

Jackson wzruszył ramionami.

– Wtedy na loterii wygra ktoś inny, LuAnn. Ktoś inny stanie się bogatszy o co najmniej pięćdziesiąt milionów dolarów i na pewno nie będą go z tego powodu dręczyły wyrzuty sumienia, zapewniam cię. – Uśmiechnął się dobronudnie. – Wierz mi, mnóstwo ludzi z pocałowaniem ręki zajęłoby twoje miejsce. Z pocałowaniem ręki. – Wcisnął jej w garść kartkę z numerem telefonu. – Pamiętaj, moja oferta stanie się nieaktualna nieodwołalnie pojutrze, minutę po dziesiątej rano. – Nie wspomniał, rzecz jasna, że jeśli LuAnn odmówi, będzie ją musiał niezwłocznie zabić. Przez twarz przemknął mu cień, ale po chwili już z uśmiechem otwierał przed LuAnn drzwi, zerkając przy tym na Lisę. Mała przestała się wiercić i patrzyła na niego szeroko rozwartymi ślepkami. – Wykapana mama. Mam nadzieję, że rozum też po tobie odziedziczyła. – Kiedy LuAnn przekraczała próg, dorzucił: – Dziękuję, że przyszedłaś, LuAnn. Miłego dnia życzę.

– Dlaczego wciąż mi się wydaje, że wcale nie nazywa się pan Jackson? – spytała, posyłając mu przenikliwe spojrzenie.

– Mam szczerą nadzieję, LuAnn, że wkrótce się do mnie odezwiesz. Lubię patrzeć, jak szczęście uśmiecha się do ludzi, którzy na to zasługują. A ty? – Cicho zamknął za nią drzwi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wracając autobusem do domu, LuAnn z równą troskliwością hołubiła Lisę, co i karteczkę z numerem telefonu. Miała bardzo nieprzyjemne uczucie, że wszyscy współpasażerowie doskonale wiedzą, co jej się dzisiaj przydarzyło, i bardzo surowo osądzają postawę, jaką przyjęła. Jakaś objuczona plastikowymi siatkami na zakupy starsza kobieta w wyświechtanym płaszczu i opadających, dziurawych podkolanówkach, wlepiła w nią nieprzychylny wzrok. LuAnn nie była pewna, czy kobieta patrzy tak na nią, bo naprawdę wie o spotkaniu, czy też po prostu zazdrości jej młodego wieku, urody i udanego dziecka.

Odchyliła się na oparcie siedzenia i popuściła wodzy wyobraźni, rozważając możliwe konsekwencje przyjęcia bądź odrzucenia propozycji Jacksona. Nieskorzystanie z oferty wiązało się, co prawda, z pewnymi następstwami, a w tle każdego majaczyły fizjonomie daunopodobnych osobników, ale jej przyjęcie również rodziło swego rodzaju problemy. Gdyby rzeczywiście wygrała i stała się niewyobrażalnie bogata, to jak powiedział mężczyzna, mogłaby mieć wszystko. Wszystko! Jechać, dokąd zechce. Robić, na co ma ochotę. Boże! Na myśl o takiej nieskrępowanej wolności, od której dzieli ją tylko cztery dni i jedna rozmowa telefoniczna, o mało nie zerwała się z miejsca, by płaść w wąskim przejściu między siedzeniami autobusu i krzyżeć z radości. Podejrzenie, że ma do czynienia z jakimś kantem albo dziwacznym żartem, odrzuciła. Jackson nie chciał od niej wyciągnąć żadnych pieniędzy. Zresztą skąd by je wzięła. Nic nie wskazywało również na to, że oczekuje od niej w zamian jakichś usług seksualnych, chociaż pełne warunki umowy nie zostały jej jeszcze przedstawione. Jednak nie odniosła wrażenia, że Jackson jest zainteresowany jej wdziękami. Nie próbował jej dotykać, nie wygłaszał komentarzy na temat przymiotów jej ciała i wydawał się człowiekiem pod każdym względem profesjonalnym i poważnym. Jeśli był czubkiem, to odwalił kawał porządnej roboty, udając przed nią normalnego. Poza tym wynajęcie pomieszczenia, zatrudnienie sekretarki, i tak dalej, musiało go coś kosztować. Jeśli nawet Jackson był umyślowo chory, to stanowczo miewał nawroty normalności. Pokręciła głową. I przewidział bezbłędnie wszystkie numery, jakie padną w losowaniu, zanim jeszcze wypluła je maszyna. Temu nie da się zaprzeczyć. Jeśli więc mówił prawdę, to sęk tylko w tym, że jego propozycja ocierała się o nielegalność, o przekręt, a co to znaczyło, wołała nie myśleć. Był to poważny problem. Co będzie, jeśli się zgodzi, a potem wszystko się wyda i zostanie przyłapana na oszustwie? Powędruje do więzienia, kto wie, czy nie na resztę życia. Co stanie się wtedy z Lisa? Euforia opadła. Jak większość ludzi marzyła często o zdobyciu fortuny. Ta wizja nieraz pomagała jej przetrwać trudne chwile i nie załamać się. Ale w swoich marzeniach nie kojarzyła nigdy tej fortuny z kulą i łańcuchem. Cholera – mruknęła pod nosem. Wybór między niebem a piekłem. No i jakie warunki postawi Jackson? Nie miała wątpliwości, że ten człowiek zażąda bardzo wysokiej ceny za przeobrażenie jej z nędzarki w

księżniczkę.

No więc, co by zrobiła, gdyby przyjęła propozycję i naprawdę wygrała? Taką wolność łatwo sobie wyobrazić, smakować, słyszeć, czuć. Co innego korzystać z niej w rzeczywistości. Podróże po świecie? Nigdy nie ruszyła się na krok z Rikersville, które najbardziej znane było z dorocznego targu i śmierdzących rzeźni. Na palcach jednej ręki mogła policzyć, ile razy jechała windą. Nigdy nie miała domu ani samochodu. Prawdę mówiąc, niczego nigdy nie miała. Żaden bank nie prowadził konta na jej nazwisko. Potrafiła jako tako czytać, pisać i mówić po angielsku, ale z pewnością nie była kandydatką do wyższych sfer. Jackson powiedział, że mogłaby mieć wszystko. Ale czy tak w istocie było? Czy naprawdę można wyłowić żabę z kałuży, przenieść ją do francuskiego zamku i spodziewać się, że coś z tego będzie? Ale nie musiała tego wszystkiego robić, wprowadzać do swojego życia tak drastycznych zmian, stawać się czymś i kimś, kim zdecydowanie nie była. Wzdrygnęła się.

W tym rzecz – pomyślała. Odgarnęła włosy z twarzy, pochyliła się nad Lisa i przesunęła palcami po czole córeczki. Odetchnęła głęboko, wciągając w płuca słodkie wiosenne powietrze wpływające przez otwarte okno autobusu. Chodzi o to, że rozpaczliwie pragnęła stać się kimś innym, kimś zupełnie różnym od osoby, którą teraz była. Przez całe życie przeczuwała, wierzyła i miała nadzieję, że pewnego dnia zrobi coś w tym kierunku. Jednak z każdym mijającym rokiem ta nadzieja coraz bardziej blakła, stawała się jak sen, który z czasem ją opuści i uleci, i pod koniec, jako skurczona, pomarszczona właścicielka szybko gasnącego życia, nieciekawego życia, nie będzie już nawet pamiętała, że kiedykolwiek snuła takie marzenia. Z każdym dniem wizja tej ponurej przyszłości stawała się coraz wyraźniejsza, jak obraz na ekranie telewizora, do którego przyłączono w końcu antenę.

Teraz wszystko raptownie się zmieniło. Autobus podskakiwał na wyboistej szosie, a ona wpatrywała się w numer telefonu. Wkrótce wysiądzie z Lisa u wylotu gruntowej drogi, która zaprowadzi je do obskurnej przyczepy kempingowej, gdzie na ich powrót w niewątpliwie podłym nastroju czeka zapyziały Duane Harvey. Zażąda pieniędzy na piwo. Humor jej się poprawił, kiedy przypomniała sobie o czterech dodatkowych dolarach, które wiozła w kieszeni. Znajomość z panem Jacksonem przyniosła już pierwszą korzyść. Na początek pozbędzie się z domu Duane'a, żeby w spokoju przemyśleć sprawę. Dzisiaj w Squat and Gobble, jego ulubionej knajpie, jest wieczór promocji piwa. Jeśli da mu dwa dolary, Duane uchla się do nieprzytomności. Spojrzała przez okno na świat budzący się po zimie do życia. Wiosna. Nowy początek. Może i dla niej? Początek, który nastąpi za dwa dni o dziesiątej rano. Przez długą chwilę patrzyły sobie z Lisa w oczy, a potem wymieniły czułe uśmiechy. LuAnn przytuliła córeczkę do piersi, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać, bo ochotę miała i na jedno, i na drugie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Skrzypnęły spaczone drzwi siatkowe i LuAnn weszła z Lisa na ręku do przyczepy. Było tu ciemno, zimno i cicho. Duane chyba jeszcze spał. Jednak, przeciskając się wąskim korytarzykiem, oczy i uszy miała otwarte na każde poruszenie i dźwięk. Bała się nie tyle Duane'a, ile tego, że ją znienacka zaskoczy. W uczciwej walce bez trudu dawała mu radę. Nieraz już porządnie oberwał, kiedy zaszurał do niej po pijanemu. Na trzeźwo nie rwał się zazwyczaj do rękoczynów. A powinien być teraz trzeźwy, a raczej znajdować się w stanie zbliżonym do trzeźwości, bo całkowicie wytrzeźwieć zazwyczaj mu się nie udawało. Dziwnie było pozostawać w związku z kimś, w kim widzi się całkowite przeciwieństwo swojego ideału. Potrafiłaby jednak wymienić z dziesięć innych kobiet trwających w podobnych układach, których fundamentem są bardziej względy ekonomiczne, ograniczony wybór, a przede wszystkim przyzwyczajenie, niż coś, co choćby z grubsza przypominało głębsze uczucie. Owszem, składano jej inne oferty, ale korzystając z nich, wpadałyby tylko z deszczu pod rynnę.

Usłyszawszy pochrapywania dolatujące z maleńkiej sypialni, zatrzymała się i wsunęła tam głowę. Zaparło jej dech w piersiach, kiedy rozróżniła na łóżku zarysy dwóch ciał. Z prawej strony leżał Duane, spod koca wystawała mu tylko głowa. Druga osoba przykryta była z głową, jednak dwa wybrzuszenia koca na wysokości klatki piersiowej sugerowały, że nie jest to żaden z kumpli od butelki Duane'a, odsypiający tu popijawę.

Lu Ann, stąpając na palcach, przeszła korytarzem do łazienki, zostawiła tam nosidełko z popatrującą niespokojnie Lisa i zamknęła drzwi. Chciała oszczędzić małej widoku tego, co się tu za chwilę rozpęta. Kiedy wróciła do sypialni, Duane dalej chrapał w najlepsze, ale ciało obok zmieniło pozycję i spod koca wysypały się ciemno-rude włosy. W sekundę później LuAnn chwyciła już za nie pełną garścią i ciągnąc z całych sił, wywlekała nieszczęsną właścicielkę gęstych, długich pukli z łóżka z zamiarem ciśnięcia nią o ścianę.

– O, cholera! – wrzasnęła kobieta, szorując nagimi pośladkami po szorstkiej, wytartej wykładzinie, po której ciągnęła ją za włosy wściekła LuAnn. – Cholera, LuAnn, puszczaaj!

– Shirley, ty zdiro – wysapała LuAnn, oglądając się na nią przez ramię – mówiłam, że jak cię tu jeszcze raz przydybię na szlajaniu, to Bóg mi świadkiem, kark przetrączę!

– Duane! Weź jej coś powiedz! Zwariowała! – zawyła Shirley, próbując rozpaczliwie wyszarpnąć swoje włosy z dłoni LuAnn.

Shirley była niska i miała ze dwadzieścia funtów nadwagi. Jej tłuste uda i duże obwisłe piersi przelewały się podczas tej szamotaniny w tę i we w tę, plaskając o siebie rytmicznie.

Kiedy kobiety, w drodze do drzwi sypialni, przesuwają się obok Duane'a, ten się ocknął.

– Co tu się wyprawia? – wymamrotał zaspanym głosem.

– Cicho siedź! – warknęła LuAnn.

Duane, ogarnawszy przytomniejącym wzrokiem sytuację, sięgnął do nocnej szafki po paczkę marlboro. Przypalając sobie papierosa, uśmiechnął się do Shirley.

– Już wychodzisz, Shirley? – Odgarnął z czoła opadające strąkami włosy i zaciągnął się z lubością dymem.

Wywlekana z sypialni Shirley wybałuszyła na niego oczy. Na jej pucołowate policzki wystąpił burgundowy rumieniec.

– Ty gnoju!

Duane posłał jej ręką pożegnalnego całusa.

– Ja też cię kocham, Shirl. Dzięki, że wpadłaś. Fajnie było. – Zarechotał i podciągnawszy się na łóżku do pozycji siedzącej, klepnął się po udzie. W chwilę potem LuAnn i Shirley zniknęły za drzwiami.

Porzuciwszy Shirley na podwórku pod przerdzewiałym fordowskim silnikiem, LuAnn zawróciła do przyczepy.

– Połowę włosów mi wyrwałaś, suko! – wrzasnęła za nią Shirley, zbierając się z ziemi. LuAnn szła dalej, nie oglądając się za siebie. – Moje ubranie! Oddawaj mi, cholera, ubranie, LuAnn.

LuAnn zatrzymała się i odwróciła.

– Nie było ci potrzebne przed chwilą, nie widzę więc powodu, dla którego miałabyś go potrzebować teraz.

– Nie mogę tak wrócić do domu.

– To nie wracaj do domu. – LuAnn wspięła się po schodkach z pustaków do przyczepy i zatrzasnęła za sobą drzwi.

W korytarzyku czekał na nią Duane. Był w bokserkach, z kącika ust zwiślało mu wygasłe marlboro.

– Mężczyzna wie, że żyje, jak potłuką się o niego dwie dupeńki. Podrajcowało mnie. Może byśmy tak wykręcili numerek? No, malutka, daj buźki. – Uśmiechnął się lubieżnie i chciał otoczyć ramieniem jej długą szyję. Nie zdążył. Pięść LuAnn trafiła go w zęby. Ból, choć silny, na skali cierpienia nie mógł się nawet równać z tym, jaki wywołało kolano lądujące w następnej chwili między jego nogami. Duane zgiął się wpół i z nieludzkim skowytem osunął ciężko na podłogę.

– Wytnij mi jeszcze jeden taki numer, Duane – ostrzegła LuAnn, pochylając się nad nim – a Bóg mi świadkiem, oberwę ci go, wrzucę do kibla i spuszczę wodę.

– Durna baba – na wpół wykrztusił, na wpół wyskamlał Duane, trzymając się kurczowo za krocze. Krew ciekła mu po brodzie.

LuAnn chwyciła go za policzki i ścisnęła z całych sił.

– Nie, to ty jesteś dureń, jeśli myślisz, że będę przymykała oczy na ten burdel.

– Nie jesteście małżeństwem.

– Owszem, ale żyjemy ze sobą. Mamy dziecko. I ta przyczepa jest tak samo moja jak twoja.

– Shir! nic dla mnie nie znaczy. Co się tak pieklisz? – Trzymając się wciąż za przyrodzenie, podniósł na nią zbołały wzrok. W kącikach oczu zaczynały mu się zbierać łzy.

– Bo ta mała, tłusta klucha potruchta zaraz z ozorem do sklepu, do salonu piękności, do tej twojej przeklętej Squat and Gobble i wypaple wszystko każdemu, kto będzie chciał słuchać, a ja wyjdę na ostatnią kretynkę.

– Trzeba mnie było nie zostawiać rano samego. – Podźwignął się z trudem z podłogi. – To twoja wina. Przyszła z jakąś sprawą do ciebie. Co miałem robić?

– Nie wiem, Duane, może poczęstować ją kawą zamiast swoim kutasem.

– Nie czuję się najlepiej, mała. Poważnie. – Oparł się o ścianę.

– To najlepsza wiadomość, jaką dzisiaj usłyszałam. Przepchnęła się bezceremonialnie obok niego, żeby zajrzeć do Lisy. Po chwili znowu przed nim przeparadowała, skrzyła do sypialni i zdarła pościel z łóżka.

Duane obserwował spode łba jej krzątanie z za otwartych drzwi.

– Tak, nie krępuj się, wyrzuć wszystko. Co mi tam, ty to kupowałaś.

– Oddaję je do – Wandy do wyprania! – warknęła, nie spoglądając na niego. – Jeszcze by brakowało, żebym dokładała do twojego kotłowania się z dziwkami.

Coś zielonego mignęło jej pod materacem, kiedy uniosła go, żeby zdjąć prześcieradło. Ściągnęła materac z łóżka i obejrzała się na Duane'a.

– A to co, u licha?! – spytała ostro.

Duane łypnął na nią krzywo. Wszedł powoli do sypialni, wygarnął z odsłoniętej ramy paczki banknotów i upchnął je do papierowej torby leżącej na stoliku obok łóżka. Zamykając torbę, spojrzał jej wyzywająco w oczy.

– Powiedzmy, że wygrałem na loterii – burknął arogancko.

Zesztywniała na te słowa, zupełnie jakby ktoś dał jej w twarz. Przez chwilę miała wrażenie, że zaraz zemdleje i runie jak długa na podłogę. Czyżby rzeczywiście za tym wszystkim stał Duane? Czyżby był w zмовie z Jacksonem? Nie, to niemożliwe. Doszła szybko do siebie i założyła ręce na piersi.

– Nie chrzań, Duane. Skąd to masz?

– Powiedzmy, że to dobry powód, żebyś była dla mnie miła i zamknęła gębę na kłódkę.

Wypchnęła go ze złością z pokoju, trzasnęła drzwiami i zasunęła skobel. Przebrała się w dżinsy, mokasyny i bawełnianą koszulkę, a potem szybko spakowała torbę turystyczną. Wychodząc z pokoju, natknęła się na Duane'a, który czekał w korytarzyku z papierową torbą w ręku. Minęła go, otworzyła drzwi do łazienki i chwyciła nosidełko z Lisa. Z brudną pościelą i torbą turystyczną w drugiej ręce ruszyła do drzwi frontowych.

– Dokąd się wybierasz, LuAnn?

– Nie twój zakichany interes.

– Długo jeszcze będziesz stroić te fochy? Kopnęłaś mnie w jaja, a ja się na ciebie nie boczę, prawda? Już o tym zapomniałem.

Odwróciła się na pięcie.

– Duane, z ciebie jest chyba największy przygłup na tym świecie.

– Naprawdę? A ty za kogo się masz? Za księżną Di? Gdyby nie ja, ty i Lisa nie miałybyście nawet gdzie mieszkać. Przyjąłem cię pod swój dach, bo żal mi się ciebie zrobiło. – Przypalił sobie drugiego papierosa, przezornie trzymając się poza zasięgiem jej pięści. Rzucił zapalniczkę na zniszczoną wykładzinę. – A więc zamiast się na mnie wyżywać, może okazałabyś mi trochę wdzięczności. – Potrząsnął papierową torbą z pieniędzmi. – Tam, skąd to mam, jest tego dużo więcej, malutka. Nie będę się już gnieździł w tej zaszyfionej norze. Nie będę już potrzebował łaski ani twojej, ani nikogo. Słyszysz?

Otworzyła drzwi frontowe.

– Okażę ci wdzięczność, Duane, i to od razu. Wiesz, w jaki sposób? Odejdę stąd, bo jeszcze trochę, a nie wytrzymam i cię zabiję!

Lisa, przestraszona gniewnym głosem matki, zaczęła płakać. Pewnie myślała, że to na nią krzyczą. LuAnn pocałowała małą i zeszła po schodkach, nuczając uspokajająco do jej uszka.

Duane, odprowadzając wzrokiem maszerującą przez błotniste podwórko LuAnn, podziwiał jej kształtny tyłeczek opięty ciasnymi džinsami. Rozejrzał się za Shirley, ale ta, choć goła, najwyraźniej wolała dać nogę.

– Kocham cię, mała! – krzyknął za LuAnn, szczerząc w uśmiechu zęby.

– Idź do diabła, Duane.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W centrum handlowym ruch panował znacznie większy niż poprzedniego dnia. LuAnn, rada z tego tłoku, szerokim łukiem obezła biuro, w którym była wczoraj, ale mijając je, nie omieszkała rzucić okiem na drzwi. Za osadzonymi w nich szklanymi szybkami było ciemno. Jeśli spróbuje je otworzyć, pewnie nie ustąpią. Nie przypuszczałyby po jej wyjściu Jackson długo tam jeszcze zabawił. Prawdopodobnie była jego jedyną „klientką”.

Zadzwoiła do pracy i powiedziała, że jest chora, a potem spędziła bezsenną noc u przyjaciółki, patrząc na przemian to na księżyc w pełni, to na malutkie usteczka śpiącej smacznie Lisy, przez które przewijały się wszystkie odcienie grymasów od uśmiechu po płaczącą podkówkę. Postanowiła w końcu, że nie podejmie decyzji w sprawie propozycji Jacksona, dopóki nie zbierze bliższych informacji. Jedno wiedziała już na pewno, nie pójdzie na policję. Nie potrafiłaby niczego udowodnić, a kto by jej bez tego uwierzył? Nie znajdowała argumentów, które przemawiałyby za podjęciem takiego kroku, za to odwodzących ją od niego potrafiłaby wyliczyć przynajmniej pięćdziesiąt milionów. Jej wycucie dobra i zła zaczynało się nieuchronnie rozmywać pod naporem pokusy wynikającej z faktu, że być może stoi wobec niepowtarzalnej szansy niewiarygodnego, błyskawicznego wzbogacenia się. Wolałaby, żeby sytuacja była bardziej czarnobiała. Jednak ostatni incydent z Duane'em utwierdził ją w przekonaniu, że nie może pozwolić, by Lisa dorastała w takim środowisku. Coś trzeba było poświęcić.

Biuro centrum handlowego znajdowało się na końcu korytarza, w południowej części budynku. LuAnn pchnęła drzwi i weszła do środka.

– LuAnn?! LuAnn obejrzała się. Za kontuarem stał schludnie ubrany młody mężczyzna – czarne spodnie, koszula z krótkim rękawem, krawat. Podniecony, wyciskał raz po raz długopis trzymany w prawej ręce. LuAnn nie kojarzyła jego twarzy.

Młodzieniec wyskoczył zza lady.

– Widzę, że mnie nie pamiętasz. Johnny Jarvis jestem. Teraz już John.

Wyciągnął rękę, a potem uśmiechnął się i porwał LuAnn w objęcia, wyściskał serdecznie i przez dłuższą chwilę zachwycił się Lisa. LuAnn wyjęła z torby mały kocyk, posadziła na nim córeczkę i dała jej pluszowe zwierzątko do zabawy.

– Nie wierzę własnym oczom, Johnny. Nie widziałam cię od... odkąd? Od szóstej klasy?

– Ty byłaś w siódmej, ja w dziewiątej.

– Dobrze wyglądasz. Naprawdę. Od dawna tu pracujesz?

Jarvis uśmiechnął się z dumą.

– Po ukończeniu szkoły średniej poszedłem go college’u społecznego i zrobiłem tam dyplom interdyscyplinarny. W centrum pracuję od dwóch lat. Zaczynałem od wprowadzania danych do

komputera, ale teraz awansowałem na kogoś w rodzaju zastępcy kierownika działu operacyjnego.

– Gratuluję. To cudownie, Johnny... chciałam powiedzieć, John.

– Oj, bez przesady, mów mi Johnny. Nie mogę uwierzyć, że to ty weszłaś przez te drzwi. Myślałem, że na twój widok padnę trupem. Nie spodziewałem się, że cię jeszcze kiedyś zobaczę. Myślałem, że wyjechałaś do Nowego Jorku albo w jakieś podobne miejsce.

– Nie, wciąż tu tkwię – odparła szybko.

– Ciekawe, że nie widziałem cię dotąd tutaj.

– Rzadko tu bywam. Stamtąd, gdzie mieszkam, jest do centrum spory kawałek.

– Siadaj i opowiadaj, co u ciebie. Nie wiedziałem, że masz dziecko. Nie wiedziałem nawet, że wyszłaś za męża.

– Nie jestem mężatką.

– Och. – Na policzki Janasa wypłynął rumieniec zakłopotania. – Eee... napijesz się kawy albo czegoś? Właśnie nastawiłem wodę.

– Trochę się śpieszę, Johnny.

– No tak, rozumiem. Co mogę dla ciebie zrobić? – W jego oczach pojawił się nagle błysk niedowierzania. – Chyba nie szukasz pracy, prawda?

Popatrzyła na niego znacząco.

– A gdybym szukała, to co? Czy to cos złego?

– Nie, oczywiście, że nie. Tylko, no wiesz, nie spodziewałem się, że tu zostaniesz, a już zupełnie nie widzę cię pracującej w jakimś tam centrum handlowym.

– Praca jak każda inna, nie uważasz? Ty tu pracujesz. A skoro już o tym mowa, to niby co miałabym, według ciebie, robić w życiu?

Uśmiech Jarvisa szybko zgasł. Młodzieniec potarł nerwowo dłońmi o spódnie.

– Nie chciałem cię urazić, LuAnn. Po prostu myślałem, że mieszkasz gdzieś w jakimś zamku, nosisz eleganckie stroje, jeździsz eleganckimi samochodami. Przepraszam.

LuAnn przypomniała się propozycja Jacksona i gniew jej minął. Zamek mógł znaleźć się wkrótce w zasięgu jej możliwości.

– W porządku, Johnny, ciężki miałam tydzień, wiesz, jak to jest. Nie szukam pracy. Chcę tylko zasięgnąć informacji o jednym z waszych podnajemców.

Jarvis zerknął przez ramię w głąb biura, skąd dolatywała kakofonia telefonicznych dzwonek, stukotu klawiatur, gwaru rozmów.

– Informacji?

– Tak. Byłam tu wczoraj rano na spotkaniu.

– Z kim?

– Właśnie tego chcę się od ciebie dowiedzieć. Przyjął mnie w tym pomieszczeniu biurowym w pasażu po prawej, gdy wchodzi się do centrum od strony przystanku autobusowego. Na drzwiach nie ma żadnej tabliczki ani wywieszki, ale to zaraz obok stoiska z lodami.

Jarvis zrobił zdziwioną minę.

– Myślałem, że to pomieszczenie jest puste. Sporo mamy takich do wynajęcia. Okolica nie jest najatrakcyjniejsza.

– No tak, ale wczoraj nie było puste.

Jarvis podszedł do stojącego na kontuarze komputera i zaczął stukać w klawisze.

– W jakiej sprawie było to spotkanie?

– Och, w sprawie pracy w charakterze przedstawicielki handlowej – odpowiedziała bez chwili wahania LuAnn. – No wiesz, bezpośrednia promocja różnych towarów.

– Tak, jest tu parę takich osób, które wynajmują od nas pomieszczenia na czas określony. Przeważnie wykorzystują je na takie właśnie spotkania. Jeśli mamy kawałek wolnej przestrzeni, a zazwyczaj mamy, to chętnie ją wynajmujemy, choćby tylko na jeden dzień. Zwłaszcza kiedy jest już urządzona, no wiesz, pomieszczenie biurowe pod klucz.

Patrzył przez chwilę na ekran. Potem podszedł do drzwi, przez które z głębi biura sączył się wciąż gwar głosów, i zamknął je. Posłał LuAnn lekko spłoszone spojrzenie.

– A więc co chcesz wiedzieć?

Dostrzegła niepokój w jego oczach i zerknęła na drzwi, które przed chwilą zamknął.

– Chyba nie będziesz miał z tego powodu nieprzyjemności, Johnny?

Machnął ręką.

– Ależ skąd! – zachnął się. – Nie zapominaj, że jestem tutaj zastępcą kierownika – dorzucił z wyższością.

– No to powiedz mi po prostu, co wiesz. Kim są ci ludzie. Czym się zajmują. Jakiś adres. Tego rodzaju rzeczy.

Jarvis zmieszał się.

– Jak to, nie powiedzieli ci tego na spotkaniu?

– Niby powiedzieli – odparła powoli. – Ale wolę się upewnić, czy wszystko jest jak trzeba, rozumiesz. Zanim się zdecyduję, czy przyjąć tę propozycję. Musiałabym sobie kupić trochę nowych ciuchów, może nawet zmienić samochód. Nie chcę ponosić tych kosztów w ciemno.

Jarvis parsknął.

– Masz rację, mądrze robisz. Bo wiesz, to, że ci ludzie wynajęli u nas pomieszczenie, nie znaczy jeszcze, że grają z tobą uczciwie. – Zamilkł, a potem dodał z niepokojem w głosie: – Chyba nie chcieli od ciebie żadnych pieniędzy?

– Nie, wprost przeciwnie, zaproponowali mi niewiarygodnie dobre warunki finansowe.

– Pewnie tak dobre, że aż podejrzane?

– Waśnie. – Obserwowała jego palce przebiegające wprawnie klawiaturę komputera. – Gdzie się tego nauczyłeś? – spytała z podziwem.

– Czego? Tego? W społecznym college'u. Uczą tam prawie wszystkiego. Komputery to moja pasja.

– Sama wróciłabym chętnie do szkoły.

– Nauka, jak pamiętam, zawsze dobrze ci szła, LuAnn. Założę się, że dałabyś sobie radę jak

nic.

Posłała mu wdzięczne spojrzenie.

– Może kiedyś. No i co tam dla mnie masz?

Jarvis znowu wpatrzył się w ekran.

– Firma nazywa się Associates Incorporation. Przynajmniej tak wpisali do formularza umowy najmu. Wynajęli pomieszczenie na tydzień, poczynając od wczoraj. Zapłacili gotówką. Nie podali adresu. Nie interesują nas takie rzeczy, kiedy klient płaci gotówką.

– Nikogo tam teraz nie ma.

Jarvis, przeglądając zawartość ekranu, pokręcił z roztargnieniem głową.

– Umowę najmu podpisał gość nazwiskiem Jackson – powiedział.

– Mniej więcej mojego wzrostu, czarne włosy, przy tuszy...

– Zgadza się. Teraz go sobie przypominam. Robił bardzo solidne wrażenie. Czy podczas tego spotkania zaszło coś niezwykłego?

– Zależy, co przez to rozumieć. Ale mnie też wydał się bardzo solidny. Możesz mi powiedzieć coś jeszcze?

Jarvis znowu odwrócił się do ekranu w nadziei, że wyczyta z niego jeszcze parę okruchów informacji, którymi mógłby uraczyć LuAnn. Nie odzywał się przez chwilę, w końcu na jego twarzy odmalował się zawód. Westchnął i spojrzał na nią.

– Chyba już nic.

Biorąc Lisę na rękę, LuAnn zauważyła na kontuarze stos kieszonkowych notesów i kubek z pękiem długopisów.

– Możesz mi dać jeden taki notes i długopis, Johnny? Zapłacę.

– Żartujesz? Jasny gwint, bierz, ile chcesz.

– Po jednej sztuce wystarczy. Dzięki. – Schowała notesik i długopis do torebki.

– Nie ma za co, całe tony tego mamy.

– Dziękuję za informacje. Naprawdę jestem ci wdzięczna. Miło było cię spotkać, Johnny.

– Do licha, aleś mi zrobiła niespodziankę, wchodząc ni z tego, ni z owego przez te drzwi. – Zerknął na zegarek. – Za dziesięć minut mam przerwę na lunch. W sekcji gastronomicznej jest taka sympatyczna chińska knajpka. Masz czas? Ja stawiam. Pogawędzilibyśmy trochę, powspominali stare dobre czasy.

– Może innym razem. Teraz naprawdę trochę się śpieszę. Zawód na twarzy Jarvisa wywołał w niej lekkie poczucie winy. Posadziła Lisę z powrotem na kocyku i uścisnęła go serdecznie. Uśmiechnęła się, poczuwszy na świeżo umytych włosach jego przyśpieszony oddech. Czując pod dłonią jej plecy i miękkość biustu rozplywającą się po klatce piersiowej, Jarvis doznał błogostanu.

– Dobrze się ustawileś, Johnny – przyznała LuAnn, odsuwając się od niego. – Zawsze wiedziałam, że do czegoś dojdiesz.

Moje życie mogło się potoczyć inaczej – pomyślała – gdybym wcześniej poznała

Johnny'ego.

Jarvis był już teraz w siódmym niebie.

– Naprawdę? Miło mi słyszeć, że o mnie myślałaś.

– Widzisz? Pełno we mnie niespodzianek. Trzymaj się, może tu jeszcze wpadnę.

Wzięła Lisę na ręce i skierowała się do drzwi. Mała, gaworząc rozkosznie, zaczęła pocierać pluszową zabawką policzek matki.

– Hej, LuAnn?

Zatrzymała się i odwróciła.

– Przyjmiesz tę pracę?

– Jeszcze nie wiem – odparła po chwili zastanowienia. – Ale jeśli przyjmę, to prawdopodobnie o tym usłyszysz.

Następny przystanek na trasie LuAnn stanowiła biblioteka publiczna, przybytek, w którym była częstym gościem, kiedy chodziła do szkoły, ale do którego od lat już nie zaglądała. Bibliotekarka powitała ją bardzo ciepło, zachwycając się córeczką LuAnn. Lisa, tuląc się do matki, rozglądała się z zaciekawieniem po zapchanych książkami półkach.

– Da. Da, uch.

– Lubi książki – powiedziała LuAnn. – Czytam jej codziennie.

– Ma twoje oczy – orzekła kobieta, przenosząc spojrzenie z matki na córkę i z powrotem. LuAnn pogłaskała delikatnie policzek Lisy.

Uśmiech znikł z warg bibliotekarki, kiedy nie zobaczyła obrączki na palcu LuAnn. Nie umknęło to uwagi LuAnn.

– To najlepsze, co mnie w życiu spotkało. Niewiele mam, ale miłości tej malutkiej nigdy nie zabraknie.

Kobieta uśmiechnęła się niewyraźnie i pokiwała głową.

– Moja córka też jest samotną matką. Staram się jej pomagać, jak mogę, ale to niełatwe. Pieniądzy wciąż mało.

– Mnie nie musi pani tego mówić. – LuAnn wygrzebała z torby na pieluchy butelkę z rozrobionym mlekiem w proszku, które dostała od przyjaciółki, i wsunęła ją w rączki Lisy. – Jeśli uda mi się kiedyś dociągnąć do końca tygodnia z sumą, którą właśnie mam, uznaję to za cud.

Kobieta pokręciła ze smutkiem głową.

– Powiadają, że pieniądze są źródłem wszelkiego zła, ale często próbuję sobie wyobrazić, jak by to było nie martwić się o nie. I nie potrafię. A ty?

– Ja potrafię. Wyobrażam sobie, że to musi być bardzo przyjemne uczucie.

Kobieta roześmiała się.

– No dobrze, czym mogę ci służyć?

– Przechowujecie tu kopie rozmaitych starych gazet na takich kliszach, prawda?

Kobieta skinęła głową.

– Na mikrofilmach. W tamtej salce. – Wskazała na drzwi w głębi czytelnicy.

LuAnn zawahała się.

– Potrafisz obsługiwać przeglądarkę mikrofilmów? Jeśli nie, mogę ci pokazać. To nie trudnego.

– Byłabym wdzięczna. Dziękuję.

Weszły do pustej i ciemnej sali. Kobieta zapaliła górne światło, posadziła LuAnn przed jednym ze stojących tu terminali i wybrała na chybił trafił szpulę z mikrofilmem. Załadowała ją szybko i na podświetlonym ekranie pojawiła się stronica gazety. Kobieta, operując wprawnie pokrętłami, zaczęła przesuwac tekst linijka po linijce. LuAnn śledziła każdy jej ruch. Przewinawszy kilka stron gazety, kobieta wyjęła szpulę i wyłączyła przeglądarkę.

– Teraz spróbuj sama – zaproponowała.

LuAnn umiejętnie załadowała szpulę i kiedy na ekranie pojawił się obraz, tak samo fachowo zaczęła manipulować pokrętłami.

– Bardzo dobrze – pochwaliła ją bibliotekarka. – Szybko się uczysz. Nie każdy chwyta w lot, jak to się robi.

– Zawsze byłam sprawna manualnie.

– Katalog mikrofilmów jest przejrzysto oznakowany. Przechowujemy tu archiwalne kopie gazety miejscowej i kilku ogólnokrajowych. Każda szufladka ze szpulami opatrzona jest karteczką z datami wydań.

– Bardzo pani dziękuję.

Kobieta wyszła, a LuAnn, z ssącą wciąż mleko z butelki Lisa na rękę, ruszyła wzdłuż rzędu szafek. Znalazła szufladkę z mikrofilmami znanej gazety i z przechowywanych w niej pudełek ze szpulami wybrała te z datami z ostatnich sześciu miesięcy. Zrobiła sobie przerwę, by zmienić pieluszkę Lisie, po czym załadowała pierwszą szpulę do przeglądarki. Trzymając na kolanach córeczkę, która pokazując paluszkami i gaworząc, komentowała z podnieceniem obraz widniejący na ekranie, LuAnn przebiegła wzrokiem pierwszą stronę gazety. Szybko znalazła artykuł opatrzony nagłówkiem wydrukowanym dwucalowymi wołami: *Szczęśliwiec wygrywa na loterii czterdzieści pięć milionów dolarów*. LuAnn przeczytała szybko treść. Z zewnątrz dobiegał szum ulewy. Wiosna była tego roku deszczowa, często przechodziły burze. Jakby na potwierdzenie tego zagrzmiało i cały budynek zadrżał w posadach. Zerknęła niespokojnie na Lisę, ale mała nie zwróciła na grzmot uwagi. LuAnn wyciągnęła z torby koczek, rozpostarła go na podłodze, rozrzuciła parę zabawek i posadziła na nim córeczkę. Wróciła do przeglądarki. Wyjęła z torebki notes i długopis i zrobiła kilka notatek. Przeskoczyła od razu do następnego miesiąca. Ciągnięcia loterii krajowej odbywały się piętnastego dnia każdego miesiąca. Ją interesowały gazety z dni od szesnastego do dwudziestego. Wyszukanie wzmianek o sześciu ostatnich zwycięzcach zajęło jej dwie godziny. Przewinęła ostatnią szpulę i odłożyła ją do szufladki.

Usiadła i spojrzała na swoje notatki. Głowa ją łupała, marzyła o kawie. Na zewnątrz lało

wciąż jak z cebra. Z Lisą na ręku wróciła do czytelnicy, wybrała z półek kilka ilustrowanych książeczek dla dzieci i zaczęła czytać małej. Po dwudziestu minutach Lisa zasnęła. LuAnn ułożyła ją w nosidełku, które postawiła na stole obok siebie. W czytelnicy było ciepło i cicho. Czując, że ją też ogarnia senność, wsunęła rękę do nosidełka i ścisnęła delikatnie małą nóżkę dziewczynki. Z drzemki wyrwał ją dotyk czyjeś dłoni na ramieniu. Wzdrygnęła się; spłoszona, otworzyła oczy i napotkała spojrzenie stojącej nad nią bibliotekarki.

– Przepraszam, że cię budzę, ale już zamykamy. LuAnn rozejrzała się półprzytomnie po czytelnicy.

– Dobry Boże, która to godzina?

– Parę minut po szóstej, kochanie.

LuAnn spakowała się pośpiesznie.

– Przepraszam, że tu zasnęłam.

– Mnie to nie przeszkadzało. Aż żał mi było cię, budzić, tak smacznie obie spałyście.

– Dziękuję jeszcze raz za pomoc. – LuAnn przekrzywiła głowę i wsłuchiwała się w bębnienie deszczu o dach.

Bibliotekarka spojrzała na nią bezradnie.

– Niestety, nie mogę was nigdzie podrzucić, bo jeżdżę autobusem.

– Nie szkodzi. Z autobusem jestem za pan brat.

LuAnn okryła płaszczem nosidełko z Lisą, wyszła na deszcz i podbiegła do przystanku. Pół godziny później z piskiem hamulców i sykiem otwierających się drzwi pneumatycznych zatrzymał się przed nią autobus. Do biletu za przejazd zabrakło jej dziesięć centów, ale kierowca, potężnie zbudowany Murzyn, którego znała z widzenia, dołożył resztę z własnej kieszeni i dał jej ręką znak, że ma wsiadać.

– Ludzie powinni sobie pomagać – mruknął.

Podziękowała mu uśmiechem. Dwadzieścia minut później wchodziła już do zajazdu dla ciężarówek. Do rozpoczęcia swojej zmiany miała jeszcze kilka godzin.

– Hej, dziewczyno, co tak wcześnie? – zdziwiła się Beth, jej pięćdziesięciokilkuletnia koleżanka z pracy, wycierająca wilgotną ścierką wyłożony laminatem kontuar.

Potężny kierowca ciężarówki, popijający kawę przy barze, obrzucił LuAnn pełnym uznania spojrzeniem. Poczował się do tego, chociaż przemoczona do suchej nitki dziewczyna wyglądała jak zmokła kura. To była tradycja.

– Przyszła przed czasem, żeby się nie rozminąć ze starym dużym Frankiem – powiedział z uśmiechem, który rozlał się po całej twarzy. – Wiedziała, że jeżdżę dzisiaj na wcześniejszej zmianie i nie mogła znieść myśli, że już mnie więcej nie zobaczy.

– Masz rację, Frankie, LuAnn serce by pękło, gdyby nie zobaczyła tutaj twojej wielkiej, starej, zarośniętej gęby – wtrąciła się Beth, dłubiąc w zębach wykałaczką.

– Cześć, Frankie, jak się masz? – przywitała go LuAnn.

– Teraz już dobrze – odparł Frankie.

Uśmiech wciąż rozjaśniał mu twarz.

– Beth, przypilnujesz Lisy? – zwróciła się LuAnn do koleżanki, wycierając ręcznikiem twarz i ręce. – Przebiore się tylko. – Zajrzała do córeczki i z ulgą stwierdziła, że mała ma sucho i jest głodna. – Zagrzeję jej mleko i przygotuję owsiankę.

Potem powinna spać przez całą noc, chociaż sporo już dzisiaj drzemała.

– Nie ma sprawy. Chodź do cioci, maleńka. – Beth wzięła Lisę na ręce i przytuliła ją do piersi. Dziecko, wydając całą gamę nieartykułowanych dźwięków, sięgnęło od razu po długopis zatknięty za ucho Beth. – Ale teraz na poważnie, LuAnn. Jesteś parę godzin za wcześnie. Co się stało?

– Przemokłam, a jedyne czyste ubranie, jakie mam, to uniform. Poza tym miałam wyrzuty sumienia, że wczoraj nie przyszłam. Zaraz, zostało coś z lunchu? Chyba dzisiaj jeszcze nic nie miałam w ustach.

Beth popatrzyła na LuAnn potępiająco i podparła się pod boki.

– Żebyś zadbała o siebie chociaż w połowie tak, jak dbasz o tę kruszynę. Boże, dziecko, toż to już ósma dochodzi.

– Nie nudź, Beth. Zwyczajnie zapomniałam.

Beth odchrząknęła.

– Aha, już ci wierzę. Duane pewnie znowu przepił wszystkie pieniądze, mam rację?

– Powinnaś rzucić tę żalostną gnidę, LuAnn! – zahuczał Frankie. – Ale pozwól mi najpierw kopnąć go za ciebie w zadek. Zaslugujesz na kogoś lepszego niż ten śmieć.

Beth uniosła brew, co świadczyło, że w pełni zgadza się z Frankiem.

LuAnn popatrzyła ponuro po ich twarzach.

– Dziękuję wam obojgu, że tak się o mnie troszczycie, ale teraz wybaczcie.

Jakiś czas potem LuAnn siedziała już przy stoliku w kącie i kończyła posiłek, który przygotowała jej Beth. Odsunęła od siebie talerz i sięgnęła po kubek świeżo zaparzonej kawy. Deszcz znowu zaczął padać i bębnienie ciężkich kropel o blaszany dach restauracji działało na nią kojąco. Szczelniej opatulila się cienkim sweterkiem i spojrzała na zegar wiszący za barem. Do swojej zmiany miała jeszcze dwie godziny. Dawniej, kiedy zdarzało się jej przyjść do pracy wcześniej, próbowała wyrobić trochę nadgodzin, ale ostatnio kierownik już jej na to nie pozwalał.

– Ciężkie czasy – wyjaśnił.

– A co pan może wiedzieć o ciężkich czasach – odparowała mu wtedy, ale nic to nie dało.

Dobrze przynajmniej, że pozwalał jej przychodzić z Lisa. Gdyby nie to, w ogóle nie mogłaby pracować. No i płacił gotówką. Wiedziała, że w ten sposób unika odprowadzania podatku od wynagrodzenia, ale zarabiała tak mało, że państwo nie powinno od tego zbiednieć. Nigdy jeszcze nie wypełniała formularza rocznego zeznania podatkowego, żyła poniżej granicy ubóstwa i była zwolniona z wszelkich podatków.

Obok, w nosidełku, leżała Lisa. LuAnn poprawiła troskliwie kocyk okrywający śpiącą

córeczkę. Odstąpiła jej trochę swojego posiłku. Mała bardzo dobrze przyswajała normalne jedzenie, ale zasnęła, nie dotrwawszy do gotowanej marchewki. LuAnn martwiła się, że córeczka nie ma tutaj najlepszych warunków do spania, że noce spędzane pod kontuarem gwarne go, zadymionego zajazdu dla ciężarówek odbiją się za parę lat na zdrowiu i psychice Lisy. Nadszarpną w niej samoocenę i rozbiją osobowość. Czytała o tym w czasopismach i słyszała w telewizji. Nie potrafiłaby zliczyć, ile bezsennych nocy kosztowała ją ta koszmarna myśl. A to nie było wszystko. Zamartwiała się, czy jedzenia będzie zawsze pod dostatkiem, kiedy Lisa przejdzie w końcu na w pełni normalną dietę. Nie miała samochodu, supłała zawsze drobne na autobus, chodziła piechotą albo biegła po deszczu. A jeśli Lisa złapie jakąś chorobę? Co wtedy zrobi LuAnn? A jeśli ona sama zachoruje? Kto wtedy zajmie się Lisą? Nie była ubezpieczona. Na szczepienia i badania okresowe jeździła z Lisą do bezpłatnej kliniki okręgowej, ale sama nie była u lekarza od ponad dziesięciu lat. Na razie jest młoda, silna i zdrowa, ale to może się bardzo szybko zmienić. Nigdy nic nie wiadomo. Omal nie parsknęła śmiechem, kiedy wyobraziła sobie Duane'a próbującego sprostać obowiązkom młodego tatusia. Po pięciu minutach uciekły z krzykiem w las. Ale tak naprawdę nie było się z czego śmiać.

Kiedy tak patrzyła na otwierające się i zamykające maleńkie usteczka, serce zaciążyło jej nagle jak gdyby przygniotła ją półciężarówka stojąca na parkingu przed zajazdem. Córeczka zdana była tylko na nią, a ona nic nie miała. Co dzień o krok od przepaści, i to coraz krótszy krok. W końcu w nią runie; to tylko kwestia czasu. Przypomniały jej się słowa Jacksona. Cykl. Jak jej matka. Jak potem ona. Duane przypominał Benny'ego Tylera pod tyłoma względami, że lepiej nie myśleć. Następna będzie Lisa, jej ukochana dziewczynka. Zabiłaby albo dała się zabić, byle tylko uchronić ją przed takim losem. Mówili, że Ameryka to kraj pełen możliwości. Wystarczy otworzyć sobie do nich drzwi. Zapomnieli tylko dać do nich klucz ludziom takim jak LuAnn. A może wcale nie zapomnieli? Może tak właśnie miało być. Tak przynajmniej widziała zawsze sprawy, kiedy, jak teraz, popadała w głębszą depresję.

Potrząsnęła głową, żeby odpędzić te myśli, i splotła dłonie. Takie rozważania nic jej teraz nie pomogą. Sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej notes. Bardzo ją intrygowało to, co wyszperała w bibliotece.

Sześcioro zwycięzców loterii. Zaczęła od tych, którzy wygrali zeszłej jesieni, i doszła aż do ostatniego losowania. Wypisała sobie ich nazwiska i charakterystyki. Artykuły ilustrowano fotografiami szczęśliwców. Ich uśmiechy zdawały się rozciągać na całą szerokość strony. Poczynając od końca, byli to: Judy Davis, lat dwadzieścia siedem, samotna matka na garnuszku opieki społecznej, troje małoletnich dzieci; Herman Rudy, lat pięćdziesiąt osiem, były kierowca ciężarówki na rencie inwalidzkiej, plik rachunków za leczenie obrażeń odniesionych w wyniku wypadku przy pracy; Wanda Tripp, lat sześćdziesiąt sześć, wdowa otrzymująca czterysta dolarów miesięcznie z ubezpieczenia społecznego; Randy Stith, lat trzydzieści jeden, wdowiec z jednym dzieckiem na utrzymaniu, pracujący do niedawna jako robotnik przy taśmie montażowej, potem objęty redukcją zatrudnienia; Bobbie Jo Reynolds, lat trzydzieści trzy, kelnerka z nowojorskiej

restauracji, która po odebraniu wygranej powiedziała gazecie, że rezygnuje ze swojego marzenia o zrobieniu kariery na Broadwayu na rzecz poświęcenia się malarstwu w południowej Francji. I na koniec Raymond Powell, lat czterdzieści cztery, bankrut, który mieszkał od niedawna w przytułku dla bezdomnych.

LuAnn odchyliła się na oparcie. „Oraz LuAnn Tyler, lat dwadzieścia, samotna matka, biedna jak mysz, bez wykształcenia, bez perspektyw, bez przyszłości”. Pasowałyby jak ulał do tego grona życiowych rozbitków.

Cofnęła się tylko o pół roku. Ilu jeszcze takich było? Musiała przyznać, że fascynowały ją te historie. Ludzie z dna dochodzący z dnia na dzień do fortuny. Starzy ludzie z nowo zdobytym bogactwem. Małe dzieci, przed którymi otwiera się nagle świetlana przyszłość. Urzeczywistniają się marzenia. Jak żywa stanęła jej przed oczami twarz Jacksona. „Ktoś musi wygrać. Dlaczego nie miałabyś to być ty, LuAnn?” Wabił ją jego spokojny, beznamiętny głos. Te dwa zdania tłukły się po jej głowie jak niecichnące echo. Czuła, że przesuwają się nad koroną wyimaginowanej tamy. Co czeka ją w głębokiej toni po drugiej stronie, pewności nie miała. Nieznane przerażało ją i pociągało zarazem. Spojrzała na Lisę. Nie potrafiła odegnąć od siebie wizji swojej malutkiej dziewczynki wyrastającej na kobietę w przyczepie, z której nie ma ucieczki, osaczonej przez młode wilki.

– Co robisz, słonko?

Zaskoczona LuAnn odwróciła się gwałtownie i zobaczyła nad sobą Beth z pełnymi talerzami w obu rękach.

– Nic takiego – odparła – podliczam tylko cały swój majątek.

Beth uśmiechnęła się i spojrzała wymownie na notes, który LuAnn szybko zamknęła.

– Nie zapomnij tylko o szarych ludziskach, kiedy już się wdrapiesz na sam szczyt, panno LuAnn Tyler. – Beth zachichotała i żonglując zręcznie talerzami, oddaliła się w kierunku czekających konsumentów.

LuAnn uśmiechnęła się blado.

– Nie zapomnę, Beth. Przysięgam – powiedziała cicho.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Była ósma rano tego dnia. LuAnn wysiadła z Lisa z autobusu. Nie był to przystanek, na którym zwykle się zatrzymywała, ale do przyczepy miała stąd niespełna pół godziny drogi piechotą, czyli tyle co nic jak na jej możliwości. Deszcz ustał, wypogodziło się. Niebo było intensywnie błękitne, trawa soczyście zielona. Małe stadka ptaków wyśpiewywały hymny pochwalne na cześć wiosny wypierającej kolejną nudną zimę. Gdziekolwiek spojrzeć, w promieniach wstającego słońca budziła się do życia przyroda. LuAnn lubiła tę porę dnia. Uspokajała ją i napełniała nową nadzieją.

Popatrzyła na łagodnie sfalowane pola, po czym w nastroju powagi i skupienia przeszła powoli pod łukową bramą, na której wisiała spatynowana tabliczka informująca, że to Cmentarz Niebiańskich Łąk. Nogi zaniósł ją same do miejsca szóstego w kwaterze dwudziestej pierwszej, sekcji czternastej, znajdującego się na szczycie niewielkiego wzgórka, w cieniu dojrzałego derenia, który lada dzień zacznie odślaniać swoje unikalne przymioty. Postawiła nosidełko z Lisa na kamiennej ławeczce obok mogiły matki i wzięła małą na rękę. Ukłękła w mokrej od rosy trawie, zmiotła gałązki i ziemię z brązowej tabliczki. Matka nie żyła długo: zaledwie trzydzieści siedem lat. Niby niewiele, ale z tego, co wiedziała LuAnn, dla Joy Tyler była to cała wieczność. Życie z Bennym Tylerem do usłanych różami nie należało i – LuAnn nie miała już co do tego wątpliwości – przyspieszyło zejście matki z tego świata.

– Pamiętasz, Liso? Tu leży twoja babcia. Nie odwiedzałyśmy jej ostatnio, bo była brzydka pogoda. Ale mamy już wiosnę i pora na wizytę. – LuAnn pokazała palcem. – O, tutaj. Śpi, ale kiedy przychodzimy, to jakby się budziła. Nie może z nami zwyczajnie porozmawiać, ale kiedy zamkniesz mocno oczka jak mały ptaszek i dobrze, bardzo dobrze nastawisz uszka, usłyszysz ją. Mówi ci, że nad tobą czuwa.

LuAnn podniosła się z klęczek i przysiadła na kamiennej ławeczce, sadzając sobie na kolanach opatuloną ciepło Lisę. Mała była jeszcze zaspana; zawsze powoli się wybudzała, ale kiedy już wróciła ze świata snów, mogła gaworzyć i dokazywać przez kilka godzin bez przerwy. Na cmentarzu nie było żywego ducha, jeśli nie liczyć robotnika strzygącego trawnik kosiarką, ale ten był tak daleko, że warkot kosiarki do LuAnn nie docierał. Szosą biegnącą obok cmentarza z rzadka przejeżdżał jakiś samochód. W kojącej ciszy LuAnn zamknęła mocno oczy jak mały ptaszek i wyteżyła słuch.

Przy kolacji podjęła decyzję, że zaraz po zakończeniu pracy zadzwoni do Jacksona. Powiedział jej, że może go łapać o każdej porze dnia i nocy, spodziewała się więc, że mimo tak wczesnej godziny odbierze po pierwszym dzwonku. Przyjęcie propozycji wydawało jej się teraz najprostszą rzeczą pod słońcem. I najrozsądniejszą. Przyszła jej kolej. Po dwudziestu zdających się rozciągać w nieskończoność latach szarej wegetacji, rozczarowań i beznadziei bogowie

wreszcie się do niej uśmiechnęli. Z miliardów wybrali właśnie ją, LuAnn Tyler. Taka szansa już się nie powtórzy, tego była pewna. Pewna też była, że ludzie, o których przeczytała w gazecie, również wykonali taki telefon. Nie słyszała, żeby popadli przez to potem w jakieś kłopoty. Taka wieść szybko by się rozniosła, zwłaszcza tutaj, gdzie wszyscy grali na loterii, upatrując w niej jedynej szansy wyrwania się z biedy. Jednak gdzieś między kolacją a końcem zmiany jakiś głos wewnętrzny zaczął jej doradzać, by przed sięgnięciem po słuchawkę zwrócić się do kogoś o radę. Przychodziła tu często, żeby porozmawiać, położyć na grobie bukiet zerwanych po drodze polnych kwiatów, uporządkować miejsce ostatniego spoczynku matki. Nieraz już odnosiła wrażenie, że naprawdę porozumiewa się z matką. Nie, nie słyszała nigdy żadnych głosów; był to raczej kontakt na poziomie odczuć, nastrojów. Ogarniały ją tu czasem euforia albo głęboki smutek, i w końcu doszła do wniosku, że to matka stara się do niej w ten sposób przemawiać, wsączając swoje opinie w rozmaitych sprawach wprost do umysłu córki. Lekarze uznaliby ją pewnie za niespełna rozumu, ale ona wiedziała swoje.

Dzisiaj też miała nadzieję, że coś tu do niej przemówi, doradzi, co ma robić. Matka dobrze ją wychowała. Lu Ann, zanim nie związała się z Duane'em, ani razu nie skłamała. Potem zwyczaj mijania się czasami z prawdą przyszedł sam; był nieodłączną częścią walki o przetrwanie. Ale nigdy niczego nie ukradła, nigdy, o ile pamiętała, nie zrobiła niczego złego. Zachowała przez te lata godność i szacunek dla samej siebie, i było jej z tym dobrze. Lżej jej się wstawało z tą świadomością co rano i stawiało czoło następnemu dniu, choć ten nie niósł nadziei większej niż poprzedni, a następny też nie zapowiadał się lepiej.

Jednak dzisiaj nic się nie działo. Hałaśliwa kosiarka do trawy była coraz bliżej, wzmagał się ruch na szosie. Otworzyła oczy i westchnęła. Coś było nie tak. Najwyraźniej matka akurat dzisiaj postanowiła zrobić sobie wolne. Wstała, żeby odejść, i nagle tknęło ją jakieś przecucie. Niczego takiego do tej pory nie doświadczyła. Pobiegła automatycznie wzrokiem ku innemu sektorowi cmentarza, ku innej kwaterze odległej o jakieś pięćset jardów. Coś ją tam ciągnęło i dobrze wiedziała, co to było. Z szeroko otwartymi oczami ruszyła wąską, wijącą się asfaltową alejką. Nogi niosły ją same. Coś kazało jej tulić mocno do piersi Lisę, podszeptując, że jeśli tego nie zrobi, małą wyrwie jej niewidzialna siła, która wabi ją do swego epicentrum. Kiedy zbliżała się do tamtego miejsca, niebo strasznie pociemniało. Ścichło warczenie kosiarki, szosą przestały przejeżdżać samochody. Tylko wiatr zawodził nad trawą i wśród nagrobków, rozwiewając jej włosy.

W końcu zatrzymała się i spojrzała w dół. Tabliczka z brązu podobna do tej z mogiły matki, takie samo nazwisko: Benjamin Herbert Tyler. Nie była tutaj od śmierci ojca. Kurczowo ścisnęła rękę matki na jego pogrzebie, żadna z nich nie czuła żalu, markowały jednak stosowne emocje na użytek przyjaciół i rodziny zmarłego. Jak to się często dziwnie na tym świecie układa, Benny Tyler cieszył się w okolicy ogromną popularnością, bo był wielkoduszny i serdeczny dla wszystkich z wyjątkiem swoich najbliższych. Na widok jego nazwiska wrytego w metalu wstrzymała oddech. Wydało jej się, że to tamta tabliczka na drzwiach biura, a ona zostanie do

niego zaraz wepchnięta i stanie z tym człowiekiem oko w oko. Zaczęła się cofać od tego splecheta zapadniętej ziemi i nagle spłynęło na nią owo silne odczucie, którego próżno wyczekiwała nad mogiłą matki. I to właśnie tutaj. Niemal widziała kłaczki mglistego całunu falującego nad grobem niczym pajęczyna na wietrze.

Odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Nawet z Lisa na ręku pędziła z prędkością, jakiej mógłby jej pozazdrościć niejeden olimpijczyk. Nie zwalniając, porwała w przelocie z ławki przy mogile matki nosidełko Lisy i wypadła za cmentarną bramę. Nie zamykała mocno oczu jak mały ptaszek. Nawet zanadto nie wyteżała słuchu. A mimo to nieśmiertelny głos Benny'ego Tylera wzniósł się z czeluści, których głębi wołała nie kontemplować, i dotarł do uszu jego jedyne dziecko.

„Bierz tę forszę, mała. Chrzaj wszystkich i wszystko i bierz ją, tatuś ci to mówi. Posłuchaj mojej rady. Rusz tym swoim krótkim rozumkiem. Oprócz ciała nie masz nic. Nic! Czy ja cię kiedyś okłamałem, laleczko? Bierz, cholera, tę forszę, bierz ją, ty tępa suko! Tatuś cię kocha. Zrób to dla Dużego Tatusia. Przecież sama tego chcesz”.

Mężczyzna od kosiarki zatrzymał się, żeby popatrzeć za kobietą pędzącą pod bezchmurnym niebem, które aż się prosiło o utrwalenie na fotografii. Ruch na szosie wzmógł się znacznie. Powróciły wszystkie odgłosy życia, które tak niewytłumaczalnie ucichły dla LuAnn na tych kilka chwil.

Mężczyzna spojrział – na grób, od którego uciekała kobieta. Niektórzy i w biały dzień zobaczą na cmentarzu ducha – pomyślał. Powrócił do koszenia.

LuAnn nie było już widać.

Kobieta z dzieckiem w nosidełku biegła z wiatrem w zawody długą gruntową drogą. Słońce przedzierające się przez listowie przygrzewało mocno. Pot zalewał jej oczy. Sadziła długimi susami mechanicznymi w swej precyzji, a jednocześnie cudownie zwierzęcymi w swojej gracji. W szkole była najlepszą biegaczką. Pod względem szybkości biła nawet na głowę większość chłopców z drużyny futbolowej.

– Dar boży, wrodzony talent lekkoatletyczny – powtarzał jej nauczyciel gimnastyki z siódmej klasy.

Co miała począć z tym darem, nikt jej nigdy nie powiedział. Dla trzynastoletniej dziewczynki z ciałem kobiety oznaczało to, że jeśli nie potrafi wybić amatorów z głowy próbującemu ją obmacywać chłopakowi, to przynajmniej będzie mogła mu uciec.

Teraz rozsadało jej płuca. Bała się, że przekręci się zaraz na atak serca, jak ojciec. Może jego przodkowie byli obciążeni jakąś dziedziczną wadą, która czekała tylko na okazję, by się uaktywnić i uśmiercić kolejną ofiarę z rodu Tylerów. Zwolniła. Lisa darła się wniebogłosy i LuAnn w końcu się zatrzymała. Wzięła córeczkę na ręce i chodząc w kółko w gęstym cieniu drzew, szeptała jej do małego różowego uszka uspokajające słowa, dopóki dziecko nie przestało płakać.

Resztę drogi do domu pokonała już normalnym krokiem. Słowa Benny'ego Tylera pomogły jej podjąć ostateczną decyzję. Wróci teraz do przyczepy, spakuje, co się da, ze swoich rzeczy, a po resztę kogoś przyśle. Zatrzyma się na jakiś czas u Beth. Beth dawno już jej to proponowała. Mieszkała w starej ruderze, ale było tam dużo pokoi, a od śmierci męża za jedyne towarzystwo miała dwa koty jeszcze bardziej od niej szurnięte, jak się zarzekała. Jeśli nie da się inaczej, LuAnn będzie chodziła do szkoły z Lisa, ale musi skończyć podstawówkę. Potem zrobi może jeszcze parę klas college'u społecznego. Skoro Johnny Jarvis to potrafił, to i jej się uda. A pan Jackson może sobie szukać kogoś innego, kto „z pocałowaniem ręki” zajmie jej miejsce. Wszystkie te rozwiązania życiowych dylematów nasuwały się teraz tak szybko, że z opanowującej ją ulgi głowa omal nie oderwała się jej od ramion. Matka przemawiała do niej może ogródkami, ale ogólnie rzecz biorąc, magia działała.

– Nie zapominaj o tych, którzy odeszli, Liso – wyszeptwała do córeczki. – Nigdy nic nie wiadomo.

Zbliżając się do przyczepy, LuAnn zwolniła kroku. Duane spał wczoraj na pieniądzach. Ciekawe, ile mu jeszcze z nich zostało. Mając w kieszeni choćby parę dolców, rwał się zaraz do stawiania w Squat and Gobble komu popadnie. Bóg jeden wie, co zdążył już zrobić z forszą, którą znalazła pod materacem. Wołała nie dociekać, skąd ją wziął. Dla niej był to tylko jeszcze jeden powód, żeby wynosić się stąd w diabły.

Kiedy wychodziła zza zakrętu, z drzew poderwało się stado wron. Aż podskoczyła. Posłała ptakom gniewne spojrzenie, ale szła dalej. Zbliżając się do przyczepy, zatrzymała się jak wryta. Przed wejściem stał samochód. Duży, szeroki, lśniący czarny kabriolet z białymi burtami i z dużym chromowanym ornamentem na masce przedstawiającym chyba kobietę w trakcie jakiegoś wyuzdanego aktu seksualnego. Przynajmniej tak to wyglądało z daleka. Duane jeździł zdezelowaną półciężarówką Forda, którą ostatnio zajął komornik. Żaden z kolesiów Duane'a nie miał takiej odlotowej gabloty. Co tu się, u licha, wyprawia?! Czyżby Duane zdumiał do reszty i kupił sobie taką landarę?! Podkraśniała się do wozu i raz po raz zerkając czujnie na przyczepę, obejrzała go z bliska. Siedzenia obite były białą skórą z burgundowymi tłoczeniami. Samochód był w środku nieskazitelnie czysty, promienie słońca odbijające się od wypucowanego zegara wbudowanego w deskę rozdzielczą wprost oślepiały. Na przednich ani tylnych siedzeniach nie leżało nic, co pomogłoby zidentyfikować właściciela. W stacyjce tkwiły kluczyki z breloczkiem w postaci miniaturowej puszkki budweissera. W specjalnym uchwycie przymocowanym do wybruszenia deski rozdzielczej tkwił aparat telefoniczny. Może to rzeczywiście Duane sprawił sobie taki prezent. Ale przecież poszłaby na to cała gotówka spod materaca i jeszcze trochę na te dodatkowe bajery.

Weszła szybko po schodkach i nasłuchiwała chwilę pod drzwiami, nie otwierając ich. W środku panowała niczym niezmacona cisza. Zebrała się na odwagę. Dała mu ostatnio wycisk, może to powtórzyć.

– Duane? – Trzasnęła głośno drzwiami. – Duane, coś ty znowu, u diabła, zmalował?! Czy to coś na podwórku to twoje?! – Nadal cisza. LuAnn postawiła na podłodze nosidełko z pobudzoną Lisą i ruszyła w głąb przyczepy. – Duane, jesteś tu? Nie wygłupiaj się, odpowiadaj. Nie mam czasu na podchody.

Zajrzała do sypialni, ale tam go nie było. Rzuciła wzrokiem na zegar na ścianie. W okamgnieniu znalazł się w torbie. Nie zostawi go Duane'owi. Wyszła z sypialni i wróciła do Lisy. Zatrzymała się przy małej, żeby ją uspokoić, i postawiła torbę obok nosidełka.

Wypatrzyła w końcu Duane' a na wystrzępionej kanapie. Telewizor był włączony, ale z poobijanego pudła nie wydobywał się żaden dźwięk. Na stoliczku stał wytłuszczony kubek po kurzych skrzydełkach i chyba puszka po piwie. Obok kubka leżała przewrócona butelka keczupu. W rozlanej na stoliku ciemnoczerwonej mazi taplały się frytki. Trudno było rozpoznać, czy to śniadanie, czy resztki z wczorajszej kolacji.

– Hej, Duane, słyszysz mnie?!

Zaczął odwracać powoli, bardzo powoli głowę. Skrzywiła się. Dalej pijany.

– Duane, czy ty już nigdy nie wydorósłesz? – Ruszyła ku niemu. – Musimy pogadać. Nie spodoba ci się to, co zaraz usłyszysz, ale to już twój problem, bo... – Nie dokończyła. Czyjaś wielka łapa zatkała jej usta, tłumiąc w zarodku krzyk. Grube ramię otoczyło ją w pasie, dociskając ręce do boków. Dopiero teraz, strzelając spanikowanym wzrokiem po pokoju, zauważyła, że cały przód koszuli Duane'a pokrywa korzuch krzepnącej czerwieni. Na jej oczach Duane stoczył się z cichym jękiem z kanapy na podłogę i tam znieruchomiał.

Łapa napastnika zsunęła się z ust LuAnn pod brodę i odciągnęła jej głowę w tył tak daleko, że jeszcze trochę, a trzasnąłby kark. Na widok noża przybliżającego się do jej gardła zassała w płuca ogromny haust powietrza.

– Przykro mi, młoda damo, zły czas, złe miejsce.

LuAnn nie rozpoznawała tego głosu. Oddech śmierdział tanim piwem i przyprawianymi na ostro kurzymi skrzydełkami. Parzył ją w policzek. Ale nieznajomy popełnił błąd. Unosząc nóż, puścił jej ręce. Spodziewał się chyba, że sparaliżowana strachem nie pomyśli o obronie. Nic z tych rzeczy. Kopnęła go piętą w kolano i jednocześnie wbiła kościsty łokieć głęboko w obwisły brzuch, trafiając prosto w przeponę.

Pod wpływem uderzenia napastnikowi drgnęła ręka i nóż rozciął LuAnn policzek. Poczwała w ustach smak krwi. Mężczyzna, plując i krztusząc się, osunął się na klęczki. Nóż myśliwski upadł ze stukotem na wytartą wykładzinę. LuAnn rzuciła się do drzwi frontowych, ale napastnik zdążył podstawić jej nogę. Runęła jak długa, lądując kilka stóp od niego. Mężczyzna, choć zgięty wpół, zdołał chwycić ją grubymi paluchami za kostkę i przyciągnąć do siebie. Przekręcając się na plecy i wierzgając rozpaczliwie wolną nogą nareszcie go zobaczyła: opalenizna, gęste, krzaczaste brwi, mokre od potu, pozlepiane czarne włosy i pełne, spękane wargi, które w tym momencie wykrzywiały grymas bólu. Oczu nie widziała. Mrużył je odruchowo zasypywany gradem kopniaków. LuAnn jednym spojrzeniem ogarnęła tę fizjonomię. Zauważyła również, że

mężczyzna jest od niej dwa razy większy. Po sile, z jaką ścisnął ją za kostkę, zorientowała się, że w walce wręcz nie ma z nim żadnych szans. Ale przecież nie może wydać na jego pastwę Lisy. Nie, nie podda się bez walki.

Zamiast dalej się opierać, wrzasnęła co sił w płucach i przeszła do kontrataku. Ten krzyk i niespodziewany zryw zaskoczyły go. Zbity z tropu, puścił jej nogę. I teraz zobaczyła jego oczy. Były ciemnobrązowe, koloru starych jednocentówek. W następnej chwili zacisnęły się znowu mocno, kiedy wbiła w nie palce wskazujące. Mężczyzna zaskowyczał przeraźliwie, szarpnął się w tył i odbiwszy się plecami od ściany jak piłka, runął znowu na osłep na LuAnn. Przelecieli oboje nad kanapą. Padając, LuAnn natrafiła ręką na jakiś przedmiot. Nie zastanawiała się nawet, co to takiego, dla niej liczyło się tylko, że to coś masywnego i twardego. Z całych sił wyrzuciła tym czymś napastnika w głowę. Zaraz potem uderzyła ciężko o podłogę, pchana siłą rozpędu przejechała po wykładzinie, ocierając się niemal o ciało Duane'a, i rąbnęła głową w ścianę.

Telefon roztrzaskał się o twardą czaszkę mężczyzny na kawałki. Napastnik leżał twarzą do podłogi. Nie ruszał się. Chyba stracił przytomność. Krew płynąca z rany zlepiła jego ciemne włosy. LuAnn leżała jeszcze chwilę, potem usiadła. Ramię, którym uderzyła o stolik, mrowiło, a po chwili całkiem zdrętwiało. Bolały ją pośladki, na których wylądowała.

– Cholera! – zaklęła, starając się otrząsnąć z szoku.

Trzeba stąd spadać – pomyślała. Chwycić Lisę i uciekać, dopóki nogi i płuca nie odmówią posłuszeństwa. Wzrok zamglili się jej na moment, oczy uciekły w głąb czaszki.

– O, Boże – jęknęła, czując, co nadchodzi. Rozchyliła usta i tracąc przytomność, osunęła się z powrotem na podłogę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

LuAnn nie wiedziała, jak długo była nieprzytomna. Krew z rozciętego policzka nie zdążyła jeszcze zakrzepnąć, a więc chyba nie tak długo. Bluzkę miała porwaną i zakrwawioną. Jedna pierś wysunęła się ze stanika. Usiadła powoli i ogarnęła się trochę zdrową ręką. Otarła z krwi brodę i dotknęła ostrożnie rozcięcia; było poszarpane i piekło. Pozbierała się niezdarnie i jakoś udało się jej podnieść. Przerazenie i ból utrudniały oddychanie.

Na podłodze leżało dwóch mężczyzn. Ten wielki wciąż oddychał, widać było wyraźnie, jak mu się zapada i wznosi ogromne brzuszysko. Z Duane'em sprawa nie była już taka jasna. LuAnn uklękła obok niego i poszukała tętna, ale jeśli nawet biło, to ona nie potrafiła go namacać. Twarz miał jakąś poszarzałą, ale może tak jej się tylko wydawało w panującym w przyczepie półmroku. Pochyliła się nad nim znowu i przyłożyła ostrożnie dłoń do klatki piersiowej. Potem podciągnęła mu koszulę. Szybko opuściła ją z powrotem, przyprawiona o mdłości widokiem rozlewającego się tam morza krwi.

– Boże, Duane, w coś ty się wpakował?! Duane, słyszysz mnie?! Duane!

Krew nie wypływała już z jego ran; znak, że serce przestało prawdopodobnie bić. Wzięła go za rękę. W dotyku była jeszcze ciepła, ale palce zaczynały się już związać i stygnąć. Zerknęła na rozbity telefon. Nie było nawet jak zadzwonić na pogotowie, ale Duane chyba już go nie potrzebował. Należałoby też wezwać policję. Żeby ustalili, kim jest ten drugi facet, dlaczego zadłgał Duane'a i próbował zabić ją.

Wstałaby wyjść z przyczepy, i jej wzrok padł na kilka rozrzuconych po podłodze torebek. Podczas szamotaniny musiały spaść ze stołu. Nie zauważyła ich tam wcześniej, bo były zasłonięte zatłuszczonym kubelkiem po kurzych skrzydełkach. Schyliła się i podniosła jedną. Torebka była z przezroczystego plastiku. Wewnątrz bieliła się szczypta jakiegoś proszku. Narkotyki.

Nagle usłyszała kwilenie. O, Boże, gdzie Lisa'? I w tym momencie jej uszu doszedł jeszcze jeden dźwięk. Zdjęta zgrozą, wstrzymała oddech i odwróciła się na pięcie. Ręka wielkiego mężczyzny drgnęła, próbował wstać. Jeszcze z nią nie skończył! Słodki Jezu, znowu mnie dopadnie! Odrzuciła torebkę i wybiegła do korytarzyka. Zdrową ręką porwała nosidełko z Lisą, która na widok matki wybuchnęła płaczem, i wypadła na zewnątrz. Pchnięte silnie drzwi rąbnęły z hukiem o burtę przyczepy. Przebiegła obok kabrioletu, zatrzymała się, odwróciła. Masywne cielsko, które zaprawiła telefonem, nie wytoczyło się za nią z przyczepy. Przynajmniej jeszcze się nie wytoczyło. Zerknęła na samochód. Kluczyki dyndające przy stacyjce połyskiwały kusząco w promieniach słońca. Moment zawahania i już siedziały z Lisą w aucie. Zapuściła silnik i wycofała wóz z błotnistej polanki na drogę. Na skrzyżowaniu zatrzymała się na chwilę, żeby trochę ochłonać, po czym wyjechała na szosę, skręcając w kierunku miasta.

Zaczynało się wyjaśniać, na czym tak nagle wzbogacił się Duane. Handel narkotykami to z pewnością zajęcie o wiele bardziej dochodowe od obrabiania samochodów. Tylko że Duane dał się najwyraźniej ponieść zachłanności i zatrzymał dla siebie trochę za dużo albo białego proszku, albo zielonych. Skończony idiota! Trzeba zadzwonić na policję. Wprawdzie, jeśli Duane żyje – w co raczej wątpiła – to i tak powędruje na długie lata za kratki, ale jeśli jednak żyje, to przecież nie może go tak zostawić, żeby się wykrwawił na śmierć. Tamtego drugiego faceta miała gdzieś. Żałowała tylko, że mocniej mu nie przyłożyła. Zerknęła na Lisę. Mała siedziała z szeroko otwartymi oczkami w nosidełku, z jej drżących usteczek i policzków nadal wyczytać można było przerażenie. LuAnn otoczyła córeczkę kontuzjowaną ręką, zaciskając zęby z bólu, o jaki przyprawił ją ten prosty gest. Szyja rwała tak, jakby przejechała po niej ciężarówka. I naraz jej oczy spoczęły z błyskiem na telefonie komórkowym. Zjechała na pobocze i wyrwała go z uchwytu.

Doszła szybko, jak się nim posługiwać. Miała już wybrać 911, ale w ostatniej chwili rozmyśliła się i powoli odwiesiła telefon na miejsce. Popatrzyła na swoje palce. Drżały tak silnie, że nie mogła zwinąć ich w pięść. Były do tego popačkane krwią, i to prawdopodobnie nie tylko jej własną. Uzmysłowała sobie teraz, że może zostać w to wszystko wplątana. Nie wiedziała przecież, czy nieznajomy, choć zaczął dawać oznaki życia, po jej wyjściu nie zwałił się z powrotem na podłogę i nie wyzionął ducha. Owszem, byłoby to zabójstwo w samoobronie, ale jak by to udowodniła? Dealer narkotyków. Prowadziła jego samochód.

Rozejrzała się szybko, czy ktoś jej nie obserwuje. Nadjeżdżało kilka samochodów. Dach! Trzeba podnieść dach. Przeskoczyła na tylną kanapę i wczepiła się palcami w sztywny materiał. Szarpnęła w górę i po chwili, niczym zamykająca się muszla ostrygi, opuścił się na nie wielki biały dach kabrioletu. Zapięła zatraski, przeskoczyła z powrotem na fotel kierowcy i ruszyła ostro z miejsca.

Czy policja uwierzy, że nie wiedziała, czym para się Duane? Udało mu się jakoś ukryć przed nią, że handluje narkotykami, ale kto w to uwierzy? Sama sobie nie wierzyła. Świadomość tego spłynęła na nią z żywiołowością pożaru, który ogarnia domek z papieru. Nie widziała wyjścia z zaistniałej sytuacji. Ale zaraz! Na myśl o tym nieomal krzyknęła. Przed oczyma stanęła jej twarz matki. Z ogromnym wysiłkiem otrząsnęła się z tej wizji.

– Przepraszam, mam, nic innego mi nie pozostaje.

Chce czy nie, musi to zrobić; musi zatelefonować do Jacksona.

Spuściła bezwiednie wzrok na deskę rozdzielczą i zmartwiła. Na kilka sekund zaparło jej dech w piersiach. Wpatrywała się w lśniący zegar i miała wrażenie, że z jej żył wyparowała do ostatniej kropelki wszystka krew.

Było pięć po dziesiątej.

Przepadło. Nieodwołalnie – powiedział Jackson, i ani przez chwilę nie wątpiła, że nie żartował. Zjechała znowu na pobocze, zatrzymała wóz i zrozpaczona wsparła się czołem o kierownicę. Co się stanie z Lisa, kiedy ona pójdzie do więzienia? Durny, durny Duane. Dołował

ją za życia, dołuje i po śmierci.

Uniosła powoli głowę i spojrzała na drugą stronę ulicy. Przetarła zażawione oczy, żeby przywrócić sobie ostrość widzenia: oddział banku, przysadzisty, solidny, murowany budynek. Gdyby miała pistolet, na poważnie rozważyłaby ewentualność obrabowania go. Ale nie, to też odpadało. Była niedziela, a w niedzielę banki są pozamykane. Sunęła powoli wzrokiem po frontonie budynku i nagle serce zabiło jej żywiej. Zmianę nastroju, jaka w niej zaszła, porównać można było tylko z narkotykowym kopem.

Na zegarze nad wejściem do banku była za cztery dziesiąta.

Bankierzy cieszą się opinią statecznych, solidnych ludzi, na których można polegać. W Bogu nadzieja, że polegać można również na ich zegarach. Porwała za telefon, drugą rękę wpychając gorączkowo w kieszeń po karteczkę z numerem telefonu. Zdawało się, że koordynacja ruchów zupełnie ją opuściła. Ledwie udało jej się przymusić palce do wystukania numeru na klawiaturze. W jej odczuciu upłynęła cała wieczność, zanim odezwał się pierwszy sygnał. Na szczęście dla jej nerwów słuchawkę po tamtej stronie linii podniesiono, zanim przebrzmiał.

– Zaczynałem już tracić nadzieję, że zadzwonisz, LuAnn – powiedział Jackson.

Wyobraziła go sobie, jak spogląda na zegarek, podziwiając prawdopodobnie zimną krew, z jaką przetrzymała go praktycznie do ostatniej chwili.

Starła się uspokoić oddech.

– Zapomniałam, która godzina. Mnóstwo spraw miałam na głowie.

– Twoja beztroska jest rozbijająca, chociaż przyznam szczerze, że trochę mnie zadziwia.

– I co teraz?

– Czy aby o czymś nie zapomniałaś?

– O czym? – Na twarzy LuAnn odmalowała się niepewność. Jej mózg był bliski eksplozji. Seria bolesnych skurczów szarpnęła ciałem. Jeśli okaże się teraz, że to był tylko żart...

– Złożyłem ci pewną ofertę, LuAnn. Żeby umowa mogła nabrać skutków prawnych, muszę usłyszeć z twoich ust, czy ją przyjmujesz. Może to formalność, ale będę nalegał.

– Przyjmuję.

– Cudownie. Zapewniam cię, że nigdy nie pożałujesz tej decyzji.

LuAnn rozejrzała się nerwowo. Dwoje ludzi idących drugą stroną szosy przypatrywało się samochodowi. Wrzuciła bieg i ruszyła.

– I co teraz? – spytała znowu.

– Gdzie jesteś?

– Bo co? – Obudziła się w niej czujność. – W domu – dorzuciła szybko.

– Świetnie. Pójdiesz do najbliższej kolektury przyjmującej zakłady loteryjne. Wypełnisz jeden kupon.

– Jakie numery mam typować?

– To bez znaczenia. Jak ci zapewne wiadomo, masz dwie możliwości. Albo grasz na chybił

trafił, i wtedy maszyna przydziela ci losowo zestaw liczb, albo typujesz dowolne własne numery. W obu wypadkach twoja kombinacja przesyłana jest natychmiast do centralnego komputera i w ciągu sekundy porównywana z zakładami zawartymi do tej pory przez innych graczy, a to celem sprawdzenia, czy taka sama kombinacja już nie wystąpiła, bo zasady gry nie dopuszczają sytuacji, w której w jednym losowaniu biorą udział dwie identyczne kombinacje. To gwarantuje, że zwycięzca, jeśli w ogóle padnie główna wygrana, będzie tylko jeden. Jeśli zdecydujesz się na samodzielne typowanie i okaże się, że zakład z takim zestawem liczb został już przez kogoś zawarty, po prostu zmieniasz kombinację.

– Nie bardzo rozumiem. Myślałam, że powie mi pan, jakie numery typować, żeby wygrać.

– Nie musisz wszystkiego rozumieć, LuAnn. – Głos Jacksona podniósł się nieco. – Rób po prostu, co mówię. Kiedy będziesz już miała w ręku swoją zatwierdzoną kombinację, oddzwonisz i przedyktujesz mi ją. Resztą sam się zajmę.

– A kiedy odbiorę wygraną?

– Najpierw odbędzie się konferencja prasowa...

– Konferencja prasowa?! – LuAnn omal nie zjechała na lewą stronę jezdni. Przyciskając słuchawkę ramieniem do ucha, zdrową ręką walczyła rozpaczliwie o odzyskanie panowania nad kierownicą.

Teraz Jackson już wyraźnie się zniecierpliwił.

– Nigdy nie oglądałaś tego w telewizji? Każdy zwycięzca bierze udział w konferencji prasowej, która odbywa się zazwyczaj w Nowym Jorku. Telewizja transmituje ją na cały kraj, na cały świat. Sfotografują cię z ceremonialnym czepkiem, a „potem dziennikarze będą cię wypytywali o twoje życie osobiste, o dziecko, o marzenia, o cele, na jakie zamierzasz przeznaczyć wygrane pieniądze. Wiem, niedobrze się robi, ale Komisja Loteryjna przykładła do tego wielką wagę. To dla nich ogromna reklama. Głównie dzięki temu od pięciu lat podwaja się co roku liczba grających. Wszyscy kochają zwycięzcę, bo widzą siebie na jego miejscu i wierzą, że kiedyś i do nich szczęście się uśmiechnie.

– Naprawdę muszę?

– Słucham?

– Nie chcę występować w telewizji.

– Niestety nie masz wyboru. Nie zapominaj, że będziesz o pięćdziesiąt milionów dolarów bogatsza. Oni wychodzą z założenia, że za takie pieniądze możesz się poświęcić i pokazać na jednej konferencji prasowej. I szczerze mówiąc, mają rację.

– Czyli muszę?

– Bezwzględnie.

– A muszę występować pod prawdziwym nazwiskiem?

– A dlaczego miałabyś używać innego?

– Mam swoje powody, panie Jackson. No więc, muszę?

– Tak! Istnieje pewna zasada, LuAnn, nazywana popularnie prawem do informacji. W

wielkim skrócie stanowi ona, że opinia publiczna ma prawo znać tożsamość, prawdziwą tożsamość, każdego wygrywającego na loterii.

LuAnn westchnęła z rezygnacją.

– No trudno, ale kiedy odbiorę tę wygraną?

Jackson nie odzywał się przez dłuższą chwilę, a LuAnn zjeżyły się włoski na karku.

– Słuchaj pan, tylko bez żadnych krętaństw! Co z tą przeklętą wygraną?

– Spokojnie, LuAnn. Zastanawiam się tylko, jak ci to w możliwie najprostszym sposobie wyjaśnić. Pieniądze zostaną przelane na wskazane przez siebie konto.

– Ale ja nie mam żadnego konta. Nigdy nie miałam dość forsy, żeby je sobie otworzyć.

– Uspokój się, LuAnn, zajmę się wszystkim. Nie musisz się o to martwić. Ty masz tylko wygrać. Jedź z Lisa do Nowego Jorku, pokazuj do kamery ten wielki czek, uśmiechaj się, machaj do ludzi, odpowiadaj uprzejmie na pytania, i pocieszaj się tym, że resztę życia spędzisz, wygrzewając się na plaży.

– A jak się dostanę do Nowego Jorku?

– Dobre pytanie, ale jestem na nieprzygotowany. W pobliżu twojego miejsca zamieszkania nie ma żadnego lotniska, jest za to dworzec autobusowy. Wsiądziesz tam do autobusu i dojedziesz nim do stacji kolejowej w Atlancie. Tej na amtrakowskiej linii Crescent. Bliżej miałybyś do stacji w Gainesville, ale tam nie sprzedają biletów rezerwowanych przez telefon. To długa podróż, jakieś osiemnaście godzin z licznymi przystankami, ale sporą część drogi i tak prześpisz. Za to dojedziesz tym pociągiem do Nowego Jorku bez przesiadek. Załatwiłbym ci przelot samolotem, ale to bardziej skomplikowane. Trzeba okazywać dowód tożsamości, a zresztą nie chcę, żebyś znalazła się w Nowym Jorku za wcześnie. Wszystko załatwię. Na dworcu autobusowym i na stacji kolejowej będą na ciebie czekały zarezerwowane bilety. Możesz ruszać w drogę natychmiast po ciągnięciu loterii.

LuAnn stanęły przed oczyma sztywne ciała Duane'a i mężczyzny, który robił, co mógł, żeby ją zabić.

– Wołałabym nie czekać tutaj tak długo.

– Dlaczego? – zdziwił się Jackson.

– To moja sprawa – odparowała opryskliwie, ale zaraz spuściła z tonu. – Po prostu nie chcę tu być, kiedy ludzie dowiedzą się, że wygrałam. Rzuciliby się na mnie jak stado wilków na owieczkę, wie pan, o co mi chodzi.

– To ci nie grozi. Twoja tożsamość, jako zwyciężczyni, ujawniona zostanie dopiero na nowojorskiej konferencji prasowej.

W Nowym Jorku będzie na ciebie czekał ktoś, kto zawiezie cię do siedziby loterii. Tam potwierdzą autentyczność twojego kuponu, a następnego dnia zwołana zostanie konferencja prasowa. Kiedyś weryfikacja wygrywającego kuponu ciągnęła się tygodniami. Przy dzisiejszym stanie techniki zajmuje to kilka godzin.

– A gdybym już dzisiaj pojechała samochodem do Atlanty i wsiadła do pociągu?

– Masz samochód? Mój Boże, a co powie na to Duane? – W tonie Jacksona pojawiły się wyraźne nutki kpiny.

– To już moje zmartwienie – fuknęła gniewnie LuAnn.

– Wiesz co, LuAnn, mogłabyś okazać trochę wdzięczności. No, chyba że ktoś na co dzień robi cię bogatą ponad wszelkie wyobrażenia.

LuAnn przełknęła z trudem ślinę. Fakt, będzie bogata. Za sprawą oszustwa.

– Jestem wdzięczna – powiedziała powoli. – Ale teraz, kiedy podejmam wreszcie decyzję, zaczyna do mnie docierać, że wszystko się zmieni. Całe moje życie. I życie Lisy również. To trochę frustrujące.

– Tak, rozumiem. Ale nie zapominaj, że to zmiana zdecydowanie na lepsze. Przecież nie idziesz do więzienia ani nic w tym rodzaju.

LuAnn poczuła dławienie w gardle. Przygryzła dolną wargę.

– To mogę jeszcze dzisiaj wsiąść do pociągu?

– Zaczekaj chwileczkę.

Odłożył słuchawkę. LuAnn spojrzała przed siebie. Na poboczu stał policyjny wóz patrolowy z umocowanym do drzwiczek radarem. Automatycznie zerknęła na prędkościomierz i chociaż nie przekraczała dozwolonej prędkości, na wszelki wypadek zwolniła. Odetchnęła swobodnie dopiero kilkaset jardów dalej. W słuchawce znowu odezwał się głos Jacksona. Przestraszyła ją szybkość, z jaką wyrzucał z siebie słowa.

– Crescent odchodzi z Atlanty dziś wieczorem o siódmej piętnaście, a w Nowym Jorku jest jutro o pierwszej trzydzieści po południu. Do Atlanty masz od siebie dwie godziny jazdy samochodem. – Urwał na moment. – Ale będą ci potrzebne pieniądze na bilet, i chyba nie tylko na bilet. W podróży wiele się może wydarzyć.

LuAnn bezwiednie pokiwała głową.

– Właśnie.

Poczuła się nagle bardzo podle, jak dziwka, która prosi klienta o dorzucenie paru centów za usługę.

– Przy stacji kolejowej jest oddział Western Union. Prześlę ci tam telegraficznie pięć tysięcy dolarów. – LuAnn zatkało, kiedy usłyszała sumę. – Pamiętasz moją początkową ofertę pracy? Potraktujemy to jako premię za wzorowe wywiązanie się z obowiązków. Pobierzesz te pieniądze za okazaniem jakiegoś dowodu tożsamości...

– Nie mam żadnego.

– Może być prawo jazdy albo paszport. Tyle im wystarczy.

LuAnn omal nie parsknęła śmiechem.

– Paszport? Żeby podróżować między Zadupiem a Pipidówką, nie trzeba paszportu. A prawa jazdy też nie mam.

– Przecież wybierasz się do Atlanty samochodem. Zdumiony ton Jacksona jeszcze bardziej ją rozbawił. Facet organizuje przekręt na wiele milionów dolarów, a nie mieści mu się w głowie, że

LuAnn potrafi prowadzić samochód bez prawa jazdy.

- Zdziwiłby się pan, ile osób nie ma na to formalnego pozwolenia, a i tak to robi.
- No dobrze, ale nie wypłacą ci tych pieniędzy bez stosownego dokumentu tożsamości.
- Jest pan gdzieś w okolicy?

– LuAnn, do tego wspaniałego Rikersville przyjechałem tylko na spotkanie z tobą. Nie zabawiłem tam ani chwili dłużej. – Urwał, a kiedy znowu się odezwał, LuAnn wyczuła w jego głosie niezadowolenie. – No to mamy problem.

- A ile kosztuje bilet na pociąg?
- Około tysiąca pięciuset dolarów.

LuAnn przypomniała sobie nagle furę pieniędzy Duane'a. Zjechała znowu na pobocze, odłożyła telefon na siedzenie obok i szybko przeszukała wnętrze samochodu. Brązowa torba, którą wyciągnęła spod fotela kierowcy, nie zawiodła jej oczekiwań. Było w niej tyle forsy, że starczyłoby chyba na kupno całego pociągu. Sięgnęła po słuchawkę.

– Mojej koleżance z pracy mąż zostawił w spadku trochę pieniędzy. Mogę ją poprosić o pożyczkę. Na pewno nie odmówi – powiedziała. – W kasie kolejowej nie zażądają chyba ode mnie dowodu tożsamości? – dorzuciła.

– Pieniądz jest królem, LuAnn. Amtrak na pewno przyjmie cię na pokład z otwartymi ramionami. Tylko nie podawaj prawdziwego nazwiska. Wymyśl sobie jakieś proste, ale niezbyt dziwnie brzmiące. Teraz idź do kolektury, zawrzyj zakład i natychmiast do mnie oddzwon. Wiesz, jak dojechać do Atlanty?

- To duże miasto, tak przynajmniej słyszałam. Jakoś tam trafię.
- I zasłoń czymś twarz. Nikt nie może cię rozpoznać.
- Rozumiem, panie Jackson.
- Jesteś już blisko, LuAnn. Moje gratulacje.
- Nie mam jakoś nastroju do świętowania.
- Nie martw się, na to będziesz miała resztę życia.

LuAnn odwiesiła słuchawkę i rozejrzała się. Samochód miał przyciemniane szyby, nie sądziła więc, żeby ktoś ją w nim rozpoznał, ale to mogło się zmienić. Musiała się go jak najszybciej pozbyć. Tylko gdzie. Lepiej, żeby nie widziano, jak z niego wysiada. Trudno byłoby nie zapamiętać wysokiej kobiety z plastrem na policzku, wyjmującej nosidełko z dzieckiem z samochodu o przyciemnionych szybach i z wyczyniającą nieprzyzwoite rzeczy chromowaną figurką na masce. W końcu wymyśliła sposób. Może trochę niebezpieczny, ale w tej chwili innego wyboru nie miała. Zawróciła i pojechała w przeciwnym kierunku. Po dwudziestu minutach, rozglądając się czujnie, sunęła już powoli gruntową drogą, zbliżając się do celu. W końcu dostrzegła przyczepę. Nie było przy niej żadnych pojazdów, nic się tam nie ruszało. Podjeżdżając do przyczepy, przypomniała sobie ręce tamtego mężczyzny na swojej szyi, nóż przysuwający się do gardła, i przeszedł ją zimny dreszcz.

- Jak zobaczysz, że facet wychodzi z przyczepy – powiedziała do siebie na głos – to

przejedziesz mu po tyłku i dasz nogę.

Opuściła szybko od strony pasażera i nastawiła ucha. Cisza. Wyjęła z torby Lisy pieluszkę i metodycznie wytarła nią wszystkie powierzchnie samochodu, których dotykała. Oglądała kilka odcinków *Najbardziej poszukiwanych ludzi w Ameryce*. Najchętniej weszłaby jeszcze do przyczepy i wytarła telefon, ale na to nie starczyło jej już odwagi. Zresztą mieszkała tu od blisko dwóch lat, to naturalne, że jej odciski były na wszystkim. Upchnąwszy pod wyściółkę nosidełka Lisy tyle pieniędzy z brązowej torby, ile się dało, wysiadła z samochodu. Poprawiła na sobie porwaną bluzkę. Bezszelestnie zamknęła drzwiczki wozu i z nosidełkiem w zdrowym ręku ruszyła szybko gruntową drogą tam, skąd nadjechała.

Oddalając się pośpiesznie LuAnn obserwowała z przyczepy, chłonąc każdy szczegół, para ciemnych oczu. Kiedy w pewnej chwili dziewczyna nagle się obejrzała, mężczyzna cofnął się szybko w głąb mrocznego wnętrza. LuAnn go nie знаła, ale wołał pozostać niezauważony. Czarną skórzaną kurtkę miał zapiętą do połowy na zamek błyskawiczny, z wewnętrznej kieszeni wystawała kolba pistoletu kalibru 9 mm. Omijając skrzętnie kałuże krwi, przeszedł nad dwoma leżącymi na podłodze mężczyznami. Lepszego momentu na wizytę tutaj nie mógł sobie wybrać. Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. Pozbierał torebki z narkotykiem ze stolika i z podłogi i wrzucił je do plastikowej torby, którą wyciągnął z kieszeni kurtki. Po chwili namysłu odłożył połowę łupu tam, skąd go wzięł. Zachłanność nie popłaca. Jeśli organizacja, dla której pracowały te chłopaki, dostanie cynk, że policja nie znalazła w przyczepie żadnych narkotyków, może zacząć szukać tego, kto je sobie przywłaszczył. Jeśli będzie brakowało tylko części towaru, prawdopodobnie dojdą do wniosku, że to gliniarze mieli lepkie paluszki.

Zlustrował jeszcze raz wzrokiem pobojowisko i zauważył strzęp materiału na podłodze. Twarz mu się rozjaśniła. Był to kawałek damskiej bluzki. Wepchnął go do kieszeni. Miała teraz wobec niego dług wdzięczności. Spojrzał na potrząskany telefon, na mężczyzn na podłodze, na nóż i wgłębienie w ścianie. Pewnie weszła tu nie w porę – wydedukował. Grubas załatwił małego, a ona załatwiła jakoś grubasa. Pokręcił z podziwem głową, patrząc na zwaliste cielsko mężczyzny.

Grubas, jakby czując na sobie czyjś wzrok, poruszył się niemrawo. Nie czekając, aż tłuscioch całkiem dojdzie do siebie, mężczyzna schylił się, podniósł przez szmatę nóż z podłogi i wbił go kilkakrotnie w bok leżącego. Umierający wyprężył się i wpił palcami w wytartą wykładzinę, czepiając się rozpaczliwie ostatnich sekund życia. Po chwili jednak jego ciało przeszedł gwałtowny dreszcz, mięśnie rozluźniły się powoli, palce wyprostowały i rozczapierzyły, dłonie przywarły do podłogi. Głowa przekręciła się na bok. Na zabójcę spojrzęło jedno martwe, nabiegłe krwią oko.

Mężczyzna przeszedł do Duane'a, przekręcił go bezceremonialnie na plecy i sprawdził, czy oddycha. By mieć pewność, że Duane Harvey podąży w zaświaty w ślad za grubasem, zadał mu kilka dobrze wymierzonych pchnięć w klatkę piersiową. Odrzucił nóż.

Parę sekund później zniknął już między drzewami na tyłach przyczepy. Wracał do samochodu, który zostawił na rzadko uczęszczanej ścieżce biegnącej przez gęsty las. Ścieżka

była kręta i usiana wykrotami, ale dotrze nią do głównej szosy z wystarczającym wyprzedzeniem, by podjąć swoje właściwe zadanie: ruszyć za LuAnn Tyler. Kiedy wsiadał do wozu, zadzwonił telefon. Odebrał.

– Twoja misja się kończy – powiedział Jackson. – Polowanie zostaje oficjalnie odwołane. Resztę honorarium otrzymasz tymi samymi kanałami co zawsze. Dziękuję ci za usługi. Gdyby w przyszłości znów się coś takiego trafiło, będę o tobie pamiętał.

Anthony Romanello ścisnął mocno słuchawkę. Zastanawiał się, czy powiedzieć Jacksonowi o dwóch trupach w przyczepie, ale w końcu postanowił zachować to dla siebie. Być może natknął się na coś naprawdę interesującego.

– Widziałem małą, jak przedzierała się pieszo przez las – oznajmił Romanello. – Ale nie wyglądała mi na taką, co ma środki, żeby zajść daleko.

Jackson zachichotał.

– Pieniądze będą chyba jej najmniejszym zmartwieniem – skomentował i rozłączył się.

Romanello odwiesił telefon i rozważał przez chwilę sytuację. Został formalnie odwołany. Jego zadanie dobiegło końca, mógł po prostu wrócić do domu i czekać tam na resztę wynagrodzenia. Ale coś mu tutaj śmierdziało. Wszystko w tej robocie było jakieś pokopane. Najpierw zleceniodawca wysyła go w tę głąszkę z poleceniem załatwienia jakiejś małomiasteczkowej piękności. A teraz dzwoni, żeby tego nie robić. I te częste aluzje do pieniędzy. Dolary zawsze były obiektem zainteresowania Romanella. Podjął decyzję i wrzucił bieg. Będzie śledził LuAnn Tyler.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

LuAnn weszła do toalety na stacji benzynowej i ogarnęła się najlepiej, jak umiała. Ranę na policzku przemyła wodą i zakleiła plastrem opatrunkowym, który wyciągnęła z torebki na pieluszki Lisy. Następnie dała małej butelkę z mlekiem i weszła do pobliskiego sklepu, gdzie kupiła maść i gazę oraz wypełniła kupon loterii. Przy typowaniu dziesięciu numerów wykorzystwała między innymi daty urodzin swoich i Lisy.

– Ludzie wałą drzwiami i oknami – powiedział sprzedawca, który był jej znajomym i miał na imię Bobby. – A tobie co się stało? – spytał, pokazując na plaster.

– Upadłam i rozciąłam sobie policzek – odparła szybko. – Ile jest tym razem do wygrania?

– Na razie okrągłe sześćdziesiąt pięć baniek, a może być więcej. – Bobby’emu pożądliwie zabłyśły oczy. – Sam wypełniłem tuzin kuponów. Czuję, że tym razem trafię, LuAnn. Oglądałaś ten film o gliniarzu, który oddał kelnerce połowę z tego, co wygrał na loterii? LuAnn, skarbie, coś ci powiem. Jak wygram, to też ci odpalę połowę, jak babcię kocham.

– Doceniam to, Bobby, ale czego byś w zamian oczekiwał?

– No jak to, tego, że za mnie wyjdiesz, oczywiście. – Bobby uśmiechnął się, wręczając jej potwierdzony kupon. – Może ty też byś się ze mną podzieliła po połowie, jak wygrasz? Jakbyśmy się potem chajtnęli, cała kasa zostałaby w rodzinie.

– Chyba raczej zagram na własny rachunek. Zresztą wydawało mi się, że jesteś zaręczony z Mary Annę Simmons.

– To było w zeszłym tygodniu. – Bobby zmierzył ją od stóp do głów pełnym uznania wzrokiem. – Ależ dureń z tego Duane’a.

LuAnn wepchnęła kupon na samo dno kieszeni dzinsów.

– Często go ostatnio widzisz? – spytała niby od niechcenia.

Bobby pokręcił głową.

– Nie, od jakiegoś momentu chodzi własnymi ścieżkami. Podobno spędza dużo czasu w okręgu Gwinnett. Jakież interesy tam robi czy coś.

– Jakie interesy?

Bobby wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nie chcę wiedzieć. Mam lepsze rzeczy do zrobienia, niż oglądać się za takimi jak on.

– A nie wiesz czasem, czy Duane’owi trafiła się ostatnio jakaś grubsza gotówka?

– Na to by wyglądało. Szpanował tu wczoraj jakąś forszą. Pomyślałem sobie, że może wygrał na loterii. Jeśli tak, to ja się chyba zaraz zabiję. A niech cię, ale ta mała do ciebie podobna! – Bobby delikatnie uszczypnął Lisę w policzek. – Jak zmienisz zdanie w sprawie podzielenia się wygraną albo wyjścia za mnie, to daj mi znać, pysiacku. Kończę o siódmej.

– Na razie, ‘Bobby.

LuAnn wyszła ze sklepu i z najbliższej budki telefonicznej zadzwoniła ponownie pod numer z karteczki. I tym razem Jackson odebrał, zanim w słuchawce przebrzmiał pierwszy sygnał. Podyktowała mu dziesięć numerów ze swojego kuponu. Słyszała, jak je skrzętnie zapisuje.

– Przewidyj mi wszystkie jeszcze raz, powoli – poprosił. – Chyba rozumiesz, że nie możemy teraz popełnić najmniejszego błędu.

Podyktowała mu numery jeszcze raz, a potem on przeczytał jej, co zapisał.

– Dobrze – orzekł. – Bardzo dobrze. Najgorsze za nami. Teraz wsiadaj do pociągu. Przebrniesz jeszcze przez konferencję prasową i świat staje przed tobą otworem.

– To ja już jadę na stację.

– Z Penn Station ktoś cię odbierze i zawiezie do hotelu.

– Myślałam, że mam jechać do Nowego Jorku.

– Penn Station to nazwa stacji kolejowej w Nowym Jorku – wyjaśnił ze zniecierpliwieniem Jackson. – Osoba, która będzie tam na was czekała, sama rozpozna ciebie i Lisę. – Urwał. – Zakładam, że zabierasz ze sobą córeczkę.

– Bez niej nigdzie się nie ruszę!

– Źle mnie zrozumiałaś, LuAnn, oczywiście, że możesz ją zabrać. Mam jednak nadzieję, że w swoich planach podróży nie uwzględniasz Duane’a?

LuAnn przełknęła z trudem ślinę na wspomnienie Duane’a w zakrwawionej koszuli staczającego się z kanapy i nieruchomiejącego na podłodze.

– Duane nie jedzie – mruknęła.

– Wspaniale – powiedział Jackson. – No to szerokiej drogi.

Do stacji kolejowej w Atlancie LuAnn z Lisa dojechały autobusem. Po rozmowie telefonicznej z Jacksonem LuAnn kupiła jeszcze dla siebie i Lisy trochę podstawowych drobiazgów, które miała teraz w przewieszanej przez ramię torbie. Podartą bluzkę zastąpiła nowa, kowbojski kapelusz i okulary słoneczne osłaniały twarz. W dworcowej toalecie dokładnie oczyściła sobie i opatrzyła rozcięcie na policzku. Już tak nie piekło. Podeszła do kasy, żeby kupić bilet na pociąg do Nowego Jorku. I tu popełniła poważny błąd.

– Nazwisko, proszę – rzuciła kasjerka.

– LuAnn Tyler – odpowiedziała automatycznie, zajęta uspokajaniem kapryszącej Lisy. I natychmiast ugryzła się w język. Spojrzała spłoszona na kasjerkę, która zdążyła już wprowadzić jej dane do komputera. Za późno, żeby sprostować. Kobieta mogłaby nabrać podejrzeń. Odetchnęła głęboko. Pozostawało modlić się do Boga, żeby to potknięcie nie przysporzyło jej w przyszłości kłopotów. Ponieważ podróżowała z dzieckiem, kasjerka poleciła jej miejsce w luksusowym wagonie sypialnym.

– W składzie jest tylko jeden taki. Prywatny natrysk i w ogóle wszelkie wygody – oznajmiła.

LuAnn skwapliwie przyjęła propozycję i wyciągnęła plik banknotów spod wyściółki

nosidełka Lisy. Kilkoma zapłaciła za drukujący się bilet, resztę wepchnęła do kieszeni. Obserwująca ją kasjerka uniosła wymownie brew.

LuAnn przechwyciła spojrzenie kobiety.

– Moje pieniądze na czarną godzinę – wyjaśniła czym prędzej z szerokim uśmiechem. – Doszłam do wniosku, że nie ma sensu na nią czekać. Jedziemy do Nowego Jorku zobaczyć trochę świata.

– Życzę dobrej zabawy – rzekła kobieta – ale ostrożnie. Tam lepiej nie nosić przy sobie dużych sum w gotówce. Przed paroma laty przekonaliśmy się o tym z mężem na własnej skórze. Okradziono nas pięć minut po wyjściu z pociągu. Musiałam dzwonić do matki, żeby przysłała nam pieniądze na powrót.

– Dzięki za radę, będę uważała.

Kasjerka spojrzała za plecy LuAnn.

– A gdzie pani bagaż?

– Och, nie lubię podróżować objuczona. Zresztą mamy tam rodzinę. Jeszcze raz dziękuję. – LuAnn odwróciła się od kasy i ruszyła w kierunku peronów.

Kobieta odprowadziła ją wzrokiem i aż podskoczyła z przerażenia, kiedy, spojrzawszy znowu na wprost, zobaczyła mężczyznę w czarnej skórzanej kurtce, który wyrósł jak spod ziemi przed okienkiem kasowym. Mężczyzna położył ręce na ladzie.

– Bilet do Nowego Jorku w jedną stronę poproszę – powiedział grzecznie Anthony Romanello, zerkając w kierunku, w którym oddaliła się LuAnn.

Obserwował ją przez szybę wystawową, kiedy wypełniała w sklepie kupon loteryjny. Potem widział, jak dzwoni gdzieś z budki telefonicznej, nie zaryzykował jednak i nie podszedł na tyle blisko, by słyszeć rozmowę. Fakt, że udawała się teraz w podróż do Nowego Jorku, rozpałił jego ciekawość. Miał wiele powodów, by jak najszybciej wynieść się z tych stron. Teraz doszedł jeszcze jeden, bo chociaż jego misja dobiegła już końca, postanowił ustalić, co kombinuje LuAnn Tyler i dlaczego jedzie do Nowego Jorku. Zresztą tak się składało, że tam mieszkał i było mu po drodze. Być może uciekała od trupów w przyczepie. Ale jemu coś mówiło, że jest w tym coś więcej. O wiele więcej. Odebrał bilet i skierował się do wyjścia na perony.

LuAnn odsunęła się daleko od torów, kiedy nieco opóźniony pociąg wtaczał się z łomotem na stację. Z pomocą konduktora znalazła swój przedział w luksusowym wagonie sypialnym. Na jego wyposażenie składały się piętrowe łóżko, fotel, umywalka, toaleta i natrysk. Pora była późna i za jej zgodą steward sprawnie posłał łóżko. Zamknawszy za nim drzwi, LuAnn usiadła w fotelu, by nakarmić Lisę z butelki. Pół godziny później pociąg ruszył. Przyśpieszał szybko i wkrótce za szybami dwóch wielkich okien widokowych przesuwał się już wiejski krajobraz. LuAnn skończyła karmić Lisę i przygarnęła małą do piersi, żeby się jej odbiło. Następnie przewinęła córeczkę i zaczęła się z nią bawić. Po godzinie Lisa zmęczyła się i matka ułożyła ją w nosidełku.

Sama usiadła wygodnie w fotelu i spróbowała się odprężyć. Pierwszy raz w życiu jechała pociągiem. Wrażenie płynnego ruchu i rytmiczny stukot kół na nią też działały usypiająco. Nie

pamiętała już, kiedy ostatnio zmrużyła oczy. Zaczęła odpływać. Ocknęła się raptownie kilka godzin później. W jej odczuciu dochodziła już północ. Uświadomiła sobie, że przez cały dzień nie miała nic w ustach. Tyle się działo, że nie miała kiedy o tym pomyśleć. Wystawiła głowę na korytarz, przywołała stewarda i spytała go, czy w pociągu można coś zjeść. Mężczyzna popatrzył na nią z lekkim zdziwieniem i zerknął znacząco na zegarek.

– Ostatni dzwonek na kolację był kilka godzin temu, proszę pani. Wagon restauracyjny jest już nieczynny.

– Ojej – jęknęła LuAnn. Nie pierwszy raz pójdzie spać głodna. Przynajmniej Lisa jest nakarmiona.

Jednak mężczyzna, spojrzawszy przez uchylone drzwi na śpiącą Lisę, a potem na zmęczoną twarz LuAnn, uśmiechnął się wyrozumiale i powiedział, żeby chwilę zaczekała. Wrócił po dwudziestu minutach z pełną tacą i rozstawił nawet przyniesione dania, wykorzystując dolne łóżko jako zaimprovizowany stół.

LuAnn nagrodziła go sutym napiwkiem. Kiedy wyszedł, rzuciła się zachłannie na posiłek. Zaspokoiwszy głód, wytarła ręce serwetką, sięgnęła ostrożnie do kieszeni i wyciągnęła kupon loteryjny. Obejrzała się na Lisę. Mała poruszała przez sen rączkami, na jej buzi igrał uśmiech. Pewnie śniło jej się coś miłego.

Na twarzy LuAnn odmalowała się czułość. Pochyliła się i szepnęła jej cicho do uszka:

– Teraz mamusia będzie mogła o ciebie zadbać, jak należy, słoneczko, najwyższy na to czas. Ten pan mówi, że będziemy mogły pojechać, dokąd chcemy, robić, co chcemy. – Pogładziła Lisę po bródce i musnęła grzbietem dłoni policzek małej. – Dokąd chcesz pojechać, laleczko? Tylko powiedz, a sprawa będzie załatwiona. Nieźle to brzmi, prawda?

Zamknęła drzwi na zatrzask, przeniosła nosidełko z Lisa na łóżko i umocowała je pasami bezpieczeństwa. Potem położyła się obok. Zapatrzona w ciemność przesuwaną się za oknem mknącego do Nowego Jorku pociągu, zachodziła w głowę, co też z tego wszystkiego wyniknie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pociąg miał spóźnienie i dochodziła już trzecia trzydzieści po południu, kiedy LuAnn z Lisa stanęły wreszcie na peronie tętniącej życiem Penn Station. LuAnn nie widziała jeszcze tylu ludzi naraz w jednym miejscu. Rozglądała się bezradnie, oszołomiona gwarem, przewalającymi się tłumami podróżnych i mrowiem lawirujących wśród tej ciżby wózków bagażowych. Przypomniało jej się ostrzeżenie kasjerki z Atlanty i mocniej ścisnęła uszy nosidełka z Lisa. Ręka wciąż ją bolała, ale mimo to potrafiłaby chyba znokautować nią każdego, kto by czegoś próbował. Spojrzała na Lisę. Mała, widząc wokół tyle interesujących rzeczy, nieomal wyskoczyła z nosidełka. LuAnn ruszyła niepewnie przed siebie. Nie miała pojęcia, jak się wydostać z tego ula. Dostrzegła tablicę z napisem Madison Square Garden. Kilka lat temu oglądała w telewizji transmitowaną stamtąd walkę bokserską. Jackson powiedział, że ktoś będzie tu na nią czekał, ale nie bardzo sobie wyobrażała, jak ta osoba zdoła ją odszukać w całym tym tumulcie.

Drgnęła, potrącona lekko przez jakiegoś mężczyznę. Spojrzała na niego. Miał ciemnobrązowe oczy, srebrzysty wąs pod szerokim, spłaszczonym nosem, i był po pięćdziesiątce. Wydało jej się, że to ten sam człowiek, którego widziała przed paroma laty w ringu Madison Square Garden. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że jest na to o wiele za stary. Ale jego szerokie ramiona, przylegające do głowy uszy i zdeformowana twarz zdradzały mimo wszystko byłego boksera.

– Panna Tyler? – spytał cicho, ale wyraźnie. – Pan Jackson mnie po panią przysłał.

LuAnn kiwnęła głową i wyciągnęła rękę.

– Proszę mi mówić LuAnn. A pan jak się nazywa?

Mężczyzna zmieszał się.

– To naprawdę nieważne. Proszę za mną, mam tu samochód. – Zrobił w tył zwrot i zaczął się oddalać.

– Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia! – zawołała za nim LuAnn, nie ruszając z miejsca.

Mężczyzna zawrócił. Wyglądał na lekko zirytowanego, ale gdzieś w kącikach jego ust LuAnn dostrzegła coś na kształt rodzącego się uśmiechu.

– No dobrze, możesz mi mówić Charlie. Zadowolona?

– Zadowolona, Charlie. Domyślam się, że pracujesz dla pana Jacksona. Czy między sobą używacie prawdziwych imion i nazwisk?

Mężczyzna puścił to pytanie mimo uszu i ruszył przodem w stronę wyjścia.

– Może ponieść małą? – zaproponował po chwili. – Chyba ciężka.

– Poradzę sobie. – LuAnn skrzywiła się, bo w tym momencie kolejne ukłucie bólu przeszło kontuzjowaną rękę.

– Na pewno? – spytał, zerkając na jej zaklejony plastrem policzek. – Wyglądasz, jakbyś się z kimś pobiła.

Wzruszyła ramionami.

– Nic mi nie jest.

Wyszli z budynku stacji, minęli ludzi czekających w kolejce na postoju taksówek, i Charlie otworzył przed LuAnn drzwiczki długiej limuzyny. Zanim wsiadła do tego luksusowego pojazdu, podziwiała go przez chwilę zdębiałym wzrokiem.

Charlie zajął miejsce naprzeciwko niej. LuAnn rozglądała się z przejęciem po wnętrzu limuzyny.

– Za dwadzieścia minut będziemy w hotelu – powiedział Charlie. – Napijesz się czegoś albo coś zjesz po drodze? W pociągu podle karmią.

– Podle jadałam, chociaż nie ukrywam, że głód mnie trochę przycisnął, ale jakoś wytrzymam do hotelu. Po co masz się specjalnie dla mnie zatrzymywać.

Spojrzał na nią dziwnie.

– Nie musimy się zatrzymywać.

Otworzył lodówkę i wyjął z niej wodę sodową, piwo, kanapki i ciasteczka. Nacisnął jakiś guzik i w limuzynie wysunął się stolik. LuAnn wpatrywała się w osłupieniu, jak Charlie zręcznymi, oszczędnymi ruchami wielkich jak bochny dłoni rozmieszcza na nim napoje, żywność, talerzyki, sztućce i serwetki.

– Wiedziałem, że będziesz z dzieckiem, kazałem więc wstawić do barku mleko, butelki i takie tam. W hotelu będą mieli wszystko, czego ci potrzeba.

LuAnn położyła sobie Lisę w zgięciu łokcia i wsunawszy jej do buzi smoczek butelki, którą trzymała w jednej ręce, drugą sięgnęła skwapliwie po kanapkę.

Charlie przyglądał się im przez chwilę w milczeniu.

– Ładne dziecko – odezwał się w końcu. – Jak ma na imię?

– Lisa. Lisa Marie. Tak jak córka Elvisa.

– Trochę za młoda jesteś na wielbiciele Króla.

– Nie jestem... znaczy, ja w ogóle nie słucham tego rodzaju muzyki. Ale mama za nią przepadała. Zrobiłam to dla niej.

– Pewnie się ucieszyła.

– Nie wiem, mam nadzieję. Umarła przed przyjściem Lisy na świat.

– O, to przykre. – Charlie milczał chwilę. – No a jakiego rodzaju muzykę lubisz?

– Klasyczną. Chociaż, prawdę mówiąc, zupełnie się na niej nie znam. Ale podoba mi się brzmienie. Kiedy jej słucham, czuję się jakaś czysta i lekka, jakbym pływała w górskim jeziorze, gdzie woda jest tak przezroczysta, że widać dno.

Charlie uśmiechnął się.

– Nigdy nie myślałem o tym w taki sposób. Mnie najbardziej leży jazz. Sam gram na trąbce. Nowy Jork ma zaraz po Nowym Orleanie najlepsze kluby jazzowe. Są otwarte do wschodu

słońca. Kilka mieści się niedaleko hotelu.

– Do którego hotelu jedziemy? – spytała.

– Do Waldorf Astoria. Do Towers. Byłaś już w Nowym Jorku?

Charlie pociągnął łyk wody sodowej, rozsiadł się wygodnie na kanapie i rozpiął marynarkę.

LuAnn pokręciła głową i przełknęła kęs kanapki.

– Ja właściwie nigdzie jeszcze nie byłam.

Charlie zachichotał cicho.

– No to skaczesz od razu na głęboką wodę, zaczynając od Wielkiego Jabłka.

– Jaki jest ten hotel?

Skończyła kanapkę i popiła colą.

– Całkiem przyjemny. Pierwszorzędny, zwłaszcza Towers. Nie jest to, co prawda, Plaza, ale czy Plaza ma konkurentów? Kto wie, może któregoś dnia zatrzymasz się w Plaza.

Roześmiał się i otarł serwetką usta. Zauważyła, że palce ma nienaturalnie duże i grube, o masywnych, guzłowatych stawach.

– Wiesz, po co tu przyjechałam? – spytała, popatrując na niego niespokojnie.

Charlie przeszył ją przenikliwym spojrzeniem.

– Powiedzmy, że wiem wystarczająco dużo, by nie zadawać niepotrzebnych pytań. Zostawmy to. – Uśmiechnął się z przymusem.

– Widziałeś się kiedyś osobiście z panem Jacksonem?

Charlie nachmurzył się.

– Zostawmy to, dobrze?

– Dobrze, byłam tylko ciekawa.

– Wiesz, do czego doprowadziła ciekawość jednego starego kocura. – Ciemne oczy Charliego zabłyśły na moment. – O nic nie pytaj, rób, co ci każą, a już nigdy nie będziesz miała problemów. Zrozumiałaś?

– Zrozumiałam – mruknęła LuAnn, mocniej przytulając Lisę.

Zanim wysiedli z limuzyny, Charlie wyjął ze schowka czarny skórzany płaszcz i kapelusz z szerokim rondem do kompletu i poprosił LuAnn, żeby to włożyła.

– Z oczywistych powodów nie chcemy, żeby ktoś skojarzył sobie potem, że widział cię tutaj już dziś. Swój kowbojski kapelusz możesz wyrzucić.

LuAnn włożyła posłusznie płaszcz i kapelusz i ścisnęła się mocno paskiem w talii.

– Zgłoszę w recepcji, że już jesteś. Masz apartament na nazwisko Lindy Freeman, Amerykanki, dyrektorki biura podróży z siedzibą w Londynie, która przyjechała tu z córeczką, łącząc interesy z wypoczynkiem.

– Dyrektorki? Mam nadzieję, że nikt mnie o nic nie zapyta.

– O to możesz być spokojna.

– Znaczy, nazywam się teraz Linda Freeman?

– Przynajmniej do wielkiego wydarzenia. Potem będziesz mogła stać się z powrotem LuAnn

Tyler.

– A muszę? – pomyślała LuAnn.

Apartament, do którego, załatwiwszy formalności w recepcji, zaprowadził ją Charlie, znajdował się na trzydziestym pierwszym piętrze i był ogromny. Składał się z wielkiego pokoju gościnnego i osobnej sypialni. Rozejrzała się z zachwytem po eleganckim wnętrzu i o mało nie zemdląca na widok luksusowej łazienki.

– Dla mnie te szaty? – Pogładziła mięciutki materiał szlafroka.

– Możesz go nosić, jeśli chcesz. Ale to kosztuje siedemdziesiąt pięć dolarów za dobę czy coś koło tego.

Podeszła do okna i rozchyliła kotary. Jej oczom ukazał się spory fragment panoramy Nowego Jorku. Niebo było zachmurzone, zapadał już zmrok.

– Nigdy w życiu nie widziałam tylu budynków naraz. Jak one się ludziom nie pomylą? Wszystkie wyglądają tak samo. – Obejrzała się na Charliego.

Pokręcił głową.

– No nie, jak ty już coś powiesz... Jeszcze trochę, a pomyślę, że jakaś ciemniaczka z ciebie.

LuAnn spuściła wzrok.

– Bo ja jestem ostatnia ciemniaczka. A przynajmniej najbardziej zacofana z tych, jakie spotkałeś.

Przechwycił jej spojrzenie.

– Hej, nie chciałem cię urazić. Pobędziesz tutaj trochę, to się dotrzesz, wiesz, o co mi chodzi... – Urwał, ale nie spuszczał oczu z LuAnn, która podeszła do Lisy i pogłaskała ją po buzi.

– Patrz, tutaj jest barek z napojami – podjął. Pokazał jej, jak z niego korzystać, a potem otworzył drzwi ściennej szafy. – Tu masz sejf. – Wskazał na masywne, stalowe drzwiczki osadzone w ścianie. Wystukał kod na klawiaturze. – Możesz w nim trzymać cenne rzeczy.

– Chyba nie mam nic, co warto by tu schować.

– A kupon loteryjny?

LuAnn sięgnęła szybko do kieszeni po kupon.

– Czyli tyle wiesz, tak?

Charlie nie odpowiedział. Wziął od niej kupon i nawet na niego nie spojrzawszy, włożył do sejfu.

– Wymyśl sobie kombinację. Tylko żadne tam daty urodzin ani nic w tym stylu. Ale ta kombinacja musi ci się z czymś kojarzyć, żeby przy pierwszej okazji nie wywietrzała z głowy. Nie radzę nigdzie jej zapisywać. Rozumiesz? – Otworzył znowu sejf.

LuAnn kiwnęła głową, wprowadziła własny kod, zaczekała, aż sejf przełączy się w tryb blokady, i zatrzasnęła drzwiczki.

Charlie skierował się do drzwi.

– Wrócę tu jutro rano o dziewiątej. Jak wcześniej zgłodniejesz albo co, to dzwoń po służbę hotelową. Tylko załatw to tak, żeby kelner nie mógł się dobrze przyjrzeć twojej twarzy. Zawiaż

włosy w kok albo włóż czepek kąpielowy, że niby to miałaś właśnie wskoczyć do wanny. Otwórz drzwi, podpisz rachunek nazwiskiem Linda Freeman i schowaj się w sypialni. Napiwek połóż wcześniej na stole. Trzymaj. – Charlie wyjął z kieszeni plik banknotów i wręczył go LuAnn. – I w ogóle staraj się nie rzucać w oczy. Nie spaceruj po hotelu, nie wdawaj się z nikim w rozmowy i tak dalej.

– Spokojna głowa, wiem, że nie wyglądam na dyrektorkę. – LuAnn odgarnęła włosy z czoła i bez powodzenia usiłowała nadać głosowi żartobliwy ton.

– Nie o to chodzi, LuAnn. Nie chciałem... – Charlie urwał i wzruszył ramionami. – Posłuchaj, ledwie udało mi się skończyć szkołę średnią. Do college’u nawet nie próbowałem startować, a jakoś daję sobie radę. Oboje nie możemy uchodzić za absolwentów Harvardu, no i co z tego? – Dotknął lekko jej ramienia. – Wyśpij się dobrze. Jutro wyjdziemy na miasto, pozwiedzamy i będziesz się mogła wygadać za wszystkie czasy, co ty na to?

Twarz jej się rozjaśniła.

– Fajnie.

– I ubierz się ciepło, bo na jutro zapowiadają ochłodzenie.

LuAnn spuściła wzrok na swoją wymiętą bluzkę i dzinsy.

– To wszystko, co mam – wybąkała z zakłopotaniem. – Wyjechałam z domu, jak stałam.

– I bardzo dobrze – rzekł uprzejmie Charlie. – Z bagażem tylko kłopoty. – Obrzucił ją taksującym spojrzeniem. – Masz około metra siedemdziesięciu pięciu, tak? Rozmiar: ósemka?

LuAnn kiwnęła głową i zarumieniła się.

– Od góry chyba trochę większy.

Oczy Charliego zatrzymały się na chwilę na wysokości jej biustu.

– Dobra – powiedział. – Przyniosę ci jutro jakieś ciuszki. Dla Lisy też. Ale to trochę potrwa. Umówmy się, że jestem u ciebie około południa.

– Będę mogła zabrać Lisę?

– Jasne, mała idzie z nami.

– Dzięki, Charlie. Naprawdę bardzo ci dziękuję. Nie miałabym odwagi wyjść na ulicę sama. A bardzo mnie tam ciągnie. Nigdy w życiu nie byłam w takim dużym mieście. Założę się, że w samym tym hotelu ludzi jest więcej niż w całym moim miasteczku.

Charlie roześmiał się.

– Tak, ja jestem stąd i dla mnie to naturalne. Ale rozumiem cię. Bardzo dobrze rozumiem.

Po jego wyjściu LuAnn wyjęła Lisę z nosidełka i głaskając po włoskach, położyła na środku królewskiego łóżka. Rozebrała szybko małą, wykapała w ogromnej wannie i ubrała w piżamkę. Położyła dziewczynkę z powrotem na łóżku, okryła kocem i obłożyła po bokach dużymi poduchami, żeby mała nie stoczyła się na podłogę. Zastanawiała się właśnie, czy sama też nie powinna wejść do wanny, żeby wymoczyć w wodzie obolałe członki, kiedy zadzwonił telefon. Po chwili wahania sięgnęła po słuchawkę.

– Halo?

– Panna Freeman?

– Przepraszam, ale to... – Dala sobie w myślach solidnego kuksańca. – Tak, słucham.

– Następnym razem trochę szybciej, LuAnn – upomniał Jackson. – Ludziom rzadko zdarza się zapominać, jak się nazywają. No i jak tam? Zaopiekowano się tobą?

– Jak najbardziej. Charlie jest cudowny.

– Charlie? A tak, oczywiście. Masz kupon?

– Leży w sejfie.

– Dobry pomysł. Masz pod ręką papier i coś do pisania?

LuAnn rozejrzała się po pokoju i na antycznym biurku pod oknem wypatrzyła arkusz papieru i długopis.

– Notuj, ile możesz – podjął Jackson. – Jak nie zdążysz czegoś zapisać, to wszystkie szczegóły i tak będzie znał Charlie. Ucieszy cię pewnie wiadomość, że wszystko już dopięte na ostatni guzik. Losowanie loterii krajowej odbywa się pojutrze o szóstej wieczorem. Możesz je oglądać w telewizji w swoim pokoju hotelowym. Będzie transmitowane na żywo przez wszystkie większe sieci. Obawiam się jednak, że u ciebie nie wywoła ono specjalnego dreszczyku emocji. – LuAnn wyobraziła sobie kpiący uśmiešek rozciągający mu wargi przy tych słowach. – Potem cały kraj z zapartym tchem będzie czekał na wyłonienie zwycięzcy. Nie zgłosisz się od razu. Musimy dać ci czas, teoretycznie, ma się rozumieć, na ochłonięcie, pozbieranie myśli, może na zasięgnięcie porady u finansistów, prawników, i tak dalej. Dopiero po upływie tego okresu przejściowego wyruszysz w podróż do Nowego Jorku. Zwycięzcy nie są, rzecz jasna, zobowiązani do przyjeżdżania do Nowego Jorku. Konferencja prasowa może zostać zwołana gdziekolwiek, nawet w rodzinnym miasteczku wygrywającego. Jednak większość dotychczasowych zwycięzców dobrowolnie decydowała się na tę wyprawę. Komisja Loteryjna to lubi. Konferencję prasową o zasięgu ogólnokrajowym o wiele wygodniej przeprowadzić tutaj. Zakładamy zatem, że twoja euforia potrwa ze dwa dni. Oficjalnie masz trzydzieści dni na zgłoszenie się po wygraną, a więc nie ma problemu. Nawiasem mówiąc, dlatego właśnie chciałem, żebyś wstrzymała się z przyjazdem. Sprawy by się skomplikowały, gdyby ludzie dowiedzieli się, że przybyłaś do Nowego Jorku przed oficjalnym ogłoszeniem wyników losowania. Musisz więc zachować incognito do czasu, kiedy będziemy gotowi zaprezentować cię jako zwyciężczynię. – Z brzmienia jego głosu wynikało, że nie jest zadowolony ze zmiany swoich pierwotnych planów.

LuAnn notowała najszybciej, jak potrafiła.

– Przepraszam, ale ja naprawdę nie mogłam czekać, panie Jackson – powiedziała szybko. – Mówiłam panu, co by to było, gdybym tam została. To taka mała miejscina i w ogóle. Ludzie od razu by wiedzieli, że to ja wygrałam. Nie wiem skąd, ale by wiedzieli.

– No nic, szkoda czasu na przelewianie z pustego w próżne – przerwał jej obcesowo. – Teraz najważniejsze to utrzymać w tajemnicy fakt, że już tu jesteś, aż do losowania, a potem jeszcze przez dzień lub dwa. Do Atlanty dojechałaś autobusem, tak?

– Tak.

– A zastosowałaś stosowne środki ostrożności, żeby nikt cię nie rozpoznał?

– Duży kapelusz i okulary. Zresztą nie spotkałam nikogo znajomego.

– I kupując bilet nie podałaś, naturalnie, prawdziwego nazwiska?

– Oczywiście, że nie – zełgała LuAnn.

– Dobrze. Myślę, że skutecznie zatarałaś za sobą ślad.

– Mam taką nadzieję.

– To wkrótce będzie bez znaczenia, LuAnn. Naprawdę. Za kilka dni będziesz od domu o wiele dalej niż tylko w Nowym Jorku.

– A konkretnie gdzie?

– Umówiliśmy się, że sama wybierasz sobie miejsce. Europa? Azja? Ameryka Południowa? Powiedz, co ci najbardziej odpowiada, a ja już wszystko załatwię.

LuAnn zastanawiała się przez chwilę.

– Muszę się zdecydować teraz?

– Oczywiście, że nie. Ale jeśli chcesz wyjechać natychmiast po konferencji prasowej, to im wcześniej dasz mi znać, co postanowiłaś, tym lepiej. Mam opinię człowieka, który potrafi dokonywać cudów, jeśli chodzi o załatwianie spraw związanych z podróżami, ale czarodziejem nie jestem, zwłaszcza że nie masz ani paszportu, ani żadnych innych dokumentów tożsamości. – Powiedział to z niedowierzaniem. – Te dokumenty również trzeba będzie przygotować.

– Potrafi mi je pan wyrobić? Nawet kartę ubezpieczenia społecznego?

– Nie masz numeru ubezpieczenia społecznego? Niemożliwe.

– Możliwe, jeśli po narodzinach dziecka rodzice nie zadadzą sobie trudu dopełnienia odpowiednich formalności – odparowała.

– Myślałem, że szpital nie wypuszcza noworodka bez pełnej dokumentacji.

LuAnn o mało nie parsknęła śmiechem.

– Nie urodziłam się w szpitalu, panie Jackson. Podobno pierwsze, co po przyjściu na świat zobaczyłam, to góra brudów do prania w sypialni mojej mamusi, gdzie odebrała mnie babcia.

– Tak, chyba potrafię ci wyrobić numer ubezpieczenia społecznego – rzekł stłumionym głosem.

– A może potrafi pan jeszcze załatwić, żeby wpisali mi do paszportu inne nazwisko? To znaczy, żeby zdjęcie było moje, tylko nazwisko inne. I tak samo w innych papierach.

– A czemu ci na tym zależy, LuAnn? – spytał powoli Jackson.

– No, ze względu na Duane'a. Wiem, że wygląda na tumana, ale kiedy się dowie, że wygrałam tyle pieniędzy, zrobi wszystko, żeby mnie znaleźć. Myślę, że najlepiej będzie zniknąć. Zacząć wszystko od początku. Od zera, jak to się mówi. Z nowym nazwiskiem i tak dalej.

Jackson wybuchnął śmiechem.

– Naprawdę obawiasz się, że Duane Harvey zdoła cię wytropić? Mam poważne wątpliwości, czy wie, jak wydostać się z okręgu Rikersville.

– Bardzo pana proszę, panie Jackson, gdyby się to panu udało, byłabym niezmiernie wdzięczna. Oczywiście zrozumieć, jeśli to przekroczy pańskie możliwości. – LuAnn urwała i czekała z zapartym tchem niepewna, czy próżność każe Jacksonowi położyć haczyk.

– Nie przekracza – warknął. – To nawet całkiem proste, jeśli ma się takie dojścia jak ja. Ale pewnie nie zastanawiałaś się jeszcze nad nazwiskiem, jakie chcesz przybrać?

Zaskoczyła go, wymieniając od razu nazwisko wraz z miejscem, z którego jakoby miała pochodzić owa fikcyjna osoba.

– Wygląda na to, że już od jakiegoś czasu nosiłaś się z tą myślą. Może nawet dłużej, niż się znamy, mam rację?

– Pan ma swoje tajemnice, panie Jackson, dlaczego ja nie miałabym mieć swoich?

W słuchawce rozległo się westchnienie.

– Cóż, LuAnn, twoja prośba z pewnością nie ma precedensu, ale spełnię ją. Muszę jeszcze wiedzieć, dokąd chcesz się udać.

– Rozumiem. Zastanowię się nad tym i wkrótce dam panu znać.

– Dlaczego coś mi teraz mówi, że pożałuję, iż wybrałem cię na współuczestniczkę tej małej przygody? – W jego tonie pojawiło się coś, co przejęło LuAnn dreszczem. – Skontaktuję się z tobą po losowaniu i przekażę resztę szczegółów. Na razie to wszystko. Baw się dobrze w Nowym Jorku. Gdybyś czegoś potrzebowała, powiedz...

– Charliemu.

– Tak, Charliemu. – Jackson rozłączył się. Odłożywszy słuchawkę, LuAnn podeszła do barku z napojami i odkapslowała butelkę piwa. Lisa zaczęła marudzić, przeniosła ją więc na podłogę. Z szerokim uśmiechem na twarzy przyglądała się, jak mała maszeruje dzielnie na czworakach po dywanie. W ciągu ostatnich kilku dni Lisa poczyniła wielkie postępy w technice raczkowania i teraz z niespożytą energią przemierzała wielkie przestrzenie salonu. W końcu LuAnn też opadła na czworaki i poszła w jej ślady. Matka z córką krążyły po hotelowym pokoju przez blisko godzinę, aż wreszcie Lisa się zmęczyła i LuAnn ułożyła ją do snu.

Weszła do łazienki i puściwszy wodę do wanny, obejrzała w lustrze rozcięty policzek. Rana szybko się goiła, ale prawdopodobnie pozostanie po niej blizna. Nie przejmowała się tym zbyt. Mogło być o wiele gorzej. Wzięła z barku drugie piwo i wróciła z nim do łazienki. Zanurzyła się w gorącej wodzie i pociągnęła łyk zimnego napoju. Podejrzewała, że będzie potrzebowała dużo alkoholu i parających, kojących kąpieli, by przebrnąć przez kilka najbliższych dni.

Punktualnie o dwunastej w południe do drzwi zapukał Charlie z torbami od Bloomingdale'a i z Baby Gap. Przez następną godzinę LuAnn z dreszczykiem podniecenia przymierzała przyniesione przez niego stroje.

– Dobrze ci w nich – orzekł z podziwem Charlie. – Więcej niż dobrze.

– Dziękuję. Dzięki za to wszystko. Rozmiar w sam raz.

– Do licha, masz wzrost i figurę modelki. Właśnie dla takich ludzi szyją te ubrania. Nigdy nie myślałaś robić tego za pieniądze? To znaczy zostać modelką?

LuAnn, wkładając kremowy żakiet do długiej, plisowanej, czarnej spódnicy, wzruszyła ramionami.

– Czasami, kiedy byłam młodsza.

– Młodsza?! Boże, mówisz jak staruszka.

– Mam dwadzieścia lat, ale po urodzeniu dziecka kobieta czuje się starzej.

– Wierzę na słowo.

– Nie, nie jestem stworzona na modelkę.

– Dlaczego?

– Bo nie lubię, jak mnie fotografują, i nie lubię na siebie patrzeć.

Charlie pokręcił tylko głową.

– Tak, dziwna z siebie kobieta. Większości dziewcząt w twoim wieku, z twoją prezencją, nie można odciągnąć od lustra. Uosobienie narcyzmu. Oj, ale te duże okulary przeciwsłoneczne i kapelusz musisz włożyć. Jackson powiedział, że nikt nie może się dowiedzieć, że tu jesteś. Właściwie to nie powinniśmy wychodzić, ale w siedmiomilionowym mieście rozplniemy się chyba w tłumie. – Wyciągnął papierosy. – Można?

Uśmiechnęła się.

– Żartujesz? Ja pracuję w zajeździe dla kierowców ciężarówek. Tam nie wpuszczą nikogo, kto nie ma przy sobie paczki fajek. Noc w noc siekierę można tam powiesić.

– Zajazd dla kierowców ciężarówek to już dla ciebie przeszłość.

– Zobaczymy. – Przypięła sobie do włosów kapelusz z szerokim, obwisłym rondem. – Jak wyglądam? – Przyjęła pozę modelki.

– Jak z żurnala... Co ja bredzę, to mało powiedziane.

– Ach, to jeszcze nic. Poczekaj, aż ubiorę moją malutką – powiedziała z dumą. – Jak ja o tym marzyłam!

Godzinę później LuAnn włożyła Lisę wystrojoną w nowiutkie ubranka z Baby Gap do nosidełka i podniosła je z łóżka. Odwróciła się do Charliego.

– Idziemy?

– Jedną chwileczkę. – Otworzył drzwi na korytarz i obejrzał się na nią. – Zamknij lepiej oczy. To jeszcze nie wszystko. – Spojrzała na niego ze zdziwieniem. – No, zamknij – powtórzył z uśmiechem.

Posłuchała.

– Dobra, możesz otworzyć – usłyszała po chwili. Otworzyła oczy i oniemiała na widok nowiutkiego, bardzo drogiego wózka dziecięcego.

– Och, Charlie!

– Jeszcze trochę podźwigasz to coś – powiedział, pokazując na nosidełko – i ręce wyciągną ci się do samej ziemi.

LuAnn uściskała go z wdzięcznością, włożyła Lisę do wózka i wyszli na korytarz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Shirley Watson była zła jak diabli. Obmyślając stosowną zemstę na LuAnn Tyler, która tak ją upokorzyła, wysiliła do maksimum cały swój skromny intelekt. Zaparkowała pickupa w ustronnym miejscu, jakieś ćwierć mili od przyczepy, i wysiadła z metalową bańką w rękę. Spojrzała na zegarek i ruszyła w kierunku przyczepy, w której spodziewała się zastać LuAnn pogrążoną w głębokim śnie po powrocie z nocnej zmiany w zajeździe dla ciężarówek. Gdzie jest Duane, mało ją obchodziło. Jeśli też siedzi w środku, to przy okazji i na nim się odegra za to, że nie bronił jej przed rozsierdzoną LuAnn.

Gniew niskiej, przysadzistej Shirley rósł z każdym krokiem. Chodziła z LuAnn do szkoły i również przerwała naukę. Tak samo jak LuAnn przez całe życie nosa nie wychyliła poza Rikersville. Jednak w odróżnieniu od LuAnn wcale nie chciała stąd wyjeżdżać. I to czyniło numer, jaki wykreśliła jej LuAnn, jeszcze okropniejszym. Ludzie widzieli, jak całkiem goła przemykała się do domu. Nikt jej nigdy bardziej nie upokorzył. Narobiła sobie takiego obciachu, że chyba ma już przechłapanie. Teraz musiała żyć z tym przez resztę życia. Będą ją wytykali palcami, stanie się pośmiewiskiem całego rodzinnego miasteczka. Wezmą ją na języki i nie popuszczą, dopóki nie umrze i nie spocznie w grobie; a może i wtedy będą wspominać. LuAnn Tyler jej za to zapłaci. No i co z tego, że pieprzyła się z Duane'em? Wszyscy wiedzą, że Duane ani myśli zenić się z LuAnn. I wszyscy wiedzą, że LuAnn prędzej się zabije, niż pójdzie z tym człowiekiem do ołtarza. LuAnn siedziała tu jeszcze tylko dlatego, że nie miała dokąd pójść albo że brakowało jej odwagi, aby coś zmienić. To Shirley wiedziała na pewno, a przynajmniej tak jej się wydawało. Wszyscy mieli LuAnn za taką piękną, taką zgrabną. Shirley skrzywiła się i mimo zimnego wiatru dmącego nad drogą, jeszcze bardziej poczerwieniła na twarzy. No, zobaczymy, co powiedzą o urodzie LuAnn, kiedy ona się z nią porachuje.

Do przyczepy było już niedaleko, Shirley pochyliła się więc nisko i zaczęła przemykać chyłkiem od drzewa do drzewa. Przed wejściem stał wielki kabriolet. Widać było ślady jego opon w stwardniałym błocie. Mijając samochód, zatrzymała się na chwilę, żeby zajrzeć do środka, po czym skradając się, ruszyła dalej. A jak w przyczepie jest ktoś jeszcze? Uśmiechnęła się do siebie. Może pod nieobecność Duane'a LuAnn kogoś sobie sprowadziła. Jeśli tak, to jej zemsta będzie jeszcze słodsza. Uśmiechnęła się szerzej, wyobrażając sobie gołą LuAnn wyskakującą z wrzaskiem z przyczepy. Nagle wszystko wokół ucichło i znieruchomiło. Ustał nawet wiatr. Shirley, już bez uśmiechu, rozejrzała się niespokojnie. Mocniej ścisnęła ucho bańki i sięgnęła do kieszeni kurtki po nóż myśliwski. Jeśli nie trafi kwasem akumulatorowym, który miała w bańce, to już na pewno trafi nożem. Od dziecka uprawiała dziczyznę i ryby i w posługiwaniu się nim mogła iść w zawody z najlepszymi. Buźka LuAnn zapozna się z tymi umiejętnościami, przynajmniej w miejscach, do których nie dotrze kwas. – O, cholera –

mruknęła, kiedy przed samymi schodkami uderzył ją prosto w twarz jakiś odór.

Rozejrzała się ponownie. Takiego smrodu nie pamiętała nawet z czasów, kiedy odpracowywała krótki wyrok na miejscowym wysypisku śmieci. Wsunęła nóż z powrotem do kieszeni, odkręciła pokrywkę bańki i zakryła nos chusteczką. Smród nie smród, za daleko już zaszła, żeby teraz zawracać. Wślizgnęła się na palcach do przyczepy i podkrađła do sypialni. Uchyliła drzwi i zajrzała. Nikogo. Zamknęła cicho drzwi i odwróciła się, żeby przejść w drugi koniec przyczepy. Może tam śpi LuAnn ze swoim gachem. W korytarzyku było ciemno, posuwała się więc po omacku wzdłuż ściany. Kilka kroków od celu przygotowała się do natarcia. Skoczyła i zahaczywszy nogą o coś leżącego na podłodze, runęła jak długa, lądując twarzą w twarz z rozkładającym się źródłem tego smrodu. Jej wrzask słychać było chyba aż na głównej szosie.

– Niewiele kupiłaś, LuAnn. – Charlie policzył wzrokiem torby leżące na kanapie w jej hotelowym pokoju.

LuAnn wyszła z łazienki z włosami zaplecionymi w gruby warkocz, przebrana w dżinsy i biały sweterek.

– Tylko się rozglądałam. To też przyjemne. Poza tym tutejsze ceny z nóg mogą zwalić. Boże!

– Przecież to ja bym płacił – zaprotestował Charlie. – Sto razy ci powtarzałem.

– Nie chcę, żebyś wydawał na mnie pieniądze, Charlie.

Charlie usiadł w fotelu i spojrzał na nią.

– To nie moje pieniądze. To też ci mówiłem. Mam zagwarantowany zwrot wydatków. Możesz mieć, co chcesz.

– Tak powiedział pan Jackson?

– Coś w tym rodzaju. Nazwijmy to zaliczką na poczet twojej wygranej. – Uśmiechnął się.

LuAnn przysiadła na łóżku i z zachmurzoną twarzą zaczęła splatać i rozplatać palce. Lisa, która siedziała wciąż w wózku, bawiła się zabawkami, które kupił jej Charlie. Po pokoju rozchodziły się jej radosne popiskiwanie.

– Masz tutaj. – Charlie podał LuAnn paczuszkę z fotografiami – z ich spaceru po Nowym Jorku. – Do pamiątkowego albumu.

LuAnn spojrzała na fotografie i twarz się jej wypogodziła.

– Nigdy bym nie pomyślała, że spotkam w tym mieście dorożkę zaprzęzoną w konia. Wspaniała była ta przejażdżka po tym dużym, starym parku. Kto by się tego spodziewał między tymi wszystkimi budynkami?

– Przestań, nigdy nie słyszałaś o Central Parku?

– A jakże, słyszałam. Ale nie wierzyłam. – LuAnn wręczyła mu dwie swoje małe fotografie, które wyciągnęła z pacuszki.

– O, dobrze, że mi przypomniałaś – powiedział Charlie.

– To do mojego paszportu?

Kiwnął głową i schował fotografie do kieszeni marynarki.

– A Lisa go nie potrzebuje?

Pokręcił głową.

– Jest jeszcze za mała. Może podróżować na twój.

– Aha.

– Słyszałem, że zamierzasz zmienić nazwisko?

LuAnn odłożyła fotografie i zabrała się do przeglądania zakupów.

– Pomyślałam sobie, że tak będzie lepiej. To ma być początek czegoś nowego...

– Wiem od Jacksona, że tak powiedziałaś. Zastanawiam się tylko, czy naprawdę tego chcesz.

LuAnn straciła zainteresowanie zakupami, opadła ciężko na kanapę i podparła się rękoma pod brodę. Charlie patrzył na nią przenikliwie.

– Przestań, LuAnn, zmiana nazwiska nie jest taka znowu straszna. Co cię gryzie?

Podniosła na niego wzrok.

– Jesteś pewien, że wygram na tej loterii?

– Jutro się okaże, LuAnn – rzekł ostrożnie – ale myślę, że nie będziesz zawiedziona.

– Tyle pieniędzy, ale ja wciąż mam mieszane uczucia, Charlie.

Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

– Zamówię coś do pokoju. Posiłek z trzech dań i butelkę wina. Do tego gorącą kawę i tak dalej. Zjesz, to od razu humor ci się poprawi.

Otworzył menu i zaczął je studiować.

– Robiłeś to już kiedyś? To znaczy, opiekowałeś się już ludźmi, którzy... których wybrał pan Jackson?

Charlie spojrzał na nią znad menu.

– Tak, pracuję dla niego od jakiegoś czasu. Osobiście nigdy się z nim nie spotkałem. Komunikujemy się wyłącznie przez telefon. To łebski facet. Trochę za dupowaty, jak na mój gust, trochę za bardzo szurnięty, ale ma głowę na karku. Dobrze mi płaci, nie mogę narzekać. A opiekowanie się ludźmi w szykownych hotelach i zamawianie posiłków do pokoju to nie taka znowu zła fucha – dorzucił z szerokim uśmiechem. – Ale nigdy jeszcze nie miałem podopiecznego, z którym czułbym się tak dobrze jak z tobą.

– LuAnn przykłękała przy wózku i z koszyczka bagażowego na spodzie wzięła zawiniętą w elegancki papier paczkę. Wręczyła ją Charliemu.

Spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– Co to?

– Kupiłam ci prezent. To ode mnie i od Lisy.

– Kiedy to zrobiłaś?

– Pamiętasz, jak odszedłeś na chwilę do stoiska z męską odzieżą?

– LuAnn, nie musiałaś...

– Wiem – wpadła mu w słowo. – Prezenty mają to do siebie, że nie ma przymusu ich dawania. – Charlie, nie odrywając od niej oczu, mocno ścisnął paczkę w dłoniach. – No, rozpakuj wreszcie – ponagliła.

Zaczął ostrożnie odwijać papier, a LuAnn podeszła do wózka i wzięła Lisę na rękę. Obserwowały obie, jak Charlie otwiera pudełko.

– O rany! – Ostrożnie wyciągnął ciemnozieloną fedorę. Miała szeroką na całą opaskę na denku i wyściółkę z kremowego jedwabiu w środku.

– Zauważyłam, jak przymierzasz ten kapelusz w sklepie. Bardzo ci w nim było do twarzy. Ale odłożyłeś go na miejsce. Widać było, że z ociąganiem.

– LuAnn, on był bardzo drogi. Machnęła ręką.

– Miałam trochę oszczędności. Podoba ci się?

– Jest piękny, dziękuję. – Uścisnęła LuAnn, a potem swoją wielką łapą ujął delikatnie pulchną piąstkę Lisy i potrząsnął nią z powagą. – I tobie też dziękuję, młoda damo. Wspaniały gust.

– No, przymierz jeszcze raz. Sprawdź, czy pasuje. – Włożył kapelusz i przejrzał się w lustrze. – Bomba, Charlie, naprawdę bomba.

Uśmiechnął się.

– Nieźle, całkiem nieźle. – Manipulował kapeluszem, dopóki nie ułożył go na głowie pod właściwym kątem. Potem zdjął kapelusz i usiadł. – Nigdy jeszcze nie dostałem prezentu od ludzi, którymi się opiekowałem. Ale zazwyczaj jestem z nimi najwyżej przez dwa dni, a potem przejmuje ich Jackson.

LuAnn skwapliwie podchwyciła temat:

– Jak doszło do tego, że się tym zajmujesz?

– Rozumiem, że chciałybyś usłyszeć historię mojego życia?

– No pewnie. Ja się już dosyć nagadałam.

Charlie rozsiadł się wygodnie w fotelu i wskazał na swoją twarz.

– Zakład, że nie domyśliłaś się jeszcze, że próbowałem kiedyś sił na bokserskim ringu. – Uśmiechnął się. – Przeważnie byłem sparingpartnerem – workiem treningowym dla tych, co byli na fali. Miałem na tyle oleju w głowie, żeby się wycofać, zanim do końca nie obtłukli mi mózgu. Potem grałem półzawodowo w futbol. Niewiele się to różni od boksu, ale człowiek musi przynajmniej kask i ochraniacze. Jednak od dziecka lubiłem sport i odpowiadał mi taki sposób zarobkowania.

– Od razu widać, że jesteś w dobrej formie.

Charlie poklepał się z dumą po twardym brzuchu.

– Nieźle, jak na pięćdziesięcioczerolatka, co? Tak czy owak, po wycofaniu się z czynnego uprawiania sportu byłem przez jakiś czas trenerem, ożeniłem się, nosiło mnie to tu, to tam, no wiesz, nie mogłem sobie znaleźć miejsca.

– Dobrze znam to uczucie – przyznała LuAnn.

– Aż pewnego dnia w moim życiu nastąpił zdecydowany zwrot.

Zawiesił głos, by zdusić w popielniczce niedopałek papierosa, i natychmiast przypalił sobie następnego.

LuAnn skorzystała z tej okazji, by włożyć Lisę z powrotem do wózka.

– Co się stało?

– Spędziłem jakiś czas w gościnie u rządu Stanów Zjednoczonych. – Wyczytał z oczu LuAnn, że nie rozumiała. – Siedziałem w więzieniu federalnym, LuAnn – wyjaśnił.

– Nie wyglądasz na przestępcę, Charlie – powiedziała zdumiona.

Roześmiał się.

– Nie wiem, czy wyglądam, czy nie. Powiem ci tylko, że za kratki nie trafia się za wygląd.

– A ty za co tam trafiłeś?

– Za uchylanie się od płacenia podatków. Zarzucono mi oszustwo podatkowe, tak nazwał to oskarżyciel. I miał rację. Zwyczajnie znudziło mi się je płacić. Ledwie wiązał człowiek koniec z końcem, a musiał jeszcze odpalać dolę fiskusowi. – Przygładził dłonią włosy. – Ten mały błąd kosztował mnie trzy lata i małżeństwo.

– Przykro mi, Charlie.

Wzruszył ramionami.

– Ta odsiadka to było najlepsze, co mi się w życiu przytrafiło. Karę odbywałem w zakładzie o minimalnym rygorze, ze zgrają defraudantów, aferzystów i innych drobnych kanciarzy, nie musiałem więc żyć w ciągłym strachu, że ktoś odrąbie mi głowę. Zrobiłem tam parę klas szkoły, zacząłem się wreszcie zastanawiać, co począć ze swoim życiem. Tylko pod jednym względem pobyt w pudle nie wyszedł mi na dobre. – Pomachał papierosem. – Przed pójściem do więzienia nie paliłem. Tam kopcili wszyscy. Po wyjściu na wolność rzuciłem palenie. Wytrzymałem długo. Zacząłem znowu przed pół rokiem. Ale wracając do tematu, po wyjściu z więzienia zacząłem pracować u swojego adwokata w charakterze przybocznego detektywa. Wiedział, że pomimo wyroku, który miałem na koncie, porządny i sumienny ze mnie gość. Poza tym znałem wielu ludzi zarówno z dolnego, jak i górnego przedziału skali społeczno-ekonomicznej, rozumiesz, w czym rzecz. Mnóstwo kontaktów. Plus to, czego się nauczyłem, siedząc w kiciu. Mówiłaś o wykształceniu. Ja poznałem „profesorów” z każdej branży, od wyłudzaczy odszkodowań z firm ubezpieczeniowych po właścicieli warsztatów legalizujących skradzione samochody. Te znajomości bardzo mi się przydały, kiedy zacząłem pracę w kancelarii prawniczej. To była dobra fucha, lubiłem tę robotę.

– A jak spiknąłeś się z panem Jacksonem?

Teraz Charlie trochę spochmurniał.

– Zadzwoił do mnie pewnego dnia. Wdepnąłem w takie małe kłopoty. Naprawdę nic poważnego, ale byłem jeszcze na zwolnieniu warunkowym i mogłem za to zafasować dłuższy wyrok. Zaproponował, że mnie z tego wyciągnie, a ja przyjąłem propozycję.

– Mniej więcej tak samo było ze mną – odezwała się LuAnn. – Jego propozycje bywają nie do odrzucenia.

Spojrzał na nią ze znużeniem, które nagle pojawiło się w jego oczach.

– Tak – mruknął.

LuAnn przysiadła na brzegu łóżka i wyrzuciła z siebie:

– Nie popełniłam dotąd żadnego oszustwa, Charlie.

Charlie zaciągnął się papierosem i odłożył go do popielniczki.

– Zależy chyba, jak się na to patrzy.

– Co przez to rozumiesz?

– No bo jak się nad tym dobrze zastanowić, to oszukują, i to każdego dnia, nawet ludzie skądinąd prawi, uczciwi i ciężko pracujący. Jedni na dużą skalę, inni na mniejszą. Ludzie kantuja przy płaceniu podatków albo, jak ja, w ogóle ich nie płacą. Ludzie nie zwracają pieniędzy, jeśli kasjerka w sklepie pomyli się na swoją niekorzyść. Ludzie kłamią na co dzień odruchowo, czasami po to, żeby przy zdrowych zmysłach dotrzeć do wieczora. Zdarzają się też poważne oszustwa. Żonaci mężczyźni biorą sobie kochanki, mężatki kochanków. O tym akurat sporo wiem. Moja była żona zdradzała mnie na potęgę.

– Ja też tego zakosztowałam – powiedziała cicho LuAnn.

Charlie spojrzał na nią.

– Jakiś tępý sukinsyn, tyle tylko powiem. Tak czy owak, to wszystko kumuluje się przez całe życie.

– Ale nie do czegoś wartego pięćdziesiąt milionów dolarów.

– W przeliczeniu na dolary może nie. Ale ja tam wolę jedno duże oszustwo niż tysiąc małych, które i tak w końcu popełnisz, a potem sama siebie zniełubisz.

LuAnn objęła się ramionami i zadrzała. Przyglądał jej się przez chwilę, po czym spuścił znowu wzrok na menu.

– Zamawiam kolację. Ryba ci odpowiada?

LuAnn kiwnęła głową, wpatrując się nieobecny wzrokiem w swoje buty. Charlie sięgnął do telefonu.

Złożywszy zamówienie, wyjął z paczki kolejnego papierosa i go przypalił.

– Do licha, nikt, kogo znam, nie odrzuciłby oferty, którą ci złożono. Moim zdaniem byłabyś głupia, gdybyś to zrobiła. – Milczał przez chwilę, bawiąc się zapalniczką. – Krótco cię znam, ale z tego, co zdążyłem zaobserwować, potrafiłabyś się chyba wybielić, przynajmniej we własnych oczach. Podniosła na niego wzrok.

– W jaki sposób?

– Przeznaczając część tych pieniędzy na pomoc innym ludziom – powiedział zwyczajnie. – Zakładając, dajmy na to, jakąś fundację albo coś w tym rodzaju. Nie mówię, że masz w ogóle nie korzystać z tej forsy. Sądzę, że sobie na nią zasłużyłaś – dorzucił. – Przeglądałem materiały na twój temat. Nie miałaś najłatwiejszego życia.

LuAnn wzruszyła ramionami.

– Jakoś sobie radziłam.

Charlie wstał z fotela i przysiadł się do niej.

– No właśnie, LuAnn, radziłaś sobie. I teraz też sobie poradzisz. – Patrzył jej z napięciem w oczy. – Czy teraz, kiedy się już przed tobą wywnętrzyłem, mogę ci zadać jedno osobiste pytanie?

– Zależy jakie.

– Bardzo proste. – Kiwnął głową. – No więc, jak powiedziałem, przeglądałem materiały na twój temat. I nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że związałaś się z kimś takim jak Duane Harvey. Przecież to patentowany nieudacznik.

Nagle stanęło jej przed oczami szczupłe ciało Duane'a leżące twarzą do brudnej wykładziny, przypomniała sobie ten cichy jęk, z jakim stoczył się z kanapy, zupełnie jakby ją wołał, jakby błagał, żeby mu pomogła.

– Duane nie jest taki zły. Tylko że życie też go nie rozpieszczało. – Wstała i zaczęła spacerować po pokoju. – Po śmierci mamy przechodziłam ciężki okres. Duane'a poznałam, kiedy zastanawiałam się, jak pokierować dalej swoim życiem. Nasz okręg ma to do siebie, że jeśli człowiek przy pierwszej nadarzającej się sposobności nie ucieknie w świat, to już do grobowej deski się stamtąd nie wyrwie. W okręgu Rikersville nie osiedlił się nigdy nikt z zewnątrz, przynajmniej ja o kimś takim nie słyszałam. – Odetchnęła głęboko i ciągnęła: – Duane przeprowadził się właśnie do przyczepy kempingowej, którą ktoś porzucił. Miał wtedy pracę. Dobrze mnie traktował, myśleliśmy nawet o małżeństwie. Był po prostu inny.

– Postanowiłaś zostać jedną z tych, co wegetują tam do grobowej deski?

Spojrzała na niego z oburzeniem.

– Skąd! Chcieliśmy się stamtąd wynieść. Pragnęłam tego ja i myślał o tym Duane, przynajmniej tak mówił. – Zatrzymała się i popatrzyła na Charliego. – I wtedy urodziła się Lisa – podjęła. – To pokrzyżowało Duane'owi plany. Chyba nie uwzględniał w nich dziecka. No, ale stało się... i uważam, że to najlepsze, co mogło mnie spotkać. Ale między mną a Duane'em coś zaczęło się psuć. Zrozumiałam, że muszę od niego odejść. Zastanawiałam się właśnie, jak to zrobić, kiedy zadzwonił pan Jackson.

LuAnn spojrzała na migotliwe światła miasta na tle zapadających za oknem ciemności.

– Jackson mówił o jakichś warunkach związanych z pieniędzmi. Wiem, że nie robi tego z miłości do mnie. – Obejrzała się przez ramię na Charliego.

– Tak, masz rację – odchrząknął.

– Wiesz, co to za warunki?

Charlie kręcił już głową, zanim zdążyła skończyć.

– Wiem tylko, że dostaniesz tyle pieniędzy, że nie będziesz wiedziała, co z nimi robić.

– I mogę z nich korzystać wedle własnego uznania, zgadza się?

– Zgadza. Są twoje. Możesz ogołocić do czysta Saksa przy Piątej Alei i Tiffany'ego na dokładkę. Albo zbudować szpital w Harlemie. To zależy tylko od ciebie.

LuAnn spojrzała znowu w okno. Z błyszczącymi oczami snuła marzenia, wobec których karłała rysująca się za szybą panorama miasta. W tej właśnie chwili coś w niej zaskoczyło!

Nawet to mrowie nowojorskich budynków nie pomieściłoby, chyba wszystkich jej pomysłów na dalsze życie. Na spożytkowanie tych pieniędzy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Powinniśmy zostać w hotelu przed telewizorem. – Charlie rozejrzał się nerwowo. – Jackson mnie zabije, jak się dowie, że tutaj przyszliśmy. Mam wyraźny zakaz przyprowadzania w to miejsce „klientów”.

Przez owo „miejsce” rozumiał centralę Komisji Krajowej Loterii Stanów Zjednoczonych mieszczącą się w nowiutkim, nowoczesnym, cienkim jak igła wysokościowcu przy Park Avenue.

Ogromne audytorium wypełnione było po brzegi. Na sali roilo się od korespondentów sieci telewizyjnych z mikrofonami w garściach, dziennikarzy z rozmaitych czasopism i gazet oraz ekip telewizji kablowej.

LuAnn z Lisa na rękę stała przed samym podwyższeniem. Miała na nosie ciemne okulary, które kupił jej Charlie, a na głowie założoną daszkami do tyłu czapkę baseballową, pod którą upchnęła długie włosy. Zapadającą w pamięć figurę maskował długi do kostek płaszcz.

– Nie denerwuj się, Charlie, w tym przebraniu nikt mnie nie zapamięta.

Pokręcił sceptycznie głową.

– Nadal mi się to nie podoba.

– Musiałam tu przyjść. Telewizja to nie to samo.

– Założę się, że zaraz po losowaniu Jackson zadzwoni do hotelu – wymruczał.

– Powiem mu, że spałam i nie słyszałam telefonu.

– Dobrze sobie! – zniżył głos. – Idziesz spać, mając w perspektywie wygranie co najmniej pięćdziesięciu milionów dolców?

– No dobrze, ale jeśli z góry wiem, że wygram, to czym tu się podniecać? – odparowała.

Charlie nie miał na to gotowej odpowiedzi, zacisnął więc tylko usta i ponownie przesunął czujnym spojrzeniem po sali i twarzach zgromadzonych w niej ludzi.

LuAnn patrzyła na maszynę do losowania stojącą na stole, który zajmował środek podwyższenia. Maszyna miała sześć stóp długości i składała się z dziesięciu pionowych, przezroczystych rur, każda z przymocowanym u dołu pojemnikiem z dziesięcioma ponumerowanymi kulami wielkości piłeczek pingpongowych. Po uruchomieniu maszyny sztucznie wywołany wir powietrza zacznie mieszać kule w pierwszym pojemniku, i będzie to trwało dopóty, dopóki jedna z nich nie natrafi na mały otwór, przez który zostanie wessana do rury, a następnie pochwycona u jej szczytu i przytrzymana tam przez specjalne urządzenie. Po przechwyceniu kuli pojemnik z pozostałymi kulami u spodu tej rury zostanie natychmiast zamknięty, co automatycznie zapoczątkuje podobny proces w następnym pojemniku. I tak dalej, przy napięciu wzrastającym wśród zebranych, aż do wylosowania wszystkich dziesięciu wygrywających numerów.

Ludzie popatrywali nerwowo na swoje kupony loteryjne. Niejeden trzymał w ręce cały ich

plik. Jakiś młodzieniec odchylił wieko laptopa i zaczął przeglądać swój elektroniczny spis. Przez ekran przewijały się setki kombinacji numerów, na które postawił. LuAnn na swój kupon nie musiała spoglądać, znała ten ciąg cyfr na pamięć: 0-8-1-0-0-8-0-5-2-1. Składały się nań daty urodzin jej i Lisy oraz wiek, jaki osiągnie LuAnn z najbliższym dniem swoich urodzin. Czekając na rozpoczęcie losowania, obserwowała rozgorączkowane twarze otaczających ją ludzi, ich usta poruszające się bezgłośnie w błagalnych modlitwach, i opuszczały ją resztki skrupułów. Nie będzie im ani trochę współczuła z powodu rozczarowania, jakiego za chwilę doznają. Powzięła ostateczną decyzję i to dodało jej skrzydeł. Właśnie dlatego stała teraz pośrodku tej ciżby spiętych ludzi, zamiast chować się pod łóżkiem w Waldorfie.

Otrząsnęła się z tych refleksji, kiedy zza kulis wyszedł na podwyższenie jakiś mężczyzna. Na sali zrobiło się natychmiast cicho jak makiem zasiał. LuAnn wcale by się nie zdziwiła, widząc w tej roli Jacksona, ale mężczyzna był młodszy i o wiele przystojniejszy. Ciekawe, czy i on bierze w tym udział. Wymienili z Charliem porozumiewawcze uśmiechy. W ślad za mężczyzną postępowała blondynka w krótkiej spódniczce, czarnych nylonach i szpilkach. Założywszy ręce za plecy, zajęła miejsce obok skomplikowanej maszyny losującej.

Kamery skierowały się na twarz mężczyzny i ten powiedział kilka słów wprowadzających, powitał przybyłych na losowanie loterii, a potem zawiesił dramatycznie głos, powiódł wzrokiem po morzu głów i obwieścił wiadomość wieczora. Oficjalna pula wyliczona w ostatniej chwili na podstawie liczby sprzedanych kuponów osiągnęła rekordową wysokość i wynosi sto milionów dolarów! Kiedy z ust prowadzącego padła ta gigantyczna suma, przez salę przetoczył się zbiorowy pomruk niedowierzania. Nawet LuAnn opadła szczęka. Charlie spojrzął na nią, pokręcił nieznacznie głową, pochylił się i szepnął jej do ucha:

– Kurczę, możesz ogołocić do czysta i Saksa, i Tiffany’ego, i jeszcze wybudować szpital w Harlemie, a wszystko to z samych odsetek.

– Tak, to największa pula w dziejach loterii i za chwilę ktoś, jakiś nieprawdopodobny szczęściarz, ją wygra – obwieścił prowadzący ciągnienie tonem showmana, uśmiechając się promiennie.

Tłum przyjął te słowa dzikim aplauzem. Mężczyzna teatralnym gestem dał znak kobiecie, i ta wcisnęła klawisz na obudowie, włączając maszynę. Kule w pierwszym pojemniku ruszyły w obłądny taniec. Kiedy przypuściły szturm na wąski przesmyk prowadzący do pionowej rury, LuAnn wstrzymała oddech. Serce waliło jej jak oszalałe. Co tam stojący tuż obok Charlie, co tam opanowanie i pewność siebie pana Jacksona, co tam fakt przewidzenia przezeń wyniku losowania loterii codziennej, co tam wszystko inne, co przytrafiło się jej w ciągu kilku ostatnich dni – musiała chyba na głowę upaść, że dała się w to wciągnąć. Jak Jackson czy w ogóle ktokolwiek może kontrolować zachowanie tych kłębiących się żywiołowo kul? To, co rozgrywało się teraz na jej oczach, przypominało zmasowany atak plemników na jajeczko. Widziała kiedyś taki film popularnonaukowy w telewizji. Jakie są szanse bezbłędnego wskazania tego, który przebiję się w końcu przez osłonkę? Słabo jej się zrobiło, kiedy po szybkim rozważeniu sytuacji pozostały jej

do wyboru tylko dwie możliwości: albo przyjdzie jej wracać do Rikersville i tłumaczyć się z dwóch trupów w pełnej narkotyków przyczepie kempingowej, którą nazywała swoim domem; albo zostanie tutaj, poszuka schronienia w najbliższym przytułku dla bezdomnych i będzie tam kontemplować swoje zrujnowane życie.

Jeszcze mocniej przytuliła do siebie Lisę, a dragą ręką poszukała dłoni Charliego. Jedna z kul precyzyjnie się przez otwór prowadzący do pierwszej rury i została w niej przechwycona. Nosiła numer zero. Pokazano ją na wielkim ekranie, który wisiał nad podwyższeniem. Jednocześnie rozbrykały się kule w drugim pojemniku. Również spośród nich po kilku sekundach wyłoniona została zwycięzcy: kula z cyfrą osiem. Do rur przyporzędowanych następnym pojemnikom precyzyjnie się jedna po drugiej sześć kolejnych kul. Kształtująca się stopniowo kombinacja wygrywających numerów wyglądała teraz następująco: 0-8-1-0-0-8-0-5. LuAnn, poruszając bezgłośnie ustami, odczytała powoli znajome cyfry. Pot wystąpił jej na czoło, nogi zrobiły się jak z waty. Boże – wyszeptała pod nosem – a więc to chyba prawda. Jackson dotrzymał słowa. Temu zarozumiałemu, dupowatemu człowieczkowi jakoś, w jakiś sposób wyszedł przekręt. Wokół rozlegały się jęki zawodu i gniewne pomruki. Ludzie, rozczarowani dotychczasowym wynikiem widniejącym na ekranie, darli swoje kupony i rzucali ich strzepy na podłogę. LuAnn wpatrywała się jak urzeczona w budzące się do życia kule w dziewiątym pojemniku. W jej odczuciu cały ten proces przebiegał teraz w najwolniejszym z wolnych temp. W końcu w rurę numer dziewięć wessana została kula z cyfrą dwa. W tłumie nie było już twarzy, na której malowałyby się nadzieje. Z jednym wyjątkiem.

W ruch poszły kule z ostatniego pojemnika. Kula z cyfrą jeden przepchnęła się szybko w okolice otworu prowadzącego do ostatniej rury. Zdawało się, że jeszcze chwila, a przeleci przezeń i pomknie po zwycięstwo. Siła, z jaką LuAnn ścisnęła dłoń Charliego, zaczęła słabnąć. I nagle kula z numerem jeden, niczym przekłuty balon, z którego uchodzi powietrze, opadła na dno, a jej miejsce w kolejce do otworu, nabierając niespodziewanie energii i determinacji, zajęła kula z numerem cztery. Zdecydowanymi, szarpanymi ruchami starała się przybliżyć do otworu prowadzącego do dziesiątej i ostatniej rury, ale coś jakby ją za każdym razem od niego odpychało. Krew odpłynęła LuAnn z twarzy, nogi się pod nią ugięły.

– O, cholera – powiedziała głośno, nie bacząc, że w tłumie, choć gwarным, usłyszeć ją może nie tylko Charlie. Ścisnęła palce Charliego tak mocno, że ten omal nie krzyknął z bólu.

Charliemu też serce waliło jak młotem. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby Jacksonowi coś się nie udało, ale nigdy nic nie wiadomo. Do diabła, przecież nie zaszkodzi – pomyślał, wsunął wolną rękę pod koszulę i namacał tam graby srebrny krzyżyk, który nosił na szyi od dziecka. Potarł go na szczęście.

Powoli, tak powoli, że LuAnn nieomal stanęło serce, dwie unoszone wirami gorącego powietrza kule zamieniły się znowu miejscami jak w precyzyjnie wychoreografowanym tańcu, po drodze odbijając się nawet od siebie rykoszetem. Po tej przelotnej kolizji kula z cyfrą jeden zlitowała się wreszcie nad LuAnn, śmignęła przez otwór i została przechwycona w dziesiątej i

ostatniej rurze.

LuAnn ogromnym wysiłkiem woli stłumiła cisnący się na usta okrzyk nie tyle radości, że stała się właśnie bogatsza o sto milionów dolarów, co ulgi. Spojrzeli na siebie z Charliem szeroko otwartymi oczyma. Oboje dygotali, oboje złani byli potem, jak po odbytym właśnie stosunku. Charlie pochylił się do niej, wyginając w łuk brwi, jakby chciał powiedzieć: „No i widzisz, wygrałaś”.

LuAnn kiwnęła nieznacznie głową. Lisa kopnęła i wrywała się, wyczuwając podniecenie matki.

– Cholera – mruknął Charlie. – O mało nie zsikałem się w spodnie przy tej ostatniej kuli. – Wyprowadził LuAnn z sali i po paru minutach szli już wolno ulicą w kierunku hotelu. Był piękny, rześki wieczór. Charlie zatarł dłonie. – Boże, myślałem, że mi połamiesz paluchy. Czemu się tak denerwowałaś?

– Lepiej, żebyś nie wiedział – ucięła stanowczym tonem i pocałowała Lisę w policzek. Szła przez chwilę w milczeniu, wciągając w płuca ogromne chausty świeżego, chłodnego powietrza. Rozsadzała ją euforia. Niespodziewanie z przewrotnym uśmiechem trąciła Charliego łokciem w bok. – Kto ostatni do hotelu, ten stawia kolację. – Wystartowała jak rakieta; długi płaszcz wydał się na jej plecach niczym spadochron. Zostawiła go daleko w tyle, ale mimo to Charlie słyszał wciąż jej radosne popiskiwanie. Uśmiechnął się i ruszył biegiem za nią. Humory z pewnością by się im popsęły, gdyby zauważyli mężczyznę, który przyszedł za nimi na losowanie krajowej loterii i obserwował ich teraz z drugiej strony ulicy. Romanello przeczuwał, że śledzenie LuAnn może zaowocować bardzo interesującymi rezultatami. Ale nawet on przyznać musiał, że to, co odkrył, daleko przewyższało jego oczekiwania.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Na pewno tam właśnie chcesz jechać, LuAnn?

– Tak jest, panie Jackson – powiedziała z przekonaniem do słuchawki. – Zawsze chciałam odwiedzić Szwecję. Stamtąd dawno temu wyemigrowali do Ameryki przodkowie mojej mamy. Marzyła, żeby tam pojechać, ale jakoś nigdy się nie wybrała. Robię to więc jakby dla niej. Będą z tym jakieś trudności?

– Trudności są ze wszystkim, LuAnn. Tylko w różnym nasileniu.

– Ale pan to potrafi załatwić, prawda? Właściwie to inne kraje też chciałabym zwiedzić, ale bardzo mi zależy, żeby zacząć od Szwecji.

– Skoro potrafię zapewnić komuś takiemu jak ty wygranie stu milionów dolarów – powiedział z rozdrażnieniem Jackson – to chyba nie ma wątpliwości, że potrafię zająć się równie skutecznie twoimi planami wojaży.

– Byłabym bardzo wdzięczna. Naprawdę. – LuAnn zerknęła na Charliego, który zabawiał Lisę. Uśmiechnęła się do niego. – Bardzo dobrze ci to wychodzi.

– Słucham? – zdumiał się Jackson.

– O, przepraszam, mówiłam do Charliego.

– Daj mi go do telefonu. Musimy omówić twoją wizytę w biurze loterii celem potwierdzenia autentyczności wygrywającego kuponu. Im szybciej to załatwimy, tym szybciej odbędzie się konferencja prasowa i będziesz mogła ruszać w drogę.

– Mówił pan o jakichś warunkach... – zaczęła LuAnn.

– Nie chcę teraz o tym dyskutować – przerwał jej Jackson. – Daj mi Charliego, śpieszę się.

LuAnn odebrała od Charliego Lisę i wręczyła mu słuchawkę. Obserwowała go bacznie, kiedy odwrócony do niej plecami rozmawiał przyciszonym głosem przez telefon. Na koniec kiwnął parę razy głową i rozłączył się.

– Wszystko w porządku? – spytała niespokojnie, uciszając kapryszą Lisę.

Charlie rozglądał się przez chwilę nieobecny wzrokiem po pokoju.

– Tak, w porządku – powiedział w końcu. – Dziś po południu masz się zgłosić w centrali loterii. Oczekaliśmy już, ile trzeba.

– Pójdiesz ze mną?

– Pojadę z tobą taksówką, ale nie wejdę do budynku. Zaczekam na ciebie na zewnątrz.

– I co ja mam tam niby robić?

– Zwyczajnie pokazać swój kupon. Potwierdzą jego autentyczność i wydadzą ci oficjalne zaświadczenie. Wszystko w obecności świadków, i tak dalej. Prześwietlą cię na wylot. Obejrzą kupon pod nowoczesnym laserem. Ma wtopione takie specjalne żyłki. Niektóre przebiegają pod ciągiem cyfr, które wytypowałeś. Jak na banknotach, żeby utrudnić życie fałszerzom. Nie da się

ich podrobić, a już na pewno nie w tak krótkim czasie. Zadzwońią do twojej kolektury, żeby się upewnić, czy rzeczywiście tam został złożony kupon o tym numerze serii. Zainteresują się twoim życiem osobistym. Skąd jesteś, czy masz dzieci, rodziców, i tak dalej. Trwa to parę godzin. Nie musisz czekać. Skontaktują się z tobą, kiedy cała procedura dobiegnie końca. Potem wydadzą oświadczenie dla prasy, że zgłosił się zwycięzca, ale twoje nazwisko ujawnią dopiero na konferencji prasowej. To taki chwyt psychologiczny. Naprawdę wpływa na zwiększenie sprzedaży kuponów na następne ciągnięcie. Na to ciągnięcie też nie będziesz musiała czekać. Konferencja prasowa zwołana zostanie następnego dnia.

– Wrócimy tutaj jeszcze?

– Nie, Linda Freeman jeszcze dzisiaj się wymeldowuje. Przenosimy się do innego hotelu, gdzie zameldujesz się już jako LuAnn Tyler, jedna z najbogatszych osób w kraju, która przyjechała właśnie do miasta odebrać wygraną.

– Byłeś już kiedyś na takiej konferencji prasowej?

Kiwnął głową.

– Na kilku. Bywa na nich czasem niezły cyrk. Zwłaszcza kiedy zwycięzcy przyprowadzają rodziny. Pieniądże mają dziwny wpływ na ludzi. Ale nie trwa to długo. Zadadzą ci trochę pytań i będziesz wolna. – Urwał, a potem dorzucił: – To ładnie z twojej strony, że jedziesz do Szwecji ze względu na matkę.

LuAnn, bawiąc się stopkami Lisy, spuściła wzrok.

– Trochę się boję. Nigdy nie byłam za granicą.

– Na pewno sobie poradzisz.

– Nie wiem, jak długo tam zabawię.

– A siedź, ile chcesz. Do licha, jak ci się spodoba, to możesz zostać nawet na zawsze.

– To raczej odpada. Wątpię, żebym tam pasowała.

Wziął ją za ramiona i spojrzał w oczy.

– Posłuchaj, LuAnn, uwierz wreszcie w siebie. Zgoda, nie możesz się pochwalić żadnymi stopniami ani tytułami naukowymi, ale jesteś inteligentna, kochasz swoje dziecko i masz dobre serce. To stawia cię w moich oczach wyżej od dziewięćdziesięciu dziewięciu procent ludzi żyjących w tym kraju.

– I tutaj nie dałabym sobie chyba rady bez twojej pomocy.

Wzruszył ramionami.

– Mówiłem już, że to moja praca. – Puścił ją i wygrzebał papierosa z paczki. – Może byśmy tak coś przekazali, zanim pojedziesz upomnieć się o swoją wygraną? No i co, jesteś gotowa, by stać się obrzydliwie bogata, moja panno?

LuAnn wzięła głęboki oddech.

– Jestem – powiedziała.

LuAnn wyszła z budynku Komisji Loteryjnej i skręciła w boczną uliczkę, gdzie w

umówionym miejscu czekał na nią Charlie z Lisa.

– Przyglądała się każdemu przechodniowi. Wypatrywała mamusi.

– Niedługo to ja będę za nią wszędzie biegała.

– Już chciała gdzieś pełznąć na czworakach, ledwie ją utrzymałem, przysięgam. – Charlie uśmiechnął się do rozradowanej widokiem matki Lisy i położył ją z powrotem do wózka. – No i jak poszło?

– Byli bardzo serdeczni. Bardzo uprzejmie mnie potraktowali. „Może kawy, pani Tyler?” „Chce pani gdzieś zatelefonować?” Jedna kobieta spytała mnie, czy nie zatrudniabym jej w charakterze osobistej asystentki. – LuAnn roześmiała się.

– Lepiej do tego przywyknij. Masz zaświadczenie?

– Tak, w torebce.

– Kiedy konferencja prasowa?

– Powiedzieli mi, że jutro o szóstej wieczorem. – Przyjrzała mu się uważnie. – Coś się stało?

Charlie nie odpowiedział, ale kiedy już szli, kilka razy obejrzał się ukradkowo przez ramię.

– Sam nie wiem – mruknął w końcu, spoglądając na nią dziwnie. – Siedząc w więzieniu, a potem bawiąc się w detektywa, wyrobiłem sobie coś w rodzaju wewnętrznego radaru, który mnie ostrzega, kiedy ktoś za bardzo się mną interesuje. Ten alarm teraz się wyłączył.

LuAnn chciała się rozejrzeć, ale powstrzymał ją.

– Nie rób tego. Idź dalej jak gdyby nigdy nic. O, właśnie tak. Zameldowałem cię już w tym innym hotelu. To o przecznicy stąd. Odprowadzę was tam, a potem trochę powęszę. Nie przejmuj się, to prawdopodobnie fałszywy alarm.

LuAnn popatrzyła na zmarszczki zatroskania wokół jego oczu i doszła do wniosku, że nie mówi tego, co myśli. Mocniej ścisnęła rączkę dziecięcego wózka.

Anthony Romanello, idący dwadzieścia kroków za nimi drugą stroną zatłoczonej o tej porze ulicy, odniósł niejasne wrażenie, że został zdemaskowany. Jego wewnętrzny dzwonek alarmowy wyzwoliło zauważalne usztywnienie w ruchach ludzi, za którymi podążał. Wbił ręce głębiej w kieszenie kurtki, przygarbił się i został trochę bardziej w tyle, ale tak, by pozostawali w zasięgu jego wzroku. Starał się też mieć bez przerwy na oku najbliższą wolną taryfę na wypadek, gdyby tamci postanowili wsiąść do taksówki. Tamtym załadowanie się do samochodu z wózkiem i dzieckiem zajęłoby trochę czasu i to dawało mu przewagę. Zdążyłby na pewno coś złapać. Ale para, którą śledził, doszła do swojego miejsca przeznaczenia pieszo. Romanello pokręcił się chwilę przed hotelem, potem spojrział w prawo, spojrział w lewo, i wszedł do środka.

– Kiedy to kupiłeś? – LuAnn patrzyła na stos nowych walizek i toreb podróżnych piętrzący się w kącie hotelowego apartamentu.

Charlie uśmiechnął się.

– Nie wybierzesz się przecież w swoją wielką podróż bez odpowiedniego bagażu. To

superwytrzymały sprzęt. Nie jakiś tam drogi chłam, który rozlatuje się, jak krzywo na niego spojrzeć. Jedna torba już spakowana. Masz w niej wszystko, co ci będzie potrzebne na drogę, z rzeczami Lisy włącznie. Zatrudniłem do tego moją przyjaciółkę. Będziemy się musieli wybrać dzisiaj na zakupy, żeby wypełnić czymś resztę bagażu.

– Boże, Charlie, wierzyć mi się nie chce. – Uścisnęła go i cmoknęła w policzek.

Zakłopotany, spuścił wzrok i zaczerwienił się.

– Drobiazg. Masz. – Wręczył jej paszport.

Wpatrywała się przez chwilę w skupieniu we wpisane do niego nazwisko, jakby oswajała się dopiero z tą swego rodzaju reinkarnacją, potem zamknęła małą granatową książeczkę. Była to brama do innego świata, świata, do którego wkrótce, przy odrobinie szczęścia, trafi.

– Zapelnij go stemplami, LuAnn, zwiedźcie z Lisa całą tę przeklętą planetę. – Charlie odwrócił się i ruszył do drzwi. – Mam coś do załatwienia. Niedługo wrócę.

Patrzyła za nim, obracając paszport w palcach, na policzki wystąpił jej lekki rumieniec.

– A może byś tak z nami pojechał, Charlie?

Odwrócił się powoli i spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Słucham?

LuAnn spuściła wzrok na swoje ręce i wyrzuciła z siebie:

– Pomyślałam sobie, że mam teraz tyle pieniędzy. A ty byłeś taki dobry dla mnie i dla Lisy. No i ja nigdzie jeszcze nie byłam, i w ogóle. I... no... chciałabym, żebyś z nami pojechał... to znaczy, jeśli masz ochotę. Zrozumiem, jeśli nie zechcesz.

– To wspaniałomyślna propozycja, LuAnn – powiedział cicho. – Ale ty mnie przecież wcale nie znasz. A to wielkie ryzyko proponować coś takiego komuś, o kim się prawie nic nie wie.

– Wiem wszystko, co trzeba – odparowała. – Wiem, że dobry z ciebie człowiek. Widzę przecież, jak się nami opiekujesz. I Lisa łączy do ciebie jak do nikogo innego. A to bardzo się dla mnie liczy.

Charlie uśmiechnął się do małej, a potem spojrzał znowu na LuAnn.

– Może najpierw przemyślny to sobie oboje, LuAnn. Potem porozmawiamy, zgoda?

Wzruszyła ramionami i odgarnęła z twarzy kilka niesfornych pasemek włosów.

– Ja ci nie proponuję małżeństwa, Charlie, jeśli tak to rozumiałeś.

– I bardzo dobrze, bo nadaję się raczej na twojego dziadka – odparł z uśmiechem.

– Ale ja naprawdę chciałabym cię mieć przy sobie. Niewielu mam przyjaciół, a jeszcze mniej takich, na których mogę polegać. A wiem, że tobie mogę zaufać. Jesteś moim przyjacielem, prawda?

– Tak – powiedział Charlie dziwnie zdławionym głosem. Odchrząknął i bardziej już oficjalnym tonem dodał: – Przyjąłem twoją propozycję do wiadomości, LuAnn. Porozmawiamy o niej, jak wrócę. Obiecuję.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, LuAnn ułożyła Lisę do snu, a potem wyjrzała przez okno. Charlie wychodził właśnie z hotelu. Odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zniknął jej z oczu.

Nie zauważyła, żeby ktoś za nim szedł, ale na ulicy było tyle ludzi, że pewności mieć nie mogła. Westchnęła i spochmurniała. Obco się tu bez niego czuła. Już go jej brakowało. Wybiegła myślami do konferencji prasowej, ale kiedy wyobraziła sobie zgraję obcych zasypujących ją gradem pytań, nerwy rozdygotały się jej tak, że dała sobie spokój.

Ktoś zapukał. Drgnęła i spojrzała spłoszona na drzwi.

– Służba hotelowa – dobiegł głos z korytarza.

Podeszła na palcach do drzwi i przyłożyła oko do judasza. Młody mężczyzna, który tam stał, rzeczywiście miał na sobie uniform chłopca hotelowego.

– Niczego nie zamawiałam – powiedziała, starając się zapanować nad drżącym głosem.

– Mam dla pani list i paczkę, proszę pani.

LuAnn wyprostowała się gwałtownie.

– Od kogo?

– Nie wiem, proszę pani. Jeden mężczyzna w holu prosił, żebym je pani dostarczył.

Czyżby Charlie? – pomyślała LuAnn.

– Wymienił moje nazwisko?

– Nie, pokazał mi panią podczas wsiadania do windy i powiedział, że to dla pani. Przyjmie je pani? – pytał cierpliwie. – Jeśli nie, to włożę jedno i drugie do przegródki w recepcji.

LuAnn uchyliła drzwi.

– Nie, proszę mi to dać.

Wysunęła ramię przez szparę i chłopiec hotelowy wcisnął jej w dłoń paczuszkę i list. Cofnęła szybko rękę i zamknęła drzwi. Młodzieniec stał przed nimi jeszcze chwilę oburzony, że jego fatyga i cierpliwość nie zostały nagrodzone napiwkami. Ale zleceniodawca sownie już go wynagrodził za przysługę, a więc jakoś to przeboleje.

LuAnn rozerwała kopertę i rozłożyła znajdujący się w niej arkusik z hotelowej papeterii. List był krótki.

Droga LuAnn!

Jak tam się ostatnio miewa Duane? I czym ty zaprawiłaś tego drugiego gościa? Zimny trup. Miejmy nadzieję, że policja nie zorientuje się, że tam byłaś. Myślę, że spodoba ci się artykuł, ta krótka notatka z życia twojego rodzinnego miasteczka. Pogadajmy. Za godzinę. Weź taksówkę i przyjedź pod Empire State Building. To obiekt naprawdę wart obejrzenia. Tego dużego faceta i dziecko zostaw w hotelu. Iks

LuAnn rozdarła szary papier, którym owinięta była paczka, i na podłogę wypadła gazeta. Schyliła się po nią. Był to „Atlanta Journal and Constitution”. Rozpostarła gazetę na stronie zaznaczonej kawałkiem żółtego papieru i usiadła na sofie.

Na widok nagłówka aż podskoczyła. Pożerała wzrokiem słowa, zerkając raz po raz na ilustrującą artykuł fotografię. Na ziarnistym, czarnobiałym zdjęciu przyczepa wyglądała jeszcze

nędziej niż w rzeczywistości. Co tu zresztą ukrywać, wyglądała tak, jakby się już rozleciała i czekała tylko na przybycie śmieciarzy, którzy wywożą ją razem z lokatorami na najbliższe wysypisko. Na fotografii widać też było fragment maski kabrioletu ze zdobiącym ją obscenicznym ornamentem. Wóz stał przodem do przyczepy jak pies myśliwski wystawiający panu zwierzyńcę.

Artykuł donosił o trupach dwóch mężczyzn i znalezionych w przyczepie narkotykach. Na widok nazwiska Duane'a Harveya LuAnn łzy napłynęły do oczu. Jedna skapnęła na gazetę i rozpląnęła się, wsiąkając w papier. LuAnn odchyliła się na oparcie sofy i zamknęła oczy, żeby uspokoić rozdygotane nerwy. Ochłonawszy nieco, podjęła lekturę. Drugiego mężczyzny jeszcze nie zidentyfikowano. Natrafiwszy w tekście na swoje nazwisko, zamarła. Policja już jej szukała. Nie doczytała się, żeby ją o coś oskarżano, ale jej zniknięcie musiało się wydać policji mocno podejrzane. Skrzywiła się, przeczytawszy, że zwłoki znalazła Shirley Watson. Ekipa dochodzeniowa zabezpieczyła też w przyczepie bańkę z kwasem akumulatorowym. LuAnn ściągnęła brwi. Kwas akumulatorowy. To Shirley wróciła z tym kwasem, żeby się mścić, jasna sprawa. Wątpiła jednak, żeby policja, mając pełne ręce roboty z co najmniej dwoma popełnionymi przestępstwami, zwracała sobie głowę tym, do którego nie doszło.

Kiedy siedziała tak wstrząśnięta, wpatrując się tępo w gazetę, do drzwi znowu ktoś zapukał. Omal nie spadła z sofy.

– LuAnn?

Odetchnęła głęboko.

– Charlie?

– A któżby inny?

– Chwileczkę. – Zerwała się na równe nogi, wydarła pośpiesznie artykuł z gazety, wepchnęła go do kieszeni, a list i resztę gazety wsunęła pod sofę.

Otworzyła drzwi. Charlie wszedł do pokoju i zdjął płaszcz.

– Beznadziejna sprawa. Szukaj igły w stogu siana. – Wysunął papierosa z paczki, zapalił i zapatrzył się w okno. – Ale wciąż nie mogę się pozbyć uczucia, że ktoś za nami łązi.

– Może to tylko jakiś złodziej, Charlie. Słyszałam, że pełno ich tutaj.

Pokręcił głową.

– To prawda, złodzieje się ostatnio rozzuchwalili, ale jeśli jest, jak mówisz, to dawno by już nas obrobili, wyrwaliby ci torebkę i zwiali. Całkiem też możliwe, że sterroryzowaliby nas pistoletem i oskubali w biały dzień na oczach ludzi. Ale ja mam wrażenie, że ten ktoś chodzi za nami już od jakiegoś czasu. – Odwrócił głowę i spojrzał na nią. – Nie przytrafiło ci się nic niezwykłego, kiedy tu jechałaś?

LuAnn pokręciła tylko głową, patrząc na niego szeroko rozwartymi oczami. Bała się odezwać.

– Nie zauważyłaś, żeby w drodze do Nowego Jorku ktoś cię śledził?

– Nikogo takiego nie widziałam, Charlie. Przysięgam. – LuAnn zaczęła drżeć. – Boję się.

Otoczył ją potężnym ramieniem.

– No, nie ma czego. Pewnie jestem przewrażliwiony. Ale to czasami popłaca. Słuchaj, może wybralibyśmy się na zakupy? Humor od razu ci się poprawi.

LuAnn wsunęła odruchowo rękę do kieszeni i namacała wydarty z gazety artykuł. Serce podchodziło jej do gardła, szukając miejsca, gdzie będzie mogło eksplodować. Spojrzała jednak na Charliego spokojnie, przymilnie.

– Wiesz, na co mam naprawdę ochotę?

– No, na co? Tylko powiedz i sprawa załatwiona.

– Chcę się uczesać. I może jeszcze zrobić manicure. Nie pokażę się przecież ludziom z takimi włosami i paznokciami. Jutrzejsza konferencja prasowa ma być transmitowana na cały kraj, chcę ładnie wyglądać.

– Jasny gwint, że też o tym nie pomyślałem. Zaraz znajdziemy w książce telefonicznej jakiś dobry salon piękności...

– Na dole, w holu, jest jeden taki – wpadła mu w słowo LuAnn. – Widziałam, jak wchodziłam. Robią tam włosy, paznokcie u rąk i nóg, makijaż, wszystko. Całkiem sztywnie wyglądał.

– To jeszcze lepiej.

– Zostaniesz z Lisa?

– Możemy zejść tam z tobą.

– Przestań, Charlie. Czyś ty się z choinki urwał?

– A co? Co ja takiego powiedziałem?

– Mężczyźni nie wchodzi do salonów piękności podpatrywać, co się tam dzieje. Kobiety mają swoje sekrety. Gdybyście wiedzieli, ile pracy trzeba włożyć, żebyśmy ładnie wyglądały, to przysłby cały czar. Ale mam dla ciebie zajęcie.

– Jakie?

– Kiedy wrócę, będziesz mógł postękiwać z zachwytu i kadzić mi, jaka jestem piękna.

– Z tym nie powinienem mieć specjalnych trudności – powiedział z uśmiechem Charlie.

– Nie wiem, jak długo mnie nie będzie. To może trochę potrwać. Gdyby Lisa zgłodniała, to w lodówce masz przygotowaną butelkę. Potem pobawisz się z nią trochę i położysz spać.

– Nie śpiesz się, nie mam nic w planie. Piwko, kablówka... – podszedł do wózka i wziął Lisę na rękę – i towarzystwo tej młodej damy. Niczego mi więcej do szczęścia nie potrzeba.

LuAnn zdjęła płaszcz z wieszaka.

– Po co ci on? – zdziwił się Charlie.

– Muszę kupić parę osobistych drobiazgów. Po drugiej stronie ulicy jest sklep.

– Możesz je kupić w stoisku z upominkami w holu.

– Jeśli ceny mają tam takie, jak w poprzednim hotelu, to ja dziękuję, wolę się przespacerować na drugą stronę ulicy i nie marnować pieniędzy.

– LuAnn, przecież jesteś teraz najbogatszą kobietą świata, mogłabyś kupić cały ten przeklęty

hotel.

– Przez całe życie po kilka razy oglądałam każdego centa, zanim go wydałam, Charlie. Nie mogę się z dnia na dzień pozbyć starych nawyków. – Otworzyła drzwi i obejrzała się na niego, usiłując ukryć zdenerwowanie. – Wróć najszybciej, jak się da.

Charlie podszedł do niej.

– Nie podoba mi się to. Nie wolno ci wychodzić samej na ulicę.

– Charlie, jestem dorosła. Dam sobie radę. Poza tym Lisa idzie niedługo spać, a nie możemy jej przecież zostawić tutaj samej, prawda?

– No nie, ale...

LuAnn objęła go za szyję.

– Opiekuj się Lisą, a ja niedługo wracam. – Cmoknęła Lisę w policzek, a Charliego ścisnęła lekko za ramię.

Kiedy wyszła, Charlie wziął sobie piwo z barku, po czym usiadł w fotelu z Lisa na kolanach i pilotem w ręku. Ale zanim włączył telewizor, spojrzął jeszcze ze ściągniętymi brwiami na drzwi. Po chwili pokręcił głową i zaczął zabawiać Lisę przełączaniem kanałów.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Lu Ann wysiadła z taksówki i zadzierając głowę, pobiegła wzrokiem w górę po szarej fasadzie niebotycznego Empire State Building. Niedługo dane jej było jednak kontemplować architekturę, bo zaraz poczuła, że ktoś otacza ją ramieniem.

– Przejdźmy się.

Ten kojący, miły głos sprawił, że zjeżyły jej się włoski na karku. Strąciła rękę mężczyzny z barku i spojrzała na niego. Był bardzo wysoki i szeroki w ramionach, twarz miał gładko wygoloną, włosy gęste i czarne, takie same brwi. Oczy duże, błyszczące.

– Czego chcesz? – Teraz, kiedy stała twarzą w twarz z autorem listu, jej strach szybko się ulotnił.

Romanello rozejrzał się.

– Słuchaj, nawet w Nowym Jorku zwrócimy na siebie uwagę, prowadząc tę rozmowę pod gołym niebem. Po drugiej stronie ulicy jest kafejka. Zapraszam.

– A o czym ja mam z tobą rozmawiać?

Założył ręce na piersiach i uśmiechnął się.

– Na pewno przeczytałaś mój list i artykuł, bo inaczej byś nie przyszła.

– Przeczytałam – przyznała spokojnie LuAnn.

– No to chyba jasne, że mamy parę spraw do omówienia.

– Co ty, u diabła, masz z tym wspólnego? Byłeś zamieszany w ten handel narkotykami?

Uśmiech spełził z warg mężczyzny.

– Słuchaj... – zaczął, cofając się o krok.

– Ja nikogo nie zabiłam! – niemal wykrzyczała.

Romanello rozejrzał się nerwowo.

– Chcesz wciągnąć całą ulicę w nasze interesy?

LuAnn popatrzyła po twarzach przechodniów i zrezygnowana, skierowała się w stronę kafejki. Romanello ruszył za nią.

Zajęli ustronny stolik w głębi. Romanello zamówił dla siebie kawę, a potem spojrzał na LuAnn.

– Coś dla ciebie? – spytał uprzejmie.

– Nic – warknęła, przesywając go wściekłym spojrzeniem.

Kelnerka oddaliła się.

– Ponieważ rozumiem doskonale, że nie chcesz przeciągać tej rozmowy – podjął Romanello – przejdźmy może od razu do sedna sprawy.

– Jak się nazywasz?

– Bo co? – spojrzał na nią zdumiony.

– Jeśli nie chcesz mi zdradzić prawdziwego nazwiska, to podaj chociaż zmyślone. Wszyscy, z którymi mam ostatnio do czynienia, tak robią.

– O czym ty mówisz... – urwał i zastanowił się. – No dobrze, nazywaj mnie Tęcza.

– Tęcza, ha, dobre sobie. Nie wyglądasz mi na tęczę.

– I tu się mylisz. – Oczy zabłyśły mu na chwilę. – Tęcze wspierają się końcami na garncach złota.

– Naprawdę? – LuAnn powiedziała to chłodnym tonem, ale w jej oczach pojawiła się czujność.

– Naprawdę, a ty, LuAnn, jesteś garncem złota na końcu mojej tęczy. – Rozłożył szeroko ręce. LuAnn zaczęła wstawać od stolika. – Siadaj! – syknął. LuAnn znieruchomiała na ugiętych nogach. – Siadaj, bo zamiast w raj, resztę życia spędzisz w więzieniu. – Znowu był opanowany i dwornym gestem zaprosił ją do zajęcia miejsca. Usiadła powoli z powrotem, nie odrywając od niego wzroku.

– Nigdy nie byłam dobra w takich przekomarzeniach, panie Tęcza, a więc gadaj, o co ci chodzi, i kończmy z tym.

Romanello zaczekał, aż kelnerka przyniesie mu kawę.

– Na pewno nie napijesz się czegoś gorącego? – zwrócił się do LuAnn. – Zimno dzisiaj.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, wzruszył ramionami. Kelnerka postawiła przed nim kawę ze śmietanką i spytała, czy życzą sobie czegoś jeszcze. Kiedy odeszła, Romanello nachylił się nad stolikiem do LuAnn.

– Byłem w twojej przyczepie, LuAnn. Widziałem trupy.

Drgnęła.

– Czego tam szukałeś?

Odchylił się na oparcie.

– Po prostu przechodziłem i zajrzałem.

– Kawał sukinsyna z ciebie.

– Być może. Chciałem ci tylko powiedzieć, że widziałem, jak podjeżdżałaś pod przyczepę tym samochodem ze zdjęcia w gazecie. Widziałem, jak na stacji kolejowej wyciągałaś plik banknotów z nosidełka swojego dziecka. Widziałem, jak dzwoniłaś w parę miejsc.

– I co z tego? Dzwonić mi już nie wolno?

– W tej przyczepie były dwa trupy i fura narkotyków! I była to twoja przyczepa!

Lu Ann zmrużyła oczy. Czy ten Tęcza nie jest czasem policjantem, którego nasłano, żeby naciągnął ją na zwierzenia? Poprawiła się na krześle.

– Nie wiem, o czym mówisz. Nie widziałam żadnych trupów. A w tamtym samochodzie musiałeś widzieć kogoś innego. I swoje pieniądze mogę trzymać, gdzie mi się podoba. – Wyciągnęła z kieszeni artykuł. – Masz, zabieraj to i idź straszyć kogoś innego.

Romanello wziął od niej fragment gazety, zerknął na niego i schował do kieszeni. Kiedy jego dłoń znowu wyłoniła się spod stolika, Lu Ann o mało nie zerwała się z miejsca. Tęcza trzymał w

palcach strzęp zakrwawionej bluzki.

– Poznajesz, LuAnn?

Robiła, co mogła, żeby nie dać po sobie poznać, jak jest wstrząśnięta.

– Jakiś poplamiony gałgan. I co z tego?

Uśmiechnął się.

– Wiesz, nie spodziewałem się, że tak chłodno to przyjmiesz. Taka tępa wieśniaczka z zabitej dechami dziury. Myślałem, że padniesz na kolana i będziesz błagała o litość.

– Przykro mi, że zawiodłam twoje oczekiwania. A jak jeszcze raz nazwiesz mnie czymś tępym, to dam ci kopa w tyłek.

Twarz nagle mu zeszywniała. Rozsunął zamek błyskawiczny kurtki, odsłaniając kolbę pistoletu.

– Dobrze ci radzę, LuAnn, nie denerwuj mnie – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Kiedy się denerwuję, robię się bardzo nieprzyjemny. Czasem nawet nieobliczalny.

LuAnn spojrzała obojętnie na broń.

– Czego ode mnie chcesz?

Zapiął kurtkę.

– Jak już wspomniałem, jesteś moim garncem złota.

– Nie mam pieniędzy – powiedziała szybko.

Nieomal parsknął śmiechem.

– Po co przyjechałaś do Nowego Jorku, LuAnn? Założę się, że do tej pory nie wyściubiłaś nosa z tego swojego zapyziałego miasteczka. Dlaczego ni stąd, ni zowąd wybierasz się w podróż, i to akurat do Wielkiego Jabłka? – Przykrzywił głowę i przyglądał się jej, czekając na odpowiedź.

LuAnn zacierała nerwowo ręce nad nierównym blatem stolika.

– No dobrze – odezwała się w końcu, nie patrząc na mężczyznę – może wiedziałam, co się stało w przyczepie. Ale ja nic złego nie zrobiłam. Musiałam jednak stamtąd uciekać, bo to mogło źle się dla mnie skończyć. A Nowy Jork to takie samo dobre miejsce jak każde inne. – Podniosła wzrok, żeby sprawdzić, jak przyjął jej wyjaśnienie. Na jego twarzy nadal malowało się rozbawienie.

– Co zrobisz z taką górą pieniędzy, LuAnn?

Oczy omal nie wyszły jej z orbit.

– O czym ty mówisz? Jakie pieniądze? Te w nosidełku?

– Wątpię, czy udałoby ci się w nim upchnąć sto milionów dolarów. – Spuścił wzrok na jej biust. – W staniku też by się nie zmieściły, choć spory. – LuAnn patrzyła na niego w osłupieniu. – Zastanówmy się – ciągnął – jak kształtują się obecnie stawki w sektorze szantażu. Dziesięć procent? Dwadzieścia? Pięćdziesiąt? Pomyśl tylko, nawet dzieląc się ze mną po połowie, nadal masz na koncie grube miliony. Zaopatrzenie siebie i dziecka w dzinsy i tenisówki do końca życia masz zapewnione. – Pociągnął łyk kawy, rozparł się wygodnie i bawiąc się serwetką patrzył na nią kpiąco.

LuAnn zacisnęła dłoń na leżącym przed nią widelcu. Ledwie stłumiła impuls każący jej rzucić się z nim na tego faceta.

– Odbiło ci, i to porządnie.

– Jutro konferencja prasowa, LuAnn.

– Jaka znowu konferencja?

– No ta, na której, uśmiechając się i machając do zawiedzionych mas, masz odebrać swój wielki czek.

– Muszę już iść.

Wyciągnął błyskawicznie rękę nad stolikiem i chwycił ją za ramię.

– Raczej trudno będzie ci rozporządzać tą forszą z więziennej celi.

– Powiedziałaś, że muszę iść. – Wyrwała rękę z jego uścisku i wstała.

– Nie bądź głupia, LuAnn. Widziałem, jak wypełniasz kupon loteryjny. Byłem na losowaniu. Widziałem ten szeroki uśmiech na twojej buzi, widziałem, jak popiskując biegniesz w podskokach ulicą. Byłem też w budynku loterii, kiedy przyszedłaś tam potwierdzić swój wygrywający kupon. A więc nie próbuj wciskać mi kitu. Wyjdź stąd, a dzwonię zaraz do zacofanego szeryfa twojego zacofanego okręgu i opowiadam mu wszystko, co widziałem. A potem wysyłam mu ten kawałek bluzki. Nie uwierzysz, jakie urządzenia mają teraz w tych swoich laboratoriach. Zaczną składać wszystko do kupy. A kiedy im jeszcze powiem, że wygrałaś właśnie na loterii i lepiej będzie, jeśli cię szybko przyskrzynią, zanim zwiejesz, to możesz się pożegnać ze swoim nowym życiem. No, ale przynajmniej stać cię będzie na umieszczenie swojej pociechy w jakimś dobrym sierocińcu, żeby miała jaką taką opiekę, kiedy ty będziesz gnić w więzieniu.

– Ja nic nie zrobiłam.

– Owszem, wielkie głupstwo, LuAnn. Uciekłaś. A jak ktoś ucieka, to gliniarze przyjmują zawsze w ciemno, że ma coś na sumieniu. Tacy już są. Uznają pewnie, że siedzisz w tym wszystkim po same czubki swych pięknych uszek. Jeszcze się tobą nie zainteresowali. Ale to tylko kwestia czasu. Od twojej decyzji zależy, czy zaczną cię namierzać za dziesięć minut, czy za dziesięć dni. Jeśli za dziesięć minut, to jesteś ugotowana. Jeśli za dziesięć dni, to zdążysz zwiąć, bo taki chyba masz plan. Płacisz mi tylko raz, to gwarantuję. Przez całe życie nie dam rady przepuścić tylu pieniędzy, choćbym nie wiem jak się starał, ty zresztą też nie. W ten sposób oboje wygrywamy. W przeciwnym razie przegrywasz tylko ty, z kretelem. No więc, jak będzie?

LuAnn usiadła powoli z powrotem.

– Mądrze robisz, LuAnn.

– Nie mogę ci zapłacić połowy.

Twarz mu pociemniała.

– Chytry dwa razy traci, moja pani.

– Tu nie chodzi o skąpstwo. Mogę ci zapłacić, tylko nie wiem jeszcze ile, ale na pewno dużo.

Na twoje cholerne potrzeby wystarczy aż nadto.

– Nie rozumiem... – zaczął.

– Nie musisz niczego rozumieć – wpadła mu w słowo LuAnn, zapożyczając frazeologię od Jacksona. – Ale jeśli mam ci zapłacić, to musisz mi odpowiedzieć na jedno pytanie, i to szczerze, bo inaczej możesz sobie wzywać gliny, mam to gdzieś.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Co to za pytanie?

LuAnn pochyliła się nad stolikiem i zniżyła głos.

– Co robiłeś w przyczepie? Przecież wiem, że nie znalazłeś się tam przypadkowo.

– A co to ma za znaczenie? – Wyrzucił ramiona w górę w teatralnym geście.

LuAnn szybkim ruchem atakującego grzechotnika chwyciła go za nadgarstek. Skrzywił się, kiedy ścisnęła go z siłą, o jaką jej nie podejrzewał. Choć nie był ułomkiem, miałby spore trudności z uwolnieniem ręki z tego uścisku.

– Czekam na odpowiedź i lepiej, żeby była prawdziwa.

– Utrzymuję się... – uśmiechnął się i skorygował – utrzymywałem się z pomagania ludziom w rozwiązywaniu ich małych problemików.

LuAnn nie puszczała nadgarstka.

– Jakich problemików? Czy to miało coś wspólnego z narkotykami, którymi handlował Duane?

Romanello kręcił już głową.

– Nic nie wiedziałem o żadnych narkotykach. Kiedy tam wszedłem, Duane już nie żył. Może zalegał z forszą dostawcy albo go kantował i tamten drugi facet go załatwił. Kto to wie? Kogo to obchodzi?

– Co się stało z tym drugim?

– Przecież sama go uderzyłaś, dobrze mówię? Zimny trup, jak wspomniałem w liście. – LuAnn milczała. Urwał dla zaczerpnięcia oddechu. – Mogłabyś mnie już puścić.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. A jak nie usłyszę odpowiedzi, to możesz od razu dzwonić do szeryfa, bo ode mnie nie dostaniesz złamanego centa.

Romanello zawahał się, ale w końcu chciwość wzięła górę nad rozsądkiem.

– Przyszedłem tam, żeby zabić ciebie – powiedział po prostu.

Ścisnąwszy jeszcze raz mocno jego nadgarstek, LuAnn rozwarła powoli palce i cofnęła rękę. Rozcierał go sobie przez chwilę, przywracając krążenie.

– Dlaczego? – spytała gniewnie LuAnn.

– Robię to, za co mi płacą, bez zadawania niepotrzebnych pytań.

– Kto ci kazał mnie zabić?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. – Chciała go znowu chwycić za nadgarstek, ale tym razem był na to przygotowany i w porę cofnął rękę. – Mówię ci, że nie wiem. Moi klienci nie wpadają pogawędzić przy kawie, kogo mam dla nich sprzątnąć. Zadzwoń do mnie, połowę honorarium wypłać z góry. Drugą połowę miałem dostać po robocie. Wszystko pocztą.

- Nadal żyję.
- Zgadza się. Ale tylko dzięki temu, że zostałem odwołany.
- Przez kogo?
- Przez tego, kto mnie wynajął.
- Kiedy cię odwołał?
- Byłem w twojej przyczepie. Widziałem, jak wysiadasz z samochodu i odchodzisz.

Wróciłem do swojego wozu i wtedy zadzwonił. Było chyba piętnaście po dziesiątej.

LuAnn odchyliła się na oparcie krzesła. Coś jej świtało: Jackson. A więc tak rozprawia się z tymi, którzy nie idą na współpracę.

Romanello, zniecierpliwiony jej milczeniem, pochylił się nad stolikiem.

– Skoro odpowiedziałem na wszystkie twoje pytania, może byśmy tak przeszli do omówienia warunków naszego małego układu.

LuAnn patrzyła na niego przez pełną minutę, zanim wreszcie się odezwała.

– Marny twój los, jeśli się okaże, że mnie okłamałeś.

– Słuchaj, ktoś, kto zarabia na życie zabijaniem, wzbudza zwykle w ludziach trochę więcej strachu, niż ty go okazujesz – powiedział, wlepiając w nią ciemne oczy. Odsunął częściowo zamek błyskawiczny kurtki, odsłaniając znowu kolbę pistoletu. – Nie przeciągaj struny! – W jego głosie pobrzmiwała nuta groźby.

LuAnn zerknęła pogardliwie na pistolet i przeniosła wzrok na twarz mężczyzny.

– Wychowywałam się wśród świrniętych ludzi, panie Tęcza. Pijani wieśniacy dla zabawy mierzyli człowiekowi w twarz z dubeltówki i naciskali spust. Bywało też, że pocięli kogoś tak, że rodzona mamusia go nie poznawała, a potem zakładali się, jak długo pociągnie, zanim wykrwawi się na śmierć. Był jeden taki czarny chłopiec, który skończył w jeziorze bez przyrodzenia, z poderżniętym gardłem, bo ktoś uznał, że zbyt nachalnie przystawia się do jakiejś białej dziewczyny. Jestem przekonana, że przyłożył do tego ręki mój tatuś, ale policja palcem nie kiwnęła. A więc twój pistolecik i twoja gadka zupełnie mnie nie ruszają. Kończmy z tym i wynoś się w diabły z mojego życia.

Groźba szybko ulotniła się z oczu Romanella.

– W porządku – mruknął, zapinając z powrotem kurtkę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Pół godziny później Romanello i LuAnn wyszli z kafejki. LuAnn złapała taksówkę i pojechała z powrotem do hotelu, gdzie spędziła parę godzin w salonie piękności, by uwiarygodnić historyjkę, jaką uraczyła Charliego. Romanello, pogwizdując cicho pod nosem, ruszył ulicą w przeciwnym kierunku. Miał dzisiaj bardzo udany dzień. Układ, który zawarł z LuAnn, nie był na sto procent pewny, ale przeczucie mówiło mu, że dziewczyna dotrzyma umowy. Zagroził jej, że jeśli najdalej za dwa dni pod wieczór na jego konto nie wpłynie pierwsza rata wynegocjowanej sumy, to dzwoni na posterunek policji w Rikersville. Dziewczyna zapłaci, Romanello był tego pewny. Spokojna głowa.

Chciał to uczcić. Po drodze do domu kupił butelkę chianti. Widział się już w posiadłości, którą wkrótce nabędzie gdzieś daleko stąd. Przez tych kilka lat parania się eksterminowaniem rodzaju ludzkiego uciulał sporą sumkę, ale dotąd zmuszony był ostrożnie czerpać z kasy. Tego by tylko brakowało, żeby do jego drzwi zapukał urząd podatkowy i poprosił o przedstawienie rachunków. Teraz miał ten problem z głowy. Błyskawiczne wzbogacenie się pozwalało człowiekowi odplłynąć poza zasięg fiskusa, i nie tylko. Tak, to był wspaniały dzień – podsumował Romanello.

Nie mógł złapać taksówki, pojechał więc metrem. Tłok był taki, że ledwie się wcisnął do wagonu. Wysiadł kilka stacji dalej i parę minut potem stał już przed drzwiami swojego mieszkania. Przekręcił klucz w zamku, wszedł i zaryglowawszy drzwi, skrzył z butelką do kuchni. Miał już zdjąć marynarkę i nalać sobie lampkę chianti, kiedy rozległo się pukanie. Wyjrzał przez judasza. Pole widzenia wypełniał brązowy mundur pracownika firmy kurierskiej UPS.

– Co jest? – spytał przez drzwi.

– Mam przesyłkę dla pana Anthony’ego Romanella, pod tym adresem. – Pracownik UPS uważnie oglądał pękatą paczkę osiem na jedenaście cali, obracając ją w rękach.

Romanello otworzył drzwi.

– Anthony Romanello?

Kiwnął głową.

– Proszę tu podpisać. – Mężczyzna podał długopis przymocowany łańcuszkiem do elektronicznej podkładki zaciskowej.

– Nie wciskasz mi tu chyba jakichś sądowych nakazów, co? – Romanello uśmiechnął się, kwitując odbiór paczki.

– Za mało mi płacą, żeby to robił – odparł człowiek z UPS. – Mój szwagier z Detroit był doręczycielem sądowym. Jak go dwa razy postrzelili, rzucił to w diabły i poszedł rozwozić pieczywo. To dla pana. Najlepszego.

Romanello zamknął drzwi i obmacał pudełko z cienkiej tektury. Uśmiechnął się szeroko. Druga rata za LuAnn. Upředzono go o możliwości anulowania zlecenia, ale jednocześnie zapewniono, że niezależnie od tego, jak się sprawy potoczą, resztę forsy dostanie. Chwila! Już się nie uśmiechał. Przecież wypłata miała zostać wysłana na jego skrzynkę pocztową. Nikomu nie mówił, gdzie mieszka. Ani jak się naprawdę nazywa.

Słyszając szmer za plecami, odwrócił się na pięcie.

Z mroku zalegającego w living roomie wyłonił się Jackson, ubrany tak samo elegancko jak na spotkaniu z LuAnn. Oparł się o drzwi do kuchni i zmierzył Romanella od stóp do głów oczami skrytymi za parą ciemnych okularów. Miał przyprószone siwizną włosy i równo przyciętą bródkę. Jego policzki były mięsiste i obwisłe, uszy czerwone i jakby rozdeptane, jedno i drugie uformowane z lateksu.

– Coś ty, cholera, za jeden i jak tu wlażeś?

Jackson zignorował to pytanie i wskazał palcem obleczonej w rękawiczkę dłoni na paczkę. – Otwórz.

– Bo co? – warknął Romanello.

– Przelicz pieniądze, czy suma się zgadza. Nie krępuj się, nie poczuję się z tego powodu urażony.

– Słuchaj no...

Jackson zdjął okulary i przewiercił Romanella wzrokiem.

– Otwieraj – powiedział prawie szeptem.

W głosie tym nie było ani śladu groźby i Romanello nie mógł zrozumieć, dlaczego cały w środku dygocze. Mimo wszystko w ciągu trzech ostatnich lat zamordował z premedytacją sześć osób. Nie da się zastraszyć.

Rozerwał szybko opakowanie paczki i jej zawartość wysypała się ze środka. Romanello obserwował sfruwające na podłogę ścinki gazety.

– To ma być zabawne? Jeśli tak, to mnie nie rozśmieszyło. – Łypnął wściekle na Jacksona.

Jackson pokręcił ze smutkiem głową.

– Zaraz po odłożeniu słuchawki zorientowałem się, że trochę za dużo ci powiedziałem i że może to mieć poważne następstwa. Wspomniałem o LuAnn i pieniądzech, a pieniądze, jak ci zapewne wiadomo, potrafią sprowokować ludzi do dziwnych zachowań.

– O czym ty gadasz?

– Panie Romanello, wynająłem pana do wykonania pewnego zadania. Z chwilą anulowania zlecenia nasze drogi się rozeszły. Może ujmę to inaczej: nasze drogi miały się rozejść.

– I rozeszły się. Nie zabiłem jej, tak jak było w umowie, a ty co, makulaturą mi teraz płacisz? Ze mną taki numer nie przejdzie.

Jackson zaczął wylizywać na palcach.

– Przyjechałeś za tą kobietą do Nowego Jorku. Chodziłeś za nią po mieście. Wysłałeś do niej list. Spotkałeś się z nią, i chociaż nie wiem, o czym rozmawialiście, to wszystko wskazywało na

to, że o niczym przyjemnym.

– Skąd, u diabła, to wiesz?

– Przede mną niewiele się ukryje, panie Romanello. Naprawdę niewiele. – Jackson założył z powrotem okulary.

– Nie masz żadnego dowodu.

Jackson parsknął śmiechem, na dźwięk którego Romanellowi zjeżyły się włoski na karku. Sięgnął po pistolet, ale nie było go tam, gdzie powinien być.

Jackson, nie spuszczać oczu z ogłupiałej twarzy mężczyzny, pokręcił ze smutkiem głową.

– Straszny ścisk w metrze o tej porze dnia. Prawdziwy raj dla kieszonkowców. Ciekawe, czy coś jeszcze ci nie zginęło.

– Nic mi nie udowodnisz. A do glin nie pójdziesz. Wynająłeś mnie, żebym kogoś zabił. Sam byś się pogrążył.

– Nie mam najmniejszego zamiaru zwracać się do władz. Nie stosując się do moich instrukcji, pokrzyżowałeś mi plany. Przyszedłem poinformować cię, że o wszystkim wiem, że na skutek twojego niewłaściwego zachowania przepadła ci reszta honorarium i że postanowiłem przykładowo cię ukarać.

Romanello wyprostował się na całe swoje sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i zaśmiewając się serdecznie, spojrzał z goryla Jacksona.

– No, skoro chcesz mnie ukarać, to chyba przyprowadziłeś ze sobą kogoś, kto mi tę karę wymierzy.

– Takie sprawy wolę załatwiać osobiście.

– Tej nie załatwisz.

Romanello sięgnął błyskawicznie do łydki i wyprostował się. W prawej ręce trzymał nóż o ząbkowanym ostrzu. Chciał już ruszyć na intruza, ale znieruchomiał na widok jakiegoś urządzenia w dłoni Jacksona.

– Przewaga siły i wzrostu jest często przeceniana, zgodzisz się ze mną? – powiedział Jackson. Dwie strzałki wystrzelone z paralizatora ugodziły Romanella w sam środek klatki piersiowej. Jackson naciskał dalej spust, rażąc go prądem elektrycznym pod napięciem stu dwudziestu tysięcy woltów, doprowadzanym do strzałek cienkimi kabelkami. Tamtego momentalnie ścięło z nóg. Leżał nieruchomo, wybałuszając na Jacksona zdumione oczy.

– Naciskałem spust przez pełną minutę. Teraz przez najmniej piętnaście minut pozostaniesz sparaliżowany, co bardzo ułatwi mi zadanie.

Romanello patrzył bezradnie, jak Jackson klęka obok, ostrożnie wrywa strzałki z jego piersi, chowa aparat z powrotem do kieszeni, a potem rozpina mu koszulę.

– Imponujące owłosienie, panie Romanello. Zacząlbym wierzyć w cuda, gdyby lekarz przeprowadzający sekcję zwłok wypatrzył w tej gęstwinie dwie małe dziurki.

To mówiąc, Jackson wyciągnął z kieszeni marynarki coś, czego widok do reszty sparaliżował Romanella. Oczy stanęły mu w ślup, język skołowaciał. Pomyślał, że to pewnie atak serca. Nie

mógł poruszyć ani ręką, ani nogą. W ogóle ich nie czuł. Ale nadal widział wszystko wyraźnie, choć w tym momencie wolałby również oślepnąć. Śledził ze zgrozą metodyczne ruchy Jacksona nakładającego bez pośpiechu igłę na strzykawkę.

– To w przeważającej mierze zupełnie nieszkodliwy fizjologiczny roztwór soli – wyjaśnił Jackson tonem nauczyciela zwracającego się do uczniów. – Mówię w przeważającej mierze, bo w jego skład wchodzi jeszcze coś, co w pewnych warunkach może się okazać zabójcze. – Uśmiechnął się do Romanella, zawiesił na chwilę głos, jakby upajał się znaczeniem własnych słów, po czym podjął: – Roztwór zawiera domieszkę pewnej substancji wytwarzanej w naturalny sposób przez organizm. Normalnie jej poziom mierzy się mikrogramach. Zamierzam zaaplikować ci dawkę kilka tysięcy razy większą, czyli parę miligramów. Po dotarciu do serca spowoduje ona skurcz tętnic wieńcowych, wywołując coś, co lekarze nazywają okluzją wieńcową; mówiąc prościej, jest to najcięższy z ataków serca. Przyznam ci się, że nigdy jeszcze nie wypróbowałem tej metody zadawania śmierci na kimś, kto odczuwa skutki porażenia paralizatorem. Sam bardzo jestem ciekaw, jak w tych warunkach będzie przebiegał proces. – Jackson mówił to beznamiętnym tonem belfra przeprowadzającego sekcję żaby w szkolnej pracowni biologicznej. – Ponieważ substancja ta, jak już wspomniałem, jest normalnie obecna w organizmie i podlega naturalnym procesom przemiany materii, podczas sekcji zwłok żaden patolog nie stwierdzi u ciebie jej podejrzenie podwyższonego poziomu. Pracuję aktualnie nad trucizną sprzężoną z enzymem uwięzionym w specjalnej osłonce. Krew szybko rozpuści powłokę ochronną, ale zanim to nastąpi, trucizna będzie miała mnóstwo czasu, żeby zrobić swoje. Po rozpuszczeniu się osłonki enzymy wejdą natychmiast w reakcję z trucizną i rozłożą ją, innymi słowy – zniszczą. W podobny sposób usuwa się plamy oleju. To nie do wykrycia. Zastanawiałem się nawet, czy nie wypróbować tego dzisiaj na tobie, ale proces jest jeszcze niedopracowany, a w tego rodzaju sprawach nie lubię się śpieszyć. Chemia wymaga cierpliwości i precyzji. Zdecydowałem się więc na starą, wypróbowaną prostaglandynę.

Jackson wodził igłą tuż przy szyi Romanella, szukając najlepszego punktu wkłucia.

– Znajdą cię tutaj – młodego, dobrze zbudowanego mężczyznę, który z przyczyn naturalnych zszedł w kwiecie wieku. Jeszcze jeden statystyczny przypadek w trwającej obecnie debacie na temat zdrowotności.

Romanellowi, usiłującemu walczyć z bezwładem po potraktowaniu paralizatorem, oczy nieomal wychodziły z orbit. Z wysiłku nabrzmiały mu żyły na szyi. Jackson, dziękując za to w duchu swej ofierze, wbił igłę w tętnicę szyjną i wcisnął tłoczek strzykawki. Uczyniwszy to, uśmiechnął się i pogłaskał mężczyznę po głowie. Tamtemu źrenice latały tam i z powrotem z regularnością metronomu.

Jackson wyjął z torby brzytwę.

– Bystrooki patolog mógłby zauważyć miejsce wkłucia, musimy je więc jakoś zatrzeć. – Naciął brzytwą skórę na szyi Romanella dokładnie w miejscu, w którym przed chwilą wbił igłę. Spod skóry wypłynęła na powierzchnię kropelka krwi. Jackson schował brzytwę z powrotem do

torby i wyjął plaster opatrunkowy. Zakleił nim świeże rozcięcie i z uśmiechem przyjrzał się swemu dziełu.

– Przykro mi, że musiało do tego dojść, bo miałem zamiar skorzystać jeszcze w przyszłości z twoich usług. – Podniósł bezwładną rękę Romanella i nakreślił nią krzyż nad piersią porażonego mężczyzny. – Wiem, panie Romanello, że chociaż sprzeniewierzył się pan naukom Kościoła, jest pan wyznania rzymskokatolickiego – ciągnął. – Obawiam się jednak, że zaproszenie tu kapłana, by odprawił ostatnią posługę, nie wchodzi w rachubę. Zresztą tam, gdzie pan idzie, nie jest to raczej honorowane, prawda? Na czyściec pan chyba nie liczy? – Podniósł z podłogi nóż Romanella i wsunął go z powrotem do pochwy na jego łydce.

Miał już wstać, kiedy zauważył brzeg gazety tkwiącej w wewnętrznej kieszeni marynarki Romanella. Sięgnął po nią. Pochmurniejąc, czytał o dwóch zamordowanych, o narkotykach, o zniknięciu LuAnn i o wszczętych przez policję poszukiwaniach. To wiele wyjaśniało. Romanello ją szantażował. Albo próbował to zrobić. Szkoda, że ten artykuł nie wpadł mu w ręce dzień wcześniej. Rozwiązałyby problem w prosty sposób. Usunąłby natychmiast LuAnn Tyler. Teraz nie mógł tego zrobić. Niestety stracił częściowo kontrolę nad sytuacją. LuAnn potwierdziła już wygrywający kupon. Za niecałe dwadzieścia cztery godziny miała zostać przedstawiona światu jako ta, która wygrała na loterii. Tak, teraz jej dziwne prośby nabierały sensu. Jackson złożył gazetę i wsunął ją do kieszeni. Podoba mu się to czy nie, jest teraz związany z LuAnn na dobre i na złe. Było to nowe wyzwanie, a on ponad wszystko uwielbiał wyzwania. Musi jednak odzyskać kontrolę nad biegiem wypadków. Poinstruuje ją dokładnie, co ma robić, a jeśli dziewczyna nie zastosuje się do tych instrukcji, zabije ją po odebraniu wygranej.

Zebrał z podłogi ścinki gazety i rozdarte opakowanie przesyłki UPS. Kilkoma pociągnięciami w sobie wiadomych miejscach ściągnął ciemny garnitur wraz z przydającymi mu tuszy poduszeczkami i zapakował to wszystko do pokrowca na pizzę leżącego w kącie living roomu. Pod spodem miał niebiesko-białą koszulkę rozwoziciela Domino's Pizza. Wsunął ostrożnie wyciągnięty z kieszeni odcinek nici pod modelinową nakładkę na nos, podważył ją, zdjął i schował do pokrowca na pizzę. W podobny sposób pozbył się pieprzyka, bródki i nakładek na uszy. Przetarł twarz alkoholem z buteleczki, którą wyjął z kieszeni, usuwając postarzające go szminki i cienie. Ruchy miał szybkie i metodyczne, zdradzały wieloletnią praktykę. Na koniec natarł włosy żelamiem, który skutecznie usunął pasemka siwizny. Przejrzał się w wiszącym na ścianie lusterku. Następnie przykleił sobie sztuczne wąsiki i nasadził na głowę baseballową czapkę z napisem Yankee, z której zwisał sztuczny koński ogon. Przesłonił sobie oczy ciemnymi okularami; zmienił wizytowe buty na tenisówki. Ponownie spojrzął w lusterko i ujrzał zupełnie inną osobę. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Co za talent. Kiedy kilka sekund później wychodził z mieszkania, twarz Romanella była już rozluźniona, spokojna. I taka miała pozostać na zawsze.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Wszystko będzie dobrze, LuAnn – powiedział, poklepując ją po dłoni, Roger Davis, młody, przystojny mężczyzna, który prowadził losowanie krajowej loterii. – Wiem, że się denerwujesz, ale cały czas będę przy tobie. Załatwimy to możliwie bezboleśnie, daję słowo.

Znawali się w budynku loterii, w wybitym pluszem pokoju, z którego trzeba było przejść kawałek korytarzem, by znaleźć się w wielkim audytorium wypełnionym po brzegi dziennikarzami i zwyczajnymi ludźmi czekającymi na prezentację zwycięzcy loterii. LuAnn miała na sobie bladobłękitną sukienkę do kolan i tego samego koloru buty. Fryzurę i makijaż zawdzięczała charakteryzatorom zatrudnianym przez Komisję Loteryjną. Rozcięcie na szczęce zagoiło się już na tyle, że zrezygnowała z plastra.

– Pięknie wyglądasz, LuAnn – rzekł Davis. – Nie pamiętam równie atrakcyjnej zwyciężczyni, naprawdę. – Usiadł obok niej tak blisko, że zetknęły się ich uda.

LuAnn posłała mu uśmiech, odsunęła się i spojrzała na Lisę.

– Nie chcę zabierać tam Lisy. Śmiertelnie się przestraszy tych tłumów i świateł.

– Nie ma sprawy. Niech tu zostanie. Zaraz znajdę kogoś, kto jej popilnuje. Będzie bezpieczna. – Zawiesił głos i po raz kolejny obmacał wzrokiem zgrabną figurę LuAnn. – Ale powiemy, że masz córeczkę. To uatrakcyjni twój wizerunek. Wielkie pieniądze dla młodej matki i jej córki. Musisz być teraz bardzo szczęśliwa. – Poklepał ją po kolanie, a potem, nie śpiesząc się z cofnięciem dłoni, uściśnął je. Ponownie przemknęło jej przez myśl pytanie, czy ten facet nie jest czasem w to zamieszany. Czy wie, że wygrała tę fortunę w wyniku oszustwa. Wyglądał na takiego. Na człowieka, który dla pieniędzy gotów jest na wszystko. Na pewno dobrze by mu zapłacono za pomoc w wykręceniu podobnego numeru.

– Za ile wychodzimy? – zapytała.

– Za jakieś dziesięć minut. – Uśmiechnął się do niej znowu i siląc się na swobodny ton, dorzucił: – Aha, nie określiłaś jeszcze precyzyjnie swojego stanu cywilnego. Czy twój mąż...

– Nie jestem zamężna – wpadła mu w słowo Lu Ann.

– Ach tak... no dobrze, czy ojciec dziecka będzie na sali? – Poprawił się szybko. – Musimy to wiedzieć ze względów organizacyjnych.

LuAnn spojrzała mu w oczy.

– Nie, nie będzie go.

David uśmiechnął się wymownie i przysunął troszkę bliżej.

– Rozumiem. Hmm. – Złączył czubki palców, przytknął je na chwilę do warg, a potem niedbałym gestem zarzucił rękę na oparcie sofy. – Słuchaj, LuAnn, nie wiem, jakie masz teraz plany, ale jeśli potrzebujesz przewodnika, który oprowadziłby cię po mieście, to jestem do twojej dyspozycji. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zdaję sobie sprawę, że ciebie,

wychowaną w małym miasteczku, ta wielka metropolia... – tu David teatralnym gestem wyrzucił w górę rękę – musi przytłaczać. Ale ja znam ją jak własną kieszeń. Najlepsze restauracje, kina, sklepy. Moglibyśmy się nieźle zabawić. – Przynął się jeszcze bliżej, pieszcząc wzrokiem krągłości ciała dziewczyny i niby to od niechcienia wodząc palcami po jej ramieniu.

– Przykro mi, panie Davis, ale to chyba nie najlepszy pomysł. Ojca Lisy nie będzie, co prawda, na konferencji prasowej, ale jesteśmy z nim umówione zaraz po niej. Musiał zaczekać na przepustkę.

– Przepustkę?

– Służy w marynarce. Jest płetwonurkiem w formacji SEAL. – Kręcąc głową, zapatrzyła się w przestrzeń, jakby przypomniawszy sobie właśnie coś wstrząsającego. – Przyznam się panu, że Frank mnie czasami przeraża. Jest okropnie zazdrosny. Raz, w barze, pobił do nieprzytomności sześciu facetów tylko dlatego, że na mnie zerkali. Myślałam, że ich pozabija. Na szczęście przyjechała policja. Ale im też się porządnie oberwało, zanim go obezwładnili.

Davidowi zrzędała mina. Czym prędzej odsunął się od LuAnn.

– Co ty powiesz!

– Ale niech pan nie wspomina o tym na konferencji, panie Davis. Frank zajmuje się w wojsku bardzo tajnymi rzeczami i mógłby się wkurzyć, gdyby się panu coś wyrwało. Bardzo się wkurzyć! – Posłała mu błagalne spojrzenie, z rozbawieniem obserwując fale strachu przebiegające przez jego przystojną twarz.

David zerwał się z sofy.

– Oczywiście, ani mru-mru. Przysięgam. – Obliznął nerwowo wargi i przesunął drżącą dłonią po powleczonej żelem włosach. – Idę zobaczyć, czy wszystko gotowe, LuAnn. – Zdobył się na niepewny uśmiech i pokazał jej oba kciuki.

Odwzajemniła się tym samym gestem.

– Wielkie dzięki za zrozumienie, panie Davis. – Kiedy wyszedł, odwróciła się do Lisy. – Ty nigdy nie będziesz zmuszona do czegoś takiego, maleńka. Twoja mama wkrótce też nie. – Wzięła Lisę na ręce i zapatrzyła się na ścienny zegar odmierzający czas.

Charlie, rozglądając się w koło, przepychał się przez zatłoczone audytorium w kierunku podwyższenia. Wybrał miejsce, z którego dobrze widać było scenę, i zatrzymał się. Najchętniej towarzyszyłby LuAnn, udzielając jej wsparcia moralnego, którego z pewnością teraz potrzebowała. Ale to nie wchodziło w rachubę. Musiał do końca pozostawać w cieniu. Wzbudzanie podejrzeń nie wchodziło w zakres jego obowiązków. Spotka się z LuAnn po konferencji. Będzie jej musiał powiedzieć, czy z nią jedzie, czy nie. Sęk w tym, że jeszcze się nie zdecydował. Chciał już sięgnąć po papierosa, ale przypomniał sobie, że w tym budynku nie wolno palić. Szkoda, bo bardzo tęsknił za kojącym działaniem nikotyny. Wskoczyłby na małego dymka przed budynek, ale na to nie było już czasu.

Westchnął z rezygnacją i przygarbił się. Większość życia tułał się z miejsca na miejsce bez

określonego planu, bez żadnych przemyślanych długofalowych celów. Uwielbiał dzieci, lecz własnych nie miał. Zarabiał dobrze, ale pieniądze, choć zapewniały niezły standard życia, szczęścia mu jakoś nie przyniosły. Miał już swoje lata i podejrzewał, że na żadną odmianę nie może już raczej liczyć. Podążał wciąż drogą, którą wybrał w młodości. Aż do teraz. LuAnn Tyler zaproponowała mu sposób na wyrwanie się z tego zaklętego kręgu. Nie łudził się, by była zainteresowana seksualnie, zresztą wcale tego by nie chciał. Pragnął jej przyjaźni, jej dobroci – dwóch rzeczy, których zawsze mu w życiu brakowało. No więc jak? Jechać czy nie jechać? Nie miał wątpliwości, że przyjmując propozycję, czułby się w towarzystwie LuAnn i Lisy znakomicie, a do tego zastępowałby małej ojca. W każdym razie przez kilka lat. A co potem? Nie spał pół nocy, usiłując sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała sytuacja za tych kilka lat.

Tylko patrzeć, jak o rękę pięknej, bogatej teraz i odmienionej dzięki temu bogactwu LuAnn zaczną się ubiegać najatrakcyjniejsi mężczyźni świata. Jest bardzo młoda, ma jedno dziecko i z pewnością zapragnie następnych. Wyjdzie za kogoś z tych zalotników. A ten przyjmie na siebie obowiązki ojca Lisy, i tak być powinno. Stanie się przecież mężem LuAnn. A gdzie wtedy znajdzie się miejsce dla niego, dla Charliego? Przecisnął się między dwoma kamerzystami z CNN bliżej sceny. Tak, w końcu nadejdzie taki dzień, że uzna, iż musi odejść. Niezręcznie byłoby zostać. Nie stanie się przecież członkiem rodziny, i w ogóle. I będzie to bolesne, bardziej bolesne niż użyczenie w młodości swego ciała na worek treningowy. Spędził z LuAnn i Lisa zaledwie kilka dni, a już czuł, że łączy go z nimi więź, jakiej nie udało mu się zadzierzgnąć z byłą żoną przez dziesięć lat małżeństwa. A jak to zniesie po przeżyciu z nimi trzech albo czterech lat? Czy rozstanie z Lisa i jej matką nie złamie mu serca, nie podkopie psychicznie? Pokręcił głową. Ale z niego twardziel, wyłazi sztydło z worka. Ledwie poznał tych prostych ludzi z Południa, a już musi podejmować brzemienną w skutki decyzję, której konsekwencje mogą zaważyć na całej jego przyszłości.

Czuł się rozdarty. Z jednej strony machnąłby na wszystko ręką, pojechał i dobrze się bawił. Co mu tam, skąd wiadomo, czy w przyszłym roku szlag go nie trafi? Jednak z drugiej strony bał się, wahał. Wiedział, że mógłby być przyjacielem LuAnn do grobowej deski, ale nie był pewien, czy potrafiłby żyć przy niej ze świadomością, że wszystko może się nagle skończyć.

– Cholera – zaklął cicho. Spójrz prawdzie w oczy, przecież to zwyczajna zazdrość. Gdybyś tak był dwadzieścia – wzruszył ramionami – no, trzydzieści lat młodszy. Zazdrościł mężczyźnie, który w końcu ją zdobędzie. Zdobędzie jej miłość. Miłość, przynajmniej z jej strony, dozwolną. I niech Bóg ma w opiece faceta, któremu przyszłoby do głowy ją zdradzić. Widać na pierwszy rzut oka, że drzemie w niej jędza. Jędza o złotym sercu, a przez to jeszcze bardziej pociągająca. Rzadko się spotyka takie przeciwstawne cechy w jednej cielesnej powłoce.

Charlie otrząsnął się z tych refleksji i spojrzął na scenę. Cała sala stężała jak napięty biceps. Zza kulis, pośród trzasku aparatów fotograficznych, wyszła z gracją wysoka, majestatyczna i spokojna LuAnn. Charlie pokręcił z zachwytem głową.

– Jasny gwint – mruknął pod nosem. Właśnie jeszcze bardziej utrudniła mu powzięcie

decyzji.

Szeryf Roy Waymer o mało nie zakrztusił się piwem na widok LuAnn Tyler machającej do niego z telewizora.

– Jezus, Maria, Józefie święty! – Obejrzał się na żonę, Doris, która wlepiła oczy w dwudziestosiedmioletni ekran.

– Ty jej szukasz po całym okręgu, a ona sobie siedzi w Nowym Jorku! – wykrzyknęła Doris. – A to szczęściara. Tyle forsy wygrać. – Doris powiedziała to z goryczą, wyłamując sobie palce. W baniaku na śmieci za domem wylądowały przed chwilą dwadzieścia cztery podarte kupony loteryjne.

Waymer podźwignął swoje imponujące cielsko z przepastnego fotela i począł do telefonu.

– Obdzwońłem stacje kolejowe w okolicy i na lotnisko w Atlancie też telefonowałem, ale jak dotąd nic. Do głowy by mi nie przyszło, że pojechała do Nowego Jorku. Nie posłałem jej zdjęcia do biuletynu policyjnego, bo nie myślałem, że opuściła granice okręgu, a co dopiero stanu. Przecież nie ma nawet samochodu. Z dziecakiem, i w ogóle. Myślałem, że się przyczaiła u jakiejś psiapsiółki.

– Wygląda na to, że ci się wywinęła. – Doris wskazała na LuAnn produkującą się na ekranie. – Jej nie da się z nikim pomylić.

– Przestań, matka – fuknął na żonę szeryf – tu nie FBI. Od kiedy Freddie poszedł z powodu kręgosłupa na zwolnienie, zostało mi tylko dwóch mundurowych. A policja stanowa sama ma roboty po uszy. Nikogo mi tu nie podeślą. – Sięgnął po słuchawkę.

Doris popatrzyła na niego z niepokojem.

– Myślisz, że to LuAnn załatwiła Duane'a i tego drugiego?

Waymer przyłożył słuchawkę do ucha i wzruszył ramionami.

– LuAnn potrafiłaby dołożyć każdemu facetowi, jakiego znam. Duane'owi na pewno by dała radę. Ale z tego drugiego było kawał chłopa, sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi. – Zaczął wybierać numer. – Chyba że zaszła go od tyłu i zaprawiła w łeb telefonem. W każdym razie z kimś się biła. Mam świadków, którzy widzieli ją tamtego dnia z plastrem na brodzie.

– A to wszystko przez narkotyki – skomentowała Doris. – Biedna ta kruszyna, nie dość, że przyszła na świat w przyczepie, to jeszcze pełnej narkotyków.

Waymer kiwał głową.

– Wiem, wiem.

– Założę się, że LuAnn tym wszystkim dyrygowała. Wszyscy wiedzą, że to dziewczyna kuta na cztery nogi. A taka zawsze była przymilna. Maskować się próbowała, ale od razu było widać, co z niej za ziółko. Nie podobało jej się tutaj, ciągnęło ją w szeroki świat, tylko pieniędzy nie miała. No to się wzięła za narkotyki. Łatwy zarobek, wspomnisz moje słowa, Roy.

– Słyszę, matka, słyszę. Ale już jej te pieniądze z narkotyków niepotrzebne. – Wskazał głową na telewizor.

– Lepiej się pośpiesz, bo znowu zwieje.

– Dzwonię do nowojorskiej policji, żeby ją zgarnęli.

– Myślisz, że cię posłuchają?

– Matka, ona jest zamieszana w podwójne morderstwo – powiedział wyniośle szeryf. – Nawet jeśli nie ma nic na sumieniu, to może być świadkiem w sprawie.

– No tak, ale czy tej jankeskiej policji z Nowego Jorku będzie się chciało kiwnąć palcem? Hę?

– Policja to policja, Doris, nieważne, czy to Północ, czy Południe. Prawo jest prawem.

Doris, wcale nieprzekonana do cnót rodaków z Północy, prychnęła i nagle w jej oczach pojawiła się nadzieja.

– Zaraz, a jak ją wsadzą, to nie będzie musiała czasem oddać tych wygranych pieniędzy? – Spojrzała znowu na uśmiechającą się w telewizorze LuAnn, rozważając ewentualność wyciągnięcia ze śmietnika tych podartych kuponów i podjęcia próby ich rekonstrukcji. – Co by jej przyszło z tej forsy w więzieniu, nie?

Szeryf Waymer nie odpowiedział. Próbował się połączyć z nowojorską policją.

LuAnn machała wielkim czekiem, uśmiechała się do tłumu i odpowiadała na pytania padające z różnych stron ogromnej sali. Telewizja transmitowała to na całe Stany Zjednoczone i na cały świat.

– Czy ma już pani jakieś plany wykorzystania tych pieniędzy? Jeśli tak, to jakie?

– Dowiedcie się – odparła LuAnn. – Zobaczycie, ale będziecie musieli poczekać.

Jak to było do przewidzenia, zdarzały się też głupie pytania.

– Czy się pani cieszy?

– Bardzo – odpowiedziała. – Bardziej niż kiedykolwiek.

– Czy wyda je pani wszystkie w jednym miejscu?

– Wątpię. Musiałoby to być bardzo duże miejsce.

– Wspomoże pani rodzinę?

– Wspomogę ludzi, na których mi zależy.

Padły też trzy propozycje małżeństwa. Każdemu konkurentowi do swojej ręki odpowiadała inaczej, z poczuciem humoru, ale odmownie. Charlie, słuchając tego, zżymał się w duchu. W końcu, spojrzawszy na zegarek, wyszedł z sali.

Jakiś czas sypały się jeszcze pytania, robiono zdjęcia, śmiano się i uśmiechano, ale w końcu konferencja prasowa dobiegła końca i LuAnn zeszła ze sceny. Wróciła do garderoby, przebrała się szybko w spodnie i bluzkę, zmyła z twarzy makijaż, upchnęła długie włosy pod kowbojski kapelusz i wzięła Lisę na ręce. Zerknęła na zegarek. Upłynęło dwadzieścia minut od chwili, kiedy przedstawiono ją światu jako zwyciężczynię ostatniego losowania krajowej loterii. Szeryf z Rikersville rozmawia już pewnie z nowojorską policją. W rodzinnym miasteczku LuAnn wszyscy, łącznie z szeryfem Royem Waymerem, oglądali obowiązkowo każde losowanie i

późniejszą konferencję. Miała bardzo mało czasu.

Do pokoju zajrzał Davis.

– Panno Tyler, samochód czeka przy tylnym wyjściu z budynku. Dam pani kogoś do eskorty, jeśli już pani gotowa.

– Gotowa. Aha, gdyby ktoś o mnie pytał, to jestem w hotelu.

Davis spojrział na nią chłodno.

– Spodziewa się pani kogoś?

– Ojca Lisy, Franka.

Davisowi ściągnęła się twarz.

– W jakim hotelu?

– Plaza.

– Oczywiście.

– Ale proszę nie mówić nikomu innemu, gdzie jestem. Dawno się z Frankiem nie widzieliśmy. Przez prawie trzy miesiące był na manewrach. Nie chcę, żeby nam przeszkadzano.

– Mrugnęła porozumiewawczo do Davisa. – Rozumie pan, w czym rzecz.

Davis zdobył się na bardzo nieszczerzy uśmiech i skłonił się sztucznie.

– Może pani na mnie polegać, panno Tyler. Kareta czeka.

LuAnn uśmiechnęła się w duchu. Teraz była już pewna, że policja, która zaraz się tu zjawi, zostanie natychmiast skierowana do hotelu Plaza. Da jej to trochę cennego czasu na ucieczkę z miasta i z kraju. Wkrótce rozpocznie nowe życie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Przed tylnym wyjściem z budynku na LuAnn czekała długa, czarna limuzyna. Szofer uchylił czapki i otworzył drzwiczki. LuAnn wsiadła i położyła Lisę na siedzeniu obok siebie.

– Dobra robota, LuAnn. Wypadłaś bez zarzutu – powiedział Jackson.

Zaskoczona LuAnn omal nie krzyknęła. Odwróciła się błyskawicznie i spojrzała w ciemność, z której dobiegł ten głos. Wszystkie wewnętrzne lampki z tyłu samochodu były zgaszone. Dopiero teraz zapaliła się jedna bezpośrednio nad jej głową. Poczowała się znowu jak na scenie w audytorium budynku loterii. Ledwie odróżniała postać wciśniętą w mroczny kąt.

Dobiegł ją stamtąd stłumiony głos:

– Bardzo spokojna i opanowana, trochę poczucia humoru, tam gdzie trzeba było, dziennikarze to podchwycą. A przede wszystkim prezencja. Trzy propozycje małżeństwa w trakcie jednej konferencji prasowej to, o ile mi wiadomo, rekord.

– Dziękuję. – LuAnn, doszedłszy już do siebie, poprawiła się na kanapie sunącej ulicą limuzyny.

– Szczerze mówiąc, obawiałem się, że zrobisz z siebie kompletną idiotkę. Nie bierz sobie tego do serca. Powiedziałem już, że uważam cię za kobietę inteligentną, jednak każdy, bez względu na intelekt, postawiony nagle w nietypowej dla siebie sytuacji, najczęściej traci głowę, chyba się ze mną zgodzisz?

– Mam sporą praktykę.

– Słucham? – Jackson pochylił się lekko w przód, ale nadal skrywały go ciemności. – Praktykę w czym?

LuAnn, oślepiana trochę blaskiem świecącej nad nią lampki sufitowej, usiłowała przebić wzrokiem mrok zalegający w kącie limuzyny.

– W radzeniu sobie w nietypowych sytuacjach.

– Wiesz, LuAnn, czasami mnie zadziwiasz, naprawdę zadziwiasz. Niekiedy twoja przenikliwość konkuruje z moją, i nie mówię tego ot tak sobie. – Przyglądał jej się przez chwilę, a potem otworzył leżący na siedzeniu obok neseser i wyjął z niego kilka kartek papieru. Z westchnieniem zadowolenia odchylił się z powrotem na oparcie.

– A teraz, LuAnn, pora przejść do omówienia warunków.

LuAnn wygładziła nerwowo bluzkę i założyła nogę na nogę.

– Najpierw muszę panu o czymś powiedzieć.

Jackson przekrzywił głowę.

– Doprawdy? A o czym to?

LuAnn odetchnęła głęboko. Nie spała całą noc, łamiąc sobie głowę, w jaki sposób powiedzieć mu o mężczyźnie, który przedstawił jej się jako Tęcza. Z początku zastanawiała się,

czy w ogóle wspominać o nim Jacksonowi. Potem doszła do wniosku, że ponieważ w grę wchodzi pieniądze, rzecz i tak wyjdzie z czasem na jaw. Lepiej, żeby dowiedział się tego od niej.

– Wczoraj skontaktował się ze mną jakiś mężczyzna.

– Mężczyzna, powiadasz. W jakiej sprawie?

– Chciał ode mnie pieniędzy.

Jackson roześmiał się.

– LuAnn, moja droga, teraz wszyscy będą chcieli od ciebie pieniędzy.

– Nie, to coś innego. On chciał połowy mojej wygranej.

– Słucham? Bzdura!

– Wcale nie. On... on miał pewne informacje na mój temat, wiedział o czymś, co mi się przytrafiło, i groził, że mnie wyda, jak mu nie zapłacę.

– Boże, a cóż takiego ci się przytrafiło?

LuAnn spojrzała w okno.

– Mogę wziąć sobie coś do picia?

– Nie krępuj się.

Z ciemności wyłonił się palec obleczony w rękawiczkę dłoni, wskazując na drzwiczki lodówki. LuAnn, nie spoglądając w kierunku Jacksona, otworzyła je i wzięła sobie colę.

Pociągnęła długi łyk, otarła usta i podjęła:

– Zanim zatelefonowałam do pana, że przyjmuję propozycję, coś mi się przytrafiło.

– Czy chodzi o te dwa trupy w twojej przyczepie? I o narkotyki? O to, że szuka cię policja? A może o coś innego, co również próbowałaś przede mną zataić?

Nie odpowiedziała od razu. Bawiła się nerwowo trzymaną w rękach puszką coli, a na jej twarzy malowało się zdumienie.

– Z narkotykami nie miałam nic wspólnego. A tamten mężczyzna chciał mnie zabić. Tylko się broniłam.

– Powiniennem się zorientować, że coś się stało, kiedy nagle zapragnęłaś czym prędzej opuścić miasteczko, zmienić nazwisko i tak dalej. – Pokręcił ze smutkiem głową. – Moja biedna LuAnn. Ja w tych okolicznościach chyba też jak najszybciej wyniosłbym się z miasta. No i kto by o to podejrzewał naszego małego Duane'a. Narkotyki! Straszne. Ale wiesz co, jestem wyrozumiały z natury, i puszcze ci to w niepamięć. Było, minęło. Ale... – tu ton Jacksona zdecydowanie stwardniał – nie próbuj więcej niczego przede mną ukrywać. Proszę cię, dla twojego własnego dobra.

– Ale ten mężczyzna...

– To już załatwione – przerwał jej niecierpliwie Jackson. – Nie będziesz mu musiała dawać żadnych pieniędzy.

Wbiła wzrok w ciemność, jej twarz ponownie wyrażała zdumienie.

– Ale jak pan to zrobił?

– Słyszę to na każdym kroku: „Jak pan to zrobił?” – Jackson mówił przyciszonym głosem,

był wyraźnie rozbawiony. – Ja potrafię wszystko, LuAnn, jeszcze się nie zorientowałaś? Wszystko. Przeraza cię to? Jeśli nie, to powinno. Czasami przeraza nawet mnie.

– Ten mężczyzna powiedział, że kazano mu mnie zabić.

– Naprawdę?

– Ale potem go odwołano.

– Coś takiego.

– Z tego, co mówił, wynika, że odebrał ten odwołujący telefon, kiedy zadzwoniłam do pana z informacją, że się zgadzam.

– Życie jest pełne zbiegów okoliczności, nieprawdaż? – wymruczał kpiąco Jackson.

Przez twarz LuAnn przemknął cień wyzwania.

– Ja nie dam sobie w kaszę dmuchać, panie Jackson, potrafię się odgryźć, i to mocno. Żebyśmy się rozumieli.

– Sądzę, że doskonale się rozumiemy, LuAnn. – Z ciemności dobiegł ją szelest papieru. – Ale nie da się ukryć, że to komplikuje nam sprawy. Kiedy powiedziałaś, że chcesz zmienić nazwisko, myślałem, że uda się jeszcze załatwić wszystko nad stołem.

– Co to znaczy?

– Podatki, LuAnn. Musimy brać pod uwagę kwestię podatków.

– Myślałam, że zatrzymuję całą sumę. Że rząd nic do tych pieniędzy nie ma. Tak mówią we wszystkich reklamach loterii.

– To niezupełnie prawda. Kampania reklamowa wprowadza ludzi w błąd. Swoją drogą, rząd sprytnie to obmyślił. Wygrana wcale nie jest wolna od podatku. Jest jak najbardziej opodatkowana, z tym że z zawieszeniem. Ale tylko na jeden rok.

– Co to, u diabła, znaczy?

– To znaczy, że w pierwszym roku zwycięzca nie odprowadza od wygranej ani podatku federalnego, ani stanowego, ale tylko dlatego, że przesunięto mu ich spłatę na następny rok. Musi uiścić cały podatek, tyle tylko że nie od razu. Nie nalicza mu się oczywiście żadnych kar za zwłokę ani karnych odsetek, ale tylko pod warunkiem, że rozliczy się z fiskusem w następnym roku podatkowym. Zgodnie z obowiązującym prawem podatek od wygranej rozkładany jest na równe raty spłacane przez dziesięć lat. Na przykład, dochodowy podatek federalny i stanowy od stu milionów dolarów wyniosłby około pięćdziesięciu milionów dolarów, czyli połowę całej sumy. Zauważ, że ze swoim dochodem plasujesz się teraz w najwyższym przedziale skali podatkowej. Dzieląc to przez dziesięć lat, dostajemy ratę roczną w wysokości pięciu milionów dolarów. Mało tego. Wszelki dochód uzyskany z kapitału jest już opodatkowany na ogólnych zasadach, czyli bez żadnego odroczenia. A przyznam ci się, LuAnn, że mam w związku z tym kapitałem plany, wielkie plany. W nadchodzących latach sporo zarobisz, jednak będą to niemal w całości pieniądze podlegające opodatkowaniu – dywidendy, odsetki od kapitału, zysk z oprocentowanych obligacji, tego rodzaju dochody. W normalnej sytuacji nie byłoby z tym żadnego problemu, ponieważ szanujący prawo obywatele, którzy nie ukrywają się przed policją

pod przybranym nazwiskiem, wypełniają po prostu zeznania podatkowe, płacą uczciwie swoje podatki i żyją z czystym sumieniem. W twoim wypadku sprawa się komplikuje. Gdyby moi ludzie wypełnili twoje roczne zeznanie podatkowe na nazwisko LuAnn Tyler, wpisując do niego twój aktualny adres i inne dane osobowe, to czy nie sądzisz, że natychmiast złożyłaby ci wizytę policja?

– A nie mogę płacić podatków pod swoim nowym nazwiskiem?

– To na pozór genialne rozwiązanie, ale urząd podatkowy ma skłonności do brania pod lupę bardzo młodych osób, które w swoim pierwszym zeznaniu rocznym deklarują dochody z tyłoma zerami. Mogłoby ich zainteresować, co wcześniej robiłaś i jakim sposobem ni z tego, ni z owego stałaś się bogatsza od samego Rockefellera. Tu chyba też nie obyłoby się bez wizyty policji, a co jeszcze bardziej prawdopodobne, smutnych panów z FBI. Nie, odpada.

– No to co zrobimy?

Brzmienie głosu Jacksona, kiedy się teraz odezwał, kazało LuAnn mocniej przytulić do siebie Lisę.

– Zrobisz dokładnie tak, jak powiem, LuAnn. Masz zarezerwowane miejsce w samolocie, który wywiezie się z kraju. Nigdy już nie wrócisz do Stanów Zjednoczonych. Ta mała jatka w Georgii skazała cię na życie w ciągłym ruchu. Obawiam się, że na zawsze.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale, LuAnn, tak zrobisz. Rozumiesz?

LuAnn wyprostowała się i uniosła dumnie głowę.

– Mam teraz tyle pieniędzy, że sama mogę o sobie decydować – powiedziała z godnością. – Nie lubię, jak mi mówią, co mam robić.

– Naprawdę? – Dłoń Jacksona zacisnęła się na kolbie pistoletu spoczywającego w otwartym neseserze. Jeden szybki ruch, i matka z córką zginą. – To może sama wydostaniesz się z kraju? Chcesz spróbować?

– Dam sobie radę.

– Nie o to chodzi. Zawarłaś ze mną układ, LuAnn. Spodziewam się, że będziesz go honorowała. Zobaczysz, że na dłuższą metę nasze interesy są zbieżne. Chyba że jesteś głupia i nie chcesz ze mną współpracować. Jeśli tak, to zaraz zatrzymuję wóz, wyrzucam cię razem z dzieckiem na ulicę i dzwonię na policję, żeby cię aresztowali. Wybieraj. Decyduj. Teraz!

LuAnn, speszona takim postawieniem sprawy, rozejrzała się z rozpaczą po wnętrzu limuzyny. Jej wzrok zatrzymał się w końcu na Lisie. Córeczka wpatrywała się w nią dużymi, wilgotnymi oczami. Malowało się w nich całkowite oddanie. LuAnn wzięła głęboki oddech. Jaki w końcu miała wybór?

– Dobrze.

Jackson zaszeleścił znowu papierami.

– Mamy akurat tyle czasu, żeby przebrnąć przez te dokumenty. Musisz parę z nich podpisać, ale pozwól, że najpierw przybliżę ci podstawowe sprawy. Spróbuję to zrobić możliwie

najprzystępniej. Wygrałaś sto milionów dolarów z kawałkiem. Pieniądze te przelane zostały na specjalne konto depozytowe otwarte na twoje nazwisko przez Komisję Loteryjną. A przy okazji, załatwiłem ci numer ubezpieczenia społecznego na twoje nowe nazwisko. To ci znacznie ułatwi życie. Po podpisaniu przez ciebie tych dokumentów moi ludzie będą mogli przenieść pieniądze z konta depozytowego na inne, nad którym mam pełną, niczym nieskrępowaną kontrolę.

– A jak ja będę mogła korzystać z tych pieniędzy? – spytała zaniepokojona LuAnn.

– Cierpliwości, LuAnn, zaraz ci wszystko wyjaśnię. Pieniądze będą inwestowane tak, jak uznam to za stosowne, i na moją odpowiedzialność. Jednak z tego funduszu inwestycyjnego będziesz miała minimalne gwarantowane odsetki w wysokości dwudziestu pięciu procent rocznie, co daje około dwudziestu pięciu milionów dolarów w skali roku. Pieniądze te będą dla ciebie dostępne na każde żądanie przez okrągły rok. Nie martw się, mam księgowych i doradców finansowych, którzy się nimi w twoim imieniu zaopiekują. – Uniósł palec. – Zauważ, że to tylko odsetki. Kapitał wynoszący sto milionów dolarów pozostaje nienaruszony. Będę nim obracał przez okres dziesięciu lat i inwestował, w co uznam za stosowne. Pełny rozruch planów, jakie mam wobec tych pieniędzy, potrwa kilka miesięcy, a więc ów dziesięcioletni okres rozpocznie się gdzieś późną jesienią bieżącego roku. Dokładną datę podam ci później. Po upływie dziesięciu lat od tej daty otrzymasz z powrotem całe sto milionów dolarów. Zatrzymujesz naturalnie wszystko, co odbierzesz w ciągu tych dziesięciu lat w formie odsetek. Te pieniądze również w twoim imieniu zainwestujemy, nieodpłatnie. Wiem, że się na tym nie znasz, ale przy stopie procentowej, którą ci proponuję, twój majątek, nawet przy dużych wydatkach na cele bieżące, będzie się podwajał co jakieś trzy lata, zwłaszcza że nie będziesz płaciła żadnych podatków. Skromnie licząc, pod koniec dziesięcioletniego okresu, o którym mówię, nie ponosząc w tym czasie żadnego ryzyka, będziesz miała setki milionów dolarów. – Jacksonowi oczy błyszczały, kiedy rzucał tymi sumami. – Robi wrażenie, prawda, LuAnn? Jak się do tego ma sto dolarów tygodniowo? Długą drogę przebyłaś w ciągu tygodnia, chyba przyznasz? – Roześmiał się serdecznie. – Na początek wypłacę ci zaliczkowo pięć milionów dolarów. Nie potrączę od tej sumy procentu. Powinno ci to wystarczyć do czasu, kiedy zaczną spływać zyski z inwestycji.

LuAnn, słysząc tę gigantyczną sumę, przełknęła z trudem ślinę.

– Nie znam się na inwestowaniu, ale na jakiej podstawie może mi pan gwarantować tyle pieniędzy co rok?

Jackson sprawiał wrażenie obruszonego.

– Na tej samej, na której zagwarantowałem ci, że wygrasz na loterii. Jeśli potrafiłem dokonać tej czarodziejskiej sztuczki, to chyba poradzę sobie i na Wall Street.

– A jak mi się coś stanie?

– W kontrakcie, który za chwilę podpiszesz, jest klauzula dotycząca spadkobierców i osób upoważnionych. – Wskazał ruchem głowy Lisę. – Wpiszemy tam twoją córkę. Z tym że wszystkie zyski wraz z kapitałem przeszłyby na nią dopiero po upływie tego dziesięcioletniego okresu. Dokumenty zawierają również pełnomocnictwo. Pozwoliłem już sobie sporządzić

stosowny akt notarialny. Jestem człowiekiem wszechstronnym. – Zachichotał. Podał jej plik dokumentów i pióro. – Miejsce na podpis jest wszędzie wyraźnie zaznaczone. Mam nadzieję, że satysfakcjonują cię warunki. Od początku mówiłem ci, że mile cię zaskoczą, pamiętasz?

LuAnn zawahała się na moment.

– Jakiś problem, LuAnn? – zapytał ostro Jackson.

Pokręciła głową, podpisała szybko dokumenty i oddała mu je. Jackson odsunął wnekę w konsoli limuzyny.

LuAnn usłyszała, jak wystukuje coś na klawiaturze, a potem rozległo się ciche brzęczenie.

– Faks to wspaniały wynalazek, zwłaszcza kiedy liczy się czas – powiedział Jackson. – Za najdalej dziesięć minut pieniądze znajdą się na moim koncie. – Odbierał kolejno kartki wysuwające się z urządzenia i wkładał je do nesesera. – Twoje torby są w bagażniku. Bilety na samolot i rezerwacje hoteli mam przy sobie. Zaplanowałem ci marszrutę na pierwsze dwanaście miesięcy. To będzie wspaniała podróż; mam nadzieję, że ci się spodoba. Uczyniłem zadość twojemu życzeniu odwiedzenia Szwecji, kraju przodków twojej matki. Traktuj to jako bardzo długie wakacje. Może w końcu umieszczę cię na stałe w Monako. Nie ściągają tam podatków od dochodów osobistych. Ostrożności nigdy za wiele, spreparowałem ci więc dokładnie udokumentowany zastępczy życiorys. W skrócie, wyjechałaś ze Stanów jako mała dziewczynka. Poznałaś i poślubiłaś bogatego cudzoziemca. Dla urzędu podatkowego wszystkie pieniądze należą do niego. Rozumiesz? Kapitał będzie przechowywany wyłącznie na kontach za granicą w bankach innych państw. Banki amerykańskie są zobowiązane do ujawniania stanu konta klienta na żądanie urzędu podatkowego. Ani jeden dolar z twoich pieniędzy nie będzie nigdy trzymany w Stanach Zjednoczonych. Pamiętaj jednak, że podróżujesz z paszportem Stanów Zjednoczonych, jako obywatelka Stanów Zjednoczonych. Mogą tu spłynąć jakieś przecieki o twoim majątku. Musimy być na to przygotowani. Jeśli jednak całe pieniądze należą do twojego męża, który nie jest obywatelem amerykańskim, który nie przebywa aktualnie w tym kraju, który nie uzyskuje żadnych bezpośrednich przychodów w Ameryce ani nie czerpie zysków z inwestycji czy interesów związanych z tym krajem, to ogólnie rzecz biorąc, urząd podatkowy nie może cię tknąć. Nie będę cię zanudzał skomplikowanymi amerykańskimi przepisami podatkowymi dotyczącymi takich źródeł dochodów, jak zyski z obligacji emitowanych przez amerykańskie koncerny, dywidendy wypłacane przez amerykańskie korporacje oraz inne transakcje i przychody ze sprzedaży własności, które mają namacalny związek ze Stanami Zjednoczonymi i na których może się potknąć ktoś nieświadomiony. Wszystkim tym zajmą się moi ludzie. Możesz mi wierzyć, że nie będzie żadnych problemów.

LuAnn poprosiła o bilety.

– To za chwilę, LuAnn, przed nami jeszcze parę spraw do załatwienia. Przede wszystkim policja.

– Jakoś sobie z nimi poradzę.

– O, doprawdy? – W tonie Jacksona pobrzmiwało rozbawienie. – Bardzo bym się zdziwił,

gdyby w tej chwili nie rozmieszczano nowojorskich stróżów prawa na każdym lotnisku, na każdym dworcu autobusowym i stacji kolejowej. Ponieważ jesteś przestępczynią przekraczającą granice Stanów, prawdopodobnie powiadomili też FBI. A ci są ostrzy. Nie będą biernie czekali w hotelu, aż się tam pojawisz. – Wyjrzał przez okno limuzyny. – Musimy się przygotować. Da to policji więcej czasu na zastawienie sieci. Ale trudno.

LuAnn czuła od pewnego czasu, że limuzyna zwalnia. Teraz się zatrzymała. Rozległ się przeciągły szcęk, jakby unoszącej się bramy. Kiedy ścichł, limuzyna ruszyła, by po chwili znowu się zatrzymać.

Zadzwonił telefon i Jackson szybko podniósł słuchawkę. Słuchał przez chwilę, po czym odłożył ją bez słowa.

– Potwierdzono, że sto milionów dolarów wpłynęło, chociaż to już po godzinach urzędowania banku. Mam tam specjalne układy. Wszechstronność to bardzo przydatny dar.

Poklepał dłonią siedzisko kanapy obok siebie.

– Przesiądź się teraz tutaj. Ale najpierw zamknij oczy i podaj mi dłoń. Pomogę ci. – Z mroku wysunęła się jego ręka.

– Po co mam zamykać oczy?

– Bądź dla mnie wyrozumiała, LuAnn. Bardzo lubię ubarwiać sobie życie teatralnymi wstawkami. Zwłaszcza że tak rzadko jest po temu okazja. Zapewniam cię, że to, co chcę zrobić, jest absolutnie niezbędne, jeśli masz się bezpiecznie prześlizgnąć przez obławę policyjną i rozpocząć nowe życie.

LuAnn chciała jeszcze o coś zapytać, ale dała spokój. Podała mu bez słowa rękę i zamknęła oczy.

Usiadła obok niego. Poczowała na twarzy światło. Zaraz potem nożyczki odcięły jej pasmo włosów. Szarpnęła głową.

– Dobrze ci radzę, siedź spokojnie – usłyszała tuż przy uchu głos Jacksona. – I bez tego trudno to robić w takiej ciasnocie, w pośpiechu i bez odpowiedniego sprzętu. Nie chciałbym ci wyrządzić krzywdy.

Po postrzyżynach jej włosy kończyły się tuż nad uchem. Ścinki Jackson wrzucił sukcesywnie do dużej torby na śmieci. To, co zostało jej na głowie, natarł jakąś wilgotną substancją, która szybko stwardniała w skorupę. Fryzjerską szczotką wymodelował fryzurę.

Następnie do krawędzi konsoli limuzyny przytwierdził przenośne lusterko otoczone neonowymi lampkami. W normalnych warunkach, przystępując do pracy nad nosem, użyłby dwóch lusterek, by na bieżąco kontrolować powstający profil; teraz jednak, siedząc w ciasnej limuzynie zaparkowanej w podziemnym garażu na Manhattanie, nie mógł sobie pozwolić na taki luksus. Otworzył dziesięciotackowy zestaw z materiałami charakteryzatorskimi oraz z mnóstwem narzędzi do ich nakładania i formowania. LuAnn poczuła na twarzy jego zwinne palce. Zamalował jej brwi kryolanem, nałożył podkład, pociągnął go kremową szminką i zapudrował. Następnie z małej szczoteczki uformował zupełnie nowe brwi. Dokładnie oczyścił dolną część

twarży LuAnn alkoholem kosmetycznym. Nałożył na nos warstwę spirytusowego kleju i zostawił go do wyschnięcia. W tym czasie natarł sobie palce galaretką, żeby nie kleił się do nich kit, który miał zamiar rozrabiać. Rozgrzał kit w dłoniach i przystąpił do nakładania go na nos, modelując i ugniatając metodycznie aż do uzyskania zamierzonego kształtu.

– Nos masz długi i prosty, LuAnn, klasyczny, naprawdę. Ale nieco modeliny, tu podcieniować, tam podmalować, i *voilà*, mamy gruby, krzywy kinol, który zupełnie nie przypomina oryginału. Nie bój się, to tylko tymczasowe. Wszyscy, jak się dobrze zastanowić, jesteście tymczasowi. – Zachichotał wesóło.

Przystąpił do nawilżania sztucznego nosa czarną gąbką, pudrowania jego powierzchni, rozprowadzania podkładu i dodawania różu przy nozdrzach, by nadać mu bardziej naturalny wygląd. Subtelnie nałożone cienie i szminka sprawiły, że oczy LuAnn wydawały się teraz bliżej osadzone, trochę pudru i kremu stonowało linię szczęki. Trochę różu nałożonego na policzki zharmonizowało je z resztą.

LuAnn poczuła, jak Jackson wodzi ostrożnie palcami po gojącej się ranie na szczęce.

– Paskudne rozcięcie. Pamiątka po przygodzie w przyczepie? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął: – Trzeba to zszyć. A i tak chyba pozostanie blizna. Nie przejmuj się, kiedy skończę, nic nie będzie widać. Ale bez chirurgii plastycznej tu się nie obejdziesz. – Znowu zachichotał i dorzucił: – Na moje fachowe oko.

Następnie umalował jej starannie usta.

– Trochę węższe niż u klasycznej modelki, LuAnn – orzekł. – Ale od czego jest kolagen?

LuAnn starała się, jak mogła, żeby nie zerwać się z krzykiem. Nie miała pojęcia, co tak naprawdę z niej robi. Kojarzył się jej z jakimś szalonym naukowcem, który przywraca do życia trupa.

– Teraz nakładam ci piegi na czoło, na nos i na policzki. Gdybyśmy mieli więcej czasu, nałożyłbym je również na dłonie, ale go nie mamy. Zresztą nikt nie zwróci na to uwagi, większość ludzi jest mało spostrzegawcza. – Rozpiął jej kołnierzyk bluzki i naniósł piegi na szyję. Potem zapiął z powrotem guzik, spakował sprzęt i pomógł jej przenieść się z powrotem na tylną kanapę.

– Możesz już otworzyć oczy. W schowku obok siebie masz małe lusterko – poinformował ją.

LuAnn sięgnęła niepewnie po lusterko i uniosła je do twarzy. Zaparło jej dech w piersiach. Patrzyła na rudowłosą, piegowaną kobietę o krótkich sterczących na wszystkie strony włosach i bardzo jasnej, niemal albinoskiej cerze. Oczy miała mniejsze i bliżej osadzone, brodę i linię szczęki łagodniej zarysowane, policzki płaskie i owalne. Ciemnoczerwona szminka powiększała optycznie usta. Nos był dużo szerszy i wyraźnie skrzywiony w prawo. Brwi o wiele jaśniejsze. Nie poznawała samej siebie.

Jackson rzucił jej coś na kolana. Spuściła wzrok. Paszport. Otworzyła go. Z fotografii patrzyła na nią kobieta, którą widziała przed chwilą w lusterku.

– Mistrzowska robota, nie uważasz? – odezwał się Jackson.

Wdusił wyłącznik i zapalająca się lampka podsufitowa oświetliła go. A raczej ją. LuAnn zaniemówiła z wrażenia. Naprzeciwko siedział jej sobowtór, a ściślej, sobowtór kobiety, którą się właśnie stała. Takie same krótkie, rade włosy, ta sama cera, ten sam skrzywiony nos, wszystko takie samo – odnosiła wrażenie, że patrzy na siostrę bliźniaczkę. Jedyne różnica polegała na tym, że ona miała na sobie dzinsy, a jej bliźniaczka sukienkę.

LuAnn nie mogła dobyć głosu. Jackson złożył ręce.

– Wcielałem się już w kobiety, ale chyba po raz pierwszy charakteryzowałem kogoś na siebie już ucharakteryzowanego. Swoją drogą, to ja jestem na tej fotografii w paszporcie. Zrobiłem ją sobie dzisiaj rano. Moim skromnym zdaniem nieźle się spisałem, no, może tylko twojego biustu nie udało mi się podrobić. Ale nawet bliźniaczki nie muszą być pod każdym względem identyczne. – Uśmiechnął się ubawiony jej zdumioną miną. – Nie oczekuję owacji na stojąco, sądzę jednak, że zważywszy na warunki, w jakich przyszło mi pracować, zasługuję na trochę uznania.

Limuzyna znowu ruszyła. Wyjechali z garażu i w niecałe pół godziny później byli już na lotnisku Kennedy’ego.

Zanim szofer otworzył drzwiczki, Jackson spojrzał ostro na LuAnn.

– Nie wkładaj tego kapelusza ani okularów, bo to sugeruje, że próbujesz osłonić twarz, a poza tym mogłabyś uszkodzić makijaż. Zapamiętaj sobie zasadę numer jeden: kiedy starasz się przed kimś ukryć, ostentacyjnie zwracaj na siebie uwagę, pokazuj się w pełnym świetle. Dwie dorosłe bliźniaczki to rzadki widok. Ludzie – z policjantami włącznie – na pewno nas zauważą, i chociaż zaczną się za nami oglądać, nikt nie poweźmie żadnych podejrzeń. Poza tym policja szuka jednej kobiety. Kiedy zobaczą dwie, i do tego bliźniaczki, to chociaż będziemy z dzieckiem, w ogóle nie wezmą nas pod uwagę. Taka jest już ludzka natura. Mają mnóstwo terenu do przeczesania, a czasu niewiele.

Jackson wyciągnął ręce do Lisy. LuAnn odruchowo przyciągnęła małą do siebie, posyłając mu podejrzliwe spojrzenie.

– LuAnn, staram się jak mogę bezpiecznie wyekspediować was obie z kraju. Będziemy niedługo przechodzili przez kordon policji i agentów FBI, którzy cię szukają. Uwierz mi, nie mam zamiaru zabierać ci córeczki. Potrzebuję jej z bardzo szczególnego powodu.

W końcu LuAnn oddała mu Lisę. Wyszli z limuzyny. W butach na wysokim obcasie Jackson był nieco wyższy od LuAnn. Zauważyła, że jest smukłej budowy ciała i musiała to przyznać, dobrze się prezentował w swoim stylowym stroju. Na ciemną sukienkę narzucił czarny płaszcz.

– Chodźmy – powiedział do LuAnn.

Zesztywniała, słysząc w jego głosie ten nowy ton. Teraz nawet mówił tak jak ona.

– A gdzie Charlie? – spytała LuAnn, kiedy kilka minut później wchodzili do rojnego budynku terminalu. Za nimi dreptał z torbami pucołowaty bagażowy.

– Bo co? – mruknął Jackson.

Z wprawą szedł na szpilkach. LuAnn wruszyła ramionami.

– Tak tylko pytałam. Zajmował się mną. Myślałam, że przyjdzie się pożegnać.

– Niestety, opieka Charliego nad tobą już się skończyła.

– Aha.

– Nie martw się, LuAnn, jesteś w o wiele lepszych rękach. – Jackson spojrzął przed siebie. – Zachowuj się naturalnie. Jesteśmy siostrami bliźniaczkami, gdyby ktoś o to zapytał, w co wątpię. Na wszelki wypadek mam dokumenty potwierdzające ten fakt. W razie czego nie odzywaj się, ja będę mówił.

LuAnn serce zamarło na widok czwórki mundurowych policjantów przyglądających się bacznie każdej z osób, która ich mijała.

Przeszli pod ich czujnymi spojrzeniami. Jeden zerknął nawet na długie nogi Jacksona, które mignęły pod odchylającą się połą płaszczka. Jackson wydawał się z tego zadowolony. Tak jak przewidział, policjanci szybko stracili wszelkie zainteresowanie nimi i skupili się na innych pasażerach wchodzących do terminalu.

Jackson i LuAnn zatrzymali się przy stanowisku British Airways.

– Potwierdź twój bilet, a ty zaczekaj na mnie przy tamtym barku. – Jackson wskazał na drugą stronę szerokiego korytarza.

– Dlaczego nie mogę go sama potwierdzić?

– A ile razy latałaś za ocean?

– Nigdy nie siedziałam w samolocie.

– No właśnie. Załatwię to o wiele szybciej niż ty. Gdybyś coś sknociła, powiedziała coś nie tak, moglibyśmy zwrócić na siebie uwagę, a na tym najmniej nam w tej chwili zależy. Personelowi linii lotniczych nie można zarzucić zbytniego przewrażliwienia na punkcie bezpieczeństwa, ale idiotami też nie są i zdziwiłoby cię, jacy potrafią być spostrzegawczy.

– No dobrze. Nie chcę czegoś sknocić.

– Daj mi paszport. Ten, który przed chwilą ode mnie dostałaś. – LuAnn posłuchała i patrzyła za Jacksonem, który pchając przed sobą wózek z Lisa ruszył do stanowiska kontroli paszportowej. Za nimi dreptał bagażowy. Jackson wspaniale naśladował jej ruchy. LuAnn, pokręciwszy z podziwem głową, przeszła na wskazane przez niego miejsce.

Jackson stanął w bardzo krótkiej kolejce pasażerów pierwszej klasy, która szybko się przesuwała. Po paru minutach był już z powrotem przy LuAnn.

– Jak na razie wszystko gra. Zalecałbym ci nie zmieniać przez kilka miesięcy wyglądu. Czerwoną farbę z włosów możesz, naturalnie, zmyć, ale jeśli mam być szczerzy, do twarzy ci w tym kolorze. – W jego oczach pojawiły się isierki humoru. – Kiedy sprawa przycichnie i odrosną ci włosy, możesz zacząć korzystać z paszportu wyrobionego na ciebie. – Wręczył jej dragi paszport, a ona szybko schowała go do torebki.

Jackson zauważył kątem oka dwóch mężczyzn i kobietę nadchodzących korytarzem i rozglądających się na wszystkie strony. Chrząknął i wskazał na nich wzrokiem. Każde z tej trójki

trzymało w ręce gazetę z jej zdjęciem zrobionym na konferencji prasowej. Zamarła. Jackson ścisnął ją uspokajająco za dłoń.

– To agencji FBI. Ale nie zapominaj, że wyglądasz teraz zupełnie inaczej niż na tej fotografii. To tak, jakbyś była niewidzialna. – Jego pewność siebie uśmierzyła obawy LuAnn. – Twój samolot startuje za dwadzieścia minut. Chodź za mną. – Jackson ruszył z miejsca. Przeszli przez stanowisko służb ochrony i usiedli w poczekalni przed bramką dla odlatujących.

– Trzymaj. – Jackson wręczył jej paszport i kopertę. – Masz tam pieniądze, karty kredytowe i międzynarodowe prawo jazdy, wszystko na twoje nowe nazwisko. Na prawie jazdy jest twoje aktualne zdjęcie. – Poprawił jej włosy, przyjrzał się zmienionej twarzy i znowu pokręcił głową, pełen podziwu dla swoich talentów. Potem uściskał jej rękę i poklepał po ramieniu. – Powodzenia. Jeśli znajdziesz się kiedyś w trudnej sytuacji, to pod tym numerem złapiesz mnie na całym świecie o każdej porze dnia i nocy. Jeśli jednak nie będziesz miała żadnych problemów, to już się więcej nie zobaczymy ani nie usłyszymy. – Podał jej karteczkę z numerem telefonu. – Nie chcesz mi aby czegoś powiedzieć, LuAnn? – Uśmiechnął się sympatycznie.

Popatrzyła na niego z zaintrygowaniem i potrząsnęła głową.

– Niby czego?

– Może dziękuję? – odparł, już się nie uśmiechając.

– Dziękuję – powiedziała bardzo powoli.

Nie mogła oderwać od niego wzroku.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział również bardzo powoli, patrząc jej prosto w oczy.

LuAnn spuściła wreszcie wzrok na karteczkę. Miała nadzieję, że nie będzie nigdy zmuszona dzwonić pod ten numer. Nie miała nic przeciwko temu, żeby więcej nie widzieć Jacksona na oczy. W towarzystwie tego człowieka czuła się prawie tak, jak wtedy na cmentarzu przy grobie ojca, który zdawał się ją wciągać. Kiedy znowu podniosła wzrok, Jacksona już przy niej nie było. Rozpłynął się w tłumie.

Westchnęła. Zmęczyło ją już uciekanie, a zaczynała właśnie nowe życie, które miało być jedną wielką ucieczką.

Otworzyła paszport i spojrzała na jego puste kartki. Już niedługo takimi pozostaną. Wróciła na pierwszą stronę i zapatrzyła się na obce zdjęcie i jeszcze bardziej obce nazwisko pod nim. Nazwisko, do którego z czasem przywyknie: Catherine Savage z Charlotteville w stanie Wirginia. W Charlotteville urodziła się jej matka, by potem jako młoda dziewczyna przenieść się stamtąd na głębokie Południe. Matka opowiadała często LuAnn o starych dobrych czasach, o dzieciństwie spędzonym w pięknych krajobrazach malowniczej Wirginii. Te stare dobre czasy skończyły się jak nożem uciął z chwilą przeprowadzki do Georgii i poślubienia Benny'ego Tylera. LuAnn rada była, że akurat to miasto wpisano jej do paszportu jako miejsce urodzenia. Nowe nazwisko też się jej podobało. Spojrzała znowu na fotografię i mrówki przeszły jej po plecach, kiedy uświadomiła sobie, że to Jackson na nią z niej patrzy. Zamknęła szybko paszport i

schowała go.

Dotknęła ostrożnie nowej twarzy, a potem szybko odwróciła wzrok, zauważając kolejnego policjanta zmierzającego w jej stronę. Może widział, jak Jackson potwierdza za nią bilet? Jeśli tak, to może idzie spytać, dlaczego to ona, a nie Jackson, wsiada teraz do samolotu? Zaszło jej w ustach. Pożałowała, że nie ma już przy sobie Jacksona. Przez głośniki zapowiedziano jej lot. Wstała. Biorąc na ręce Lisę, upuściła kopertę z dokumentami. Serce jej stanęło. Trzymając Lisę jedną ręką, schyliła się, by drugą pozbierać rozsypane dokumenty z podłogi. Nagle w polu jej widzenia pojawiła się para czarnych butów. Policjant przykucnął i zajął jej w twarz. W ręce trzymał jej fotografię. LuAnn zamarła pod świdrującym spojrzeniem czarnych oczu.

Uprzejmy uśmiech rozjaśnił policjantowi twarz.

– Pozwoli pani, że pomogę. Ja też mam dzieci. Niełatwo z nimi podróżować.

Pozbierał dokumenty, włożył je z powrotem do koperty i oddał LuAnn. Podziękowała mu, a on zasalutował i oddalił się.

LuAnn była przekonana, że gdyby ktoś ją teraz skaleczył, z rany nie popłynęłaby ani kropla krwi. Wszystka krew ścięta się jej w żyłach.

Korzystając z tego, że pasażerowie pierwszej klasy nie muszą się śpieszyć z zajmowaniem miejsc w samolocie, rozejrzała się, jednak jej nadzieje prysnęły. Jasne już było, że Charlie nie przyjdzie. Wkroczyła do rękawa przejściowego. Kiedy podziwiała przestronność wnętrza boeinga – 747, zbliżyła się do niej stewardesa.

– Tędy, panno Savage. Śliczna dziewczynka.

LuAnn wprowadzono spiralnymi schodkami na górę i wskazano miejsce. Posadziła Lisę w fotelu obok i od stewardesy pierwszej klasy przyjęła lampkę wina. Rozejrzała się znowu z zachwytem po luksusowej kabinie. Zauważyła, że każde miejsce wyposażone jest w telewizor i telefon. Po raz pierwszy była w samolocie, i to od razu w pierwszej klasie.

Wyjrzała przez okno. Ściemniało się szybko. Lisa rozglądała się z zaciekawieniem po kabinie, a LuAnn, sącąc wino, oddała się rozmyśleniom. Wzięła kilka głębokich oddechów i zaczęła się przypatrywać twarzom pasażerów wchodzących do kabiny pierwszej klasy. Parę starszych, wykwintnie ubranych osób, inni w urzędniczych garniturach, a nawet jeden chłopak w dżinsach i bawełnianej koszulce. LuAnn wydało się, że rozpoznaje w nim muzyka ze znanej grupy rockowej. Rozparła się wygodnie w fotelu. Drgnęła lekko, kiedy samolot ruszył ze stanowiska postojowego. Stewardesy przeprowadziły krótki instruktaż na temat zachowania się w przypadku awarii i dziesięć minut później maszyna, kołyszając się na boki i podskakując na nierównościach, rozpędzała się już pasem startowym. LuAnn trzymała się kurczowo poręczy fotela i zaciskała mocno zęby. Nie spoglądała w okno. Boże, co ona zrobiła! Oderwała jedną rękę od poręczy i objęła Lisę, która nie okazywała jednak śladu zdenerwowania. Potem samolot wzbił się płynnie w powietrze i wstrząsy ustały, a LuAnn odnosiła wrażenie, że wznosi się w niebo w jakiejś olbrzymiej bańce powietrznej. Księżniczka na zaczarowanym latającym dywanie – to skojarzenie przyszło jej do głowy i już tam pozostało. Oderwała drugą rękę od poręczy,

rozchyliła usta. Spojrzała za okno na migoczące w dole światła miasta, na kraj, który zostawiała za sobą. Według Jacksona na zawsze. Pomachała symbolicznie temu widokowi i odchyliła się na oparcie.

Dwadzieścia minut później nałożyła słuchawki i zaczęła kołysać głową w rytm jakiejś klasycznej muzyki. Drgnęła, kiedy na jej ramieniu spoczęła czyjaś dłoń, a do uszu przebił się głos Charliego. Był w kapeluszu, który mu kupiła. Uśmiechał się szeroko i szczerze, ale była od niego dziwna nerwowość. LuAnn zdjęła słuchawki.

– O kurczę – wyszeptał. – Gdyby nie Lisa, zupełnie bym cię nie poznał. Co to, u diabła, za przebieranki?

– To długa historia. – Ścisnęła go mocno za przegub i ledwie dosłyszalnie westchnęła. – Czy to znaczy, że zdradzisz mi wreszcie swoje prawdziwe nazwisko, Charlie?

Wkrótce po starcie boeinga – 747 zaczął siąpić kapuśniaczek. Mężczyzna w czarnym płaszczu i przeciwdeszczowym kapeluszu idący o lasce przez centrum Manhattanu zdawał się nie zwracać uwagi na słońce. Jackson zmienił się nie do poznania od czasu rozstania się z LuAnn. Postarzał się o co najmniej czterdzieści lat. Ciężkie wory pod oczami, wianuszek siwych włosów otaczający łysą głowę upstrzoną starczymi plamami. Nos miał długi i obwisły, taką samą brodę i policzki. Szedł powolnym, miarowym krokiem pasującym do jego nowej powierzchowności. Często postarzał się na wieczór, jakby z nadejściem ciemności czuł się zobligowany do skurczenia się, przybliżenia do podeszłego wieku, do śmierci. Spojrzał w zachmurzone niebo. Samolot mknący swoim korytarzem powietrznym ku Europie był już gdzieś nad Nową Szkocją.

Nie odleciała nim sama; Charlie poleciał z nią. Jackson, rozstawszy się z LuAnn, nie opuścił lotniska. Widział wsiadającego do samolotu Charliego, który nawet nie podejrzewał, że z odległości kilku stóp obserwuje go pracodawca. Ten układ może mimo wszystko okazać się korzystny – pomyślał Jackson. Miał co do LuAnn wątpliwości, poważne wątpliwości. Ukrywała przed nim informacje, co zazwyczaj traktował jako niewybaczalny grzech. Udało mu się zażegnać poważny problem, eliminując Romanella, i musiał przyznać, że do powstania tego problemu po części sam się przyczynił. Mimo wszystko to on wynajął Romanella do zabicia swojej wybranki, gdyby ta odrzuciła propozycję. Jednak nigdy dotąd nie współpracował ze zwyciężczynią ściganą przez policję. Zachowa się tak, jak robił zawsze, gdy zanosilo się na ewentualną katastrofę: będzie spokojnie obserwował, co z tego wyniknie. Jeśli wszystko pójdzie jak po maśle, nie zrobi nic. Jednak przy najmniejszej oznace nadciągających kłopotów przedsięwzięcie natychmiastowe i zdecydowane kroki. A więc może i dobrze będzie mieć przy niej Charliego. LuAnn była inna od swoich poprzedników, to pewne.

Jackson, kuśtykając boczną ulicą, postawił kołnierz płaszcza. Nowy Jork po zmroku i w deszczu ani trochę go nie przerażał. Był po zęby uzbrojony i miał do perfekcji opanowane liczne sposoby pozbawiania życia wszystkiego, co oddycha. Każdy, kto upatrzyłby sobie tego staruszka na łatwy cel napaści, gorzko odpokutowałby swój błąd. Jackson nie pałał żądzą mordy. Zabijanie było czasami konieczne, ale nie sprawiało mu przyjemności. Jego zdaniem usprawiedliwiała je

tylko walka o pieniądze lub władzę, najlepiej zaś o jedno i drugie. Miał o wiele lepsze rzeczy do zrobienia, niż parać się mordem bez potrzeby.

Ponownie spojrzął w niebo. Kropelki deszczu popłynęły po lateksowych fałdach jego twarzy. Zlizął je. Były zimne w dotyku, przyjemnie chłodziły prawdziwą skórę. Krzyżyk na drogę wam obojgu – mruknął i uśmiechnął się.

I niech Bóg ma was w swojej opiece, jeśli mnie zdradzicie.

Ruszył dalej ulicą, myśląc intensywnie i pogwizdując pod nosem. Najwyższa pora zająć się obmyśleniem taktyki, jaką zastosuje wobec przyszlomiesięcznego zwycięzcy.

CZĘŚC DRUGA

Dziesięć lat później

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Mały prywatny odrzutowiec wylądował na lotnisku Charlottesville-Albemarle i pokołował na stanowisko postojowe, gdzie na jego pasażerów czekała limuzyna. Dochodziła dziesiąta wieczorem i lotnisko było już właściwie zamknięte dla ruchu. Gulfstreama V przyjęto tego dnia jako ostatnią maszynę. Z samolotu wysiadły trzy osoby. Szybko zajęły miejsca w limuzynie i ta natychmiast ruszyła. Po paru minutach sunęła już drogą Dwudziestą Dziewiątą na południe.

Znalazłszy się w samochodzie, LuAnn zdjęła ciemne okulary, oparła się wygodnie i otoczyła ramieniem pokładającą się ze zmęczenia dziewczynkę. Odetchnęła głęboko. Nareszcie w domu. Nareszcie z powrotem w Stanach Zjednoczonych. Planowała to od lat. Ostatnio nie myślała o niczym innym. Zerknęła na siedzącego tyłem do kierunku jazdy mężczyznę. Charlie, wybijając grubymi palcami jakiś rytm na samochodowej szybie, patrzył w przestrzeń. Wyglądał na zatroskanego i był zatroskany, jednak przechwyciwszy spojrzenie LuAnn, zdobył się na pokrzepiający uśmiech. Przez ostatnie dziesięć lat starał się głównie podtrzymywać ją na duchu.

Przestał bębnić w szybę, splótł dłonie i popatrzył z ukosa na LuAnn.

– Boisz się? – zapytał.

Kiwnęła głową i spuściła wzrok na dziesięcioletnią Lisę, która zaraz po zajęciu miejsca w wozie złożyła głowę na kolanach matki i zapadła w głęboki sen. Mieli za sobą długą i wyczerpującą podróż.

– A ty? – odpowiedziała pytaniem.

Wzruszył potężnymi barami.

– Przygotowaliśmy się najlepiej, jak było można. Wiedzieliśmy, co ryzykujemy. Klamka zapadła. – Uśmiechnął się znowu, tym razem szerzej. – Będzie dobrze.

Też się uśmiechnęła. Oczy miała podkrążone, ciążyły jej powieki. Wiele wspólnie przeszli przez ostatnią dekadę. Gdyby ktoś jej powiedział, że już nigdy nie wsiądzie do żadnego samolotu, nigdy nie przejdzie przez kontrolę celną, nigdy nie będzie zmuszona przypominać sobie, w jakim kraju aktualnie się znajduje, na jakiej obcej mowie ma sobie dzisiaj łamać język, wcale by się nie zmartwiła. A co do podróżowania, to już do końca życia w zupełności wystarczyłyby jej pieszce wędrówki do skrzynki pocztowej po listy albo wypadu samochodem do najbliższego centrum handlowego po zakupy. Boże, gdyby to było takie proste! Skrzywiła się lekko i zaczęła sobie machinalnie masować skronie.

Charlie wiedział, co to oznacza. Przez te lata nauczył się rozpoznawać subtelne zewnętrzne objawy targających nią emocji. Dłuższą chwilę przyglądał się Lisie. Upewniwszy się, że dziewczynka rzeczywiście śpi, odpiął pas bezpieczeństwa, przesiadł się na kanapę obok LuAnn i powiedział cicho:

– On nie wie, że wróciliśmy. To znaczy Jackson.

– To nie jest wcale takie pewne, Charlie. Boże, sama nie wiem, czego boję się więcej: policji czy jego. Nie, skłamałabym. Zdecydowanie jego. Po stokroć wolę policję. Zakazał mi tu wracać. Kiedykolwiek. A ja złamałam ten zakaz. Wszyscy go złamaliśmy.

Charlie przykrył ręką jej dłoń i siląc się na beztroski ton, kontynuował:

– Myślisz, że zostawiłby nas do tej pory w spokoju, gdyby wiedział? Wybraliśmy najbardziej okrężną trasę, jaką można sobie wyobrazić. Pięć samolotów, pociąg, cztery kraje. Przeżygakowaliśmy pół świata. On nie ma pojęcia, że tu jesteśmy. I wiesz co? Nawet gdyby się dowiedział, machnąłby ręką. To już przecież dziesięć lat. Umowa wygasła. Czemu dalej miałoby mu na tym zależeć?

– A czemu on robi to wszystko, co robi? No, powiedz. Coś w tym musi być.

Charlie westchnął, rozpiął marynarkę i opadł na oparcie tylnej kanapy.

LuAnn odwróciła się do niego i pogłaskała czule po ramieniu.

– Wróciliśmy. Masz rację, podjęliśmy decyzję i kłamka zapadła. Nie chcę bynajmniej obwieszczać całemu światu, że znowu tu jestem. Będziemy wiedli spokojne, ciche życie.

– We względnym luksusie. Oglądałaś ten dom na zdjęciach.

LuAnn kiwnęła głową.

– Piękny jest.

– To stara posiadłość. Prawie trzysta akrów. Z tego blisko sto to otwarty, łagodnie sfalowany teren. Tak napisali w broszurze. Wychowywałem się w Nowym Jorku i nigdy nie widziałem tyle zielonej trawy naraz. Piękny Piemont przeniesiony do Wirginii, tak zachwalał mi te okolice pośrednik, z którym szukałem tutaj odpowiedniego domu. A ten był najładniejszy ze wszystkich, jakie oglądałem. Co prawda sporo pracy trzeba było włożyć, żeby go doprowadzić do stanu używalności, ale znalazłem fachowców, architektów i różnych takich, którzy się tym zajęli. Pełno tam przybudówek, jest stróżówka, stajnia z boksami na trzy konie, dwa wolno stojące pawilony gościnne, oba puste; raczej nie będziemy ich nikomu podnajmować. Ale wszystkie te duże posiadłości tak wyglądają. Jest też basen. Lisa będzie zachwycona. Mnóstwo miejsca na kort tenisowy. I w ogóle. A naokoło gęsty las. Istna palisada z żywych drzew. Zacząłem się też rozglądać za firmą, która postawiłaby ogrodzenie z bramą od strony drogi. Właściwie to ono już powinno stać.

– Mówisz, jakbyś całymi dniami próżnował. I tak zbyt wieloma sprawami się zajmujesz.

– Nie narzekam. Lubię to.

– I w akcie własności nie wymienia się swojego nazwiska?

– O Catherine Savage nie ma nigdzie wzmianki. Kontrakt na wykonanie robót i protokół odbioru podpisywał podstawiony gość. Akt własności wystawiony został na firmę, którą założyłem. Nie ma siły, żeby ktoś sobie ciebie z tym skojarzył.

– Najchętniej znowu zmieniałabym nazwisko, tak na wszelki wypadek, żeby zatrzeć za sobą wszelki ślad.

– Dobrze by było, tylko że w tym zastępczym życiorysie, który on ci wymyślił i którym

zatkaliśmy gębę urzędowi podatkowemu, występujesz jako Catherine Savage. Jest dostatecznie skomplikowany i lepiej nie dodawać do niego jeszcze jednej komplikacji. Rany, żebyś wiedziała, jak trudno było załatwić akt zgonu twojego rzekomo zmarłego męża!

– Wiem. – Westchnęła ciężko.

Zerknął na nią z ukosa.

– Słyszałem, że w Charlottesville mieszka mnóstwo sławnych i bogatych ludzi. Czy dlatego tu właśnie postanowiłaś się osiedlić? Sądzisz, że możesz tu sobie żyć jak pustelnica i nikt nie zwróci na to uwagi?

– To jeden z dwóch powodów.

– A ten drugi?

– Moja matka tu się urodziła – powiedziała Lu Ann, zniżając głos i sunąc palcem po skraju spódnicy. – Była tu szczęśliwa, tak mi przynajmniej mówiła. A w bogactwo wcale nie opływała. – Zamilkła, wpatrzona w przestrzeń. Otrząsnęła się po chwili z zadumy i rumieniąc się, spojrzała na Charliego. – Może udzieli nam się trochę tego szczęścia, jak myślisz?

– Myślę, że dopóki jestem z tobą i z tą małą – odparł, gładząc Lisę delikatnie po policzku – jestem szczęśliwym człowiekiem.

– Zapisaleś ją do tej prywatnej szkoły?

Charlie kiwnął głową.

– Do St. Anne's-Belfield. Bardzo ekskluzywna, mało uczniów w klasach. Ale przecież Lisa jest nad wiek rozgarnięta. Mówi paroma językami, zjeździła cały świat. Robiła już rzeczy, których niektórzy dorośli nie zrobią do końca życia.

– Sama nie wiem, może trzeba jej było załatwić prywatnego nauczyciela.

– Daj spokój, Lu Ann, od urodzenia wiecie takie samotnicze życie. Ona musi przebywać wśród innych dzieci. To jej dobrze robi. Tobie też. Nie możecie być wciąż ze sobą.

LuAnn uśmiechnęła się do niego przekornie.

– Czy nasze towarzystwo nie przyprawia cię czasem o klaustrofobię, Charlie?

– Żebyś wiedziała. Zamierzam teraz wracać późno do domu. Może nawet znajdę sobie jakieś hobby, na przykład golfa albo coś w tym rodzaju. – Uśmiechnął się do LuAnn na znak, że tylko żartuje.

– To było dziesięć dobrych lat, prawda? – W jej głosie pobrzmiwał niepokój.

– Nie zamieniłbym ich na nic – zapewnił.

Miejmy nadzieję, że o następnych dziesięciu też będzie można to powiedzieć – pomyślała LuAnn. Położyła głowę na jego ramieniu. Patrząc przed laty na panoramę Nowego Jorku, kipiała z podniecenia, uświadamiając sobie, ile dobrego może zrobić, dysponując wygranymi pieniędzmi. Obiecała sobie, że tak właśnie je wykorzystywała, i dotrzymała obietnicy. Jednak w życiu osobistym owe cudowne marzenia się nie ziściły. Ostatnie dziesięć lat były dla niej dobre tylko pod warunkiem, że definicją dobra jest życie na walizkach, przepełnione obawą przed zdemaskowaniem i napadami poczucia winy przy regulowaniu każdej płatności pieniędzmi, w

których posiadanie w tak podejrzany sposób weszła. Słyszała nieraz, że ludzie bardzo bogaci z rozmaitych powodów nigdy nie są szczęśliwi. Dorastając w biedzie, nie wierzyła w to, sądziła, że mówią tak ci, którzy zazdroszczą zamożnym. Teraz wiedziała, że to prawda, przynajmniej w jej wypadku.

Przymknęła oczy i spróbowała zasnąć. Musi być wypoczęta. Niedługo rozpocznie swoje następne nowe życie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Thomas Donovan siedział w tętniącym życiem pomieszczeniu dla redaktorów gazety „Washington Tribune” i wpatrywał się w ekran monitora. Wśród nagród dziennikarskich, przyznanych mu przez liczne szacowne gremia i wyeksponowanych na ścianach oraz półkach jego ciasnego boksu, poczesne miejsce zajmował Pulitzer, którego dostał przed trzydziestką. Donovan przekroczył już pięćdziesiątkę, ale nadal tryskał młodzieńczą energią i zapałem. Jak większość dziennikarzy interwencyjnych, patrzył na sprawy tego świata z silną dozą cynizmu, choćby dlatego, że znał go od najgorszych stron. Tematem artykułu, nad którym teraz pracował, czuł się wielce zniesmaczony.

Zerkał właśnie do notatek, kiedy na jego biurko padł czyjś cień.

– Pan Donovan?

Dziennikarz podniósł wzrok na młodzieńca z działu pocztowego.

– Tak?

– To dla pana. Właśnie przyszło. Chyba jakieś zamówione materiały.

Donovan podziękował i nie kryjąc niecierpliwości, rozerwał kopertę.

Artykuł o loterii, który pisał, miał w sobie potężny ładunek wybuchowy. Zebrał już do niego sporo materiału faktograficznego. Loteria krajowa przynosiła miliardy dolarów zysku rocznie i suma ta rosła co roku o ponad dwadzieścia procent. Połowę ze ściągniętych w ten sposób pieniędzy przeznaczano na nagrodę, jakieś dziesięć procent szło na płace dla agentów i inne koszty manipulacyjne, pozostałe zaś czterdzieści procent rząd zatrzymywał jako czysty zysk. Za takie pieniądze większość firm gotowa była zabić. Od lat trwały spory, czy loteria nie jest aby ukrytym podatkiem nałożonym na najuboższych. Rząd utrzymywał, że badania demograficzne nie wykazują, by najubożsi wydawali na grę znaczącą część swoich dochodów. Takie argumenty do Donovana nie przemawiały. Wiedział na pewno, że miliony osób grających w loterię żyją na granicy ubóstwa, że kupują sobie tę iluzję poprawy egzystencji za renty z ubezpieczenia społecznego, za talony żywnościowe, za wszystko, co tylko można spieniężyć, chociaż szanse na wygraną są tak mikroskopijne, że zakrawają na farsę. Z tym że w reklamach loterii rząd, określając te szanse, z premedytacją wprowadzał ludzi w błąd. Ale to nie wszystko. Donovan odkrył coś zastanawiającego. Mianowicie siedemdziesiąt pięć procent zwycięzców z każdego roku ogłaszało po niedługim czasie bankructwo. Czyli bankrutowało dziewięciu z dwunastu zwycięzców za dany rok. Donovan podejrzewał, że to w głównej mierze skutek działalności rozmaitych oszukańczych funduszków powierniczych i innych podstępnych, wyrafinowanych organizacji, które jak sępy dopadały tych ludzi i oskubywały ich praktycznie do czysta. Nieszczęsnych nuworyszów bombardowały też bez ustanku telefonami i nachodziły organizacje charytatywne. Dostawcy wszelkiego rodzaju sybaryckich dóbr potrafili im wcisnąć każdy chłam,

nazywając swoje towary pozycjami, które szanujący się nowobogacki musi posiadać, i zdzierając za rzekomą fatygę olbrzymi procent narzutu. Na tym się nie kończyło. Nagle zdobyty majątek rozbijał rodziny i niszczył długoletnie przyjaźnie, ponieważ chciwość brała najczęściej górę nad wszystkimi racjonalnymi emocjami.

Zdaniem Donovana do tych finansowych krachów w równej mierze przyczyniał się rząd. Przed dwunastoma laty w celu przyciągnięcia większej liczby graczy wprowadzono zasadę wypłaty od razu całej wygranej z przesunięciem odprowadzenia podatku od niej na jeden rok. W reklamach uwypuklano dramatycznie tę innowację, wyfłuszczając wielkimi wołami, że wygrane są wolne od podatku, by dalej, drobnym druczkiem uściślać, iż w rzeczywistości chodzi o zawieszenie, i to tylko na jeden rok. Wcześniej wypłatę wygranej rozkładano na kilka lat, automatycznie potrącając podatek od każdej transzy. Teraz zwycięzcy musieli rozliczać się z fiskusem sami. Niektórzy, przekonani, że nie muszą płacić żadnego podatku, szastali pieniędzmi na prawo i lewo. Licznymi podatkami, i to wysokimi, obłożone były również wszelkie przychody z kapitału. Rząd federalny publicznie poklepywał zwycięzcę po plecach i wręczał mu czek na ogromną sumę. A kiedy ten nie był na tyle rozgarnięty, by połapać się w porę w zawilosciach przepisów finansowych, zjawiali się u niego chłopcy z urzędu podatkowego i grożąc karami, odsetkami i czym tam jeszcze mogli, ograbiali do ostatniego centa, zostawiając delikwenta jeszcze biedniejszego, niż był, dopóki los się do niego nie uśmiechnął.

Była to szatańska gra obliczona na puszczenie z torbami wygrywającego, gra prowadzona przez rząd pod pozorem uszczęśliwiania narodu. O tym Donovan był święcie przekonany. A chodziło w niej tylko o jedno: o ściągnięcie pieniędzy. Donovan śledził poruszające ten temat artykuły publikowane w innych gazetach. Zauważył, że każda pojawiająca się w prasie krytyka jest przez przedstawicieli loterii rządowej zalewana natychmiast oceanami danych statystycznych mających dowodzić, na ile to szczytnych celów idą zyski z loterii. Opinię publiczną utrzymywano w przeświadczeniu, że pieniądze te przeznaczane są na edukację, na utrzymanie dróg, i tak dalej, a tymczasem lwia ich część trafiała do bliżej nieokreślonych funduszy i zasilala bardzo interesujące przedsięwzięcia niemające nic wspólnego z dotowaniem szkolnych podręczników czy łataniem dziur w jezdniach. Przedstawiciele loterii pobierali niebotyczne pensje i jeszcze niebotyczniejsze premie. Politycy popierający loterię zacierali ręce, widząc rzekę dolarów płynącą do stanów, które reprezentowali. Wszystko to brzydko pachniało i Donovan uważał, że najwyższy czas, by prawda wyszła na jaw. Swoim piórem, tak jak czynił to już nieraz w czasie trwania swojej kariery zawodowej, otworzy oczy naiwnym. A przynajmniej zawstydzi rząd do tego stopnia, że ten jeszcze raz rozważy moralną stronę eksploataowania owego olbrzymiego źródła dochodów. Być może niczego to nie zmieni, ale on zrobi, co w jego mocy.

Otrząsnął się z tych refleksji i znowu spojrzął na kopertę z dokumentami. Zweryfikował już swoją teorię odsetka bankructw za ostatnie pięć lat. Dokumenty, które trzymał w ręce, zawierały dane z siedmiu wcześniejszych lat. Zaczął je przeglądać. Wyniki były niemal identyczne – z dwunastu szczęśliwców z każdego roku dziewięciu niezmiennie ogłaszało bankructwo. Coś

niebывałego! Podniecony przerzucał kartki. A więc nos go nie zawiódł.

I nagle znieruchomiał wpatrzony w którąś z kolei kartkę. Już się nie uśmiechał. Miał przed sobą listę dwunastu kolejnych zwycięzców loterii sprzed dziesięciu lat. Nie może być. To pewnie jakiś błąd. Sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do agencji, której zlecił przeprowadzenie tych badań. Nie, powiedziano mu, to nie błąd. Nikt z tych, którzy w tamtym roku wygrali na loterii, nie ogłosił bankructwa.

Donovan odłożył powoli słuchawkę i zapatrzył się znowu w leżącą przed nim kartkę. Herman Rudy, Bobbie Jo Reynolds, Lu Ann Tyler, i tak dalej. Dwunastu zwycięzców z rzędu. Żadne z nich nie zbankrutowało. Żadne. Każdego innego roku z dwunastu szczęśliwców dziesięciu zostawało bankrutami.

Większość dziennikarzy kalibru Thomasa Donovana charakteryzują dwie wrodzone cechy: wytrwałość i instynkt. Donovanowi instynkt podpowiadał, że chyba natrafił właśnie na coś równie podniecającego, jak temat żerowania przez rząd na ludzkiej naiwności.

Musi się skonsultować z paroma swoimi źródłami, ale przecież nie tu, w rojnym newsroomie. Gdzieś na osobności. Wrzucił dokumenty do sfatygowanego nesesera i szybko wyszedł z redakcji. Nie były to godziny szczytu, a więc już po dwudziestu minutach dotarł do swojego małego waszyngtońskiego mieszkanca. Życie dwukrotnie rozwiedzionego i bezdzietnego Donovana obracało się wyłącznie wokół jego pracy zawodowej. Miał powoli dojrzewający romans z Alicją Crane, bywalczynią waszyngtońskich salonów z zamożnej rodziny, swego czasu dobrze politycznie ustosunkowaną. Nie czuł się w tych kręgach swobodnie. Ale Alicja była mu oddana, zawsze chętna do pomocy, i prawdę powiedziawszy, obracanie się na obrzeżach jej luksusowej egzystencji nie było takie znowu przykre.

Wszedł do domowego gabinetu i podniósł słuchawkę. Miał niezawodny sposób pozyskiwania informacji na temat interesujących go osób, zwłaszcza osób zamożnych, niezależnie od tego, jak starali się chronić swoje życie prywatne. Wybrał numer swojego długoletniego informatora z urzędu podatkowego. Podyktował mu nazwiska dwanaściora kolejnych zwycięzców loterii, którzy nie ogłosili bankructwa. Dwie godziny później informator oddzwonił. Słuchając go, Donovan skreślał nazwiska z listy. Zadał parę dodatkowych pytań, podziękował znajomemu, odłożył słuchawkę i spojrzał na listę. Z figurujących na niej nazwisk nieskreślone pozostało tylko jedno. Jedenaścioro zwycięzców loterii co roku wypełniało sumiennie swoje zeznania podatkowe, doniósł mu informator. Jednak bliższych szczegółów nie mógł zdradzić. Dodał tylko, że przychody deklarowane w zeznaniach wszystkich jedenaściora były olbrzymie. Donovan nadal frapowało, w jaki sposób cała jedenastka zdołała uniknąć bankructwa i najwyraźniej dobrze przez ostatnie dziesięć lat prosperowała, teraz jednak pojawiało się kolejne, jeszcze bardziej intrygujące pytanie.

Wpatrywał się w jedyne nieskreślone nazwisko z listy zwycięzców loterii. Informator powiedział mu, że osoba ta nie składała dotąd żadnych zeznań podatkowych, a jeśli już, to pod innym nazwiskiem. Mało tego. Osoba ta znikła zaraz po odebraniu wygranej. Donovan

przypominał sobie mgliście okoliczności tego zniknięcia. Dwóch zamordowanych – jej chłopak z rolniczej Georgii i jakiś mężczyzna. W grę wchodziły narkotyki. Przed dziesięciu laty ta sprawa zbytnio go nie zainteresowała. Pamiętał tylko, że kobieta zniknęła zaraz po wygraniu stu milionów dolarów, a wraz z nią pieniądze. Teraz patrzył na jej nazwisko na liście: LuAnn Tyler, i jego ciekawość rosła. Poszukiwana w sprawie o morderstwo musiała zmienić tożsamość. Z wygranymi pieniędzmi bez trudu mogła rozpocząć nowe życie.

Donovan uświadomił sobie nagle, że chyba wie, jak ustalić nową tożsamość LuAnn i może nie tylko to. Przez jego twarz przemknął przelotny uśmiech. Spróbować nie zawadzi.

Nazajutrz Donovan zadzwonił do szeryfa z Rikersville w stanie Georgia, rodzinnego miasteczka LuAnn. Roy Waymer zmarł przed pięcioma laty. Tak się składało, że obecnym szeryfem był Bill Harvey, wuj Duane'a. Harvey stał się bardzo rozmowny, kiedy Donovan nawiązał do tematu LuAnn.

– Zabiła Duane'a – powiedział gniewnie. – I to ona wciągnęła go w te narkotyki, bez dwóch zdań. Rodzinie Harveyów się nie przelewa, ale swój honor mamy.

– Mielicie od niej jakieś wiadomości przez te dziesięć lat? – spytał Donovan.

Bill Harvey dłuższą chwilę nie odpowiadał.

– No... przysłała trochę pieniędzy – wydusił z siebie w końcu.

– Pieniądzy?

– Staruszkom Duane'a. Od razu mówię, że się o to nie prosili.

– A przyjęli je?

– Mają już swoje lata i bieda u nich aż piszczy. Zresztą człowiek się nie wypina na takie pieniądze.

– Ile tego było?

– Dwieście tysięcy dolarów. Jeśli to nie dowód, że LuAnn sumienie gryzie, to ja już nic nie wiem.

Donovan gwizdnął cicho.

– Próbowaliście ustalić, skąd te pieniądze wysłano?

– Ja nie byłem jeszcze wtedy szeryfem, ale Roy Waymer próbował. Wziął sobie nawet do pomocy paru chłopaków z miejscowego FBI. Bez rezultatu. Paru innym osobom z okolicy też przysłała pieniądze, ale i oni nie wiedzieli skąd. Zupełnie jakby była duchem albo co.

– Coś jeszcze?

– Tak, jak pan ją kiedyś spotka, to niech pan jej powie, że rodzina Harveyów nie zapomniała, chociaż to już tyle lat. Mamy rachunki do wyrównania. Prędzej czy później ściągniemy ją do Georgii i spędzi tu z nami parę miłych chwil. Od dwudziestu lat do dożywocia. Za morderstwo nie ma przedawnienia. Dobrze mówię?

– Powtórzę jej, szeryfie, dzięki. Ach, jeszcze jedno. Czy mógłby mi pan przesłać kopię akt tej sprawy? Protokół z autopsji, przyjęte hipotezy, ustalenia poczynione w śledztwie, tego rodzaju

rzeczy?

– Naprawdę spodziewa się pan ją odnaleźć po tylu latach?

– Zajmuję się takimi sprawami od trzydziestu lat i jestem w tym dobry. W każdym razie spróbuję.

Donovan podał Harveyowi FedExowski numer i adres redakcji „Tribune”, rozłączył się i skreślił kilka notatek. Tyler nosi teraz inne nazwisko, to pewne. Musi je ustalić, zanim ruszy jej tropem.

Przez cały następny tydzień sprawdzał dokładnie każdy szczegół z życia LuAnn. W „Rikersville Gazette” wyszukał zawiadomienia o śmierci jej rodziców. Nekrologi zawierają mnóstwo cennych informacji: miejsca urodzin, nazwiska krewnych i inne dane, które mogą się okazać bardzo pomocne. Jej matka urodziła się w Charlottesville w Wirginii. Donovan przeprowadził rozmowy z krewnymi wymienionymi w nekrologach, a ściślej z tymi, którzy jeszcze żyli, ale niczego konkretnego się od nich nie dowiedział. LuAnn nigdy nie próbowała się z nimi skontaktować.

Następnie zabrał się do odtwarzania wydarzeń ostatniego dnia pobytu LuAnn w kraju. Rozmawiał osobiście z funkcjonariuszami nowojorskiej policji i agentami nowojorskiego oddziału FBI. Szeryf Waymer zobaczył ją w telewizji i natychmiast powiadomił policję w Nowym Jorku, że LuAnn jest poszukiwana w Georgii w związku z podwójnym morderstwem i handlem narkotykami. Ci obstawili niezwłocznie wszystkie dworce autobusowe, stacje kolejowe i lotniska. Blokady dróg w siedmiomilionowym mieście nie było sensu zarządzać. Nie natrafili jednak na ślad poszukiwanej, co zbulwersowało wielce FBI. Od znającego sprawę agenta Donovan dowiedział się, że Biuro nie mogło zrozumieć, jak dwudziestoletnia kobieta z siedmioma klasami szkoły podstawowej, z zabitego deskami miasteczka w Georgii, a do tego z dzieckiem na ręku, zdołała się przemknąć przez zarzuconą sieć. Żaden wyrafinowany kamuflaż i fałszywe dokumenty nie wchodziły w grę, tak przynajmniej sądzili. Nie miałyby czasu na podjęcie takich kroków, bo policja rozpoczęła obławę zaledwie pół godziny po jej występie w telewizji. A do tego zniknęły pieniądze. Byli w FBI tacy, którzy podejrzewali, że ktoś jej pomagał. Ale tego tropu nie podjęto, bo Biuro, zaangażowane w prowadzenie innych, ważniejszych spraw, nie miało na to ani czasu, ani ludzi. W końcu uznano oficjalnie, że LuAnn Tyler nie opuściła kraju, lecz po prostu wyjechała z Nowego Jorku samochodem albo metrem i zasyła się gdzieś na prowincji, ewentualnie przedostała się do Kanady. Nowojorska policja powiadomiła szeryfa Waymera o niepowodzeniu akcji i na tym się skończyło. Teraz sprawa znowu wpływała. Donovan był bardzo zaintrygowany. Przeczucie mówiło mu, że LuAnn wydostała się jednak z kraju. Że udało się jej jakoś przemknąć przez kordon policji i FBI. Jeśli wsiadła do samolotu, to czeka go sporo pracy.

Mógł jednak zawęzić obszar poszukiwań. Znał dokładnie dzień, znał nawet przedział czasowy tego dnia. Zacznie od próby ustalenia punktu, w którym LuAnn mogła przekroczyć granicę. Najpierw skoncentruje się na samolotach, które przed dziesięciu laty w tym przedziale

czasowym startowały z lotniska Kennedyego w rejsy międzynarodowe. Jeśli to nic nie da, prześledzi loty międzynarodowe z LaGuardii, a potem z Newark. Od czegoś trzeba zacząć. Lotów międzynarodowych jest znacznie mniej niż krajowych. Gdyby musiał sprawdzać loty krajowe, to chyba przyjąłby inną taktykę. Po prostu za dużo ich było. Brał się już do roboty, kiedy przyszła paczka od szeryfa Harveya.

Donovan zaszył się w swoim boksie i żując kanapkę zaczął przeglądać akta. Fotografie z autopsji, jak na tego rodzaju fotografie przystało, były makabryczne, ale nie odebrały apetytu staremu dziennikarzowi. W swojej trzydziestoletniej karierze widział już gorsze rzeczy. Po godzinie odłożył akta i zrobił kilka notatek. Jego zdaniem nie było dowodów na to, że LuAnn Tyler ponosi winę za to, za co chciał ją aresztować szeryf Harvey. Powęszył trochę na własną rękę w Rikersville. Duane Harvey miał tam opinię leniwego nicponia, którego życiowe ambicje ograniczały się do żłobania piwa, uganiania się za kobietami i niewnoszenia niczego wartościowego do dorobku cywilizacyjnego ludzkości. Z drugiej strony kilka osób, z którymi rozmawiał, opisało LuAnn Tyler jako ciężko pracującą, uczciwą kobietę i kochającą, troskliwą matkę. Osierocona wcześniej przez rodziców, radziła sobie w zaistniałych okolicznościach, jak mogła. Donovan widział ją na fotografiach, zdobył nawet kasetę wideo z konferencji prasowej sprzed dziesięciu lat, na której zaprezentowano ją jako zwyciężczynię loterii. Owszem, była atrakcyjna, ale pod tą urodą coś się kryło. Nie przebrnęłaby przez te lata tylko dzięki swoim fizycznym przymiotom.

Skończył kanapkę i pociągnął łyk kawy. Duane Harvey był strasznie pocięty. Drugi mężczyzna, Otis Burns, również zginął od ran zadanych nożem w klatkę piersiową. Poza tym stwierdzono u niego poważny, ale niezagrażający życiu uraz głowy i wyraźne ślady szamotaniny. Na roztrzaskanym aparacie telefonicznym zabezpieczono odciski palców LuAnn. Ale nie było w tym nic niezwykłego. Mieszkała tam przecież. Jedna osoba zeznała, że widziała ją tamtego ranka w samochodzie Otisa Burnsa. Z zebranych materiałów dowodowych Donovan wyciągnął wniosek zupełnie przeciwny do tego, co utrzymywał szeryf Harvey. Z tych dwojga to Duane handlował narkotykami i został przyłapany na jakiejś machlojce. Burns był prawdopodobnie jego dostawcą. Człowiek ten był wielokrotnie notowany w sąsiednim okręgu Gwinnett, za każdym razem w związku z narkotykami. Burns przyjechał pewnie wyrównać rachunki. Czy LuAnn wiedziała o procederze uprawianym przez Duane'a, trudno było zgadnąć. Pracowała w zajeździe dla ciężarówek aż do dnia, w którym wypełniła kupon loterii, a potem znikła, by pojawić się na krótko w Nowym Jorku. A więc jeśli nawet wiedziała, czym zajmuje się Duane, to nie czerpała z tego żadnych korzyści. Z ustaleń śledztwa nie wynikało niezbicie, czy była tamtego ranka w przyczepie i czy miała coś wspólnego ze śmiercią któregoś z mężczyzn. Zresztą Donovan jedno i drugie mało obchodziło. Nie widział powodu, dla którego miałby sympatyzować z Duane'em Harveyem albo Otisem Burnsem. Nie wiedział jeszcze, co myśleć o LuAnn Tyler. Wiedział tylko, że chce ją odnaleźć. Bardzo tego chce.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Jackson siedział w fotelu w ciemnym living roomie luksusowego apartamentu na dachu przedwojennego budynku, którego okna wychodziły na Central Park. Oczy miał zamknięte, ręce złożone na kolanach. Dobiegał już czterdziestki, ale zachował szczupłą i wysportowaną sylwetkę. Jego prawdziwa twarz, równie dobrze mogąca uchodzić za kobiecą, nieco się postarzała – wiek zdążył już wyźłobić drobniutkie zmarszczki wokół oczu i ust. Miał krótkie stylowo ostrzyżone włosy, ubrany był ze spokojną elegancją. Ale największą uwagę przykuwały jego oczy. Praca nad nimi podczas charakteryzowania się zabierała mu zawsze najwięcej czasu. Wstał i ruszył wolnym krokiem przez przestronny, eklektycznie urządzony apartament: angielskie, francuskie i hiszpańskie antyki sąsiadowały tu liberalnie z orientalną sztuką i rzeźbą.

Wszedł do pomieszczenia przypominającego garderobę gwiazd Broadwayu. Była to jego charakteryzatornia i warsztat zarazem – kasetonowe górne oświetlenie, na ścianach liczne lustra, każde ze specjalnymi lampkami neonowymi na obwodzie. Przed dwoma największymi lustrami stały obite skórą, regulowane fotele na kółkach. Do rozwieszonych na ścianach korkowych tablic przypięto mnóstwo fotografii. Jackson był zapalonym fotografem i wiele osób z tych zdjęć posłużyło mu za wzór dla wcieleń, które przybrał przez te lata. Wzdłuż jednej ściany, na specjalnych drucikach w bawełnianym oplocie, wisiały peruki, treski i tupeciki. W robionych na zamówienie ściennych szafach przechowywane były dziesiątki lateksowych czepków, rozmaitych sztucznych części ciała, akrylowych zębów, koronek i innych odlewów oraz materiały syntetyczne, modelina, wata, aceton, klej spirytusowy, pudry, materiały do makijażu; duże, średnie i małe szczotki o różnej twardości włosia; kolodium do imitowania blizn i wyprysków; sztuczne włosy do sporządzania bród, wąsów, a nawet brwi; kremy, żelatyna, palety do makijażu, gąbki i setki innych przyborów, materiałów i substancji służących do zmiany wyglądu. Na trzech wieszakach wisiały wszelkiego rodzaju stroje, a w wysokich lustrach można było ocenić jakość charakteryzacji. W specjalnej wieloszufladkowej komódce spoczywało pięćdziesiąt kompletów dokumentów tożsamości, dzięki którym Jackson mógł podróżować po całym świecie zarówno jako mężczyzna, jak i kobieta.

Jackson rozglądał się z uśmiechem po pomieszczeniu. Tu czuł się najlepiej. Z tworzenia kolejnych postaci czerpał największą w życiu satysfakcję. Jego drugą wielką pasją było granie wymyślonych przez siebie ról. Usiadł przy stole i przeciągnął dłonią po jego blacie. Patrzył w lustro, ale nie widział w nim siebie. Widział ciemną plamę twarzy, którą trzeba dopiero uformować, wyrzeźbić, pomalować, upudrować i wymasować, by stała się twarzą kogoś innego. Nie miał co prawda żadnych zastrzeżeń do swego intelektu i osobowości, ale dlaczego miał się przez całe życie ograniczać do jednej fizycznej postaci, skoro na świecie tyle było do przeżycia? Jechać, dokąd się chce, robić, co się chce. Powtarzał to każdemu z dwanaściorga swoich

zwycięzców loterii. Swoim podopiecznym. I wszyscy to kupili, bez zastrzeżeń. Bo miał rację.

Przez ostatnie dziesięć lat zarobił setki milionów dolarów dla każdego ze swoich zwycięzców i miliardy dla siebie. Sam dorastał w dostatku. Jego rodzina była od pokoleń zamożna. Rodzice dawno już nie żyli. Ojca uważał za typowy przykład tych przedstawicieli wyższych sfer, którzy swoje majątki i pozycję nie tyle wypracowali, co odziedziczyli. Ojca Jacksona cechowały i arogancja, i beztroska. Przez wiele lat parał się polityką i obracał wśród waszyngtońskiej elity, wykorzystując, dopóki się dało, rodzinne koneksje, aż w końcu wyszedł na jaw jego zdecydowany brak kompetencji i niezbędnych w tej branży talentów, i winda przestała piąć się w górę. A wtedy ojciec zaczął trwonić rodzinny majątek na daremne próby ożywienia tego opadającego prądu. Z czasem pieniądze się skończyły. Jackson, najstarszy z rodzeństwa, często przyjmował na siebie główny impet frustracji ojca. Skończywszy osiemnaście lat odkrył, że okazały fundusz powierniczy, który ustanowił dla niego dziadek, był przez ojca tyle razy nielegalnie uszczuplany, że praktycznie nic z niego nie zostało. Kiedy poinformował ojca o swoim odkryciu, ten, ogarnięty furją, dopuścił się wobec niego rękoczyn, co wycisnęło na chłopcu trwałe piętno.

Sińce wygoiły się z czasem. Psychicznego urazu Jackson nie pozbył się do tej pory, a gniew, jaki się w nim tlił, zdawał się narastać z każdym rokiem, i niewiele już brakowałoby syn przewyższył pod tym względem ojca.

Jackson zdawał sobie sprawę, że innym cała sprawa mogła się wydawać banalna. Straciłeś fortunę? I co z tego? Pies z nią tańczył! Ale Jackson tak nie myślał. Tyle lat żył w przekonaniu, że czekają na niego pieniądze, które pozwolą mu się uwolnić spod tyranii ojca. Kiedy ta hołubiona długo nadzieja raptem prysła, coś w nim pękło. Ukradziono mu jego własność i zrobił to człowiek, po którym najmniej by się tego spodziewał, człowiek, który powinien kochać swego syna i życzyć mu jak najlepiej, szanować go, chronić. I nie dość że pozostał z ogołoconym kontem bankowym, to jeszcze spadł na niego grad przepelnionych nienawiścią razów szaleńca. Jackson przyjął te ciosy z podniesionym czołem. Nie uchylił się przed żadnym. Ale poprzysiągł sobie wtedy, że więcej nie pozwoli się już uderzyć.

Ojciec Jacksona zmarł nagle. Rodzice co dnia zabijają bez żadnego powodu swoje dzieci. Dzieci zaś uśmiercają rodziców bardzo rzadko, i to przeważnie z uzasadnionego powodu. Refleksja ta wywołała uśmiech na usta Jacksona. Był to rezultat jednego z jego pierwszych eksperymentów chemicznych. Preparat zaaplikowany w ukochanej szkockiej ojca wywołał pęknięcie tętniaka mózgu. I tak to się zaczęło.

Kiedy zbrodnię taką jak morderstwo popełnia ktoś o przeciętnym lub niższym od przeciętnego ilorazie inteligencji, czyni to zwykle nieporadnie, bez długofalowego planowania i stosownych przygotowań. Kończy się to zazwyczaj szybkim aresztowaniem i wyrokiem. Ludzie inteligentni popełniają poważne przestępstwa po ułożeniu szczegółowego planu, długich przygotowaniach, wielu sesjach umysłowej gimnastyki. Tutaj aresztowania należą do rzadkości, a jeszcze rzadziej zapadają wyroki skazujące. Jackson należał zdecydowanie do tej drugiej

kategorii.

Na niego, jako najstarszego z rodzeństwa, spadał obowiązek odtworzenia roztrwonionej przez ojca fortuny. Najpierw ukończył z wyróżnieniem college, potem prestiżowy uniwersytet, uzyskał dyplom, a następnie mozolnie począł odgrzewać stare rodzinne koneksje, do wygaśnięcia bowiem tych tłących się jeszcze iskerek nie wolno było dopuścić, jeśli długofalowy plan Jacksona miał się powieść. Lata te poświęcił na rozwijanie rozmaitych umiejętności, zarówno fizycznych, jak i mentalnych, niezbędnych do urzeczywistnienia marzeń o bogactwie oraz władzy, którą ono daje. Ciało miał równie wyćwiczone i silne, jak umysł, oba zaś precyzyjnie zbalansowane. Żeby jednak nie pójść w ślady ojca, postawił sobie o wiele ambitniejszy cel! Będzie realizował swoje zamierzenia, pozostając przez cały czas w cieniu. Pomimo miłości do aktorstwa, w odróżnieniu od rozpolitykowanego ojca, będzie działał przy opuszczonej kurtynie. Widownia składająca się tylko z niego samego w zupełności go satysfakcjonowała.

I tak, choć w niezbyt legalny sposób, zbudował swoje niewidzialne imperium. Jechać, dokąd się chce, robić, co się chce. Maksyma ta odnosiła się nie tylko do jego podopiecznych.

Uśmiechnął się i wyszedł z charakteryzatorni.

Jackson miał młodszego rodzeństwo – brata i siostrę. Brat odziedziczył po ojcu złe przywary i w konsekwencji oczekiwał od świata tego, co najlepsze, nie oferując nic wartościowego w zamian. Jackson dał mu tyle pieniędzy, by mógł żyć w komforcie, dalekim jednak od luksusu. Jeśli przetrwoni te pieniądze, więcej nie dostanie. Dla niego ta studnia wyschła. Inaczej było z siostrą. Jackson troszczył się o nią bardzo, chociaż kochała starego ślepą miłością, jaką córki darzą często ojców. Jackson zapewnił jej dostatnie życie, ale nigdy nie odwiedzał. Nie pozwalał mu na to brak czasu. Jeden wieczór spędzał w Hongkongu, by następnego bawić już w Londynie. Ponadto wizyty u siostry pociągałyby za sobą konieczność prowadzenia konwersacji, a on nie chciał jej okłamywać, gdyby spytała, z czego czerpie dochody. Nie miał najmniejszego zamiaru wciągać jej w swój świat. Niech żyje w luksusie i błogiej nieświadomości, szukając sobie kogoś, kto zastąpi jej ojca, którego uważała za tak dobrego i szlachetnego.

Tak czy inaczej, Jackson dbał o swoją rodzinę. Pod tym względem nie można mu było niczego zarzucić. Nie był taki jak ojciec. Po ojcu pozostawił sobie jedną pamiątkę, przybrane nazwisko, którego używał we wszystkich swoich przedsięwzięciach: Jackson. Ojciec miał na imię Jack. I on, chce tego, czy nie, na zawsze pozostanie synem Jacka – Jacksonem.

Przystanął przy oknie i popatrzył na Nowy Jork w zapadającym zmierzchu. Wychowywał się w tym mieszkaniu, chociaż po wykupieniu go kazał całkowicie przebudować wnętrze i zmienić wystrój. Oficjalnie była to modernizacja lokalu i przystosowanie go do szczególnych potrzeb nowego właściciela. Ale w rzeczywistości zrobił to, by zatrzeć, na ile się da, przeszłość. To dystansowanie się od przeszłości rozciągało się nie tylko na otoczenie fizyczne. Ilekroć się charakteryzował, w efekcie ukrywał samego siebie, osobę, której ojciec nigdy nie uznał za godną swojego szacunku ani miłości. Związany z tym uraz psychiczny nigdy miał nie ulec całkowitemu wymazaniu. Prawda była taka, że w każdym zakamarku apartamentu czały się bolesne

wspomnienia. Ale Jackson dawno już doszedł do wniosku, że może to i dobrze. Ból potrafił cudownie motywować.

Wjeżdżał do swojej nadbudówki na dachu i opuszczał ją prywatną windą. Wstępu nie miał tam pod żadnym pozorem nikt. Wszelką pocztę i inne przesyłki zostawiano mu na portierni, ale nie było tego wiele. Większość interesów załatwiał za pośrednictwem telefonu, modemu komputerowego i faksu. Sprzątał sam, ale ponieważ dużo podróżował i żył po spartańsku, nie było to zajęcie czasochłonne i stanowiło naprawdę niską cenę za absolutną prywatność.

Na wypadek urzeczywistnienia się najgorszego scenariusza, czyli odwiedzin policji, Jackson stworzył sobie fałszywą osobowość i przybierał ją, ilekroć opuszczał swój apartament. Horace Parker, stary portier pozdrawiający teraz Jacksona codziennie w holu budynku, był tym samym człowiekiem, który przed laty, również codziennie, salutował grzecznemu, nieśmiałemu chłopcu ściskającemu kurczowo rękę matki. Rodzina Jacksona wyprowadziła się z Nowego Jorku, kiedy na ojca przyszły ciężkie czasy. Jackson był wtedy nastolatkiem, tak więc Parker, ujrzawszy go po latach, przyjął, że zmiana, jaka zaszła w jego wyglądzie, to wynik zmęczenia. Teraz, kiedy ten fałszywy wizerunek utrwalił się w świadomości ludzi, Jackson był już pewien, że nikt go nigdy nie zidentyfikuje.

Jackson, słysząc z ust Horace'a Parkera swoje imię, czuł zadowolenie i niepokój zarazem. Żonglowanie tyloma tożsamościami nie należało do zadań łatwych i Jackson często przyłapywał się na tym, że nie reaguje na dźwięk swojego prawdziwego nazwiska. Jednak od czasu do czasu przyjemnie było stać się sobą, ponieważ stanowiło to swego rodzaju ucieczkę od rzeczywistości i pozwalało się zrelaksować i spokojnie pomyśleć. Ale bez względu na to, którą osobowość aktualnie przybierał, nigdy nie zaniedbywał interesów. One były zawsze na pierwszym miejscu. Okazje zdarzały się bez przerwy, a on wszystkie je wykorzystywał.

Dysponując takimi nieograniczonymi możliwościami, od dziesięciu lat traktował świat jako swoje kasyno gry, a efekty jego manipulacji dawały się odczuć na rynkach finansowych i w sytuacji politycznej krajów na całym globie. Jego pieniądze zasilały przedsięwzięcia równie zróżnicowane jak jego tożsamości, od ruchów partyzanckich w krajach Trzeciego Świata po spekulowanie na rynkach metali szlachetnych w świecie uprzemysłowionym. Jeśli ktoś potrafił modelować w ten sposób wydarzenia na świecie, to tym bardziej potrafił czerpać ogromne zyski z operacji przeprowadzanych na rynkach finansowych. Po co ryzykować na giełdzie, skoro można manipulować samymi mechanizmami, które nią rządzą, i dzięki temu wiedzieć z góry, w którą stronę wiatr powieje? Przewidywalność i logika; kontrolowane ryzyko. Uwielbiał takie sytuacje.

Nie stronił też od filantropii. Przeznaczał wielkie sumy na szczytne cele we wszystkich zakątkach świata. Ale i w tym wypadku żądał pełnej kontroli nad owymi funduszami, wychodząc z założenia, że on najlepiej potrafi je zagospodarować. W grę wchodziły tak ogromne pieniądze, że ani razu mu nie odmówiono. Nigdy nie pojawił się na żadnej liście najbogatszych ani nie piastował żadnego politycznego urzędu. Nigdy nie przeprowadziło z nim wywiadu żadne

czasopismo finansowe. Z niebywałą łatwością przerzucał się z jednej pasji na inną. Nie wyobrażał sobie idealniejszej egzystencji, chociaż przyznać musiał, że nawet te globalne szarady stawały się ostatnio coraz bardziej nużące. W jego rozlicznych przedsięwzięciach górę zaczynała brać rutyna i rozglądał się już za jakimś nowym wyzwaniem, które zaspokoiłoby jego rosnący wciąż apetyt na przygodę, na skrajne ryzyko. Pragnął znowu sprawdzać swoje predyspozycje do kierowania, dominacji i wreszcie przetrwania.

Wszedł do mniejszego pomieszczenia zastawionego od podłogi po sufit sprzętem komputerowym. Znajdowało się tu jego centrum operacyjne. Płaskie ekrany informowały go na bieżąco o stanie interesów, jakie prowadził na całym świecie. Tutaj ściągane było, katalogowane, a w końcu analizowane przez niego wszystko, od notowań giełdowych poprzez sytuację na rynkach transakcji terminowych po serwisy informacyjne z ostatniej chwili.

Chłonał te dane, absorbował je jak trzylatek uczący się obcego języka. Wystarczyło, że raz coś usłyszał albo zobaczył, a już nigdy tego nie zapominał. Sunął wzrokiem po ekranach. Wieloletnia praktyka pozwalała mu na pierwszy rzut oka odróżnić rzecz ważną od trywialnej, interesującą od oczywistej. Błękitne podświetlenie danej jego inwestycji na ekranie znaczyło, że jest dobrze; te zaznaczone ostrzegawczą czerwienią słyły gorzej. Odetchnął z satysfakcją, widząc morze błękitu.

Przeszedł do następnego, większego pomieszczenia, gdzie przechowywał kolekcję pamiątek z dawnych przedsięwzięć. Wyciągnął album i otworzył go. Album zawierał fotografie i podstawowe informacje o jego dwunastu cennych perełkach – o tuzinie osób, którym podarował wielkie bogactwo i nowe życie; i którzy, w zamian, umożliwili mu odtworzenie rodzinnej fortuny. Przerzucał machinalnie stronicę, uśmiechając się od czasu do czasu do jakiegoś przyjemnego wspomnienia.

Wybierał tych zwycięzców pieczołowicie, wyłuskując ich spośród osób pobierających zasiłki z opieki społecznej i bankrutów; poświęcił setki godzin na przeczesywanie ubogich, zacofanych zakątków kraju, zarówno tych rolniczych, jak miejskich, w poszukiwaniu desperatów, którzy dla poprawy swego losu gotowi są na wszystko – normalnych praworządnych obywateli, którzy bez zmrużenia oka zgodzą się uczestniczyć w przestępstwie finansowym na niespotykaną skalę. To cud, jak łatwo zmusić odpowiednim bodźcem ludzki umysł do racjonalnego myślenia.

Loterię zadziwiająco łatwo było ustawić. Nieraz to w przeszłości robiono. Ludzie wierzą święcie, że instytucje tego rodzaju są absolutnie niepodatne na wszelkiego rodzaju machinacje i nieprawidłowości. Zapominają, że w ubiegłym stuleciu zakazano prawnie organizowania rządowych loterii właśnie z powodu korupcji, jaka je przeżerała. Historia lubi się powtarzać, tyle że za każdym razem w bardziej wyrafinowanej i zogniskowanej postaci. Wieloletnie doświadczenie nauczyło Jacksona, że tam, gdzie w grę wchodzi czynnik ludzki, nic, absolutnie nic nie jest wolne od korupcji, bo nie ma człowieka, który byłby odporny na powab dolara czy inne materialne pokusy, zwłaszcza kiedy ma na co dzień do czynienia z ogromnymi sumami. Zaczyna wtedy dochodzić do przekonania, że ich część słusznie mu się należy.

Do realizacji jego planów nie trzeba było wcale armii ludzi. Jednak Jackson lubił nazywać stworzony przez siebie zespół „globalną siatką”.

Miał sporą grupę współpracowników na całym świecie. Jednak żaden z nich nie wiedział, kim jest jego pracodawca, gdzie mieszka ani jak doszedł do fortuny. Żaden nie był wtajemniczany w jego wielkie plany, w prowadzone przezeń na skalę światową machinacje. Każdy zajmował się swoim małym wycinkiem i był za to sownie opłacany. Kiedy Jacksonowi potrzebna była jakaś trudno dostępna informacja, kontaktował się z odpowiednim człowiekiem i w ciągu godziny ją miał. Był to system idealny – szybki, precyzyjny i skuteczny.

Nikomu do końca nie ufał. Czyż mogło być inaczej, skoro sam był w stanie podszyć się pod pięćdziesiąt różnych osobowości? Dysponując najnowocześniejszym komputerem i sprzętem komunikacyjnym, potrafił przebywać w kilku miejscach jednocześnie. W każdym jako ktoś inny. Uśmiechnął się szerzej. Czyż świat nie był jego prywatną sceną?

Przewrócił kolejną stronicę albumu i przestał się uśmiechać. Na jego twarzy odmalował się wyraz skupienia zmieszanego z emocją, jakiej Jackson prawie nigdy nie doświadczał: z niepewnością. I narastało w nim coś jeszcze. Nigdy nie nazywał tego czegoś strachem; ten akurat demon nigdy go nie nawiedzał. Było to raczej przecucie czegoś, czego uniknąć się nie da, jakby wizja dwóch pociągów, które zbliżają się do siebie kursem na zderzenie i choćby maszyniści obu wychodzili z siebie, wkrótce dojdzie do spektakularnej, tragicznej w skutkach kolizji.

Jackson patrzył na zdjęcie urodziwej Lu Ann Tyler. Z dwunastu zwycięzców loterii ona najbardziej zapadła mu w pamięć. Było w tej kobiecie coś groźnego – groźnego i nieuchwytnego, co przyciągało Jacksona jak najpotężniejszy magnes świata. Spędził w Rikersville kilka tygodni. Wybrał to miasteczko z jednego prostego powodu: dla wszechobecnej tam biedy i beznadziei. Była to jedna z wielu amerykańskich miejscowości, które w oficjalnych sprawozdaniach wyróżniają się „najniższym poziomem dochodów na głowę mieszkańca”, „stanem zdrowia i poziomem wykształcenia mieszkańców poniżej średniej” oraz „ujemnym wskaźnikiem rozwoju gospodarczego”. Te suche statystyczne określenia mówią niewiele albo zgoła nic o ludziach z krwi i kości, którzy się pod nimi kryją; nie rzucają żadnego światła na szarą egzystencję wielkiej grupy społecznej staczającej się nieuchronnie na dno. O dziwo, Jackson, kapitalista z dziada pradziada, nie miał nic przeciwko temu, żeby przy okazji realizacji swoich planów zrobić dla tych ludzi coś dobrego. Nie wybierał nigdy zwycięzców spośród ludzi zamożnych, chociaż z przekonaniem większości z nich do swojej oferty miałby bez wątpienia mniej kłopotów niż z biedakami, których sobie upodobał.

LuAnn Tyler wypatrzył w autobusie, którym jechała do pracy. Siedział naprzeciwko niej, ucharakteryzowany rzecz jasna, wtopiony w tło – wyleniała broda zarastająca dolną połowę twarzy, porwane dzinsy, brudna koszula, czapeczka z napisem „Georgia Bulldogs” na głowie, okulary z grubymi szklami na nosie. Z miejsca uderzyła go jej prezencja. Zupełnie nie pasowała do otoczenia, do tych zaniedbanych, zrezygnowanych ludzi, z których najmłodszy zdawał się stać już nad grobem. Przyglądał się, jak bawi się z córeczką, słuchał, jak pozdrawia znajomych i

obserwował, jak jej słowa od razu podnoszą każdego zagadniętego na duchu. Prześledził skrupulatnie życiorys LuAnn, od dorastania w nędzy po zamieszkanie z Duane'em Harveyem w przyczepie kempingowej. Odwiedził kilka razy tę przyczepę pod nieobecność LuAnn i jej przyjaciela. Zauważył, że LuAnn stara się utrzymać tam względny ład i porządek. Wszystko, co należało do Lisy, trzymała osobno, w nieskazitelnej czystości. Nie uszło to uwagi Jacksona. Córeczka była całym jej życiem.

Ucharakteryzowany na kierowcę ciężarówki spędził wiele wieczorów w przydrożnym zajeździe, w którym pracowała LuAnn. Obserwował ją bacznie, widział, jak jej sytuacja życiowa staje się z dnia na dzień coraz bardziej rozpaczliwa, dostrzegał przygnębienie, z jakim popatruje na swoją córeczkę, marząc o odmianie losu na lepsze. W końcu wybrał ją do grona garstki szczęśliwców. Było to dziesięć lat temu.

Od lat nie widział jej ani nie zamienił z nią słowa; ale rzadko zdarzał się taki tydzień, w którym by o niej nie pomyślał. Z początku obserwował bacznie jej ruchy, ale kiedy mijały lata, a ona zgodnie z jego instrukcjami przenosiła się z kraju do kraju, obniżył znacznie czujność. Teraz całkowicie znikła z ekranu jego radaru. Z tego, co wiedział, bawiła ostatnio w Nowej Zelandii. Za rok znajdzie ją może w Monako, może gdzieś w Skandynawii, może w Chinach. Będzie się tak przenosiła z miejsca na miejsce, dopóki nie umrze. Do Stanów Zjednoczonych nigdy już nie wróci, tego był pewien.

Jackson urodził się w dostatku, który mu potem odebrano. Musiał zaczynać praktycznie od zera. LuAnn w dniu przyjścia na świat nie miała nic, harowała w pocie czoła za marne centy, nie mając przed sobą żadnych perspektyw, a teraz proszę. Podarował LuAnn Tyler świat. Dzięki niemu stała się kimś, kim zawsze chciała być: osobą inną niż LuAnn Tyler. Jackson uśmiechnął się. Czy on, który tak uwielbiał oszustwo, mógł nie docenić tej ironii losu? Przez większą część swego dorosłego życia udawał innych. LuAnn ostatnie dziesięć lat przeżyła innym życiem, wypełniając wymiary innej tożsamości. Popatrzył w te żywe, piwne oczy, na wydatne kości policzkowe, na długie włosy; przesunął palcem wskazującym po smukłej, jędrnej szyi i pomyślał znowu o tych pociągach i o cudownej kolizji, do której może między nimi pewnego dnia dojść. Oczy mu zabłyśły.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Donovan wszedł do swojego mieszkania, usiadł przy stole w jadalni i rozłożył przed sobą wyjęte z nesesera kartki. Z trudem tłumił podniecenie. Trzeba było kilku tygodni, dziesiątek rozmów telefonicznych i olbrzymiej pracy nóg, by zebrać informacje, do których segregowania teraz się zabierał.

Początkowo zadanie, jakie sobie postawił, wydawało się niewykonalne; same liczby skazywały je na niepowodzenie. W roku zniknięcia LuAnn Tyler z lotniska Kennedy'ego w rejsy międzynarodowe wystartowało ponad siedemdziesiąt tysięcy maszyn pasażerskich. W dniu, w którym przypuszczalnie wyleciała, było takich dwieście, czyli dziesięć na godzinę, bo między pierwszą a szóstą rano nie wystartował żaden samolot. Donovan zawęził obszar swoich poszukiwań do kobiet między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia, które opuszczały kraj w dniu konferencji prasowej sprzed dziesięciu lat, w godzinach między siódmą wieczorem a pierwszą po północy. Konferencja prasowa skończyła się o szóstej trzydzieści i Donovan wątpiłby LuAnn zdążyła na samolot o siódmej, ale ten wystartował z opóźnieniem, a on wolał dmuchać na zimne. Miał więc do sprawdzenia sześćdziesiąt lotów i około piętnastu tysięcy pasażerów. Prowadząc swoje śledztwo, dowiedział się, że większość linii lotniczych listy swoich pasażerów przechowuje do wglądu przez pięć lat. Potem są one przekazywane do archiwów. Spodziewał się, że zadanie ułatwi mu to, że w połowie lat siedemdziesiątych większość dokumentacji linii lotniczych skomputeryzowano. Szukając jednak list pasażerów sprzed dziesięciu lat, natknął się na mur. Powiedziano mu, że dane te mogą zostać udostępnione tylko FBI, i to też tylko na podstawie nakazu sądowego.

Miał w Biurze znajomego, który był mu winny przysługę, mógł więc pokonać tę przeszkodę. Nie wdając się w szczegóły i nie wymieniając żadnych nazwisk, Donovan podał koledze z FBI dokładne parametry swoich poszukiwań, łącznie ze wskazówką, że osoba, o którą mu chodzi, podróżowała prawdopodobnie z nowym paszportem i z dzieckiem. To znacznie uprościło sprawę. Owe zawężone kryteria spełniały tylko trzy osoby i miał teraz przed sobą ich nazwiska wraz z ostatnimi znanymi adresami.

Donovan wyciągnął notes i poszukał w nim numeru telefonu firmy o nazwie Best Data, znanej krajowej agencji specjalizującej się w potwierdzaniu zdolności kredytowej. Firma działała od wielu lat i przez ten czas zdążyła zgromadzić potężną bazę danych obejmującą nazwiska, adresy i co najważniejsze, numery ubezpieczenia społecznego. Agencja obsługiwała wiele podmiotów, które potrzebowały takich informacji, w tym liczne banki sprawdzające zdolność kredytową potencjalnego kredytobiorcy. Donovan podał pracownikowi Best Data nazwiska i ostatnie znane adresy osób z listy, a potem numer swojej karty kredytowej, żeby Best Data mogła z niej ściągnąć należność za usługę. Po pięciu minutach miał już numery ubezpieczenia

społecznego całej trójki i ich aktualne adresy. Porównał je z informacjami z bazy danych linii lotniczych. Dwie z trzech kobiet zmieniły miejsce zamieszkania, w czym nie było nic dziwnego, zważywszy na ich wiek przed dziesięcioma laty. W tym czasie podjęły prawdopodobnie pracę zawodową i powychodziły za mąż. Trzecia nie zmieniła adresu. Catherine Savage mieszkała nadal w Wirginii. Donovan zadzwonił do biura numerów stanu Wirginia, ale nie mieli tam w spisie numeru telefonu osoby o takim nazwisku, zamieszkującej pod podanym adresem. Niezniechęcony, zatelefonował następnie do Wydziału Pojazdów Silnikowych, podał nazwisko kobiety, jej ostatni znany adres oraz numer ubezpieczenia społecznego, który w stanie Wirginia jest zarazem numerem prawa jazdy. Urzędniczka mogła powiedzieć Donovanowi tylko tyle, że kobieta ta ma ważne wirginskie prawo jazdy. Daty jego wydania ani aktualnego adresu właścicielki nie wolno jej było ujawniać. Wiele tropów, jakie Donovan podejmował w swoim śledztwie, trafiało niestety na mur milczenia ze strony urzędników. Ale wiedział już, że kobieta ta albo mieszka teraz w Wirginii, albo przynajmniej dysponuje prawem jazdy tego stanu. Pytanie tylko, gdzie jej szukać? Miał swoje sposoby na rozwiązywanie takich zagadek, ale postanowił, że najpierw pogrzebie trochę w życiorysie kobiety.

Wrócił do redakcji i ze służbowego komputera wszedł do bazy danych Wydziału Dochodów Osobistych i Deklaracji Majątkowych (PEBES) Zarządu Ubezpieczeń Społecznych w World Wide Web. Jeśli chodzi o metody poszukiwań, Donovan wolał te tradycyjne, ale czasem zmuszony był posurfować trochę po sieci. By uzyskać informacje o danej osobie, wystarczy znać jej numer ubezpieczenia społecznego, nazwisko panięńskie matki i miejsce urodzenia. Donovan dysponował tymi danymi. LuAnn Tyler urodziła się w Georgii, to wiedział na pewno. Jednak trzy pierwsze cyfry numeru ubezpieczenia społecznego Catherine Savage świadczyły, że ta przyszła na świat w Wirginii. Jeśli LuAnn Tyler i Catherine Savage to jedna i ta sama osoba, to Tyler legitymowała się fałszywym NUS. Taki numer nietrudno było sobie załatwić, ale Donovan wątpiłby ta kobieta miała niezbędne do tego dojścia. PEBES rejestruje od początku lat pięćdziesiątych zarobki każdego podatnika, jego składki na fundusz ubezpieczenia społecznego oraz spodziewaną, wynikającą z tych składek wysokość świadczeń po przejściu na emeryturę. Dane te wyświetlane są zwykle przy każdym nazwisku. Jednak Donovan patrzył na pusty ekran. Catherine Savage nie miała żadnej historii pracy zarobkowej. LuAnn pracowała. Ostatnio w zajeździe dla kierowców ciężarówek. Jeśli dostawała tam jakieś wynagrodzenie, pracodawca zobowiązany był odprowadzać od niego podatek oraz składkę na ubezpieczenie społeczne. Albo tego nie robił, albo LuAnn Tyler nie miała numeru ubezpieczenia społecznego. Albo też i jedno, i drugie. Zadzwonił znowu do Best Data i powtórzył cały proces. Tym razem niczego się jednak nie dowiedział. Z punktu widzenia Zarządu Ubezpieczeń Społecznych LuAnn Tyler nie istniała. Nie miała nadanego numeru ubezpieczenia społecznego. Najwyższa pora, by zająć się sprawą poważnie.

Donovan wrócił do domu, otworzył teczkę i wyjął z niej druk numer 2848 Urzędu Podatkowego. Druk opatrzony był nagłówkiem: *Upoważnienie i oświadczenie pełnomocnika.*

Formularz był stosunkowo prosty jak na standardy urzędu podatkowego, ale miał nadzwyczajną moc. Dzięki niemu Donovan mógł uzyskać dostęp do wszelkich poufnych dokumentów podatkowych osoby, którą się interesował. Co prawda, wypełniając go, będzie się musiał minąć troszeczkę z prawdą, ale zamiary miał uczciwe, a więc i sumienie czyste. Poza tym wiedział, że do urzędu podatkowego wpływa rocznie dziesięć milionów próśb podatników o kopie swoich zeznań podatkowych. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że ktoś tam będzie tracił czas na porównywanie podpisów. Donovan uśmiechnął się. Szanse na to były jeszcze mniejsze niż na wygranie na loterii. Wypełnił druk, wpisując nazwisko kobiety i jej ostatni znany adres, wstawił numer ubezpieczenia społecznego, podał się za pełnomocnika w sprawach podatkowych, załączył wniosek o przysłanie kopii zeznań podatkowych tej kobiety za ostatnie trzy lata, po czym wysłał to wszystko pocztą.

Trzeba było dwóch miesięcy i licznych ponagających telefonów, ale opłaciło się czekać. Donovan z wypiekami na twarzy przerzucał teraz plik dokumentów, które nadeszły w końcu z urzędu podatkowego. Catherine Savage była niesamowicie bogatą kobietą. O tym bogactwie oraz o finansowych zawiłościach, jakie wiążą się z tego rzędu dochodami, świadczyło jej zeznanie podatkowe za ubiegły rok, obejmujące czterdzieści bitych stron. We wniosku prosił o kopie zeznań za ostatnie trzy lata, ale urząd podatkowy przysłał mu tylko kopię zeznania za ubiegły rok z tej prostej przyczyny, że Catherine Savage tylko raz rozliczała się z fiskusem. Zagadka ta szybko znalazła swoje wyjaśnienie, kiedy Donovan skontaktował się z urzędem podatkowym i podając się za pełnomocnika podatkowego Catherine Savage, wypytał praktycznie o wszystko, co dotyczyło jej osoby. Dowiedział się, że sytuacja finansowa Catherine Savage wzbudziła początkowo ogromne zainteresowanie urzędu podatkowego. Przypadek obywatelki amerykańskiej o tak ogromnych dochodach, składającej swoje pierwsze zeznanie podatkowe w wieku lat trzydziestu, zmobilizuje do działania nawet najbardziej ospałego agenta urzędu. Ponad milion Amerykanów mieszkających poza granicami kraju nie składa w ogóle zeznań podatkowych. Na podatkach, których nie płacą, rząd traci miliardy dolarów i na tę grupę urząd jest szczególnie uczulony. Jednak początkowe zainteresowanie urzędu tą sprawą szybko osłabło po udzieleniu przez Catherine Savage wyczerpujących wyjaśnień popartych stosowną dokumentacją.

Donovan spojrzął na swoje notatki z rozmowy z agentem urzędu podatkowego. Catherine Savage urodziła się w Stanach Zjednoczonych, a konkretnie w Charlottesville w stanie Wirginia, i jako młoda dziewczyna wyjechała z kraju z ojcem biznesmenem, którego interesy rzuciły za ocean. Zamieszkała we Francji, gdzie poznała i poślubiła bogatego niemieckiego biznesmena rezydującego w owym czasie w Monako. Mężczyzna ten zmarł trochę ponad dwa lata temu, zostawiając młodej wdowie cały swój majątek. Teraz, po odziedziczeniu tych pieniędzy, z których wszystkie miały status dochodu pasywnego, niepochodzącego z pracy zarobkowej, Catherine Savage, jako obywatelka Stanów Zjednoczonych, zaczęła płacić podatki swojej

ojczyźnie. Agent urzędu zapewnił Donovana, że akta dotyczące tej sprawy są pękate i żaden z dokumentów, jakie w nich zgromadzono, nie budzi najmniejszych zastrzeżeń. Wszystko jest w najlepszym porządku. Z punktu widzenia urzędu podatkowego Catherine Savage to odpowiedzialna obywatelka, która sumiennie płaci swoje podatki, pomimo że mieszka poza granicami Stanów Zjednoczonych.

Donovan odchylił się na oparcie krzesła, splótł dłonie na potylicy i zapatrzył się w sufit. Agent udzielił mu jeszcze jednej interesującej informacji. Catherine Savage powiadomiła niedawno urząd podatkowy o zmianie miejsca pobytu. Przebywała teraz w Stanach Zjednoczonych. Wróciła do rodzinnego miasta: Charlottesville w stanie Wirginia. Tego samego, w którym urodziła się matka LuAnn Tyler. Na nos Donovana było to coś więcej niż zwyczajny zbieg okoliczności.

Zebrane informacje nie pozostawiały cienia wątpliwości: LuAnn Tyler wróciła w końcu do domu. I teraz, znając już każdy intymny szczegół z jej życia, Donovan uznał, że pora spotkać się z nią osobiście. Zastanawiał się właśnie, jak i gdzie zaaranżować to spotkanie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Matt Riggs przez lekką polową lornetkę lustrował okolicę zza kierownicy pickupa zaparkowanego na poboczu ostrego zakrętu szosy. Gęsto zalesiony, wznoszący się stromo teren był, na jego doświadczone oko, niedostępny. Po swojej prawej stronie miał skrzyżowanie szosy z półmilowym odcinkiem wijącej się asfaltowej drogi prywatnej; wiedział, że droga ta prowadzi do imponującej posiadłości z pięknymi widokami na pasmo pobliskich gór. Jednak posiadłość tę można było podziwiać tylko z lotu ptaka, a to ze względu na gęsty las, jaki ją otaczał. Dziwne, że właściciel tych włości, mając tak doskonale naturalne zabezpieczenie, chce się jeszcze wykoshutowywać na otaczanie terenu ogrodzeniem.

Riggs wzruszył ramionami i schylił się, by wzuć gumiaki. Potem zapiął płaszcz i wysiadł z pickupa. Natarł na niego podmuch zimnego wiatru. Riggs odetchnął głęboko świeżym powietrzem, przecesał palcami rozwichrzone, kasztanowe włosy, zrobił parę przysiadów, żeby rozruszać zdętwiałe mięśnie, i wdział skórkowe rękawiczki. Do miejsca, gdzie miało stanąć ogrodzenie, czekała go stąd dobra godzina drogi piechotą. Z planów wynikało, że powinno ono mieć siedem stóp wysokości, a wykonać je należało z arkuszy stalowej, pomalowanej na czarno blachy, mocowanej do słupów osadzonych w grubej na dwie stopy betonowej podmurówce. Na ogrodzeniu zainstaluje się czujniki elektroniczne, wierzchem pobiegnie gęsty rząd ostrych szpikulców. Podobnej konstrukcji brama wjazdowa osadzona zostanie na wysokich na sześć stóp betonowych, obmurowanych cegłą filarach cztery stopy na cztery. Do tego, a jakże, kamera wideo, system łączności wewnętrznej i mechanizm ryglujący. Chyba tylko taranując te pancerne wrota czołgiem Abrams, można się będzie dostać do środka bez zgody właściciela. Riggs nie przypuszczałby takiej zgody często udzielano.

Okręg Albemarle w stanie Wirginia, graniczący od południowego zachodu z okręgiem Nelson, od północy z okręgiem Greene oraz z okręgami Fluvanna i Louisa od wschodu, upodobali sobie ludzie zamożni – jedni sławni, inni mniej. Jednak łączyło ich jedno: pragnęli prywatności i skłonni byli słono za nią płacić. Tak więc Riggsa nie dziwiły zbyt przedsiębrane tutaj środki ostrożności. Wszelkie negocjacje prowadzone były poprzez upoważnionego pośrednika. Logicznie rzecz biorąc, ktoś, kogo stać na taki wart setki tysięcy dolarów płot, ma pewnie lepsze rzeczy do roboty niż handryczyć się z jakimś tam marnym przedsiębiorcą budowlanym.

Z dyndającą u szyi lornetką maszerował drogą, aż wypatrzył wąską ścieżkę, która odbiegała w bok, wrzynając się w las. Wiedział już, jakie będą dwa najtrudniejsze elementy tego zlecenia: ściągnięcie tu ciężkiego sprzętu i nakłonienie ludzi do pracy w takiej ciasnocie. Na mieszanie betonu, wbijanie słupów, montowanie szalunków, oczyszczanie terenu i manewrowanie bardzo ciężkimi elementami ogrodzenia potrzeba miejsca, a tego tutaj nie było. Dobrze, że powołując się

na te trudności, wywalczył chociaż sówitą premię plus upoważnienie do przekroczenia kosztów. Właściciel nie narzucał najwyraźniej limitu wydatków, bo jego przedstawiciel przystał bez targów na ogromną cenę rzuconą przez Riggsa. Nie, nie skarżył się. Był już na swoim od trzech lat, a ten jeden kontrakt zapewni mu najlepszy rok w interesie. Zabrał się do roboty.

BMW wytoczyło się powoli z garażu i ruszyło podjazdem biegnącym między dwoma równoległymi, pomalowanymi na biało parkanami wykonanymi z dębowych desek. Podobnymi parkanami ogrodzona była większość otwartego terenu posiadłości. Ich białe smugi kontrastowały ostro z zielenią krajobrazu. Nie było jeszcze siódmej rano i nic nie mąciło spokoju wstającego dnia. Te poranne przejażdżki stały się dla Lu Ann kojącym rytuałem. Spojrzała we wsteczne lusterko, w którym odbijał się dom. Wzniesiony z przepięknego pensylwańskiego kamienia i wyblakłej cegły, z rzędem nowych białych kolumn obramowujących głęboki ganek frontowy, z krytym dachówką dachem, powleczonymi patyną czasu rynnymi i licznymi drzwiami tarasowymi, wydawał się elegancki i przytulny pomimo imponującej wielkości.

Po chwili dom zniknął jej z oczu. LuAnn przeniosła wzrok na drogę i natychmiast dała po hamulcach. O mało nie rozjechała mężczyzny, który wymachując nad głową rękami, wyskoczył niespodziewanie przed maskę samochodu. Zatrzymała się w ostatniej chwili. Nieznajomy podszedł i poprosił ją na migi o otwarcie drzwiczek. Kątem oka dostrzegła czarną hondę zaparkowaną na trawiastym poboczu.

Przyjrzała się podejrzliwie nieznajomemu, sięgnęła jednak do przycisku. Szyba uchyliła się o cal. LuAnn nie zdejmowała nogi z pedału gazu, gotowa w razie konieczności ruszyć z kopyta. Facet wyglądał dość niewinnie: nie za stary, nie za młody, wątłej budowy, przetykana siwizną broda.

– W czym mogę pomóc? – zapytała, starając się unikać kontaktu wzrokowego, a jednocześnie mieć baczenie na wszelkie ewentualne gwałtowne ruchy z jego strony.

– Chyba się zgubiłem. Czy tędy do Brillstein Estate? – Wskazał w kierunku, z którego przed chwilą nadjechała.

LuAnn pokręciła głową.

– Niedawno się tu sprowadziliśmy, ale o ile mi wiadomo, ta posiadłość nazywa się Wicken's Hunt.

– Ojej, a przysiągłbym, że to tu.

– Kogo pan szuka?

Mężczyzna nachylił się do okna.

– No właśnie, może ją pani zna. Nazywa się LuAnn Tyler, pochodzi z Georgii.

LuAnn omal się nie zadławiła gwałtownie wciągniętym w płuca powietrzem. Nie próbowała nawet kryć przerażenia.

Zadowolony z siebie Thomas Donovan nachylił się jeszcze niżej. Jego usta znalazły się na poziomie jej ucha.

– LuAnn, chciałbym z tobą porozmawiać. To bardzo ważne i...

LuAnn wdepnęła błyskawicznie pedał gazu i gdyby Donovan nie odskoczył od samochodu, przejechałaby mu po stopach.

– Hej! – krzyknął za nią, ale BMW zniknęło mu już z oczu. Dopadł z pobladałą twarzą do swojego wozu, zapuścił silnik i pomknął w ślad za LuAnn.

Catherine Savage nie figurowała w spisie biura numerów w Charlottesville. Donovan byłby zaskoczony, gdyby było inaczej. Ktoś, kto ucieka przez tyle lat, nie podaje byle komu swojego numeru telefonu. Po głębokim namyśle postanowił skontaktować się z nią osobiście. Doszedł do wniosku, że będzie to wyjście, jeśli nie najlepsze, to na pewno bardziej skuteczne. Od tygodnia obserwował dom, zwrócił uwagę na zwyczajowe poranne przejażdżki LuAnn, i wybrał ten właśnie dzień na nawiązanie kontaktu. Co prawda o mało go przed chwilą nie przejechano, ale miał chociaż tę satysfakcję, że się nie mylił. Rzucenie w ciemno tego pytania było jedynym pewnym sposobem poznania prawdy. Teraz już wiedział. Catherine Savage to LuAnn Tyler. Wyglądała zupełnie inaczej niż na filmie wideo i zdjęciach sprzed dziesięciu lat, które oglądał. Poszczególne różnice były subtelne, żadna z nich drastyczna, ale w sumie zmieniały ją prawie nie do poznania. Gdyby nie wyraz jej twarzy i ta nagła ucieczka, Donovan wcale by nie pomyślał, że to ona.

Teraz wyteżał wzrok, wpatrując się w drogę przed sobą. Szare BMW znikło mu przed chwilą z oczu za zakrętem. Nadal miało nad nim sporą przewagę, ale na krętej górskiej drodze jego mała i zwinniejsza honda szybko je dopędzała. Nie lubił się bawić w kamikadze. Wybiło mu to skutecznie z głowy kilka groźnych wypadków drogowych, które opisywał za młodu. Ale musi jej wytłumaczyć, o co mu chodzi. Musi ją skłonić, by go wysłuchała. I musi wyjaśnić tę historię. Nie po to przez kilka ostatnich miesięcy harował po dwadzieścia cztery godziny na dobę, by ją wytropić, żeby teraz znowu mu się wymknęła.

Matt Riggs zatrzymał się i znowu rozejrzył. Powietrze tu, w górze, było tak czyste, niebo tak błękitne, spokój i cisza tak niezwykłe, że znowu dziwił się samemu sobie, czemu tak długo zwlekał z ucieczką z wielkiego miasta do życia może nie tak ekscytującego, ale za to bliższego naturze. Po latach spędzonych w samym centrum milionowego, spiętego, coraz bardziej agresywnego tłumu stwierdzał teraz, że wyobrazenie sobie choć na parę chwil, że jest się samemu na świecie, przynosi większe, niż myślał, ukojenie. Miał już wyciągnąć z kieszeni plan posiadłości, by odczytać z niego długość jej linii granicznej, kiedy naraz cała nadzieja na popracowanie na łonie natury bezpowrotnie się rozwiła.

Obejrzał się szybko i poderwał do oczu lornetkę, żeby poszukać wzrokiem tego, co raptownie zburzyło ciszę poranka. Szybko zlokalizował źródło hałasu. W prześwicie między drzewami mignęły mu dwa samochody pędzące na pełnym gazie drogą prowadzącą od posiadłości. Przodem gnało duże, czterodrzwiowe BMW. Drugi samochód był mniejszy. Ten mały niedostatek mocy silnika nadrabiał na krętej drodze zwrotnością. Riggsowi przemknęło

przez myśl, że przy tej prędkości oba wozy albo owiną się zaraz dookoła jakiegoś drzewa, albo skończą na dachach w przydrożnym rowie.

Dwie następne obserwacje, jakie poczynił przez lornetkę, sprawiły, że odwrócił się i co sił w nogach popędził do swojego pickupa.

Paniczny strach na twarzy kobiety prowadzącej BMW i oglądającej się co chwila za siebie oraz ponure zadowolenie na twarzy ścigającego ją mężczyzny wystarczyłyby ożywić uśpione instynkty, które pozostały mu z dawnych lat.

Bez sprecyzowanego planu działania, na którego obmyślenie nie miał zresztą czasu, zapuścił silnik. Zapinając pas bezpieczeństwa, wjechał na drogę. Zazwyczaj woził ze sobą strzelbę przeciwko wężom, ale dzisiaj zapomniał jej zabrać. Na skrzyni miał kilka łopat i łom, żywił jednak nadzieję, że sprawa nie zajdzie tak daleko.

Po chwili zobaczył przed sobą oba samochody wypadające z prywatnej drogi na główną szosę. Większy wziął zakręt prawie na dwóch kołach, mniejszy trzymał się tuż za nim. Jednak teraz, na prostej, można było w pełni wykorzystać trzysta ileś tam koni drzemących pod maską BMW. Kobieta natychmiast oderwała się od prześladowcy na dobre dwieście jardów i odległość ta wzrastała z każdą sekundą. Riggs wiedział jednak, że nie potrwa to długo, bo szybko zbliżali się do zakrętu śmierci. Miał nadzieję, że kobieta o nim wie; jeśli nie, to BMW wypadnie za chwilę z drogi i jak armatnia kula wbije się w ścianę gęstego lasu. Ta wizja pomogła mu wreszcie sprecyzować plan działania. Dodał gazu. Pickup wyrwał do przodu i dogonił mniejszy samochód. Była to honda. Jej kierowca całą swoją uwagę skupiał najwyraźniej na BMW, bo nawet nie spojrzał na wyprzedzającą go lewą stroną półciężarówkę. Zauważył Riggsa dopiero, kiedy ten zajechał mu drogę i hamując gwałtownie, zwolnił do dwudziestu mil na godzinę. Pędząca przodem kobieta zerknęła we wsteczne lusterko i zobaczyła Riggsa toczącego bój o supremację na drodze z hondą. W jej oczach pojawiła się ulga. Riggs zaczął dawać jej znaki, żeby zwolniła. Trudno było stwierdzić, czy zrozumiała, o co mu chodzi. Pickup i honda zygzakowały na wąskiej szosie od pobocza do pobocza, raz po raz zbliżając się niebezpiecznie do stromego spadku po prawej. W pewnej chwili koło półciężarówki zabuksowało na żwirowym poboczu i Riggsowi przemknęło przez myśl, że już po nim. Z najwyższym trudem udało mu się odzyskać panowanie nad kierownicą. Kierowca hondy trąbił bez opamiętania, wychodził ze skóry, żeby go wyprzedzić. Ale Riggs wyniósł z dawnych lat doświadczenie w szybkiej jeździe i umiejętnie go blokował. Po minucie weszli w ostry zakręt niemal w kształcie litery V. Po prawej skała, po lewej niemal pionowe urwisko. Riggs zerknął z niepokojem w tę przepaść, szukając tam wzrokiem wraku BMW. Odetchnął z ulgą, nie dostrzegając go na dnie. Spojrzał znowu na wprost. Daleko w przodzie zniknął właśnie za zakrętem tylny zderzak sedana. Ogarnął go podziw. Kobieta wzięła ten zakręt minimalnie tylko zwalniając, jeśli w ogóle zwolniła. Riggs, chociaż włókł się dwadzieścia mil na godzinę, bynajmniej nie czuł się bezpiecznie. Cholera.

Sięgnął do schowka po telefon komórkowy. Miał już wybrać 911, kiedy honda, przechodząc do ofensywy, najechała na jego pickupa od tyłu. Telefon wyleciał mu z ręki i rozbił się o deskę

rozdzielczą. Riggs zaklął, mocniej zacisnął dłonie na kierownicy, zredukował bieg i nie zważając na trykającą go raz po raz od tyłu hondę, zwolnił jeszcze bardziej. W końcu nastąpiło to, do czego zmierzał. Przedni zderzak hondy i wzmocniony tylny zderzak pickupa szczepiły się ze sobą. Usłyszał zgrzyt przekładni hondy, świadczący, że jej kierowca próbuje się od niego bezskutecznie oderwać. Riggs zerknął we wsteczne lusterko i zobaczył w nim odbicie sięgającej do schowka ręki mężczyzny. Wołał nie czekać, aż się wyjaśni, czy po broń, czy po coś innego. Dał po hamulcach, wrzucił wsteczny i oba pojazdy zaczęły się cofać. Patrzył z satysfakcją, jak mężczyzna z hondy prostuje się gwałtownie i chwytając w panice za kierownicę. Przed zakrętem Riggs zwolnił, a pokonawszy go, znowu przyśpieszył. Kiedy wyszli na prostą, ostro skrzył kierownicę w lewo i wpasował hondę bagażnikiem w przydrożną skałę. Siła uderzenia rozłączyła oba pojazdy. Kierowcy hondy nic się chyba nie stało. Riggs wrzucił bieg i pomknął w ślad za BMW. Kilka razy obejrzał się jeszcze za siebie, ale honda nie podjęła pościgu. Albo została unieruchomiona, albo kierowca dał za wygraną.

Podniesiony poziom adrenaliny w żyłach Riggsa jeszcze przez parę minut dawał o sobie znać. Ten dzisiejszy pięciominutowy epizod, po pięciu latach wolnych od niebezpieczeństw poprzedniej profesji, uświadomił Riggsowi, jak często ocierał się w przeszłości o śmierć. Nie spodziewał się, że przeżyje znowu coś takiego wśród sennych porannych mgiełek środkowej Wirginii ani nie chciał tego przeżywać.

Uszkodzony zderzak szczekał głośno i w końcu Riggs zwolnił, rezygnując z beznadziejnego pościgu za BMW. Od głównej szosy odchodziło mrowie bocznych dróg i kobieta dawno już mogła skrzyć w którąś z nich. Zjechał na pobocze, zatrzymał się, wyjął z kieszonki koszuli długopis i na karteczce z bloczku przyczepionego do deski rozdzielczej zapisał sobie numery rejestracyjne hondy i BMW. Wyrwał karteczkę i wsunął ją do kieszeni. Domyślał się, kim była kobieta z BMW. To pewnie ona mieszkała teraz w wielkim domu. W tym samym domu, którego otoczenie najnowocześniejszym ogrodzeniem ochronnym zlecono jego firmie. Teraz wymagania stawiane przez właścicielkę zaczynały nabierać sensu. Bardzo go interesowało, co się za tym kryje. Zatopiony w myślach, wrzucił bieg i ruszył. Widok skrajnego przerażenia na twarzy kobiety zburzył spokój ducha, jaki odczuwał tego poranka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

BMW rzeczywiście skręciło w jedną z bocznych dróg kilka mil od miejsca, w którym Riggs szcenił się z hondą, i teraz tam stało. Drzwiczki od strony kierowcy były otwarte, silnik pracował. LuAnn skulona, półprzytomna ze zdenerwowania, z rękoma przyciśniętymi mocno do szwów dżinsów i ze spuszczoną głową, dreptała pośrodku drogi w kółko drobnym, frenetycznym kroczkiem, wydychając w ziemię obłoczki pary. Przez jej twarz przemijały gniew, zagubienie i frustracja. Ale strach już się ulotnił. Prawie zawsze szybko mijał. Emocje, które teraz nią miały, były o wiele bardziej wyniszczające i nie ustępowały tak łatwo. Przekonała się o tym w ciągu ostatnich lat i nawet nauczyła się jako tako sobie z nimi radzić.

Miała już trzydzieści lat, ale jak za młodu kipiła impulsywną energią i zachowała zwierzęcą płynność ruchu. Jej uroda była teraz pełniejsza, dojrzalsza. Wysmukłała, wyszczupiała w tali. W efekcie wydawała się wyższa niż w rzeczywistości. Włosy jej odrosły i były teraz nie kasztanowe, lecz blond. Wypracowana fryzura podkreślała poprawione rysy twarzy, przy czym zabiegowi niewielkiej korekty kształtu nosa poddała się bardziej dla zmiany wyglądu niż ze względów estetycznych. Dzięki wieloletniej kosztownej opiece stomatologicznej zęby miała teraz idealne. Pewna niedoskonałość jednak pozostała.

Nie poszła za radą Jacksona i nie poddała się operacji usunięcia śladu rany od noża na policzku. Kazała ją zszyć, lecz bliznę zostawiła. Szrama była zresztą prawie niewidoczna, ale przy każdym spojrzeniu w lustro przypominała jej, skąd pochodzi i jak się tu znalazła. Była jej najbardziej namacalnym i nie najprzyjemniejszym łącznikiem z dawnym życiem. Dlatego właśnie ją sobie zostawiła. Chciała, żeby coś jej przypominało o nieciekawej przeszłości, o bólu.

Ci, wśród których dorastała, pewnie by ją poznali. Chociaż nie spodziewała się tu spotkać nikogo takiego, to pokazując się publicznie, co nieczęsto jej się zdarzało, zakładała zawsze kapelusz i ciemne okulary. Zawierając układ z Jacksonem, sama skazała się na wieczne ukrywanie przed światem.

Wróciła do BMW i usiadła bokiem na fotelu kierowcy. Spojrzała raz i drugi w kierunku głównej szosy, upewniając się, czy prześladowca nie podjął pościgu. Jednak ciszę mąciły jedynie szum pracującego silnika i jej własny, nierówny oddech. W końcu otrząsnęła się, wciągnęła nogi do wozu, zatrzasnęła za sobą drzwiczki i zablokowała je.

Ruszyła i wtedy przypomniał się jej mężczyzna z pickupa. Wyraźnie starał się jej pomóc. Jakiś dobry samarytanin, który akurat tamtędy przejeżdżał? A może nie, może to nie był przypadek? Ta długoletnia obsesja stała się już jej drugą naturą, swoistym filtrem przetwarzającym wstępnie każdą poczynioną obserwację i analizującym motywacje każdej osoby, która niespodziewanie zechciała wtargnąć w jej świat. A podłoże tych nienormalnych zachowań było jedno: strach przed zdemaskowaniem. Wzięła głęboki oddech i po raz setny

zadała sobie w duchu pytanie, czy wracając do Stanów Zjednoczonych, nie popełniła aby grubego błędu.

Riggs skręcił swoim poobijanym pickupem w prywatną drogę. Jadąc z powrotem szosą, rozglądał się za hondą, ale ta zniknęła. Postanowił odwiedzić rezydencję swojego klienta. Tam najszybciej znajdzie telefon, a przy okazji uzyska może jakieś wyjaśnienie co do wydarzeń tego poranka. Nie była to właściwie jego sprawa, ale swoją interwencją pomógł kobiecie i uważał, że coś mu się za to należy. Tak czy inaczej, nie potrafił przejść nad incydem do porządku dziennego. Na drodze dojazdowej nikt go, o dziwo, nie zatrzymał. Nie było tu widocznie prywatnej ochrony. Rozmowy z przedstawicielem właściciela prowadził w miasteczku. To była jego pierwsza wizyta w posiadłości, którą dawno temu ochrzczono nazwą Wicken's Hunt. Dom zaliczał się do najpiękniejszych w okolicy. Wzniesiony został na początku lat dwudziestych przez mistrzów sztuki budowlanej, jakich próżno teraz szukać, z przeznaczeniem na letnią rezydencję dla magnata z Wall Street, który wkrótce potem, po krachu na giełdzie w dwudziestym dziewiątym, skoczył z drapacza chmur. Dom miał następnie kilku właścicieli, a ostatnio przez sześć lat czekał na nabywcę. Wymagał gruntownego remontu. Riggs rozmawiał z paroma podwykonawcami zatrudnionymi do tych prac. Byli zachwyceni kunsztem dawnych budowniczych oraz malowniczym otoczeniem.

Ciężarówki z rzeczami nowego właściciela musiały tu podjeżdżać nocami, bo Riggs nie znał nikogo, kto by je widział. Nikt nie widział również właściciela. Riggs zajrzał do księgi wieczystej w magistracie. Dom kupiła firma, o której nigdy nie słyszał. Niezawodnymi zazwyczaj kanałami poczty pantoflowej nie sposób się było dowiedzieć niczego ponad to, że szkoła St. Anne's-Belfield przyjęła dziesięcioletnią dziewczynkę nazwiskiem Lisa Savage, która jako swoje miejsce zamieszkania podała Wicken's Hunt. Podobno od czasu do czasu przywoziła ją i odbierała wysoka, młoda kobieta w okularach przeciwsłonecznych i wielkim kapeluszu. Najczęściej jednak przyjeżdżał po nią starszy mężczyzna o posturze futbolisty. Osobliwe towarzystwo. Riggs miał kilkoro znajomych, którzy pracowali w szkole, ale żadne z nich nie chciało z nim rozmawiać na temat młodej kobiety. Jeśli nawet znali jej nazwisko, to wzbraniali się je zdradzić.

Wyjechał zza zakrętu i jego oczom ukazała się rezydencja. Pickup, którego prowadził, skojarzył mu się natychmiast z wysłużonym, maleńkim holownikiem podpływającym do burty transatlantyku. Dom miał dwa piętra i szerokie, dwuskrzydłowe drzwi wejściowe.

Zaparkował samochód na kolistym podjeździe obiegającym wspianą kamienną fontannę, która jednak w ten chłodny poranek nie działała. Otoczenie kipiało zielenią i było tak samo pieczołowicie zaprojektowane jak sam dom. Zmierzając do drzwi frontowych, zachodził w głowę, czy właściciel takiego przybytku zniżył się do umocowania przy nich dzwonka, czy też otworzy mu lokaj w liberii. Okazało się, że ani jedno, ani drugie. Kiedy stawiał nogę na ostatnim stopniu schodów frontowych, z nowiutkiego interkomu, wbudowanego w ścianę przy framudze drzwi, padło pytanie:

– Czym mogę służyć? – Głos był męski, silny, tubalny i zdaniem Riggsa niósł w sobie odstraszącą nutkę.

– Matthew Riggs. Moja firma ma otoczyć tę posiadłość ogrodzeniem.

– Tak.

Drzwi ani drgnęły, a ton głosu dawał jasno do zrozumienia, że jeśli było to wszystko, co Riggs miał do powiedzenia, stan ten nie ulegnie zmianie. Riggs rozejrzał się, tknięty nagle przecuciem, że jest obserwowany. W samej rzeczy. Z zagłębienia u szczytu jednej z kolumn, które miał za plecami, patrzyło na niego oko kamery wideo. Ona też wyglądała na nową. Pomachał do obiektywu.

– Czym mogę służyć? – powtórzył głos.

– Chciałbym skorzystać z telefonu.

– Przykro mi, ale to niemożliwe.

– A to szkoda, bo przed chwilą przyparłem moim pickuperem do muru samochód ścigający grafitowe BMW, które stąd wyjechało. Chciałem się tylko upewnić, czy kobiecie, która prowadziła BMW, nic się nie stało. Kiedy ją ostatnio widziałem, wyglądała na solidnie przestraszona.

Szczęknięty rygle i drzwi się otworzyły. W progu stał wysoki starszy mężczyzna wzrostu Riggsa, ale znacznie szerszy od niego w barach i w klatce piersiowej. Riggs zauważył jednak, że mężczyzna lekko utyka, tak jakby nogi, a może kolana, zaczynały mu odmawiać posłuszeństwa. Riggs też był krzepki i wysportowany, ale doszedł do wniosku, że wolałby z tym gościem nie zadzierać. Pomimo podeszłego wieku i wyraźnej ułomności mężczyzna był jeszcze wystarczająco silny, by z łatwością skrócić Riggsowi kark. Nie ulegało wątpliwości, że ten właśnie facet odbiera ze szkoły Lisę Savage. Futbolista bez dwóch zdań.

– Co mi pan tu, u diabła, opowiada?

Riggs wskazał za siebie, w kierunku szosy.

– Przeprowadzałem dziś rano wstępne oględziny granicy posiadłości, zanim ściągnę tu ludzi i sprzęt, i jakieś dziesięć minut temu zobaczyłem to BMW pędzące drogą z niesamowitą prędkością. Kobieta za kierownicą, blondynka, o ile się nie mylę, była śmiertelnie przerażona. Na ogonie siedziała jej czarna honda accord, prawdopodobnie rocznik dziewięćdziesiąt dwa albo dziewięćdziesiąt trzy. Prowadził ją gość, który wyglądał mi na diabło zdeteterminowanego.

– Co z tą kobietą? Stało się jej coś?

Mężczyzna postąpił krok do przodu. Riggs cofnął się o krok, wołał nie dopuszczać faceta zbyt blisko, dopóki sytuacja się nie wyklaruje. Skąd mógł wiedzieć, czy gość nie jest w zмовie z kierowcą hondy. Wewnętrzny radar Riggsa przez cały czas przeczesywał otoczenie w poszukiwaniu śladów obecności tego ostatniego.

– Z tego, co wiem, nie. Wpasowałem się między nich i wyeliminowałem hondę z gry. Oberwało się też przy tym mojemu pickuperowi. – Riggs potarł machinalnie kark, bo wspomnienie kolizji wywołało tam kilka bolesnych skurczów. Wieczorem będzie się musiał porządnie

wymoczyć w wannie.

- Zajmiemy się pickupem. Gdzie ona jest?
- Nie przyjechałem tutaj naprawiać wozu, panie...
- Charlie, mów mi pan Charlie.

Mężczyzna wyciągnął rękę. Ściskając ją, Riggs stwierdził, że wcale nie przecenił siły tego mężczyzny. Zerknął na palce pobielełe po mocarnym uścisku Charliego. Czy facet niepokoił się po prostu o bezpieczeństwo tamtej kobiety, czy też miał w zwyczaju maltretować gościom palce, Riggs nie wiedział.

– Matt jestem. Jak już powiedziałem, pojechała dalej, i o ile mi wiadomo, nic jej nie jest. Ale mimo wszystko chcę to zgłosić.

– Zgłosić?

– Na policję. Facet z hondy popełnił co najmniej siedem wykroczeń, w tym ze dwa kwalifikujące się jako przestępstwa. Szkoda, że nie udało mi się go zgarnąć.

– Mówisz jak gliniarz.

Czy twarz Charliego pociemniała, czy tak się tylko Riggsowi zdawało?

– Byłem swego czasu kimś w tym rodzaju. Zapisałem sobie numery rejestracyjne obu samochodów. – Przyglądał się uważnie pokiereszowanej, pomarszczonej twarzy Charliego, próbując wyczytać coś z jego niewzruszonego spojrzenia. – Zakładam, że to BMW jest stąd i kobieta też.

Po chwili wahania Charlie kiwnął głową.

– Jest właścicielką.

– A honda?

– Nic mi o niej nie wiadomo.

Riggs odwrócił się i popatrzył w stronę szosy.

– Facet czekał pewnie gdzieś przy drodze dojazdowej. Każdy może w nią wjechać. – Spojrzał znowu na Charliego.

– Właśnie dlatego zamówiliśmy u ciebie to ogrodzenie i bramę. – W oczach Charliego zatliła się iskierka gniewu.

– Teraz już rozumiem, po co wam ono, ale kontrakt podpisaliśmy dopiero wczoraj. Pracuję szybko, ale nie aż tak.

Logika odpowiedzi Riggsa rozładowała trochę atmosferę. Charlie spuścił wzrok.

– To co będzie z tym telefonem, Charlie? – Riggs postąpił krok do przodu. – Bo widzisz, próbę uprowadzenia rozpoznam na pierwszy rzut oka. – Przesunął wzrokiem po fasadzie domu. – Nietrudno też odgadnąć, dlaczego ją podjęto, mam rację?

Charlie odetchnął głęboko, czuł się rozdarty. Z jednej strony umierał z niepokoju o LuAnn – o Catherine, poprawił się w myślach. Upłynęło już dziesięć lat, a on wciąż nie mógł przywyknąć do jej nowego imienia. Z drugiej strony wzdragał się przed wciągnięciem w to policji.

– Jak rozumiem, jesteś jej przyjacielem albo kimś z rodziny...

– Jednym i drugim – odparł Charlie z nową werwą, spoglądając na coś ponad ramieniem Riggsa. Twarz mu pojaśniała.

Po sekundzie do uszu Riggsa doleciała przyczyna tej nagłej zmiany nastroju. Obejrzał się i zobaczył BMW zatrzymujące się przy jego pickupie.

LuAnn wysiadła z wozu, obrzuciła obojętnym spojrzeniem półciężarówkę, zatrzymując na chwilę wzrok na uszkodzonym zderzaku, potem weszła po schodkach, minęła Riggsa i spojrzała pytająco na Charliego.

– Ten pan mówi, że miałś jakieś kłopoty – powiedział Charlie, wskazując na Riggsa.

– Matt Riggs. – Riggs wyciągnął rękę.

Kobieta, nosząc buty na obcasie, niewiele ustępowała mu wzrostem. Z bliska była nawet piękniejsza niż wtedy, gdy ją oglądał przez lornetkę. Jej długie, gęste włosy miały złocisty odcień i zdawały się przechwytywać każdy promyk wschodzącego słońca. Rysy twarzy i cera były tak nieskazitelne, że aż nie chciało się wierzyć, że są naturalne, ale kobieta była za młoda, by podejrzewać tu ingerencję skalpela chirurga plastycznego. Riggs doszedł do wniosku, że taka się już urodziła. I naraz zauważył z zaskoczeniem długą bliznę biegnącą wzdłuż linii szczęki. Nie pasowała zupełnie do doskonałej reszty. Zaintrygowała go również dlatego, że na jego doświadczone oko pozostała po ranie zadanej nożem o ząbkowanym ostrzu. Większość kobiet, zwłaszcza bogatych, a ta zdecydowanie się do takich zaliczała, zapłaciłaby każdą sumę, byle tylko pozbyć się tego rodzaju oszpeceń.

Spojrzenie pary chłodnych, orzechowych oczu przywiodło Riggsa do wniosku, że ta kobieta jest inna, że należy do tych rzadko spotykanych bytów: uderzająco pięknych kobiet, które mało dbają o swój wygląd. Kontynuując oględziny, sunął wzrokiem po smukłej, zgrabnej sylwetce. Wąskie biodra, szczupła talia i szerokie ramiona sugerowały wyjątkową siłę fizyczną. Omal nie syknął z bólu, kiedy uściśnęła mu dłoń. Pod tym względem mogła konkurować z Charliem.

– Mam nadzieję, że nic się pani nie stało – zagaił. – Zapisałem numery rejstacyjne tamtej hondy. Chciałem zadzwonić na policję, ale telefon komórkowy wyleciał mi z ręki i rozbił się, kiedy facet uderzył mnie z tyłu. Tak czy owak, samochód był prawdopodobnie kradziony. Dobrze się gościowi przyjrzałem. To odludzie. Jeśli szybko zadziałamy, możemy go jeszcze dopaść.

LuAnn patrzyła na niego zmieszana.

– O czym pan mówi?

Riggs zamrugnął powiekami i cofnął się.

– O samochodzie, który panią ścigał.

LuAnn obejrzała się na Charliego. Riggs obserwował uważnie wymianę spojrzeń, do jakiej między nimi doszło, ale nie zauważył, żeby dawali sobie jakieś porozumiewawcze znaki. LuAnn wskazała na pickupa Riggsa.

– Widziałam, jak ta ciężarówka i jeszcze jeden samochód dziwnie się na szosie zachowywały, ale się nie zatrzymałam. Wolałam się do tego nie mieszać.

Riggsowi odebrało na chwilę głos.

– Blokowałem tę hondę, bo kierowca wyraźnie chciał panią zepchnąć z drogi – wyrzucił z siebie w końcu. – Mało brakowało, a zrobiłby to również ze mną.

– Bardzo mi przykro, ale naprawdę nie wiem, o czym pan mówi. Nie sądzi pan, że zauważyłabym, gdyby ktoś próbował zepchnąć mnie z drogi?

– Twierdzi więc pani, że zawsze jeździ osiemdziesiątką po krętych górskich drogach, ot tak, dla zabawy?! – zaperzył się Riggs.

– Mój sposób prowadzenia nie powinien pana interesować – odparowała. – Za to mnie ma chyba prawo zainteresować, co sprowadza pana na teren mojej posiadłości.

– Ten pan stawia nam ogrodzenie – wtrącił się Charlie.

LuAnn nawet nie drgnęła powieka.

– To radzę panu skupić się na tym zadaniu i nie zawracać nam głowy wyssanymi z palca historyjkami o pościgach.

Riggs poczerwieniał. Chciał coś na to odpowiedzieć, ale się rozmyślił.

– Dobrego dnia pani życzę – mruknął tylko, odwrócił się i pomaszerował do swojego pickupa.

LuAnn, nie oglądając się za siebie, minęła Charliego i weszła szybko do domu. Charlie odprowadził Riggsa wzrokiem, a potem zatrzasnął drzwi.

Kiedy Riggs gramolił się do szoferki pickupa, na podjeździe pojawił się kolejny samochód. Za kierownicą siedziała starsza kobieta, a na tylnym siedzeniu piętrzyły się wypchane papierowe torby. To z porannych zakupów wracała Sally Beecham, gospodyni LuAnn. Posłała Riggsowi przelotne spojrzenie. Ten, chociaż zły, skinął jej uprzejmie głową. Odwzajemniła się tym samym. Tak jak miała w zwyczaju, skręciła do garażu i otworzyła pilotem bramę. Z garażu wchodziło się bezpośrednio do kuchni, a Beecham była kobietą zorganizowaną i nie lubiła marnować na próżno energii.

Ruszając, Riggs obejrzał się jeszcze na wielki dom. Nie zauważył LuAnn Tyler, która z rękoma założonymi na piersi stała w jednym z mnóstwa okien i patrzyła za nim w zadumie. Na jej twarzy malował się niepokój zmieszany z poczuciem winy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Honda zwolniła, zjechała z bocznej drogi, przetoczyła się przez zabytkowy drewniany mostek nad potokiem i zniknęła w leśnej gęstwinie. Antena zahaczyła o obwisłą gałąź i przednią szybę spryskały kropelki rosy. Na wprost, pod baldachimem starych dębów, stała mała, rozpadająca się chatka. Honda skrzyła na podwóreczko za chatą i wjechała do znajdującej się tam małej szopy. Po chwili z szopy wyszedł Donovan. Zamknął za sobą drzwi i ruszył w stronę domu.

Idąc, masował sobie dolną część pleców i kręcił szyją, żeby pozbyć się skutków swojej porannej eskapady. Do tej pory dygotał na całym ciele. Wszedł do chaty, zrzucił płaszcz i skrzył do małej kuchenki, żeby zaparzyć sobie kawy. Czekał na zagotowanie się wody, palił nerwowo papierosa i wyglądał przez okno. Czuł się trochę nieswojo, chociaż był pewien, że nikt za nim nie jechał. Potarł czoło. Chata stała na odludziu, a człowiekowi, od którego ją wynajął, nie zdradził swojego prawdziwego nazwiska ani powodu, dla którego postanowił w niej tymczasowo zamieszkać.

Kim, u diabła, był ten facet z pickupa? Przyjacielem kobiety czy jakimś przypadkowym kierowcą? W każdym razie widziano go i teraz będzie musiał zgolić brodę, i zrobić coś z włosami. Będzie też musiał wynająć inny samochód. Poobijana honda zanadto rzucała się w oczy, a poza tym gość z pickupa mógł zapamiętać rejestrację. Dobrze, że wynajął ją w agencji pod przybranym nazwiskiem. Kobieta raczej nic w tym kierunku nie zrobi, ale facet może mu niezłe namieszać w planach. Powrót hondą do miasteczka, by ją wymienić na inny wóz, byłby zbyt ryzykowny. Wolał, żeby go w niej nie widziano i nie uśmiechało mu się teraz tłumaczyć z uszkodzonego zderzaka. Dojdzie wieczorem do głównej szosy, złapie autobus jadący do miasteczka i wynajmie tam nowy samochód.

Napełnił kubek kawą i przeszedł z nim do jadalni, gdzie urządził sobie prowizoryczną pracownię. Na stole stał komputer, drukarka, telefaks i telefon. W kącie piętrzył się stos pudeł z dokumentami. Na dwóch ścianach wisiało kilka korkowych tablic z przypiętymi do nich wycinkami prasowymi.

Głupio zrobił, podejmując pościg. To cud, że nie leżeli teraz oboje martwi w jakimś jarze. Reakcja Tyler zupełnie go zaskoczyła. Teraz, kiedy się już spokojnie nad tym zastanawiał, tak właśnie powinna zareagować. Przestraszyła się, bo miała do tego pełne prawo. Rodził się kolejny problem: co będzie, jeśli znowu zniknie? Znalazł ją dzięki wyteżonej pracy i szczęściu. Nigdzie nie było powiedziane, że następnym razem szczęście znowu mu dopisze. No, ale teraz już nic na to nie poradzi. Pozostaje tylko czekać i obserwować, co z tego wyniknie.

Nawiązał kontakt z pracownikiem regionalnego lotniska, który miał mu dać znać, gdyby odlatywała stamtąd jakaś kobieta pasująca wyglądem do LuAnn Tyler albo podróżująca pod nazwiskiem Catherine Savage. Jeśli Tyler nie ma jakiejś innej przygotowanej na takie sytuacje tożsamości, to trudno jej będzie wyjechać stąd w najbliższym czasie pod innym nazwiskiem niż

Catherine Savage, a wtedy pozostanie jakiś ślad. A jeśli spróbuje wynieść się z tych stron środkiem transportu innym niż samolot? No cóż, będzie musiał obserwować dom, ale przecież nie da rady tego robić przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Rozważał przez chwilę ewentualność wezwania posiłków z „Tribune”, ale przeciwko temu rozwiązaniu przemawiało wiele czynników. Przez blisko trzydzieści lat pracował sam i branie sobie teraz partnera jakoś mu nie odpowiadało, nawet gdyby gazeta mu takiego przydzieliła. Nie, robi, co się da, żeby mieć ją bez przerwy na oku, i będzie się starał doprowadzić do następnego spotkania. Nie wątpił, że zdoła zdobyć zaufanie tej kobiety, nakłonić ją do współpracy. Nie wierzył, że ma do czynienia z morderczynią. Był jednak pewien, że LuAnn Tyler i może jeszcze jacyś inni zwycięzcy z tamtych lat wiedzą coś na temat przebiegu loterii. Musi zdobyć ten materiał, obojętne, do czego go to doprowadzi.

Na kominku w wielkiej bibliotece płonął ogień. Wzdłuż trzech ścian ciągnęły się sięgające sufitu półki z klonowego drewna zapchane książkami, kilka przepastnych foteli rozstawiono tak, by tworzyły przytulne kąciki do intymnej rozmowy. LuAnn siedziała bosą na obitej skórą sofie. Nogi podciągnęła pod siebie, na ramiona zarzuciła bawełniany, haftowany szal. Na stoliczku obok stał kubek z herbatą i talerz z nietkniętym śniadaniem. Sally Beecham w szarym uniformie i nieskazitelnie białym fartuszką wychodziła właśnie ze srebrną tacą. Charlie zamknął za nią lukowate dwuskrzydłowe drzwi i przysiadł się do LuAnn.

– No, może mi wreszcie powiesz, co się naprawdę tam wydarzyło? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, wziął ją za rękę. – Zimna jak lód. Napij się herbaty. – Wstał i podsycił ogień dopóty, dopóki odbłask płomieni nie zabarwił mu twarzy na czerwono. Wtedy odwrócił się i spojrzał na LuAnn wyczekująco. – Jak mam ci pomóc, skoro nie jesteś ze mną szczera, LuAnn?

Więź zacieśniająca się między nimi przez ostatnie dziesięć lat pomogła im przebrnąć przez wiele drobniejszych i poważniejszych kryzysowych sytuacji. Byli nierozłączni od chwili, kiedy Charlie dotknął jej ramienia we wznoszącym się w niebo boeingu – 747, aż do powrotu do Ameryki. Chociaż naprawdę miał na imię Robert, wolał zostać Charliem. Zresztą miał Charles na drugie. Jakie zresztą znaczenie ma imię? Jednak ją nazywał LuAnn tylko wtedy, kiedy, jak teraz, znaleźli się sami. Był jej najbliższym przyjacielem i powiernikiem, najbliższym i jedynym, bo niektórych rzeczy nie mogła powiedzieć nawet córce.

Siadając z powrotem, Charlie skrzywił się z bólu. Zdawał sobie sprawę, że niedołęźnie; odbijała się bezlitosna eksploatacja ciała w młodości. Różnica w latach między nim a LuAnn była teraz wyraźniejsza niż dawniej, natura upominała się o swoje. Ale mimo to zrobiłby dla niej wszystko, stawiałby czoło każdemu niebezpieczeństwu, każdemu jej wrogowi, mobilizując całą siłę i przebiegłość, jakie mu jeszcze zostały.

LuAnn wyczytała to z jego oczu i wreszcie się odezwała:

– To było niedaleko domu. Stał na środku drogi i dawał mi znaki, żebym się zatrzymała.

– I zatrzymałaś się? – spytał z niedowierzaniem Charlie.

– Nie wysiadłam z wozu. Przecież nie mogłam go przejechać. Ale zapewniam cię, że zrobiłabym to, gdyby czegoś próbował albo wyciągnął pistolet.

Charlie założył nogę na nogę i przez jego twarz przemknął kolejny bolesny grymas.

– No, jedz. I pij tę herbatę.

Błada jesteś jak prześcieradło. LuAnn posłuchała. Napoczęła jajko, nadgryzła tost, popiła kilkoma łykami gorącej herbaty. Odstawiła kubek i otarła usta serwetką.

– Poprosił mnie na migi, żebym opuściła szybę. Uchyliłam ją kawałeczek i spytałam, czego chce.

– Zaraz, chwileczkę, jak wyglądał?

– Średniego wzrostu, broda, trochę siwiejąca. Okulary w drucianej oprawce. Oliwkowa cera, jakieś osiemdziesiąt kilogramów. Mniej więcej pięćdziesiąt lat. – Drobiazgowo zapamiętywanie wyglądu spotykanych osób stało się przez ostatnie dziesięć lat drugą naturą LuAnn.

Charlie zanotował sobie w pamięci ten opis.

– Mów dalej.

– Powiedział, że szuka posiadłości Brillstein Estate. – Urwałaby pociągnąć łyk herbaty. – Odparłam, że to nie tutaj.

Charlie pochylił się w przód.

– I co on na to?

LuAnn wyraźnie już drżała.

– Powiedział, że kogoś szuka.

– Kogo? – spytał Charlie. – Kogo? – powtórzył, kiedy LuAnn, nie odpowiadając, wbiła wzrok w podłogę.

Po chwili podniosła na niego oczy.

– LuAnn Tyler z Georgii – wyrzuciła z siebie.

Charlie wyprostował się. Strach przed zdemaskowaniem, chociaż czas trochę go w nich przytłumił, tlił się wciąż gdzieś w podświadomości. Teraz buchnął nowym płomieniem.

– Powiedział coś jeszcze?

LuAnn przesunęła serwetką po suchych ustach i usiadła prosto.

– Powiedział, że chce ze mną porozmawiać. I wtedy... wtedy straciłam nad sobą panowanie, ruszyłam i o mało go nie przejechałam. – Po tych słowach odetchnęła głęboko i bezradnie spojrzała na Charliego.

– Gonił cię?

Kiwnęła głową.

– Wiesz, Charlie, że mam mocne nerwy, ale są pewne granice. Wyobraź sobie, że wybierasz się na relaksującą poranną przejażdżkę i spotyka cię coś takiego. – Przykrzywiła głowę. – Boże, a już zaczynałam się tu tak dobrze czuć. Jackson się nie pojawił, Lisa jest zachwycona szkołą, tak tu pięknie. – Zamilkła.

– A co z tym drugim, z tym Riggsem? Mówił prawdę?

LuAnn ożywiła się nagle. Wstała i zaczęła spacerować po pokoju. Po chwili zatrzymała się i przesunęła czule palcami po grzbietach tomów stojących na półce. Przeczytała prawie wszystkie znajdujące się tu książki. Dziesięć lat intensywnej nauki u najlepszych prywatnych nauczycieli zrobiło z niej elokwentną, obytą, światową kobietę – tak inną od dziewczyny, która uciekła z przyczepy, zostawiając w niej dwa trupy. Teraz te krwawe wspomnienia znów odżywały.

– Tak. Nawet nie wiem, skąd się tam wziął. Podejrzewam, że sama zdołałabym zgubić tego faceta – dodała cicho. – Ale nie da się ukryć, że mi pomógł. I bardzo bym chciała mu za to podziękować. Ale nie mogę, nie mogę, prawda? – Sfrustrowana wyrzuciła w górę obie ręce i usiadła z powrotem.

Charlie, pocierając dłonią brodę, rozważał sytuację.

– Widzisz, z prawnego punktu widzenia ten przekręt z loterią podpada pod kilka paragrafów, ale wszystkie uległy już przedawnieniu. Od tej strony facet nie może ci zaszkodzić.

– A co z morderstwem? Na to nie ma przedawnienia. Zabiłam człowieka, Charlie. Zrobiłam to w samoobronie, ale kto mi teraz uwierzy?

– Fakt, ale policja już od lat nie zajmuje się tą sprawą.

– No dobrze, a więc radzisz mi się ujawnić?

– Tego nie powiedziałem. Myślę tylko, że chyba za bardzo się przejmujesz.

LuAnn zadrżała. Znaleźć się w więzieniu za zagarnięcie pieniędzy czy zabójstwo to nie było to, czego się najbardziej obawiała. Złożyła dłonie i spojrzała na Charliego.

– Od ojca chyba nigdy nie usłyszałam słowa prawdy. Robił, co mógł, żebym czuła się jak najgorszy śmieć, i ilekroć udało mi się wyrobić w sobie trochę pewności siebie, on się wtrącał i niszczył ją we mnie. Według niego nadawałam się tylko do rodzenia dzieci i podobania się swojemu mężczyźnie.

– Wiem, że było ci ciężko, LuAnn...

– Przysięgam sobie, że nigdy, przenigdy nie zrobię tego swojemu dziecku. Przysięgam to Bogu na Biblię, złożyłam tę przysięgę nad grobem matki, i szeptałam ją Lisie, kiedy chodziłam z nią w ciąży, a potem każdej nocy przez sześć miesięcy, kiedy już się urodziła. – LuAnn przełknęła z trudem ślinę i wstała. – I wiesz co? Wszystko, co jej dotąd mówiłam, wszystko, co ona wie o sobie, o tobie i o mnie, wszystko, co wie o swoim życiu, jest kłamstwem. To wszystko mistyfikacja, Charlie. Tak, może objęło mnie już przedawnienie, może nie pójde do więzienia, bo policja nie będzie się przykładała do ścigania zabójczym handlarza narkotyków. Ale jeśli ten człowiek odkrył moją przeszłość i ujawni ją publicznie, to Lisa się dowie. Będzie wiedziała, że usłyszała od matki więcej kłamstw, niż mój ojciec naopowiadał ich mnie przez całe życie. Wyjdę na kogoś po stokroć gorszego od Benny'ego Tylera i na pewno stracę swoją dziewczynkę. Stracę Lisę. – Wyrzuciwszy to z siebie, LuAnn wzdrygnęła się i mocno zacisnęła powieki.

– Przykro mi, LuAnn, nie myślałem o tym w ten sposób. – Charlie przyglądał się swoim dłoniom.

LuAnn otworzyła oczy, wзираła z nich fatalizm.

– I jeśli do tego dojdzie, jeśli ona się dowie, będzie po mnie. Więzienie to w porównaniu z tym dzień spędzony w parku, bo jeśli stracę swoją córeczkę, to nie będę już miała po co żyć. Pomimo tego wszystkiego. – Zamaszystym ruchem ręki wskazała na pokój.

Usiadła z powrotem i zaczęła pocierać czoło. Przeciągające się milczenie pierwszy przerwał Charlie.

– Riggs zapisał numery rejestracyjne obu samochodów. – Bawił się przez chwilę guzikiem od koszuli, po czym dorzucił: – Riggs to były glina, LuAnn.

LuAnn, trzymając się dłońmi za głowę, podniosła na niego wzrok.

– O Boże! A myślałam, że gorzej już być nie może.

– Spokojnie. Twoją rejestrację może sobie sprawdzać. Dowie się tylko, że wóz należy do Catherine Savage zamieszkującej pod tym adresem, legitymującej się takim to a takim numerem ubezpieczenia społecznego, nic ponad to. Twój życiorys po tylu latach nie ma już żadnych luk.

– A ja myślę, że ma jedną bardzo dużą lukę, Charlie. Dowodem facet w hondzie.

Charlie przyznał jej rację krótkim skinieniem głowy.

– Zgoda, ale ja mówię o Riggsie. Z jego strony nic ci nie grozi.

– No dobrze, a jeśli Riggs dotrze do tamtego faceta, jeśli z nim porozmawia?

– Wtedy możemy mieć poważne kłopoty – odpowiedział za nią Charlie.

– Myślisz, że Riggsa na to stać?

– Nie wiem. Wiem tylko, że ci nie uwierzył, kiedy mu wmawiałaś, że nikt cię nie ścigał. Wiem, w tych okolicznościach nie dało się inaczej, ale to były gliniarz. Cholera, musiało mu się to wydać mocno podejrzane. Chyba nie możemy liczyć, że tak to zostawi.

LuAnn odgarnęła włosy z oczu.

– To co robimy?

Charlie wziął ją za rękę.

– Ty nic. Pozwól, że stary Charlie trochę powęszy. Nieraz już bywaliśmy w opałach. Prawda?

Kiwnęła powoli głową i nerwowo oblizała usta.

– Ale z tych możemy już nie wybrnąć.

Matt Riggs wbiegł po schodkach starego wiktoriańskiego domu z zachodzącą na boczne ściany werandą, który pieczołowicie w ubiegłym roku odrestaurował. Miał kilkuletnie doświadczenie w stolarce i ciesielstwie. Zajmował się nimi jeszcze przed przybyciem do Charlottesville, bo pomagały mu rozładowywać stres związany nieodłącznie z jego poprzednią pracą. W tej chwili nie myślał jednak o pełnych gracji konturach swojego domu.

Skierował się od razu do biura, bo dom był zarazem siedzibą firmy, którą prowadził. Zamknął za sobą drzwi, chwycił za telefon i zadzwonił do starego znajomego z Waszyngtonu. Honda miała waszyngtońską rejestrację. Riggs był właściwie pewien, że po sprawdzeniu okaże się, że samochód albo został wynajęty, albo jest kradziony. Co innego BMW. Tu pozna

przynajmniej imię kobiety, bo w drodze powrotnej do domu uświadomił sobie nagle, że nie wymienili go ani mężczyzna, który przedstawił mu się jako Charlie, ani ona. Zakładał, że nazywa się Savage i że jest albo matką Lisy Savage, albo, sądząc po młodym wyglądzie, jej starszą siostrą.

Pół godziny później miał już odpowiedź. Honda rzeczywiście została wynajęta w stolicy kraju na dwa tygodnie przez niejakiego Toma Jonesa. Tom Jones! Sprytnie. Nie miał wątpliwości, że adres podany przez tego człowieka jest, podobnie jak nazwisko, zmyślony. Ślepa uliczka, ale niczego innego się nie spodziewał.

Spojrzał teraz na dane kobiety, które zapisał sobie na kartce. Catherine Savage. Urodzona w Charlottesville, stan Wirginia. Wiek: trzydzieści lat. Zgadzał się numer ubezpieczenia społecznego, zgadzał się adres: Wicken's Hunt. Niezamężna. Nieposzlakowana opinia, nienotowana. Żadnych plam w życiorysie. W niecałe pół godziny poznał całkiem spory rozdział jej przeszłości. Nie ma to jak komputery. A jednak...

Zerknął jeszcze raz na wiek. Trzydzieści lat. Wrócił myślami do domu i ogromnej działki – trzysta jardów najlepszej wirgińskiej ziemi. Znał cenę wywoławczą na Wicken's Hunt: sześć milionów dolarów. W najlepszym wypadku pani Savage mogła wytargować milion do dwóch upustu, ale z tego, co słyszał, sam rachunek za prace renowacyjne opiewał na sumę siedmiocyfrową. Skąd, u licha, tyle pieniędzy u tak młodej kobiety? Nie była przecież popularną aktorką ani gwiazdą rocka. Nazwisko Catherine Savage nic Riggsowi nie mówiło, a orientował się trochę w światku popkultury.

A może to Charlie jest tutaj sponsorem? Małżeństwem nie są, to pewne. Charlie powiedział, że należy do rodziny, ale coś tu nie grało. Riggs odchylił się na oparcie fotela, wysunął szufladę biurka i wydlubał z opakowania dwie aspiryny. Kark znowu zaczynał mu sztywnieć. Może ktoś z rodziny zostawił jej coś w spadku albo jest wdową po jakimś nadzianym starym pierniku. Wcale by go to nie zdziwiło. Za taką kobietę mnóstwo mężczyzn oddałoby wszystko.

I co teraz? Spojrzał przez okno biura na pobliskie drzewa przybrane w czarowne barwy jesieni. Nieźle mu się ostatnio układało: burzliwą przeszłość zostawił za sobą. Miał dobrze prosperujący interes w pięknej okolicy, spokojne życie, z którego był zadowolony. I teraz to. Uniósł do oczu kartkę z jej nazwiskiem. Właściwie nie było się do czego przyczepić, ale intrygowała go ta kobieta.

– Kim, u diabła, jesteś, Catherine Savage?!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

– Gotowa jesteś, kochanie? – LuAnn wsunęła głowę do pokoju i popatrzyła czule na plecy ubierającej się dziewczynki.

Lisa obejrzała się. Miała twarz i wysportowaną sylwetkę LuAnn i była oczkiem w głowie matki.

– Prawie.

LuAnn weszła do pokoju, zamknęła za sobą drzwi i usiadła na łóżku.

– Panna Sally mówi, że niewiele zjadłaś na śniadanie. Żle się czujesz?

– Mam dzisiaj klasówkę. Trochę się denerwuję. – Całe dotychczasowe życie upłynęło jej na podróżach po świecie i w jej sposobie mówienia wyczuwało się mnóstwo naleciałości z rozmaitych kultur, języków i dialektów. Nie raziło to zbyt, ale kilka miesięcy spędzonych w Wirginii zaczynało już owocować południową intonacją.

LuAnn uśmiechnęła się.

– Myślałam, że ktoś, kto uczy się tak dobrze jak ty, nie ma powodów do zdenerwowania. – Dotknęła ramienia córki.

Przez ostatnie dziesięć lat LuAnn nie szczędziła wysiłków i pieniędzy, by stać się kimś, kim zawsze chciała być, kimś zupełnie nieprzypominającym LuAnn Tyler z biednego Południa. Była teraz wykształcona, władała dwoma obcymi językami i z dumą patrzyła na Lisę, która znała ich cztery i czuła się jak u siebie zarówno w Chinach, jak i w Londynie. Przez te dziesięć lat przeżyła więcej niż inni w ciągu całego życia. Może to i dobrze, zważywszy na wypadki dzisiejszego poranka. Czyżby jej czas się kończył?

Lisa, ubrana już, usiadła na łóżku plecami do matki. LuAnn sięgnęła po szczotkę do włosów i zaczęła czesać córkę. Był to codzienny rytuał, dający im pretekst do rozmowy i intymnego kontaktu.

– Nic na to nie poradzę. Denerwuję się, i już. Zresztą klasówki nie zawsze są łatwe.

– Mało co przychodzi w życiu łatwo. Poza tym stopnie nie są najważniejsze. Mnie wystarcza, że widzę, jak przykładasz się do nauki, bo to najbardziej się liczy. – Zebrała włosy Lisy w gruby koński ogon i spięła go u nasady spinką. – Ale nie pokazuj się w domu z oceną niższą od celującej. – Roześmiały się obie.

Kiedy schodziły na dół, Lisa spojrzała na matkę.

– Widziałam, jak ty i wujek Charlie rozmawialiście dzisiaj rano z jakimś panem.

LuAnn z trudem ukryła zmieszanie.

– Nie spałaś? To było bardzo wcześnie.

– Już mówiłam, że denerwuję się tą klasówką.

– Rzeczywiście.

– Kto to był?

– Stawia bramę i ogrodzenie wokół naszej posiadłości. Miał parę pytań w związku z planami.

– Po co nam ogrodzenie?

LuAnn wzięła małą za rękę.

– Już o tym rozmawialiśmy, Liso. Jesteśmy... wiesz, że jesteśmy bardzo dobrze sytuowani finansowo. Na świecie nie brakuje złych ludzi. Mogą próbować różnych sposobów, żeby wydobyć od nas pieniądze.

– Na przykład okraść nas?

– Tak, ale nie tylko.

– A co jeszcze mogą?

LuAnn zatrzymała się, przysiadła na schodku i skinęła na Lisę, żeby zrobiła to samo.

– Zawsze ci powtarzam, żebyś uważała, żebyś nie ufała bezgranicznie ludziom, pamiętasz? – Lisa kiwnęła głową. – Mówię tak, bo jacyś źli ludzie mogą próbować odebrać mi ciebie. Nie chcę cię straszyć, słoneczko, ale musisz być uczulona na takie sprawy. Jeśli będziesz mądra, wszystko będzie dobrze. Ja i wujek Charlie nie dopuścimy, żeby stało ci się coś złego. Mamusia ci to obiecuje. Rozumiesz?

Lisa kiwnęła głową. Wstały i trzymając się za ręce, zeszły po schodach.

W holu czekał na nie Charlie.

– Oj, marnie coś dzisiaj rano wyglądamy.

– Mam klasówkę.

– Myślisz, że nie wiem? Do wpół do jedenastej powtarzałem z tobą wczoraj materiał. Masz go obkuty na blachę, bez dwóch zdań. No, biegnij po płaszczyk. Czekam w samochodzie przed wejściem.

– To mama mnie dzisiaj nie odwozi?

Charlie zerknął na LuAnn.

– Dzisiaj daję twojej mamie wolne. Poza tym będziemy mogli jeszcze raz powtórzyć sobie po drodze materiał na klasówkę, pasuje?

Lisa rozpromieniła się.

– Pasuje.

Kiedy się oddaliła, Charlie spojrział z powagą na LuAnn.

– Podrzucę Lisę do szkoły, a potem przeprowadzę w miasteczku mały rekonesans – powiedział, zapinając płaszcz.

– Myślisz, że uda ci się znaleźć tego człowieka?

Charlie wzruszył ramionami.

– Może tak, może nie. To niewielka miejscowość, ale kryjówek w niej bez liku. Między innymi z tego powodu tu się osiedliliśmy, prawda?

LuAnn kiwnęła głową.

– A co z Riggsem?

– Jego zostawię sobie na później. Gdybym teraz do niego poszedł, nabrałby jeszcze większych podejrzeń. Zadzwońię z samochodu, jeśli coś ustalę.

LuAnn patrzyła, jak Lisa z Charliem wsiadają do rangę rovera i odjeżdżają. Zatopiona w myślach, włożyła ciepłą kurtkę i wyszła na tyły domu. Minęła olimpijskich rozmiarów basen otoczony wykładanym kamiennymi płytami patio i wysokim na trzy stopy murkiem z cegły. O tej porze roku woda była spuszczone, a sam basen przykryty metalową pokrywą. Kort tenisowy miał być oddany do użytku w przyszłym roku. Oba rodzaje rekreacji mało LuAnn interesowały. Ze zrozumiałych względów nie wyniosła z dzieciństwa upodobania do bezmyślnego odbijania żółtej piłeczki ani moczenia się w chlorowanej wodzie. Ale Lisa była świetną pływaczką i tenisistką, a po zamieszkaniu w Wicken's Hunt bardzo prosiła o ten kort. Jak przyjemnie żyć ze świadomością, że zabawi się w jednym miejscu na tyle długo, by planować budowę kortu tenisowego – pomyślała LuAnn.

Jedynym sportem, jaki LuAnn uprawiała podczas swoich wyojaży po świecie, była jazda konna. I teraz zmierzała do stajni oddalanej o jakieś pięćset jardów od domu, otoczonej z trzech stron gęstym lasem. Wydłużonym krokiem szybko pokonała tę odległość. Do opieki nad terenem posiadłości i stajnią zatrudniała kilku ludzi, ale ci nie przyszedli jeszcze do pracy. Wyciągnęła rząd z magazynku upręży i wprawnie osiodłała swoją klacz, którą po matce nazwała Joy. Zdjęła z wieszaka stetsona z szerokim rondem, skórkowe rękawiczki i dosiadła Joy. Miała ją już od kilku lat; klacz zwiedziła z nimi kilka krajów. Nie było to proste, ale wykonalne dla kogoś, kto nie musi się liczyć z kosztami. LuAnn ze swoją świtą przyleciała do Stanów samolotem. Joy przyplęnęła tu statkiem.

Jednym z powodów, dla których zdecydowali się z Charliem na tę właśnie posiadłość, było mnóstwo szlaków do jazdy konnej, z czego niejeden pamiętał chyba jeszcze czasy Thomasa Jeffersona.

Ruszyła klusem i wkrótce dom został daleko za nią. Zjeżdżała lekką pochyłością, z nozdrzy klaczy i z jej nosa buchały bliźniacze obłoczki pary. Minęła zakręt, szlak biegł przez gęsty las. Rzeźkość poranka pomagała zebrać myśli.

Nie rozpoznała tego mężczyzny. Znał jej prawdziwe nazwisko. Czy rozszyfrował ją ostatecznie, czy też wiedział o niej od dawna, trudno było stwierdzić.

Nieraz myślała o powrocie do Georgii i wyznaniu całej prawdy, o zrzuceniu z piersi tego brzemienia. Nigdy jednak nie wprowadziła tych zamiarów w czyn, a to z oczywistych powodów. Owszem, zabiła tamtego mężczyznę w samoobronie, ale w uszach rozbrzmiewały jej wciąż słowa osobnika, który przedstawił się jej jako Tęcza. Uciekła, a zatem policja przyjęła to, co najgorsze. Na dodatek była teraz bardzo bogata, nikt więc by jej nie współczuł ani z nią nie sympatyzował. Zwłaszcza ludzie z jej rodzinnego miasteczka. Shirley Watson nie była tam wyjątkiem. Dochodził do tego fakt, że miała na sumieniu coś jeszcze. Klacz, na której jechała, ubranie, które miała na sobie, dom, w którym mieszkała, wykształcenie i obycie, jakie uzyskały przez te lata i ona, i Lisa, wszystko to opłacone zostało kradzionymi dolarami. Z punktu widzenia

prawa podatkowego zaliczała się do największych aferzystów w dziejach. Gdyby zaszła taka konieczność, skłonna była za to wszystko odpokutować. Ale co z Lisa? Jak tamtego dnia na cmentarzu, rozbrzmiały jej w uszach wymaginowane słowa Benny'ego Tylera: „Zrób to dla Dużego Tatusia. Czy ja cię kiedyś okłamałem, laleczko? Tatuś cię kocha”.

Zatrzymała Joy, ukryła twarz w dłoniach i myślała:

„Lisa, słoneczko, całe twoje życie to jedno wielkie kłamstwo. Urodziłaś się w lesie, w przyczepie kempingowej, bo na wydanie cię na świat gdzie indziej nie było mnie stać. Twój ojciec był obibokiem bez centa przy duszy i zamordowano go przez narkotyki. Ja pracowałam jako kelnerka w zajeździe dla ciężarówek w Rikersville w Georgii. Zabierałam cię ze sobą do pracy i upychałam pod bufetem. Zabiłam człowieka i uciekłam przed policją. Mamusia ukradła wszystkie te pieniądze, a było ich więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Za te pieniądze kupione zostało wszystko, co teraz mamy. Czy mamusia cię kiedyś okłamała, laleczko? Mamusia cię kocha”.

LuAnn zsiadła powoli z klaczy, opadła na wielki głaz sterczący z ziemi i pogrzyżyła się w zadumie. Dopiero po paru minutach rozejrzała się błędnie dokoła.

Wstała, schyliła się i zaczerpnęła z ziemi garść kamyczków. Zaczęła ciskać nimi bezmyślnie w mały staw, posyłając coraz dalej gibkimi ruchami nadgarstka. Nie było już dla niej odwrotu. Nie miała do czego wracać. Za swoje nowe życie zapłaciła przerażająco wielką cenę. Fikcją była teraz cała jej przeszłość, a więc i przyszłości nie mogła być pewna. Jej codzienna egzystencja oscylowała pomiędzy lękiem, że na jaw wyjdzie jej rzeczywista tożsamość, a ogromnym poczuciem winy. Ale robi wszystko, by Lisa nie ucierpiała na skutek dawnych – i przyszłych – postępków swojej matki. Cokolwiek się stanie, jej córeczka nie będzie przez nią cierpiała.

Dosiadła znowu Joy i ruszyła kłusem. Zwolniła dopiero pod nisko wiszącymi gałęziami. Zatrzymała klacz na skraju szlaku i wpatrzyła się w kipiel wezbranego strumienia, który rwał wartkim nurtem przez jej posiadłość. Ulewne deszcze i topniejący w górach wczesny śnieg zmieniły tę łagodną zazwyczaj strugę w niebezpieczny potok. Wycofała Joy znad brzegu i ruszyła dalej.

Dziesięć lat temu, po wylądowaniu w Londynie, wsiedli od razu z Charliem i Lisa w samolot do Szwecji. Jackson nakreślił im szczegółową marszrutę na pierwszych dwanaście miesięcy i nie śmieli od niej odstąpić. Po sześciu miesiącach włączyli po zachodniej Europie osiedli na kilka lat w Holandii, by następnie wrócić do Skandynawii, gdzie wysoka, jasnowłosa kobieta nie wyróżniała się z tłumu. Potem mieszkali jakiś czas w Monako i w sąsiednich krajach. Ostatnie dwa lata spędzili w Nowej Zelandii, wiodąc tam spokojne, cywilizowane i nawet troszkę staromodne życie. Dla Lisy, chociaż znała biegle kilka języków, podstawowy był angielski. Pod tym względem LuAnn była stanowcza, bo choć tyle czasu spędziła poza granicami kraju, nadal czuła się Amerykanką.

Całe szczęście, że Charlie był wytrawnym podróżnikiem. To dzięki niemu kilkakrotnie uniknęli totalnej katastrofy. Z Jacksonem nie mieli żadnego kontaktu, ale oboje czuli, że ten wie,

iż Charlie towarzyszy LuAnn. I dzięki Bogu, że przy niej był. LuAnn pozostawiona samej sobie zginęłaby w wielkim świecie. I teraz nie dałaby sobie bez niego rady. A Charlie się starzał. Wzdrygnęła się na myśl, że kiedyś może go zabraknąć. Że pewnego dnia odejdzie człowiek, który zna jej sekret i kocha zarówno ją, jak i Lisę. Charlie był im bezgranicznie oddany i kiedy dobiegnie kresu jego życie, kiedy otworzy się ta pustka... LuAnn odetchnęła głęboko.

Nowe tożsamości, spreparowane dla niej i dla Lisy przez Jacksona co prawda z trudem, określiły się same przez się z biegiem czasu. Jak dotąd najtrudniej szło z Lisa. Dziewczynka wierzyła, że jej ojcem był bogaty europejski finansista, który poza nimi nie miał żadnej innej rodziny i umarł wkrótce po jej przyjściu na świat. Charliego, choć jego rola nadal pozostawała nie do końca wyjaśniona, uważała za członka rodziny i nazywała wujkiem. Brak jakichkolwiek fotografii pana Savage'a LuAnn wyjaśniła Lisie tym, że ojciec był bardzo skryty, nawet trochę ekscentryczny, i nie pozwalał się fotografować. Długo zastanawiali się z Charliem nad stworzeniem postaci jakiegoś mężczyzny z pamiątkowymi fotografiami i w ogóle, ale doszli do jednomyślnego wniosku, że to zbyt niebezpieczne. Lepiej nie przeciągać struny. Tak więc Lisa uważała swoją matkę za młodą wdowę po bardzo zamożnym człowieku, którego majątek uczynił z niej jedną z najbogatszych kobiet świata. I jedną z najszczodrzejszych.

Beth, swojej dawnej koleżance z pracy, LuAnn wysłała sumę wystarczającą na otwarcie własnej sieci restauracji. Johnny Jarvis z centrum handlowego dostał tyle, że mógł podjąć studia w jednym z najbardziej prestiżowych uniwersytetów. Rodzice Duane'a byli teraz zabezpieczeni finansowo do końca swych dni. LuAnn, dręczona wyrzutami sumienia, że zepsuła dziewczynie reputację w miejscu, z którego ta nie miała ambicji ani odwagi się wyrwać, wysłała pieniądze nawet Shirley Watson. Miejsce spoczynku matki LuAnn zdobił wreszcie okazały pomnik. LuAnn zdawała sobie sprawę, że policja wychodzi ze skóry, by ją poprzez te przekazy namierzyć, ale od tej strony nic jej nie groziło. Jackson dobrze zamaskował pieniądze, nie pozostawiając absolutnie żadnego śladu, po którym mogłyby trafić do niej władze.

Ponadto połowa jej rocznych dochodów przekazywana była anonimowo na liczne fundacje dobroczynne i inne szczytne cele, które wspólnie z Charliem typowali. Wciąż szukali nowych inicjatyw wartych wsparcia loteryjnymi pieniędzmi. Czyniąc to, LuAnn pragnęła przynajmniej częściowo zrehabilitować się za sposób, w jaki weszła w ich posiadanie. Ale pieniądze napływały tak szerokim strumieniem, że nie nadążali z ich rozdysponowywaniem. Inwestycje Jacksona przynosiły zyski większe, niż nawet on sam się spodziewał, i zamiast zapowiadanych dwudziestu pięciu milionów dywidendy rocznie, LuAnn każdego roku inkasowała ponad czterdzieści milionów. Wszystkie niewydane przez nią pieniądze były przez Jacksona ponownie inwestowane i pomnażane. Na kontach otwartych na jej nazwisko znajdowało się teraz prawie pół miliarda dolarów. Pokręciła głową na myśl o tej oszałamiającej sumie. A wkrótce miała jeszcze dostać z powrotem owe sto milionów wygrane na loterii. Upływał dziesięcioletni okres zapisany w kontrakcie, jaki zawarła z Jacksonem. LuAnn nie zależało na tych pieniądzach. Jackson mógł je sobie zatrzymać. Ona ich nie potrzebowała. Ale dostanie je. Musiała przyznać, że ten człowiek

nie rzucał słów na wiatr.

Przez wszystkie te lata co kwartał, obojętne, w jaki zakątek świata rzucił ją akurat los, dostawała szczegółowe sprawozdania finansowe. Ale przychodziły tylko papiery, Jackson nigdy osobiście się z nią nie skontaktował. Do każdej przesyłki z dokumentacją finansową dołączony był list od szwedzkiej firmy inwestycyjnej. Nie miała pojęcia, co łączy Jacksona z tą firmą, ani nie zamierzała tego dociekać. Wiedziała o nim wystarczająco dużo, by mieć zaufanie do jego rozeznania i zdawać sobie sprawę, do jakich skrajnych posunięć jest zdolny w pewnych sytuacjach. Pamiętała dobrze, że był przygotowany na to, by ją zabić, gdyby odrzuciła jego propozycję. Kojarzył się jej z czymś niezupełnie naturalnym. Moc, jaką miał, nie mogła pochodzić z tego świata.

Zatrzymała się pod rozłożystym dębem. Z jednego z konarów zwisała długa lina. LuAnn chwyciła ją i zaczęła się wspinać prosto z siodła. Joy, znająca już dobrze ten rytuał, stała spokojnie. LuAnn podciągnęła się sprawnie na wysokość trzydziestu stóp i spuściła z powrotem. Powtórzyła wspinaczkę dwa razy. W domu miała kompletnie wyposażoną salę gimnastyczną, w której regularnie ćwiczyła. Nie robiła tego z próżności; nie interesował jej specjalnie wpływ tych ćwiczeń na sylwetkę. Była z natury silna i ta fizyczna siła wielokrotnie pomogła jej wyjść obronną ręką z opałów. Chciała ją zachować.

W dzieciństwie wlaźła na niejedno drzewo, przeskoczyła niejedną rozpadlinę, niejedną milę przebiegła. Teraz także nie ograniczała się do ćwiczeń na przyrządach, lecz wytyczyła sobie na tych rozległych gruntach bardziej naturalną ścieżkę zdrowia. Napinając mięśnie ramion i karku, podciągnęła się na linie jeszcze raz.

Zdyszana, opuściła się lekko na siodło i zawróciła do stajni. Lżej już jej było na sercu, przejażdżka po okolicy i wysiłek fizyczny podniosły ją na duchu.

W wielkim magazynie obok stajni jeden z robotników, zwalisty mężczyzna po trzydziestce, zabierał się właśnie do rąbania drewna. LuAnn zauważyła go, przejeżdżając przed otwartymi wrotami. Zeskoczyła z Joy, odprowadziła ją szybko do boksu i wróciła do wrót magazynu. Mężczyzna, nie przerywając pracy, pozdrowił ją skinieniem głowy. Wiedział, że mieszka w rezydencji. Poza tym nie wiedział o niej nic. Obserwowała go przez chwilę, potem zdjęła kurtkę, wzięła spod ściany drugą siekierę, zważyła ją w ręku, ustawiła polano na pieńku, cofnęła się i wzięła szeroki zamach. Ostrze weszło głęboko, ale nie rozłupało polana. Uderzyła jeszcze raz i jeszcze. Polano pękło na dwoje. Mężczyzna popatrzył na nią zdziwiony, wzruszył ramionami i kontynuował robotę. Machali oboje siekierami oddaleni od siebie o trzy kroki. Mężczyzna rozłupywał polano jednym uderzeniem, LuAnn potrzebowała na to dwóch, a czasem trzech. Uśmiechnął się do niej, pot występował mu na czoło. A ona waliła dalej, starając się zharmonizować pracę rąk i barków. Po pięciu minutach rozrąbywała już polano jednym uderzeniem, a zanim się obejrzał, robiła to szybciej od niego.

Mężczyzna podbił tempo. Pot zalewał mu oczy, nie uśmiechał się już, sapał. Po dwudziestu minutach ramiona zaczęły mu mdleć, dyszał ciężko, nogi miał jak z waty i do rozłupania polana

potrzebował dwóch albo i trzech uderzeń. Z rosnącym zdumieniem zerkał na pracującą obok w równym rytmie kobietę. Siła jej uderzeń ani trochę nie zmalała. Wprost przeciwnie, zdawała się rosnać. W końcu mężczyzna wypuścił siekiere z ręki i oparł się o ścianę. Jego brzuch wznosił się ciężko i opadał, ramiona zwisały bezwładnie, koszulę, pomimo chłodu, miał przepoconą. LuAnn dokończyła swój stos polan i nie gubiąc rytmu, zabrała się do rąbania tego, co zostało z jego stosu. Uporawszy się i z tym, otarła czoło, odstawiła siekiere pod ścianę i potrząsając dla rozluźnienia mięśni rękami, popatrzyła na zasapanego mężczyznę.

– Silny jesteś – powiedziała, wkładając z powrotem kurtkę i zerkając na jego urobek.

Popatrzył na nią zaskoczony, a potem wybuchnął śmiechem.

– Też tak myślałem, zanim pani tu weszła. Teraz jestem już prawie zdecydowany przenieść się do pracy w kuchni.

Poklepała go z uśmiechem po ramieniu. Rąbała drewno codziennie od pierwszej klasy szkoły podstawowej do ukończenia szesnastu lat. Nie robiła tego, jak teraz, dla zabawy. Wtedy robiła to dla rozgrzewki.

– Uszy do góry, mam w tym wprawę.

Wracając do domu, podziwiała tylną fasadę rezydencji. Kupno i renowacja tego domu były jej największą, jak dotąd, ekstrawagancją. A zdecydowała się na nią z dwóch powodów. Po pierwsze, zmęczyły ją już podróże i chciała gdzieś osiąść, chociaż bardziej odpowiadałoby jej coś o wiele mniej okazałego od tego, na co teraz patrzyła. Drugi, i ważniejszy, powód był ten sam od lat: Lisa. Pragnęła stworzyć jej prawdziwy dom, dać poczucie stabilizacji, miejsce, gdzie będzie dorastała, gdzie wyjdzie za mąż i urodzi własne dzieci. Przez ostatnie dziesięć lat mieszkały w hotelach, wynajętych willach i domach. Owszem, były to zawsze rezydencje luksusowe, ale żadnej nie dało się nazwać domem. Większy sentyment czuła do tamtej maleńkiej przyczepy kempingowej pośród lasu. Teraz zamieszkali tutaj. LuAnn uśmiechnęła się, ogarniając wzrokiem dom: duży, piękny, bezpieczny...

Bezpieczny? Zadygotała, bo w tym momencie podmuch zimnego wiatru wdarł się jej pod kurtkę. Wczoraj kładli się do łóżek bezpieczni, a przynajmniej w takim stopniu, w jakim bezpieczny może się czuć ktoś prowadzący taki jak oni tryb życia. Przed oczami stanęła jej twarz mężczyzny z hondy. Zacisnęła mocno powieki i nie otworzyła ich, dopóki ta wizja się nie rozwiała. Jednak jej miejsce zajął inny obraz. Miała przed sobą twarz mężczyzny, w której odbijały się przeżywane emocje. Matthew Riggs ryzykował dla niej życie, a ona w zamian zarzuciła mu kłamstwo. I czyniąc to, wzbudziła w nim tylko podejrzliwość. Po chwili zastanowienia puściła się biegiem w stronę domu.

Gabinet Charliego przypominał londyński klub dla dżentelmenów. W rogu stał wspianały, lśniący barek z drewna orzechowego. Na robionym na zamówienie mahoniowym biurku piętrzyły się starannie posegregowane stosy listów, rachunków i innej domowej dokumentacji. W pudełku na wizytówki LuAnn znalazła tę, o którą jej chodziło. Potem wzięła z półki kluczyk i otworzyła nim szufladę biurka. Wyjęła z niej rewolwer kalibru trzydzieści osiem, załadowała go i

zabrała ze sobą na górę. Ciężar broni przywrócił jej pewność siebie. Wzięła prysznic, włożyła czarną spódnicę i sweter, narzuciła na siebie płaszcz i zbiegła do garażu. Jadąc prywatną drogą, zaciskała dłoń na kolbie pistoletu tkwiącego w kieszeni płaszczka i rozglądała się czujnie za hondą, która mogła się tu gdzieś czaić. Skrećiwszy w główną szosę, odetchnęła z ulgą. Zerknęła na adres i numer telefonu na wizytówce. Może najpierw zadzwonić? Wahała się przez chwilę z ręką nad telefonem, w końcu postanowiła zdać się na przypadek. Może i lepiej będzie, jeśli go nie zastanie. Nie wiedziała, czy to, co chce zrobić, pomoże, czy jeszcze bardziej skomplikuje sytuację. Ale zawsze przedkładała działanie nad pasywność i nie mogła się już cofnąć. Poza tym był to jej, i tylko jej, problem. Prędzej czy później i tak musiałyby się z nim zmierzyć. Nie ucieknie przed tym.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Jackson wrócił właśnie z podróży na drugi koniec kraju i siedział w swojej charakterystycznej, pozbywając się najnowszego wcielenia, kiedy zadzwonił telefon. Był to aparat podłączony do jego służbowej, bezpiecznej linii i prawie nigdy nie dzwonił. Jackson używał go często do przekazywania precyzyjnych instrukcji swoim współpracownikom z całego świata. Ale do niego nikt prawie nigdy nie dzwonił; i tak miało być. Znał mnóstwo innych sposobów na sprawdzanie, czy jego instrukcje są wypełniane. Sięgnął szybko po słuchawkę.

– Tak?

– Wydaje mi się, że mamy mały problem, ale mogę się mylić – poinformował go bez wstępów głos.

– Słucham. – Jackson długą nitką podważył i ściągnął modelinę z nosa. Potem, pociągając lekko za krawędzie, odkleił sobie od twarzy lateksowe policzki.

– Jak panu wiadomo, dwa dni temu przekazaliśmy telegraficznie zysk z ostatniego kwartału na kajmańskie konto Catherine Savage. Do Banque Internacional. Jak zawsze.

– No i? Nie odpowiada jej wysokość wpływu? – spytał z sarkazmem Jackson. Uchwycił mocno tylny brzeg śnieżnobiałej peruki, odciągnął ją i zsunął w przód. Następnie zdjął lateksowy czepek, uwalniając spod niego własne włosy.

– Nie, ale telefonowali do mnie z działu przelewów Banque z potwierdzeniem.

– Czego? – Jackson patrzył w lustro i słuchając, zmywał sobie warstwa po warstwie charakterystycję z twarzy.

– Że przelali wszystkie pieniądze z konta Savage na konto w nowojorskim oddziale Citibanku.

Nowy Jork! Przyswajając sobie tę niebywałą wiadomość, Jackson otworzył usta i przystąpił do zdejmowania koronek. Krzywe, pożółkłe zęby jeden po drugim prostowały się i białły. W pewnym momencie ze złowieszczym błyskiem w oku przerwał usuwanie charakterystycji.

– Po pierwsze, dlaczego dzwoniли do ciebie, skoro to jej konto?

– Sam się dziwię. To znaczy, nigdy dotąd tego nie robili. Ten człowiek z ich działu przelewów był chyba nowy. Zobaczył pewnie moje nazwisko i numer telefonu w jakichś dokumentach i wziął mnie za pełnomocnika przypisanego do konta docelowego, a nie źródłowego.

– Co mu powiedziałeś? Mam nadzieję, że nic, co mogłoby wzbudzić jakieś podejrzenia.

– Nie, nic z tych rzeczy. – W głosie pojawiła się nutka nerwowości. – Podziękowałem mu tylko i zapewniłem, że wszystko jest w porządku. Chyba dobrze zrobiłem. Zgłaszam to panu od razu, bo sprawa nie jest typowa.

– Dziękuję ci.

– Mam przedsięwziąć jakieś kroki?

– Sam się tym zajmę. – Jackson odłożył słuchawkę.

Siedział przez chwilę zamyślony, bawiąc się peruką. Żadna z transzy pieniędzy przekazywanych LuAnn pod żadnym pozorem nie miała prawa trafić do Stanów Zjednoczonych. Umowa zawarta z urzędem podatkowym zobowiązywała tu banki do ujawniania sald i wpływów na konta. Urząd dostawał z banków numer ubezpieczenia społecznego każdego wpłacającego i przechowywał go w oficjalnej dokumentacji. Banki żądały od podatnika zaświadczeń o niezaleganiu z podatkami, wystawionych przez urząd podatkowy. W przypadku LuAnn coś takiego nie wchodziło w rachubę. LuAnn Tyler była zbiegiem. Zbiegowie nie wracają do ojczyzny i nie zaczynają płacić podatków, nawet pod przybranymi nazwiskami.

Sięgnął znowu po słuchawkę i wybrał numer.

– Tak, słucham pana? – odezwał się ktoś.

– Chodzi o podatniczkę nazwiskiem Catherine Savage – powiedział Jackson. Podał numer ubezpieczenia społecznego i inne niezbędne dane. – Sprawdź natychmiast, czy do urzędu podatkowego wpłynęło ostatnio jej zeznanie podatkowe albo jakiegokolwiek inne dokumenty. Wykorzystaj wszelkie źródła, jakimi dysponujesz. Muszę mieć te informacje najdalej za godzinę.

Rozłączył się i z przenośnym telefonem w ręku oraz w słuchawkach na głowie zaczął spacerować po swoim wielkim apartamencie.

Telefon zadzwonił po trzech kwadransach.

– Catherine Savage złożyła zeznanie podatkowe za ubiegły rok – oznajmił ten ktoś suchym głosem. – Miałem za mało czasu, żeby zbadać sprawę dogłębnie, ale moje źródło twierdzi, że deklarowany dochód był znaczny. Powiadomiła też ostatnio urząd podatkowy o zmianie miejsca zamieszkania.

– Podaj mi aktualne. – Jackson zanotował na karteczce adres w Charlottesville w stanie Wirginia i schował ją do kieszeni.

– Jeszcze jedno – powiedział jego rozmówca. – Moje źródło natrafiło na złożony niedawno wniosek o udostępnienie kopii zeznania podatkowego Savage za ubiegły rok.

– Ona go złożyła?

– Nie. To był druk numer dwa tysiące osiemset czterdzieści osiem, który upoważnia osobę trzecią do reprezentowania podatnika we wszystkim, co ma związek z płaconymi przez niego podatkami.

– Kim była ta osoba trzecia?

– Gość nazwiskiem Thomas Jones. Z dokumentacji wynika, że otrzymał już żądane informacje w jej sprawie, łącznie z nowym adresem i wysokością podatku odprowadzonego za ubiegły rok. Zdobyłem kopię druku, który złożył. Mogę ją panu przefaksować.

– Czekam.

Jackson rozłączył się i po chwili trzymał już w ręce faks. Przyjrzał się złożonemu u dołu formularza podpisowi Catherine Savage. Wyciągnął oryginały umowy w sprawie wygranej na

loterii, podpisane przed dziesięcioma laty przez LuAnn. Charaktery pisma nie były nawet podobne. Ale urząd podatkowy, będąc instytucją ociężałą, nie zwracał sobie głowy porównywaniem podpisów. Fałszerstwo. Człowiek ten, kimkolwiek był, złożył wniosek bez wiedzy LuAnn. Jackson spojrział na adres i numer telefonu Toma Jonesa, które ten wpisał do wniosku. Zadzwoił pod ten numer. Okazało się, że jest odłączony. Zamiast adresu Jones podał numer skrytki pocztowej. Jackson był przekonany, że to również ślepa uliczka. Jakiś człowiek, nie wiadomo kto, znał teraz sytuację majątkową Catherine Savage i jej aktualny adres.

Ale nie to najbardziej zirykowało Jacksona. Usiadł w fotelu i zapatrzywszy się w ścianę, zaczął analizować sytuację. LuAnn, pomimo że jej tego zakazał, wróciła do Stanów Zjednoczonych. Nie posłuchała go. Jakby tego było mało, ktoś się nią wyraźnie interesował. Dlaczego? Gdzie jest teraz ta osoba? Prawdopodobnie tam, gdzie wybierał się Jackson: w Charlottesville w stanie Wirginia.

Dwa pędzące kursem na zderzenie pociągi zbliżały się do siebie. Kolidacja z LuAnn Tyler stawała się coraz bardziej prawdopodobna. Jackson wrócił do charakteryzatorni. Pora wcielić się w kolejną postać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Odprowadziwszy Lisę pod same drzwi klasy, jak to zawsze czyniła LuAnn, Charlie wrócił do zostawionego na parkingu rangę rovera i pojechał do miasteczka. LuAnn nie ruszała się prawie ze swojej górskiej fortecy i przez ostatnie miesiące wszystkie sprawy załatwiał on. Spotykał się z prominentnymi mieszkańcami miasteczka, nawiązywał kontakty z przedstawicielami miejscowego biznesu, instytucji charytatywnych, uniwersytetu. Doszli z LuAnn do wniosku, że nie ma sensu ukrywać jej zamożności ani obecności w tym małym, lecz prężnym mieście, bo takim postępowaniem ściągnęliby tylko na siebie uwagę. I tak Charliemu przypadło zadanie przygotowania gruntu pod ewentualne wejście LuAnn w krąg towarzyski lokalnej elity. Miała się w nim jednak udzielać w bardzo ograniczonym zakresie. Każdy wie, jak na zachowaniu prywatności zależy ludziom bogatym. A ponieważ działało tu wiele organizacji liczących na darowizny LuAnn, można się było spodziewać, że jej niechęć do afiszowania się spotka się z ogólnym zrozumieniem. Kranik już się zresztą otworzył. LuAnn przeznaczyła w sumie ponad sto tysięcy dolarów na rozmaite lokalne cele. Charlie pokręcił ze znużeniem głową. Wszystkie te podchody, strategie i co tam jeszcze. Ciężkie jest życie bogacza. Zdarzało mu się z nostalgią wspominać stare dobre czasy. Parę dolców w kieszeni, piwo za rogiem i paczka fajek pod ręką. Uśmiechnął się. Przed ośmiu laty LuAnn zmusiła go w końcu do rzucenia tego zgubnego nałogu. Ale dostał pozwolenie na zapalenie od czasu do czasu cygara. Aż tak bezwzględna nie była.

Dotychczasowe sesje integrowania się z elitą Charlottesville zaowocowały jednym bardzo przydatnym kontaktem, z którego Charlie zamierzał teraz wydobyć informacje niezbędne do namierzenia prześladowcy LuAnn i zażegnania, jeśli to możliwe, rodzącego się problemu. Jeśli temu człowiekowi chodzi tylko o pieniądze, to nie ma sprawy. Pieniądze to małe piwo. Pieniądzy LuAnn ma w bród, wystarczy ich, by zaspokoić apetyty nawet najbardziej zachłannego szantażysty. Ale jeśli nie o pieniądze chodzi? Sęk w tym, że nie wiadomo, ile ten człowiek wie. Wymienił prawdziwe nazwisko LuAnn, ale czy wiadomo mu również o zabójstwie Duane'a Harveya i jego związku z LuAnn? O wydanym przed dziesięciu laty nakazie jej aresztowania? I jak wytropił LuAnn po tylu latach? Następne pytanie było jeszcze bardziej krytyczne: Czy ten człowiek wie o ustawieniu loterii? LuAnn opowiedziała Charliemu o człowieku, który przedstawił się jej jako Tęcza. Ten Tęcza mógł to wydedukować. Śledził ją, widział, jak kupowała kupon loterii, jak potem wyjechała do Nowego Jorku i wygrała fortunę. Czy zorientował się, że był to przekręt? I czy podzielił się z kimś swoim odkryciem? LuAnn nie mogła tego wiedzieć.

I co się stało z Tęczą? Charlie oblizał nerwowo usta. Właściwie wcale nie znał Jacksona, nigdy go nie widział. Ale rozmawiał z nim często, kiedy dla niego pracował. Jackson miał głos całkiem zwyczajny: spokojny, opanowany, bezpośredni, pewny siebie. Charlie znał takich ludzi.

To nie był głos blagiera, kogoś, kto więcej mówi, niż robi. To był głos człowieka, który patrzy rozmówcy prosto w oczy, mówi wprost, bez fanfar i rozwodzenia się, co chce zrobić, a potem zwyczajnie to robi. Ludzie tego pokroju potrafią człowieka wypatroszyć i nie spędzi im to snu z powiek. Charlie dawno już doszedł do wniosku, że do takich właśnie ludzi zalicza się Jackson. Chociaż twardy i silny, Charlie wzdrygnął się lekko. Gdziekolwiek znajduje się teraz Tęcza, to z pewnością nie wśród żyjących. Prowadził rangę rovera zatopiony w myślach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Lu Ann skręciła w podjazd i zatrzymała wóz przed frontem. Nie widziała nigdzie pickupa. Prawdopodobnie Riggs objeżdżał prowadzone przez jego firmę budowy. Jednak uroda domu Matta Riggsa tak ją urzekła, że zamiast odjechać, wysiadła z BMW i wstąpiła na drewniane schodki. Piękne linie starego budynku, widoczna dbałość i fachowość, z jaką go odrestaurowano, sprawiły, że nie mogła się powstrzymać od obejrzenia posesji nawet pod nieobecność właściciela.

Obeszła szeroką werandę, sunąc ręką po misternie rzeźbionej drewnianej balustradzie. Otworzyła siatkowe drzwi i zapukała do drzwi frontowych, ale nie doczekała się odpowiedzi. Po chwili wahania spróbowała przekręcić gałkę. Nie napotkała oporu. Tam, gdzie dorastała, ludzie też nie zamykali drzwi na klucz. Dobrze wiedzieć, że są jeszcze miejsca na świecie, gdzie się tego nie robi. Zawahała się znowu. Nie wypada wchodzić do czyjegoś domu bez wiedzy właściciela. Ale gdzie jest powiedziane, że on się o tym dowie? Może uda jej się zdobyć jakieś bliższe informacje na jego temat, coś, co mogłoby jej potem pomóc w wyplątaniu się z potencjalnych kłopotów.

Pchnęła drzwi, weszła i cicho zamknęła je za sobą. Living room miał podłogę z rozmaitej szerokości starych dębowych desek. Wnętrze zachwycało prostotą umeblowania i przemyślanym rozmieszczeniem sprzętów, z których każdy znajdował się w doskonałym stanie. Ciekawe, czy Matt Riggs sam je odrestaurował? Przechodziła z pokoju do pokoju, zatrzymując się tu i tam, by podziwiać kunszt tego człowieka. Od niektórych mebli bił lekki zapach politur. Wszędzie panował ład i porządek. Nie zauważyła jak dotąd żadnych rodzinnych fotografii: ani żony, ani dzieci. Nie wiedzieć czemu uznała to za dziwne. Zajrzała do gabinetu. Podeszła na palcach do stojącego tam biurka i zamarła. Wydało jej się, że usłyszała szmer dobiegający z głębi domu. Serce zabiło jej mocniej, przygotowała się do ucieczki. Szmer się jednak nie powtórzył. Uspokojona usiadła za biurkiem. Jej wzrok padł na kartkę, na której Riggs coś zapisał. Widniało tam jej nazwisko i garść danych na jej temat, a poniżej na temat hondy. Zerknęła na zegarek. Riggs nie należał najwyraźniej do ludzi zasypiających gruszki w popiele. I potrafił zdobywać informacje. Niedobrze. LuAnn spojrzała w okno wychodzące na podwórko za domem i drgnęła. Drzwi stojącej tam konstrukcji przypominającej stodołę były uchylone. Odniosła wrażenie, że coś się tam przed chwilą poruszyło. Wstała, wsunęła rękę do kieszeni płaszcza, ścisnęła kolbę rewolweru i ruszyła do drzwi frontowych.

Kiedy jednak znalazła się z powrotem na werandzie, ciekawość wzięła górę i zamiast skierować się do swojego samochodu, podkrađła się do drzwi stodoły i zajrzała do środka. Wnętrze tonęło w blasku zapalonego górnego światła. Mieścił się tu warsztat i magazyn. Tylu narzędzi, zapasów drewna i innych materiałów zgromadzonych w jednym miejscu LuAnn

jeszcze nie widziała. Wśliznęła się do środka i zauważyła w głębi schody prowadzące na stryszek, na którym kiedyś przechowywano pewnie siano. Ale Riggs nie hodował raczej żadnych zwierząt, a więc siano nie było mu potrzebne. Ciekawe, na co wykorzystał poddasze.

Weszła powoli po schodkach. Zatrzymała się, zdumiona, na ostatnim stopniu. Na stryszku urządzono mały gabinet i obserwatorium. Dwie półki na książki, wytarty skórzany fotel i otomana, starodawny żelazny piecyk. W rogu stał zabytkowy teleskop nakierowany na wielkie okno wycięte w dachu i wychodzące na tyły stodoły. Podeszła do tego okna, wyjrzała i serce podskoczyło jej do gardła. Za stodołą stał pickup Riggsa.

Odwróciła się, żeby zbiec po schodach i znieruchomiła na widok wymierzonej w siebie strzelby.

Riggs poznał ją i opuścił powoli broń.

– Co pani tu, u licha, robi?

Próbowała go ominąć, ale chwycił ją za ramię. Wyrwała mu się.

– Śmiertelnie mnie pan przestraszył – wyrzuciła z siebie.

– Przepraszam, ale co pani tu robi?

– Zawsze tak wita pan gości?

– Moi goście wchodzi zazwyczaj drzwiami frontowymi i dopiero wtedy, kiedy im otworzę. –

Rozejrzał się. – To z pewnością nie są moje drzwi frontowe i nie przypominam sobie, żebym panią zapraszał.

LuAnn odsunęła się, zdeprimowana jego gniewną miną.

– Bardzo dobre miejsce do kontemplacji. Mógłby mi pan urządzić coś takiego w moim domu?

Riggs oparł się o ścianę. Strzelbę trzymał nadal opuszczoną, ale gotów był w każdej chwili ją poderwać.

– Może lepiej wstrzyma się pani z następnymi zleceniami do czasu, kiedy zobaczy, jak wyszło mi ogrodzenie, pani Savage.

Na dźwięk swego nazwiska udała zaskoczenie, ale Riggs nie dał się zwieść.

– No i co, znalazła pani w moim biurze coś ciekawego prócz informacji, jakie o pani zebrałem?

Spojrzała na niego z jeszcze większym respektem.

– Jestem trochę przewrażliwiona na punkcie prywatności.

– Zauważyłem. To dlatego nosi pani broń?

LuAnn spuściła wzrok na swoją kieszeń. Rewolwer wyraźnie ją wypychał.

– Spostrzegawczy pan.

– Z trzydziestką ósemką wiele pani nie zwojuje. Jeśli naprawdę tak pani zależy na prywatności i bezpieczeństwie, radzę ją wymienić na dziewięćmilimetrowca. – Drgnęła mu ręka, w której trzymał strzelbę. – Coś pani powiem. Proszę wyjąć ten rewolwer za lufę, a ja odłożę moją strzelbę.

– Nie zamierzam do pana strzelać.

– I bardzo dobrze – odparł spokojnie. – Proszę zrobić, jak mówię, pani Savage. Tylko bardzo powoli.

LuAnn wyciągnęła rewolwer za lufę.

– Teraz proszę go rozładować i schować naboje do jednej kieszeni, a broń do drugiej. Ale bez kantów, umiem jeszcze zliczyć do sześciu.

LuAnn, patrząc na niego gniewnie, zastosowała się do poleceń.

– Nie przywykłam, żeby traktowano mnie jak kryminalistkę.

– Traktuję panią tak, jak sobie na to zasłużyła, włamując się do mojego domu z bronią. Ma pani szczęście, że nie zacząłem strzelać bez ostrzeżenia. Śrut bardzo źle wpływa na skórę.

– Ja się nie włamałam. Drzwi były otwarte.

– Niech pani spróbuje wyjechać z tym przed sądem – odparował.

Upewniwszy się, że rozładowała rewolwer, Riggs złożył strzelbę i odłożył ją na półkę. Potem splótł ręce na piersi i wbił wzrok w LuAnn.

– Krąg moich przyjaciół jest bardzo wąski – wybąkała, trochę zdeprimowana. – Każdy, kto się do niego wdziera, wzbudza moje zainteresowanie.

– Ciekawa rzecz. Moja dzisiejsza interwencja to według pani wdzieranie się, a według mnie klasyczne przyjście z odsieczą.

LuAnn odgarnęła z twarzy pasemko włosów i uciekła ze wzrokiem w bok.

– Panie Riggs...

– Przyjaciele mówią mi Matt. Nie jesteśmy, co prawda, przyjaciółmi, ale może się pani tak do mnie zwracać.

– Wolę Matthew. Nie chcę łamać pańskich zasad.

– Pani sprawa.

– Wiem od Charliego, że byłeś policjantem.

– Nic takiego mu nie mówiłem.

Spojrzała na niego zmieszana.

– Więc byłeś czy nie?

– Nie pani interes, kim byłem. Chciałem zauważyć, że nadal nie wiem, co pani tu robi.

Przesunęła dłonią po oparciu starego skórzanego fotela. Zwlekała z odpowiedzią, a Riggs nie przerywał ciszy, jaka zapadła.

– To, co się dziś rano wydarzyło, jest bardziej skomplikowane, niż mogłoby się wydawać – odezwała się w końcu. – Sama to wyjaśnię. – Urwała i poszukała wzrokiem jego oczu. – Doceniam to, co zrobiłeś. Pomogłeś mi, a nie musiałeś. Przyszłam ci podziękować.

Riggs rozluźnił się trochę.

– Nie ma za co. Potrzebowała pani pomocy, a ja akurat tam byłem. Normalny ludzki odruch. Świat byłby o wiele lepszy, gdyby wszyscy tak reagowali.

– Przyszłam również prosić cię o coś.

Riggs przekrzywił głowę, czekał.

– Byłabym wdzięczna, gdybyś zapomniał o dzisiejszym incydencie. Jak już powiedziałam, wyjaśnimy go z Charliem sami. Wtrącając się, możesz nam to utrudnić.

– Zna pani tego faceta? – spytał po chwili zastanowienia Riggs.

– Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać.

Riggs potarł brodę.

– Widzi pani, gość mnie stuknął. A więc sprawa jakby i mnie dotyczy.

LuAnn przysunęła się bliżej.

– Wiem, nie znasz mnie, ale bardzo mi zależy, żebyś dał sobie z tym spokój. Naprawdę. – Z każdym słowem jej oczy robiły się coraz większe.

Riggs odniósł wrażenie, że coś go do niej przyciąga, choć fizycznie nie ruszył się z miejsca. Wpijała się wzrokiem w jego twarz. Słoneczne światło wpadające przez okno w dachu przygasło jak podczas zaćmienia.

– Umówmy się tak: jeśli ten facet nie wejdzie mi więcej w drogę, zapomnę, co się stało.

Lu Ann odprężyła się wyraźnie.

– Dziękuję.

Ominęła go i podeszła do schodów. Zaleciał go zapach jej perfum. Skóra zaczęła go mrowić. Dawno już nie doświadczył tego uczucia.

– Piękny masz dom – powiedziała.

– Nie umywa się do pani rezydencji.

– Sam tu wszystko robiłeś?

– Prawie. Mam do tego smykałkę.

– Może wpadłbyś do nas jutro. Zastanowilibyśmy się, co mógłbyś jeszcze u mnie zrobić.

– Pani Savage...

– Proszę mi mówić Catherine.

– Catherine, nie musisz kupować sobie mojego milczenia.

– Około południa? Będę czekała z lunchem.

Riggs popatrzył na nią badawczo i wzruszył ramionami.

– Mogę wpaść.

Kiedy była w połowie schodów, zawołał jeszcze za nią:

– Nie spodziewaj się, że ten gość z hondy ci odpuści. Obejrzała się i jej wzrok, zanim spoczął na jego twarzy, zatrzymał się na chwilę na strzelbie.

– Wcale się tego nie spodziewam, Matthew.

– Tak, to szlachetny cel, John, a ona lubi takie wspierać. – Charlie oparł się wygodnie i sięgnął po filiżankę z kawą. Siedział przy oknie w jadalni zajazdu „Pod Niedźwiedzim Łbem” przy Ivy Road, kawałek na zachód od Uniwersytetu Stanu Wirginia. Na stoliku stały dwa talerze z resztkami niedojedzonego śniadania. Mężczyzna zajmujący miejsce naprzeciwko rozpromienił

się.

– Nawet sobie nie wyobrażacie, ile znaczący dla naszej społeczności. Cudownie mieć tutaj was dwoje. – Falistowłosey John Pemberton ubrał się dzisiaj w drogi dwurzędowy garnitur, z którego butonierki wystawała kolorowa chusteczka stanowiąca komplet z krawatem w groszki. Był jednym z najlepiej prosperujących i ustosunkowanych agentów obrotu nieruchomościami w okolicy. Zasiadał również w radach licznych organizacji charytatywnych i lokalnych komitetów. Wiedział praktycznie o wszystkim, co się działo na tym terenie, i właśnie dlatego Charlie zaprosił go na śniadanie. Poza tym do kieszeni Pembertona trafiła sześcicyfrowa prowizja od sprzedaży domu dla LuAnn, co zaskarbiło jej i Charliemu jego dożgonną przyjaźń. Teraz spuścił oczy, a kiedy znowu podniósł na Charliego wzrok, na jego twarzy malowało się zakłopotanie.

– Nie możemy się doczekać, kiedy wreszcie poznamy bliżej panią Savage.

– Już niedługo, John, niedługo. Ona też bardzo chce was poznać. Ale musimy dać jej jeszcze trochę czasu. Rozumiesz, to osoba, która prywatność przedkłada ponad wszystko.

– Naturalnie, naturalnie, mnóstwo tu takich ludzi. Gwiazdy filmowe, literaci, bogacze, którzy nie wiedzą, co robić z pieniędzmi.

Przez wargi Pembertona przemknął mimowolny uśmiešek. Charlie domyślił się, że wywołała go nadzieja na sute prowizje od obrotu nieruchomościami w tej okolicy.

– Przez jakiś jeszcze czas będzie ci musiało wystarczyć moje towarzystwo – powiedział z uśmiechem.

– Bardzo miłe towarzystwo – odparł automatycznie Pemberton.

Charlie odstawił filiżankę i odsunął od siebie talerz. Gdyby nie rzucił papierosów, z rozkoszą by teraz zapalił.

– Zleciliśmy Mattowi Riggsowi wykonanie pewnych prac na terenie posiadłości.

– Tak, wiem. Ma stawiać ogrodzenie. To jego największy, jak dotąd, kontrakt.

Przechwyciwszy zdumione spojrzenie Charliego, Pemberton uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Charlottesville to mimo wszystko mała miejscina. Nic się tutaj nie ukryje.

Charliemu ciarki przeszły po plecach. Czyżby Riggs już komuś powiedział? Czyżby popełnili błąd, osiedlając się tutaj? Czy nie lepiej było wtopić się w siedmiomilionową masę mieszkańców Nowego Jorku?

Z trudem otrząsnął się z tych myśli i brnął dalej.

– Racja. Wracając do Riggsa, miał facet wspaniałe referencje.

– Bo to dobry, odpowiedzialny fachowiec. Co prawda nie mieszka tu długo, bo zaledwie pięć lat, ale nigdy nie słyszałem o nim złego słowa.

– Skąd tu ściągnął?

– Z Waszyngtonu. – Pemberton bawił się filiżanką.

– Tam też pracował w branży budowlanej?

Pemberton pokręcił głową.

– Nie, uprawnienia ogólnobudowlane uzyskał, mieszkając już tutaj.

– Ale w Waszyngtonie mógł terminować.

– Moim zdaniem on ma do tego wrodzony talent. Jest pierwszorzędnym cieślą, ale przez dwa lata terminował u Ralpa Steeda, jednego z najlepszych miejscowych budowlańców. Potem Ralph zmarł i Riggs rozkręcił własny interes. Dał się poznać z jak najlepszej strony. Solidny z niego gość. Należała mu się ta praca, jaką mu dałeś.

– Fakt. Ale swoją drogą, ma człowiek ikrę. Zjawić się tak pewnego pięknego dnia w obcym mieście i podjąć pracę w zupełnie nowym zawodzie. Bo nie przyjechał tu chyba świeżo po college'u?

– Nie. – Pemberton rozejrzał się po małej salce i zniżył głos. – Nie jesteś pierwszą osobą, którą zainteresowała przeszłość Riggsa.

Charlie nachylił się nad stolikiem, co spotęgowało atmosferę konspiracji.

– Naprawdę? Co, jakaś mała lokalna intryga? – spytał, siląc się na lekki, beztroski ton.

– To tylko plotki, a sam wiesz, jak jest z plotkami. Ale słyszałem z różnych źródeł, że Riggs zajmował w Waszyngtonie jakieś ważne stanowisko. – Dla lepszego efektu Pemberton zawiesił na chwilę głos. – W kręgach wywiadu.

Charlie zachował kamienną twarz, robił, co mógł, by nie zwrócić podchodzącego do gardła śniadania. LuAnn miała szczęście, stając się wybranką Jacksona, ale to szczęście równoważył chyba nieprawdopodobny pech.

– W wywiadzie, powiadasz? Był szpiegiem?

Pemberton wyrzucił w górę rękę.

– Kto go tam wie? Życie tych ludzi to jedna wielka tajemnica. Możesz ich torturować, a nie pisać słówka. W razie czego przegryza taki fiolkę z cyjankiem lub czymś takim i odpływa w mrok. – Pemberton najwyraźniej lubił dramat z elementami niebezpieczeństwa i intrygi, zwłaszcza na bezpieczną odległość. Charlie tarł lewe kolano.

– Ja słyszałem, że był gliniarzem.

– Kto ci to powiedział?

– Nie pamiętam. Obiło mi się gdzieś o uszy.

– Jeśli był policjantem, to łatwo to sprawdzić. Jeśli szpiegiem, to nie znajdziesz o tym nigdzie wzmianki, prawda?

– A więc nie mówił nikomu o swojej przeszłości?

– Tylko ogródkami. Pewnie stąd ta wersja, że był policjantem. Ludzie coś gdzieś zasłyszą, a resztę sami sobie dopowiadają.

– To ci numer. – Charlie wyprostował się, starając się zachować spokój.

– Ale budowlańcem jest doskonałym. Będziecie z niego zadowoleni. – Pemberton roześmiał się. – O ile nie zacznie węszyć. Bo wiesz, jeśli ktoś był szpiegiem, to podejrzewam, że trudno mu się pozbyć starych nawyków. Ja żyję uczciwie, ale jak to mawiają, każdy trzyma trupa w szafie, zgodzisz się ze mną?

Charlie odchrząknął.

– Niektórzy nawet więcej niż jednego – mruknął.

Znowu pochylił się nad stolikiem i splótł przed sobą dłonie. Chciał czym prędzej zmienić temat i miał do tego pretekst.

– Słuchaj, John – zagaił, zniżając głos. – Mam do ciebie prośbę.

Pemberton uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Śmiało, Charlie. Uważaj sprawę za załatwioną.

– Wczoraj odwiedził nas jakiś człowiek i poprosił o datek na fundację dobroczynną, którą jakoby kieruje.

Pemberton zeszywniał.

– Jak się nazywał?

– Nie pochodził stąd – powiedział szybko Charlie. – Przedstawił mi się, ale to chyba nie było jego prawdziwe nazwisko. Bardzo podejrzanie mi wyglądał, rozumiesz, w czym rzecz?

– Doskonale.

– Ktoś z pozycją pani Savage musi się mieć na baczności. Na świecie pełno różnych mętów.

– Myślisz, że nie wiem? Nóż się w kieszeni otwiera.

– Właśnie. W każdym razie gość powiedział, że zabawi jakiś czas w okolicy. Chciał się umówić na spotkanie z panią Savage.

– Mam nadzieję, że go z nią nie umówisz.

– Na razie tego nie zrobiłem. Zostawił numer telefonu, ale zamiejskowy. Zadzwoń.

Odpowiedziała automatyczna sekretarka.

– Jak się nazywała ta fundacja?

– Dokładnie nie pamiętam, coś związanego z badaniami medycznymi.

– Tak, to pole do popisu dla rozmaitej maści naciągaczy – powiedział ze znawstwem Pemberton. – Oczywiście nie mam żadnych doświadczeń z tego rodzaju wyłudzeniami – dorzucił szybko – ale słyszałem, że to plaga.

– W tym rzecz. No ale przejdźmy do sedna. Facet mówił, że pokreśli jakiś czas po okolicy, pomyślałem więc sobie, że mógł gdzieś tu wynająć jakieś lokum. W hotelu raczej się nie zatrzymał, bo to za drogo, zwłaszcza jeśli ktoś żyje od przekrętu do przekrętu.

– I interesuje cię, czy potrafię ustalić, gdzie się zatrzymał?

– Właśnie. Nie zwracałbym ci głowy, gdyby to nie było naprawdę ważne. W takich sprawach ostrożności nigdy za wiele. Chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia, na wypadek, gdyby znowu się pojawił.

– Oczywiście, oczywiście. – Pemberton upił łyżeczek herbaty. – Zajmę się tym. Możecie na mnie liczyć.

– Będziemy bardzo wdzięczni za pomoc. Wspominałem już pani Savage o paru innych fundacjach dobroczynnych, którymi kierujesz, i bardzo ją to zainteresowało. O tobie i twoim zaangażowaniu też pozytywnie się wyrażała.

Pemberton promieniał.

– Opisz mi tego człowieka. Dzisiejszy poranek mam wolny, mogę więc zacząć swoje małe śledztwo. Jeśli facet znajduje się w promieniu piętnastu mil stąd, to jestem pewien, że przy swoich koneksjach potrafię go odnaleźć.

Charlie opisał mu mężczyznę, położył na stoliku należność za posiłek i wstał.

– Nie zapomnimy ci tego, John.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Thomas Donovan jechał wolno nowo wynajętym wozem – ostatnim modelem chryslera – wypatrując miejsca do zaparkowania, o które w Georgetown niełatwo. Skręcił z M Street w prawo, w Wisconsin Avenue, i w końcu udało mu się znaleźć kawałek wolnej przestrzeni w jednej z bocznych uliczek. Kiedy wysiadał z samochodu, zaczął siąść kapuśniaczek. Miał stąd zaledwie parę kroków do spokojnego osiedla murowanych i drewnianych rezydencji, zajmowanych przez wysokiej rangi biznesmenów i przedstawicieli świata polityki. W oświetlonych oknach domów, które mijał, widział elegancko ubranych właścicieli wygrzewających się przed kominkami, sączących drinki, wymieniających przelotne pocałunki, jednym słowem relaksujących się przed kolejnym dniem urządzania świata albo zwyczajnego poszerzania zawartości i tak już pękających portfeli inwestycyjnych.

W enklawie tej występowała taka koncentracja bogactwa i władzy, że Donovan niemal wyczuwał to w powietrzu. Pieniądze i władza nigdy go nie pociągały. Ale z racji swojego zawodu miał często styczność z ludźmi niewyobrażającymi sobie bez nich życia. Był to wymarzony układ, by grać rolę altruistycznego cynika, i Donovan często go grał z tego prostego powodu, że naprawdę wierzył w sens swojej pracy. Nigdy jednak nie tracił z oczu ironii sytuacji. Bo kogo demaskowałby swym ciętym piórem, gdyby na świecie nie było możnych i potężnych, knujących swoje mroczne intrygi.

Zatrzymał się przed wspaniałą rezydencją. Był to stuletni, dwupiętrowy murowany dom oddzielony od ulicy wysokim do pasa ceglany murkiem, którego wierzchem bieгло pomalowane na czarno ogrodzenie z kutego żelaza w charakterystycznym dla tej dzielnicy stylu. Wsunął klucz w zamek furtki, przekręcił go i ruszył alejką w kierunku domu. Drugim kluczem otworzył masywne drewniane drzwi frontowe. Wszedł do środka, zdjął mokry płaszcz i oddał go pokojówce, która pojawiła się przy nim nie wiadomo skąd i kiedy.

– Powiem pani, że pan już jest, panie Donovan.

Kiwnął bez słowa głową i wszedł za nią do salonu. Grzał przez chwilę dłonie przy kominku, potem rozejrzał się z ukontentowaniem po pokoju. Pochodził z rodziny robotniczej, ale nie próbował nawet ukrywać, że lubi od czasu do czasu popławić się w luksusie. W młodości starał się z walczyć z tą ułomnością swojej natury, teraz już go tak nie drażniła. Z wiekiem człowiek dojrzewa i jak łuszcząca się cebula zaczyna zrzucać z siebie warstwa po warstwie uprzedzenia.

Kiedy, korzystając z baterii butelek stojących w narożnym barku, robił sobie drinka, do salonu weszła kobieta.

Podbiegła do niego i pocałowała namiętnie. Wziął ją za rękę i pogłaskał czule po dłoni.

– Tęskniłam – szepnęła.

Podprowadził ją do wielkiej sofy pod ścianą. Usiedli tak blisko siebie, że zetknęły się ich

kolana.

Alicja Crane była drobną, trzydziestokilkuletnią kobietą o długich blond włosach, które z dnia na dzień stawały się coraz bardziej popielate. Miała na sobie drogą suknię, jej przegub i uszy zdobiła kosztowna biżuteria, ale wszystko to było stonowane, dalekie od krzykliwości. Rysy twarzy miała delikatne, nosek tak mały, że ledwie go było widać pomiędzy błyszczącymi, ciemnobrązowymi oczami. Nie była szczególnie piękna, ale elegancja stroju i staranny makijaż sprawiały, że prezentowała się całkiem korzystnie. Można ją było opisać jako kobietę bardzo zadbaną.

Policzek zdrzął jej lekko, kiedy Donovan go pogładził.

– Ja też za tobą tęskniłem, Alicjo. Bardzo.

– Nie lubię, kiedy wyjeżdżasz. – Głos miała kulturalny, dystyngowany, mówiła powoli i wyraźnie. Ale mówiąc, przybierała formę zbyt chyba oficjalną jak na tak stosunkowo młodą kobietę.

– Cóż, taką mam pracę. – Uśmiechnął się do niej. – A ty mi ją jeszcze bardziej utrudniasz. – Pociągała go Alicja Crane. Nie była, co prawda, najjaśniejszą gwiazdą we wszechświecie, ale za to osobą o dobrym sercu, pozbawioną pretensjonalności, tak często spotykanej u ludzi zamożnych.

Naraz drgnęła i spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Dlaczego zgoliłeś brodę?

Donovan przejechał dłonią po gładkiej szczęce.

– Potrzeba odmiany – powiedział szybko. – Widzisz, mężczyźni też przechodzą swoją menopauzę. Ujęło mi to chyba z dziesięć lat. Jak myślisz?

– Myślę, że bez brody jesteś równie przystojny jak z nią. Przypominasz mi teraz ojca. Oczywiście, ojca z lat młodości.

– Dzięki za tę próbę podniesienia na duchu mnie, staruszka. – Uśmiechnął się. – Porównanie z nim to dla mnie wielki komplement.

– Każę Maggie przygotować kolację. Pewnie jesteś głodny. – Chwyciła go obiema rękami za dłonie.

– Dziękuję, Alicjo. A potem gorąca kąpiel.

– Naturalnie, zmarłeś pewnie na tym deszczu. – Zawahała się. – Szykuje ci się jakiś wyjazd w najbliższym czasie? Bo jeśli nie, to moglibyśmy się wybrać na wyspy. Tak tam pięknie o tej porze roku.

– Brzmi kusząco, ale niestety będzie to trzeba odłożyć. Muszę jutro wyjechać.

Rozczarowana, spuściła wzrok.

– Rozumiem.

Ujął ją ręką pod brodę i popatrzył w oczy.

– Alicjo, dzisiaj nastąpił przełom w sprawie, nad którą pracuję. Przełom, na który, prawdę mówiąc, niezbyt liczyłem. Zaryzykowałem, ale czasami to się opłaca. – Przypomniał sobie

strach, który dostrzegł tego ranka w oczach LuAnn. – Tyle musi się człowiek nawęszyć, a nigdy nie wie, czy coś z tego wyniknie. No, ale w tym cały urok tej gry.

– To cudownie, Thomasie, tak się cieszę. Ale chyba nie narażałeś się na niebezpieczeństwo? Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś ci się przytrafiło.

Odchylił się na oparcie i wrócił pamięcią do dramatycznych wydarzeń tego poranka.

– Nie ryzykuję bez potrzeby. Wyrosłem z tego. Brawurę zostawiam młodzieży, stawiającej pierwsze kroki w zawodzie. – Mówił to uspokajającym tonem.

Zerknął na nią z ukosa. Miała minę dziecka, które z zapartym tchem słucha swojego ulubionego bohatera opowiadającego o ostatniej przygodzie. Dopił drinka. Bohater. Lubił się nim czuć. Kto tego nie lubi? Komu nie zależy na staniu się od czasu do czasu obiektem takiego dzieciennego podziwu? Uśmiechnął się i uścisnął drobną dłoń Alicji.

– Coś ci obiecuję. Kiedy skończę pracę nad tym artykułem, wybierzemy się na długie wakacje. Tylko ty i ja. W jakiś ciepły zakątek, gdzie jest co pić, można odpocząć i gdzie będę mógł odkurzyć swoje talenty żeglarskie. Od dawna nie brałem urlopu i nie przychodzi mi do głowy nikt inny, z kim chciałbym go spędzić. Co ty na to?

Położyła mu głowę na ramieniu i ścisnęła mocno za rękę.

– Cudownie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

– Zaprosiłaś go na lunch?! – Charlie patrzył na LuAnn z mieszaniną gniewu i frustracji. – Raczysz mi zdradzić, czemu to zrobiłaś? A na początek powiesz mi może, po co tam, u licha, pojechałaś?

Rozmawiali w gabinecie Charliego. LuAnn stała obok wielkiego biurka, Charlie siedział za nim. Obracał w palcach grube cygaro, które odwinął z celofanu, ale nie przypalał, zbulwersowany informacją o porannej wycieczce LuAnn.

LuAnn patrzyła na niego wyzywająco.

– Nie mogłam tu beczynnie siedzieć.

– Mówiłem ci, że sam się tym zajmę. Co, już mi nie ufasz?

– Oczywiście, że ufam, Charlie, nie o to chodzi. – LuAnn spuściła trochę z tonu, przysiadła na poręczy fotela i pogładziła przyjaciela po przeredzających się włosach. – Pomyślałam sobie, że jeśli spotkam się z Riggssem, zanim ten zdąży cokolwiek przedsięwziąć, przeproszę go i skłonię, żeby nie mieszał się do naszych spraw, to wszystko się jakoś ułoży.

Charlie pokręcił głową i skrzywił się, bo w tym momencie łupnęło go w lewej skroni. Odetchnął głęboko i otoczył LuAnn ręką w talii.

– LuAnn, odbyłem dzisiaj rano bardzo owocną rozmowę z Johnem Pembertonem.

– Z kim?

– Z tym agentem od nieruchomości. Facetem, który sprzedał nam ten dom. Nieważne. Otóż Pemberton zna w tym miasteczku wszystkich i doskonale wie, co się tu dzieje. W tej chwili tropi w naszym imieniu osobnika z hondy.

LuAnn odsunęła się od niego gwałtownie.

– Chyba mu nie powiedziałaś...

– Uraczyłem go zmyśloną historyjką. Przełknął ją bez mrugnięcia okiem. Zdążyliśmy oboje nieźle opanować tę sztukę, prawda?

– Czasami wydaje mi się, że aż za dobrze – mruknęła ponuro LuAnn. – Coraz mi trudniej oddzielić prawdę od fikcji.

– Rozmawiałem też z Pembertonem o Riggsie. Próbowałem dowiedzieć się czegoś o jego przeszłości, zorientować, co to za jeden.

– Nie był gliniarzem. Pytałam go i zaprzeczył.

– Wiem, pomyliłem się.

– No więc jak z nim, u licha, jest? I po co ta cała tajemniczość?

– Pemberton podejrzewa, że Riggs był szpiegiem na usługach rządu.

LuAnn zrobiła wielkie oczy.

– Szpieg? Taki jak ci z CIA?

– Diabli go tam wiedzą. Tacy faceci nie rozgłaszają, kto ich zatrudniał. Nikt nic pewnego o nim nie wie, nawet Pemberton.

LuAnn wzdrygnęła się na wspomnienie o informacjach na swój temat, które Riggs tak szybko zebrał. To by się zgadzało. Ale nadal nie była do końca przekonana.

– I teraz stawia płoty w Wirginii. Myślałam, że szpiegom nie pozwalają przechodzić w stan spoczynku.

– Za dużo się naoglądałaś filmów sensacyjnych. Nawet szpiegdy zmieniają pracę i odchodzą na emeryturę, zwłaszcza teraz, kiedy skończyła się zimna wojna. Poza tym wywiad ma wiele specjalizacji. Nie we wszystkich chodzi się w trenczu, z pistoletem w rękawie, i planuje zamachy na dyktatorów obcych państw. Mógł być zwyczajnym urzędasem i oglądać w biurze zdjęcia satelitarne Moskwy.

LuAnn wróciła pamięcią do spotkania z Riggsem w jego domu. Ta jego swoboda w obchodzeniu się ze strzelbą, ten zmysł obserwacyjny i znajomość broni palnej. I wreszcie zimna krew oraz pewność siebie. Pokręciła zdecydowanie głową.

– Nie wygląda mi na urzędnika.

Charlie westchnął głęboko.

– Mnie też nie. No i jak poszło?

LuAnn cofnęła się pod ścianę, oparła o framugę i zahaczyła kciukami za szlufki dżinsów, w które się po powrocie przebrała.

– Zdobył już garść informacji o mnie i o hondzie. Jeśli chodzi o te dotyczące mnie, to wszystkie pochodzą z mojego spreparowanego życiorysu, a więc od tej strony jesteście kryci.

– A co z hondą?

LuAnn pokręciła głową.

– Wynajęta w Waszyngtonie. Chyba na fałszywe nazwisko. To prawdopodobnie ślepa uliczka.

– Szybko działa ten Riggs. Skąd to wszystko wiesz?

– Przeprowadziłam małe rozpoznanie w jego gabinecie. Nakrył mnie i postraszył strzelbą.

– Boże, LuAnn, jeśli on rzeczywiście był szpiegiem, to masz szczęście, że nie odstrzelił ci głowy.

– Nie myślałam, że to będzie takie ryzykowne. Dopiero w trakcie się okazało.

– Ty i to twoje zamiłowanie do igrania z losem. Wtedy w Nowym Jorku też poszłaś na losowanie. Powiniennem się za ciebie ostrzej wziąć. Coś jeszcze?

– Przyznałam mu się, że rzeczywiście zaniepokoił nas ten incydent z pościgiem i że staramy się go wyjaśnić.

– I co on na to, uwierzył? – spytał sceptycznie Charlie.

– Przecież mówiłam prawdę, Charlie – zaperzyła się. – Całą mnie ciarki przechodzą, kiedy mam po temu okazję, a nieczęsto się ona nadarza.

– Dobrze już, dobrze. Nie chciałem cię urazić. Boże, rozmawiamy jak stare małżeństwo.

LuAnn uśmiechnęła się.

– Bo jesteśmy starym małżeństwem. Mamy tylko trochę więcej niż inni wspólnych sekretów. Charlie posłał jej uśmiech i wreszcie przypalił sobie cygaro.

– A więc naprawdę uważasz, że Riggsa mamy z głowy? Że nie będzie tu węszył?

– Myślę, że jest bardzo zaintrygowany, i wcale mu się nie dziwię. Ale obiecał, że nie będzie drażył dalej sprawy, i ja mu wierzę. Sama nie wiem, dlaczego, ale wierzę.

– A co z tym zaproszeniem na jutrzejszy lunch? Jak rozumiem, chcesz go lepiej poznać?

LuAnn studiowała przez chwilę twarz Charliego. Czy tylko jej się wydawało, czy dostrzegła cień zazdrości? Wzruszyła ramionami.

– W ten sposób będziemy go mieli na oku i może dowiemy się o nim czegoś więcej. Może on też ma coś do ukrycia. Wszystko na to wskazuje.

Charlie wydmuchnął kłęb cygarowego dymu.

– Jeśli zatem z Riggssem sprawa załatwiona, to pozostaje nam tylko gość z hondy.

– Mało ci?

– Lepšie to niż dwa zmartwienia naraz. Jeśli Pembertonowi uda się go namierzyć, to może wypłyniemy na spokojne wody.

LuAnn popatrzyła na niego nerwowo.

– Jakie masz względem niego zamiary?

– Jeszcze się nie zdecydowałem. Chyba zagram z nim w otwarte karty, zapytam wprost, czego chce. Jeśli pieniędzy, to zobaczymy, co się da zrobić.

– A jeśli nie chodzi mu tylko o pieniądze? Jeśli wie o loterii?

Charlie wyjął cygaro z ust i spojrzał jej w oczy.

– Nie chce mi się w to wierzyć. Ale jeśli wie, a szanse na to są jak jeden do miliarda, to jest jeszcze na świecie mnóstwo innych miejsc, w których możemy osiąść, LuAnn. Jeśli trzeba będzie, możemy stąd wyjechać choćby jutro.

– Znowu uciekać? – spytała ze znużeniem.

– Pomyśl o odwrotnej sytuacji. Niezbyt pociągająca. Podeszła i wyjęła mu cygaro z palców. Pociągnęła, wydmuchnęła powoli dym i oddała mu je.

– Kiedy Pemberton ma się z tobą skontaktować?

– Nie umawialiśmy się konkretnie. Może jeszcze dzisiaj, może za tydzień.

– Daj mi znać, kiedy się odezwie.

– Pierwsza się o tym dowiesz, milady.

LuAnn odwróciła się, żeby wyjść.

– Aha, czy ja też jestem zaproszony na ten jutrzejszy lunch? – zapytał Charlie.

Obejrzała się przez ramię.

– Liczę na twoją obecność, Charlie.

Uśmiechnęła się i wyszła. Charlie wstał i przez chwilę patrzył za nią, jak sunie z gracją korytarzem. Potem zamknął drzwi gabinetu, wrócił z cygarem w ustach za biurko i popadł w

zadumę.

Riggs miał na sobie luźne spodnie i wzorzysty sweter, spod którego wyglądała krawędź kołnierzyka koszuli. Przyjechał pożyczonym jeepem cherokee, bo pickupa z uszkodzonym zderzakiem oddał do warsztatu. Jeep jakoś lepiej harmonizował z tym szykownym otoczeniem niż jego poobtłukiwana półciężarówka. Przygładził świeżo umyte włosy, wysiadł z cherokee i wszedł na schody prowadzące do drzwi frontowych. Ostatnio rzadko nosił garnitur, wkładał go tylko na spotkania towarzyskie w miasteczku. Uznał, że na dzisiejszą okazję taki oficjalny strój będzie zbyt pretensjonalny. Przecież to tylko lunch. I kto wie, może pani domu poprosi go, żeby coś na miejscu zreperował.

Pokojówka, która otworzyła drzwi, wprowadziła Riggsa do biblioteki. Riggs był ciekaw, czy jest obserwowany. Może tu też są kamery wideo, a Catherine Savage i jej przyboczny Charlie siedzą w jakimś pokoju zastawionym od podłogi po sufit monitorami telewizyjnymi, skąd go obserwują?

Rozejrzał się po przestronnym pomieszczeniu pełnym książek. Ciekawe, czy są tu tylko na pokaz. Bywał już u ludzi, którzy tylko po to je trzymali. Ale tutaj chyba tak nie było. Jego uwagę przyciągnęła kolekcja fotografii na obramowaniu kominka. Był na nich Charlie i dziewczynka bardzo podobna do Catherine Savage, ale na żadnym nie dostrzegł samej Catherine Savage. Dziwne, ale równie zagadkowa była też ta kobieta, a więc uznał to za coś w rodzaju konsekwencji.

Odwrócił się, kiedy otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi. Pierwsze spotkanie z tą kobietą na stryszku stodoły nie przygotowało go na to drugie.

Złote włosy opadały kaskadą na poszerzane ramiona czarnej sukienki sięgającej do pół łydki i podkreślającej dyskretnie linie smukłego, zgrabnego ciała. Riggsowi przemknęło przez myśl, że strój ten byłby tak samo odpowiedni na targi stanowe, jak i na kolację w Białym Domu. Do tego czarne pantofelki na niskim obcasie. Kojarzyła mu się ze zwinną, umięśnioną panterą. Po chwili zastanowienia uznał urodę tej kobiety za niezaprzeczną, ale i nie za idealną. Gdzież zresztą szukać ideałów? Zauważył jeszcze jeden znaczący szczegół: chociaż wokół jej oczu zaczynała się już tworzyć siateczka drobniutkich zmarszczek, to w kącikach ust nie było ani jednej, tak jakby w ogóle się nie uśmiechała.

Dziwne, ale ledwie widoczna blizna na szczęce czyniła ją w jego oczach jeszcze bardziej pociągającą. Może dlatego, że sugerowała jakieś dramatyczne przejścia w przeszłości.

– Cieszę się, że zdołał się pan wyrwać – powiedziała, podając mu rękę. Riggsa zdumiała siła jej uścisku. Odniósł wrażenie, że te długie palce połykają jego dużą, pokrytą odciskami dłoń. – Wiem, że przedsiębiorcy budowlani mają w ciągu dnia wiele niecierpiących zwłoki spraw. Nigdy nie macie czasu dla siebie.

Riggs obrzucił znaczącym spojrzeniem ściany oraz sufit biblioteki.

– Słyszałem, że przeprowadzała tu pani generalny remont.

– Charlie nad wszystkim czuwał. Ale moim zdaniem poszło to dosyć sprawnie. W każdym razie z efektu końcowego jestem zadowolona.

– Nie wątpię.

– Lunch będzie gotowy za pięć minut. Sally poda go na tylnej werandzie. Jadalnia jest obliczona na pięćdziesiąt osób i w trójkę czulibyśmy się w niej chyba trochę nieswojo. Napije się pan czegoś, zanim siądziemy do stołu?

– Nie, dziękuję. – Wskazał na fotografie. – To pani córka czy młodsza siostra?

Zarumieniła się.

– Córka – odparła, siadając na sofie. – Ma na imię Lisa i w tym roku skończyła dziesięć lat. Aż się wierzyć nie chce, jak ten czas leci.

Riggs spojrzał na nią taksująco.

– Musiała pani być bardzo młoda, kiedy ją urodziła.

– Młodsza, niżby wypadało, ale nie żałuję. A pan ma dzieci?

Riggs pokręcił głową i spuścił oczy na swoje dłonie.

– Jakoś się nie złożyło.

LuAnn zauważyła brak ślubnej obrączki, ale to o niczym jeszcze nie świadczyło, bo niektórzy mężczyźni jej nie nosili. Przemknęło jej przez myśl, że tym bardziej, ze zrozumiących względów, nie będzie w niej chodził ktoś, kto pracuje codziennie rękami.

– A żona...

– Jestem rozwiedziony – wpadł jej w słowo. – Już od prawie czterech lat. – Włożył ręce w kieszenie i znowu przesunął wzrokiem po pomieszczeniu. Wyczuwał, że ona robi to samo. – A pani? – zapytał, znowu na nią spoglądając.

– Jestem wdową.

– Przepraszam.

Wzruszyła ramionami.

– To stare dzieje – powiedziała zwyczajnie. W jej głosie odezwała się jednak nutka świadcząca, że czas nie zatarł do końca żalu po tej stracie.

– Pani Savage...

– Proszę mi mówić Catherine. – Uśmiechnęła się figlarnie. – Wszyscy moi przyjaciele tak robią.

Też się uśmiechnął i usiadł obok niej.

– A gdzie Charlie?

– Wyjechał coś załatwić. Ale wróci na lunch.

– To twój wuj?

LuAnn kiwnęła głową.

– Jego żona zmarła dawno temu. Oboje moi rodzice też nie żyją. Właściwie tylko my zostaliśmy z całej rodziny.

– Twój zmarły mąż musiał być majątnym człowiekiem. Albo to ty jesteś bogata. Wybacz,

jeśli brzmi to trochę obcesowo. – Riggs uśmiechnął się. – Ale albo ty, albo któreś z was wygrało na loterii.

Dłoń LuAnn zacisnęła się mimowolnie na krawędzi kanapy.

– Mój mąż był genialnym biznesmenem i umierając, pozostawił mnie dobrze zabezpieczoną finansowo. – Zdołała jakoś zapanować nad głosem.

– To widać – przyznał Riggs.

– A ty? Mieszkasz tu od urodzenia?

– No nie, myślałem, że po naszym wczorajszym spotkaniu prześwielisz na wylot mój życiorys.

– Niestety, nie mam pod tym względem takich jak ty możliwości. Nawiasem mówiąc, nie sądziłam, że przedsiębiorcy budowlani mają taką wprawę w zdobywaniu informacji. – Patrzyła mu prosto w oczy.

– Sprowadziłem się tutaj przed pięcioma laty. Terminowałem u miejscowego budowlanca, który nauczył mnie zawodu. Kiedy trzy lata temu zmarł, rozkręciłem własny interes.

– Pięć lat. A więc żona mieszkała tu z tobą rok.

Riggs pokręcił głową.

– Rozwiedliśmy się ostatecznie cztery lata temu, ale wcześniej przez czternaście miesięcy byliśmy w separacji. Ona nadal mieszka w Waszyngtonie. Prawdopodobnie już tam zostanie.

– Ma coś wspólnego z polityką?

– Nie, jest prawniczką. Wspólniczką w wielkiej kancelarii. Ale ma paru klientów z politycznych kręgów. Robi karierę.

– No to musi być naprawdę dobra. W tym zawodzie nadal dominują mężczyźni. I nie tylko w tym.

Riggs wzruszył ramionami.

– Jest inteligentna i ambitna. Chyba przez to rozpadło się nasze małżeństwo. Przeszkadzało jej w karierze.

– Rozumiem.

– Nie jest to oryginalna historia, ale nic na to nie poradzę. Przeniosłem się tutaj i wcale tego nie żałuję.

– Wnoszę z tego, że lubisz swoją pracę.

– Czasami wychodzi mi bokiem, jak każda praca. Ale, owszem, lubię ją. Mam szczęście, wyrobiłem sobie dobrą markę i interes jakoś się kręci. Jak ci zapewne wiadomo, okolica jest zamożna i była taka, zanim ty się tu sprowadziłaś.

– Również odniosłam takie wrażenie. Cieszę się, że powiodła ci się zmiana zawodu.

Przetrawiał przez chwilę jej słowa, wydymając usta i zaciskając pięści. Potem zachichotał.

– Pozwól, że zgadnę. Słyszałaś pewnie, że byłem dawniej albo agentem CIA, albo międzynarodowym płatnym zabójcą, który nagle postanowił się ustatkować i przerzucił się na machanie młotkiem i piłowanie.

– Przyznam, że tej wersji z płatnym zabójcą nie słyszałam.

Uśmiechnęli się do siebie przelotnie.

– Widzisz, wystarczy powiedzieć ludziom całą prawdę, a przestaną spekulować.

Nie chciało jej się wierzyć, że to powiedziała. Spojrzała na niego niewinnie, a przynajmniej miała nadzieję, że za takie można było uznać to spojrzenie.

– Wychodzisz z założenia, że dbam o to, co ludzie na mój temat spekulują. Ale się mylisz.

– Jesteś ponad to, jak rozumiem.

– Życie nauczyło mnie robić swoje i nie przejmować się tym, co inni myślą albo mówią. Ludzie potrafią być okrutni. Zwłaszcza ci, którzy na pozór dobrze ci życzą. Możesz mi wierzyć, wiem to z własnego doświadczenia.

– Jak rozumiem, nie rozstaliście się z żoną w przyjaźni?

– Nie zrozum mnie źle – odparł, nie patrząc na nią – ale czasami śmierć jednego z małżonków jest mniej bolesna niż rozwód. Chociaż jedno i drugie jest na swój sposób przykre.

Spojrzał na swoje dłonie. Z jego słów przebijała szczerłość i w LuAnn odezwały się wyrzuty sumienia, że naprawdę nie jest wdową, w każdym razie wdową po bogatym mężu. On obnażał swoje prawdziwe rany. Ona, jak zwykle, kłamała. Czy będzie mogła jeszcze kiedyś mówić prawdę? Raczej nie. To by ją zniszczyło. Jedno nieopatrzone słowo, a całe jej zmyślane życie runie jak domek z kart.

– Rozumiem – mruknęła.

Riggs milczał. Widać było, że najchętniej zmieniłby temat. LuAnn spojrzała na zegarek.

– Lunch chyba już gotowy. Może po posiłku obejrzysz teren za domem. Chcę tam wybudować małe studio.

Wstała, Riggs też. Był najwyraźniej rad, że nie musi ciągnąć tej rozmowy.

– Chętnie, Catherine. W mojej branży każde zlecenie wita się z otwartymi ramionami.

Idąc na tyły domu, spotkali Charliego. Obaj mężczyźni podali sobie ręce.

– Miło cię znowu widzieć, Matt. Mam nadzieję, że apetyt dopisuje. Sally dobrze karmi.

Lunch upłynął na delektowaniu się daniami i drinkami oraz na rozmowie o sprawach lokalnych. Riggs zauważył jakąś nieokreśloną energię przepływającą pomiędzy Lu Ann a Charliem. Uznał ją za silną więź. A ściślej, za więź nierozzerwalną. Mimo wszystko byli rodziną.

– A więc, ile czasu zajmie ci stawianie tego ogrodzenia, Matt? – spytał Charlie.

Stali z Riggssem na tarasie na tyłach domu. Po lunchu LuAnn pojechała odebrać Lisę ze szkoły. Podobno lekcje kończyły się dzisiaj wcześniej ze względu na okresowe zebranie rady pedagogicznej. Poprosiła Riggsa, żeby zaczekał do jej powrotu, bo chce z nim jeszcze porozmawiać o budowie studia. Podejrzewał, że ta wyprawa po Lisę była tylko pretekstem do zostawienia go sam na sam z Charliem, by ten wydobył z niego interesujące ją informacje. Na wszelki wypadek postanowił, że zachowa czujność.

Zanim Riggs zdążył odpowiedzieć, Charlie podsunął mu cygaro.

– Palisz?

– Po takim posiłku – odparł Riggs, przyjmując je – i w taki wspaniały dzień skusiłbym się, nawet gdybym nie palił. – Odciał koniuszek szczypczykami, które podał mu Charlie, i palili przez chwilę w milczeniu.

– Z tydzień potrwa wkopywanie wszystkich słupów. Ze dwa karczowanie ziemi, montaż i stawianie ogrodzenia z cementowaniem słupów włącznie. Do tego tydzień na założenie bramy i zainstalowanie systemów bezpieczeństwa. W sumie miesiąc. Na tyle mniej więcej szacowałem termin w kontrakcie.

Charlie obrzucił go spojrzeniem.

– Wiem, ale czasami papiery swoje, a życie swoje.

– Tak to już jest w budownictwie – przyznał Riggs. Pociągnął cygaro. – Ale przed mrozami skończymy, a i ukształtowanie terenu nie jest takie złe, jak początkowo sądziłem. – Zawiesił głos i zerknął na Charliego. – Wracając do wczorajszego incydentu, chciałbym dostać w swoje ręce tego łobuza. Ty pewnie też.

Było to otwarte zaproszenie do dyskusji i Charlie nie omieszkał z niego skorzystać.

– Siądźmy, Matt – wskazał na dwa białe krzesła z kutego żelaza stojące przy balustradzie i sam usiadł ostrożnie na jednym. – Boże, diabelnie niewygodne te klamoty, a można by pomyśleć, że zrobione ze złota, tyle za nie żądają. Dekorator wewnątrz, którego zatrudniliśmy, miał chyba jakiegoś hopla na ich punkcie. – Palił przez chwilę cygaro, wodząc wzrokiem po krajobrazie. – Cholera, pięknie tutaj.

Riggs też się rozejrzał.

– To jeden ważniejszych powodów, dla których tu zamieszkałem.

– A jakie były te pozostałe? – spytał Charlie. – Nie, żartuję – dorzucił zaraz z uśmiechem. – To twoja sprawa. – Uwagi Riggsa nie uszedł nacisk, jakie położył na słowo „twoja”. Charlie wiercił się chwilę na krześle, aż w końcu znalazł w miarę wygodną pozycję. – Catherine powtórzyła mi waszą wczorajszą rozmowę.

– Tak przypuszczałem. Ale skoro już o tym mowa, to nie powinna myszковать po cudzych domach. To nie zawsze wychodzi na zdrowie.

Wymienili znaczące spojrzenia i obaj zachichotali.

– Cieszę się, że zgodziłeś się nie drażnić sprawy – rzekł Charlie.

– Powiedziałem tylko, że zostawię gościa w spokoju, jeśli i on nie będzie mi więcej wchodził w drogę.

– To wystarczy. Na pewno zdajesz sobie sprawę, że Catherine z racji swojej zamożności jest obiektem zainteresowania rozmaitych szumowin, kanciarzy i zwyczajnych zbirów. Martwimy się też o bezpieczeństwo Lisy. Pilnujemy jej jak oka w głowie.

– Mówisz tak, jakby tego rodzaju sytuacje nie były dla was rzadkością.

– Bo się zdarzały. To nie był pierwszy raz. I na pewno nie ostatni. Ale nic na to nie poradzisz. Catherine mogłaby kupić jakąś bezludną wyspę i odizolować się na niej od całego świata, tylko co by to było za życie dla niej i dla Lisy?

– I dla ciebie. Bo przecież nie stoisz jeszcze nad grobem, Charlie. Trzymasz się tak, że w niedzielę mógłbyś chyba wybiec na boisko w barwach Redskinów.

Charliemu wyraźnie pochlebił ten komplement.

– Swego czasu grywałem półzawodowo w futbol. I dbam o kondycję. Catherine suszy mi głowę, żebym zdrowo się odżywiał. Podejrzewam, że palić pozwala mi tylko z litości. – Pomachał cygarem. – Chociaż ostatnio czuję się starszy, niż jestem. Ale masz rację, na bezludnej wyspie nie chciałbym mieszkać.

– No i udało wam się wytropić tego faceta z hondy?

– Pracuję nad tym. Wszcząłem już małe dochodzenie.

– A co chcesz zrobić, jeśli go znajdziesz?

Charlie popatrzył na Riggsa badawczo.

– A co ty byś zrobił?

– To zależy od jego intencji.

– No właśnie. Zdecyduję, co robić, dopiero wtedy, kiedy go znajdę i dowiem się, co kombinuje.

W głosie Charliego zabrzmiała nutka groźby, którą Riggs postanowił zignorować. Spojrzał znowu na krajobraz.

– Catherine chce tu postawić studio. Wiesz, gdzie?

Charlie pokręcił głową.

– Nie rozmawiała ze mną o tym. Chyba całkiem niedawno wpadła na ten pomysł.

Riggs zerknął na niego z ukosa. Czyżby to było świadome potknięcie? Odniosł wrażenie, że Charlie sugeruje, że to nowe potencjalne zlecenie jest formą zapłaty za jego milczenie. A może się mylił?

– Na co jej to studio?

Charlie wzruszył ramionami.

– Czy to ważne?

– Raczej tak. Jeśli chodzi jej o studio artystyczne, to trzeba pomyśleć o odpowiednim oświetleniu, zainstalować świetliki i system wentylacyjny do odprowadzania oparów farb. Gdyby zamierzała je wykorzystywać jako samotnię, gdzie chciałaby czytać albo odpoczywać, projekt musiałby być inny.

Charlie pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Racja. Ale nie wiem, co tam ma być. Wiem tylko, że Catherine nie maluje.

Zamilkli. Ożywili się dopiero, kiedy drzwi otworzyły się i na taras weszły LuAnn i Lisa.

Żywa Lisa Savage przypominała matkę jeszcze bardziej niż ta z fotografii. Tak samo chodziły, a właściwie sunęły lekko, nie marnując energii.

– Liso, to jest pan Riggs.

Riggs niewiele miał dotąd do czynienia z dziećmi, zdał się więc na instynkt. Wyciągnął rękę.

– Mów mi Matt, Liso. Miło mi cię poznać.

Dziewczynka z uśmiechem uścisnęła mu dłoń.

– Miło mi cię poznać, Matt.

– Mało mi palców nie pogruchotałaś. – Matt spojrział na LuAnn, a potem na Charliego. – To chyba u was rodzinne. Następnym razem przyjdę tu w stalowej rękawicy.

– Matthew będzie mi budował studio, Liso. Gdzieś tam. – Wskazała na teren za domem.

Lisa spojrzała na nią z nieudawanym zdziwieniem.

– Za ciasno ci w naszym domu?

Dorośli wybuchnęli śmiechem i po chwili Lisa też im zawtórowała.

– Po co to studio? – spytała.

– To niespodzianka. Tobie też pozwolę z niego czasami korzystać.

Lisa uśmiechnęła się szeroko.

– Ale tylko pod warunkiem, że będziesz przynosiła dobre oceny – wtrącił Charlie. – A właśnie, jak tam test? – dorzucił groźnie, ale były to tylko pozory. Riggs wyczuwał, że ten człowiek kocha Lisę tak samo jak jej matkę, jeśli nie bardziej.

Lisie usta wygięły się w podkówkę.

– Nie dostałam piątki.

– Nie przejmuj się, kwiatuszku – pocieszył ją Charlie. – To pewnie moja wina. Kiepski jestem z matmy.

I w tym momencie Lisa uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Dostałam piątkę z plusem.

Charlie poczochnął ją po głowie.

– Poczucie humoru odziedziczyłaś po matce, nie da się ukryć.

– Panna Sally przygotowała ci lunch – powiedziała LuAnn. – W szkole nie miałaś pewnie czasu zjeść. No, biegnij. Zobaczymy się, jak skończę z panem Mattem.

LuAnn i Riggs poszli na spacer. Charlie wymówił się. Powiedział, że ma coś do zrobienia.

Po obchodzie posiadłości Riggs zaproponował zbudowanie studia na polance z widokiem na góry, ocienionej z dwóch stron przez drzewa.

– To niezłe miejsce. Ale ty lepiej znasz teren i prawdopodobnie upatrzyłaś już sobie parę innych potencjalnych lokalizacji. Gdybym znał przeznaczenie tego studia, wiedziałbym lepiej, czym się kierować przy wyborze. – Rozejrzał się. – No i stoi tu już trochę zabudowań. Można by pomyśleć o zaadaptowaniu któregoś na studio.

– Przepraszam, myślałam, że jasno się wyraziłam. Chcę je wznieść od podstaw. Żadne z istniejących już zabudowań nie nadaje się do tego celu. Chcę, żeby wyglądało tak jak twoje. Piętrowy budynek. Na parterze pracownia, gdzie będę się oddawała swojemu hobby, kiedy je sobie znajdę. Lisa lubi rysować i ma do tego talent. Ja może zacznę rzeźbić. Wydaje mi się, że to bardzo relaksujące zajęcie. Na piętorku chcę mieć piec opalany drewnem, teleskop, wygodne meble, półki na książki, może małą kuchenkę, okna widokowe.

Riggs kiwnął głową i rozejrzał się znowu.

– Widziałem basen. Nie zamierzasz go czasem obudować i może urządzić obok kortu tenisowy?

– Na wiosnę. Czemu pytasz?

– Bo moglibyśmy to załatwić kompleksowo. Rozumiesz, kryty basen połączony ze studiem, te same materiały, ten sam styl.

LuAnn pokręciła głową.

– Nie, wolę ich nie łączyć. Z basenu i kortu tenisowego przede wszystkim korzystać będzie Lisa. Chcę, żeby znajdowały się blisko domu. Basen jest już blisko. Studio chcę mieć trochę dalej. Na uboczu.

– Jak sobie życzysz. Miejsca tu masz pod dostatkiem. A ty sama pływasz albo grasz w tenisa?

– Pływam jak ryba, ale w tenisa nigdy nie grałam i nie zamierzam tego robić.

– Myślałem, że wszyscy bogaci grają w tenisa. I w golfa.

– Może ci, którzy bogatymi się urodzili. Ja nie zawsze byłam bogata.

– Georgia.

LuAnn spojrzała na niego bystro.

– Słucham?

– Lisa mówi, jakby była stąd, ale u ciebie od początku słyszę leciutki akcent, którego nie potrafiłem dotąd umiejscowić. Podobno mieszkałaś przez wiele lat w Europie, ale znasz to powiedzonko: „Możesz się wynieść z Georgii, lecz Georgia nigdy się z ciebie nie wyniesie”.

– Nigdy w życiu nie byłam w Georgii – oznajmiła LuAnn po chwili wahania.

– Dziwne. Rzadko się w tych sprawach myślę.

– Nikt nie jest idealny. – Odgarnęła włosy z twarzy. – No i co o tym myślisz? – Popatrzyła na polankę.

Riggs też przyglądał się chwilę z zaciekawieniem.

– Trzeba wykreślić plany – powiedział w końcu. – Na nich będziesz mogła pokazać dokładnie, o co ci chodzi, ale wygląda na to, że masz już swoją koncepcję. Zależnie od kubatury i stopnia skomplikowania konstrukcji budowa potrwa dwa miesiące do sześciu.

– Kiedy mógłbyś zacząć?

– Na pewno nie w tym roku, Catherine.

– Aż tak jesteś obłożony pracą?

– Nie o to chodzi. Żaden rozsądny budowlaniec nie rozpocznie takiej budowy teraz. Trzeba zrobić projekt architektoniczny, zatwierdzić go i załatwić stosowne zezwolenia. Grunt zacznie wkrótce zamarzać, a w takich warunkach lepiej nie wylewać fundamentów. Zresztą nie zdążylibyśmy przed zimą podciągnąć budynku pod dach. A zimy potrafią tu być srogie. Z rozpoczęciem robót trzeba się wstrzymać do wiosny.

– Och! – LuAnn nie kryła zawodu. Patrzyła na polankę tak, jakby widziała tam już swoje

studio.

– Wiosna przyjdzie, zanim się obejrzysz, Catherine – pocieszył ją Riggs. – A przez zimę sporządzimy spokojnie wszystkie plany i dopracujemy szczegóły. Znam pierwszorzędnego architekta. Mogę cię z nim skontaktować.

LuAnn słuchała go jednym uchem. Czy wiosną jeszcze tu będą? Przedstawiony przez Riggsa harmonogram budowy ostudził znacznie jej zapał do projektu.

– Jeszcze się zastanowię. Dzięki.

Kiedy wracali do domu, Riggs dotknął jej ramienia.

– Widzę, że cię rozczarowałem. Gdybym mógł zabrać się do tego jeszcze w tym roku, na pewno bym to zrobił. Nie brakuje niesolidnych budowlańców, którzy przyjęliby twoje zlecenie, zdarli z ciebie skórę za pośpiech i postawili coś, co po dwóch latach by się rozpadło. Ale ja dbam o reputację i chcę, żebyś była zadowolona.

Uśmiechnęła się do niego.

– Charlie mówi, że masz świetne referencje. Chyba już wiem, dlaczego. – Mijali właśnie stajnię. LuAnn wskazała na nią. – To można chyba uznać za hobby. Jeździsz konno?

– Ekspertem nie jestem, ale spaść też nie spadnę.

– Musimy wybrać się kiedyś na przejażdżkę. Jest tu parę pięknych szlaków.

– Wiem – odparł ku jej zaskoczeniu Riggs. – Chodziłem nimi, zanim posiadłość została sprzedana. Muszę przyznać, że kupując tę nieruchomość, dokonałaś doskonałego wyboru.

– Charlie ją wyszukał.

– Bardzo ci pomaga.

– O wiele łatwiej mi się z nim żyje. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

– Dobrze mieć przy sobie kogoś takiego.

Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Charlie czekał na nich przy tylnym wyjściu. Z jego zachowania przebijało tłumione podniecenie. Ze znaczących spojrzeń, jakie jej rzucał, LuAnn wyczytała przyczynę: Pemberton ustalił, gdzie zatrzymał się człowiek z hondy.

– Dziękuję za lunch – powiedział Riggs, nie okazując po sobie, że zauważył napięcie, jakie się nagle między nimi wytworzyło. – Nie będę wam dłużej przeszkadzał, mam zresztą dziś po południu parę spotkań. – Spojrzał na LuAnn. – Catherine, daj mi znać, kiedy zdecydujesz coś w sprawie studia.

– Dobrze. Zadzwoń do mnie, to umówimy się na tę przejażdżkę.

– Nie omieszkam.

Kiedy odjechał, Charlie zaciągnął LuAnn do swojego gabinetu i zamknął drzwi.

– No i gdzie ten facet? – zapytała.

– Po sąsiedzku.

– Co?

– Wynajął małą chatę na odludziu. Najwyżej cztery mile stąd drogą dwudziestą drugą. Oglądałem tamte tereny, kiedy myśleliśmy jeszcze o stawianiu nowego domu. Była to kiedyś okazała posiadłość, ale teraz została tylko chata dozorca. Zawiozłem cię tam jakiś czas temu, pamiętasz?

– Pamiętam. Na skróty to bardzo blisko. Piechotą można dojść. Wybrałam się tam kiedyś konno. Facet może nas od dawna szpiegować.

– Wiem. I to mnie właśnie niepokoi. Pemberton dał mi dokładne wskazówki, jak tam trafić.

Położył na biurku kartkę z objaśnieniami. Kiedy sięgał po płaszcz, LuAnn skorzystała z okazji i przebiegła je szybko wzrokiem. Charlie wyjął z szuflady biurka pistolet i załadował go.

– Co ty chcesz zrobić? – spytała z niepokojem LuAnn.

Nie spoglądając na nią, sprawdził położenie bezpiecznika i wsunął broń do kieszeni.

– Wybieram się na rekonesans – mruknął.

– Jadę z tobą.

Spiorunował ją wzrokiem.

– Nic z tego.

– Jadę, Charlie.

– To może być niebezpieczne.

– Też mi coś!

– Wiem, co mówię. Pozwól, że najpierw sam się rozejrzę, spróbuję się zorientować, co gość kombinuje. Nie bój się, nie zamierzam podejmować żadnych drastycznych kroków.

– To po co ci ten pistolet?

– Powiedziałem, że nie zamierzam podejmować żadnych drastycznych kroków. Ale przecież nic o nim nie wiem.

– Nie podoba mi się to, Charlie.

– Myślisz, że mnie się podoba? Ale to jedyny sposób. Nie chcę, żeby coś ci się stało, gdyby sprawy przybrały zły obrót.

– Nigdy nie oczekiwałam od ciebie, że będziesz się dla mnie narażał.

Dotknął delikatnie jej policzka.

– Przestań, LuAnn. Chcę zapewnić bezpieczeństwo tobie i Lisie. Może tego nie zauważyłaś, ale taki cel postawiłem sobie w życiu. – Uśmiechnął się i ruszył do drzwi.

– Charlie, uważaj na siebie.

Obejrzał się i widząc zatroskanie na jej twarzy, powiedział:

– Przecież dobrze wiesz, że nie trzeba mi tego przypominać. Ledwie wyszedł, LuAnn pobiegła do swojego pokoju, przebrała się w dżinsy i ciepłą koszulę, wzięła traperki.

„Może tego nie zauważyłaś, Charlie, ale ja za cel w życiu postawiłam sobie zapewnienie bezpieczeństwa tobie i Lisie”. Porwała skórzaną kurtkę z szafy i wypadłszy z domu, popędziła do stajni. Osiodłała szybko Joy i pogalopowała ku labiryntowi leśnych szlaków za domem.

Prowadzony przez Charliego rangę rover skręcił w główną szosę. Riggs odczekał chwilę i zachowując bezpieczną odległość, ruszył za nim swoim cherokee. Był niemal pewien, że zaraz po jego odjeździe coś się wydarzy. Znajomy wspominał mu, że poprzedniego dnia widział Charliego i Pembertoną jedzących razem śniadanie. Spryciarz był z tego Charliego. Riggs też by chyba od tego zaczął, gdyby chciał ustalić miejsce pobytu faceta z hondy. Wystarczyło skojarzyć ten fakt z wyraźnym podnieceniem Charliego, by wyciągnąć wniosek, co się szykuje. A gdyby się mylił, to najwyżej straci trochę czasu. Rangę rover skręcił na północ w drogę Dwudziestą Drugą. Niełatwo było pozostać niezauważonym na pustej szosie, ale Riggs był pewien, że jakoś sobie poradzi. Na siedzeniu obok leżała strzelba. Tym razem był przygotowany.

Charlie spojrział w prawo, spojrział w lewo, zjechał między drzewa i zatrzymał rangę rovera. Widział stąd chatę. Gdyby Pemberton nie powiedział mu, że mieszkał tu kiedyś dozorca ogromnej, nieistniejącej już posiadłości, dziwiłby się bardzo, że komuś wpadło do głowy budować sobie dom w takiej głuszy. Osobliwym zrządzeniem losu ta maleńka chatynka przetrwała, podczas gdy po głównym domu pozostało tylko wspomnienie. Charlie namacał w kieszeni pistolet i wysiadł. Skradając się przez gęsty las, zaszedł chatę od tyłu i zatrzymał się przy szopie. Przetarł brudną, zakurzoną szybę w małym okienku i zajrzał do środka. W mroku majaczyły kształty czarnej hondy. Pembertonowi należała się za to jakaś skromna darowizna na dowolny cel dobroczynny.

Odczekał jeszcze dziesięć minut, wlepiając oczy w chatę. Wpatrywał tam najmniejszego poruszenia, jakiegoś cienia przesuwającego się za szybą. Nic. Gdyby nie honda w szopie, można

by pomyśleć, że w środku nikogo nie ma. Ostrożnie ruszył przez podwórko.

Rozejrzał się dookoła, ale nie zauważył Riggsa klęczącego za kępą gęstych krzaków na lewo od chaty.

Riggs opuścił lornetkę, przez którą lustrował otoczenie. Podobnie jak Charlie, nie dostrzegł żadnego poruszenia w chacie, nie dobiegł go stamtąd żaden dźwięk, ale to o niczym jeszcze nie świadczyło. Facet mógł się przyczaić i zastrzelić Charliego bez ostrzeżenia, kiedy ten wyjdzie z ukrycia. Riggs czekał, ściskając w rękach strzelbę.

Drzwi frontowe były zamknięte na klucz. Charlie mógł wybić boczną szybkę i otworzyć je od środka albo zwyczajnie wyłamać kopniakiem – nie sprawiały wrażenia solidnych. Gdyby jednak w środku rzeczywiście ktoś był, forsowanie drzwi siłą mogłoby go tylko sprowokować. Jeśli zaś chata stała pusta, to lepiej nie pozostawiać śladów swojej tutaj bytności. Charlie, wysunąwszy pistolet do połowy z kieszeni, zapukał. Odczekał chwilę i zapukał jeszcze raz. Żadnej reakcji. Wsunął broń z powrotem do kieszeni i rzucił fachowym okiem na zamek. Zwyczajny zatrzaskowiec. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcz swoje akcesoria: prosty wytrych i rozpieracz. Na szczęście artretyzm nie zaatakował mu jeszcze palców i nie odebrał im sprawności. Wsunął w dziurkę od klucza wytrych, a pod niego rozpieracz. Uniósł wytrychem zapadki zamka do pozycji odblokowania i zabezpieczył je w niej rozpieraczem. Jeszcze chwila manipulowania wytrychem, i dał się słyszeć cichy trzask. Przekręcił gałkę i drzwi stanęły otworem. Schował narzędzia z powrotem do kieszeni. Ponownie przydały mu się umiejętności wyniesione z więzienia. Przez cały czas nasłuchiwał pilnie. Zdawał sobie sprawę, że być może wchodzi w pułapkę. Zacisnął dłoń na kolbie pistoletu. W razie potrzeby nie zawaha się go użyć. Implikacji takiego kroku było zbyt wiele, żeby wszystkie teraz analizować, jednak gorsze byłoby zdemaskowanie.

Wnętrze chaty miało prosty rozkład. Dzielił je na dwie połowy biegnący na przetrzał korytarz. W głębi po lewej znajdowała się kuchnia, przed nią mała jadalnia. Po prawej był living room, a za nim pomieszczenie, gdzie mieściła się pralnia i suszarnia. Proste drewniane schody po prawej wiodły na piętro do znajdujących się tam sypialni. Charlie niewiele z tego zaobserwował, bo całą jego uwagę przykuła od razu jadalnia. Stał w jej progu i patrzył zdumiony na komputer, drukarkę, faks i stos pudeł na akta. Przesunął wzrokiem po wycinkach z gazet i fotografiach, które przypięto do korkowych tablic na ścianach.

Czytał cicho kolejne nagłówki. Z większości fotografii patrzyła na niego twarz LuAnn. Zgromadzono tu całą dokumentację: od morderstw poprzez wygraną na loterii, aż do jej zniknięcia. A więc potwierdzały się jego podejrzenia. Teraz pozostaje tylko ustalić, kim jest ten człowiek, i co ważniejsze, czego od nich chce.

Chodził powoli po pokoju, biorąc do ręki porozrzucane gazety, czytając wycinki prasowe, zaglądając do pudeł na akta. Szukał czegoś, co pomogłoby mu zidentyfikować nieznanego, jednak na nic takiego nie natrafiał. Siedzący ich osobnik, kimkolwiek był, znał się na tej robocie.

Charlie zatrzymał się przy biurku i ostrożnie wysunął jedną z szuflad. Z leżących tam papierów również niczego się nie dowiedział. Podobny rezultat przyniosło przejrzenie zawartości pozostałych szuflad. Włączyłby komputer, ale jego znajomość obsługi tego cudu techniki była bliska zeru. Miał już przystąpić do przeszukiwania reszty domu, kiedy jego wzrok padł na samotne pudło stojące w przeciwległym kącie pokoju. Do niego też wypadało zajrzeć.

Uniósł pokrywę i policzkiem szarpnął mu niekontrolowany tik, a spomiędzy warg wyrwało się niemal bezgłośnie: „Cholera”. Nogi się pod nim ugięły.

W pudle leżała pojedyncza kartka papieru z listą nazwisk. W oczy rzuciło mu się natychmiast nazwisko LuAnn. Większość pozostałych należała do ludzi, których Charlie również znał: Herman Rudy, Wanda Tripp, Randy Stith, Bobbie Jo Reynolds. Zwycięzcy loterii sprzed dziesięciu lat. Charlie opiekował się wtedy niemal wszystkimi z nich. Wiedział, że wszyscy wygrali fortunę przy pomocy Jacksona.

Przytrzymał się drżącą dłońią okiennego parapetu. Był przygotowany na znalezienie dowodu, że ten człowiek wie o związku LuAnn z morderstwami. Na odkrycie, że na jaw wyszedł loteryjny przekręt, przygotowany nie był. Mrówki przeszły mu po krzyżu.

Jak to możliwe?! Jak facet do tego doszedł?! Kim, u diabła, był?! Szybko nałożył pokrywkę na pudło i wyszedł z domu. Zamknął ze sobą drzwi i sprawdził, czy się zatrzasnęły. Wrócił do rangę rovera, usiadł za kierownicą i ruszył.

Donovan wracał drogą Dwudziestą Dziewiątą z Waszyngtonu. Był w trasie od blisko dwóch godzin. Spieszył się. Pilno mu było podjąć łowy. Zbliżając się do celu podróży, dodał jeszcze gazu. Przez całą drogę rozważał, jakie kolejne działania podejmie wobec LuAnn Tyler. Jak przyprze ją do muru, i to szybko. Jeśli jedno podejście nie zda egzaminu, wymyśli inne. Miał LuAnn Tyler na widelcu. Sprawdzało się powiedzenie, że o wytrzymałości całego łańcucha decyduje jego najsłabsze ogniwo. Tak, LuAnn – pomyślał – to ty jesteś tym przerdzewiałym ogniwem. Nie wywiniesz się. Spojrzał na zegarek. Niedługo będzie w chacie. Na fotelu pasażera leżał małokalibrowy pistolet. Nie lubił broni palnej, ale nie był głupi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Riggs tylko przez moment widział twarz odjeżdżającego spod chaty Charliego, ale to mu wystarczyłoby nabrać pewności, że coś się musiało stać. Coś bardzo złego. Kiedy ranę rover zniknął mu z oczu, spojrzął znowu na chatę. Zająrzeć do niej czy nie? Mógłby tam znaleźć odpowiedź na wiele nurtujących go pytań. Miał już rzucić monetą, kiedy rozwój sytuacji kazał mu przywarować z powrotem za krzakami i podjąć rolę obserwatora.

LuAnn przywiązała Joy do drzewa w lesie, jakieś sto jardów od polanki, na której stała chata. Wynurzyła się z gęstwiny z właściwą sobie gracją. Przykucnęła na skraju lasu i rozejrzała się czujnie. Riggs, pomimo że ukryty za krzakami, poczuł się nagi pod jej bystrym spojrzeniem.

Pobiegła wzrokiem w kierunku drogi. Czy wiedziała, że Charlie tu był i już odjechał? Prawdopodobnie nie. Jednak z jej twarzy nie dało się niczego wyczytać.

Przez jakiś czas obserwowała uważnie chatę, a potem podkrađła się do szopy. Zajrzała przez to samo okienko, co wcześniej Charlie, i zobaczyła hondę. Zgarnęła z parapetu trochę brudu i kurzu i zamazała szybę w miejscu przetartym przez Charliego. Riggs obserwował jej poczynania z rosnącym podziwem. Chyba nawet jemu nie przyszłoby to do głowy. Charlie w każdym razie nie pomyślał o tym.

LuAnn skierowała teraz swą uwagę na dom. Stała z rękami w kieszeniach kurtki. Wiedziała teraz, że Charlie już tu był i odjechał. Powiedziało jej to brudne okienko szopy. Wydedukowała również, że nie zabawił tutaj długo, bo chociaż jechał samochodem i wyruszył przed nią, ona miała bliżej i przez całą drogę ostro poganiała Joy. Skoro już go tu nie ma, to albo nic nie znalazł, albo odkrył coś bardzo ważnego. Przeczucie mówiło jej, że w grę wchodziło raczej to drugie. Może by tak wrócić do domu? Tam się wszystkiego dowie. Tak byłoby najrozsądniej, ale LuAnn obiegła jednak dom i chwyciła za gałkę u drzwi frontowych. Ani drgnęły. W odróżnieniu od Charliego nie była na taką okoliczność przygotowana, musiała więc poszukać innej drogi. Znalazła ją na tyłach chaty. Pod jej silnymi szarpnięciami okno w końcu ustąpiło. Wśliznęła się przez nie do środka.

Zsunęła się cicho z parapetu na podłogę i natychmiast przykucnęła. Widziała stąd kuchnię. Słuch miała tak wyostrzony, że gdyby w chacie ktoś był, usłyszałaby z pewnością jego oddech. Ruszyła na palcach i zatrzymała się w progu pomieszczenia, które było chyba jadalnią, ale urządzono w nim gabinet. Patrzyła szeroko otwartymi oczami na wycinki przypięte do korkowej tablicy. Sunąc wzrokiem po pokoju, czuła, że tu chodzi o coś więcej niż zwyczajny szantaż.

– Ożeż ty. – Z tymi słowami na ustach Riggs przypadł do ziemi i wlepił przerażony wzrok w chryslera, który pojawił się nie wiadomo skąd i mijał właśnie jego kryjówkę. Od razu rozpoznał mężczyznę za kierownicą, pomimo że ten zgolił brodę. Niewiele myśląc, porwał strzelbę i puścił

się pędem do swojego cherokee.

Usłyszawszy nadjeżdżający samochód, LuAnn umknęła w głąb chaty. Ostrożnie wysunęła głowę ponad parapet i serce jej stanęło.

– Cholera!

Chrysler wyjechał z za węgła i zatrzymał się za chatą. Kierowca wysiadł i skierował się do tylnych drzwi. W prawej ręce trzymał pistolet. LuAnn zaczęła się cofać, rzucając na wszystkie strony zrozpaczone spojrzenia. Nie dostrzegając niestety żadnej drogi ewakuacji. Drzwi frontowe były zamknięte i gdyby zaczęła się z nimi szarpać, mężczyzna by ją usłyszał. Na ucieczkę przez okno nie było czasu. Chata była tak mała, że jeśli zostanie na parterze, mężczyzna na pewno ją zobaczy.

Donovan wsunął klucz w zamek. Gdyby zajrzał do środka przez szybkę w drzwiach, natychmiast zauważyłby LuAnn. Pchnął drzwi.

LuAnn wsunęła się tymczasem do jadalni i miała już wbiec po schodach na piętro, by tam szukać drogi odwrotu, kiedy ciszę rozdarł nagle przeraźliwy, powtarzający się ryk samochodowego klaksonu. Chyba gdzieś włączył się autoalarm. Podpełzła na czworakach z powrotem do okna i wyjrzała. Donovan zniknął właśnie za węglem chaty. Biegł na podwórko przed domem.

LuAnn nie traciła czasu. Wyskoczyła szczupakiem przez to samo okno, którym dostała się do środka, przekoziółkowała po ziemi, zerwała się na nogi i pobiegła. Dopadła do szopy i przykucnęła za nią. Klakson wciąż wył. W paru susach dopadła drugiego węgła szopy i wyjrzała. Donovan, wymachując pistoletem, oddalał się drogą w kierunku źródła hałasu.

Omal nie krzyknęła, bo naraz czyjaś dłoń ścisnęła ją za ramię.

– Gdzie twój koń? – Głos Riggsa był opanowany i spokojny.

Obejrzała się. Strach ulotnił się tak samo szybko, jak się pojawił.

– Jakież sto jardów stąd. – Wskazała ruchem głowy na leśny gąszcz. – To alarm w twoim wozie?

Riggs kiwnął głową. W ręce trzymał kluczyki od swojego samochodu. Spoglądając na przemian to za oddalającym się Donovanem, to w kierunku, w którym mieli uciekać, Riggs wstał i pociągnął za sobą LuAnn.

– Do biegu, gotowi, start!

Wypadli z kryjówki i popędzili przez otwartą przestrzeń. Riggs, który biegł, nie odrywając wzroku od pleców Donovana, potknął się o korzeń i runął jak długi. Padając, nacisnął przypadkowo palcem przycisk wyłączenia alarmu na kółku z kluczykami. Donovan zatrzymał się jak wryty, odwrócił na pięcie i zobaczył ich. LuAnn pomogła Riggsowi pozbierać się z ziemi i po chwili zniknęli między drzewami. Donovan, wywijając pistoletem, rzucił się za nimi w pogoń.

– Hej! – wrzeszczał. – Stać, do jasnej cholery!

Machał pistoletem, ale strzelać nie zamierzał. Nie był mordercą.

LuAnn biegła z wiatrem w zawody i Riggs bezskutecznie próbował dotrzymać jej kroku.

Usprawiedliwiał się przed sobą, że to na skutek lekko wykręconej kostki, ale prawda była taka, że nie dogoniłby jej nawet na zdrowych nogach. Dobiegli do Joy, która czekała cierpliwie na właścicielkę. LuAnn odwiązała błyskawicznie klacz i nie tracąc czasu na wsuwanie stopy w strzemień, wskoczyła na siodło. Wyciągnęła do Riggsa rękę i pomogła mu wgramolić się na grzbiet Joy. W chwilę potem gnali już leśnym szlakiem na złamanie karku. Riggs, siedząc z tyłu, obejmował LuAnn kurczowo w pasie i modlił się o życie. W pewnym momencie zebrał się na odwagę i obejrzał, ale Donovaną nie było nigdzie widać. Pędzili tak szybko, że wcale go to nie zdziwiło.

– Jak widzę, to twój rutynowy sposób postępowania w tego rodzaju sytuacjach – przerwał milczenie Riggs, kiedy odprowadziwszy Joy do stajni, szli w stronę głównego domu. – Włamać się. Pomyszkować. Właściwie nie powinno mnie to dziwić. Tę samą metodę zastosowałeś wobec mnie. – Spojrzał gniewnie na LuAnn.

Nie odwróciła wzroku. Patrzyła mu wyzywająco w oczy.

– Do ciebie się nie włamałam. I nie przypominam sobie, żebym cię prosiła o to, byś za mną jeździł.

– Pojechałem tam za Charliem, nie za tobą – skorygował. – I bardzo dobrze zrobiłem, nie sądzisz? Drugi raz w ciągu dwóch dni. W tym tempie w tydzień wykorzystasz wszystkie swoje dziewięć żywotów.

LuAnn szła z założonymi na piersiach rękami, patrząc wyniośle przed siebie. Riggs się zatrzymał.

Ona też przystanęła i na moment spuściła głowę. Kiedy znowu podniosła wzrok, minę miała już łagodniejszą.

– Dziękuję ci. Po raz drugi. Ale zapewniam cię, im dalej będziesz się trzymał od naszej trójki, tym lepiej dla ciebie. To ogrodzenie już nieaktualne. Raczej tu nie zostaniemy. Ale nie martw się, zapłacę ci. – Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, starając się stłumić uczucia obce jej od tak dawna, że teraz po prostu ją przerażały. – Powodzenia, Matthew. – Odwróciła się i ruszyła w kierunku domu.

– Catherine? – Nie obejrzała się. – Catherine – powtórzył.

Zatrzymała się.

– Raczylabyś mi powiedzieć, co tu się właściwie dzieje? Może będę mógł ci pomóc.

– Nie sądzę.

– Nigdy nie wiadomo.

– Ja wiem, zapewniam cię. Ruszyła.

– Hej! – zawołał za nią Riggs. – Może nie zauważyłaś, ale nie mam czym wrócić do domu.

Odwróciła się i rzuciła mu kluczyki. Riggs chwycił je zręcznie w locie.

– Weź mój wóz. Stoi przed domem. Zatrzymaj go, jak długo będzie ci potrzebny. Mam drugi.

Z tymi słowami odwróciła się i weszła do domu. Riggs, kręcąc głową, schował kluczyki do

kieszeni.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

– Gdzieś ty, u licha, była? – Charlie stał w drzwiach swojego gabinetu, opierając się ramieniem o framugę. Był blady.

– Tam gdzie ty – odparła LuAnn.

– Co? LuAnn, mówiłem ci przecież...

– Nie byłeś tam sam. Riggs cię śledził. Jeśli chcesz wiedzieć, po raz drugi ocalił mi życie. Jeśli dojdzie do tego jeszcze raz, zastanowię się poważnie, czy go nie poślubić.

Charlie pobladał jeszcze bardziej.

– Wchodził do chaty?

– Nie, ale ja tam weszłam.

– I co widziałaś? – spytał nerwowo Charlie.

LuAnn minęła go i weszła do gabinetu.

– Nie chcę, żeby Lisa słyszała.

Charlie zamknął drzwi. Podeszedł do barku i nalał sobie drinka. LuAnn obserwowała go w milczeniu.

– Najwyraźniej widziałeś więcej ode mnie – odezwała się po chwili.

Odrzucił się twarzą do niej i jednym chaustem wychylił drinka.

– Wycinki prasowe na temat loterii?! Morderstw?!

LuAnn kiwnęła głową.

– Widziałam je. Po wczorajszym spotkaniu z tym człowiekiem nie byłam wcale zdziwiona.

– Ja też nie.

– Ale wychodzi na to, że nie wszystko zauważyłam. Spojrzała na niego znacząco, siadając na sofie. Splotła ręce na kolanach i zmobilizowała się wewnątrz.

Na twarzy Charliego malował się lęk, zupełnie jakby przebudził się z koszmarne snu i stwierdził, że to wcale nie był sen.

– Widziałem nazwiska. Całą listę nazwisk. Było na niej twoje. – Urwał i odstawił szklanekę. Dłonie mu drżały. LuAnn nie odzywała się. – Herman Rudy. Wanda Tripp. Randy Stith. Oni też na niej figurowali. Opiekowałem się nimi, tak jak tobą, w Nowym Jorku.

LuAnn ukryła twarz w dłoniach.

Charlie usiadł obok niej i pogładził wielką łapą po plecach.

Przytuliła się do niego.

– Musimy wyjechać, Charlie – powiedziała udręczonym głosem. – Musimy się spakować i uciekać. Jeszcze dziś.

Rozważał przez chwilę jej słowa, potem potarł dłonią czoło.

– Myślałem już o tym. Możemy wyjechać, to dla nas nie pierwszozna. Ale teraz jest inaczej.

– On wie, że loteria była ustawiona – wybuchnęła LuAnn – i wie, że LuAnn Tyler i Catherine Savage to jedna i ta sama osoba. Zdemaskował nas.

Charlie pokiwał posępnie głową.

– Nigdy dotąd nie mieliśmy do czynienia z taką sytuacją. Trochę trudniej będzie zniknąć.

LuAnn zerwała się z sofy i zaczęła krążyć po pokoju.

– Czego on chce, Charlie?

– Też się nad tym zastanawiam. – Podszedł z pustą szklanką do barku, ale po chwili wahania zrezygnował z drugiej kolejki. – Widziałaś, jak się urządził. Co o tym myślisz? – spytał.

LuAnn zatrzymała się i oparła o obramowanie kominka. Przebiegła w myślach każdy szczegół zaobserwowany podczas pobytu w chacie.

– Samochód wynajął pod przybranym nazwiskiem. A więc nie chce, żebyśmy wiedzieli, z kim mamy do czynienia.

– Właśnie – mruknął Charlie. Zdążył się już przekonać, że LuAnn ma niezawodny instynkt i nic nie ujdzie jej uwagi.

– Próbował mnie zastraszyć i udało mu się. Przypuszczam, że było to tylko ostrzeżenie. Dał mi w ten sposób do zrozumienia, że jest graczem, i chce, żebym o tym wiedziała, kiedy będzie wykonywał następny ruch.

– Mów, mów – ponaglił ją Charlie.

– W tej chacie urządził sobie coś w rodzaju dobrze zorganizowanego biura. Komputer, faks, drukarka, akta. Odniosłam wrażenie, że podchodzi do tego jak do swego rodzaju badań naukowych.

– No to będzie się musiał solidnie nabadać, żeby rozpracować ten loteryjny szacher-macher. Jackson to nie pierwszy lepszy kombinator.

– Jak on na to wpadł, Charlie?

Charlie, pocierając brodę, usiadł za biurkiem.

– Nigdzie nie jest powiedziane, że rozgryzł całą aferę. Widziałem tylko listę.

– Z nazwiskami zwycięzców loterii! Przestań. A swoją drogą, jak długo Jackson ciągnął ten proceder?

– Nie wiem. Ja opiekowałem się tylko dziewięcioma osobami, z tobą włącznie. Zacząłem w sierpniu. Ty byłaś miss kwietnia i zarazem moją ostatnią podopieczną.

LuAnn potrząsnęła uparcie głową.

– On wie, Charlie. Musimy to założyć. Nie wiadomo skąd, ale wie.

– No dobrze. Wynikałoby z tego, że facetowi chodzi o pieniądze.

LuAnn pokręciła głową.

– Nie jestem tego taka pewna. Bo jeśli tak, to po co zadawałby sobie tyle trudu i ściągał tutaj cały ten sprzęt? Nie musiał. Mógł po prostu powiadomić mnie pocztą o tym, co na mnie ma, i zażądać telegraficznego transferu pieniędzy na wskazane przez siebie konto bankowe.

Charlie poprawił się, zmieszany, w fotelu. O tym nie pomyślał.

– Racja.

– Zresztą nie sądzę, żeby gość cierpiał na brak pieniędzy. Był całkiem przyzwoicie ubrany. Wypożyczył dwa samochody, wynajął tę chatę, a to chyba kosztuje. No i cały ten sprzęt. On nie wygrzebuje kolacji ze śmietnika.

– Nawet jeśli to prawda, to co mu szkodzi dorobić sobie twoim kosztem? – spytał Charlie.

– Nie wysunął dotąd żadnych żądań. Ciekawe dlaczego? – LuAnn zamyśliła się na chwilę, potem podniosła głowę. – Pemberton mówił, kiedy wynajęta została ta chata?

– Jakiś miesiąc temu.

– Tym mniej prawdopodobne, że zamierza nas szantażować. Po co by tyle czekał? Skontaktowałby się ze mną od razu i powiedział, że wie o wszystkim. Skąd mógł wiedzieć, czy pewnego pięknego ranka nie stwierdzi, że zniknęłam? I że przepadła mu okazja dorobienia sobie moim kosztem?

Charlie westchnął głęboko.

– No to co robimy?

– Czekamy – odparła LuAnn. – Ale załatw, co trzeba, żebyśmy mogli szybko opuścić kraj. Prywatnym odrzutowcem. A ponieważ on wie o Catherine Savage, będą nam też potrzebne nowe dokumenty. Potrafisz je zdobyć?

– Będę musiał odnowić parę starych kontaktów, ale da się zrobić. Potrwa to kilka dni.

LuAnn wstała z sofy.

– A co z Riggssem? – spytał Charlie. – On teraz nie popuści.

– Nic na to nie poradzimy. Riggs nam nie ufa i wcale mu się nie dziwię.

– Nie sądzę, żeby zrobił coś, co by ci mogło zaszkodzić.

Spojrzała na niego ostro.

– Skąd wiesz?

– Widzisz, LuAnn, nie trzeba naukowca od rakiet, żeby zauważyć, że wpadłaś mu w oko. – Powiedział to z nutką niechęci. Ale przy następnych słowach ton jego głosu złagodniał: – Wygląda na porządnego faceta. W innych okolicznościach, kto wie. Nie powinnaś żyć sama, LuAnn.

Zarumieniła się.

– Nie jestem sama. Mam Lisę i ciebie. Nikogo więcej nie potrzebuję. – Odwróciła wzrok.

Jak mogła się z kimś teraz związać? To niemożliwe. Jej życie to same półprawdy i kłamstwa. Nie była już realną osobą. Była trzydziestoletnią skorupą. Resztę zabrał Jackson. Gdyby nie zadzwoniła do niego wtedy! Gdyby nie spanikowała! Nie miałyby teraz za sobą dziesięciu lat przeistaczania się w kobietę, którą zawsze chciała być. Nie mieszkałyby w rezydencji wartej miliony dolarów. Ale żyłyby z pewnością pełniej niż teraz. Czy to w innej przyczepie kempingowej, czy w garkuchni na postoju dla ciężarówek, LuAnn Tyler nędzarka byłaby prawdopodobnie szczęśliwsza od Catherine Savage księżniczki, o zostaniu którą tak marzyła. Ale gdyby nie przyjęła propozycji, Jackson prawdopodobnie by ją zabił. Nie miała wyjścia. Spojrzała

znowu na Charliego i rozpostarła szeroko ramiona.

– To kompromis, Charlie. Za to. Za to wszystko. Tylko ty, ja i Lisa.

– Trójka muszkietarów. – Charlie próbował się uśmiechnąć.

– Módlmy się, żeby to się szczęśliwie skończyło. – LuAnn wyszła z gabinetu, żeby poszukać córki.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną tak szybko spotkać, panie Pemberton.

– John, proszę mi mówić John, panie Conklin. – Pemberton uściśnął rękę mężczyzny i usiadł przy małym stole konferencyjnym w biurze agencji obrotu nieruchomościami Pembertona.

– Ja jestem Harry – oznajmił Conklin.

– Wspominałeś przez telefon, że jesteś zainteresowany kupnem domu, ale ani nie powiedziałeś którego, ani ile jesteś skłonny za niego zapłacić.

Pemberton przyglądał się dyskretnie Harry’emu Conklinowi. Dobrze ubrany, pewny siebie sześćdziesięciolatek, gustujący niewątpliwie w życiu na wysokiej stopie. Pemberton oszacował napędce potencjalną prowizję.

– Polecono mi ciebie – powiedział Conklin. – O ile wiem, specjalizujesz się w obrocie luksusowymi rezydencjami na tym terenie.

– Zgadza się. Tu się urodziłem i wychowałem. Znam wszystkich i każdą godną uwagi posiadłość. A więc interesuje cię luksusowa rezydencja?

Conklin napuszył się.

– Pozwól, że trochę ci o sobie opowiem. Gram na Wall Street i przyznam nieskromnie, że dobrze mi się wiedzie. Ale to zabawa dla młodych, a ja do młodych już się nie zaliczam. Mam apartament na Manhattanie, mieszkanie w Rio, dom na Fisher Island na Florydzie i wiejską posiadłość pod Londynem. Ale zamierzam się wynieść z Nowego Jorku i radykalnie uprościć sobie życie. A ładniejszej niż ta okolica ze świecą szukać.

– Święta racja – podchwycił skwapliwie Pemberton.

– Prowadzę bogate życie towarzyskie, a więc musi to być coś sporego. Ale zależy mi również na prywatności. Najlepszy byłby jakiś stary i elegancki, ale zmodernizowany dom. Lubię starocie, ale nie odnosi się to do starych rur wodociągowych, rozumiesz, o co mi chodzi?

– Doskonale.

– W okolicy znajdzie się pewnie kilka posiadłości spełniających kryteria, które przytoczyłem.

– O tak. Jest w czym wybierać – zapewnił gorliwie Pemberton.

– Tylko widzisz, ja mam już jedną upatrzoną. Słyszałem o niej od swojego świętej pamięci ojca. On też grał na giełdzie. W latach dwudziestych. Zbił fortunę i miał to szczęście, że wycofał się tuż przed krachem. Przyjeżdżał tutaj do swojego przyjaciela, który również grał na giełdzie. Był zachwycony jego domem. Myślę, że synowi wypadałoby kupić posiadłość, która tak się podobała ojcu, i zamieszkać w niej.

– Wyśmienity pomysł. Bardzo mi ułatwi zadanie. Jak nazywa się ta posiadłość? – Pemberton uśmiechał się od ucha do ucha.

– Wicken’s Hunt.

Uśmiech spelzł z twarzy Pembertona.

– Ojej. – Oblizwał wargi, cmoknął. – Wicken’s Hunt – powtórzył z zawodem.

– O co chodzi? Spaliła się czy jak?

– Nie, nie. To piękna posiadłość, niedawno wyremontowana i zmodernizowana. – Pemberton westchnął głęboko. – Niestety nie mam jej już w swojej ofercie.

– Na pewno? – spytał z niedowierzaniem Conklin.

– Na pewno. Sam ją sprzedawałem.

– Cholera! Dawno?

– Mniej więcej dwa lata temu, chociaż nowi właściciele mieszkają tam dopiero od paru miesięcy. Bardzo długo trwały prace renowacyjne.

Conklin popatrzył na niego chytrze i uniósł brew.

– A nie sprzedają jej czasem?

Pemberton analizował pośpiesznie możliwości. Sprzedać taką posiadłość dwa razy w ciągu dwóch lat? To by dopiero był zastrzyk dla jego portfela.

– Wszystko jest możliwe. Tak się składa, że dosyć dobrze ich znam... to znaczy jego. Nawet niedawno jadłem z nim śniadanie.

– A więc to małżeństwo? W moim wieku, jak przypuszczam? Z tego, co wiem od ojca, Wicken’s Hunt nie jest domem dla młodożeńców.

– Nie są małżeństwem. On jest starszy, ale posiadłość należy do niej.

– Do niej? – Conklin pochylił się w przód.

Pemberton rozejrzał się, wstał, zamknął drzwi salki konferencyjnej i wrócił na swoje krzesło.

– Rozumiesz, że to, co mówię, musi pozostać między nami.

– Oczywiście. Nie przetrwałbym tylu lat na Wall Street, gdybym nie potrafił utrzymać języka za zębami.

– W księgach jest zapisane, że Wicken’s Hunt należy do jakiejś firmy, ale tak naprawdę właścicielką jest ta młoda kobieta, Catherine Savage. Nieprawdopodobnie bogata. Niby to nie mój interes, ale szczerze mówiąc, mam poważne podejrzenia co do pochodzenia tego majątku. Przez wiele lat mieszkała za granicą. Ma dziesięcioletnią córkę. Gawędzimy sobie czasem z Charliem Thomasem – tym starszym mężczyzną. Są bardzo szczodrzy dla kilku miejscowych funduszy dobroczynnych. Ona rzadko pokazuje się publicznie, ale to rozumiałe.

– Całkowicie. Gdybym się tu sprowadził, mógłbyś mnie tygodniami nie widywać.

– No właśnie. Ale wyglądają mi na porządnych ludzi. Są tu chyba bardzo szczęśliwi. Bardzo. Conklin westchnął.

– Tak, czyli nie ma raczej co liczyć, że będą się chcieli przeprowadzić. Szkoda. – Popatrzył znacząco na Pembertona. – Wielka szkoda, bo mam w zwyczaju dokładać agentowi do ustalonej prowizji premię za sprawną obsługę.

– Naprawdę? – Pemberton ożywił się wyraźnie.

– Chyba żadne względy etyczne nie zabraniają ci przyjmować takich dowodów uznania?

– Ależ skąd – zaprzeczył gorliwie Pemberton. – A jak wysoka byłaby ta premia?

– Dwadzieścia procent ceny sprzedaży. – Harry Conklin, bębniąc palcami o blat stołu, obserwował odmalowujące się na twarzy Pembertona uczucia.

Pemberton, gdyby nie siedział, leżałby już na podłodze.

– To bardzo dużo – udało mu się w końcu wykrztusić.

– Przekonałem się, że najlepszym sposobem na osiągnięcie zamierzonego celu są sowite premie dla osób, które z racji pełnionych funkcji mogą mi w tym pomóc. Ale w tym wypadku nic chyba z tego nie będzie. Może spróbuję w Karolinie Północnej. Dużo dobrego o niej słyszałem. – Conklin wstał.

– Chwileczkę. Jedną chwileczkę.

Po chwili wahania Conklin usiadł powoli z powrotem.

– Być może zjawiłeś się w idealnym momencie.

– A to czemu?

Pemberton nachylił się bliżej.

– Otóż niedawno, bardzo niedawno wydarzyło się coś, co może skłoni ich do odsprzedania posiadłości.

– Co mogłoby ich do tego skłonić, skoro niedawno się wprowadzili i są zadowoleni? Straszy tam czy jak?

– Nie, nic z tych rzeczy. Jak już mówiłem, jadłem z Charliem śniadanie. Był bardzo wzburzony wizytą jakiegoś człowieka, który przyszedł do nich i prosił o pieniądze.

– I co z tego? Mnie się to bez przerwy zdarza. Myślisz, że z tego powodu spakują się i wyjadą?

– Z początku też zbagatelizowałem sprawę, ale im dłużej się zastanawiam, tym dziwniej mi to wygląda. Bo masz rację, ludzie zamożni są bez ustanku nagabywani, czemu więc tak ich wyprowadził z równowagi jeden człowiek? A najwyraźniej wyprowadził.

– Skąd wiesz?

Pemberton uśmiechnął się.

– Charlottesville to w sumie mała miejscina. Wiem na pewno, że niedawno Matt Riggs pojechał obmierzyć granice posiadłości pani Savage, a skończyło się na tym, że o mało nie zginął w szaleńczym wyścigu z jakimś samochodem.

Conklin potrząsnął głową.

– Jaki Matt Riggs?

– Miejscowy przedsiębiorca budowlany, któremu pani Savage zleciła otoczenie swojej posiadłości ogrodzeniem.

– No dobrze, ścigał się z jakimś samochodem. Co to ma wspólnego z Catherine Savage?

– Jeden mój znajomy jechał tego ranka do pracy. Mieszka w tamtej okolicy, a pracuje w mieście. Miał właśnie skręcić w główną szosę prowadzącą do miasta, kiedy przed samą maską

śmignęło mu grafitowe BMW. Gdyby wyjechał na szosę sekundę wcześniej, zrobiłoby z niego miazgę. Tak się przestraszył, że sparaliżowało go na dobrą minutę. I na dobre mu to wyszło, bo kiedy tak tam siedział i starał się nie zwrócić śniadania, szosą przemknął pickup Matta Riggsa, a na zderzaku siedział mu jakiś inny samochód. Najwyraźniej się ścigali.

– A kto jechał tamtym BMW?

– Wiesz, nie poznałem jeszcze osobiście Catherine Savage, ale znam ją z opowiadań ludzi, którzy ją widzieli. Jest wysoką blondynką. Bardzo atrakcyjną. Mój znajomy widział osobę siedzącą za kierownicą tylko przez mgnienie oka, ale twierdzi, że to była ładna blondynka. A kiedy raz byłem w Wicken's Hunt dogadać pewne szczegóły umowy kupna, widziałem grafitowe BMW zaparkowane przed domem.

– A więc sądzisz, że ktoś ją ścigał?

– I podejrzewam, że Matt Riggs musiał się w to wtrącić. Wiem, że jego pickup stoi teraz w warsztacie z poharatanym zderzakiem. Wiem też, że Sally Beecham, gospodyni z Wicken's, widziała zdenerwowanego Riggsa wychodzącego tego samego poranka, ale trochę później, z domu.

Conklin pogładził się po brodzie.

– Ciekawe. Podejrzewam, że nie da się ustalić, kto ją ścigał.

– Owszem, da się. Już to ustaliłem. Przynajmniej jego miejsce pobytu. Mówię ci, to się robi coraz bardziej interesujące. Jak już powiedziałem, Charlie zaprosił mnie na śniadanie. Właśnie wtedy powiedział mi o człowieku, który przyszedł do nich w sprawie pieniędzy. Poprosił mnie, żebym mu pomógł ustalić, czy ten człowiek kręci się jeszcze w okolicy. Naturalnie obiecałem, że zrobię, co się da. Wtedy nie wiedziałem jeszcze o tym samochodowym pościgu.

– I mówisz, że znalazłeś tego człowieka? Jak to zrobiłeś? Tyle tu miejsc, w których się można ukryć. – W głosie Conklina słychać było podziw.

Pemberton uśmiechnął się triumfalnie.

– Przede mną niewiele się ukryje, Harry. Jak już powiedziałem, urodziłem się tu i wychowałem. Charlie opisał mi tego faceta i jego samochód. Wykorzystałem swoje kontakty i namierzyłem go w niecałe dwadzieścia cztery godziny.

– Założę się, że zaszył się gdzieś daleko stąd.

Pemberton pokręcił głową.

– Wcale nie. Siedział im pod samym nosem. W małej chatce. Ledwie dziesięć minut drogi samochodem z Wicken's Hunt. Ale na odludziu.

– Zaraz. Nie bardzo się jeszcze orientuję w tym terenie. To gdzieś w pobliżu Monticello?

– Można tak powiedzieć, ale trochę bardziej na północ, to znaczy na północ od międzystanowej Sześćdziesiąt Cztery. Chata stoi niedaleko Airlie Estate, kawałek od drogi dwudziestej drugiej, na terenie dawnej posiadłości Keswick Hunt. Facet wynajął ją przed miesiącem.

– Coś takiego. Ustaliłeś jego nazwisko?

– Tom Jones – powiedział z porozumiewawczym uśmiechem Pemberton. – Na pewno fałszywe.

– Pewnie są ci wdzięczni za pomoc. No i czym się to skończyło?

– Nie wiem. Nie miałem kiedy tym się zajmować. Nie rozmawiałem z nimi od tamtego czasu.

– Ten Riggs pewnie teraz żałuje, że się wtrącił.

– Nic specjalnego mu się nie stało.

– Być może, ale ścigać się na złamanie karku po publicznej drodze?! Przedsiębiorcy budowlani raczej tego nie robią.

– Riggs od niedawna jest przedsiębiorcą budowlanym.

– Tak? – mruknął Conklin z nieprzeniknioną twarzą. – A kim był wcześniej?

Pemberton wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem. Nie mówi nigdy o swojej przeszłości. Zjawił się tu pewnego dnia jakieś pięć lat temu, rozpoczął naukę zawodu i już został. Dosyć tajemniczy osobnik. Charlie uważa, że był kiedyś policjantem. Ale mnie się wydaje, że pracował raczej w jakichś tajnych służbach rządowych i posłali go na zieloną trawkę. Ale to tylko moje domysły.

– Bardzo ciekawe. Czyli to jakiś starszy gość?

– Nie. Pod czterdziestkę. Wysoki, silny i bardzo zdolny. Ma świetną opinię.

– To mu się chwali.

– Wracając do interesów. Jeśli ten człowiek naprawdę ich prześladowe, to mogę porozmawiać z Charliem, wysondować, co zamierza. Może zgodzą się przeprowadzić. Na pewno warto zapytać.

– Wiesz co, daj mi parę dni do namysłu.

– Mogę już podjąć wstępne kroki.

Conklin podniósł rękę.

– Nie, wstrzymaj się jeszcze. Kiedy będę gotowy, załatwimy sprawę szybko, nie martw się.

– Pomyślałem sobie tylko...

Conklin wstał.

– Wkrótce się do ciebie odezwę, John. Doceniam twoje zaangażowanie, naprawdę.

– A jeśli nie zechcą się przeprowadzić, to mogę ci pokazać w okolicy co najmniej tuzin posiadłości, które tak samo, jeśli nie bardziej, przypadną ci do gustu.

– Intryguje mnie ten gość z chaty. Możesz mi powiedzieć, jak tam trafić?

Pemberton zrobił wielkie oczy.

– Chyba nie chcesz tam jechać? Facet może być niebezpieczny.

– O mnie się nie martw. Prowadząc swoje interesy, przekonałem się, że nigdy nie wiadomo, w kim można znaleźć sprzymierzeńca. – Conklin patrzył znacząco na agenta dopóty, dopóki nie wyczytał z jego twarzy, że zrozumiał. Pemberton zapisał wskazówki na kartce i wręczył mu ją.

Conklin wyjął z kieszeni kopertę, podał ją Pembertonowi i wymownym gestem dał mu do

zrozumienia, że ma do niej zajrzeć.

– O Boże! – Pemberton gapił się na plik banknotów, które wysypały się z koperty. – Za co to? Nic jeszcze nie zrobiłem.

Conklin patrzył na Pembertona przenikliwie.

– Dostarczyłeś mi informacji, John. A ja bardzo sobie cenię informacje. Będziemy w kontakcie.

Uścisnęli sobie dłonie i Conklin wyszedł.

Wróciwszy do zajazdu, w którym się zatrzymał, Harry Conklin wszedł do łazienki, zamknął drzwi i puścił wodę. Piętnaście minut później z łazienki wyszedł Jackson z plastikową siatką zawierającą pozostałości po Harrym Conklinie. Upchnął je do bocznej kieszeni walizki. Rozmowa z Pembertonem okazała się bardzo owocna. Nie spotkał się z tym człowiekiem przypadkowo. Po przybyciu do Charlottesville przeprowadził dyskretny wywiad środowiskowy i szybko ustalił, że to agencja Pembertona miała w swojej ofercie Wicken's Hunt. Usiadł na łóżku, rozpostarł dużą, szczegółową mapę okolic Charlottesville, odszukał na niej miejsca, o których rozmawiał z Pembertonem, i zaglądając do wskazówek zapisanych przez agenta, prześledził i zapamiętał trasę do chaty. Przed spotkaniem z Pembertonem zapoznał się z dziejami Wicken's Hunt, opisanymi szczegółowo w książce o okolicznych posiadłościach oraz ich pierwszych właścicielach, którą wypożyczył w miejskiej bibliotece. Na podstawie znalezionych w niej informacji sfabrykował wiarygodny pretekst do pociągnięcia Pembertona za język.

Jackson zamknął oczy i zamyślił się. Planował już kampanię przeciwko LuAnn Tyler i napastującemu ją mężczyźnie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Riggs wybrał się po swojego jeepa dopiero następnego dnia. Na wypadek, gdyby facet jeszcze się tam kręcił, wziął ze sobą broń i pojechał nocą. Cherokee wyglądał na nieuszkodzonego. Riggs obejrzał go pobieżnie, a potem podkraść się do chaty. Chryslera przed nią nie było. Poświecił latarką w okno szopy. Honda nadal tam stała. Zaszedł chatę od frontu, po raz setny zadając sobie w duchu pytanie, czy nie lepiej zostawić sprawę w spokoju. Wokół Catherine Savage działo się coś niedobrego. On dosyć miał takich atrakcji i przeniósł się do Charlottesville, by od nich uciec. Jednak ręka sama powędrowała do gałki u drzwi. Nie były zamknięte na klucz.

Z latarką w jednej ręce i z pistoletem w drugiej Riggs przekroczył ostrożnie próg. Był właściwie przekonany, że w środku nikogo nie ma, ale takie założenie mogło się skończyć niepożądaną podróżą do kostnicy z karteczką dyndającą przy dużym palcu u nogi. Z miejsca, w którym stał, widział prawie cały parter. Przesunął powoli promieniem latarki po pokoju. Zauważył wyłącznik światła na ścianie, ale ani myślał z niego korzystać. Była to jadalnia. Na zakurzonej podłodze odróżniał ślady świadczące, że jeszcze niedawno coś na niej stało. Przejechał po tych miejscach palcem i ruszył dalej. W kuchni uniósł słuchawkę telefonu. Nie było sygnału. Wrócił do jadalni.

Rozglądając się po pomieszczeniu, nie zauważył postaci w czerni stojącej za uchylonymi drzwiami ściennej szafy przy schodach.

Jackson, widząc jak promień latarki zbliża się do jego kryjówki, zamknął oczy, żeby nie odbiło się w nich światło. Kiedy promień przesunął się dalej, otworzył z powrotem oczy i zacisnął dłoń na rękojeści noża. Usłyszał Riggsa, zanim ten zdążył postawić nogę na ganku. Wiedział, że nie jest to mężczyzna, który wynajął chatę. Tamten dawno się stąd wyniósł. Jackson przeszukał już dokładnie wnętrze. Ten człowiek również przybył tu na rekonesans. To pewnie ten Riggs – wywnioskował Jackson. Riggs interesował Jacksona prawie tak samo jak mężczyzna, którego przyszedł dzisiaj zabić. Przed dziesięciu laty Jackson przewidywał, że z LuAnn będą kłopoty, i teraz to się sprawdzało. Po rozmowie z Pembertonem sprawdził wstępnie Riggsa. Zaintrygował go bardzo fakt, że niewiele można się było na jego temat dowiedzieć.

Kiedy Riggs mijał w odległości kilku stóp jego kryjówkę, Jackson gotów był go zabić. Wystarczyłoby jedno cięcie ostrym jak brzytwa nożem po gardle. Powstrzymał się w ostatniej chwili. Usuwając teraz Riggsa, nic by nie osiągnął. Rozluźnił chwyt na rękojeści noża. Ten facet pożyje jeszcze jeden dzień. Następne spotkanie, jeśli do takiego dojdzie, może się skończyć inaczej. Nie lubił, kiedy ktoś mieszał się do jego spraw. Na razie postanowił dokładniej sprawdzić przeszłość Riggsa.

Riggs wyszedł z chaty. Zrobiwszy parę kroków, przystanął i obejrzał się. Jakiś szósty zmysł podpowiadał mu, że przed chwilą niewiele brakowało, by spotkało go nieszczęście. Otrząsnął się z tego uczucia. Kierował się kiedyś instynktem, ale ten zdążył się już przytępić od czasu zmiany zajęcia. Zwyczajny opuszczony dom, i nic ponad to.

Jackson, obserwując przez okno odwrót intruza, zauważył wahanie Riggsa, i to jeszcze bardziej rozbudziło jego ciekawość. Będzie się musiał bliżej zainteresować tym człowiekiem, ale wszystko po kolei. Na razie miał coś pilniejszego do zrobienia. Podniósł z podłogi szafy torbę podobną do lekarskiej. Przeszedł z nią do jadalni, przykucnął i wypakował zawartość – profesjonalny zestaw daktyloskopijny. Zbliżył się do wyłącznika górnego światła i skierował na niego wiązkę ręcznego lasera, który wyjął z kieszeni kurtki. Laserowy promień ujawnił kilka niewidocznych gołym okiem odcisków palców. Szczoteczką z włókna szklanego naniósł na te miejsca czarny proszek, a następnie odkurzył dokładnie cały wyłącznik. Odciski nabrały wyrazistości. Tę samą procedurę zastosował wobec kuchennej lady, telefonu i gałek u drzwi. Najwyraźniejsze odciski palców zdjął z telefonu. Uśmiechnął się z satysfakcją. Prawdziwa tożsamość Riggsa oraz osobnika, który tu się zadomowił, już niedługo pozostanie tajemnicą. Pozdejmował wszystkie wykryte odciski palców specjalną taśmą i przeniósł każdy na osobną kartę identyfikacyjną. Nucąc pod nosem, oznakował karty specjalnymi symbolami i umieścił każdą w osobnym plastikowym pudełeczku. Na koniec zmiótł skrupulatnie pozostałości proszku daktyloskopijnego ze wszystkich badanych powierzchni. Lubił pracować metodycznie. Precyzja ponad wszystko. Po kilku minutach wychodził już ze spakowanym zestawem z chaty. Dotarł wąską ścieżką do miejsca, gdzie zostawił samochód, i odjechał. Nieczęsto udaje się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Wyglądało na to, że dzisiejszej nocy miał to szczęście.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

– Lubię tego pana Riggsa, mammo.

– Przecież wcale go nie znasz.

LuAnn siedziała na brzegu łóżka córki i bezwiednie ugniatała palcami rąbek prześcieradła.

– Mam w tych sprawach dobre wyczucie.

– Naprawdę? To może mi zdradzisz, co ci ono podpowiada.

– Kiedy on tu znowu przyjdzie?

LuAnn odetchnęła głęboko.

– Liso, być może będziemy musiały wkrótce wyjechać.

Ta nagła zmiana tematu zbiła Lisę z tropu. Uśmiech spelzł jej z twarzy.

– Wyjechać?! Dokąd?!

– Trudno powiedzieć. To na razie nic pewnego. Naradzamy się jeszcze z wujkiem Charliem.

– Mnie też bierzecie pod uwagę w tych swoich naradach?

Obcy ton w głosie córki zmroził LuAnn.

– O czym ty mówisz?

– Ile razy się przeprowadzaliśmy przez ostatnie sześć lat? Osiem? Tyle mniej więcej pamiętam. Nie wiadomo, ile było tych przeprowadzek wcześniej, kiedy byłam jeszcze malutka. To nie fair. – Na policzki Lisy wystąpił rumieniec, głos jej drżał.

LuAnn otoczyła ją ramieniem.

– Słoneczko, ja nie powiedziałam, że to już postanowione. Powiedziałam tylko, że być może.

– Wszystko jedno. Jak nie teraz, to może za miesiąc oświadczysz: „Przeprowadzamy się”, i nie będzie dyskusji.

LuAnn zagłębiła twarz w długich, puszystych włosach Lisy.

– Wiem, że ci z tym ciężko, dziecko.

– Nie jestem już dzieckiem, mammo. I naprawdę chciałabym się wreszcie dowiedzieć, przed czym uciekamy.

– Przed niczym nie uciekamy. Niby przed czym mielibyśmy uciekać?

– Miałam nadzieję, że ty mi to powiesz. Podoba mi się tutaj, nie chcę wyjeżdżać, i jeśli nie wyjaśnisz mi, dlaczego musimy to zrobić, nie wyjadę.

– Liso, masz dopiero dziesięć lat i pomimo całej swojej inteligencji i dojrzałości jesteś jeszcze dzieckiem. A więc twoje miejsce jest przy mnie.

Lisa odwróciła głowę.

– Ustanowiłaś dla mnie fundusz powierniczy?

– Tak, czemu pytasz?

– Bo kiedy skończę osiemnaście lat, kupię sobie własny dom i będę w nim mieszkała aż do

śmierci. A ciebie nigdy do siebie nie zaproszę.

– Liso! – LuAnn poczerwieniała.

– Zobaczysz. I znajdę sobie przyjaciół, i będę robiła, co zechcę.

– Liso Mario Savage, zwiedziłaś cały świat. Widziałas tyle, ile inni ludzie nie zobaczą przez całe życie.

– Wiesz co?

– Co?

– Bez wahania zamieniłabym się z nimi teraz miejscami. – Lisa położyła się na łóżku i przykryła się aż po głowę kocem. – I chcę być teraz sama.

LuAnn chciała coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnowała. Przygryzając mocno wargę, wybiegła na korytarz, wpadła do swojego pokoju i rzuciła się na łóżko.

Wszystko się rozlażyło jak zetlały materiał. Czowała to. Wstała, wbiegła do łazienki i puściła natrysk. Rozebrała się szybko, weszła pod strugi parującej wody, oparła się o ścianę i zamknawszy oczy, usiłowała sobie wmówić, że wszystko będzie dobrze, że Lisie do rana przejdzie, że znowu będzie kochającą córeczką. Nie była to ich pierwsza poważna scysja. Lisa nie tylko fizycznie przypominała matkę; odziedziczyła również po niej niezależność i upór. Po paru minutach LuAnn uspokoiła się i poddała kojącemu działaniu wody.

Otwierając znowu oczy, myślała już o czymś innym. Matthew Riggs miał ją chyba teraz za wariatkę. Zakłamaną wariatkę. Niezła kombinacja cech, jeśli chce się robić na kimś wrażenie. Ale ona nie chciała na nim wywierać wrażenia. Było jej tylko żal tego człowieka, bo dwukrotnie ryzykował dla niej życie i dwukrotnie odplacono mu za to niewdzięcznością. Był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, ale ona nie szukała partnera. Tego by jeszcze brakowało. Chyba już nigdy z nikim się nie zwiąże. Bałaby się rozmawiać ze strachu, że niechcący się zdradzi. Jednak nie potrafiła odgonić od siebie myśli o Matcie Riggsie. Bardzo przystojny mężczyzna. Silny, prawy, odważny. On też nosił w sercu jakąś tajemnicę. I cierpienie. Zakłęła głośno na myśl, iż jej życie jest aż tak nienormalne, że nie może się z nim nawet zaprzyjaźnić.

Namydlała ciało gwałtownymi ruchami, rozładowując w ten sposób swoją frustrację. I brutalny nacisk własnych dłoni na skórę coś jej nagle uświadomił. Ostatnim mężczyzną, z którym spała, był Duane Harvey. Od tamtego czasu minęło już dziesięć lat. Kiedy przesuwiała palcami po piersiach, przed oczyma stanęła jej znowu twarz Riggsa. Potrząsnęła gniewnie głową, zacisnęła mocno powieki i wsparła się czołem o ścianę kabiny natryskowej. Kafelki były mokre i ciepłe. Trwała w tej pozycji, chociaż przez głowę przemykały jej niebezpieczne skojarzenia. Ta wilgoć. To ciepło. To poczucie bezpieczeństwa. Myśląc wciąż o Matcie Riggsie, niemal nieświadomie zsunęła dłonie na talię, potem na pośladki. Oczy miała mocno zaciśnięte. Palce prawej dłoni prześliznęły się na brzuch. Oddychała coraz głośniej. Z ust wyrwał się cichy jęk. Wielka łza potoczyła się po policzku, ale zaraz zmyła ją woda. Dziesięć lat. Dziesięć – cholernych lat. Palce obu dłoni stykały się teraz, zachodziły na siebie jak tryby zegara. Powoli, metodycznie, niezawodnie. Tam i z powrotem... Wyprostowała się tak gwałtownie, że o mało nie uderzyła

głową o natrysk.

– Boże, LuAnn! – krzyknęła do siebie. Zakręciła wodę i wyszła spod natrysku. Usiadła na klapie sedesu i zwiesiła głowę między kolana. Powoli dochodziła do siebie. Mokra włosy lgnęły do długich, nagich nóg. Ociekająca z niej woda tworzyła kałużę na posadzce. Z poczuciem winy w oczach spojrzała na kabinę natryskową. Napięła mięśnie pleców, żyły na rękach nabrzmiały. To trudne. Bardzo trudne.

Wstała chwiejnie, wytarła się i wyszła z łazienki.

W luksusowo urządzonej sypialni wisiał zegar, który dostała od matki. Jego tykanie koło nerwy. Jakie to szczęście, że przed laty zdążyła go wepchnąć do torby, zanim zaatakował ją w przyczepie tamten mężczyzna. Do dzisiaj lubiła słuchać nocami odgłosów, jakie wydaje. Gubił je co trzecie bicie, a o piątej po południu emitował dźwięk kojarzący się z lekko przydepiętymi cymbałami. Zużyte tryby, sprężyny, cały mechanizm, jednak dla niej ten zegar był jak stary przyjaciel grający na sfatygowanej gitarze, która nie brzmi już tak idealnie, jak powinna, ale uspokaja, przynosi poczucie komfortu.

Wciągnęła spodnie i wróciła do łazienki, żeby wysuszyć włosy. Z lustra spojrzała na nią kobieta na krawędzi. Czego? Prawdopodobnie załamania. Może pora odwiedzić psychiatrę? Podjąć jakąś kurację? – pytała bezgłośnie swojego odbicia w lustrze. Nie, psychoterapia nie wchodzi w grę. Jak zwykle musi się z tym uporać sama.

Przesunęła palcem po bliźnie na policzku, wyczuwając każdy kontur poszarpanej, uszkodzonej skóry i przeżywając na nowo bolesne zdarzenia z przeszłości. Nigdy nie zapomnisz – mówiła sobie. – To wszystko fałsz. Kłamstwo.

Wysuszyła włosy i chciała już wrócić do sypialni, by znowu rzucić się tam na łóżko, kiedy przypomniały się jej słowa Lisy. Nie, nie może przeżywać przez całą noc tej urazy i gniewu. Musi jeszcze raz porozmawiać z córką. A przynajmniej spróbować. Tak, pójdzie zaraz do niej.

– Witaj, Lu Ann.

Jakby ktoś zdzielił ją obuchem w głowę. Przytrzymała się framugi, bo nogi się pod nią ugięły. Patrzyła na niego ze zmartwiałą twarzą. Nie potrafiła dobyć z siebie głosu.

– Dawno się nie widzieliśmy. – Jackson odszedł od okna i usiadł na krawędzi łóżka.

Jego nonszalancja uwolniła wreszcie LuAnn z okowów bezwładu.

– Jak pan tu, u diabła, wszedł?

– Nieważne.

Dobrze знаła ten głos i ten ton. Odżyły wspomnienia sprzed lat.

– Czego pan chce? – wykrztusiła.

– Zaraz do tego przejdziemy. A ponieważ zanosisz się na dłuższą rozmowę, radziłbym ci coś na siebie zarzucić. – Patrzył na nią znacząco.

LuAnn nie mogła oderwać oczu od niespodziewanego gościa. Nie wiedzieć czemu wolała stać przed nim półnaga, niż odwrócić się choćby na chwilę plecami. W końcu przełamała się i wyciągnęła z szafy krótki szlafrok. Przewiązała się ciasno paskiem w talii i odwróciła. Jackson

już na nią nie patrzył. Rozglądał się po imponującym buduarze, zatrzymał na chwilę wzrok na ściennym zegarze, po czym podjął oględziny. Najwyraźniej jej nagie do połowy ciało – za ujrzenie którego wielu mężczyzn oddałoby wszystko – nie zrobiło na nim szczególnego wrażenia.

– Ładnie się urządziłaś. O ile dobrze pamiętam, ostatnio gustowałaś w brudnym linoleum i gratach ze śmietnika.

– Nie podoba mi się to najście.

Odwrócił się do niej z błyskiem w oku.

– A mnie się nie podoba, że zmuszony byłem rzucić wszystko i znowu śpieszyć ci z odsieczą, LuAnn. A przy okazji, jak mam się do ciebie zwracać, LuAnn czy Catherine?

– Wszystko mi jedno – warknęła. – I nie potrzeba mi żadnej odsieczy, a już na pewno nie z pańskiej strony.

Wstał z łóżka i taksującym spojrzeniem ocenił jej zmienioną powierzchowność.

– Bardzo dobrze. Co prawda ja zrobiłbym to lepiej, ale nie bądźmy drobiazgowi – orzekł w końcu. – Tak czy inaczej, prezentujesz się bardzo szykownie, bardzo wytwornie. Moje gratulacje.

– Ostatnio widziałam pana w sukience – zauważyła LuAnn. – Poza tym niewiele się pan zmienił.

Jackson nadal miał na sobie czarne ubranie, w którym był w chacie, i ucharakteryzował się tak samo jak na ich pierwsze spotkanie, z tym że teraz nie przydał sobie tuszy.

– Czyżbyś o tym nie wiedziała? – spytał z uśmiechem, który rozlał mu się po całej twarzy. – Pomijając inne moje cudowne właściwości, nigdy się nie starzeję. – Uśmiech zgasł tak szybko, jak się pojawił. – Porozmawiajmy. – Przysiadł znowu na krawędzi łóżka i wymownym gestem zaprosił LuAnn do zajęcia miejsca przy małym antycznym sekretarzyku stojącym pod ścianą. Posłuchała.

– O czym?

– Słyszałem, że miałaś gościa. Mężczyznę, który ścigał cię samochodem.

– Skąd pan, u diabła, o tym wie? – spytała gniewnie.

– Uparcie nie przyjmujesz do wiadomości faktu, że przede mną nic się nie ukryje. Na przykład to, że pomimo mojego wyraźnego zakazu wróciłaś do Stanów Zjednoczonych.

– Dziesięć lat upłynęło.

– Ciekawe, nie przypominam sobie, żebym ustalał jakąś datę wygaśnięcia tego zakazu.

– Nie może pan oczekiwać, że będę przez całe życie uciekała.

– Wprost przeciwnie, właśnie tego od ciebie oczekuję. Właśnie tego żądam.

– Nie może pan kierować moim życiem.

Jackson rozejrzał się znowu po pokoju i wstał.

– Jeszcze do tego wrócimy. Teraz opowiedz mi o tym człowieku.

– Potrafię to sama załatwić.

– Doprawdy? O ile mi wiadomo, popełniasz jedną gafę za drugą.

– Proszę wyjść! Wynoś się pan w cholerę z mojego domu!

Jackson pokręcił spokojnie głową.

– Czas nie ostudził ani trochę twojego temperamentu. Nieograniczony dopływ gotówki nie ma widocznie wpływu na maniery i takt, prawda?

– Idź pan do diabła.

Jackson wsunął rękę do kieszeni.

W tej samej chwili LuAnn porwała z sekretarzyka nóż do papieru i zamierzyła się nim.

– Potrafię cię tym zabić z odległości dwudziestu stóp. Za pieniądze można się wiele nauczyć.

Jackson pokręcił ze smutkiem głową.

– Wyszukałem cię przed dziesięciu laty, młodą dziewczynę z głową na karku, w bardzo trudnej sytuacji życiowej. Byłaś wtedy nędzarką z marginesu, LuAnn. I stwierdzam z przykrością, że stare odruchy trudno wykorzenić. – Wysunął powoli rękę z kieszeni. Trzymał w niej karteczkę. – Odłóż tę zabawkę. Nie będzie ci potrzebna. – Patrzył na nią ze spokojem, który ją paraliżował. – W każdym razie nie dzisiaj. – Rozłożył kartkę. – No więc tak. Słyszałem, że w twoim życiu pojawili się ostatnio dwaj mężczyźni. Jednym z nich jest niejaki Matthew Riggs. Drugi pozostaje na razie niezidentyfikowany.

LuAnn opuściła powoli rękę, ale nie wypuszczała z niej noża. Jackson spojrział na nią znad karteczki.

– W moim interesie leży, żeby twoja tajemnica nie wyszła na jaw. Prowadzę rozliczne interesy i ponad wszystko cenię sobie anonimowość. Jesteś pierwszą w rządzie kostek domina. Kiedy raz zaczną się przewracać, nie przestaną, aż padnie ostatnia. Tą ostatnią jestem ja. Rozumiesz?!

LuAnn poprawiła się na krześle i założyła nogę na nogę.

– Tak – burknęła.

– Wracając do Stanów, niepotrzebnie skomplikowałaś mi życie. Człowiek, który cię śledzi, zdemaskował cię częściowo, docierając do twojego zeznania podatkowego. Właśnie w obawie przed tym zabroniłem ci wracać.

– Chyba rzeczywiście nie powinnam – przyznała LuAnn. – Ale niech pan spróbuje co sześć miesięcy przenosić się do innego kraju, do innego obszaru językowego. I niech pan spróbuje to zrobić z małą dziewczynką.

– Rozumiem twoje trudności. Założyłem jednak, że wynagrodzi je z nawiązką pozycja jednej z najbogatszych kobiet świata.

– Sam pan powiedział, że za pieniądze nie można kupić wszystkiego.

– Nigdy wcześniej nie spotkałaś tego człowieka podczas swoich wojaży? Jesteś tego absolutnie pewna?

– Tak, bo zapamiętałam wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dziesięciu lat – powiedziała cicho.

Jackson przyglądał jej się uważnie.

– Wierzę ci. Czy masz powody przypuszczać, że on wie o loterii?

– Nie – odparła LuAnn po chwili wahania.

– Kłamiesz. Mów prawdę, bo zabiję wszystkich w tym domu, poczynając od ciebie.

Ta niespodziewana pogróżka rzucona spokojnym, beznamiętnym tonem zaparła jej dech w piersiach. Przełknęła z trudem ślinę.

– Miał listę. Listę z dwunastoma nazwiskami. Moim, Hermana Rudy'ego, Bobbie Jo Reynolds i paru innych osób.

Jackson przyswoił sobie natychmiast tę informację i spojrzął na kartkę.

– A ten Riggs?

– Co Riggs?

– Jego przeszłość jest niejasna.

– Każdy ma swoje sekrety.

Jackson uśmiechnął się.

– *Touché*. Nie niepokoiłoby mnie to w innych okolicznościach. Ale w zaistniałych wzbudza niepokój.

– Nie rozumiem.

– Riggs ma tajemniczą przeszłość i dziwnym trafem zjawia się akurat w chwili, kiedy ty potrzebujesz wsparcia. Słyszałem, że ci pomógł.

LuAnn patrzyła na niego pytająco.

– No tak, ale on mieszka tu już od pięciu lat, sprowadził się na długo przede mną.

– Nie o to chodzi. Nie sugeruję, że jest wtoczką. Sugeruję, że mógł być kiedyś zupełnie kimś innym, niż utrzymuje. A teraz przypadkowo zderza się z twoim światem. To mnie niepokoi.

– Nie sądzę, żeby to mogło być coś innego niż przypadek. Zleciłam mu wykonanie pewnych robót. To zupełnie naturalne, że tu był, kiedy tamten człowiek zaczął mnie ścigać.

Jackson pokręcił głową.

– Nie podoba mi się to. Widziałem go dziś wieczorem. – LuAnn wyraźnie zeszytniała. – W chacie. Z tej odległości. – Rozsunął ręce na dwie stopy. – Zastanawiałem się nawet, czy go na miejscu nie zabić. Nie miałbym z tym żadnych trudności.

LuAnn pobladła. Oblizwała wargi.

– Nie ma powodu, żeby to robić.

– Skąd wiesz? Zamierzam go przeświecić i jeśli znajdę w jego życiorysie coś, co sugerowałoby, że może mi narobić kłopotów, wyeliminuję go. Po prostu.

– Mogę zdobyć dla pana te informacje.

– Słucham? – zdziwił się Jackson.

– Riggs mnie lubi. Pomógł mi już dwa razy, prawdopodobnie ocalił życie. Chyba naturalne będzie, jeśli okaże mu wdzięczność. Zbliżę się do niego.

– Nie, nie podoba mi się to.

– Riggs to nikt. Miejscowy przedsiębiorca budowlany. Po co się nim zajmować. Szkoda

czasu.

Jackson przyglądał jej się bacznie przez chwilę.

– Dobrze, LuAnn, zrób tak – zdecydował w końcu. – Ale wszystko, czego się dowiesz, masz natychmiast mi przekazać, bo inaczej, z całym szacunkiem dla pana Riggsa, wezmę sprawę w swoje bardzo sprawne ręce. Jasne?

LuAnn odetchnęła.

– Jasne.

– Naturalnie tego drugiego sam muszę odszukać. Nie powinno to być takie trudne.

– Niech pan tego nie robi.

– Słucham?

– Nie musi pan go szukać.

– Obawiam się, że muszę.

LuAnn stanął przed oczyma pan Tęcza. Nie chciała mieć kolejnego trupa na sumieniu. Nie była tego warta.

– Jeśli znowu się pojawi, wyjedziemy z kraju.

Jackson złożył z powrotem kartkę, schował ją do kieszeni i złączył palce obu dłoni.

– Widzę, że nie ogarniasz w pełni sytuacji. Gdyby chodziło tylko o ciebie, twoje uproszczone rozwiązanie zażegnałoby może niebezpieczeństwo, przynajmniej tymczasowo. Jednak ten człowiek ma na swojej liście nazwiska jeszcze jedenastu osób, z którymi współpracowałem. Podejrzewam, że niemal jednoczesnej ucieczki z kraju was wszystkich po prostu nie da się zorganizować.

– Mogę zapłacić temu człowiekowi – zaproponowała szybko LuAnn. – Ile w końcu może zażądać? To załatwi sprawę.

Jackson uśmiechnął się ironicznie.

– Szantażyści to wyjątkowo wredne plemie. Nigdy nie popuszczają ofierze – dorzucił ostro – jeśli nie zastosuje się wobec nich zdecydowanych środków perswazji.

– Panie Jackson, proszę tego nie robić – powtórzyła.

– Czego mam nie robić, LuAnn?! Nie walczyć o twoje przetrwanie?! – Rozejrzał się. – A co z tym wszystkim?! – Znowu zatrzymał wzrok na niej. – A przy okazji, jak się miewa Lisa? Tak samo piękna jak matka?

Strach ścisnął LuAnn gardło.

– Dobrze, dziękuję.

– To się cieszę. Zadbajmy, żeby tak pozostało.

– Nie może pan zostawić tego mnie?

– LuAnn, mieliśmy już przed laty jednego niedosłego szantażystę. Rozwiązałem tamten problem i tak samo rozwiążę obecny. Takie sprawy wolę załatwiać sam. A ty ciesz się, że pozostawiam przy życiu tego Riggsa. Na razie.

– Ale ten człowiek nie może nam niczego udowodnić. A nawet gdyby mógł, to panu i tak nic

nie grozi. Ja może pójdę do więzienia, ale nie pan. Do diabła, nawet nie wiem, kim pan jest!

Jackson wstał i wyjął wargi. Przez chwilę gładził krawędź narzuty na łóżko.

– Piękna robota – skomentował. – Indiańska, prawda?

I nagle LuAnn zobaczyła wymierzonego w siebie dziewięćmilimetrowca z nakręconym na lufę tłumikiem.

– Potencjalnym rozwiązaniem byłoby uśmiercenie całej waszej dwunastki. Nasz wścibski przyjaciel uderzyłby wtedy głową w mur. Nie zapominaj, że upłynął dziesięcioletni okres obowiązywania naszej umowy. Kapitał w postaci wygranej na loterii został już przelany na konto w szwajcarskim banku, które otworzyłem na twoje nazwisko. Odradzałbym ci zdecydowanie transfer tych pieniędzy do Stanów Zjednoczonych. – Wyjął z kieszeni inną kartkę i położył ją na łóżku. – Oto kody upoważnienia i inne informacje o tym koncie, które umożliwią ci dostęp do niego. Pochodzenia tych pieniędzy nie da się prześledzić. Są twoje. Tak jak się umawialiśmy. – Jackson zagiął palec na spuście pistoletu. – Ale teraz nie jesteś mi już do niczego potrzebna, prawda? – Ruszył w jej stronę. LuAnn ścisnęła mocniej rękojeść noża do papieru.

– Odłóż go, LuAnn. Wiem, że jesteś wysportowana, ale pocisk jest szybszy. Odłóż go, mówię. Natychmiast!

Wypuściła z ręki nóż do papieru i cofnęła się pod ścianę.

Jackson zatrzymał się tuż przed nią. Przyłożył jej lufę pistoletu do lewego policzka, a dłonią w rękawiczce pogłaskał po prawym. Nie było w tym żadnego seksualnego podtekstu. Nawet poprzez rękawiczkę LuAnn wyczuwała czysto kliniczny chłód jego dotyku.

– Powinnaś była rzucić nim od razu, LuAnn. Naprawdę powinnaś. – W jego oczach czaiła się kpina.

– Nie potrafię zabić kogoś z zimną krwią.

– Wiem. I jest to twoja największa wada, bo tak właśnie trzeba zabijać. – Cofnął rękę. – Przed dziesięć laty przeczuwałem, że staniesz się najsłabszym ogniwem w łańcuchu. Ale potem wszystko szło gładko i moje obawy się rozwiały. Teraz stwierdzam, że tamte przeczucia mnie nie myliły. Nawet gdyby nie wisało nade mną bezpośrednio niebezpieczeństwo wpadki, nie mógłbym patrzeć przez palce, jak ten człowiek cię szantażuje, a może nawet rozszyfrowuje mechanizm manipulowania loterią. Bo to znaczyłoby, że przegrałem. A ja nie przegrywam. Nigdy. I nie pozwolę nikomu na jakąkolwiek ingerencję w moje plany. Taka sytuacja, sama w sobie, byłaby porażką. Poza tym nie mogę dopuścić do zepsucia takiej genialnej inscenizacji. Pomyśl tylko, jakie wspaniałe życie ci podarowałem, LuAnn! Pamiętasz, co ci kiedyś obiecałem? Że będziesz mogła wyjechać, dokąd zechcesz, stać się, kim zechcesz? Dotrzymałem słowa. Dokonałem niemożliwego. Spójrz na siebie teraz. Nieskazitelna uroda.

Bez pośpiechu rozwiązał jej pasek u szlafroka i ten się rozchylił, odsłaniając jędrne piersi LuAnn. Jackson zsunął jej go z ramion i szlafrok opadł na podłogę.

– Oczywiście najrozsądniej byłoby cię zabić. Tu i teraz. Zresztą, pal licha. – Przystawił jej pistolet do czoła i nacisnął spust.

LuAnn szarpnęła głową, zacisnęła mocno powieki. Otwierając znowu oczy, napotkała wzrok Jacksona, który z zainteresowaniem studiował jej reakcję. Dygotała na całym ciele. Jej serce waliło jak młotem, brakowało tchu. Jackson pokręcił głową.

– Nie panujesz już tak nad swoimi nerwami jak kiedyś podczas naszego ostatniego spotkania, LuAnn. A właśnie mocne nerwy, czy też raczej ich brak, to sedno sprawy. – Patrzył przez chwilę na pistolet, potem przesunął dźwigenkę bezpiecznika i podjął: – Jak mówię, słabe ogniwo najrozsądniej jest usunąć. – Zawiesił na chwilę głos. – Ale nie zrobię tego z tobą, przynajmniej na razie. Pomimo że mnie nie posłuchałaś, że przez ciebie wszystko się skomplikowało. Chcesz wiedzieć, dlaczego?

LuAnn bała się poruszyć, przyklejona do ściany wlepiła w niego przerażony wzrok.

Uznał jej milczenie za odpowiedź twierdzącą.

– Bo przeczuwam, że przeznaczone ci odegrać wielką rolę. Dramatycznie powiedziane, ale taki już jestem. Chyba sobie na to pozwolę. Zresztą jeśli się dobrze zastanowić, sam cię przecież stworzyłem. Czy mieszkałabyś w tym domu, mówiła i myślała jak osoba wykształcona, podróżowała po świecie, ile dusza zapragnie, gdyby nie ja? Oczywiście, że nie. Zabijając ciebie, zabiłbym w efekcie część siebie. A tego wolałbym uniknąć. Tak czy inaczej pamiętaj, że dzięki zwierzę schwyttane w potrzask, jeśli nie ma już innego wyjścia, poświęci kończynę, by odzyskać wolność i przetrwać. Niech ci się nie wydaje, że nie jestem do takiego poświęcenia zdolny. Jeśli tak myślisz, to jesteś głupia. Mam szczerą nadzieję, że jakoś zdołamy wyciągnąć cię z tych drobnych kłopotów. – Pokręcił współczująco głową, tak jak przed laty, podczas ich pierwszego spotkania. – Naprawdę, LuAnn. Jeśli jednak nie zdołamy, to trudno. W interesach ciągle natrafia się na problemy i liczę, że ze swojej strony zrobisz wszystko, żebyśmy się z tego pomyślnie wyplątali. – Znowu mówił formalnym tonem, wyliczając swoje instrukcje na palcach. – Nie wyjedziesz z kraju. Na pewno zadałaś sobie wiele trudu, żeby do niego wrócić, zostań więc tu jeszcze jakiś czas i baw się dobrze. Będziesz mnie natychmiast powiadamiała o jakimkolwiek nowym zetknięciu z naszym tajemniczym osobnikiem. Możesz mnie nadal łąpać pod numerem telefonu, który dałem ci przed dziesięcioma laty. Ja będę się z tobą kontaktował tak jak zwykle. Musisz się precyzyjnie stosować do wszelkich dodatkowych instrukcji, jakie ci wydam. Zrozumiano?

Kiwnęła szybko głową.

– Mówię w tej chwili poważnie, LuAnn. Jeśli znowu mnie nie posłuchasz, zabiję cię. A umierać będziesz powoli i w niewyobrażalnych męczarniach. – Delektował się przez chwilę jej reakcją na te słowa. – Teraz idź do łazienki i doprowadź się do porządku.

Oderwała się od ściany i odwróciła jak w transie.

– Aha, LuAnn, jeszcze jedno. Obejrzała się.

– Miej na uwadze, że jeśli nie uda się nam zażegnać tego problemu i będę musiał wyeliminować słabe ogniwo, nic mnie nie powstrzyma. – Zerknął złowieszczo na ścianę sypialni, za którą spała Lisa. Spojrzał znowu na LuAnn. – Staram się dawać swoim współpracownikom

okazję do wykazania się własną inicjatywą. Przekonałem się, że wtedy bardzo rzadko mnie rozczarowują.

LuAnn wbiegła do łazienki i zamknęła drzwi na zasuwkę. Zaciśnęła kurczowo dłonie na krawędzi marmurowego blatu toaletki. Nogi się pod nią uginały, zupełnie jakby swój szkielet zostawiła w sypialni. Po chwili doszła trochę do siebie. Owinęła się ręcznikiem kąpielowym i powoli usiadła na posadzce. Znajdowała się w poważnym niebezpieczeństwie. Ale najbardziej przerażała ją fakt, że mordercze zapędy Jacksona mogą objąć również Lisę.

Dziwne, ale ta myśl ją otrzeźwiła. Popatrzyła na drzwi. Stał za nimi człowiek, do którego była podobna bardziej, niżby się z pozoru wydawało. Oboje mieli swoje tajemnice; oboje swoje ogromne majątki zdobyli na drodze nielegalnych machinacji. Oboje wyrastali ponad przeciętność zarówno intelektualnie, jak i fizycznie. I co może najbardziej znamienne, oboje kogoś zabili. Co prawda ona zrobiła to spontanicznie i w samoobronie, ale Jackson, choć zabił z premedytacją, to w pewnym sensie również działał w samoobronie. No i efekt był ten sam. Zginęli ludzie.

Podniosła się powoli. Jeśli Jackson waży się kiedykolwiek podnieść rękę na Lisę, to najpierw będzie musiał zabić ją, LuAnn, albo sam zginie z jej ręki. Ręcznik opadł na posadzkę. Odblokowała drzwi. Między Jacksonem a LuAnn Tyler zdawała się istnieć jakaś eteryczna więź, która wymykała się wszelkim próbom logicznego wyjaśnienia. Mimo że upłynęło tyle czasu, ich związek synaptyczny pozostawał sprzężony w sensie niemal fizycznym. I LuAnn nie miała najmniejszych wątpliwości, co zastanie po powrocie do sypialni. Otworzyła gwałtownie drzwi. Rzeczywiście. Jacksona już tam nie było.

LuAnn pośpiesznie narzuciła na siebie szlafrok i pobiegła do sypialni Lisy. Dziewczynka oddychała miarowo. Spała. LuAnn stała tam przez chwilę. Bała się zostawić córkę samą. Nie chciała jej budzić. Nie potrafiłaby ukryć przed małą przerażenia. W końcu wzięła się w garść, sprawdziła, czy okna są dobrze pozamykane, i wyszła z pokoju.

Musiała porozmawiać z Charliem. Wślizgnęła się do sypialni starego przyjaciela i delikatnie go rozbudziła.

– Mieliśmy przed chwilą gościa.

– Co? Kogo?

– A łudziliśmy się, że nas nie znajdzie – powiedziała z rozpaczą.

Zaspany Charlie, kiedy dotarło do niego znaczenie tych słów, jak pchnięty sprężyną poderwał się do pozycji siedzącej, nieomal strącając przy tym lampę z nocnego stolika.

– Boże, był tu?! Jackson tu był?!

– Zastałam go w swojej sypialni, kiedy wyszłam spod prysznica. Chyba jeszcze nigdy w życiu tak się nie przestraszyłam.

– O Boże, LuAnn, dziecko. – Charlie przytulił ją mocno. – Jak, u diabła... jak on nas znalazł?

– Nie mam pojęcia, ale o wszystkim wie. Wie o człowieku, który mnie ścigał. Wie o Riggsie. Ode mnie dowiedział się o liście zwycięzców loterii. Próbowałam kłamać, ale nie dał się

wyprowadzić w pole. Zagroził, że wymorduje wszystkich domowników, jeśli nie powiem mu prawdy.

– I co zamierza?

– Chce odnaleźć i zabić tego człowieka.

Charlie oparł się plecami o wezglowie łóżka. LuAnn przysiadła obok niego. Przejechał wielką łapą po twarzy i pokręcił głową. Spojrzał na nią.

– Co jeszcze mówił?

– Żebyśmy nic nie robili. Mamy uważać na Riggsa i dać mu znać, gdyby tamten facet znowu się pojawił.

– Na Riggsa? Czego od niego chce?

– Podejrzewa, że nie wplątał się w to przypadkowo.

– Sukinsyn – jęknął Charlie.

Spuścił nogi z łóżka, wstał i zaczął się ubierać.

– Co robisz?

– Sam nie wiem, ale coś chyba trzeba zrobić. Ostrzec Riggsa. Skoro Jackson zagiął na niego parol...

Chwyciła go za rękę.

– Mówiąc Riggsowi o Jacksonie, wydasz na niego wyrok śmierci. Jackson się o tym dowie. Przed nim nic się nie ukryje. Wytargowałam Riggsowi bezpieczeństwo, przynajmniej na razie.

– Jak to zrobiłaś?

– Zawarliśmy z Jacksonem układ. Wydaje mi się, że to kupił. Ale z nim nigdy nie wiadomo.

Charlie przerwał wciąganie spodni i spojrzał na nią pytająco.

– Na razie Jackson skoncentruje się na szukaniu tamtego człowieka – ciągnęła LuAnn. – A my, nawet gdybyśmy chcieli, nie możemy go ostrzec, bo nie wiemy, kim jest.

Charlie usiadł na łóżku.

– To co robimy?

LuAnn wzięła go za rękę.

– Ty zabierz stąd Lisę. Wyjedźcie oboje.

– Ani myślę zostawić cię tu samą z tym gościem za miedzą. Nic z tego.

– Zostawisz, Charlie, bo wiesz, że mam rację. Ja dam sobie radę. Ale gdyby on chciał coś zrobić Lisie... – Nie musiała kończyć.

– To może ty z nią wyjedziesz, a ja zostanę?

LuAnn pokręciła głową.

– To na nic. Jeśli wyjadę, Jackson zacznie mnie natychmiast szukać. Na wasze zniknięcie zareaguje spokojniej.

– Nie podoba mi się to. Nie chcę cię opuszczać, LuAnn. Nie w takiej sytuacji.

Otoczyła ramieniem jego szerokie bary.

– Boże, przecież mnie nie opuszczasz. Będziesz się opiekował kimś, kto jest dla mnie

najcenniejszy... – Urwała, bo przed oczyma stanęła jej jak żywa twarz Jacksona.

– No dobrze – westchnął w końcu Charlie. – Kiedy mamy ruszać?

– Natychmiast. Pakuj się, a ja pójdę przygotować do drogi Lisę. Jackson niedawno wyszedł, nie przypuszczam więc, że obserwuje dom. Prawdopodobnie myśli, że strach tak mnie sparaliżował, że jestem niezdolna do jakiegokolwiek działania. Prawdę mówiąc, niewiele by się pomylił.

– Dokąd mamy jechać?

– Sam decyduj. Ja nie chcę o niczym wiedzieć. W ten sposób nikt nie wyciągnie ze mnie, gdzie jesteście. Zadzwoń, kiedy będziecie na miejscu, to ustalimy jakiś bezpieczny sposób komunikowania się.

Charlie wzruszył ramionami.

– Nie myślałem, że do tego dojdzie.

Pocałowała go lekko w czoło.

– Poradzimy sobie. Musimy być tylko bardzo ostrożni.

– A co z tobą? Co ty będziesz robiła?

LuAnn wzięła głęboki oddech.

– To, co zagwarantuje nam wszystkim przetrwanie.

– Riggsowi też?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Zwłaszcza Riggsowi.

– Nie, mam, nie chcę! – Lisa miotła się w piżamie po pokoju, popatrując gniewnie na LuAnn pakującą w pośpiechu jej bagaż.

– Przykro mi, Liso, ale musisz mi zaufać.

– Zaufać, ha, i kto to mówi! – Lisa spojrzała na nią wyzywająco spod przeciwległej ściany.

– Nie czas teraz na tego rodzaju rozmowy, moja panno.

– A ja nigdzie nie jadę. – Lisa usiadła na łóżku i założyła ręce na piersi.

– Wujek Charlie już czeka, pośpiesz się.

– Jutro mamy w szkole zabawę. Nie można tego odłożyć chociaż na jeden dzień?

LuAnn zatrzasnęła wieko walizki.

– Nie, Liso, nie można.

– Kiedy to się skończy? Kiedy przestaniesz mnie wreszcie ciągać z miejsca na miejsce?

LuAnn przejechała drżącą dłonią po włosach i usiadła obok roztrzęsionej córki, obejmując ją ramieniem. Wyczuła pod ręką drżenie małego ciała. A co to będzie, kiedy Lisa dowie się w końcu prawdy? LuAnn zacisnęła pięść i przyłożyła ją do prawego oka. Puszczały jej nerwy.

– Liso? – Dziewczynka uparcie odwracała wzrok.

– Liso, spójrz na mnie, proszę.

Mała wreszcie posłuchała. Mieszanina gniewu i zawodu malująca się na jej buzi rozdarła LuAnn serce.

Zacząła powoli. Jeszcze przed godziną nawet przez myśl by jej nie przeszło, żeby podjąć ten temat. Ale wizyta Jacksona wiele zmieniła.

– Obiecałam, że pewnego dnia, już niedługo, powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. O mnie, o sobie, o wszystkim. Pamiętasz?

– Ale dlaczego...

LuAnn zakryła córce usta.

– A teraz uprzedzam cię, że kiedy to uczynię, będziesz wstrząśnięta i być może nigdy nie zrozumiesz, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam, ani się z tym nigdy nie pogodzisz. Możesz mnie nawet znienawidzić, możesz pożałować, że jestem twoją matką... – urwała i przygryzła mocno wargę – ale wiedz, że w owym czasie uważałam, że postępuję słusznie. Że robię to dla twojego dobra. Byłam bardzo młoda i naprawdę nie miałam nikogo, kto pomógłby mi powziąć decyzję.

Wzięła córkę pod brodę i uniosła jej głowę. Lisa miała łzy w oczach.

– Wiem, że sprawiam ci ból. Nie chcę, żebyś wyjeżdżała, ale prędzej umrę, niż pozwolę, żeby spotkało cię coś złego. Tak samo wujek Charlie.

– Mamo, ja się boję.

LuAnn chwyciła Lisę obiema rękami.

– Kocham cię, Liso. Ponad wszystko.

– Nie chcę, żeby coś ci się stało. – Lisa dotknęła twarzy matki. – Nic ci nie grozi, mamusiu?

LuAnn zdobyła się na pokrzepiający uśmiech.

– Kotka spada zawsze na cztery łapy, słoneczko. Mamusia też.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Nazajutrz LuAnn wstała wcześniej po prawie nie przespanej nocy. Pożegnanie z córką było rozdierające. Zdawała sobie jednak sprawę, że to jeszcze nic w porównaniu z dniem, w którym wyjawí jej prawdę o swoim życiu, oczywiście, o ile będzie miała po temu okazję. Ale kiedy poprzedniego wieczoru odprowadzała wzrokiem oddalające się światła pozycyjne rangę rovera, spłynęła na nią fala ulgi.

Teraz najważniejsze to znaleźć taki sposób zbliżenia się do Riggsa, który nie wzbudzi w nim jeszcze większych podejrzeń. Gorzej, że czasu jest niewiele. Jeśli wkrótce nie przekaże Jacksonowi jakichś informacji, ten poważnie zainteresuje się Rigggsem. Nie chciała, żeby do tego doszło.

Snując te rozważania, rozsunęła kotary w oknach sypialni i wyrzała na trawnik za domem. Sypialnia znajdowała się na drugim piętrze i roztaczał się z niej wspaniały widok na okolicę. Balkonowe okna prowadziły na taras. Ciekawe, czy to tędy dostał się tu wczoraj Jackson? Alarm antywłamaniowy włączała zazwyczaj tuż przed pójściem do łóżka. Teraz zacznie to może robić wcześniej, wątpiła jednak, by jakikolwiek system bezpieczeństwa stanowił dla tego człowieka przeszkodę. On chyba potrafił wspinać się na mury i przechodzić przez ściany.

Zaparzyła dzbanek kawy w małej kuchence sąsiadującej z garderobą. Potem włożyła jedwabny szlafrok i z parującą filiżanką w ręce wyszła na taras. Stał tam stolik i dwa krzesła, ona przysiadła jednak na marmurowej balustradzie. Rozejrzała się po swoich włościach. Wschodziło słońce i jego złotoróżowe promienie przebijały się przez gęstwą przybranego w barwy jesieni listowia. Ten widok podnosił na duchu... Nie, to niemożliwe! Lu Ann o mało nie spadła z balkonu.

W trawie, w pobliżu miejsca, gdzie chciała wznieść swoje studio, kłęczał Matthew Riggs. Trzymał przed sobą wielką płachtę planów i badał wzrokiem ukształtowanie terenu. LuAnn wdrapała się na balustradę i przytrzymując się ceglanej ściany domu, stanęła na palcach, żeby lepiej widzieć. Teraz dostrzegła las wbitych w ziemię palików. Riggs wyciągnął z kieszeni kłębek sznurka i przywiązawszy koniec do jednego z palików, przystąpił do wytyczania zarysu fundamentów budynku.

Zawołała, ale nie usłyszał. Odległość była za duża.

Zeskoczyła z balustrady i nie zwracając sobie głowy wkładaniem butów, w paru susach przecięła sypialnię. Biorąc po dwa stopnie naraz, zbiegła na dół, wypadła na dwór i pognęła boso po mokrej od rosy trawie. Jedwabny szlafrok lgnął do ciała, odsłaniając zarysy jej długich nóg.

Zasapana, rozsiewając wokół parę oddechu, zatrzymała się tam, gdzie przed chwilą widziała Riggsa, i ciaśniej owinęła się cienkim szlafrokiem.

Gdzie on się, u licha, podział? Coś nieprawdopodobnego. Paliki są, sznurek jest, a on jakby

się pod ziemię zapadł. Patrzyła na te paliki i na przeciągnięty między nimi sznurek, jakby spodziewała się, że wyjawia miejsce pobytu tego, kto je tu rozmieścił.

– Dzień dobry.

Odwróciła się na pięcie. Riggs wychodził spomiędzy drzew z wielkim kamieniem w ręce. Położył go uroczyście pośrodku obwiedzonego palikami miejsca.

– Twój kamień węgielny – oznajmił z uśmiechem.

– Co ty wyprawiasz? – wysapała LuAnn.

– Zawsze biegasz w takim stroju? Zapalenia płuc się nabawisz. – Odwrócił dyskretnie wzrok, bo w tym momencie słońce wychynęło sponad wierzchołków drzew i w jego promieniach cienki szlafroczek stał się praktycznie przezroczysty. Pod spodem nic nie miała. – Nie wspominając już, jak to na mnie działa – mruknął pod nosem.

– Nie co dzień widuję na swoim terenie ludzi wbijających o świcie paliki w ziemię.

– Robię, co mi kazano.

– To znaczy, co?

– Chciałaś mieć studio, no to je buduję.

– Powiedziałaś, że przed zimą nie ma sensu zaczynać. I że musisz załatwić plany i zezwolenia.

– Tak bardzo podziwiałaś moją samotnię, że wpadłem na genialny pomysł wykorzystania tych samych rysunków. To oszczędzi sporo czasu. Mam poza tym znajomości w biurze inspektora budowlanego, a więc możemy przyśpieszyć też proces zatwierdzania. – Urwał i patrzył przez chwilę na drżącą z zimna LuAnn. – Nie musisz mi dziękować.

Objęła się ciasno rękami.

– Nie o to chodzi, chciałam... – Wzdrygnęła się znowu, zmrożona falą zimnego powietrza, która nadpłynęła od lasu. Riggs zdjął grubą kurtkę i zarzucił jej na ramiona.

– Takie bieganie boso po rosie nie wyjdzie ci na zdrowie.

– Nie musisz tego robić, Matthew. Już i tak nadużyłam twojego czasu i cierpliwości.

Wzruszył ramionami, spuścił wzrok i zaczął trącać czubkiem buta jeden z palików.

– Ja nie narzekam, Catherine. – Odchrząknął, zakłopotany, i spojrzał w kierunku linii drzew.

– Jest wiele gorszych rzeczy niż przebywanie w towarzystwie kobiety takiej jak ty. – Zerknął na nią spod oka i odwrócił wzrok.

LuAnn zarumieniła się i przygryzła dolną wargę. Riggs wepchnął ręce w kieszenie i zapatrzył się w przestrzeń. Nieświadomie naśladowali parę nastolatków sondujących się nerwowo nawzajem na tej najważniejszej pierwszej randce.

LuAnn spojrzała na opalikowany teren.

– Czyli budynek będzie wyglądał dokładnie tak samo jak twój?

Riggs kiwnął głową.

– Mam teraz czas, bo odebrałaś mi to zlecenie na budowę ogrodzenia.

– Nie rzucałam słów na wiatr, mówiąc, że ci zapłacę.

– Wiem, że nie rzucałaś, ale ja z zasady nie przyjmuję zapłaty za niewykonaną usługę. Może to śmieszne, ale taki już jestem. Spokojna głowa, odkuję się na tym studiu.

Riggs znowu rozejrzył się po okolicy.

– Ze świecą szukać ładniejszego miejsca. Kiedy postawię ci już to studio, nie będziesz chciała go opuszczać.

– Perspektywa przyjemna, ale mało realistyczna.

Zerknął na nią.

– Wiem, dużo podróżujesz. Osoba z twoją pozycją...

– Nie o to chodzi. Ale owszem, często podróżuję. Aż za często.

– Wszędzie dobrze, ale najlepiej w domu.

– Mówisz tak, jakbyś coś o tym wiedział. – Spojrzała na niego z nowym zainteresowaniem.

Uśmiechnął się skromnie.

– Ja? Ja właściwie nigdzie specjalnie nie bywam.

– Ale też lubisz wracać do domu. Szukasz tam spokoju? – powiedziała cicho, nie spuszczać z niego oczu.

Spoważniał i spojrzał na nią z uznaniem.

– Tak – mruknął w końcu.

– Zjesz ze mną śniadanie?

– Już jadłem, ale dziękuję za zaproszenie.

– To może kawy się napijesz? – Przystępowała z jednej zziębniętej nogi na drugą.

Riggs obserwował ją przez chwilę.

– Zaniosę cię – zdecydował. Ściągnął robocze rękawice, wepchnął je do kieszeni spodni, po czym odwrócił się i pochylił. – Wsiadaj.

– Słucham?

– Wskakuj na barana. – Poklepał się po plecach. – Wiem, że daleko mi do twojej klaczy, ale popuść wodze wyobraźni.

LuAnn nie ruszała się z miejsca.

– Raczej nie skorzystam.

Riggs odwrócił się do niej.

– No wsiadasz? Zapalenie płuc to nie żarty. Poza tym zapewniam cię, że na co dzień wożę tak miliarderów.

LuAnn roześmiała się, włożyła zwisającą z ramion kurtkę Riggsa i wspięła się na jego plecy, obejmując rękami szyję. Oplótł ramionami jej nagie uda.

– Na pewno dasz radę? To dosyć daleko, a ja nie jestem zbyt lekka.

– Postaram się, ale nie dobij mnie, jeśli padnę. Ruszyli.

W połowie drogi ścisnęła go boleśnie kolanami.

– Co robisz?

– Popuszczam wodze wyobraźni, jak mi radziłeś. Wio!

– Nie przeciągaj struny. – Wygiął plecy i uśmiechnął się.

Jackson, zaczajony między drzewami niedaleko stajni, spakował sprzęt podsłuchowy i ruszył przez las w drogę powrotną do samochodu, który zaparkował przy bocznej drodze. Przyglądał się z pewnym rozbawieniem, jak Riggs dźwiga LuAnn do domu. Plany, które widział w rękach Riggsa, świadczyły chyba, że ten będzie stawiał LuAnn jakiś budynek. A z jej stroju wywnioskował, że prawdopodobnie niebawem dojdzie do intymnego zbliżenia między LuAnn a przystojnym Riggssem. To dobrze, bo będzie miała okazję, by nakłonić go do zwierzeń. Za pomocą aparatury podsłuchowej zarejestrował też głos Riggsa. Takie nagranie mogło mu się w przyszłości przydać. Dotarł do samochodu i odjechał.

Siedzieli w kuchni. Riggs sączył kawę, LuAnn żuła tost posmarowany masłem. Skończywszy, wstała i podeszła do kuchennej lady.

Riggs przyglądał się jej taksująco, kiedy stojąc do niego plecami, nalewała sobie kawy. Nie mógł się powstrzymać. Nie przebrała się i przywierający do ciała szlafrok podsuwał mu myśli, których sam się wstydził. W końcu odwrócił wzrok.

– Kiedy kupię sobie następnego konia, nazwę go chyba twoim imieniem – odezwała się LuAnn.

– Wielkie dzięki. – Rozejrzał się. – Reszta jeszcze śpi?

Nie odpowiedziała od razu. Odstawiła dzbanek z kawą i przecierała przez chwilę szmatką blat lady.

– Sally ma wolne. Charlie wyjechał z Lisa na małe wakacje.

– Bez ciebie?

Usiadła z powrotem, omiotła kuchnię wzrokiem, a potem spojrzała na niego.

– Mam tu parę spraw do załatwienia. Być może czeka mnie wkrótce wyjazd do Europy. Jeśli dojdzie do skutku, spotkam się tam z nimi. Włochy są piękne o tej porze roku. Byłeś tam?

– Jakoś się nie złożyło.

– A w swoim poprzednim życiu? – spytała, patrząc mu w oczy.

– A więc znowu wracamy do tego poprzedniego życia. Nie było wcale takie ekscytujące.

– To może mi o nim opowiesz?

– To może *quid pro quo!*

– Nauczyłeś się tej sentencji od swojej żony prawniczki, jak mniemam.

– Niebezpiecznie jest mniemać. Ja wolę fakty.

– Ja również. Zasyp mnie nimi.

– Czemu tak cię interesuje, co robiłem przed osiedleniem się w Charlottesville?

„Bo staram się ocalić ci życie, i słabo mi się robi, ilekroć pomyślę, jak mało brakowało, żebyś już przeze mnie nie żył”.

– Jestem zwyczajnie ciekawa – powiedziała, siląc się na spokojny ton.

– To tak jak ja. I coś mi mówi, że twoje tajemnice są od moich o wiele bardziej zajmujące.

– Nie mam żadnych tajemnic – zachnęła się z udawanym zdziwieniem.

Odstawił filiżankę.

– Nie do wiary, że przechodzi ci to przez gardło.

– Jestem bogata. Są tacy, którzy nie przebierając w środkach, chcieliby uszczknąć z tego coś dla siebie. Co w tym tajemniczego?

– A więc uważasz, że tamten facet z hondy to potencjalny porywacz.

– Być może.

– Dziwny porywacz.

– Nie rozumiem.

– Trochę o tym myślałem. Gość wyglądał na profesora college'u. Wynajął sobie tutaj lokum i urządził je. Próbując cię jakoby porwać, nie nosił nawet maski. A kiedy się wtrąciłem, gdy cię ścigał, on, zamiast dać za wygraną, usiłował mnie wyprzedzić, chociaż nie miał już szans, by cię dogonić. Wiem z doświadczenia, że większość porywaczy nie pracuje w pojedynkę. Ze względu na trudności natury organizacyjnej.

– Wiesz z doświadczenia?

– Widzisz? Już zasypuję cię tajemnicami.

– Może chciał mnie nastraszyć, zanim podejmie właściwą próbę porwania.

– Nie sądzę. Po co miałby budzić twoją czujność. Porywacze wolą działać z zaskoczenia.

– Jeśli nie jest porywaczem, to kim?

– Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz. Byliście z Charliem w chacie. Co tam znaleźliście?

– Nic.

– Nie wierzę.

Lu Ann wstała, piorunując go wzrokiem.

– Nie lubię, gdy zarzuca mi się kłamstwo.

– To przestań kłamać. – Odwróciła się do niego plecami. Wargi jej drżały. – Catherine, staram się ci pomóc. No dobrze, w moim poprzednim życiu miałem do czynienia z przestępcami. Mam przygotowanie i doświadczenie, które może się przydać, jeśli powiesz mi prawdę.

Wstał i położył rękę na jej ramieniu. Odwrócił ją twarzą do siebie.

– Widzę, że się boisz. Z drugiej strony wiem, że nerwy masz ze stali i nie brakuje ci odwagi. Stąd wniosek, że to coś naprawdę poważnego. Chcę ci pomóc. I pomogę, jeśli mi tylko pozwolisz. – Ujął ją pod brodę. – Gram z tobą w otwarte karty, Catherine. Uwierz mi.

Skrzywiła się lekko, kiedy znowu wypowiedział jej imię. To fałszywe imię. Uniosła rękę i pogłaskała go po palcach.

– Wiem, Matthew. Wiem. – Podniosła na niego wzrok i rozchyliła wargi. Patrzyli sobie prosto w oczy, stykały się ich palce, ciała płonęły. Spontaniczność tego odczucia zupełnie ich sparaliżowała. Ale nie na długo.

Riggs przełknął z trudem ślinę, opuścił dłoń na pośladki LuAnn i nagle przyciągnął ją do

siebie. Jej ciepłe, miękkie piersi wypalały bliźniacze niewidzialne dziury w jego grubej flanelowej koszuli. Usta przywarły do ust, na podłogę opadł szlafrok. LuAnn jęknęła i zamknęła oczy, jak pijana kołysała głową, nastawiając szyję na gorące pocałunki Riggsa. Wczepiła się palcami w jego włosy, a kiedy porwał ją na rękę i wtulił twarz między jej piersi, oplótła rękami jego głowę, a nogami talię.

Kierowany jej gorączkowo szeptanymi wskazówkami, Riggs dopadł do małej gościnnej sypialni na parterze. Pchnął drzwi. LuAnn oderwała się od niego i rzuciła na wznak na łóżko, napinając niecierpliwie mięśnie długich nóg. Wyciągnęła do niego rękę.

– Cholera, Matthew, szybciej!

Riggs podświadomie wychwycił w jej głosie nagły nawrót akcentu z Georgii, ale był w tym momencie zbyt zamroczony pożądaniem, by przywiązywać do tego wagę.

Zrzucone z nóg ciężkie robocze buciorzy wyładowały z hukiem na dębowej podłodze. Za nimi poleciały spodnie. Nie tracąc czasu na rozpinanie guzików, zerwał z siebie koszulę, ściągnął bokserki i zatrzasnąwszy nogą drzwi, rzucił się na LuAnn.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Apartament Jacksona był wielki i przestronny, umeblowany replikami osiemnastowiecznych sprzętów. Stary dębowy parkiet pokrywały dywany ze scenami z wczesnego okresu kolonizowania Ameryki. Na ścianie wisiała płaskorzeźba przedstawiająca dziką kaczkę w locie. Drugą ścianę zdobiła kolekcja oprawnych w ramy portretów Wirgińczyków, którzy w przeszłości piastowali urząd prezydenta tego kraju.

Jackson siedział przy stole i wpatrywał się w mały ekran laptopa. Zajazd, w którym się zatrzymał, stał na uboczu, co gwarantowało mu większą swobodę ruchu bez rzucania się w oczy. Poprzedniego wieczoru wymeldował się jako Harry Conklin i zameldował znowu już pod innym nazwiskiem. Lubił takie manewry. Źle się czuł, grając zbyt długo jedną postać. Poza tym nie chciał się już więcej spotykać z Pembertonem, który znał go jako Conklina. Teraz miał na głowie baseballową czapkę. Nowy nos i lateksowe wory pod oczami zmieniły twarz nie do poznania. Na plecy opadały mu zebrane w koński ogon siwo-blond włosy. Obrazu dopełniały długa, pomarszczona szyja i krępa budowa ciała. Wyglądał jak podstarzały hippis. Bagaż leżał w kącie. Z zasady nie rozpakowywał się. Działalność, jaką prowadził, wiązała się czasami z koniecznością szybkiej zmiany miejsca pobytu.

Przed dwoma godzinami przekopiował skanerem na twardy dysk swojego laptopa jeden zestaw odcisków palców, które pozdejmował w chacie, i przesłał go poprzez modem swojemu informatorowi. Wcześniej zadzwonił do niego i wyjaśnił, o co mu chodzi. Informator ten miał dostęp do bazy danych zawierającej ocean niezmiernie interesujących faktów i właśnie dlatego Jackson wciągnął go na listę swoich współpracowników. Nie było pewności, czy w jakichś aktach znajdują się już odciski palców człowieka śledzącego LuAnn, ale sprawdzić nie szkodziło. Jeśli już je zarejestrowano, Jackson będzie miał znacznie uproszczone zadanie.

Uśmiechnął się na widok wypełniającego się danymi ekranu. Zdigitalisowana fotografia mężczyzny, jego dane osobiste.

Thomas J. Donovan. Fotografia pochodziła sprzed trzech lat, ale Jackson przyjął, że w wieku Donovana ludzie już tak bardzo się nie zmieniają. Studiował przez chwilę nijaką twarz mężczyzny, potem zajrzał do przenośnego zestawu charakteryzującego. Nazwisko Donovana nie było Jacksonowi obce. Donovan był znanym dziennikarzem „Washington Tribune”. Zresztą przed rokiem napisał wnikliwy artykuł o senatorskiej karierze ojca Jacksona.

Jackson czytał ten artykuł, ale nie znalazł w nim nic o osobistym życiu ojca ani o jego wrednym charakterze. Historycy będą niewątpliwie hołubili tego człowieka, ale jego syn wiedział swoje.

Przecucie nie zawiodło Jacksona. Człowiek śledzący LuAnn od początku nie pasował mu do sylwetki typowego szantażysty. LuAnn niełatwo było namierzyć. Mogło się to udać tylko

doświadczonemu dziennikarzowi albo jakiemuś byłemu policjantowi, bo ci wiedzieli, jak się do tego zabrać, i dysponowali niezbędną wiedzą oraz, co najważniejsze, dostępem do informacji.

Jackson zamyślił się. Prawdę mówiąc, ze zwyczajnym szantażystą sprawa byłaby o wiele prostsza. Donovan zbiera niewątpliwie materiał do jakiegoś artykułu, wielkiego artykułu, i nie spocznie, dopóki nie osiągnie zamierzonego celu. Interesujące wyzwanie. Ale zabicie go nie wchodziło w rachubę. Wywołałoby za dużo szumu. Poza tym Donovan mógł poinformować kogoś o swoim śledztwie, chociaż z drugiej strony większość dziennikarzy tej co Donovan klasy z rozmaitych powodów, między innymi z obawy, że ktoś im podbierze temat, nie odkrywa swoich kart aż do dnia publikacji.

Musi ustalić, ile Donovan wie i czy powiedział komuś, nad czym pracuje. Sięgnął po telefon i wybrał numer redakcji „Tribune”. Poprosił o połączenie z Thomasem Donovanem. Powiedziano mu, że Donovan jest na urlopie. Odłożył powoli słuchawkę. Nie miał zamiaru rozmawiać z tym człowiekiem, nawet gdyby go zastał. Chciał jednak usłyszeć jego głos, bo to mogło mu się przydać. Naśladowując czyjś głos, w czym Jackson był mistrzem, można wspaniale manipulować ludźmi.

Jeśli wierzyć Pembertonowi, Donovan przebywał w rejonie Charlottesville co najmniej od miesiąca. Jackson koncentrował się przez moment nad jednym oczywistym pytaniem: Dlaczego ze wszystkich zwycięzców loterii wybór padł akurat na LuAnn? Odpowiedzi udzielił sobie niemal natychmiast. Bo z nich wszystkich tylko ona była poszukiwana w związku z morderstwem. Tylko ona zniknęła przed dziesięciu laty i wszelki śluch o niej zaginął. Ale jak Donovanowi udało się wpaść na jej trop? Ślad został dobrze zatarty i z biegiem lat jeszcze bardziej się zatartł, biorąc nawet pod uwagę fakt, że LuAnn popełniła niewybaczalny błąd, wracając do Stanów Zjednoczonych.

Nagle Jackson doznał olśnienia. Donovan znał podobno nazwiska przynajmniej części zwycięzców loterii z roku, w którym Jackson ustawiał grę. A jeśli z tymi pozostałymi też będzie próbował nawiązać kontakt? Skoro nie wydobyl tego, czego chciał, od LuAnn, a Jackson był raczej pewien, że to mu się nie udało, to logicznie rzecz biorąc, jego następnym krokiem będzie próba dotarcia do innych. Sięgnął po słuchawkę. W pół godziny obdzwonił całą jedenastkę swoich pozostałych podopiecznych. W porównaniu z LuAnn byli jak potulne owieczki dające się prowadzić za rączkę. Robili, co im kazał. Był ich dobroczyńcą, człowiekiem, który doprowadził ich do ziemi obiecanej bogactwa i wygody. Teraz, jeśli Donovan chwyci przynętę, pułapka się zatrzaśnie.

Jackson wstał i zaczął chodzić po pokoju. Po chwili zatrzymał się, otworzył neseser i wyjął z niego kopertę z fotografiami. Zrobił je podczas pierwszego dnia pobytu w Charlottesville, jeszcze przed spotkaniem z Pembertonem. Były niezłej jakości, zważywszy, że używał teleobiektywu, a poranne światło pozostawiało wtedy wiele do życzenia. Teraz patrzył na te kilka uwiecznionych na zdjęciach twarzy. Czterdziestokilkuletnia Sally Beecham, gospodyni LuAnn, wyglądała na zmęczoną i zatroskaną. Mieszkała na parterze po północnej stronie rezydencji. Przeniósł wzrok

na następne dwie fotografie. Latynoskie sprzątaczkę. Przychodziły o dziewiątej rano, wychodziły o szóstej wieczorem. Teraz robotnicy. Jackson przyglądał się uważnie każdej twarzy. Robiąc te fotografie, zwracał uwagę, jak się poruszają, jak gestykulują. Zarejestrował też ich głosy. Przesłuchiwał te nagrania po wielokroć, podobnie jak nagranie głosu Riggsa. Tak, wszystko dobrze się układało. Rozmieszczał swoich żołnierzy na optymalnych pozycjach, jak pionki na planszy wojennej gry strategicznej. Być może zbierane mozolnie informacje o codziennym życiu Catherine Savage nie zostaną nigdy wykorzystane. Ale nigdy nic nie wiadomo. Wolał być przygotowany na wszelkie ewentualności. Zebrał fotografie i schował je z powrotem do nesesera.

Z ukrytej kieszeni walizki wyciągnął chiński nóż z krótką rękojeścią – przeznaczony do rzucania. Był tak ostry, że przecinał skórę przy najbliższym dotknięciu gołą dłonią. Rzuciło się nim, trzymając za idealnie wyważoną rękojeść z tekowego drewna. Jackson zaczął się przechadzać po pokoju, myślał. LuAnn była niezwykle szybka i zwinna. Zupełnie jak on. Tak, wyrobiła się przez te lata. Czego jeszcze się nauczyła? Jakie nowe umiejętności opanowała? Ciekawe, czy przeczuwała to co on: że pewnego dnia ich drogi znowu się skrzyżują i że będzie to jak zderzenie dwóch pociągów. Czy przygotowała się na taką ewentualność? Zamierzając się na niego nożem do papieru, ostrzegła, że potrafi nim zabić z odległości dwudziestu stóp. Przy jej szybkości ostrze weszłoby mu w serce, zanim zdążyłby zareagować.

Z tą myślą. Jackson obrócił się wokół własnej osi i cisnął nóż. Ostrze rozłupało na dwoje łebek kaczki i wbiło się na kilka cali w ścianę. Jackson ocenił na oko odległość: co najmniej trzydzieści stóp. Uśmiechnął się. LuAnn okazałaby rozsądek, gdyby go wtedy zabiła. Najwyraźniej sumienie jej na to nie pozwoliło. Sumienie stanowiło jej najsłabszą stronę, największym zaś atutem Jacksona był całkowity jego brak.

Jeśli dojdzie co do czego, właśnie to przeważy szalę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

LuAnn przyglądała się śpiącemu obok Riggsowi. Przeciągnęła się z cichym westchnieniem. Czowała się jak dziewczyna, kiedy się kochali. Był to nieprawdopodobnie dynamiczny akt, aż dziw, że łóżko wytrzymało. Pewnie jutro wszystko ich będzie bolało. Uśmiechnęła się na tę myśl, pogłaskała go po ramieniu i przytuliła się, zarzucając zgiętą w kolanie nogę w poprzek jego ud. Otworzył oczy i spojrzał na nią. Chłopięcy uśmiech rozjaśnił mu twarz.

– No co? – spytała z figlarnym błyskiem w oku.

– Próbuję sobie właśnie przypomnieć, ile razy wyjęczałem: „Och, najdroższa!”

Przesunęła dłonią po jego klatce piersiowej, a potem wbiła w nią paznokcie. Syknął z bólu i chwycił ją za nadgarstek.

– Moich: „O tak, o tak!” było chyba mniej, ale tylko dlatego, że nie mogłam złapać tchu.

Usiadł i zanurzył dłoń w jej włosach.

– Przy tobie czuję się i młody, i stary zarazem.

Pocałowali się. Riggs opadł z powrotem na poduszkę, a LuAnn złożyła głowę na jego piersi. Zauważyła bliznę na brzuchu.

– Niech zgadnę. Stara wojenna rana?

Zdziwiony, spojrzał najpierw na nią, a potem na bliznę.

– A, to... Nie, po prostu wyrostek.

– Naprawdę? Nie wiedziałam, że można mieć dwa wyrostki.

– Co?

Wskazała na bliznę po drugiej stronie brzucha.

– No nie, może dość tego oglądania i zadawania pytań. Porozkoszujmy się lepiej chwilą. – Powiedział to wesoło, ale wyczuła w jego tonie nakaz.

– Wiesz, jeśli będziesz tu przychodził codziennie budować studio, to może nam to wejść w nawyk, jak śniadanie. – LuAnn uśmiechnęła się i natychmiast ugryzła się w język. Czy jest na to jakaś szansa? Ta myśl ją przytłoczyła.

Odsunęła się od niego i spuściła nogi z łóżka.

Ta raptowna zmiana nastroju nie uszła uwagi Riggsa.

– Coś nie tak powiedziałem?

Obejrzała się. Patrzył na nią pytająco. Jakby zawstydzona nagle swoją nagością, chwyciła koc i owinięła się nim.

– Mam dzisiaj mnóstwo zajęć.

Riggs usiadł i też chwycił za koc.

– Bardzo przepraszam, jeśli zburzyłem ci rozkład dnia. Widzę, że moje okienko trwa od szóstej do siódmej rano. Kto następny w kolejce?

Wyrwała mu koc z ręki.

– No, nie zasłużyłam na to!

Riggs roztarł sobie kark i zaczął się ubierać.

– Wybacz. Ale nie umiem tak szybko jak ty zmieniać biegów. Wytrąciło mnie z równowagi to nagłe przejście od zmysłowych uniesień do informacji o obciążeniu pracą. Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

Lu Ann obeszła łóżko i usiadła obok niego.

– Było mi cudownie, Matthew – powiedziała cicho. – Aż wstyd powiedzieć, jak długą miałam przerwę. – Zawiesiła głos. – Kilka lat.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Żartujesz.

Nie odpowiadała, on też nie miał ochoty przerywać milczenia. W ciszę, jaka zaległa, wdarł się dzwonek telefonu.

Po chwili wahania LuAnn sięgnęła po słuchawkę. Modliła się w duchu, żeby to był Charlie, a nie Jackson.

– Halo?

Głos nie należał do żadnego z nich.

– Musimy porozmawiać, pani Tyler – rzekł Thomas Donovan – i to dzisiaj.

– Kto mówi? – spytała łamiącym się głosem LuAnn.

Riggs spojrzał na nią czujnie.

– Nie tak dawno spotkaliśmy się przelotnie, kiedy wyjeżdżała pani od siebie. Potem widziałem panią jeszcze raz, wymykającą się z przyjacielem z mojej chaty.

– Skąd masz ten numer? Jest zastrzeżony.

Donovan zachichotał cicho.

– Pani Tyler, nie ma informacji niedostępnych, wystarczy wiedzieć, jak i gdzie ich szukać.

– Czego chcesz?

– Już mówiłem, porozmawiać.

– Nie mam ci nic do powiedzenia.

Riggs przysunął się bliżej i nadstawił ucha. LuAnn chciała go odepchnąć, ale nie ustąpił.

– Ma pani, ma. Ja też. Rozumiem pani reakcję sprzed kilku dni. Chyba źle to rozegrałem, ale było, minęło. Wiem ponad wszelką wątpliwość, że jest pani kluczem do jakiejś sensacyjnej historii i ja muszę ją odgrzebać.

– Nie mam ci nic do powiedzenia.

Donovan zawahał się. Niechętnie uciekał się do tej taktyki, ale nic innego nie przychodziło mu teraz do głowy. Zdecydował się.

– Może to panią przekona. Jeśli zgodzi się pani ze mną porozmawiać, dam pani czterdzieści osiem godzin na opuszczenie kraju, zanim podam do wiadomości publicznej, czego się od pani dowiedziałem. Jeśli odmówi pani, ujawnię wszystko, co już wiem, zaraz po odłożeniu słuchawki.

– Zawiesił głos i po krótkiej wewnętrznej walce dorzucił: – Morderstwo nie ulega przedawnieniu, LuAnn.

Riggs gapił się na LuAnn szeroko otwartymi oczami. Odwróciła wzrok.

– Gdzie? – warknęła.

Riggs kręcił energicznie głową, ale LuAnn nie zwracała na niego uwagi.

– Spotkajmy się w publicznym miejscu – zaproponował Donovan. – W Michie’s Tavern. Na pewno wiesz, gdzie to jest. O pierwszej po południu. Tylko bądź sama. Za stary jestem na strzelaninę i samochodowe pościgi. Jeśli zobaczę z tobą twojego przyjaciela albo kogokolwiek, uznaję układ za zerwany i dzwonię natychmiast do szeryfa z Georgii. Zrozumiałaś?!

LuAnn cisnęła słuchawkę na widełki.

– Byłabyś mi łaskawa powiedzieć, co tu się wyprawia?! – spytał Riggs. – Kogo niby zamordowałaś?! Kogoś w Georgii?!

LuAnn, purpurowa na twarzy, wstała z łóżka, by je obejść. Riggs chwycił ją za rękę i bezceremonialnie przyciągnął do siebie.

– Mów, do cholery, o co tu chodzi!

Odwinęła się błyskawicznie jak fretka, wyprowadzając prawy podbródkowy. Cios doszedł celu. Riggsowi głowa odskoczyła w tył. Uderzył potylicą o ścianę.

Oprytomniawszy, stwierdził, że leży na łóżku. LuAnn siedziała obok, przykładając mu zimny kompres to do siniejącego podbródka, to do nabrzmiewającego guza na głowie.

– Cholera! – stęknął.

– Przepraszam, Matthew. Nie chciałam...

Oszołomiony, pomacał się po głowie.

– Nie do wiary, że mnie znokautowałaś. Nie jestem szowinistą, ale to nieprawdopodobne, żeby kobieta rozłożyła mnie jednym ciosem.

Zdobyła się na blady uśmieszek.

– Mam praktykę z dzieciństwa i jestem bardzo silna. Ale to uderzenie głową w ścianę też swoje zrobiło.

Riggs potarł szczękę i usiadł.

– Kiedy następnym razem się posprzeczamy i będziesz miała ochotę dać mi w zęby, to najpierw powiedz. Od razu się poddam. Umowa stoi?

Dotknęła delikatnie jego twarzy i pocałowała w czoło.

– Już więcej cię nie uderzę.

Riggs spojrzał wymownie na telefon.

– Pojedziesz na to spotkanie?

– Nie mam wyboru... nie widzę innego wyjścia.

– Jadę z tobą.

LuAnn pokręciła stanowczo głową.

– Słyszałeś, co powiedział.

Riggs westchnął.

– Nie wierzę, że kogoś zamordowałaś.

LuAnn wzięła głęboki oddech. Postanowiła wyznać mu prawdę.

– Nie zamordowałam go. To była samoobrona. Mężczyzna, z którym żyłam przed dziesięcioma laty, handlował narkotykami. Przypuszczam, że kantował swojego dostawcę, a ja znalazłam się o niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

– I zabiłaś swojego przyjaciela?

– Nie, człowieka, który zabił mojego przyjaciela.

– A policja...

– Wolałam nie czekać, co z tego wyniknie.

Riggs rozejrzał się po pokoju.

– Narkotyki. I z nich to wszystko?

LuAnn omal nie parsknęła śmiechem.

– Nie, z niego był drobny kombinator. To tutaj nie ma nic wspólnego z narkotykami.

Riggowi cisnęło się na usta pytanie, z czym zatem ma coś wspólnego, ale wolał go nie zadawać. Wyczuwał, że odsłoniła przed nim wystarczająco duży fragment swej przeszłości. Patrzył oszołomiony, jak LuAnn powoli wstaje i owinięta w koc idzie do drzwi.

– LuAnn? Tak masz naprawdę na imię?

Odwróciła się i kiwnęła nieznacznie głową.

– LuAnn Tyler. Nie myliłeś się z tą Georgią. Dziesięć lat temu byłam kimś zupełnie innym. Zupełnie.

– Wierzę, chociaż założę się, że już wtedy miałaś opanowany ten prawy podbródkowy.

Riggs wyjął z kieszeni spodni kluczyki od samochodu i rzucił je LuAnn.

– Dzięki za pożyczenie BMW. Może ci się przydać szybki wóz na wypadek, gdyby ten facet znowu zaczął cię ścigać.

Ściągnęła brwi, spuściła wzrok i wyszła z pokoju.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

LuAnn, ubrana w długi, czarny skórzany płaszcz, w czarnym skórzanym kapeluszu na głowie i w ciemnych okularach, stała pod „Ordinary”, starym drewnianym budynkiem należącym do kompleksu Michie’s Tavern, historycznej budowli z końca osiemnastego wieku, przeniesionej u schyłku lat dwudziestych naszego stulecia na obecne miejsce przy drodze z Monticella. Była pora lunchu i lokal zaczynał się wypełniać turystami, którzy przed zwiedzeniem domu Jeffersona albo potem ścigali tu na smażone kurczaki. LuAnn przyjechała wcześniej, żeby zapoznać się z terenem, ale nie wytrzymując ciepła buchającego od płonącego na sali kominka, postanowiła poczekać na zewnątrz. Mężczyznę, który do niej podszedł, poznała od razu, chociaż nie nosił już brody.

– Chodźmy – powiedział Donovan.

– Dokąd?

– Pojedziesz za mną swoim samochodem. Będę sprawdzał we wstecznym lusterku. Jeśli zobaczę, że ktoś nas śledzi, chwytam za telefon i wędrujesz do więzienia.

– Nigdzie za tobą nie pojedę.

Nachylił się do niej i rzekł cicho:

– Radzę się dobrze zastanowić.

– Nie znam ciebie ani nie wiem, czego chcesz. Powiedziałeś, że chcesz ze mną porozmawiać.

Więc jestem.

Donovan zerknął na kolejkę ludzi czekających przed tawerną.

– Miałem na myśli miejsce bardziej ustronne.

– Sam wybrałeś to.

– Fakt. – Donovan wbił ręce w kieszenie i patrzył na nią z wyraźnym zakłopotaniem.

Milczenie pierwsza przerwała LuAnn.

– Coś ci powiem, wybierzemy się na przejażdżkę moim samochodem. – Zmierzyła go złowieszczym spojrzeniem i dorzuciła cicho: – Ale niczego nie próbuj, bo zrobię ci krzywdę.

Donovan prychnął pogardliwie, ale kiedy spojrzał jej w oczy, przeszła mu ochota do żartów. Wzdrygnął się mimowolnie. Ruszył za nią do samochodu.

– Wiesz – zagał Donovan, kiedy znaleźli się na międzystanowej Sześćdziesiątej Czwartej – kiedy zagroziłaś przed chwilą, że zrobisz mi krzywdę, pomyślałem sobie, że to może rzeczywiście ty zamordowałaś tamtego gościa w przyczepie.

– Nikogo nie zamordowałam. Nie popełniłam tam żadnego przestępstwa.

Donovan studiował przez chwilę jej twarz, potem odwrócił wzrok. Kiedy znowu się odezwał, głos miał już cichszy, łagodniejszy.

– Nie po to cię od kilku miesięcy tropię, LuAnn, żeby zrujnować ci życie.

Zerknęła na niego z ukosa.

– To po co mnie śledzisz?

– Opowiedz mi, co się wydarzyło w przyczepie.

LuAnn pokręciła uparcie głową. Milczała.

– Od lat grzebię się w rozmaitych brudach i potrafię czytać między wierszami – podjął Donovan. – Nie wierzę, że kogokolwiek zamordowałaś. Uspokój się, nie jestem gliną. Jeśli chcesz, możesz sprawdzić, czy nie mam założonego podsłuchu. Przeczytałem wszystko, co było na twój temat w gazetach. Chciałbym teraz usłyszeć twoją wersję wydarzeń.

LuAnn odetchnęła głęboko i spojrzała na niego.

– Duane handlował narkotykami. Nic o tym nie wiedziałam. Chciałam tylko uciec od takiego życia. Poszłam do przyczepy, żeby mu to powiedzieć. Zastałam Duane'a strasznie podżganego nożem. Chwycił mnie jakiś mężczyzna i próbował poderżnąć gardło. Wywiązała się walka. Grzmotnąłam go telefonem w głowę i umarł.

Donovan wyglądał na nieprzekonanego.

– Uderzyłaś go tylko telefonem?

– Ale mocno. Chyba roztrzaskałam mu czaszkę.

Donovan pocierał w zadumie brodę.

– Nie to było przyczyną śmierci tego człowieka. Zginął od noża.

LuAnn omal nie zjechała z szosy. Z trudem odzyskała panowanie nad kierownicą i szeroko otwartymi oczami spojrzała na swojego pasażera.

– Co takiego? – wykrztusiła.

– Widziałem raport z autopsji. Owszem, miał ranę tłuczoną głowy, ale nie śmiertelną. Zmarł od ran zadanych nożem w klatkę piersiową. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

LuAnn już wiedziała. Tęcza. Tęcza go zabił. A potem ją okłamał. Potrząsnęła głową. Właściwie nie powinna być tym zaskoczona.

– Przez wszystkie te lata żyłam w przekonaniu, że to ja go zabiłam.

– Straszne brzemię, współczuję. Rad jestem, że pomogłem ci pozbyć się wyrzutów sumienia.

– Ale policja i tak już się tym chyba nie zajmuje – powiedziała LuAnn. – Upłynęło przecież dziesięć lat.

– Niestety, masz nieprawdopodobnego pecha. Szeryfem w Rikersville jest teraz wuj Duane'a Harveya.

– Bill Harvey został szeryfem?! – zachnęła się LuAnn. – Przecież to jeden z największych tamtejszych niebieskich ptaszków. Prowadził dziuplę, wiesz, taki warsztat, w którym legalizuje się kradzione samochody. Organizował gry hazardowe na zapleczach barów. Maczał palce we wszystkim, na czym można było zarobić nielegalnie parę dolców. Duane próbował wejść w te lewe interesy, ale Billy wiedział, że Duane jest za głupi i nie można na nim polegać. Prawdopodobnie dlatego Duane skumał się z handlarzami narkotyków z Gwinnett.

– Wierzę ci. Ale teraz jest szeryfem. Prawdopodobnie uznał, że najlepszy sposób na

uniknięcie kłopotów z policją to samemu zostać policjantem.

– Rozmawiałeś z nim?

Donovan kiwnął głową.

– Twierdzi, że cała rodzina nigdy nie zapomni biednego Duane'a i nie przejdzie do porządku dziennego nad jego przedwczesną śmiercią. Powiedział mi, że ten handel narkotykami rzuca cię na całą rodzinę. A pieniądze, które im wysłałeś? Zamiast ugłaskać, jeszcze bardziej ich rozjątrzyły. Uznali to za formę przekupstwa. To znaczy, przyjęli je i w ogóle, ale nadal im śmierdzą, przynajmniej zdaniem słynnego Billy'ego Harveya.

Powiedział mi, że śledztwo nadal trwa, a on sam nie spocznie, dopóki LuAnn Tyler nie stanie przed sądem. O ile zdołałem się zorientować, według niego to ty handlowałaś narkotykami, bo chciałaś uciec od Duane'a i szarego życia. Duane próbował ci to wyperswadować, a wtedy zamordowałaś i jego, i tego drugiego, rzekomo twojego współnika.

– Przecież to stek bzdur.

Donovan wzruszył ramionami.

– My oboje to wiemy. Ale decydować będzie ława przysięgłych złożona z twoich krajanów z Rikersville. – Urwał, by obrzucić pełnym uznania spojrzeniem jej elegancki strój. – Czy może raczej z twoich byłych krajanów. Nie radziłbym ubierać się tak na rozprawę. Z miejsca miałybyś wszystkich przeciwko sobie. Duane od dziesięciu lat wacha kwiatki od spodu, a ty przez ten czas żyłaś sobie na wysokiej stopie niczym sama Jackie O. Dla tamtejszych prostych ludzi to płachta na byka.

– Jakbym nie wiedziała. – Zawiesiła na moment głos. – A więc w tym rzecz? Jeśli nie zgodzę się mówić, wydasz mnie Billy'emu Harveyowi?

Donovan poklepał dłonią deskę rozdzielczą.

– Może cię zaskoczę, ale ta sprawa nic a nic mnie nie obchodzi. Jeśli nawet zabiłaś tego człowieka, to zrobiłaś to w samoobronie. Koniec, kropka.

LuAnn zsunęła ciemne okulary na czoło i spojrzała na niego.

– To o co ci chodzi?

Nachylił się do niej i uniósł porozumiewawczo brwi.

– O loterię.

– O jaką loterię? – spytała bez mrugnięcia powieką LuAnn.

– O tę, na której przed dziesięcioma laty wygrałaś sto milionów dolarów.

– No więc?

– No więc jak to zrobiłaś?

– Jak to jak? Wypełniłam kupon i okazało się, że trafiłam.

– Nie to miałem na myśli. Pozwól, że naświetlę ci pokrótce sprawę. Nie będę się wdawał w techniczne szczegóły, ale prześledziłem dalsze losy wszystkich, którzy wygrali na loterii w ciągu ostatnich kilku lat. Stwierdziłem, że dziewięciu na dwunastu zwycięzców z każdego roku ogłasza z czasem bankructwo. Bach, bach, można według tego nastawiać zegar. Potem natknąłem się na

dwanaścioro po kolei zwycięzców, którym udało się jakoś umknąć plajty, i w tej wyróżniającej się grupie byłaś ty. No, jak to możliwe?

Wzruszyła ramionami.

– A skąd ja mam wiedzieć? Moim majątkiem zarządzają fachowcy. Może tamci też takich mają.

– Przez dziewięć z dziesięciu lat nie odprowadzałaś podatków od swoich dochodów. To też się chyba przyczyniło.

– Skąd o tym wiesz?

– Mówiłem ci już, że dotrzeć można do każdej informacji. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie i jak szukać. Ja wiem.

– Musiałbyś o tym porozmawiać z ludźmi, którzy zajmują się moimi finansami. Podróżowałam przez te dziewięć lat po świecie. Być może dochody, jakie w tym czasie osiągnęłam, nie podlegały opodatkowaniu w Stanach.

– Wątpię. Napisałem wystarczająco dużo artykułów na tematy finansowe, by się orientować, że Wuj Sam ściąga podatek, z czego i kogo się da. Nikomu nie popuści.

– No to dzwoni do urzędu podatkowego i donieś na mnie.

– Widzę, że się nie rozumiemy. Ja szukam materiału.

– Materiału?

– Tak. Zapomniałem ci powiedzieć, dlaczego cię odwiedziłem. Nazywam się Thomas Donovan. Prawdopodobnie nie słyszałaś o mnie, wiedz zatem, że od trzydziestu lat jestem dziennikarzem „Washington Tribune” i dodam nieskromnie, że cholernie dobrym dziennikarzem. Jakiś czas temu postanowiłem napisać artykuł o loterii krajowej. Osobiście uważam ją za farsę. Za jej pośrednictwem rząd ograbia najuboższych. Wabiąc tą marchewką, kusząc reklamami, nakłania ludzi do topienia rent z ubezpieczenia społecznego w grze, w której szanse wygrania są jak jeden do iluś tam milionów. Przepraszam, że się tak zaperzam, ale piszę tylko o sprawach, w które czuję się emocjonalnie zaangażowany. Tak czy inaczej, początkowo zamierzałem zdemaskować w moim artykule mechanizm wysysania wygranych pieniędzy z biedaków, do których szczęście się uśmiechnęło. No wiesz, rozmaitej maści kanciarze proponujący rzekomo opłacalne inwestycje, ludzie podsuwający jeden plan pomnożenia majątku po drugim, a rząd patrzy na ich proceder przez palce. A kiedy loteryjny zwycięzca podupada finansowo tak, że nie ma z czego płacić podatków, wkracza urząd podatkowy i oskubuje go do ostatniego centa, zostawiając biedniejszym, niż był przed odebraniem wygranej. Dobry temat i trzeba go poruszyć. Kiedy jednak zacząłem zbierać materiały, natknąłem się na ciekawą zbieżność losów zwycięzców loterii z roku, w którym i ty wygrałaś. Żaden z nich nie stracił z wygranej ani centa. Mało tego, sądząc z wysokości podatków, jakie odprowadzają, są teraz jeszcze bogatsi. O wiele bogatsi. Namierzyłem więc ciebie, no i jestem. Czego chcesz, pytasz? To proste. Prawdy.

– A jeśli jej ode mnie nie usłyszysz, wyląduję w więzieniu w Georgii, tak? Sugerowałaś to przez telefon.

Donovan spojrział na nią gniewnie.

– Przed ukończeniem trzydziestego piątego roku życia miałem już w dorobku dwa Pulitzery. Pisałem o Wietnamie, Korei, Chinach, Bośni, Afryce Południowej. Dwa razy byłem ranny. Całe życie strawiłem na uganianiu się po świecie od jednego punktu zapalnego do drugiego. Jestem uczciwym człowiekiem. Nie zamierzam cię szantażować. To nie w moim stylu. Powiedziałem ci tak przez telefon, bo inaczej nie chciałabyś się ze mną spotkać. Jeśli szeryf Billy cię dopadnie, to z pewnością nie z moją pomocą. Osobiście mam nadzieję, że nigdy mu się to nie uda.

– Dziękuję.

– Jeśli nie powiesz mi prawdy, to znajdę ją gdzie indziej. Tak czy inaczej napiszę ten artykuł. Ale jeśli nie usłyszę twojej wersji całej tej historii, to nie gwarantuję, jak cię w nim przedstawię. Jeśli zaś zgodzisz się ze mną porozmawiać, to mogę ci zagwarantować jedno: że uwzględnię w artykule twoją wersję. Jeśli złamałaś w jakiś sposób prawo, to z mojej strony nic ci nie grozi. Nie jestem gliną ani sędzią. – Urwał i spojrział na nią wyczekująco. – To jak będzie?

Milczała przez kilka minut, nie odrywając oczu od drogi. Donovan widział, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę. W końcu spojrziała na niego.

– Powiedziałałabym ci prawdę. Boże, jak ja pragnę z kimś o tym porozmawiać. – Odetchnęła spazmatycznie. – Ale nie mogę.

– Dlaczego?

– Już teraz grozi ci wielkie niebezpieczeństwo. Gdybym ci powiedziała, nie byłoby dla ciebie ratunku.

– Przestań, LuAnn. Nieraz już znajdowałem się w niebezpieczeństwie. Taki mam zawód. Co mi grozi i z czyjej strony?

– Wyjedź z kraju.

– Słucham?

– Ja pokrywam koszty. Wybierz sobie jakieś miejsce, załatwię wszelkie formalności. Otworzę ci konto.

– To twój sposób na pozbywanie się problemów? Wysyłasz je do Europy? Przepraszam, ale ja mam tu swoje życie.

– Właśnie. Jeśli zostaniesz, to możesz się z nim pożegnać.

– Będziesz musiała wymyślić coś lepszego. Jeśli zgodzisz się na współpracę, możemy naprawdę czegoś dokonać. Porozmawiaj ze mną. Zaufaj mi. Nie przyjechałem tutaj zmuszać cię do czegokolwiek. Ale nie przyjechałem też wysłuchiwać bzdur.

– Ja mówię prawdę. Grozi ci poważne niebezpieczeństwo! Donovan już nie słuchał. Pocierając brodę, myślał głośno:

– Podobne życiorysy. Wszyscy ubodzy, bez perspektyw. Jak to działa na wyobraźnię, liczba graczy znacznie wzrosła. – Chwycił ją za rękę i ścisnął. – No, LuAnn, dziesięć lat temu ktoś ci pomógł uciec z kraju. Byłaś już bogata. Sam potrafię dojść co i jak, naprowadź mnie tylko na właściwy trop. To może być temat na miarę porwania dziecka Lindbergha i tajemnicy zamachu

na Kennedy'ego. Muszę poznać prawdę. Rząd za tym stoi? Co miesiąc zarabiają na tej imprezie miliardy. A z kogo je wysysają? Z nas. Ukryte opodatkowanie. – Donovan zatarł ręce. – Czy nicy sięgają do samego Białego Domu? Powiedz, że tak.

– Niczego nie powiem. A to dlatego, że nie chcę cię jeszcze bardziej narażać.

– Jeśli pójdziesz na współpracę, zwyciężymy oboje.

– Zostać zamordowaną to dla mnie żadne zwycięstwo. A dla ciebie?

– Daję ci ostatnią szansę.

– Czy ty mi wreszcie uwierzysz?

– W co?! – ryknął. – Nic mi jeszcze nie powiedziałaś!

– Gdybym powiedziała, co wiem, to tak, jakbym ci przyłożyła pistolet do głowy i nacisnęła spust.

Donovan westchnął.

– No więc odwieź mnie do mojego samochodu. Nie wiem, LuAnn, więcej się po tobie spodziewałem. Dorastałaś w nędzy, sama wychowywałaś dziecko, a potem ten nieprawdopodobny przełom. Myślałem, że twarda z ciebie sztuka.

LuAnn milczała przez chwilę, a potem bardzo cicho, jakby obawiała się, że ktoś może ich podsłuchać, powiedziała:

– Panie Donovan, z osobnikiem, którego pan szuka, nie ma żartów. Powiedział mi, że zabije pana, bo prawdopodobnie za dużo pan wie. I zrobi to. Jeśli natychmiast nie wyjedzie pan z kraju, znajdzie pana, a wtedy będzie źle. Ten człowiek może wszystko. Wszystko.

Donovan parsknął pogardliwie, i nagle twarz mu stężała. Odwrócił się powoli, dotarło do niego znaczenie tego, co przed chwilą usłyszał.

– Między innymi zrobić bogaczkę z ubogiej dziewczyny z Georgii?

Zauważył, że LuAnn lekko drgnęła. Oczy mu się rozszerzyły.

– Jezu, na tym rzecz polega, tak? Powiedziałaś, że ten człowiek może wszystko. To on sprawił, że wygrałaś na loterii, prawda? Podejrzana o morderstwo kobieta, prawie jeszcze nastolatka, wymyka się policji...

– Panie Donovan, proszę.

– Wypełnia kupon loterii, a zaraz potem wsiada w pociąg i jedzie do Nowego Jorku, gdzie ma się odbyć ciągnięcie. I proszę, wygrywa sto milionów dolców. – Donovan pacnął otwartą dłońią w deskę rozdzielczą. – Boże, loteria krajowa była ustawiona.

– Panie Donovan, musi pan zostawić ten temat.

Donovan spurpurowiał na twarzy.

– O nie, LuAnn. Ja tego nie zostawię. Wiedziałem, że nie mogłaś się wymknąć sama z obławy zarządzanej przez nowojorską policję i FBI. Ktoś ci pomógł. Bardzo pomógł. A do tego ta wyrafinowana przykrywka, pod którą żyłaś w Europie. Twoi „idealni” ludzie od zarządzania finansami. Ten facet to wszystko zorganizował. Wszystko, mam rację? Mam? – LuAnn milczała.

– Boże, wierzyć mi się nie chce, że wcześniej na to nie wpadłem. Dopiero teraz wszystko

zaczyna się zazębiać. Przez miesiące kręciłem się w kółko, a teraz... – Obrócił się twarzą do niej. – I ty nie jesteś jego jedyną podopieczną, prawda? Ta jedenastka, która nie zbankrutowała też? A może nie tylko oni. Mam rację?

LuAnn kręciła już energicznie głową.

– Proszę przestać.

– Nie zrobił tego za darmo. Musieliście mu oddać część swoich wygranych. Ale jak on to ustawił? Dlaczego? Co robi z takimi ogromnymi sumami? Czy to jedna osoba? – Donovan syptał pytaniami jak z rękawa. – Kto, co, kiedy, dlaczego, jak? – Chwycił LuAnn za ramię. – Dobrze, przyjmuję do wiadomości twoje ostrzeżenie, że ten, który za tym stoi, jest bardzo niebezpieczny. Ale nie zapominaj o potędze prasy, LuAnn. Kładła na łopatki większych aferzystów. Uda nam się, jeśli połączymy siły. – LuAnn milczała. Donovan puścił jej ramię. – Proszę tylko, żebyś się nad tym zastanowiła, LuAnn. Ale czas pogania.

Zatrzymali się obok jego samochodu. Donovan wysiadł, ale zaraz zajrzał z powrotem przez otwarte drzwiczki.

– Pod tym numerem czekam na wiadomość od ciebie. – Podał jej wizytówkę. LuAnn nie wzięła jej.

– Nie chcę wiedzieć, gdzie cię szukać. Będziesz bezpieczniejszy. – I nagle chwyciła go za rękę. Ścisnęła ją tak, że Donovan skrzywił się z bólu.

– Weź to. – Wyjęła z torebki pękata kopertę. – Masz tu dziesięć tysięcy dolarów. Spakuj się, jedź na lotnisko, wsiądź do samolotu i wynoś się stąd w diabły. Zadzwoń do mnie, kiedy już się gdzieś urządzisz, to prześlę ci tyle pieniędzy, że do końca życia starczy ci na hotele i restauracje.

– Ja nie chcę pieniędzy, LuAnn. Chcę prawdy.

– Do jasnej cholery! – krzyknęła niemal LuAnn. – Robię, co mogę, żeby ocalić ci życie!

Upuścił swoją wizytówkę na fotel pasażera.

– Ostrzegłaś mnie i dziękuję ci za to. Ale jeśli nie chcesz mi pomóc, to poszukam informacji gdzie indziej. Tak czy owak, ten artykuł ujrzy światło dzienne. – Spojrzał na nią z troską. – Jeśli ten osobnik jest chociaż w połowie tak niebezpieczny, jak twierdzisz, to może sama pomyśl o wyniesieniu się stąd w diabły. Kto wie, czy nie ma teraz na celowniku mojego tyłka, ale to tylko mój tyłek. Ty masz dziecko. – Urwał i na odchodnym dorzucił jeszcze: – Mam nadzieję, że oboje z tego wybrniemy, LuAnn. Naprawdę.

Podszedł do swojego wozu, wsiadł i odjechał. LuAnn patrzyła za nim przez chwilę, a potem wzięła głęboki oddech, by uspokoić rozdygotane nerwy. Jeśli szybko czegoś nie zrobi, Jackson zabije tego człowieka. No dobrze, ale co ma robić? Przede wszystkim nie informować Jacksona o spotkaniu z Donovanem. Rozejrzała się po parkingu, czy Jackson gdzieś się tu nie kręci. Nie, to bez sensu. Ten kameleon mógł być teraz kimkolwiek. I naraz serce podeszło jej do gardła. Czy nie założył jej czasem podsłuchu w telefonach? Jeśli tak, to wie, że Donovan do niej dzwonił, że umówili się na spotkanie. A jeśli wie, to najprawdopodobniej ją śledził. A teraz pojechał za Donovanem. Spojrzała na szosę. Samochodu Donovaną nie było już widać. Rąbnęła pięścią w

kierownicę.

Nie wiedziała, że Jackson nie założył podsłuchu w jej telefonach. Ale nie zdawała sobie również sprawy, że do podłogi pod jej fotelem przytwierdzony jest mały nadajnik. Ktoś inny słyszał całą jej rozmowę z Donovanem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Riggs wyłączył odbiornik i odgłosy docierające z BMW LuAnn ucichły. Ściągnął powoli słuchawki z głowy, usiadł za biurkiem i odetchnął głęboko. Słyszał całą rozmowę LuAnn Tyler z mężczyzną, który okazał się dziennikarzem i nazywał się Thomas Donovan. To nazwisko nie było mu obce. Widywał je od lat w gazetach. Nie spodziewał się jednak natknąć przy okazji na coś, co miało wszelkie znamiona szeroko zakrojonej afery.

– Cholera. – Wstał i wyjrzał przez okno swojego domowego biura. Kolory drzew na tle bladobłękitnego nieba oszałamiały. Na jedno wdrapywała się wiewiórka z kasztanem w pyszczku. Dalej, między pniami, widać było stadko łań prowadzone przez rogatego jelenia do małej sadzawki na terenie posesji Riggsa. Tak spokojnie, tak sielsko, tego właśnie szukał. Obejrzał się na nadajnik, za pośrednictwem którego podsłuchiwał rozmowę LuAnn z Donovanem.

– LuAnn Tyler – powiedział na głos. Ktoś zupełnie inny od Catherine Savage, sama mu tak powiedziała. Nowa tożsamość, nowe życie, wszystko nowe. Coś mu to przypominało.

Sięgnął do telefonu, zawahał się, podniósł słuchawkę. Dzwonił pod numer, który dano mu przed pięcioma laty na wypadek, gdyby wydarzyło się coś ważnego. Przed dziesięcioma laty Jackson, o czym Riggs nie wiedział, dał podobny numer LuAnn. Dzwonić tylko w sytuacjach awaryjnych. Tak – myślał, wystukując cyfry na klawiaturze aparatu – ta sytuacja chyba się do takich zalicza.

W słuchawce odezwał się syntetyzowany głos automatu zgłoszeniowego. Riggs podyktował kod numeryczny, a potem nazwisko. Mówił powoli, żeby komputer mógł porównać jego głos z wzorcem, celem potwierdzenia autentyczności. Odłożył słuchawkę. Minutę później telefon zadzwonił. Odebrał.

- Szybko – rzekł z uznaniem, siadając.
- Tak reagujemy na wszystkie połączenia z tym numerem. Co jest? Masz jakieś kłopoty?
- Nie bezpośrednio. Ale natrafiłem przypadkowo na coś, co chciałbym sprawdzić.
- Osoba, miejsce czy przedmiot?
- Osoba.
- Kto to jest?

Riggs odetchnął cicho. Miał nadzieję, że postępuje słusznie. Mógł się z tym wstrzymać przynajmniej do czasu, kiedy będzie wiedział coś więcej.

- Potrzebne mi informacje na temat niejakiej Lu Ann Tyler.

W samochodzie wracającej do domu LuAnn zadzwonił telefon.

- Halo?

Odetchnęła z ulgą na dźwięk głosu, który usłyszała.

– Nie mów mi, gdzie jesteś, Charlie, nie wiadomo, czy ta linia jest bezpieczna. – Spojrzała na drogę, żeby zorientować się w okolicy. – Zadzwoń za dwadzieścia minut, wiesz gdzie. – Rozłączyła się. Zaraz po przybyciu w te strony znaleźli w restauracji McDonalda automat łączący rozmowy z zewnątrz. Była to ich bezpieczna linia.

Dwadzieścia minut później stała już przy tym automacie. Odebrała, zanim przebrzmiał pierwszy dzwonek.

– Jak tam Lisa?

– W porządku, oboje mamy się dobrze. Boczy się jeszcze, ale jej przejdzie.

– Wiem. Odzywa się do ciebie w ogóle?

– Trochę. Ale odnoszę wrażenie, że w tej chwili oboje jesteśmy dla niej wrogami. Ma dziewczyna charakterek. Niedaleko padło jabłko od jabłoni, co?

– Co teraz robi?

– Poszła do łóżka. Całą noc jechaliśmy i niewiele spała. Przez całą drogę patrzyła w okno.

– Gdzie jesteście?

– W tej chwili w Pensylwanii, w motelu na przedmieściach Gettysburga, tuż przy granicy ze stanem Maryland. Musieliśmy zrobić sobie postój. Zasnęliśmy za kółkiem.

– Nie korzystasz chyba z karty kredytowej? Jackson mógłby was namierzyć.

– Myślisz, że masz do czynienia z początkującym w tych sprawach? Tylko gotówka.

– Zwracałeś uwagę, czy nikt was nie śledzi?

– Kluczyłem. Zjeżdżałem z międzystanowej w boczne drogi, zatrzymywałem się w miejscach publicznych. Dobrze się przyglądałem każdemu samochodowi, który wydał mi się choć trochę znajomy. Nikt za nami nie jedzie. A co u ciebie? Poderwałeś już Riggsa?

LuAnn zarumieniła się.

– Można tak powiedzieć. – Zawiesiła głos i odchrząknęła. – Widziałam się z Donovanem.

– Z kim?

– Tym gościem z chaty. Nazywa się Donovan i jest dziennikarzem.

– O cholera!

– Wie o dwunastu zwycięzcach loterii.

– Skąd?

– To trochę skomplikowane. Krótko mówiąc, rzuciło mu się w oczy, że żadne z nas nie ogłosiło bankructwa. A na dodatek wszyscy pomnażamy swoje majątki. Podobno to nietypowe dla wygrywających na loterii.

– Cholera, z tego wynika, że Jackson nie jest jednak doskonały.

– To pocieszające. No, muszę już kończyć. Podaj mi swój numer.

Charlie podyktował jej numer telefonu.

– Mam ze sobą komórkę, LuAnn. Znasz numer?

– Na pamięć.

– Nie podoba mi się, że siedzisz tam sama. Bardzo mi się nie podoba.

– Jakoś się trzymam. Mam trochę spraw do przemyślenia. Chcę się przygotować na następny kontakt z Jacksonem.

– Nie wiem, czy to możliwe. Ten facet nie jest człowiekiem.

LuAnn odwiesiła słuchawkę i wróciła do samochodu. Zanim wsiadła, rozejrzała się dyskretnie po parkingu. Nikogo podejrzanego nie dostrzegła. Ale to o niczym jeszcze nie świadczyło. Jackson nigdy nie wyglądał podejrzanie.

Charlie odłożył słuchawkę, zajrzał do Lisy, a potem podszedł do okna. Zajmowali pokój na parterze. Budynek miał kształt końskiej podkowy i Charlie widział nie tylko parking, ale i przeciwległe skrzydło motelu. Sprawdzał co pół godziny, czy ktoś przyjechał po nich. Nie dostrzegł jednak osobnika, który obserwował go przez lornetkę z głębi pokoju usytuowanego dokładnie naprzeciwko. Samochód tego człowieka nie stał na parkingu, bo nie był on gościem motelu. Włamał się do pokoju, kiedy Charlie z Lisą poszli coś zjeść. Mężczyzna odłożył lornetkę, zapisał sobie coś w notesie, i znowu uniósł ją do oczu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

BMW skręciło w podjazd i zatrzymało się. LuAnn zgasila silnik. Najpierw postanowiła się rozejrzeć. Nie wróciła do siebie. Jakiś czas krążyła bez celu po okolicy, potem przyjechała tutaj. Jeep stał przed domem, a więc jego właściciel był pewnie u siebie. Wysiadła i wstąpiła na schodki prowadzące na werandę.

Riggs słyszał, jak samochód LuAnn zatrzymuje się przed domem. Kończył właśnie rozmowę telefoniczną, na biurku przed nim leżała zapisana gęsto kartka. Wiedział teraz więcej, niż chciałby wiedzieć. Na samą myśl ścisnęło go w dołku.

Kiedy zapukała, otworzył drzwi. Weszła nie spoglądając na niego.

– Jak poszło? – spytał.

LuAnn krążyła chwilę po pokoju, potem usiadła na kanapie i spojrzała na niego, wzruszając ramionami.

– Nie za dobrze – mruknęła apatycznie.

Riggs przetarł oczy i zajął miejsce w fotelu naprzeciwko.

– Opowiedz mi o wszystkim.

– Po co? Po jakiego diabła miałabym cię w to wciągać?

Zastanawiał się chwilę, co na to odpowiedzieć. Mógł się teraz wycofać. Najwyraźniej świadomie podsuwała mu pretekst. Mógł jej powiedzieć, że ma rację, odprowadzić do drzwi i więcej się z nią nie spotkać. Patrząc na nią, taką zmęczoną i samotną, odezwał się cicho, ale z naciskiem:

– Chcę ci pomóc.

– To miło z twojej strony, ale nawet nie wiedziałabym, od czego zacząć.

– Może od tamtych wydarzeń sprzed dziesięciu lat w Georgii, po których uciekłaś przed policją oskarżona niesłusznie o morderstwo.

Wpatrywała się w niego, przygryzając wargę. Tak bardzo chciała zaufać temu człowiekowi. Kiedy jednak pomyślała, jak szybko, z jaką łatwością zdobył przed kilkoma dniami informacje o niej i o hondzie, ogarniały ją wątpliwości. Jackson miał wobec niego jakieś podejrzenia. Kim był? Skąd przybywał? Co dawniej robił? Spuściła oczy.

Kiedy znowu je podniosła, napotkała jego uważne spojrzenie. Wyczuwał jej niezdecydowanie i podejrzliwość.

– LuAnn, wiem, że właściwie nic o mnie nie wiesz. Jak dotąd. Ale zapewniam cię, że możesz mi zaufać.

– Chciałabym, Matthew, naprawdę. Ale... – Wstała i znowu zaczęła krążyć po pokoju. – Widzisz, przez ostatnie dziesięć lat nauczyłam się nie ufać nikomu. Nikomu prócz Charliego.

– Ale Charliego tu nie ma, a wszystko wskazuje na to, że nie potrafisz sama się z tym uporać.

Zesztywniała.

– Jeszcze nie wiesz, na co mnie stać.

– Wiem – odparł rozbrajająco.

– I wciągając cię w to, narażałabym cię na niebezpieczeństwo. A nie chcę cię mieć na sumieniu.

– Zdziwiłabyś się, gdybym ci powiedział, jak jestem otrzaskany z niebezpiecznymi sytuacjami. I ludźmi.

Patrzyła na niego, uśmiechając się blado. Hipnotyzowały go te jej orzechowe oczy, przywoływały świeże wspomnienia z tego poranka.

– Mimo wszystko nie chcę cię narażać.

– To po co przysłałaś? Bo chyba nie na powtórkę tego, co zaszło między nami rano. Wiem, że masz teraz inne sprawy na głowie.

Usiadła i złożyła dłonie. Milczała przez chwilę, potem zaczęła:

– Ten człowiek nazywa się Thomas Donovan. Jest dziennikarzem z jakiejś gazety. Prowadzi dochodzenie w mojej sprawie.

– Jakie dochodzenie? Dlaczego akurat ciebie sobie upatrzył? Chodzi o tamto morderstwo?

– Między innymi – odparła po chwili wahania LuAnn.

– I o co jeszcze?

LuAnn wbiła wzrok w podłogę i milczała. Na takie głęboko osobiste tematy potrafiła rozmawiać tylko z Charliem. Teraz nie mogła się przełamać.

Riggs zdecydował się zaryzykować.

– Czy to ma jakiś związek z loterią?

Powoli uniosła głowę. Na jej twarzy malowało się bezbrzeżne zdumienie.

– Kiedy usłyszałem twoje prawdziwe nazwisko, przypomniałem sobie. Dziesięć lat temu wygrałaś sto milionów, wiele wtedy o tym pisano. Potem zniknęłaś.

Przyglądała mu się czujnie, dzwoniły dzwoneczki alarmowe. Ale jego twarz wyrażała tylko zatroskanie, które w końcu przytłumiło jej podejrzliwość. Przynajmniej chwilowo.

– Tak, wygrałam.

– I czego chce od ciebie ten Donovan? Żebyś mu opowiedziała o zabójstwie?

– Między innymi.

– I czego jeszcze? – naciskał.

Znowu rozdzwoniły się dzwoneczki alarmowe i tym razem zatroskana mina Riggsa ich nie uciszyła. LuAnn wstała.

– Na mnie już pora.

– Siadaj, LuAnn. Porozmawiajmy.

– Powiedziałam już chyba więcej, niż powinnam.

Riggs wiedział o wiele więcej, niż mu powiedziała, ale chciał to teraz usłyszeć od niej. Jego informator spytał naturalnie, czemu LuAnn tak go interesuje. Skłamał. No, prawie. Nie zamierzał

wydawać LuAnn, przynajmniej jeszcze nie teraz. Miał wiele powodów, by jej nie ufać. A jednak ufał. Wierzył jej.

– LuAnn – zawołał za nią, kiedy sięgała do gałki u drzwi – jeśli zmienisz zdanie, czekam tu na ciebie.

Nie spojrzała na niego. Bała się, że jeśli to uczyni, coś w niej pęknie i wyzna mu wszystko. Potrzebowała jego pomocy, tak chciała znowu się z nim kochać. Po latach mistyfikacji, kłamstw i uciekania, życia w ciągłym strachu przed zdemaskowaniem – tęskniła za pieśczołą, za miłością.

Riggs odprowadzał wzrokiem oddalające się BMW. Kiedy samochód zniknął mu z oczu, odwrócił się i pomaszzerował z powrotem do swojego gabinetu. Wiedział, że po jego telefonie z prośbą o informacje na temat LuAnn Tyler, federalni przyślą do Charlottesville swoich agentów albo zlecą zajęcie się sprawą lokalnemu oddziałowi FBI. Ale zanim do tego dojdzie, będą musieli przeskoczyć kilka biurokratycznych barier, a to ze względu na jego specjalny status. Miał trochę czasu, ale niezbyt wiele. Kiedy do akcji wkroczą chłopcy z Biura, będzie po LuAnn Tyler. W ciągu kilku dni rozerwą tkaną misternie latami kurtynę, za którą usiłowała się skryć. Riggs, pomimo tego, co wiedział o tej kobiecie, nie mógł do takiej sytuacji dopuścić. Znał się na ludziach, potrafił odróżniać dobrych od złych. Dawno już doszedł do wniosku, że LuAnn należy do tych pierwszych. Chociaż nie chciała jego pomocy, on jej pomoże. Najwyraźniej miała powiązania z jakimiś bardzo niebezpiecznymi ludźmi. W tym momencie uświadomił sobie, że on też.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

LuAnn późno wróciła do siebie. Służby już nie zastała, Sally Beecham miała się zjawić dopiero nazajutrz. Weszła do domu przez garaż, wprowadziła kod do systemu alarmowego, rzuciła na krzesło w kuchni płaszcz i torebkę. Po chwili namysłu postanowiła wziąć prysznic. Miała wiele rzeczy do przemyślenia.

Jackson, klęczący w krzakach na skraju rozległego trawnika od strony garażu, spojrzął z uśmiechem na wyświetlacz małego, mieszczącego się w dłoni przyrządu. Widniało tam sześć cyfr składających się na kod dostępu do domowego systemu alarmowego LuAnn. Skaner wychwycił impulsy elektryczne wyemitowane podczas wprowadzania tego kodu przez LuAnn, a następnie je rozszyfrował. Dysponując tym kodem, Jackson mógł wejść do domu i wyjść z niego o każdej porze dnia i nocy.

Kiedy wsiadał do wynajętego samochodu, zabrzęczał telefon komórkowy. Uniósł go do ucha i słuchał przez kilka minut. Charlie z Lisa zatrzymali się w motelu pod Gettysburgiem. Prawdopodobnie ruszą wkrótce w dalszą drogę. LuAnn starała się wyekspediować córkę jak najdalej od niego. Charlie był tam tylko w charakterze eskorty. Jeśli dojdzie co do czego, dobrze wiedzieć, że Lisa jest piętą achillesową LuAnn.

LuAnn obserwowała z okna swojej sypialni postać posuwającą się wzdłuż linii drzew w kierunku głównej szosy. Skradające się, zwierzęco precyzyjne ruchy. Sama nie wiedziała, co kazało jej podejść do okna akurat w tym momencie. Nie przestraszyła się ani nie zdziwiła, ujrawszy schodzącego ze wzgórza Jacksona. Spodziewała się go tutaj. Po co konkretnie przyszedł i jak długo obserwował dom, nie wiedziała, ale nie ulegało już wątpliwości, że znalazła się w centrum jego zainteresowania. A znaleźć się w centrum zainteresowania tego człowieka to jak stanąć nad grobem. Zaciągnęła szczelnie zasłony i usiadła na łóżku. Ogromny dom wydał jej się zimny i straszny, jak jakieś olbrzymie mauzoleum, w którym zaraz wydarzy się coś przerażającego.

Czy Lisa naprawdę jest bezpieczna, czy znajduje się poza zasięgiem tego człowieka? Odpowiedź na to pytanie była tak oczywista, że udzieliwszy jej sobie, zmartwiła.

„Ja mogę wszystko, LuAnn”.

Przypomniały jej się te kpiące, wypowiedziane przed laty słowa i zadrzała. Riggs miał rację, nie upora się z tym sama. Nie poradzi sobie bez jego pomocy. Było jej już wszystko jedno, czy robi dobrze, czy źle. Musiała zdobyć się na jakieś działanie. Zerwała się z łóżka, chwyciła kluczyki od samochodu, wpadła do ściennej szafy, otworzyła stojącą tam na półce kasetę i schowała do torebki naładowane, niklowane magnum czterdzieści cztery. Potem zbiegła po

schodach do garażu. W chwilę później BMW pędziło już szosą.

Riggs usłyszał podjeżdżający i zatrzymujący się obok garażu samochód. Wyrzał przez okno swojego pokoiku nad stodołą i zobaczył LuAnn. Szła w kierunku domu, ale w połowie drogi, jakby wyczuwając jego obecność, zatrzymała się i spojrzała na stodołę. Spotkały się ich spojrzenia. Niedługo potem siedziała już naprzeciwko, grzejąc dłonie nad piecykiem.

Tym razem Riggs zaczął prosto z mostu.

– Loteria była ustawiona, prawda? Wiedziałaś z góry, że wygrasz?

LuAnn znieruchomiała, ale zaraz odetchnęła z ulgą.

– Tak. – Wypowiadając to jedno słowo, odniosła wrażenie, że wyparowuje nagle ostatnie dziesięć lat jej życia. Było to oczyszczające uczucie. – Jak do tego doszedłeś?

– Z małą pomocą przyjaciół.

LuAnn zjeżyła się i wstała powoli. Popęłniła właśnie największy w życiu błąd.

Riggs zauważył jej konsternację i uniósł dłoń.

– Na razie wiem o tym tylko ja – powiedział najspokojniej, jak potrafił. – Poskładałem w całość informacje pozbierane z różnych źródeł i strzeliłem na ślepo. – Po chwili wahania dorzucił: – Podłożyłem też pluskwę w twoim samochodzie. Słyszałem od początku do końca twoją rozmowę z Donovanem.

– Kim ty, u diabła, jesteś?! – wysyczała LuAnn i nie spuszczać z niego wzroku, namacała zatrask torebki, w której spoczywał pistolet.

Riggs patrzył jej w oczy.

– Kimś bardzo do ciebie podobnym – odparł ku jej zaskoczeniu. Zmroziły ją te słowa. Riggs wstał, wsunął ręce w kieszenie, oparł się o półkę z książkami i zapatrzył na kołyszące się na wietrze drzewa za oknem. – Moja przeszłość okryta jest tajemnicą, a obecne życie to mistyfikacja. – Spojrzał na nią. – Oszukuję. Ale w słusznej sprawie. – Uniósł brwi. – Jak ty.

LuAnn przeszedł dreszcz. Nogi się pod nią ugięły. Usiadła na podłodze, tam gdzie stała. Riggs ukląkł przed nią i wziął ją za rękę.

– Czasu mamy niewiele, nie będę więc owijał w bawełnę. Przeprowadziłem wywiad na twój temat. Zrobiłem to dyskretnie, ale mimo wszystko należy się spodziewać reakcji. Jesteś gotowa mnie wysłuchać?

LuAnn przełknęła z trudem ślinę i kiwnęła głową. Strach znikł z jej oczu, zastąpił go tam niczym niezmacony spokój.

– FBI interesuje się tobą od dnia, kiedy uciekłaś z kraju. Sprawę odłożono na jakiś czas na półkę, ale jej nie umorzono. Wiedzą, że gdzieś tam jesteś, może nawet wiedzą, jak wygrałaś, ale nie wiedzą gdzie i nie potrafią niczego dowieść.

– Jeśli podłożyłeś pluskwę w moim samochodzie, to musiałeś wiedzieć, że Donovan do niego wsiądzie.

Riggs kiwnął głową i pomógł jej wstać. Usiedli ramię w ramię na kanapie.

– Bankructwa. Bardzo sprytnie. Federalni jeszcze na to nie wpadli. Wiesz, jak to się

odbywało?

LuAnn pokręciła głową.

– Czy stoi za tym jakaś grupa ludzi, jakaś organizacja? Donovan twierdzi, że rząd. Tylko mi nie mów, że ma rację. To by było zbyt skomplikowane.

– To nie rząd. – LuAnn mówiła teraz spokojnie, choć na jej twarzy błąkał się jeszcze strach wywołany wyjściem na jaw długo skrywanych tajemnic. – O ile mi wiadomo, stoi za tym jedna osoba.

Riggs popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Jedna osoba? Niemożliwe.

– Ma współpracowników, dwóch nawet znam, ale mózgiem jest na pewno on.

– Czy jednym z tych ludzi był Charlie?

LuAnn znowu drgnęła.

– Skąd to przypuszczenie?

Riggs wzruszył ramionami.

– Ta historia z wujkiem jest trochę naciągana. Zauważyłem też, że nie macie przed sobą tajemnic. Sprawdzając ciebie, nie natknąłem się na żadną wzmiankę o jakimkolwiek wujku, przyjąłem więc, że pojawił się na scenie po tym przekręcie z loterią.

– Nie odpowiem na to pytanie. – Ani myślała obciążać Charliego.

– Rozumiem. A ten „mózg”? Co możesz mi o nim powiedzieć?

– Każe siebie nazywać Jacksonem. – LuAnn urwała nagle, dziwiąc się samej sobie, że to mówi. Wypowiadając jego nazwisko, zamknęła oczy i wyobraziła sobie, co Jackson zrobiłby z nią, z nimi wszystkimi, gdyby się dowiedział, co tu właśnie ujawnia. Obejrzała się instynktownie przez ramię.

Riggs ścisnął ją za rękę.

– Nie jesteś już sama, LuAnn. Z jego strony nic ci teraz nie grozi.

O mało nie parsknęła śmiechem.

– Matthew, będziemy mieli niebywale szczęście, jeśli on zabije nas od razu, bez tortur.

Riggs poczuł, jak drży jej ręka. Zaniepokoiło go to, bo wiedział przecież, że jest silna i odważna.

– Może poczujesz się lepiej, kiedy ci powiem, że miewałem swego czasu do czynienia z różnymi typami spod ciemnej gwiazdy i jakoś żyję. Każdy ma swoje słabe strony.

– Tak, to prawda – bąknęła bez przekonania LuAnn.

– Jeśli chcesz czekać z założonymi rękami, aż cię zabije, to proszę bardzo – ofuknął ją Riggs.

– Ale nie potrafię zrozumieć, jak to może pomóc Lisie. Jeśli ten facet jest tak bezwzględny, jak twierdzisz, to myślisz, że zostawi ją w spokoju?

– Ona o niczym nie wie.

– Ale Jackson nie ma co do tego pewności. Założy, że Lisa jest we wszystko wprowadzona i że trzeba ją na wszelki wypadek wyeliminować.

– Wiem – przyznała LuAnn. Przetarła dłonią twarz i spojrzała na niego bezradnie. – Nie rozumiem, dlaczego chcesz mi pomóc. Nawet mnie nie znasz. A ja przyznałam ci się przed chwilą do popełnienia przestępstwa.

– Powiedziałem już, że cię sprawdziłem. Znam twoją przeszłość. Jackson cię wykorzystał. Do diabła, będąc na twoim miejscu, też bez zastanowienia chwyciłbym się szansy zostania bogatym.

– Problem polega na tym, że ja się jej bez zastanowienia nie chwyciłam. Zdecydowałam się w to nie wchodzić, ale najpierw odkryłam, że Duane handluje narkotykami, a zaraz potem ile sił w nogach uciekałam z dzieckiem na rękę z przyczepy, w której leżały dwa trupy. Chyba... chyba nie miałam wyboru. Musiałam zniknąć.

– Rozumiem cię, LuAnn. Naprawdę.

– Od tamtego czasu wciąż uciekam. Boję się własnego cienia, boję się, że wszystko się wyda. To tylko dziesięć lat, a mnie się wydaje, że upłynęło już sto. – Pokręciła głową i splotła dłonie.

– Jak rozumiem, Jackson kręci się w okolicy.

– Czterdzieści pięć minut temu widziałam go w swoim ogrodzie.

– Co?

– Nie wiem, co tam robił, ale przypuszczam, że przygotowywał grunt pod wprowadzenie w życie planu, który uknuł.

– Jakiego planu?

– Na początek chce zabić Donovana.

– Słyszałem, jak go ostrzegałaś.

– A potem weźmie się prawdopodobnie za nas. – LuAnn ukryła twarz w dłoniach.

– Więcej go nie zobaczysz.

– O nie, Matt. Muszę się z nim spotkać. I to wkrótce.

Spojrzał na nią wstrząśnięty.

– Zwariowałaś?

– Wczoraj wieczorem Jackson zjawił się niespodziewanie w mojej sypialni. Odbyliśmy długą rozmowę. Obiecałam mu, że postaram się lepiej ciebie poznać. Nie żądał, żebym poszła z tobą do łóżka, ale tak jakoś wyszło.

– LuAnn, nie możesz...

– Mało brakowało, a by cię zabił. Wczoraj wieczorem w chacie. Pewnie wróciłeś tam po swojego jeepa. Powiedział mi, że miał cię na wyciągnięcie ręki. Masz szczęście, że żyjesz.

Riggs opadł na oparcie kanapy. A więc instynkt go nie zawiodł. To pocrzepiające, pomimo że nieświadomie otarł się o śmierć.

– Chciał cię sprawdzić. Niepokoi go twoja niejasna przeszłość. Zamierza cię przeświecić, a gdyby natrafił na coś niepokojącego, zabić.

– Ale?

– Ale powiedziałam, żeby zostawił to mnie.

– Ryzykowałaś.

– Nie tak jak ty, kiedy nadstawiałeś karku za mnie. Miałam wobec ciebie dług wdzięczności.

I nie chciałam, żeby coś ci się stało. Na dodatek przeze mnie.

Riggs rozrzucił szeroko ręce.

– A co miał z tego ustawienia loterii? Oddałaś mu część swojej wygranej?

– Całą. – Riggs wpatrywał się w nią tępo. – Obracał tymi pieniędzmi przez dziesięć lat. Tak było w umowie i ten okres właśnie minął. Inwestował i wypłacał mi część zysków z tych inwestycji.

– Miał do dyspozycji sto twoich milionów?! Ile zarabiałaś rocznie?

– W pierwszym roku było tego około czterdziestu milionów. Inwestował też sumy, których nie zdołałam wydać. Moje dochody wzrastały każdego roku o dziesiątki milionów.

Riggs zrobił wielkie oczy.

– To czterdzieści procent od samej wygranej.

– Wiem. A Jackson zgarniał z pewnością o wiele więcej. Nie robił tego przecież z dobroci serca. Sam mi powiedział, że to obopólnie korzystna transakcja.

– Jeśli ty wyciągałaś czterdzieści procent, to on co najmniej tyle samo. Czyli w sumie osiemdziesiąt procent zysku z twoich pieniędzy. Takie przebicie mógł osiągnąć tylko na nielegalnych operacjach.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A po upływie dziesięciu lat?

– Zwrócił mi moje sto milionów.

Riggs potarł czoło.

– A więc jeśli było was dwanaścioro i założymy, że od każdego dostał przeciętnie siedemdziesiąt milionów, to miał do dyspozycji prawie miliard dolarów, które mógł inwestować. Teraz ma na pewno o wiele więcej. – Riggs zmarszczył czoło.

– O czym myślisz?

– Jeszcze jedno spędza sen z oczu FBI.

Spojrzała na niego pytająco.

– Wiem na pewno – wyjaśnił – że od paru lat FBI, Interpol i kilka innych międzynarodowych agencji powołanych do walki z przestępczością dostaje sygnały o przekazywaniu ogromnych sum na rozmaite legalne i nielegalne ruchy działające w różnych częściach świata. Federalni podejrzewali z początku, że to jakiś kartel narkotykowy z Ameryki Południowej albo Azji pierze w ten sposób swoje pieniądze. Okazało się, że nie. Podejmowali różne tropy, ale do niczego ich one nie doprowadziły. Ktoś, kto dysponuje takimi pieniędzmi, potrafi dobrze się zakonspirować. Być może tym kimś jest twój Jackson. – Riggs zamilkł.

– Jesteś pewien, że Federalni nie wiedzą o loterii?

Riggs zmieszał się.

– Mogę cię zapewnić, że jeśli nawet wiedzą, to nie ode mnie. Ale teraz zaczną coś

podejrzewać, bo o ciebie pytałem. Nie dało się tego obejść.

– A jeśli sami do tego doszli? To mamy teraz na karku i Jacksona, i Biuro Federalne. Dobrze mówię?

Riggs odwrócił na chwilę wzrok, a potem spojrzał jej prosto w oczy.

– Dobrze.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, kogo bardziej się bać.

Popatrzyli na siebie, podobne myśli przysłyły im do głów. Oni dwoje przeciwko temu wszystkiemu. Pierwsza przerwała milczenie LuAnn.

– Muszę już iść – powiedziała.

– Dokąd?

– Jackson na pewno śledzi każdy mój krok. Wie, że spotkaliśmy się już kilka razy. Może też wiedzieć o moim spotkaniu z Donovanem. Jeśli natychmiast nie nawiążę z nim kontaktu, to... – gardło jej się ścisnęło – to będzie niewesoło.

Riggs chwycił ją mocno za ramiona.

– LuAnn, ten facet to psychol, ale przy tym geniusz. A przez to jeszcze bardziej niebezpieczny. Jeśli nabierze wobec ciebie najmniejszych podejrzeń...

Pogłaskała go czule po przedramionach.

– No to muszę się postarać, żeby ich nie nabrał.

– Jak, u diabła, zamierzasz to zrobić? On już je pewnie ma. Ja bym powiadomił policję stanową. Niech go zdejmą.

– A ja? Co ze mną?

Riggs stropił się.

– Prawdopodobnie mogłabyś zawrzeć jakiś układ z władzami – rzekł bez przekonania.

– A ludzie z Georgii? Słyszałeś, co mówił Donovan. Chcą mnie zlinczować.

– Federalni mogliby z nimi porozmawiać i... – Riggs urwał, uświadamiając sobie, że wszystko to jest palcem na wodzie pisane.

– Tak, tak, dogadałabym się jakoś ze wszystkimi. Oddałabym pieniądze. Może cię to zdziwi, ale wcale mi na nich nie zależy. Potem przydzielono by mi może jakiegoś ludzkiego sędziego, który ulgowo by mnie potraktował. Zakładając to wszystko, ile mogłabym dostać?! Dwadzieścia lat?!

– Niekoniecznie aż tyle.

– A ile?

– Nie potrafię powiedzieć. Nie wiem.

– Mogłabym sobie wziąć dobrego adwokata, tak? Już widzę te nagłówki w gazetach: Handlarka narkotykami, morderczyni, złodziejka, zbiegła LuAnn Tyler żyje sobie jak królowa za pieniądze utopione w loterii przez najuboższych. Może jeszcze nagrodę by mi dali, zamiast wsadzać na dożywocie. Co ty na to?

Riggs milczał. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

– Powiedzmy teraz, że wystawiamy Jacksona. A jeśli uda mu się wymknąć? Założmy zresztą, że go schwytają. Myślisz, że z takimi pieniędzmi i wpływami, jakie ma, długo posiedzi? Może też wynająć kogoś, kto zemści się za niego. Biorąc to wszystko pod uwagę, ile, twoim zdaniem, warte jest moje życie?! I życie mojej córki?!

Tym razem Riggs odpowiedział.

– Nic. No dobrze, wiem, do czego zmierzasz. Ale dlaczego nie skontaktujesz się z tym facetem przez telefon? Nie musisz się z nim spotykać osobiście.

LuAnn zastanowiła się.

– Spróbuję – mruknęła po chwili, wstając. Spojrzała na Riggsa z góry. Wyglądała znowu na silną, wysmukłą, pewną siebie dwudziestolatkę. – Owszem, mam furę dolarów i zjeździłam cały świat, ale nie jestem z FBI. Jestem nadal głupią dziewczyną z Georgii, ale zdziwiłbyś się, na co mnie stać, kiedy już sobie coś postanowię. – Przed oczyma stanęła jej buzia Lisy. – A wiele mam do stracenia. Zbyt wiele. – Urwała. Kiedy znów się odezwała, jej głos przesycony był uporem zdradzającym południowe korzenie. – A więc się nie poddam.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

George Masters wpatrywał się w leżące przed nim akta. Siedział w swoim pokoju w budynku Hoovera w Waszyngtonie. W FBI pracował już od ponad dwudziestu pięciu lat, z czego dziesięć spędził w nowojorskim oddziale Biura. Teraz patrzył na znane mu dobrze z tamtego dziesięcioletniego okresu nazwisko: LuAnn Tyler. Masters brał udział w prowadzonym przez władze federalne dochodzeniu w sprawie ucieczki LuAnn Tyler ze Stanów Zjednoczonych i chociaż dochodzenie to już dawno oficjalnie zamknięto, on nadal pamiętał tamte wypadki, a to głównie ze względu na ich pozorną bezsensowność. Bezsensowne sprawy zawsze intrygowały doświadczonego agenta FBI. Ta nie dawała mu spokoju, chociaż został w tym czasie przeniesiony do Waszyngtonu. Ostatnio zaś wydarzyło się coś, co spowodowało, że postanowił wrócić do sprawy. Z prośbą o informacje na temat LuAnn Tyler wystąpił Matt Riggs. Riggs mieszkał teraz w Charlottesville w Wirginii. Masters znał go bardzo dobrze, a ściślej mówiąc, wiedział, kim Riggs kiedyś był. Skoro tą Tyler interesuje się ktoś taki jak Riggs, to on, Masters, też się nią zainteresuje.

Po nieudanej próbie przeszkodzenia LuAnn Tyler w ucieczce z Nowego Jorku zespół Mastersa długo starał się zrekonstruować ostatnie kilka dni jej życia przed zniknięciem. Doszli do wniosku, że z Georgii do Nowego Jorku mogła przyjechać samochodem albo pociągiem. Nie miała prawa jazdy ani samochodu. Duży kabriolet, w którym ją widziano, stał przed przyczepą kempingową, a więc z tego pojazdu nie skorzystała. Masters skoncentrował się na pociągach. Na ślad trafił na dworcu kolejowym w Atlancie. LuAnn Tyler wsiadła tam do pociągu Amtrak Crescent jadącego do Nowego Jorku w dniu popełnienia morderstw. Ale to nie wszystko. Wcześniej korzystała z telefonu zainstalowanego w samochodzie Otisa Burnsa, mężczyzny, którego ciało znaleziono w przyczepie. FBI ustaliła numer, pod jaki dzwoniła. Zaczynał się na osiemset, ale został już odłączony. Nie udało się ustalić, do kogo należał. To jeszcze bardziej zaintrygowało Mastersa.

Teraz, biorąc znowu na warsztat sprawę LuAnn Tyler, Masters kazał swoim ludziom szukać w archiwach nowojorskiej policji wszelkich niezwykłych wydarzeń z okresu poprzedzającego bezpośrednio jej zniknięcie. Jedno z nich bardzo go zainteresowało. W przeddzień konferencji prasowej, na której LuAnn miała być przedstawiona jako zwyciężczyni loterii, w nowojorskim mieszkaniu należącym do niejakiego Anthony'ego Romanella znaleziono zwłoki właściciela. Niby nic niezwykłego; w Nowym Jorku takie rzeczy są na porządku dziennym. Ale czujność policji wzbudził fakt, że Romanello figurował w ich rejestrach jako recydywista podejrzany o dokonywanie zabójstw na zlecenie. Policja odtworzyła jego ostatni dzień pośród żywych. Na krótko przed śmiercią widziano Romanella w towarzystwie jakiejś kobiety w restauracji. Podobno doszło między nimi, do ostrej wymiany zdań. Dwie godziny później Romanello już nie

żył. Za oficjalną przyczynę śmierci uznano atak serca, jednak sekcja zwłok nie wykazała niczego, co wskazywałoby, że ten młody, silny mężczyzna miał jakiegokolwiek kłopoty z sercem. Te szczegóły nie podniecały Mastersa. Ożywił się dopiero, czytając rysopis kobiety: pasował idealnie do LuAnn Tyler.

Masters poprawił się nerwowo na krześle i zapalił papierosa. W chwilę potem nieomal zerwał się na równe nogi. Przy Romanellu znaleziono bilet kolejowy. Romanello był w Georgii i wrócił do Nowego Jorku tym samym pociągiem co LuAnn, chociaż podróżowali w innych przedziałach. Czyżby coś ich łączyło? Dysponując zasobem zebranych przed laty informacji, doświadczony agent zaczynał kojarzyć na nowo fakty. Może to i dobrze, że tyle lat nie zajmował się sprawą. Patrzył na nią teraz z zupełnie nowej perspektywy.

Przebrnął przez akta LuAnn Tyler, obejmujące również dokumentację loteryjną. Wygrywający kupon złożony został w sklepie w Rikersville w stanie Georgia, prawdopodobnie przez LuAnn Tyler, w dniu popełnienia morderstw w przyczepie. Dziewczynie nie brakowało tupetu, skoro po dokonaniu podwójnego morderstwa zatrzymała się jeszcze, by spróbować szczęścia na loterii – pomyślał Masters. Wygrywający kupon zgłoszono do weryfikacji w pierwszą środę po ciągnięciu, które odbyło się w Nowym Jorku. Kobietę pasującą do rysopisu LuAnn Tyler widziano w towarzystwie Romanella w piątek wieczorem. A konferencja prasowa, na której ogłoszono oficjalnie, że zwyciężczynią została LuAnn, odbyła się w sobotę. Jednak z danych Amtraka i z biletu znalezione przy zwłokach Romanella wynikało, że Tyler i Romanello wsiedli do pociągu do Nowego Jorku w poprzednią niedzielę, czyli na miejscu byli w poniedziałek. Znaczyłoby to, że LuAnn wybrała się do Nowego Jorku, nie wiedząc jeszcze, że wygrała na loterii. Czyżby, uciekając przed oskarżeniem o morderstwa, upatrzyła sobie Nowy Jork na kryjówkę na chybił trafił, a tylko przypadek sprawił, że akurat wtedy wygrała sto milionów zielonych? Jeśli tak, to jest chyba największą pod słońcem szczęściarą. George Masters nie wierzył w aż takie pomysły zbiegi okoliczności. Zaczął wyliczać fakty na palcach. Morderstwa. Rozmowa telefoniczna. Złożenie kuponu loteryjnego. Wyjazd pociągiem do Nowego Jorku przed ogłoszeniem wyników ciągnięcia. LuAnn Tyler wygrywa na loterii. Romanello ma sprzeczkę z Tyler. Romanello umiera. LuAnn Tyler, dwudziestolatka z dzieckiem na ręku, po siedmiu klasach szkoły podstawowej, wymyka się z obławy policyjnej i znika bez śladu. Nie mogło jej się to udać bez niczyjej pomocy – zdecydował Masters. Wszystko to było z góry zaplanowane. A z tego wynika jeden wniosek. Masters ścisnął mocno poręczę krzesła.

LuAnn Tyler wiedziała, że wygra na loterii.

Na tę myśl posepnolicym agentem FBI wstrząsnął dreszcz podniecenia. Nie mógł uwierzyć, że nie wpadł na to przed dziesięciu laty, z drugiej jednak strony, jak taka możliwość mogła mu wtedy przyjść do głowy? Szukał tylko i wyłącznie potencjalnej morderczynie. Poza tym wówczas nie wiedział jeszcze o Romanellu.

Nie był aż tak stary, żeby pamiętać loteryjne oszustwa z ubiegłego stulecia, ale skandale na tym tle z lat pięćdziesiątych już pamiętał. Jednak tamte były śmiechu warte w porównaniu z

aferą, która się teraz kroїła.

Przed dziesięcioma laty ktoś ustawił Loterię Stanów Zjednoczonych. Przynajmniej jedno ciągnienie, być może więcej. O implikacjach aż strach było pomyśleć. Zyski z tej loterii rząd federalny przeznaczał na finansowanie mnóstwa programów, programów tak teraz upolitycznionych, że przerwanie ich byłoby praktycznie niemożliwe. Ale skoro źródło tych pieniędzy zostało skażone, to co będzie, jeśli dowie się o tym naród amerykański?

Na tę myśl Mastersowi zaschło w ustach. Nalał sobie wody ze stojącej na biurku karafki i popił nią dwie aspiryny, by zdusić w zarodku narastający ból głowy. Poprawił się na krześle i sięgnął po słuchawkę.

– Połączcie mnie z dyrektorem – rzucił.

Opadł na oparcie i czekał na połączenie. Wiedział, że sprawa oprze się w końcu o Biały Dom. Ale najpierw dyrektor musi porozmawiać z prokuratorem generalnym. Ten zadecyduje, czy poinformować prezydenta. Jeśli to prawda, zrobi się smród, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętają.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Jackson siedział znowu w swoim hotelowym pokoju, wpatrzony w ekran laptopa. LuAnn już kilka razy spotkała się z Riggsem, a wciąż się nie odzywa. Da jej jeszcze kilka godzin. Zawiódł się na niej. Nie założył jej podsłuchu w telefonie. Przeoczenie, którego teraz nie warto już naprawiać. Zaskoczyła go trochę, tak szybko wysyłając stąd Lisę. Współpracownik, któremu kazał obserwować każdy krok LuAnn, ruszył w ślad za Charliem i Lisa, Jacksonowi ubyłła więc cenna para oczu. Nie wiedział więc jeszcze o spotkaniu LuAnn z Donovanem.

Zastanawiał się, czy nie ściągnąć posiłków na obstawienie wszystkich baz, ale zrezygnował z tego pomysłu. Zbyt wielu obcych kręcących się po miasteczku mogło wzbudzić podejrzenia. A tego w miarę możliwości chciał uniknąć. Zwłaszcza z uwagi na jokera, którego do tej pory nie rozpracował: Matta Riggsa. Przed chwilą przesłał odciski palców Riggsa do tego samego informatora i czekał teraz na odpowiedź.

Jacksonowi twarz się wydłużyła, kiedy na ekranie pojawiły się oczekiwane informacje. Właściciel odcisków palców nie nazywał się Matthew Riggs. W pierwszej chwili Jacksonowi przemknęło przez myśl, że przez pomyłkę zdjął w chacie odciski palców kogoś innego. Nie, to niemożliwe. Widział dokładnie, czego dotyka człowiek podający się za Matta Riggsa. Tutaj o pomyłce nie mogło być mowy. Postanowił sprawdzić drugie źródło ewentualnego nieporozumienia. Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

– Było z tym trochę zachodu – powiedział jego rozmówca. – Najpierw próbowaliśmy normalnymi kanałami, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Zapytanie odesłane zostało chyba na wyższy poziom, a w końcu przyszła odpowiedź, że takich odcisków palców nie znaleziono.

– Ale zidentyfikowaliście tę osobę – zauważył Jackson.

– Tak, ale już innymi kanałami. – Jackson wiedział, że oznaczało to włamanie się do bazy danych. – Dopiero nimi udało nam się ściągnąć informacje, które panu przestaliśmy.

– Nazwisko się nie zgadza, i mam tu, że on zmarł, a przecież żyje.

– Chwileczkę, chodzi o to, że standardowa procedura postępowania w przypadku śmierci jakiegoś przestępcy nakazuje zdjąć trupowi odciski palców i wysłać je do FBI celem zweryfikowania. Po weryfikacji wskaźnik tych odcisków – czyli ścieżka dostępu służąca do wyszukiwania ich w bazie danych – zostaje wykasowany. Rezultat jest taki, że w bazie danych nie ma odcisków palców żadnego zmarłego przestępcy.

– Jak więc wyjaśnicie to, co mi przed chwilą przestaliście? Dlaczego ta osoba figuruje tam, chociaż rzekomo zmarła, i do tego pod fałszywym nazwiskiem?

– Cóż, moim zdaniem prawdziwe jest nazwisko figurujące w bazie danych, a fałszywe to, którego obecnie używa. Z faktu, że występuje tam jako zmarły, wynika, że federalnym zależy, by za takiego go uważano. Informacja ta przeznaczona jest zwłaszcza dla tych, którzy się nim

interesują i mogą podejmować próby dostania się do ich bazy danych. Wiem, że Fedzi robili już takie numery.

– Po co?

Jackson wysłuchał odpowiedzi i powoli odłożył słuchawkę. Teraz to wszystko nabierało sensu. Patrzył w ekran. Daniel Buckman: Zmarł.

Niespełna trzy minuty po wyjściu LuAnn u Riggsa zadzwonił telefon. Wiadomość była krótka, ale zmroziła Riggsa.

– Ktoś nieupoważniony włamał się przed chwilą poprzez Zautomatyzowany System Identyfikacji Linii Papilarnych do pliku z twoimi odciskami palców. I był to ktoś znający się na rzeczy, bo zorientowaliśmy się dopiero po fakcie. Zachowaj szczególną ostrożność, badamy sprawę.

Riggs trzasnął słuchawką i porwał odbiornik. Z szuflady biurka zabrał dwa pistolety, dwa pełne magazynki i kaburę, którą przypiął sobie paskami do łydki. Większy pistolet schował do kieszeni, mniejszy do kabury i wybiegł do jeepa. Miał nadzieję, że LuAnn nie znalazła i nie wyrzuciła nadajnika, który zainstalował w jej samochodzie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

LuAnn zadzwoniła z samochodu pod numer, który dał jej Jackson. Oddzwonił niecałą minutę później.

– Ja też jestem w tej chwili w drodze – powiedział. – Musimy porozmawiać.

– Zgłaszam się, jak pan sobie życzył.

– Słyszę. Pewnie masz mi wiele do powiedzenia.

– Nie sądzę, żebyśmy stali wobec jakiegoś poważnego problemu.

– O, naprawdę? Miło mi to słyszeć.

– Mam mówić czy nie? – warknęła LuAnn.

– Tak, ale nie przez telefon.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie? – odparował. – Spotkamy się osobiście. Ja też mam informacje, które mogą cię zainteresować.

– Na jaki temat?

– Nie na jaki, lecz na czyj temat. Matta Riggsa. Jego prawdziwe nazwisko, prawdziwa przeszłość i coś jeszcze, co powinno cię skłonić do zachowania w kontaktach z nim szczególnej ostrożności.

– Może mi pan to powiedzieć od razu.

– Widzę, że mnie nie zrozumiałaś, LuAnn. Chcę się z tobą spotkać osobiście.

– Po co mam się z panem spotykać?

– Podam ci bardzo dobry powód. Po to, żebym w ciągu najbliższych trzydziestu minut nie znalazł Riggsa i nie zabił go. Utnę mu głowę i wyślę ci ją pocztą. Jeśli ostrzeżesz go przez telefon, to pojedę do twojego domu i pozabijam tam wszystkich od pokojówek po ogrodników, a następnie zrównam go z ziemią. Potem pojedę do ekskluzywnej szkoły twojej ukochanej córeczki i wyrnę tam wszystkich do nogi. Możesz sobie dzwonić do woli, ostrzegać całe miasto, a ja zacznę zabijać kogo popadnie. To chyba wystarczający powód, żebyśmy się spotkali, prawda LuAnn? A może jeszcze ci mało?

– Gdzie i kiedy? – wykrztusiła LuAnn, przerażona tą werbalną jatką. Była pewna, że Jackson naprawdę jest do tego zdolny.

– Jak za starych dobrych czasów. A skoro już mowa o starych dobrych czasach, to może zabierzesz ze sobą Charliego. Jego też to dotyczy.

LuAnn odsunęła od siebie słuchawkę i patrzyła na nią tak, jakby chciała stopić ją wzrokiem wraz z człowiekiem po tamtej stronie linii.

– Nie ma go tutaj w tej chwili.

– No, no. A myślałem, że nie odstępuję cię na krok.

Coś w tonie jego głosu trąciło jakąś strunę w pamięci LuAnn. Nie bardzo wiedziała jaką.

– Nie jesteście sklejeni. Charlie ma własne życie.

Do czasu – pomyślał Jackson. Do czasu, tak jak i ty. Mam jednak pewne wątpliwości, naprawdę je mam.

– Spotkajmy się w chacie, w której uwił sobie gniazdko twój wścibski przyjaciel. Za trzydzieści minut. Zdasz?

– W chacie za trzydzieści minut.

Jackson odłożył słuchawkę i odruchowo namacał nóż w kieszeni.

Oddalona dziesięć mil od niego LuAnn wykonała niemal identyczny ruch, odbezpieczając pistolet.

Zmierzch już zapadał, kiedy LuAnn skręcała w leśną, zasłaną liśćmi drogę. Było tu bardzo ciemno. Wjechała w głęboką kałużę powstałą podczas nocnej ulewy. Kiedy na przednią szybę prysnęła fontanna wody, aż podskoczyła. Zobaczyła przed sobą chatę. Zwolniła i zlustrowała wzrokiem teren. Żadnego samochodu, nikogo. Jackson pojawiał się i znikał jak duch. Zatrzymała BMW przed frontem rozpadającej się rudery i wysiadła. Przykucnęła, by przyjrzeć się podłożu. W tym bloku wszelkie ślady byłyby wyraźnie widoczne, ale ona ich nie dostrzegała.

Spojrzała na chatę. Był tam już, nie miała najmniejszych wątpliwości. Wyczuwała go, tak jak wyczuwa się bliskość wilgotnego, zapleśniałego grobu. Wzięła jeszcze jeden głęboki oddech i podeszła do drzwi.

Przekroczywszy próg, rozejrzała się po małym wnętrzu.

– Jesteś przed czasem. – Jackson wynurzył się z mrocznego kąta. Twarz miał tę samą co podczas ich pierwszego spotkania. Cenił sobie konsekwencję. Ubrany był w skórzaną kurtkę i dzinsy. Na głowie miał czarną narciarską czapkę, na nogach ciemne buty turystyczne. – Ale przynajmniej sama – dorzucił.

– Mam nadzieję, że pan też. – LuAnn przesunęła się nieco, żeby mieć za plecami ścianę, nie drzwi.

Jackson zauważył to i uśmiechnął się. Założył ręce na piersi, oparł się o ścianę i wydał wargi.

– No to składaj swój raport – powiedział.

LuAnn trzymała ręce w kieszeniach kurtki. Jedną ścisnęła kolbę pistoletu wymierzonego przez materiał w Jacksona. Musiał zauważyć wybrzuszenie.

– Dobrze pamiętam, jak się zarzekałaś, że nie potrafiłabyś zabić z zimną krwią – zakpił, przekrzywiając głowę.

– Od każdej reguły są wyjątki.

– Fascynujące, ale nie mamy czasu na przekomarzania. Raport.

LuAnn zaczęła mówić urywanymi zdaniami.

– Miałam spotkanie z Donovanem. Tym człowiekiem, który mnie śledził, Thomasem Donovanem. – Zakładała, że Jackson ustalił już tożsamość Donovana. W drodze tutaj

zdecydowała, że najlepiej będzie mówić prawdę, a odchodzić od niej tylko w krytycznych momentach. Powinna w ten sposób zyskać wiarygodność w oczach Jacksona. – Jest dziennikarzem z „Washington Tribune”.

Jackson przykucnął i złożył ręce jak do pacierza. Nie spuszczał z niej wzroku.

– Dalej.

– Pisz artykuł o loterii. O dwanaścioru zwycięzców sprzed dziesięciu lat – spojrzała na niego znacząco. – Wie pan, o których. Wszystkim świetnie się powodzi.

– No i?

– No i Donovan chce się dowiedzieć, dlaczego, bo z pozostałych zwycięzców większość splajtowała. Znaczny odsetek, tak powiedział. I na tym tle pańska dwunastka się wyróżnia.

Jackson dobrze ukrył irytację. Nie cierpiał niedoróbek, a ta była poważna. LuAnn przyglądała mu się uważnie. Czytała z jego twarzy ślady konsternacji. Podniosło ją to bardzo na duchu, ale nie był to czas na kontemplowanie tego odkrycia.

– Co mu powiedziałaś?

– Że ktoś z loterii polecił mi bardzo dobrą firmę inwestycyjną. Podałam mu nazwę tej, o której pan mi kiedyś wspominał. Zakładam, że jest legalna.

– Bardzo – odparł Jackson. – Przynajmniej z wierzchu. A inni?

– Powiedziałam Donovanowi, że nic mi o nich nie wiadomo, ale możliwe, że zostali skierowani do tej samej, co ja, firmy.

– Kupił to?

– Powiedzmy, że był rozczarowany. Chciał napisać artykuł o tym, jak bogaci wykorzystują biednych – wie pan, ktoś wygrywa na loterii, a potem dopadają go pasożytnicze firmy inwestycyjne, oskubują do czysta i musi ogłosić bankructwo. Powiedziałam mu, że ode mnie na pewno nie doczeka się potwierdzenia swojej tezy, bo bardzo dobrze sobie radzę.

– A wie coś o Georgii?

– Podejrzewam, że właśnie to go do mnie przyciągnęło. – LuAnn zauważyła z ulgą, jak Jackson kiwa nieznacznie głową. Najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku. – Myślał chyba, że przyznam się do udziału w jakimś wielkim spisku.

Oczy Jacksona zabłyśły ponuro.

– Wsuwał jakieś inne teorie, na przykład, że loteria została ustawiona?

LuAnn wiedziała, że najmniejsze zawahanie byłoby teraz katastrofalne w skutkach.

– Nie – zaprzeczyła stanowczo. – Ale był przekonany, że natrafił na wielki temat. Powiedziałam mu, że nie mam nic do ukrycia, a jak nie wierzy, to niech sprawdzi w tej firmie inwestycyjnej. Od razu spuścił z tonu. Powiedziałam też, że jak chce pójść na policję w Georgii, to proszę bardzo. Może już pora wyjaśnić tę sprawę.

– Chyba nie mówiłaś tego poważnie?

– Staralam się, żeby tak to odebrał. Pomyślałam sobie, że jak zacznę kręcić i się wypierać, to rozbudzę tylko jego podejrzliwość. Bo tak w ogóle to on jakby słyszał, że dzwonią, ale nie

wiedział, w którym kościele.

– I na czym się skończyło?

– Podziękował mi, że poświęciłam mu czas, nawet przeprosił, że zawracał mi głowę. Powiedział, że może się jeszcze ze mną skontaktuje, ale raczej wątpi. – LuAnn znowu zauważyła, jak Jackson kiwa lekko głową. Szło jej lepiej, niż się spodziewała. – Potem przesiadł się z mojego wozu do swojego i tyle go widziałam.

Jackson nie odzywał się przez parę chwil, potem wstał powoli i bezgłośnie zaklaskał.

– Uwielbiam dobre przedstawienia i uważam, że popisowo to rozegrałaś, LuAnn.

– Miałam dobrego nauczyciela.

– Słucham?

– Przed dziesięciu laty. Na lotnisku, gdy przybrał pan dla siebie i dla mnie bliźniacze wcielenie. Powiedział mi pan wtedy, że najlepszy sposób na ukrycie się to wcale się nie ukrywać. Uciekłam się do tej zasady. Wystarczy mówić otwarcie, afiszować swoją chęć do współpracy, a wyprowadzi się w pole nawet najbardziej podejrzliwych ludzi.

– Jestem zaszczycony, że to wszystko pamiętasz.

LuAnn wiedziała, jak łąsi na pochlebstwa są mężczyźni i że Jackson, choć ma się za takiego wyjątkowego, pod tym względem wyjątkiem nie jest.

– Nie tak łatwo pana zapomnieć – powiedziała. – Tak więc z Donovanem nie musi pan nic robić, jest nieszkodliwy. Proszę mi teraz opowiedzieć, czego dowiedział się pan o Riggsie.

Wargi Jacksona rozciągnęły się w uśmiechu.

– Byłem dzisiaj rano świadkiem twojego nieplanowanego spotkania z Riggssem na terenie posiadłości. Było na co popatrzeć. Jeśli wnioskować ze skąpości twojego stroju, panu Riggsowi sympatycznie dzień się zaczął.

LuAnn ukryła gniew, jaki wzbudził w niej ten przytyk. Teraz chodziło jej tylko o informacje.

– Tym bardziej powinnam wiedzieć o nim wszystko – odparła oschle.

– Zacznijmy od tego, że naprawdę nazywa się Daniel Buckman.

– Buckman? Dlaczego zmienił nazwisko?

– Zabawnie brzmi w twoich ustach to pytanie. Po co ludzie zmieniają nazwiska, LuAnn?

Pot wystąpił jej na czoło.

– Bo mają coś do ukrycia.

– No właśnie.

– Jest szpiegiem?

Jackson roześmiał się.

– Niezupełnie. Prawdę mówiąc, to jest niczym.

– Co to znaczy?

– Zmarli mogą być tylko zmarłymi i niczym więcej, prawda?

– Zmarli? – LuAnn zdrętwiała. Czyżby Jackson zabił Matta? Nie, to niemożliwe. Nogi się pod nią ugięły.

– Zdobyłem jego odciski palców – podjął Jackson – przepuściłem je przez bazę danych i komputer powiedział mi, że on nie żyje.

– To jakaś pomyłka.

– Komputer wierzy we wszystko, co mu się powie. Komuś zależało, żeby Riggs uchodził za zmarłego. Na wypadek, gdyby ktoś go szukał.

– Szukał? Kto?

– Wrogowie. Słyszałaś o Programie Ochrony i Relokacji Świadków?

– Nie. Co to takiego?

– Za długo mieszkałaś za granicą. To program realizowany przez rząd federalny. Ma chronić osoby zeznające na niekorzyść niebezpiecznych ludzi albo organizacji. Dostają nową tożsamość, nowe życie. Oficjalnie taki Riggs umiera. A potem pojawia się w jakimś małym miasteczku i rozpoczyna nowe życie pod nowym nazwiskiem. Może nawet ze zmienioną fizjonomią. Nie wiem tego na pewno, ale mam powody, by przypuszczać, że Riggs należy do tej wyselekcjonowanej grupy.

– Riggs... Buckman... był świadkiem? W jakiej sprawie?

– Któż to wie? Czy to zresztą ważne? Próbuję ci uświadomić, że Riggs jest przestępcą. A raczej był. Prawdopodobnie narkotyki albo coś w tym rodzaju. Może miał powiązania z mafią. Programem Ochrony Świadków nie obejmuje się pospolitych złodziejasków.

– Riggs przestępcą. – LuAnn oparła się o ścianę, żeby nie upaść.

– Mam nadzieję, że z niczego mu się nie zwierzyłaś? Nie wiadomo, co z niego za ptaszek.

– Nie – wykrztusiła LuAnn.

– No więc, co możesz mi o nim powiedzieć?

– Niewiele tego. Nie wie nic ponad to, co już wiedział. Nie draży sprawy. Uważa Donovana za potencjalnego porywacza. Na podstawie tego, co od pana usłyszałam, dochodzę do przekonania, że nie chce zwracać na siebie uwagi.

– Nie wątpię. To dla nas bardzo dobrze. Widzę, że wasza dzisiejsza randka była owocna.

– To nie pański interes – zaperzyła się. Wymiana informacji dobiegła końca i teraz nie zamierzała puścić tej aluzji płazem.

– Oj, twój pierwszy błąd podczas tej sesji. Nie wytrzymujesz bez popełnienia jakiejś gafy. – Wymierzył w nią długi palec. – Wszystko, co wiąże się z tobą, jest moim interesem. Stworzyłem cię. I czuję się za ciebie odpowiedzialny. Nie lekceważę tej odpowiedzialności.

– Dziesięć lat minęło! – wybuchnęła LuAnn. – Zarobił pan swoje pieniądze. Ja zarobiłam swoje. Nasze ścieżki się rozchodzą. Za trzydzieści sześć godzin będę już na drugim końcu świata. Pan pójdzie swoją drogą, ja swoją, bo jestem już tym wszystkim naprawdę zmęczona.

– Nie posłuchałaś mnie.

– Dziesięć cholernych lat stosowałam się do pańskich instrukcji. Dwadzieścia krajów, ciągle oglądanie się za siebie. I podejrzewam, że tak już będzie do końca życia. – Patrzyli sobie długo w oczy.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Jak tylko się spakuję. Jutro rano już nas tu nie będzie.

Jackson potarł w zamyśleniu brodę.

– Powiedz mi coś, LuAnn... Powiedz mi, dlaczego nie miałbym cię teraz zabić?

Była przygotowana na to pytanie.

– Bo Donovanowi mogłoby się wydać dziwne, że zginęłam zaraz po rozmowie z nim. Teraz niczego nie podejrzewa. Ale mogę panu zagwarantować, że moja śmierć by to zmieniła. Potrzebne panu takie kłopoty?

Jackson stał chwilę z zaciśniętymi mocno ustami, potem wskazał na drzwi.

– Idź się pakować.

Teraz LuAnn wskazała na drzwi.

– Pan przodem.

– Wyjdźmy razem, LuAnn. Tak będzie lepiej.

Nie spuszczać z siebie oczu, ruszyli razem do drzwi.

W chwili, kiedy Jackson kładł dłoń na gałce, drzwi otworzyły się z impetem do środka. Ledwie zdążyli przed nimi uskokoczyć.

W progu stał Riggs z pistoletem wymierzonym w Jacksona. Na jego widok Jackson chwycił LuAnn, skrył się za nią błyskawicznie i zaczął powoli opuszczać rękę.

– Matthew, nie! – krzyknęła LuAnn.

Riggs rzucił jej przelotne spojrzenie.

– LuAnn...

LuAnn bardziej wyczuła, niż zobaczyła, że ręka Jacksona zgina się w łokciu. Wyprowadzał nóż do rzutu od dołu.

Wyrzucając rękę w bok, zablokowała jego podrywające się przedramię. Riggs syknął z bólu i osunął się na podłogę, chwytając odruchowo za rękojeść sterzącego mu z ramienia noża. LuAnn wyrwała z kieszeni pistolet i odwróciła się błyskawicznie, żeby strzelić do Jacksona, ale ten w tym samym momencie znowu ją do siebie przyciągnął.

Wpadła na niego z takim impetem, że stracił równowagę i z brzękiem tłuczonego szkła wylecieli oboje przez okno na ganek. LuAnn wylądowała na wierzchu. Pistolet wypadł jej z ręki. Spleceni w zapaśniczym uścisku zaczęli się tarzać po grubych, śliskich odłamkach szkła, szukając jakiegoś oparcia dla stóp. On ścisnął ją za szyję, ona kopnęła go kolanem w krocze i podważyła łokciem brodę. Podźwignęli się niezdarnie na nogi, jedno nie puszczając drugiego. LuAnn zauważyła kątem oka, że Jacksonowi krwawi dłoń; musiał ją sobie rozciąć, kiedy wypadali przez okno. Mobilizując wszystkie siły, wyrwała się z jego objęć. Jedną ręką chwyciła go za pasek od spodni, a drugą za przód koszuli i z półobrotu cisnęła nim o ścianę chaty. Uderzył w deski twarzą i zamroczony osunął się na ziemię. Idąc za ciosem, LuAnn doskoczyła do niego, usiadła mu okraciem na plecach, chwyciła za brodę i szarpnęła do siebie. Jackson wrzasnął z bólu. Jeszcze cał, a skręciłaby mu kark, ale nagle jej dłonie ześlizgnęły się z brody Jacksona.

Tracąc równowagę, upadła na wznak w potłuczone szkło. Zerwała się natychmiast i zastygła z oczami wlepionymi w to, co zostało jej w rękach. Była to twarz Jacksona.

Jackson stanął na chwiejnych nogach. Na jedną straszną chwilę skrzyżowały się ich spojrzenia. I LuAnn po raz pierwszy zobaczyła jego prawdziwą twarz.

Jackson spuścił wzrok na jej rękę. Dotknął swojej twarzy, poczuł pod palcami własną skórę, własne włosy, spazmatycznie dyszał. Zidentyfikowała go. Teraz musiała umrzeć.

LuAnn też to zrozumiała. Rzuciła się szczupakiem w kierunku leżącego na ganku pistoletu, Jackson zrobił to samo. W wyścigu na śmierć i życie sunęli na brzuchach po ganku do porzuconej broni.

– Wara od niej, sukinsynu! – wrzasnął Riggs. Stał w wybitym oknie śmiertelnie blady, koszulę miał całą we krwi, w drżących rękach trzymał pistolet. Jackson zerwał się z podłogi i z niewiarygodną zwinnością przeskoczył przez balustradę otaczającą ganek. Riggs o ułamek sekundy za późno nacisnął spust i pocisk chybił celu.

– Cholera! – jęknął Riggs i opadł na klęczki, znikając jej z oczu pod parapetem okna.

– Matthew! – LuAnn zerwała się na równe nogi, Jackson znikł już między drzewami.

Wbiegła do chaty, ściągając po drodze kurtkę. Po chwili była już przy Riggsie.

– Zostaw, Matt, nie wyciągaj go. – Pomagając sobie zębami oderwała rękaw od kurtki i podarła go na pasy. Następnie rozpruła Riggsowi rękaw koszuli i odsłoniła ranę. Próbowwała zatamować krwotok prowizorycznymi tamponami, ale bez powodzenia. Wymacała tętnicę pod pachą Riggsa i ucisnęła ją palcem. To poskutkowało. Ostrożnie wyciągnęła mu nóż z ramienia i odrzuciła. W trakcie tego zabiegu Riggs wpiął się palcami w jej ramię i o mało nie przegryzł sobie wargi.

– Przytrzymaj tu palcem, Matt, tylko nie za mocno, żeby nie zatrzymać całkiem dopływu krwi. – Naprowadziła jego palec na miejsce pod pachą, które uciskała.

– Mam w samochodzie apteczkę. Opatrzę cię najlepiej, jak potrafię, i zawiozę do lekarza.

Podniosła z ganku pistolet i pomogła Riggsowi dojść do BMW. Tam zdezynfekowała mu i opatrzyła ranę. Kiedy zabezpieczała bandaż plastrem, Riggs spojrzał na nią.

– Gdzie się tego nauczyłaś?

LuAnn chrząknęła.

– Pierwszy raz widziałam lekarza, kiedy rodziła się Lisa. A i to tylko przez dwadzieścia minut. Kiedy człowiek nie ma centa przy duszy, musi to umieć, bo inaczej nie przetrwa.

Przed izbą przyjęć pogotowia przy drodze Dwudziestej Dziewiątej LuAnn chciała wysiąść i pomóc Riggsowi. Powstrzymał ją.

– Zostań. Sam wejdę. Znają mnie tutaj, jestem stałym klientem. Przedsiębiorcy budowlanemu często coś się przytrafia. Powiem, że nieszczęśliwie upadłem i wbiłem sobie nóż myśliwski w ramię.

– Na pewno dasz sobie radę?

– Tak, już i tak dosyć ci narobiłem kłopotu. Wysiadł z wozu.

– Zaczekam tu na ciebie – powiedziała LuAnn.

Uśmiechnął się blado i trzymając za zranione ramię, wszedł do środka.

LuAnn zawróciła i wprowadziła BMW na miejsce parkingowe, z którego miała dobry widok na wejście do budynku. Zablokowała drzwiczki i zakłęła w duchu. Nie mogła winić Riggsa za to, że przybył jej na ratunek. Szkoda tylko, że zrobił to, kiedy jej udało się przekonać Jacksona, że wszystko jest w porządku. Może zdołałaby jakoś wytłumaczyć Jacksonowi nagłe pojawienie się uzbrojonego Riggsa. Martwił się o jej bezpieczeństwo, śledził ją, myślał, że to Donovan. Ale Riggs zrobił jeszcze coś, czego Jacksonowi wytłumaczyć nie potrafiła. Jęknęła, patrząc na samochody przemykające drogą Dwudziestą Dziewiątą.

Riggs nazwał ją w chacie Lu Ann, co na pewno nie uszło uwagi Jacksona. To jedno słowo zrujnowało wszystko. Jackson wiedział teraz, że go okłamała, twierdząc, że Riggs niczego się nie domyśla. Nie miała wątpliwości, że zostanie za to ukarana. A jeszcze przed półgodziną wszystko tak dobrze się układało.

Zerknęła na siedzenie obok i zobaczyła tam biały kartonik. Sięgnęła po niego. Była to wizytówka Donovana z numerem telefonu. Po chwili zastanowienia podniosła słuchawkę telefonu. Zakłęła pod nosem, kiedy odezwała się automatyczna sekretarka. Nagrała na nią relację z wydarzeń tego wieczoru. Jeszcze raz poprosiła dziennikarza, żeby poszukał schronienia, a ona pokryje wszelkie koszty. Był uczciwym człowiekiem szukającym prawdy. Nie chciała jego śmierci. Nie chciała, żeby ktokolwiek przez nią umierał. Miała nadzieję, że Donovan dożyje chwili, kiedy będzie mógł wysłuchać tego nagrania.

Jackson dociskał tampon do opuszki dłoni. Rzeczywiście rozciął ją sobie paskudnie, wypadając przez okno. Przekłęte babsko. Riggs już by nie żył, gdyby na moment przed wypuszczeniem noża nie zablokowała mu ręki.

Dotknął ostrożnie czoła. Rósł tam mały guz, pamiątka po jednym z jej uderzeń. Przekonał się wreszcie na własnej skórze, jaka drzemie w niej siła, i musiał przyznać, że jest silniejsza od niego. Kto by pomyślał? Takiej danej od Boga siły nie mają nawet umięśnieni osobnicy. Nie można jej sobie wypracować na siłowni. Jest kombinacją cech psychicznych i fizycznych, objawia się spontanicznie w potrzebie. Nie da się jej zmierzyć ani oszacować, bo manifestuje się z różnym natężeniem zależnie od sytuacji. Taką siłę albo się ma, albo nie. LuAnn Tyler ją miała. On to sobie zapamięta. Teraz już wie, że nie pokona jej w walce wręcz.

O ironio, uwierzył jej. Był już gotów ją puścić. LuAnn zwierzyła się Riggsowi, to jasne. Riggs znał jej prawdziwe imię. Nic nie irytowało Jacksona bardziej od nielojalności współpracowników. Nie tolerował tego. Skoro nie powiedziała prawdy o Riggsie, to więcej niż prawdopodobne, że nie powiedziała też prawdy o Donovanie. Musi założyć, że dziennikarz „Washington Tribune” jest bliski odkrycia prawdy. A więc i nim trzeba będzie się zająć.

Zadzwonił telefon. Jackson odebrał. Słuchał chwilę, zadał kilka pytań, wydał kilka poleceń i z wyrazem głębokiej satysfakcji na prawdziwej twarzy odłożył słuchawkę. Pułapka, którą

zastawił, zadziałała.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Na lądujący na trawiastym lotnisku śmigłowiec Bell Ranger czekały trzy czarne sedany z rządową rejestracją. Z maszyny wyskoczyli George Masters i dragi agent, Lou Berman. Wsiadli do jednego z samochodów i ten natychmiast ruszył. Riggs nie docenił szybkości, z jaką zareagował Waszyngton.

Dwadzieścia minut później kawalkada skręciła w żwirowy podjazd i zatrzymała się przed domem Riggsa. Otworzyły się drzwiczki i posępni ludzie, którzy z gotową do strzału bronią wysypali się z samochodów, otoczyli dom i stodołę.

Masters podszedł do drzwi frontowych. Kiedy na jego pukanie nikt nie odpowiedział, skinął na jednego ze swoich ludzi. Zwalisty agent kopnął w zamek i drzwi otworzyły się, uderzając z hukiem o ścianę sieni. Po dokładnym przeszukaniu domu zebrali się w gabinecie Riggsa.

Masters usiadł za biurkiem i szybko przejrzał leżące na nim papiery. Na widok jednej z kartek oczy mu zabłyśły. Opał na oparcie fotela i uważnie przestudiował notatki Riggsa na temat LuAnn Tyler oraz kobiety nazwiskiem Catherine Savage. Skończywszy, spojrzął na Bermana.

– Tyler znika, a pojawia się Catherine Savage. To przykrywka.

– Można sprawdzić na lotniskach, czy dziesięć lat temu mieli wśród odlatujących pasażerkę o nazwisku Catherine Savage – zasugerował Berman.

Masters pokręcił głową.

– Nie trzeba. To na pewno jedna i ta sama osoba. Tyler tu jest. Znajdź mi migiem adres tej Savage. Obdzwon miejscowych agentów od nieruchomości, ale tych luksusowych. Wątpię, by jej wysokość mieszkała teraz w przyczepie.

Berman kiwnął głową, chwycił za telefon komórkowy i wyszedłby skonsultować się z towarzyszącymi im tutaj miejscowymi agentami FBI.

Masters przesunął wzrokiem po gabinecie Riggsa. Aż dziw, jak Riggs się tu szybko zaaklimatyzował. Dobrze tu miał, nowe życie, nowy zawód, stabilizację, mnóstwo spokojnych lat przed sobą. Ale teraz? Masters był w Białym Domu na spotkaniu z prezydentem, prokuratorem generalnym i dyrektorem FBI. Referując swoją hipotezę, widział, jak na twarz każdego z nich wpływa chorobliwa bladeść. Skandal na przerażającą skalę. Rządowa loteria ustawiona. Naród uzna, że przez rząd. To pewne. Prezydent publicznie wyraził swoje poparcie dla loterii, pojawił się nawet w popularyzującej ją reklamie telewizyjnej.

Loterię krytykowano za to, że rozbija rodziny, uzależnia, jeszcze bardziej zubaża ubogich, zabija w ludziach przedsiębiorczość i chęć do wytężonej pracy, mając nierealistyczną wizję wygranej. Ale jak dotąd loteria była na te ataki odporna.

Gdyby jednak wyszło na jaw, że choćby raz gra była ustawiona, rozpętałoby się piekło.

Oberwałoby się wszystkim, od prezydenta poczynając. Masters widział to na twarzach mężczyzn słuchających go w Gabinetce Owalnym: dyrektora FBI, pierwszego w kraju stróża prawa; prokuratora generalnego, pierwszego w kraju prawnika; prezydenta stojącego nad wszystkimi. To na nich spadnie odpowiedzialność. Tak więc Masters dostał wyraźne instrukcje: nie przebierając w środkach, nie zwracając uwagi na koszty, zatrzymać Lu Ann Tyler. I zamierzał je wypełnić.

– No i jak?

Riggs wsiadł powoli do samochodu. Prawą rękę miał na temblaku.

– Tak mnie nafaszerowali środkami przeciwbólowymi, że sam już nie wiem.

LuAnn zapuściła silnik i ruszyła.

– Dokąd jedziemy? – spytał Riggs.

– Do McDonalda. Umieram z głodu, a nie pamiętam już, kiedy ostatni raz jadłam Big Maca z frytkami. Pasuje?

– Pasuje.

Skręciła do McDonalda i nie wysiadając z samochodu, zamówiła hamburgery, frytki i dwie kawy.

Jedli w drodze. Riggs odstawił kubek z kawą, otarł usta i zaczął bębnić nerwowo palcami zdrowej ręki w deskę rozdzielczą.

– Powiedz mi teraz, jak bardzo namieszałem – odezwał się.

– Nie mam do ciebie żadnych pretensji, Matthew.

– Wiem. – Klepnął dłonią w siedzenie. – Myślałem, że to pułapka.

– Dlaczego?

Riggs patrzył dłuższą chwilę w okno.

– Zaraz po twoim wyjściu miałem telefon – odparł w końcu.

– Naprawdę? Kto dzwonił i co to ma wspólnego ze mną?

Westchnął ciężko.

– No dobrze, zacznę od tego, że nie nazywam się Matthew Riggs. To znaczy nazywam się tak od pięciu lat, ale nie jest to moje prawdziwe nazwisko.

– No to pod tym względem mamy remis.

– Daniel Buckman jestem – powiedział z wymuszonym uśmiechem, wyciągając rękę. – Przyjaciele mówią mi Dan.

LuAnn nie uściśnęła mu dłoni.

– Dla mnie jesteś Matthew. Czy twoi przyjaciele wiedzą, że praktycznie rzecz biorąc, nie żyjesz i że jesteś objęty Programem Ochrony Świadków?

Riggs cofnął powoli rękę.

Rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie.

– Mówiłam ci, że Jackson może wszystko. Najwyższa pora, żebyś zaczął mi wierzyć.

– Byłem pewien, że to on zapuścił żurawia do mojego pliku. Dlatego za tobą pojechałem.

Nie wiedziałem, jak zareaguje, skoro już o mnie wie. Bałem się, że będzie chciał cię zabić.

– To do niego podobne.

– Dobrze mu się przyjrzałem.

– To nie była jego prawdziwa twarz – fuknęła LuAnn. – Cholera, on nigdy nie pokazuje prawdziwej twarzy. – Wróciła myślami do gumowej maski, którą trzymała w ręce. Ona widziała jego twarz. Tę prawdziwą. I wiedziała, co to oznacza. Teraz Jackson zrobi wszystko, by ją zabić.

Nerwowo przesunęła rękami po kierownicy.

– Jackson twierdzi, że byłeś przestępcą. Co zrobiłeś?

– Chcesz powiedzieć, że wierzysz we wszystko, co ten facet ci mówi? Może tego nie zauważyłaś, ale to psychopata. Od egzekucji Teda Bundy'ego nie widziałem takich oczu.

– To nie jesteś objęty Programem Ochrony Świadców?

– Tego nie powiedziałem. Ale ten program stworzono nie tylko dla kryminalistów.

Spojrzała na niego pytająco.

– Jak to?

– Myślisz, że przestępca mógłby chwycić za telefon i zdobyć informacje na twój temat, tak jak ja to zrobiłem?

– Nie wiem. A nie mógłby?

– Zatrzymaj się.

– Co?

– Zatrzymaj ten cholerny samochód!

LuAnn skręciła na przydrożny parking i zatrzymała wóz. Riggs schylił się i wyciągnął spod jej fotela urządzenie podsłuchowe.

– Powiedziałem, że założyłem ci pluskwę w samochodzie. – Pokazał jej skomplikowany aparacik. – Widzisz? Takiego sprzętu prawie nigdy nie wydają przestępcom.

LuAnn patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Riggs odetchnął głęboko.

– Przedsiębiorcą budowlanym jestem dopiero od pięciu lat. Wcześniej byłem agentem specjalnym FBI. Powiedziałbym nawet, że bardzo specjalnym. Infiltrowałem gangi działające po obu stronach granicy Teksasu z Meksykiem. Faceci parali się wszystkim, od wymuszeń, poprzez narkotyki, na morderstwach na zlecenie kończąc. Przez rok żyłem w tym bagnie. Kiedy w końcu zamknęliśmy sprawę, zostałem głównym świadkiem oskarżenia. Ukrócić procedurę, mnóstwo tych bandziorów powędrowało na całe życie za kratki. Ale wielcy szefowie z Kolumbii nie pogodzili się z faktem, że pozbawiłem ich dochodu z narkotyków sięgającego czterystu milionów dolarów rocznie. Wiedziałem, że zagięli na mnie parol. Wystąpiłem więc z prośbą o zorganizowanie mojego zniknięcia.

– No i?

– No i Biuro odrzuciło moją prośbę. Powiedzieli, że jestem im potrzebny do pracy w terenie. Że zbyt cenny i doświadczony ze mnie agent. Zaproponowali wspaniałomyślnie, że przeniosą mnie do innego miasta i na jakiś czas posadzą za biurkiem.

– A więc nie było żadnej żony. To tylko przykrywka.

Riggs potarł zranione ramię.

– Nie, naprawdę byłem żonaty. Ożeniłem się po przeniesieniu. Miała na imię Julia.

– Miała? – spytała cicho LuAnn.

Riggs pokręcił powoli głową i upił łyk kawy. Para z kubka osiadła na szybie. Wykaligrafował na niej palcem inicjały swojego prawdziwego imienia i nazwiska: D.B.

– Zasadzka na Pacific Coast Highway. Samochód spadł z urwiska podziurawiony jak sito pociskami z broni maszynowej. Julia zginęła na miejscu. Ja dostałem dwie kulki. Wyrzuciło mnie z wozu, wylądowałem na skalnej półce. To stąd te blizny, które zauważyłaś.

– O, Boże, tak mi przykro, Matthew.

– Tacy jak ja faceci nie powinni się chyba żenić. Nie dążyłem do tego. Tak jakoś wyszło. Wiesz, jak to jest. Spotykasz kogoś, zakochujesz się, chcesz z tym kimś być. Zdajesz sobie sprawę z zagrożenia, ale wmawiasz sobie, że wszystko się ułoży, że jakoś to będzie. Gdybym oparł się pokusie, Julia by żyła i uczyła dzieci w pierwszej klasie. – Spojrzał na swoje dłonie. – W każdym razie po tym wypadku do genialnych szych z Biura dotarło wreszcie, że naprawdę wypadałoby mnie przenieść w stan spoczynku i zmienić mi tożsamość. Oficjalnie zginąłem w tamtej zasadzce. Julię pochowano w Pasadenie, a ja jestem teraz przedsiębiorcą budowlanym w bezpiecznym, sielskim Charlottesville. – Dopił kawę. – A przynajmniej do tej pory bezpiecznym.

Lu Ann objęła go ramieniem i przytuliła.

– Trudno wymazać z pamięci tyle lat życia – podjął. – Starasz się nie myśleć o swojej przeszłości, zapomnieć o ludziach i miejscach, o rzeczach, które tak długo były dla ciebie ważne. Nie opuszcza cię lęk przed zdradzeniem się jakimś nieopatrzonym słowem. To cholernie trudne. – Spojrzał na nią.

Pogłaskała go po twarzy.

– Nie wiedziałam, że aż tyle mamy ze sobą wspólnego – powiedziała.

– Mam więcej, niż ci się wydaje. – Zawiesił na moment głos, by spojrzeć jej w oczy. – Od śmierci Julii nie byłem z żadną kobietą.

Ich usta złączyły się w czułym, przeciągłym pocałunku.

– Nie pomyśl sobie tylko – podjął Riggs – że to, co zaszło między nami rano, to dlatego. Miałem już niejedną okazję. Aż do tej pory z żadnej nie skorzystałem.

Przesunęła palcem wskazującym po linii jego szczęki, potem po wargach.

– Ja też miałam okazję – przyznała.

Pocałowali się znowu i przywarli do siebie instynktownie. Siedzieli tak, objęci, kołysząc się, przez kilka minut.

Oderwali się w końcu od siebie i Riggs, powracając do rzeczywistości, rozejrzał się po parkingu.

– Jedźmy do ciebie. Spakujesz potrzebne ci rzeczy. Potem pojedziemy do mnie i ja zrobię to samo. Zostawiłem na biurku notatki z mojej sondy telefonicznej na twój temat. Nie chcę, żeby

wpadły komuś w ręce.

– A dokąd potem?

– Jakies cztery mile stąd na północ drogą dwadzieścia dziewięć jest taki motel.

– To już jakiś początek.

– Jak myślisz, co teraz zrobi Jackson?

– Już wie, że nie mówiłam prawdy o tobie. Pewnie założył, że nie mówiłam również prawdy o Donovanie. Ponieważ ja nie mam żadnego interesu w ujawnianiu prawdy, za to Donovan jak najbardziej, Jackson najpierw spróbuje zrobić porządek z nim, a dopiero potem weźmie się za mnie. Zadzwoiłam do Donovana i zostawiłam mu na automatycznej sekretarce ostrzeżenie.

– Tak, to bardzo inspirujące, być numerem dwa na liście egzekucji Mistrza Psychopatów – zauważył Riggs, poklepując się po kieszeni, do której schował pistolet.

Kilka minut później skręcali już w prywatną drogę do Wicken's Hunt. W domu było ciemno. LuAnn zaparkowała przed frontem i wysiedli z wozu. Wprowadziła kod domowego systemu bezpieczeństwa i weszli do środka.

Riggs przysiadł na łóżku i patrzył, jak LuAnn upycha rzeczy do małej torby podróźnej.

– Jesteś pewna, że Lisie i Charliemu nic nie grozi?

– Tak. Są daleko stąd. I od niego.

Riggs podszedł do okna wychodzącego na podjazd od frontu i wyjrzał. To, co tam zobaczył, sprawiło, że nogi się pod nim ugięły. Chwycił LuAnn za rękę i pociągnął za sobą po schodach. Wybiegli z domu tylnym wyjściem.

Z czarnych sedanów, które zatrzymały się przed domem, wyskoczyło kilkunastu mężczyzn. Masters przyłożył dłoń do maski BMW i rozejrzał się dookoła.

– Ciepły. Ona gdzieś tu jest. Szukajcie.

Mężczyźni rozbiegli się, okrążając dom.

LuAnn i Riggs pędzili w kierunku lasu. Kiedy mijali stajnię, LuAnn zatrzymała się nagle.

Riggs też przystanął. Trzymał się za ramię i ze świstem wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby. Oboje drżeli.

– Co jest? – wysapał.

Wskazała ruchem głowy na stajnię.

– Z tą ręką daleko nie ubiegiesz. A w lesie ukryć się nie możemy.

Weszli do stajni. Joy przywitała ich radosnym parsaniem. LuAnn dopadła do niej i uciszyła. Podczas gdy ona siodłała klacz, Riggs zdjął lornetkę ze ściany i wyszedł na zewnątrz. Zagłębił się w gęste zarośla między stajnią a domem i nastawił ostrość. Cofnął się odruchowo na widok mężczyzny w kurtce z literami FBI na plecach, który z karabinem w ręku szedł przez skąpany w blasku reflektorów trawnik. Przyjrawszy mu się bliżej, Riggs wymruczał coś pod nosem. Pięć lat nie widział tego człowieka. George Masters niewiele się przez ten czas zmienił. Po chwili wszedł do domu, znikając Riggsowi z oczu.

Wrócił chyłkiem do stodoły. LuAnn kończyła już sprawdzać popręgi. Poklepała Joy po szyi i szepcząc do klaczy czułe słówka, zakładała jej uzdę.

– Gotowy? – spytała.

– Ruszajmy. Kiedy stwierdzą, że w domu nikogo nie ma, przystąpią do przeczesywania okolicy. Wiedzą, że gdzieś tu jesteśmy – silnik samochodu jeszcze nie ostygł.

LuAnn postawiła obok Joy drewnianą skrzynkę, wskoczyła na siodło i wyciągnęła rękę do Riggsa.

– Wejdz na skrzynkę i podaj mi rękę.

Riggs, przyciskając do boku zranioną rękę, zdołał się jakoś wgramolić po skrzynce na grzbiet klaczy. Zdrowym ramieniem objął LuAnn w pasie.

– Będę się starała jechać wolno, ale i tak cię wytrzęsie.

– Nie martw się o mnie. Wolę już to od tłumaczenia się przed FBI.

LuAnn wyprowadziła klacz ze stajni.

– A więc to byli oni? – spytała, kiedy galopowali już szlakiem. – Twój starzy przyjaciele?

– Mhm. Przynajmniej jednego starego przyjaciela tam wypatrzyłem. Nazywa się George Masters. To on twierdził, że jestem zbyt cennym agentem, by zwalniać mnie ze służby, i sprzeciwiał się objęciu mnie przez Biuro Programem Ochrony Świadców aż do wypadku, w którym zginęła moja żona.

– Matthew, nie warto. Nie ma sensu, żebyś ze mną przed nimi uciekał. Ty nic nie zrobiłeś.

– Nie jestem też im nic dłużny, LuAnn.

– A jak cię ze mną złapią?

– Nie damy się złapać – zachichotał.

– Co cię tak śmieszy?

– Pomyślałem sobie właśnie, jak się ostatnio nudziłem. Wygląda na to, że szczęśliwy mogę być, tylko nadstawiając karku.

– No to dobrałeś sobie właściwe towarzystwo. – Patrzyła przed siebie. – Motel raczej odpada.

– Tak, wezmą takie miejsca pod obserwację. Poza tym kierownik motelu mógłby nabrać podejrzeń, gdybyśmy zajechali tam na koniu.

– W garażu stoi jeszcze jeden wóz, ale co nam z niego?

– Chwileczkę. Mamy samochód!

– Gdzie?

– Galopem do chaty!

– Miej oczy i uszy otwarte na wypadek, gdyby wrócił tu wiesz kto – powiedział Riggs do LuAnn, zsuwając się przed chatą z klaczy. Wszedł do szopy za domem. Po chwili LuAnn usłyszała dolatujący stamtąd pomruk uruchamianego silnika, który jednak zaraz zgasł. Rozrusznik znowu zakaszał i tym razem silnik zaskoczył. W chwilę później z szopy wytoczyła się

poobtłukiwana honda Donovanana, pozbawiona przedniego zderzaka.

– Co zrobimy z koniem? – spytał Riggs, wysiadając z wozu.

LuAnn rozejrzała się.

– Mogłabym ją puścić luzem. Trafiłaby pewnie do stajni, ale boję się, że w tych ciemnościach wpadnie w jakiś wykrot albo do potoku.

– To może zamknijemy ją w szopie, a później zadzwonimy do kogoś, żeby ją stąd zabrał? – zaproponował.

– Świetna myśl. – LuAnn zeskoczyła z Joy i wprowadziła ją do szopy.

Rozejrzawszy się po wnętrzu, wypatrzyła w głębi koryto na wodę oraz dwa małe kopczyki siana.

– Idealne miejsce – ucieszyła się. – Lokator, który mieszkał tu przed Donovanem, pewnie trzymał w szopie konia.

Rozsiodłała Joy, zdjęła jej uzdę i postronkiem, który znalazła na klepisku, uwiązała klacz do wbitego w ścianę haka. Potem, kursując z wiadrem do kranu na zewnątrz, napełniła koryto wodą i podsypała Joy siana. Klacz pochyliła się od razu nad korytem i zaspokoiwszy pragnienie, zabrała się do przeżuwania siana. LuAnn zamknęła drzwi i zajęła miejsce za kierownicą hondy. Riggs siedział już w fotelu pasażera.

W stacyjce nie było kluczyków. LuAnn zajrzała pod kolumnę kierownicy. Zwisiał tam pęk odsłoniętych kabli.

– To w FBI uczą odpalania na drut? – zapytała.

– Życie uczy człowieka rozmaitych przydatnych rzeczy.

– Mnie to mówisz? – LuAnn wrzuciła bieg i ruszyła.

Przez chwilę jechali w milczeniu, potem Riggs poprawił się w fotelu.

– Jest chyba tylko jeden sposób wykaraskania się z tego bez specjalnego szwanku.

– Jaki?

– FBI potrafi być wyrozumiałe dla ludzi, którzy idą na współpracę.

– No dobrze, Matthew, ale...

– Ale – wpadł jej w słowo – stać ich też na udzielenie całkowitego rozgrzeszenia ludziom, od których dostają coś, na czym im naprawdę zależy.

– Co ty sugerujesz?

– Wystarczy podać im na tacy Jacksona.

– No to kamień spadł mi z serca. Już myślałam, że chodzi o coś trudnego.

Honda pędziła w ciemną noc.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Była dziesiąta rano. Donovan obserwował przez lornetkę wielki południowy dom kolonialny otoczony starymi drzewami. Znajdował się w McLean, jednej z najzamożniej szych okolic nie tylko w Wirginii, ale i w całych Stanach Zjednoczonych. Warto miliony dolarów rezydencje były tu normą, ale powierzchnia przeciętnej działki nie przekraczała akra. Ten dom stał na pięciu akrach. Musiał być wart majątek. Patrząc na kolumnowy portyk, Donovan nie miał wątpliwości, że aktualnego właściciela stać było na takie lokum.

Ulicą nadjechał nowiutki mercedes. Masywna brama posiadłości otworzyła się przed nim i samochód wtoczył się w prywatną alejkę dojazdową. Kobieta siedząca za kierownicą miała teraz czterdzieści kilka lat, ale nadal można w niej było rozpoznać osobę z loteryjnej fotografii sprzed dziesięciu lat. Pieniądze potrafią spowolnić proces starzenia – pomyślał Donovan.

Spojrzał na zegarek. Na wszelki wypadek zajął stanowisko wczesnym rankiem. Wysłuchał ostrzeżenia nagranych na automatyczną sekretarkę. Nie zamierzał jeszcze uciekać, ale radę LuAnn potraktował bardzo poważnie. Tylko głupiec nie zorientowałby się, że za tym wszystkim kryją się jakieś potężne siły. Wyjął z kieszeni pistolet i sprawdził, czy magazynek jest pełny. Rozejrzał się jeszcze raz dookoła. Odczekał parę minut, żeby dać kobiecie czas na wejście do domu, potem wyrzucił papierosa przez okno, zakręcił szybę i ruszył.

Zatrzymał się przed bramą wjazdową i rzucił swoje nazwisko do interkomu. Głos, który mu odpowiedział, był jakiś nerwowy, pobudzony. Brama otworzyła się i niedługo potem Donovan stał już w wysokim na dwa piętra foyer.

– Pani Reynolds?

Bobbie Jo Reynolds unikała jak mogła jego wzroku. Nie odezwała się, kiwnęła tylko głową. Jej strój Donovan określiłby jako bardzo elegancki. Nikt by nie odgadł, że zaledwie dziesięć lat temu była przymierającą głodem aktoreczką, która dorabiała sobie jako kelnerka. Przed blisko pięcioma laty wróciła do kraju po długim pobycie we Francji. Prowadząc dochodzenie w sprawie zwycięzców loterii, Donovan dokładnie ją przeświecił. Była teraz szanowaną członkinią waszyngtońskiej śmietanki towarzyskiej. Ciekawe, czy znają się z Alicją Crane?

Kiedy nie wyszło z LuAnn, Donovan skontaktował się z pozostałą jedenastką zwycięzców loterii. Odnaleźć było ich o wiele łatwiej niż LuAnn. Żadne nie uciekało przed wymiarem sprawiedliwości. Jak dotąd.

Tylko Reynolds zgodziła się z nim porozmawiać. Pięcioro zwycięzców od razu rzuciło słuchawkę. Herman Rudy zagroził mu uszkodzeniem ciała, a słów, jakich używał, Donovan nie słyszał od czasów służby w marynarce. Pozostałym zostawił wiadomość, ale nie oddzwonili.

Reynolds wprowadziła Donovana do living roomu – ogromnego, przestronnego pomieszczenia umeblowanego ze smakiem współczesnymi sprzętami, wśród których tu i tam

zadawał szyku jakiś cenny antyk.

Reynolds usiadła w przepastnym fotelu, a Donovanowi wskazała miejsce na stojącej naprzeciwko sofie.

– Napije się pan kawy albo herbaty? – Nadal na niego nie patrzyła, nerwowo składała i rozkładała dłonie.

– Nie, dziękuję. – Donovan pochylił się, wyjął notes i sięgnął do kieszeni po magnetofon. – Nie przeszkodzi pani, jeśli będę nagrywał naszą rozmowę?

– Czy to konieczne?

Oho – pomyślał Donovan – nasza Reynolds zaczyna się stawiać. Postanowił zdusić tę tendencję w zarodku, zanim w pełni się rozwinię.

– Pani Reynolds, kiedy pani do mnie oddzwoniła, założyłem, że zgadza się pani porozmawiać ze mną na pewne tematy. Jestem dziennikarzem. Nie chcę wkładać w pani usta niewypowiedzianych słów, chcę od pani tylko informacji, rozumiemy się?

– Tak – odparła nerwowo – chyba tak. Dlatego do pana zadzwoniłam. Nie chcę, żeby na moje nazwisko padł cień. Od lat jestem bardzo szanowaną członkinią tej społeczności. Wspomagam hojnie liczne organizacje charytatywne, zasiadam w kilku lokalnych komitetach...

– Pani Reynolds – przerwał jej Donovan – czy mogę pani mówić Bobby Jo?

Przez twarz Reynolds przebiegł ledwie zauważalny skurcz.

– Mam na imię Roberta – odparła wyniośle.

Reynolds tak bardzo przypominała Donovanowi Alicie, że chciał już zapytać wprost, czy się czasem nie znają. Zwalczył jednak tę pokusę.

– Tak, Roberto, wiem, że zrobiłaś wiele dobrego dla tej społeczności. Ale nie to mnie w tej chwili interesuje. Chcę z tobą porozmawiać o przeszłości, zwłaszcza o okresie sprzed dziesięciu lat.

– Wiem, o loterii, wspominał pan przez telefon. – Przesunęła drżącą dłonią po włosach.

– No właśnie. O źródle, z którego to wszystko się wzięło. – Rozejrzał się po pokoju.

– Wygrałam przed dziesięcioma laty na loterii, to żadna tajemnica, panie Donovan.

– Mów mi Tom.

– Wołałabym nie.

– Jak chcesz. Roberto, czy znasz osobę, która nazywa się LuAnn Tyler?

Reynolds zastanawiała się przez chwilę, potem pokręciła głową.

– Raczej nie. A powinnam?

– Prawdopodobnie nie. Ona też wygrała na loterii, dwa miesiące po tobie.

– Poszczyściło się jej.

– Była taka jak ty. Biedna, bez specjalnych widoków na przyszłość. Bez perspektyw.

Reynolds roześmiała się nerwowo.

– W pana ustach zabrzmiało to tak, jakbym była ostatnią nędzarką. A to nieprawda.

– Ale ci się nie przelewało, prawda? I pewnie dlatego grałaś na loterii, mam rację?

– Chyba tak. Chociaż nie wierzyłam, że wygram.

– Naprawdę, Roberto?

Drgnęła.

– Nie rozumiem.

– Kto zarządza twoimi inwestycjami?

– Nie pańska sprawa.

– Domyślam się, że ta sama osoba, która zarządza pieniędzmi jedenaściorga pozostałych zwycięzców loterii, z LuAnn Tyler włącznie.

– I co z tego?

– Daj spokój, Roberto, nie bawmy się w podchody. Coś tutaj nie gra. Ty wszystko wiesz, a ja chcę się tego dowiedzieć. Przecież z góry wiedziałas, że wygrasz.

– Pan oszalał. – Głos jej drżał.

– Ja?! Nie sądzę. Przeprowadzałem wywiady z mnóstwem kłamców, Roberto. Byli wśród nich prawdziwi mistrzowie mijania się z prawdą. Ty do nich nie należysz.

Reynolds wstała.

– Nie będę tego słuchała.

– Ta historia ujrzy światło dzienne, Roberto – nie ustępował Donovan. – Jestem już na najlepszej drodze. To tylko kwestia czasu. Pytanie brzmi: czy chcesz ze mną współpracować? Jeśli tak, to może wykręcisz się z tego stosunkowo niewielkim kosztem, jeśli nie, pójdiesz na dno z tamtymi.

– Ja... ja...

– Nie chcę cię zniszczyć, Roberto – ciągnął Donovan. – Ale jeśli w jakikolwiek sposób uczestniczyłaś w spisku polegającym na ustawieniu loterii, to pewne konsekwencje będziesz musiała ponieść. Proponuję ci jednak taki sam układ, jaki zaproponowałem LuAnn Tyler. Mówisz mi wszystko, co wiesz, ja idę pisać artykuł, a ty do czasu ukazania się go drukiem masz wolną rękę. Na przykład możesz zniknąć. Pomyśl o odwrotnej sytuacji. Jest o wiele mniej zachęcająca.

Reynolds usiadła i rozglądała się przez chwilę po swoim domu. Wzięła głęboki oddech.

– Co chce pan wiedzieć?

Donovan włączył magnetofon.

– Czy loteria została ustawiona? – Kiwnęła głową. – Muszę to usłyszeć, Roberto. – Wskazał znaczącym ruchem głowy na magnetofon.

– Tak.

– W jaki sposób? – Donovan z drżeniem serca czekał na odpowiedź.

– Byłby mi pan łaskaw nalać szklanek wody z tamtej karafki?

Donovan zerwał się, napełnił szklanek wodą i postawił ją przed Reynolds. Usiadł z powrotem.

– No więc, jak to zostało przeprowadzone?

– Za pomocą jakichś odczynników chemicznych.

– Odczynników chemicznych? – Donovan przekrzywił głowę.

Reynolds wyjęła z kieszeni chusteczkę i otarła zażawione oczy.

Donovanowi przemknęło przez myśl, że ta kobieta jest na skraju załamania. Że też osoba, która do niego oddzwoniła, musiała się okazać neurotyczką.

– Nie jestem naukowcem, Roberto, wytłumacz mi to najprościej, jak potrafisz.

Reynolds ścisnęła mocno chusteczkę.

– Wszystkie kule oprócz jednej, tej z wygrywającym numerem, były spryskiwane jakimś środkiem chemicznym. Otwory, którymi przelatuje kula, też były czymś spryskiwane. Nie wiem, jak to się działo, ale zabieg gwarantował, że przez otwór przejdzie tylko ta niespryskana kula. W ten sposób preparowane były wszystkie pojemniki z kulami.

– Jasny gwint! – Donovan wpatrywał się w nią z fascynacją. – No dobrze, Roberto, mam jeszcze milion pytań. Czy inni zwycięzcy o tym wiedzieli? Jak to było robione? Przez kogo? – Pomyślał o LuAnn Tyler. Ona to wiedziała, na pewno.

– Nie. Nikt ze zwycięzców nie wiedział, jak to było robione. Wiedzieli tylko ci, którzy to robili. – Wskazała na magnetofon. – Taśma się panu skończyła – powiedziała, a potem dodała z goryczą: – A pewnie nie chce pan uronić ani jednego słowa.

– To chyba nie do końca tak, Roberto – rzekł Donovan, pochylając się nad magnetofonem, żeby zmienić kasetę. – Przecież ty wiedziałas, jak to się odbywało, sama mi przed chwilą powiedziałaś. No, jak z tym naprawdę było?

Potężny cios wymierzony w korpus strącił Donovana z sofy. Zwalił się ciężko na podłogę, zaparło mu dech. Czuł, jak w klatce piersiowej ruszają się połamane żebra.

Nad nim stała Reynolds.

– Prawda jest taka, że tylko osoba, która obmyśliła cały fortel, wiedziała, jak to było robione.

– Reynolds jednym szarpnięciem pozbyła się kobiecej twarzy i włosów, i na rannego dziennikarza spojrział z góry Jackson.

Donovan próbował pozbierać się z podłogi.

– Jezu!

Jackson kopnął go w klatkę piersiową i Donovan poleciał na ścianę. Jackson wyprostował się.

– Kick boxing to szczególnie śmiercionośna forma sztuki. Można kogoś zabić bez pomocy rąk.

Donovan zaczął sunąć niemrawo ręką do kieszeni, w której trzymał pistolet. Miał z tym trudności, przy najmniejszym ruchu połamane żebra kaleczyły narządy wewnętrzne. Nie mógł swobodnie oddychać.

– Widzę, że nie czujesz się najlepiej. Pozwól, że ci pomogę. – Jackson ukląkł i przez chusteczkę wyciągnął pistolet z kieszeni Donovana. – Idealnie się składa. Dziękuję ci.

Jackson okręcił się wokół własnej osi i kopnął Donovana w głowę. Oczy dziennikarza

wreszcie się zamknęły. Jackson wyjął z kieszeni plastikowe kajdanki i skuł go.

Usunął resztę kamuflażu z twarzy, zapakował wszystko pieczołowicie do torby, którą wyciągnął spod sofy, i biorąc po dwa stopnie naraz, wbiegł po schodach na górę. Otworzył drzwi sypialni w końcu korytarza na piętrze.

Bobbie Jo Reynolds leżała rozkrzyżowana na łóżku. Ręce i nogi miała przywiązane do narożnych słupków, usta zaklejone plastrem. Na widok Jacksona wytrzeszczyła przerażone oczy i zadygotała.

Jackson przysiadł obok niej.

– Chciałem ci podziękować za ściśle zastosowanie się do moich wskazówek. Tak jak ci poleciłem, dałaś wolne służbie i umówiłaś się z panem Donovanem. – Pogłaskał ją po dłoni. – Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Najposłuszniejsza z mojego stadka. – Patrzył na nią łagodnym, uspokajającym wzrokiem, dopóki nie przestała dygotać. Odwiązał ją i delikatnie odkleił plaster.

Wstał.

– Muszę dotrzymać na dole towarzystwa panu Donovanowi. Wkrótce wychodzimy. Nie będziemy dłużej nadużywać twojej gościnności. Zostaniesz tu, dopóki nie wyjdziemy. Rozumiesz?

Kiwnęła skwapliwie głową, rozcierając zdrętwiałe nadgarstki.

Jackson cofnął się o krok, wymierzył w nią pistolet Donovana i naciskał spust, aż iglica szczęknęła dźwięcznie, nie natrafiając na spłonkę.

Przyglądał się przez chwilę, jak krew rozlewa się po pościeli. Potem pokręcił ze smutkiem głową. Nie lubił zabijać jagniąt. Ale tak już urządzony jest ten świat. Ofiary składa się z jagniąt. One się nigdy nie bronią.

Wrócił na dół, wyciągnął swój zestaw do makijażu i lusterko. Następne pół godziny spędził nad Donovanem.

Dziennikarz odzyskał w końcu przytomność. Głowa mu pękała, czuł, że ma wewnętrzny krwotok, ale przynajmniej jeszcze żył.

Serce nieomal wyskoczyło mu z piersi, kiedy zobaczył nad sobą... Thomasa Donovana. Sobowtór ubrany był w jego płaszcz i kapelusz. Dziennikarz przymrużył oczy. Zrazu myślał, że patrzy na swojego bliźniaka. Teraz dostrzegał subtelne różnice, pewne niedociągnięcia. Ale mimo nich podobieństwo było zadziwiające.

Jackson przyklęknął przy nim.

– Wyglądasz na zaskoczonego, ale zapewniam cię, że jestem w tym bardzo dobry. Pudry, kremy, lateks, peruki, klej spirytusowy, modelina. Aż wierzyć się nie chce, czego za ich pomocą można dokonać, choć to tylko swego rodzaju iluzja. Poza tym, w twoim wypadku, nie było to takie trudne. Nie weź sobie tego do serca, ale twarz masz dosyć pospolitą. Nie musiałem się specjalnie wysilać. Już od kilku dni studiuję twoją fizjonomię. Ale zaskoczyłeś mnie, golenie brody. Jednak zamiast brody daliśmy szpecinę zarostu.

Chwycił Donovana pod pachy, dźwignął go i posadził na sofie. Sam usiadł naprzeciwko. Otumaniony dziennikarz nie był w stanie usiedzieć prosto. Jackson podparł go poduszką.

– Na pewno przy bliższych oględzinach by nie przeszło, ale całkiem nieźle jak na pół godziny pracy.

– Muszę do lekarza – wymamrotał Donovan przez poharatane wargi.

– Niestety nic z tego. Ale poświęcę kilka minut na wyjaśnienie ci tego i owego. Nie wiem, czy dobrze robię, ale chyba jestem ci to winien. Genialne było to spojrzenie na całą sprawę pod kątem bankructw. Przyznaję, że o tym nie pomyślałem. Koncentrowałem się na tym, żeby żadnemu z moich zwycięzców nie zabrakło pieniędzy. Jakiegokolwiek kłopoty finansowe mogłyby stać się dla nich bodźcem do wyjawienia wszystkiego. Bogaci, zadowoleni ludzie rzadko zdradzają swego dobroczyńcę. Ty znalazłeś dziurę w tym planie.

Donovan zakaszał i zacinając zęby, nagłym ruchem poderwał się do pozycji siedzącej.

– Jak wpadłeś na mój ślad?

– Wiedziałem, że od LuAnn praktycznie niczego się nie dowiesz. Zadałem sobie pytanie, jaki będzie twój następny ruch? Odpowiedź: poszukasz innego źródła informacji. Obdzwoiłem resztę moich zwycięzców i uprzedziłem ich, że możesz zatelefonować. Dziesięciu poinstruiowałem, żeby cię splawili. Bobbie Jo – przepraszam, Robercie – kazałem spotkać się z tobą.

– Dlaczego właśnie jej?

– To proste. Do niej miałem najbliżej. I tak jechałem tu całą noc, żeby wszystko przygotować. Nawiasem mówiąc, to ja prowadziłem tego mercedesa. Miałem twój rysopis. To chyba ty obserwowałaś dom z samochodu.

– Gdzie jest Bobby Jo?

– Nieważne. – Jackson uśmiechnął się podekscytowany pełną kontrolą, jaką ma nad tym doświadczonym dziennikarzem. – Wracajmy do tematu. Substancją, którą nakładało się na dziewięć z dziesięciu kul, był lekki, bezbarwny związek akrylowy. Gdyby interesowały cię szczegóły, powiem, że był to rozcieńczony roztwór siloksanu polidimetylowego, do którego wprowadziłem pewne modyfikacje, wersja z turbodoładowaniem, jeśli wolisz. Wytwarza ona potężny ładunek elektrostatyczny, jak również powiększa o mniej więcej jedną tysięczną cala średnicę kuli, nie wywołując przy tym wykrywalnej zmiany wagi, wyglądu ani nawet zapachu. Nie wiem, czy ci o tym wiadomo, ale kule są przed losowaniem ważone, a to celem upewnienia się, czy wszystkie mają dokładnie taką samą wagę. Spośród kul znajdujących się w każdym z pojemników tylko kula z wygrywającym numerem nie była powleczone roztworem chemicznym. Na obwód każdego otworu, przez który musi przelecieć wygrywająca kula, również nałożono niewielką ilość zmodyfikowanego roztworu siloksanu polidimetylowego. W tych precyzyjnie kontrolowanych warunkach dziewięć naładowanych elektrostatycznie kul nie mogło przejść przez otwór powleczone tą samą co one substancją. Odpychało je pole elektrostatyczne. Nie było takiej możliwości, żeby naniesione na nie numery weszły w skład wygrywającej kombinacji.

Przez otwór mogła się przedostać tylko kula niespreparowana.

Na zafascynowaną dotąd twarz Donovana położył się cień.

– Chwileczkę. Skoro dziewięć kul miało ten sam ładunek, to musiały się odpychać wzajemnie w samym pojemniku. Czy to nie wzbudzało podejrzeń?

– Piękne pytanie. Dbam o takie szczegóły. Wprowadziłem do swojego roztworu jeszcze jedną modyfikację, dzięki której był on natychmiast aktywowany przez ciepło pobierane ze strumienia powietrza tłoczonego do pojemnika, celem pobudzenia kul do wirowania. Do momentu otwarcia się zaworu powietrza, kule pozostawały w bezruchu.

Jackson zamilkł, oczy mu błyszczały.

– Słabe umysły kleją mozolnie zagmatwane scenariusze – podjął. – O geniuszu świadczy prostota rozwiązań. Prowadząc swoje dochodzenie, zwróciłeś na pewno uwagę, że wszyscy moi zwycięzcy byli ludźmi ubogimi, zdesperowanymi, szukającymi promyka nadziei, pomocnej dłoni. I ja im to dałem. Dałem to wam wszystkim. Kierownictwo loterii było zachwycone. Ludzie z rządu wychodzili na świętych pomagających biednym. Wy, dziennikarze, pisaliście swoje łązawe artykuły. Każdy wygrał. Włącznie ze mną.

Donovan czekał tylko, kiedy ten człowiek sam się sobie pokłoni.

– I robiłeś to wszystko w pojedynkę? – spytał Donovan.

Riposta Jacksona była ostra:

– Potrzebni mi byli tylko moi zwycięzcy. Ludzie są nieskończenie zawodni, nie można na nich polegać. Co innego nauka. Nauka to absolut. Kieruje się niepodważalnymi zasadami. Jeśli robisz A i B, zachodzi C. Wprowadzenie czynnika ludzkiego prawie zawsze zakłóca ten porządek.

– Jak załatwiłeś sobie dojście? – Donovan mówił coraz mniej wyraźnie. Dawały o sobie znać obrażenia, jakie odniósł.

Jackson uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Zatrudniłem się na stanowisku technika w firmie, która wytwarzała i konserwowała maszyny losujące. Nikt nie zwracał uwagi na rozdziabowatego techniczyne, zupełnie jakby mnie tam wcale nie było. A ja miałem pełny i nieograniczony dostęp do maszyn. Kupiłem sobie nawet jedną taką, żeby mieć na czym eksperymentować w zaciszu własnej pracowni z różnymi kombinacjami związków chemicznych. I pewnego dnia pan technik zaczął spryskiwać kule czymś, co wszyscy brali za środek czyszczący do usuwania kurzu i innych zanieczyszczeń, które mogły się dostawać do pojemników. Wystarczyło, że robiąc to, trzymałem w ręku kulę, która miała zostać wylosowana. Roztwór schnie niemal natychmiast. Potem wrzucałem tylko ukradkowo wygrywającą kulę do pojemnika, i gotowe. – Jackson roześmiał się. – Ludzie naprawdę bardziej powinni szanować techników, panie Donovan. Technicy nadzorują wszystko, bo mają pieczę nad maszynami kontrolującymi przepływ informacji. Ja często korzystam z ich usług. Po co mam kupować przywódców? To bezużyteczni, niekompetentni figuranci. Pszczółki robotnice potęgą są, i basta!

Jackson wstał i naciągnął na dłonie rękawiczki.

– To by chyba było wszystko – powiedział. – Kończę z tobą, biorę się za LuAnn.

Ależ ze mnie przeklęty głupiec, że cię nie posłuchałem, LuAnn – pomyślał Donovan.

Jackson potarł przez rękawiczkę rozciętą szkłem dłoń. Zaplanował już mnóstwo sposobów, na jakie odpłaci się za tę ranę LuAnn.

– Uważaj, dupku – wyrzucił z siebie Donovan – ta kobieta jaja ci urwie, jak z nią zadrzesz.

– Dzięki za ostrzeżenie. – Jackson chwycił Donovana za ramiona.

– Dlaczego mnie jeszcze nie zabiłeś, sukinsynu?! – Donovan próbował mu się wyrwać, ale był już za słaby.

– To się da nadrobić.

Jackson ujął głowę Donovana w dłonie i skrzył ją gwałtownie. Trzasnęła cicho pękająca kość. Jackson zarzucił sobie trupa na ramię, zniósł go do garażu, otworzył przednie drzwiczki mercedesa i zaczął dociskać palce Donovana do kierownicy, do deski rozdzielczej, do zegarów i kilku jeszcze powierzchni, na których dobrze odbijają się linie papilarne. Na koniec zacisnął dłoń martwego mężczyzny na kolbie pistoletu, z którego zastrzelił Bobbie Jo Reynolds, owinał zwłoki w koc i wepchnął do bagażnika mercedesa.

Wbiegł do domu, zabrał swoją torbę i magnetofon Donovana, wrócił do garażu i usiadł za kierownicą. W kilka minut potem był już poza granicami spokojnej dzielnicy. Zatrzymał się na poboczu, opuścił szybę, cisnął pistolet w las i ruszył. Zamierzał zaczekać do zmierzchu, a wtedy miejscowe krematorium, które odkrył podczas jednego ze swych rekonesansów po okolicy, stanie się ostatnim miejscem spoczynku Thomasa Donovana.

Myślał już, jak rozprawi się z LuAnn Tyler i jej nowym sprzymierzeńcem Riggsem. Jej nielojalność znalazła teraz swoje potwierdzenie i wyrok zapadł. Ale najpierw musiał załatwić coś innego.

Jackson wszedł do mieszkania Donovana i rozejrzał się. Nadal był ucharakteryzowany na nieżyjącego dziennikarza, nie musiał więc zachowywać szczególnej ostrożności. Ciało Donovana zostało skremowane, ale Jackson miał niewiele czasu na przeszukanie jego mieszkania. Każdy dziennikarz gromadzi jakąś dokumentację tematu, którym się zajmuje, i po nią właśnie przyszedł Jackson. Niedługo gospościa znajdzie zwłoki Bobbie Jo Reynolds i powiadomi policję. Ekipa dochodzeniowa szybko podejmie podsunięty im przez Jacksona trop prowadzący do Thomasa Donovana.

Przetrzęsał mieszkanie szybko, ale metodycznie i wkrótce znalazł to, czego szukał. Złożył stos pudeł z dokumentacją pośrodku małego foyer. Były to te same pudła, które Donovan miał ze sobą w chacie pod Charlottesville, i zawierały wyniki jego dochodzenia w sprawie loterii. Następnie Jackson włączył komputer Donovana i przeszukał twardy dysk. Na szczęście Donovan nie zwracał sobie głowy zabezpieczaniem dostępu do plików hasłami. Twardy dysk był czysty. Prawdopodobnie dziennikarz trzymał wszystko na dyskietce, którą mógł wszędzie ze sobą

zabierać. Jackson zajął się komputerem, a potem biurkiem. Nie było tam modemu. Dla pewności Jackson jeszcze raz przebiegł wzrokiem po ikonach na ekranie. Nie zauważył wśród nich symbolu żadnego serwera sieciowego w rodzaju America Online. A zatem Donovan nie korzystał z poczty elektronicznej. Ależ konserwatysta – pomyślał Jackson. Przejrzał stos dyskietek, które znalazł w szufladzie biurka, i wrzucił wszystkie do jednego pudełka. Później sprawdzi, co na nich jest.

Miał już wychodzić, kiedy jego wzrok padł na automatyczną sekretarkę w living roomie. Czerwona lampka mrugała. Podeszedł i wcisnął klawisz odtwarzania. Pierwsze trzy wiadomości były nieistotne. Na dźwięk głosu dyktującego czwartą Jackson drgnął i pochyliwszy głowę, zaczął chłonąć każde słowo.

Alicia Crane była wyraźnie zdenerwowana i przestraszona: *„Gdzie ty się podziewasz, Thomasie – dopytywała się. – Nie zadzwoniłeś. Pracujesz nad czymś bardzo niebezpiecznym. Zadzwoń, błagam”*.

Jackson przewinął taśmę i jeszcze raz wysłuchał wiadomości pozostawionej przez Alicję. Potem wyłączył sekretarkę, dźwignął pudła z podłogi i wyszedł.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Przejeżdżając hondą przez Memorial Bridge, LuAnn spojrzała na monument Lincolna. Potomac toczył ciemne, wzburzone wody. Pojawiały się na nich i szybko znikwały plamy białej piany. Trwały godziny porannego szczytu i most był zapchany samochodami. Spędzili jedną noc w motelu pod Fredericksburgiem, głowiąc się, co robić dalej. Potem dojechali do przedmieść Waszyngtonu i zatrzymali się na noc w motelu pod Arlington. Riggs zadzwonił w parę miejsc i odwiedził kilka sklepów. Przygotowywał się na to, co miało nastąpić nazajutrz. Przy kolacji, którą jedli w motelowym pokoju, Riggs jeszcze raz powtórzył wszystkie założenia planu. LuAnn zapamiętała je szybko. Potem zgasili światło. Jedno miało spać, drugie czuwać. Tak się umówili. Jednak żadne z nich nie zmrużyło tej nocy oka. W końcu usiedli oboje na łóżku i trwali tak, przytuleni do siebie. W innych okolicznościach pewnie by się kochali. W tej sytuacji przez całą noc wyglądali przez okno na ciemną ulicę i nasłuchiwali wszelkich odgłosów, które mogłyby zwiastować nadciągnięcie kolejnego zagrożenia.

– Nie chce mi się wierzyć, że na to przystałam – powiedziała LuAnn, spoglądając na Riggsa siedzącego na miejscu pasażera.

– Zaraz, powiedziałaś przecież, że mi ufasz.

– Ufam, ufam.

– Wiem, co robię, LuAnn. Znam się na dwóch rzeczach: na stawianiu domów i na metodach działania Biura. Tak to trzeba rozegrać. Tylko takie podejście ma sens. Jeśli będziesz dalej uciekać, w końcu cię dopadną.

– Jakoś mi się dotąd udawało – zauważyła.

– Bo miałaś pomoc i działałaś z zaskoczenia. Teraz nie uda ci się już opuścić kraju. Kiedy uciekając napotykasz przed sobą mur, zawracasz i przechodząc do ofensywy, szarżujesz prosto na tych, którzy cię ścigają.

LuAnn patrzyła na jezdnię, analizując jednocześnie w myślach to, co mieli zrobić. Co ona miała zrobić. Jedynym człowiekiem, któremu bezgranicznie ufała, był Charlie. A i to pełne zaufanie nie przyszło od razu, dojrzewało i cementowało się przez całe dziesięć lat. Riggsa znała od paru dni, a już zdobył jej zaufanie, jego czyny przemawiały do niej silniej niż jakiegokolwiek słowa, którymi mógłby ją do siebie przekonywać.

– Denerwujesz się? – spytała. – A w ogóle to czy zdajesz sobie w pełni sprawę, w co się pakujesz?

Uśmiechnął się do niej.

– To ci dopiero rola, co?

– Wariat. Dla mnie w życiu najważniejsze są przewidywalność, stabilizacja, normalność, a ciebie ciągnie do spacerowania po krawędzi urwiska.

– Wszystko zależy od tego, z której strony na to patrzeć. – Spojrzał w okno. – No, jesteśmy.
– Pokazał jej wolne miejsce przy krawężniku. Zaparkowała. Riggs wysiadł, ale schylił się jeszcze i zajrzał do samochodu. – Pamiętasz plan?

LuAnn kiwnęła głową.

– Ta wczorajsza powtórka bardzo pomogła. Znajdę bez problemu.

– Świetnie. A więc do zobaczenia.

Riggs wszedł do pobliskiej budki telefonicznej, a LuAnn spojrzała na wielki, brzydki gmach. J. EDGAR HOOVER BUILDING, informowały litery na fasadzie. Siedziba FBI – Federalnego Biura Śledczego. Ci ludzie szukają jej wszędzie, a ona siedzi w samochodzie zaparkowanym dziesięć stóp od ich przekłetej centrali. Wzdrygnęła się i włożyła ciemne okulary. Starając się zapanować nad nerwami, wrzuciła bieg. Miała nadzieję, że ten facet rzeczywiście wie, co robi.

Riggs wybrał numer i prawie natychmiast uzyskał połączenie. Człowiek po drugiej stronie linii okazał zrozumiałe podniecenie. Pięć minut później Riggs był już w budynku Hoovera i maszerował jego korytarzami w towarzystwie uzbrojonego strażnika.

Sala konferencyjna, do której go wprowadzono, była wielka, aleumeblowana po spartańsku. Riggs stanął za jednym z krzeseł otaczających stół konferencyjny, odetchnął pełną piersią i czekał. Niemal się uśmiechał. Był, bądź co bądź, u siebie. Rozejrzał się, wypatrując ukrytych kamer, ale żadna nie rzuciła mu się w oczy. Nie ulegało jednak wątpliwości, że sala jest zarówno na podsłuchu, jak i pod obserwacją wideo.

Odwrócił się, kiedy za jego plecami otworzyły się drzwi. Do sali wkroczyło dwóch mężczyzn w białych koszulach i takich samych krawatach.

George Masters pierwszy wyciągnął rękę. Był ogromny, prawie łysy, ale sylwetkę miał proporcjonalną. Włosy Lou Bermana były ścięte na wojskowego języka, co jeszcze bardziej podkreślało posępność jego twarzy.

– Kopę lat, Dan.

Riggs uściśnął wyciągniętą dłoń agenta.

– Teraz Matt. Dan nie żyje, George, zapomniałeś?

George Masters odchrząknął, rozejrzał się nerwowo i gestem ręki zaprosił Riggsa do zajęcia miejsca przy stole. Kiedy usiedli, wskazał ruchem głowy towarzyszącego mu agenta.

– To Lou Berman, prowadzi dochodzenie, o którym rozmawialiśmy przez telefon. – Berman skinął Riggsowi sztywno głową.

Masters zwrócił się do niego:

– Dan... – urwał i poprawił się – Matt był jednym z naszych najlepszych tajnych agentów.

– I wykazał się wielkim poświęceniem w imię sprawiedliwości, co, George? – Riggs patrzył mu spokojnie w oczy.

– Papierosa? – spytał Masters. – Palisz, o ile pamiętam.

– Rzuciłem, zbyt niebezpieczne. – Riggs spojrzał na Bermana. – George może ci

opowiedzieć, jak to zbyt długo pozostawałem w grze. Prawda, George? Tyle że jakby nie z własnej woli.

– Stare dzieje.

– Ciekawe, mnie się wydaje, jakby to było wczoraj.

– Wszystko zależy od punktu widzenia, Matt.

– Łatwo tak mówić komuś, kto nie patrzył, jak jego żonie rozwalają głowę za to, co robił w pracy jej mąż. A przy okazji, jak tam twoja żona, George? I dzieci? W porządku? Miło mieć żonę i potomstwo, prawda?

– Dobra, Matt. Wiem, co cię gryzie. Przepraszam.

Riggs poczuł dławienie w gardle. Emocje go rozsadzały. Tak długo czekał, żeby to z siebie wyrzucić.

– Pięć lat temu usłyszałbyś więcej, George.

Masters nie wytrzymał jego spojrzenia. Odwrócił wzrok.

– Przejdźmy do rzeczy – mruknął Riggs, wracając do teraźniejszości.

Masters oparł się łokciami o stół i posłał mu przelotne spojrzenie.

– Byłem przedwczoraj w Charlottesville.

– Uroczę uniwersyteckie miasteczko.

– Wiem, zwiedziłem. Szukając cię tam bezskutecznie.

– Jestem zapracowanym człowiekiem. Muszę pilnować interesów.

Masters spojrzał znacząco na temblak.

– Jakiś wypadek?

– W budownictwie nie ma lekko. Przyszedłem zawrzeć układ, George. Układ obopólnie korzystny.

– Wiesz, gdzie jest LuAnn Tyler? – Berman pochylił się, obserwował uważnie twarz Riggsa. Riggs przekrzywił głowę.

– Siedzi na dole w samochodzie, Lou. Chcesz zejść i sprawdzić? Trzymaj. – Riggs wyjął z kieszeni kluczyki i pomachał nimi agentowi przed nosem. Były od domu, ale Riggs zakładał z góry, że Berman nie skorzysta z propozycji.

– Nie jestem w nastroju do żartów – warknął Berman.

Riggs schował kluczyki i nachylił się do niego.

– Ja też nie. Powiedziałem już, że przyszedłem zawrzeć układ. Chcecie posłuchać jaki?

– Dlaczego mielibyśmy się z tobą układać? Skąd mamy wiedzieć, czy nie współpracujesz z Tyler?

– A co to dla was za różnica?

Berman poczerwieniał.

– Jest przestępczynią.

– Przez prawie całe swoje życie zawodowe współpracowałem z przestępcami, Lou. Kto twierdzi, że ona jest przestępczynią?

– Stan Georgia.

– A przyjrzelście się tej sprawie? Tak dokładnie? Moje źródła twierdzą, że to bzdura.

– Twoje źródła? – Berman parsknął śmiechem.

– Ja się przyjrzałem, Matt – wtrącił Masters. – To prawdopodobnie bzdura. – Zgromił Bermana wzrokiem. – A nawet jeśli nie, to niech Georgia się tym martwi. To nie nasza sprawa.

– Święte słowa. Was powinno zainteresować coś innego.

– Uchyłała się od płacenia podatków – nie popuszczał Berman. – Wygrała sto milionów dolarów, a potem zniknęła na dziesięć lat, nie płacąc Wujowi Samowi ani centa od tej sumy.

– Wydawało mi się, że jesteś agentem FBI, nie księgowym – odparował Riggs.

– Spokojnie, chłopcy – powiedział Masters.

– Zamiast LuAnn Tyler powinniście się zainteresować osobą, która za nią stoi – nie dał się uciszyć Riggs – osobą, która stoi za wieloma ludźmi. Niewidzialnym facetem z miliardami dolarów, który sieje zamęt na całej planecie, podżega do waśni, uprzykrza wam życie. No jak, bierzecie się za niego czy wolicie rozliczać LuAnn z nie zapłaconych podatków?

– Co proponujesz?

Riggs odchylił się na oparcie krzesła.

– Jak za starych dobrych czasów, George. Bierzemy na warsztat grubą rybę, płótkę puszczamy wolno.

– Nie podoba mi się to – burknął Berman.

Riggs obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Wiem z doświadczenia, że za złowienie grubej ryby dostaje się w Biurze awans, a co ważniejsze, podwyżkę. Za płótkę zaś figę z makiem.

– Nie opowiadaj mi, jak jest w FBI, Riggs. Kręcę się już jakiś czas po tym gmachu.

– Dobrze wiedzieć, Lou, czyli nie muszę ci tłumaczyć, jak dziadek krowie. Podajemy wam tego człowieka na tacy i LuAnn Tyler jest czysta. Jak łąza. Odczepiają się od niej federalni, fiskus i stan Georgia.

– Nie możemy tego zagwarantować, Matt. Chłopaki z urzędu podatkowego chodzą własnymi drogami.

– No dobrze, powiedzmy więc, że Tyler coś im tam odpali.

– Mogła się z tego łązbierać spora sumka.

– Ale o więzieniu nie ma mowy. Jeżeli w tym punkcie nie dojdziemy do porozumienia, nie ma układu. Musicie zdjąć z niej zarzut popełnienia morderstwa.

– A gdybyśmy cię tak teraz aresztowali i potrzymali, dopóki nie wyśpiewasz, gdzie ona jest?

– Berman przysunął się bliżej, napierając na Riggsa.

– To nie rozwiązałbyś największej sprawy w swojej karierze. Bo LuAnn Tyler znowu zniknie, a bez niej nie ruszycie z miejsca. A swoją drogą, pod jakim zarzutem chciałbyś mnie zatrzymać?

– Poplecznictwo – oznajmił triumfalnie Berman.

– Jakie znowu poplecznictwo?

– Ukrywanie osoby poszukiwanej i utrudnianie postępowania – wyrzucił z siebie Berman po chwili namysłu.

– Masz na to dowody? Jak mi udowodnisz, że wiem, gdzie ona jest albo że w ogóle ją znam?

– Sprawdzaleś ją. Widzieliśmy notatki w twoim domu.

– Ach, a więc wpadliście do mnie, bawiąc z wizytą w Charlottesville? Trzeba mnie było uprzedzić. Czekałbym z kolacją.

– I znaleźliśmy tam mnóstwo interesującego materiału – wywarczał Berman.

– To się cieszę. Mogę zobaczyć nakaz przeszukania, z którym weszliście bez mojej wiedzy na teren należącej do mnie posesji?

Berman otworzył usta i zaraz je zamknął.

Riggs uśmiechnął się ironicznie.

– No pięknie. Nie było nakazu przeszukania. Cały połów na nic. I od kiedy to przestępstwem jest telefonowanie i zbieranie o kimś powszechnie dostępnych informacji? Zważywszy na dodatek, że te informacje uzyskałem od Fedów.

– Od swojego opiekuna z ramienia Programu Ochrony Świadców, nie od nas – zauważył Berman z pogroźką w głosie.

– Ja tam widzę was wszystkich, chłopaki, jako jedną wielką, szczęśliwą rodzinę.

– Przypuśćmy, że na to idziemy – odezwał się Masters. – Ale nie powiedziałaś nam jeszcze, co łączy Tyler z tą drugą osobą.

Riggs spodziewał się tego pytania i dziwił się, że pada dopiero teraz.

– Ta osoba musiała zdobyć pieniądze na rozruch, Masters rozważał przez chwilę to, co powiedział Riggs, i nagle oczy mu zabłyśły.

– Słuchaj, Matt, to chyba coś większego, niż ci się wydaje. – Zerknął na Bermana. – Wiemy... a raczej się domyślamy... że loteria była... manipulowana. Była?

Riggs bębnił palcami po stole.

– Może.

– Pozwól, że postawię sprawę jasno. – Masters rozważnie dobierał słowa. – Poinformowano już o takiej możliwości prezydenta, prokuratora generalnego i dyrektora FBI. Byli wstrząśnięci.

– Nie dziwię się.

Masters zignorował sarkastyczny ton Riggsa.

– Jeśli loteria była rzeczywiście ustawiona, to teraz trzeba z tym jak z jajkiem.

Riggs zachichotał.

– W wolnym tłumaczeniu: Jeśli nastąpi przeciek i ludzie się dowiedzą, połowa facetów z Waszyngtonu, z prezydentem, prokuratorem generalnym, dyrektorem FBI i wami dwoma włącznie, stanie się prawdopodobnie wiernymi czytelnikami ogłoszeń z rubryki: „Dam pracę”. Sugerujesz ukrećenie sprawie łba?

– Zaraz, to było jakieś dziesięć lat temu – zachnął się Berman. – Czyli nie na naszej wachcie.

– Tak, Lou, z takim tłumaczeniem na pewno trafisz do ludzi. Dobrze wiesz, że wasze tyłki wiszą na włosku.

Masters rąbnął pięścią w stół.

– Zdajesz sobie sprawę, co by się rozpętało, gdyby opinia publiczna dowiedziała się o ustawieniu loterii?! – krzyknął. – Wyobrażasz sobie te procesy, te dochodzenia, te skandale?! Dociera do ciebie, jaki to byłby cios dla pocziwych Stanów Zjednoczonych? Wyszłoby na to, że rząd oszukiwał obywateli. Nie mogę do tego dopuścić. I nie dopuszczę.

– Co zatem proponujesz, George?

Masters uspokoił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i zaczął wyliczać na palcach:

– Przyrowadzisz do nas Tyler. Przesłuchujemy ją i nakłaniamy do współpracy. Dysponując uzyskanymi od niej informacjami, zdejmujemy ludzi...

– Osobę, George – wpadł mu w słowo Riggs. – To tylko jeden człowiek, ale wierz mi, bardzo szczególny.

– No dobrze, a więc z pomocą Tyler zdejmujemy tego człowieka.

– A co z LuAnn Tyler?

Masters rozłożył bezradnie ręce.

– Zastanów się, Matt, ona jest ścigana za morderstwo. Przez prawie dziesięć lat nie płaciła podatków. Wszystko wskazuje na to, że brała udział w tym loteryjnym przekręcie. Podsumowując, bez pudła kilkaset lat więzienia. Ale zejść do dożywocia. Jeśli będziemy zadowoleni z jej współpracy, może uda mi się wytargować prawo do warunkowego zwolnienia, ale tego nie gwarantuję.

Riggs wstał.

– No, chłopaki, miło się gawędziło.

Berman zerwał się z krzesła i podbiegł do drzwi, zastawiając je własnym ciałem.

– Lou, jedną rękę mam, chwalić Boga, zdrową, a pięść na jej końcu aż się pali do spotkania z twoją facjata. – Riggs ruszył zdecydowanie do drzwi.

– Chwileczkę, przestańcie! – ryknął Masters. – Siadajcie obaj. Riggs z Bermanem mierzyli się dłuższą chwilę wzrokiem, potem wrócili z ociąganiem na swoje miejsca.

– Jeżeli wydaje ci się, George – zwrócił się Riggs do Mastersa – że ta kobieta przybiegnie tutaj w płasach i będzie wam z narażeniem życia pomagać w zgarnięciu tego faceta, żeby w nagrodę spędzić potem resztę życia w mamrze, to za długo pracujesz w Biurze. Mózg ci wymiękł. – Riggs wymierzył w Mastersa palec. – Pozwól, że ci coś podpowiem. To jest gra o życie i nazywa się „kto ma asa w rękawie”. Dzwonisz do Georgii i mówisz, że LuAnn nie jest już tam poszukiwana za morderstwo ani za nic innego. Jeśli wisi u nich jeszcze za jakiś mandat za złe parkowanie, to mają jej to anulować. Rozumiesz? Nieskazitelnie czysta. Potem dzwonisz do urzędu podatkowego i mówisz, że wszystkie jej zaległości podatkowe zostaną uregulowane, ale jeśli chodzi o odsiadkę, to niech ją sobie wybiją z głowy. Co zaś do ewentualnego współudziału w loteryjnym przekręcie, to jeśli nie objęło jej jeszcze przedawnienie, z tego też zostaje

oczyszczona. Z jej kartoteki wymazane zostaje każde najmniejsze przewinienie, za które choć na sekundę mogłaby powędrować za kratki. Nie ma tego i nie było. Jest wolną osobą.

– Ocipiałeś? – fuknął Berman.

– Albo? – spytał cicho Masters, nie spuszczać wzroku z Riggsa.

– Albo wszystko ujawniamy, George. Co ona ma do stracenia? Idąc na całe życie do więzienia, będzie tam sobie musiała wypełniać czymś czas. Niewykluczone występy w *Sixty Minutes*, *Dateline*, *Prime Time Live*, może nawet u Oprah. Książkę też pewnie z nudów napisze. Opowie wszystko, co wie o ustawieniu loterii, opowie, jak prezydent, prokurator generalny i dyrektor FBI starali się to zatuzować, żeby ocalić swoje stołki, i jak w swej gorliwości puścili wolno groźnego przestępcę, który przez całe lata manipulował światem, a zamiast niego zapuszkowali młodą kobietę za coś, co każdy z nas też by bez chwili namysłu zrobił! – Riggs wyprostował się na krześle i popatrzył po twarzach obu mężczyzn. – Właśnie to, panowie, nazywam asem w rękawie.

Masters milczał, rozważając to, co przed chwilą usłyszał.

– Jeden gość? – Berman prychnął pogardliwie. – Nie wierzę. To jakaś wielka organizacja. Nie ma mowy, żeby to wszystko robiła jedna osoba, a mój radar jej nie namierzył. Nie mamy na to dowodów, ale wiemy, że graczy jest wielu.

Riggs wrócił pamięcią do wydarzeń z chaty, wspominając moment, gdy nóż wbił mu się w ramię. Patrzył tam w najbardziej złowrogą parę oczu, jaką w życiu widział. Miał niebezpieczną pracę i nieraz już się bał; był tylko człowiekiem. Ale jeszcze nic nie wzbudziło w nim takiego przerażenia, jak widok tamtych oczu. Gdyby miał wtedy przy sobie krucyfiks, zasłoniłby się nim.

Spojrzał na Bermana.

– Wiesz co, Lou, zdziwiłbyś się. Ten gość to mistrz kamuflażu. Grał już chyba tyle ról, że starczyłoby tego na obsadzenie musicalu na Broadwayu. A działając w pojedynkę, nie musi się obawiać, że ktoś go podkablkuje albo spróbuje wysadzić z siodła.

– Nie zapominaj, Matt – odezwał się cicho Masters, próbując innej taktyki – że jeszcze nie tak dawno byłeś jednym z nas. Pomyśl o tym. Najwyraźniej zdobyłeś zaufanie Tyler. Jeśli ją do nas przyprowadzisz, rząd będzie ci, że się tak wyrażę, bardzo wdzięczny. Koniec zarabiania na życie piłą i młotkiem.

– Daj mi się chwilę zastanowić, George. – Riggs przymknął oczy i prawie natychmiast je otworzył. – Idź do diabła. – Patrzyli sobie w oczy. Riggs pierwszy przerwał milczenie: – To jak będzie, George? Umowa stoi, czy mam telefonować do Oprah?

Powoli, niemal niezauważalnie, Masters skinął głową.

– Naprawdę się cieszę, że to mówisz, George.

Berman chciał się wtrącić, ale Masters zamknął mu usta wzrokiem.

– Tak, umowa stoi – powiedział. – Nie będzie więzienia.

– Georgii też?

– Georgii też.

– Jesteś pewien, że uda ci się to załatwić? Bo wiesz, twoje wpływy są tam ograniczone. – W głosie Riggsa pobrzmiwała kpina.

– Moje owszem, ale nie sądzę, żeby dotyczyło to prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mam wyraźne instrukcje, by nie oglądając się na koszty, nie dopuścić do ujawnienia tej afery. Gwarantuję, że zadzwoni tam albo on, albo prokurator generalny.

– Dobrze, wołaj tu teraz dyrektora i prokuratora generalnego, bo chcę usłyszeć to samo od nich. A przy okazji, prezydent bardzo dziś zajęty?

– Z prezydentem za cholerę się nie zobaczysz.

– No to dawaj tu chociaż tego dyrektora i prokuratora, George. Natychmiast.

– Nie masz do mnie zaufania?

– Powiedzmy, że nie zapisałeś się najlepiej w mojej pamięci. Poza tym co trzy gwarancje, to nie jedna. – Wskazał ruchem głowy na telefon. – Dzwon.

Masters i Riggs patrzyli na siebie przez dobrą minutę. Potem Masters sięgnął powoli po słuchawkę i mówił do niej długo. Wymagało to pewnych przesunięć w rozkładzie dnia, ale trzydzieści minut później dyrektor FBI i prokurator generalny Stanów Zjednoczonych siedzieli już naprzeciwko Riggsa. Riggs zaproponował im ten sam układ, który niedawno zawarł z Mastersem, i wytargował te same gwarancje.

– Dziękuję panom za współpracę – powiedział, wstając.

Berman też wstał.

– No dobrze, skoro już pracujemy razem, to przyprowadź teraz tę Tyler. Założymy jej podsłuch, zmontujemy zespół operacyjny i ruszamy po tę jednoosobową falę przestępczości.

– Ojoj, Lou. Układ przewiduje, że to ja go zdejmuję, nie FBI.

Berman o mało nie eksplodował.

– Słuchaj no, ty...

– Przymknij się, Lou! – Dyrektor FBI przewiercił Bermana wzrokiem, a potem zwrócił się do Riggsa. – Jesteś pewien, że dasz radę?

Riggs uśmiechnął się.

– Czy ja was kiedyś zawiodłem? – Zerknął na Mastersa.

Masters nie odwzajemnił uśmiechu, ale nie odwrócił wzroku.

– Jeśli dasz plamę – powiedział – umowa przestaje obowiązywać. Dotyczy to Tyler. – Zawiesił głos, a potem dodał złowieszczco: – I ciebie. Ujawniłeś się i nie wiem, czy będzie nam się chciało organizować ci nową przykrywkę. A twoi wrogowie wciąż przejawiają ożywioną aktywność.

Riggs podszedł do drzwi, ale w progu odwrócił się jeszcze.

– Wiesz, George, nie spodziewałem się po was niczego innego. Aha, i nie próbuj dawać mi ogona. Tylko mnie wkurzysz i zmarnujesz czas. Rozumiemy się?

Masters kiwnął głową.

– Jasne, o to bądź spokojny.

Ostatnie pytanie zadał prokurator generalny:

– Czy loteria rzeczywiście była ustawiona, panie Riggs?

Riggs spojrzął na niego.

– Tak. A chce pan wiedzieć, co w tym jest najlepsze? Wygląda na to, że loteria Stanów Zjednoczonych wykorzystywana była do finansowania poczynań jednego z najniebezpieczniejszych psychopatów, o jakich mi wiadomo. Mam nadzieję, że nie powiedzą o tym nigdy w wiadomościach telewizyjnych. – Przesunął wzrokiem po wyrażających rosnącą panikę twarzach. – Dobrego dnia życzę. – Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Reszta grupy popatrzyła po sobie.

– Jasna cholera – jęknął dyrektor, kiwając na boki głową.

Masters podniósł słuchawkę telefonu.

– Wychodzi teraz z budynku – rzucił do niej. – Będzie sprawdzał, czy nie jest śledzony. Nie spuszczać go z oka, ale pozostawcie mu też trochę swobody. To ekspert w tych sprawach i będzie chciał was zgubić. Zachowajcie czujność! Meldujcie mi natychmiast, kiedy spiknie się z Tyler. Obserwujcie ich, ale zaniechajcie się nie zbliżajcie. – Spojrzął na prokuratora generalnego i kiedy ten kiwnął potakująco głową, odłożył z głębokim westchnieniem słuchawkę.

– Wierzycie Riggsowi, że za tym stoi tylko jeden człowiek? – spytał dyrektor, popatrując nerwowo na Mastersa.

– Brzmi nieprawdopodobnie, przyznaję, ale mam nadzieję, że to prawda – odparł Masters. – Wolę mieć do czynienia z jednym gościem niż z jakimś międzynarodowym syndykatem zbrodni.

Prokurator generalny i dyrektor pokiwali zgodnie głowami.

Berman popatrzył po nich pytająco.

– To jaki mamy plan?

Dyrektor odchrząknął z zażenowaniem.

– Nie możemy dopuścić, żeby to wyszło na jaw. Pod żadnym pozorem. Ale nawet jeśli Riggsowi się uda i zatrzymamy tego człowieka oraz ewentualnie innych zamieszanych w tę intrygę, to nadal stoimy wobec poważnego problemu.

Prokurator generalny założył ręce na piersi i podchwycił tę linię rozumowania:

– Nawet jeśli wytoczymy mu proces za jakieś inne grzeszki, które może ma na sumieniu, człowiek ten będzie świadom, że trzyma asa w rękawie, jak to określił Riggs. Wykorzysta go w ten sam sposób, co przed chwilą Riggs. Albo się z nim ułożymy, albo sprawa ujrzy światło dzienne. Już widzę, jak proponuje nam to jego obrońca. – Wzdrygnął się mimowolnie.

– A więc mówi pan, że do procesu nie może dojść – mruknął Berman. – No to co będzie?

Prokurator generalny puścił to pytanie mimo uszu i zwrócił się do Mastersa:

– Myślisz, że Riggs gra z nami w otwarte karty?

Masters wzruszył ramionami.

– Był jednym z naszych najlepszych tajnych agentów operacyjnych. Tacy muszą na co dzień kłamać jak najęci, i to tak, żeby nikt się nie zorientował, że kłamią. Prawda idzie w odstawkę. A

starych przyzwyczajęń trudno się wyzbyć.

– Z tego wynika, że nie możemy mu całkowicie ufać – zawyrokował prokurator generalny.

– Nie bardziej niż on nam – przyznał po chwili namysłu Masters.

– No cóż – odezwał się dyrektor – istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie dostaniemy tego faceta żywego. – Popatrzył po zebranych. – Dobrze mówię?

Kiwnęli wszyscy głowami. Głos znowu zabrał Masters:

– Jeśli jest chociaż w połowie tak niebezpieczny, jak twierdzi Riggs, to pierwszy będę strzelał bez ostrzeżenia. Może w ten sposób nasz problem sam się rozwiąże.

– A co z Riggsem i Tyler? – spytał prokurator generalny.

– Jeśli przyjmujemy już tę linię postępowania – odezwał się Berman – to nigdy nie wiadomo, kogo w ogniu walki może osiągnąć zabłąkana kulka. Oczywiście wiem, że nikt z nas nie chce, żeby do tego doszło – dorzucił szybko – ale wiedzą panowie sami, że gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, i czasami giną niewinni ludzie. Najlepszym przykładem żona Riggsa.

– Tyler daleko do niewinności! – warknął gniewnie dyrektor.

– To prawda – podchwycił Masters. – A skoro Riggs woli trzymać z nią niż z nami, to musi się liczyć ze wszystkimi tego konsekwencjami. Jakiegokolwiek one będą.

Popatrzyli po sobie z zakłopotaniem. W normalnych okolicznościach żadnemu z nich nic takiego nawet przez myśl by nie przeszło. Poświęcili życie ściganiu przestępców i stawianiu ich przed sądem. Fakt, że teraz radzą, jak nie dopuścić do procesu, nawet kosztem życia kilku osób, sprawiał, że robiło im się nieswojo. Jednak w tym wypadku stali wobec czegoś poważniejszego niż polowanie na przestępcę. Tutaj o wiele bardziej niebezpieczna była prawda.

– Jakiegokolwiek będą te konsekwencje – powtórzył cicho dyrektor.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Idący ulicą Riggs spojrzął na zegarek. Koperta zegarka kryła miniaturowy magnetofon; głośniczek wszyty był w skórkowy, dziurkowany pasek. Poprzedniego dnia spędził trochę czasu w znanym sobie sklepie z akcesoriami szpiegowskimi, cztery przecznice od gmachu FBI. Ostatnimi laty technika wyraźnie poszła naprzód. Dzięki niej postanowienia układu, jaki zawarł z władzami, były teraz przynajmniej zapisane nie tylko w pamięci. W tego rodzaju operacjach nie można było dowierzać nikomu, obojętnie, którą stronę barykady się reprezentuje.

Riggs zdawał sobie sprawę, że rząd zrobi wszystko, by prawda nie wyszła na jaw. W tym wypadku ujęcie przestępcy żywego wiązało się z takimi samymi, a może nawet gorszymi implikacjami jak pozostawienie go na wolności. I tak źle, i tak niedobrze. Poza tym każdemu, kto znał prawdę, groziło poważne niebezpieczeństwo, i to nie tylko ze strony Jacksona. Riggs wiedział, że FBI nigdy nie zastrzeli z premedytacją niewinnego człowieka. Ale miał również świadomość tego, że FBI nie uważa bynajmniej LuAnn za niewinną. A ponieważ postanowił jej pomóc, jego też automatycznie uznano za wroga. Jeśli w trakcie zatrzymywania Jacksona dojdzie do wymiany ognia, a Riggs był przekonany, że do niej dojdzie, i LuAnn tam będzie, to FBI może nie patrzeć, do kogo strzela. Riggs nie wierzył, że Jackson podda się bez walki. Na pewno będzie się starał położyć trupem tylu agentów, ilu zdoła. Riggs widział to w jego oczach wtedy, w chacie. Ten facet nie miał żadnego szacunku dla ludzkiego życia. Dla niego człowiek był tylko obiektem manipulacji, który eliminuje się, jeśli wymagają tego okoliczności. Riggs, będąc przez wiele lat tajnym agentem, miewał już do czynienia z takimi typami. Z ludźmi prawie tak samo niebezpiecznymi jak Jackson. Wiedział, że FBI będzie raczej skłonne zabić tego człowieka, niż wziąć go żywcem. Życie agentów zawsze liczyło się dla Biura bardziej niż postawienie przestępcy całego i zdrowego przed trybunałem. Wiedział również, że rząd nie jest specjalnie zainteresowany wytaczaniem Jacksonowi procesu, mało tego, na pewno chciałby tego procesu za wszelką cenę uniknąć. Jego, Riggsa, zadaniem było zatem wywabienie Jacksona z kryjówki, i niech FBI robi z nim, co chce. Jeśli postanowią nafaszerować go ołowiem, on z miłą chęcią przyłoży do tego rękę. Ale LuAnn musi trzymać z dala od tego człowieka. Nie może jej być na miejscu, kiedy dojdzie do ostatecznej rozprawy. Przechodził już przez coś takiego. Tym razem historia się nie powtórzy.

Riggs nie oglądał się za siebie. Wiedział dobrze, że jest śledzony. Masters, choć zarzekał się, że tego nie robi, na pewno natychmiast przydzielił mu ogona. Na jego miejscu Riggs postąpiłby tak samo. Musi teraz zgubić tego kogoś, zanim spotka się z LuAnn. Uśmiechnął się. Jak za starych dobrych czasów.

Podczas gdy Riggs układał się z FBI, LuAnn podjechała do budki telefonicznej i zadzwoniła

pod pewien numer. Po kilku sygnałach była już pewna, że odbierze automatyczna sekretarka. Ale nie, w słuchawce odezwał się w końcu męski głos. Ledwie go rozpoznała, połączenie było bardzo złe.

– Charlie?

– LuAnn?

– Gdzie jesteś?

– W drodze. Ledwie cię słyszę. Zaczekaj, przejeżdżamy właśnie pod jakąś linią wysokiego napięcia.

Po chwili jakość połączenia znacznie się poprawiła.

– Teraz lepiej – powiedziała LuAnn.

– Chwileczkę, ktoś tu chce z tobą porozmawiać.

– Mamusia?

– Cześć, kochanie.

– Wszystko u ciebie w porządku?

– W najlepszym, córeczko. Mówiłam ci, że mamusia da sobie radę.

– Wujek Charlie powiedział, że spotykacie się z panem Riggsem.

– To prawda. Pomaga mi. W pewnych sprawach.

– Cieszę się, że nie jesteś tam sama. Tęsknię za tobą.

– Ja za tobą też, Liso, nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Kiedy będziemy mogli wrócić do domu? „Do domu? Gdzie jest teraz ich dom?”

– Chyba niedługo, kochanie. Obiecuję.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

– Oddaję ci wujka Charliego.

– Liso?

– Tak?

– Dotrzymam obietnicy, którą ci dałam. Opowiem ci wszystko. Całą prawdę. Rozumiesz?

– Dobrze, mamó. – Głos dziewczynki był niepewny, pobrzmiwała w nim nutka strachu.

Słuchawkę przejął Charlie. LuAnn kazała mu słuchać i nie przerywać. Zrelacjonowała mu ostatnie wypadki i poinformowała o planie Riggsa oraz jego prawdziwej przeszłości.

Charlie nie wytrzymał.

– Zjeżdżam na parking – przerwał jej w pewnym momencie. – Zadzwoń za dwie minuty.

Kiedy to zrobiła, usłyszała w słuchawce zdenerwowany głos Charliego.

– Czyś ty zwariowała?

– Gdzie Lisa?

– W toalecie.

– Jest bezpieczna?

– Stoję pod samymi drzwiami, a poza tym pełno tu ludzi. Nie odpowiedziałas na moje

pytanie.

– Nie, raczej nie zwariowałam.

– Pozwoliłaś, żeby Riggs, były agent FBI, wszedł do Hoover Building i prowadził tam w twoim imieniu negocjacje?! Skąd, u diabła, wiesz, że cię teraz nie sprzedaje?!

– Ufam mu.

– Ufasz mu?! – Charlie poczerwieniał na twarzy. – Ledwie go znasz. LuAnn, dziecko, popełniasz wielki błąd. Cholernie wielki.

– Ja tak nie uważam. Riggs mnie nie zwodzi. Jestem tego pewna. Poznałam go trochę lepiej przez tych kilka ostatnich dni.

– Tak, między innymi dowiedziałaś się, że był tajnym agentem, ekspertem w kłamaniu.

LuAnn zamruwała powiekami. O tym nie pomyślała. Ziarenko wątpliwości zaczęło nagle kiełkować, burząc jej zaufanie do Matthew Riggsa.

– LuAnn, jesteś tam?

Ścisnęła mocno słuchawkę.

– Jestem. Jeśli mnie sprzedaje, wkrótce się o tym dowiem.

– Uciekaj stamtąd. Powiedziałaś, że masz samochód. Uciekaj stamtąd w diabły.

– Charlie, on mi uratował życie. Jackson o mało go nie zabił, kiedy starał się mi pomóc.

Charlie nie odzywał się przez chwilę. Toczył ze sobą wewnętrzną walkę. Z tego, co mówiła LuAnn, wynikało, że Riggs zamierza się za nią wstawić. Charlie chyba wiedział, dlaczego: ten człowiek był w niej zakochany. A czy LuAnn go kocha? Całkiem możliwe. I co z tego wynika dla niego? Nie dało się ukryć, Charlie chciał, żeby Riggs okazał się kłamcą. Chciał, żeby ten człowiek zniknął z ich życia. To nastawienie determinowało cały jego proces myślowy. Ale Charlie kochał LuAnn. I kochał Lisę. Zawsze stawiał ich sprawy przed swoimi. I ta myśl zażegnała toczący się w nim wewnętrzny konflikt.

– Chyba masz rację, LuAnn. Jak się dobrze zastanowić, Riggs jest prawdopodobnie w porządku. Ale bądź czujna, słyszysz?

– Będę, Charlie. Gdzie jesteście?

– Byliśmy w zachodniej Wirginii, potem w Kentucky, teraz wracamy do Wirginii. Wzdłuż granicy Tennessee.

– Muszę już kończyć. Zadzwoń jeszcze dzisiaj i powiem ci, jak się sprawy mają. Dziękuję, Charlie.

– Za co? Nic nie zrobiłem.

– No i kto teraz kłamie?

– Uważaj na siebie.

LuAnn rozłączyła się. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, wkrótce spotka się z Rigggsem. Wracając do samochodu, przypomniawszy sobie pierwszą reakcję Charliego. Wsiadła za kierownicę. Nie zgasiła silnika, bo nie miała kluczyków, a na drut nie potrafiłaby go potem odpalić. Miała już wrzucić bieg, ale nie zrobiła tego. Nie była to najlepsza pora na zwątpienie,

które ją nagle ogarnęło. Znieruchomiła z ręką nad dźwignią zmiany biegów.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Riggs szedł powoli Ulicą Dziewiątą, spoglądając na witryny. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu nigdzie się nie śpieszy. Uderzony podmuchem przenikliwego powietrza, zatrzymał się, zsunął temblak z przedramienia, włożył rękę w rękaw płaszcza i zapiął go. Potem postawił kołnierz, wyjął z kieszeni wełnianą czapkę z logo drużyny Washington Redskins i naciągnął ją głęboko na czoło. Teraz widać było tylko dolną połowę zarumienionej z zimna twarzy. Wszedł do sklepu na rogu.

Dwa zespoły śledzących go agentów, jeden pieszy, drugi w szarym fordzie, szybko zajęły pozycje. Jeden zespół obstawił front sklepu, drugi tylne wyjście. Uprzedzono ich, że Riggs jest doświadczonym agentem i woleli dmuchać na zimne.

Riggs wyszedł ze sklepu z gazetą pod pachą i zatrzymał taksówkę. Agenci wsiedli szybko do forda i ruszyli za nim.

Prawdziwy Matt Riggs, który w chwilę potem wyłonił się ze sklepu w ciemnej filcowej czapce na głowie, pomaszerował w przeciwnym kierunku. Kolorowa, rzucająca się w oczy wełniana czapka odegrała rolę wabika. Dla agentów była jak burgundowi-złota latarnia, po której rozpoznawali swój obiekt. Koncentrując się na niej, przeoczyli subtelne różnice w kroju płaszcza, kolorze spodni i fasonie butów. Poprzedniego dnia Riggs poprosił o przysługę starego przyjaciela, który uważał go za dawno zmarłego. To tego człowieka, jadącego do pracy w kancelarii prawniczej w pobliżu Białego Domu, śledziło teraz FBI. Mieszkał niedaleko gmachu FBI, a więc nietrudno mu będzie wyjaśnić swoją obecność w tamtej okolicy. A o tej porze roku wielu waszyngtończyków nosiło wełniane czapki Redskinów. Zresztą FBI nie wiedziało, że coś go z Riggsem łączy. Agenci przesłuchają go, uznają swój błąd, zameldują o tym Mastersowi i dyrektorowi i jutro rano staną na dywaniku.

Riggs wsiadł do taksówki i podał kierowcy adres. Był dumny, że tak szybko załatwił sprawę. Długą jeszcze drogę mieli przed sobą z LuAnn, ale dobrze wiedzieć, że nie wyszedł z wprawy, w każdym razie nie całkiem. Kiedy taksówka zatrzymała się na czerwonym świetle, rozłożył kupioną w sklepie gazetę.

Z fotografii zamieszczonych na pierwszej stronie patrzyły na niego dwie twarze. Jedną znał, druga była mu obca. Przebiegł szybko wzrokiem artykułu i spojrzął znowu na zdjęcia. Z plaketką prasową zawieszoną na szyi oraz z małym notesem i długopisem wystającymi z kieszonki koszuli, zaspany Thomas Donovan wyglądał tak, jakby przed chwilą wysiadł z samolotu gdzieś na drugim końcu świata, gdzie rzuciło go jakieś ważne wydarzenie.

Kobieta ze zdjęcia obok stanowiła ostry kontrast z rozmemłaną powierzchownością dziennikarza. Elegancka suknia, profesjonalnie ułożona fryzura i nienaganny makijaż, a w tle niemal surrealistyczny luksus: przyjęcie, na którym sławni i bogaci zbierają pieniądze dla gorzej

potraktowanych przez los. Z artykułu można się było dowiedzieć, że Roberta Reynolds, stała uczestniczka takich akcji, została brutalnie zamordowana. Tylko jeden wiersz artykułu wspominał, skąd wziął się majątek Reynolds: dziesięć lat wcześniej wygrała na loterii sześćdziesiąt pięć milionów dolarów. Najwyraźniej pomnożyła znacznie ten majątek. Teraz sama jej posiadłość była o wiele więcej warta.

Mordercą był podobno niejaki Thomas Donovan. Widziano go, jak kręcił się w pobliżu jej domu. Na automatycznej sekretarce zamordowanej nagrany był głos Donovana proszącego o spotkanie. Że do tego spotkania doszło, świadczyły odciski palców dziennikarza zabezpieczone na karafce z wodą i na szklance w domu Reynolds. W lesie, jakąś milę od domu kobiety, znaleziono pistolet, z którego ją zastrzelono, oraz należącego do niej porzuconego mercedesa. Odciski palców pozostawione zarówno na pistolecie, jak i w samochodzie, należały do Donovana. Zamordowaną znaleziono na łóżku. Ślady wskazywały, że leżała na nim jakiś czas skrępowana, a więc zbrodni dokonano najwyraźniej z premedytacją. Rozesłano już list gończy za Donovanem i policja była przekonana, że wkrótce go aresztuje.

Riggs jeszcze raz przeczytał cały artykuł i złożył gazetę. Wiedział, że policja podjęła fałszywy trop. To nie Donovan zabił Reynolds. I było niemal pewne, że Donovan również nie żyje. Riggs westchnął głęboko. Musi powiedzieć o tym jakoś LuAnn.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Tęgi, pięćdziesięcioparoletni mężczyzna zatrzymał się przed drzwiami eleganckiego domu na przedmieściach Georgetown. Miał bladą cerę i równo przystrzyżony wąsik. Obrzucił wzrokiem sąsiednie posesje, podciągnął spodnie, wepchnął w nie koszulę, po czym nacisnął dzwonek.

Otworzyła mu Alicja Crane. Wyglądała na zdenerwowaną i niewyspaną.

– Słucham?

– Alicja Crane?

– Tak.

Mężczyzna pokazał legitymację.

– Hank Rollins, wydział zabójstw okręgu Fairfax, Wirginia. Alicja patrzyła niezdecydowanie na fotografię mężczyzny i przymocowaną do legitymacji odznakę.

– Nie bardzo wiem, w czym...

– Czy jest pani znajomą Thomasa Donovana?

Alicja zamknęła oczy i przygryzła wargę.

– Tak – szepnęła.

Rollins zatarł ręce.

– Mam do pani kilka pytań. Albo zaprosi mnie pani do środka, zanim tu zamarznę, albo możemy to załatwić na posterunku. Jak pani woli.

Alicja natychmiast otworzyła drzwi szerzej.

– Naturalnie, przepraszam. – Wprowadziła go do living roomu. Kiedy rozsiadł się na sofie, zaproponowała kawę.

– Z miłą chęcią, proszę pani.

Ledwie zniknęła za drzwiami, Rollins zerwał się z sofy i rozejrzał szybko po pokoju. Jego uwagę przykuła natychmiast fotografia, na której Donovan otaczał ramieniem Alicję Crane. Wyglądała na zrobioną niedawno. Para na zdjęciu sprawiała wrażenie bardzo szczęśliwej.

Wchodząc z powrotem do pokoju z dwoma filiżankami kawy i dzbanuszką śmietanki na tacy, Alicja zastała Rollinsa z tą fotografią w rękach.

Postawiła tacę na stoliku.

– Nie mogę znaleźć cukru. Gospościa wyszła coś załatwić. Wróci za godzinę, a ja zazwyczaj...
– Jej wzrok padł na fotografię.

– Można? – Wyciągnęła rękę.

Rollins oddał jej szybko zdjęcie.

– Przejdę od razu do rzeczy, pani Crane. Chyba czytuje pani gazety?

– Mówi pan o tym steku łgarstw? – Oczy zabłysły jej na chwilę.

– Cóż, przyznam, że to na razie tylko robocza hipoteza, ale wiele przemawia za tym, że Robertę Reynolds zabił Thomas Donovan.

– Mówi pan o jego odciskach palców i pistolecie?

– To śledztwo w sprawie zabójstwa w toku, pani Crane, a więc nie mogę zdradzać pani szczegółów, ale owszem, o tym mówię.

– Thomas muchy by nie skrzywdził.

Rollins poprawił się na sofie, sięgnął po filiżankę z kawą i dolał do niej trochę śmietanki z dzbanuszka.

– Ale był u Roberty Reynolds – podjął.

Alicja założyła ręce.

– Naprawdę?

– Nie wspominał pani, że zamierza się z nią spotkać?

– Nic mi nie mówił.

Rollins zastanawiał się przez chwilę.

– Proszę pani, natknęliśmy się na pani nazwisko, przesłuchując automatyczną sekretarkę w jego mieszkaniu. Pani głos na nagraniu zdradza zdenerwowanie, mówi mu pani, że to, czym się zajmuje, jest niebezpieczne. – Alicja nie połknęła haczyka. – Poza tym ktoś przeszukał jego mieszkanie. Zniknęły wszystkie zapiski i materiały przechowywane na dyskietkach.

Alicję przeszedł dreszcz, mocniej ścisnęła poręcz fotela, w którym siedziała.

– Może upije pani choć łyk kawy, pani Crane. Nie najlepiej pani wygląda.

– Nic mi nie jest. – Sięgnęła jednak po filiżankę i upiła parę łyčzków. – No dobrze, skoro twierdzi pan, że mieszkanie Thomasa zostało przeszukane, to znaczy, że ktoś jeszcze jest w to zamieszany. Powinniście zrobić wszystko, by ustalić, kto to był, i aresztować go.

– Zgadzam się z panią, ale muszę mieć jakiś punkt zaczepienia. Wie pani zapewne, że pani Reynolds była bardzo prominentną członkinią społeczności i już wywierane są na nas naciski, by szybko znaleźć jej zabójcę. Rozmawiałem z pewnym dziennikarzem z „Tribune”. Powiedział mi, że Donovan pracował nad artykułem o ludziach, którzy wygrali na loterii. A Roberta Reynolds do nich należała. Nie jestem dziennikarzem, ale tam, gdzie w grę wchodzi takie pieniądze, może się też znaleźć motyw morderstwa.

Alicja uśmiechnęła się przelotnie.

– Chce mi pani coś powiedzieć?

Natychmiast spoważniała i pokręciła głową.

– Pani Crane, w wydziale zabójstw pracuję od narodzin mojego najmłodszego syna, a on ma już własne dzieci. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale widzę, że coś pani przede mną ukrywa, i chciałbym się dowiedzieć, co to takiego. Morderstwo to poważna sprawa. – Rozejrzał się po elegancko urządzonej pokoju. – Mordercy i ci, którzy im pomagają, kończą w pomieszczeniach, którym daleko do tego.

– Co mi pan imputuje? – zachnęła się Alicja.

– Niczego pani nie imputuję. Przyszedłem tu, bo porządkuję fakty. Słyszałem pani głos nagrany na automatyczną sekretarkę Donovana. Powiedział mi po pierwsze, że bała się pani o niego, i po drugie, że bardzo dobrze pani wiedziała, dlaczego się o niego boi.

Alicja nerwowo splatała i rozplatała dłonie. Kilka razy zamknęła i otworzyła oczy. Rollins czekał cierpliwie.

Zaczęła mówić szybko, jakby chciała wyrzucić z siebie wszystko naraz. Rollins notował.

– Thomas postanowił napisać o loterii, bo był przekonany, że kilka czołowych firm inwestycyjnych wyłudza od wygrywających pieniądze i topi je w nietrafionych przedsięwzięciach albo pobiera za swoje usługi tak wysokie prowizje, że wygrywający, zamiast zyskiwać, tracą, i to czasem wszystko, co wygrali. Był też oburzony, że rząd patrzy na ten proceder przez palce. Poza tym wielu wygrywających nie orientuje się zupełnie w prawie podatkowym i nieświadomie popada w konflikt z fiskusem, a ten, ściągając potem bezwzględnie wszelkie zaległości, pozostawia ich bez środków do życia.

– Co go doprowadziło do takich wniosków?

– Bankructwa – odparła. – Zauważył, że większość wygrywających ogłasza wcześniej czy później bankructwo.

Rollins podrapał się po głowie.

– Tak, czytuję o tym od czasu do czasu. Moim zdaniem to wynik rozrzutności. Wie pani, szastają pieniędzmi na prawo i lewo, zapominają o odprowadzeniu podatku i tak dalej. W ten sposób można szybko roztrwonić nawet największą wygraną. Podejrzewam, że na ich miejscu też bym chyba stracił głowę.

– Thomas miał na ten temat inne zdanie. Ale potem coś odkrył. – Upiła łyżeczek kawy.

– Co takiego? – spytał Rollins.

– Że dwanaścioro kolejnych zwycięzców loterii nie ogłosiło dotąd bankructwa.

– No i?

– No i Thomas przyjrzał się bliżej zwycięzcom z ostatnich kilkunastu lat. Odkrył, że przez cały ten okres stosunek wygrywających do liczby ogłaszanych przez nich bankructw w zasadzie się nie zmieniał. Prawdliwość ta zakłócona została w połowie tego okresu tylko raz, przez dwanaścioro z rzędu zwycięzców, z których żadne nie zbankrutowało. Mało tego, wszyscy oni pomnożyli swoje majątki.

Rollins potarł brodę. Był wyraźnie nieprzekonany.

– Nadal nie widzę tu tematu na artykuł.

– Thomas nie wiedział jeszcze, co sądzić o tym odstępstwie od reguły. Ale był już blisko odkrycia przyczyny. Dzwonił do mnie regularnie z trasy, opowiadał, jak mu idzie i co udało mu się ustalić. Dlatego tak się zdenerwowałam, kiedy przestał telefonować.

Rollins zajrzał do swoich notatek.

– No dobrze. W wiadomości pozostawionej na automatycznej sekretarce Donovana wspomniała pani o jakimś niebezpieczeństwie.

– Thomas odnalazł jedną z tych dwanaścioro osób, które wygrały na loterii i nie zbankrutowały. – Alicja urwała i wyteżyła pamięć. – LuAnn jakoś tam. Tyler, tak, LuAnn Tyler. Powiedział mi, że była podejrzana o zamordowanie kogoś, zanim wygrała, a po odebraniu wygranej zniknęła. Wytropił ją poprzez urząd podatkowy. Pojechał ją odwiedzić.

– Dokąd? – Rollins znowu notował.

– Do Charlottesville. Bardzo tam ładnie, a jakie piękne posiadłości. Był pan tam?

– Z moją pensją nie mam w tych okolicach czego szukać. I co dalej?

– Spotkał się z tą kobietą.

– I?

– I wyciągnął z niej, co go interesowało. To znaczy, prawie. Powiedział, że wyczytał to z jej oczu.

– Mhm. – Rollins przewrócił oczami. – I gdzie tu powód?

– Nie rozumiem.

– Co kazało pani sądzić, że coś mu grozi.

– Ta kobieta była morderczynią. Raz już zabiła, mogła to zrobić znowu.

Rollins uśmiechnął się.

– Rozumiem.

– Pan chyba nie bierze mnie poważnie.

– Swoją pracę traktuję bardzo poważnie. Tylko nie widzę związku. Sugeruje pani, że to ta LuAnn Tyler zabiła Robertę Reynolds? Po co miałaby to robić? Nie wiemy nawet, czy się znały. Sugeruje pani, że mogła grozić Donovanowi?

– Wcale nie sugeruję, że LuAnn Tyler komukolwiek groziła ani że kogokolwiek zamordowała. Nie mam na to przecież żadnego dowodu.

– No więc o co chodzi? – Rollinsowi wyraźnie kończyła się cierpliwość.

Alicja odwróciła wzrok.

– Sama... sama nie wiem. Nie jestem pewna.

Rollins wstał, zamykając notes.

– Jeśli będę miał jeszcze jakieś pytania, to się z panią skontaktuję.

Alicja siedziała w fotelu blada, oczy miała zamknięte. Rollins był już przy drzwiach, kiedy się odezwała:

– Loteria była ustawiona.

Rollins zawrócił i wszedł ponownie do living roomu.

– Ustawiona?

– Tak powiedział Thomas, kiedy dzwonił do mnie przed dwoma dniami. Kazał mi przysiąc, że nikomu o tym nie powiem. – Skubała nerwowo rąbek spódnicy. – Ta LuAnn Tyler właściwie przyznała, że loteria była ustawiona. W głosie Thomasa, kiedy mi to mówił, wyczuwałam strach. A teraz tak się o niego martwię. Miał znowu zadzwonić, i nic.

Rollins usiadł na sofie.

– Co jeszcze pani powiedział?

– Że skontaktował się z pozostałymi jedenastoma zwycięzcami, ale tylko jedna osoba zgodziła się z nim spotkać. – Wargi jej drżały. – Roberta Reynolds.

– A więc wiedziała pani, że Donovan ma się z nią spotkać. – W głosie Rollinsa brzmiała oskarżycielska nuta.

Alicja otarła łzę kręcącą się w kąciu oka. Potrząsnęła głową.

– Już od dawna pracowałam nad tym artykułem, ale mnie zwierzył się z tego dopiero ostatnio. Był przestraszony. Słyszałam to w jego głosie. – Odchrząknęła. – Tak, wiedziałam, że umówił się na spotkanie z Robertą Reynolds. Na wczoraj rano. Od tamtego czasu się nie odezwał, a obiecał, że zadzwoni, jak tylko od niej wyjdzie. Boże, czuję, że stało się coś strasznego.

– Powiedział pani, kto ustawił loterię?

– Nie, ale LuAnn Tyler powiedziała mi, żeby się kogoś strzegł. Jakiegoś mężczyzny. Powiedziała, że ten człowiek go zabije, że jest na jego tropie i na pewno go znajdzie. Że jest bardzo niebezpieczny. Jestem przekonana, iż to ten mężczyzna ma coś wspólnego ze śmiercią pani Reynolds.

Rollins sięgnął po filiżankę i patrząc na nią ze smutkiem, pociągnął łyk kawy.

– Mówiłam Thomasowi, żeby poszedł z tym, co już wie, na policję – podjęła Alicja, nie podnosząc wzroku na detektywa.

– I poszedł?

Pokręciła głową.

– Nie! – Z piersi wyrwał jej się głośny szloch. – A tak go prosiłam. No bo jeśli ktoś naprawdę tę loterię ustawił... Za takie pieniądze ludzie gotowi są zabić. Pan jest policjantem, czy nie mam racji?

– Znam ludzi gotowych zabić za parę centów – padła beznamiętna odpowiedź Rollinsa. Spojrzał na pustą filiżankę. – Można prosić o jeszcze jedną?

Alicja drgnęła.

– Słucham? Ach, oczywiście, zaparzyłam cały dzbanek.

Rollins znowu wyjął notes.

– Dobrze, kiedy pani wróci, powtórzymy sobie wszystko raz jeszcze, a potem dzwonię po posiłki. Przyznam szczerze, że to chyba sprawa nie na moją głowę. Pojedzie pani ze mną na posterunek?

Alicja bez specjalnego entuzjazmu kiwnęła głową i wyszła z pokoju. Wróciła po paru minutach, balansując drewnianą tacą. Oczy miała utkwione w stojących na niej dwóch pełnych filiżankach, starała się nie uronić ani kropli. Przekraczając próg, podniosła wzrok na gościa i zmartwiała. Taca wyleciała jej z rąk.

– Peter?!

Na fotelu leżały poukładane pedantycznie pozostałości po detektywie Rollinsie – peruka, wąsik, maska na twarz i nadmuchiwane gumowe poduszki do imitowania tuszy. Na sofie,

podparty pod brodę, siedział Jackson, czyli Peter Crane, starszy brat Alicji. Na jego twarzy malowało się zatroskanie.

Donovan słusznie zauważył, że Bobbie Jo Reynolds jest bardzo podobna do Alicji Crane. Nie wiedział tylko, że patrzy na Petera Crane'a, alias Jacksona, ucharakteryzowanego na Bobbie Jo Reynolds. Rodzinne podobieństwo było tu uderzające.

– Witaj, Alicjo.

Patrzyła rozszerzonymi oczyma na ułożone na fotelu elementy kamuflażu.

– Co ty wyprawiasz? Co to ma znaczyć?

– Może lepiej usiądź. Mam to posprzątać?

– Niczego nie dotykaj. – Przytrzymała się framugi, żeby nie upaść.

– Nie chciałem cię tak przestraszyć – rzekł Jackson ze szczerym ubolewaniem. – Widzisz, są sytuacje, w których czuję się swobodniej, nie będąc sobą. – Uśmiechnął się blado.

– Nie podoba mi się to. O mało zawału nie dostałam. Podniósł się szybko, podszedł do niej, otoczył ręką w talii i doprowadził do sofy. Poklepał ją czule po dłoni.

– Przepraszam, Alicjo. Naprawdę.

Alicja spojrzała znowu na to, co pozostało po detektywie z wydziału zabójstw.

– Co to wszystko ma znaczyć, Peter? Po co zadawałeś mi te pytania?

– Musiałem się upewnić, ile wiesz. Musiałem się dowiedzieć, co ci powiedział Donovan.

Wyrwała mu rękę.

– Thomas? Skąd wiesz o Thomasie? Od trzech lat nie widzieliśmy się ani nie zamieniliśmy słowa.

– Czy to tak długo? – mruknął wymijająco. – Niczego ci nie brakuje, prawda? Jeśli tak, to wystarczy, że poprosisz.

– Twoje czeki przychodzą z dokładnością szwajcarskiego zegarka – powiedziała z nutką goryczy. – Ale ja nie potrzebuję już pieniędzy. Za to wolałabym cię częściej widywać. Wiem, że jesteś bardzo zajęty, ale stanowimy przecież rodzinę.

– Wiem. – Patrzył w podłogę. – Obiecałem kiedyś, że będę o ciebie dbał. I dotrzymuję słowa. Rodzina to rodzina.

– Skoro już o rodzinie mowa, to rozmawiałam wczoraj z Rogerem.

– No i co tam u naszego dekadentckiego, marnotrawnego młodszego braciszka?

– Jak zwykle prosił o pieniądze.

– Mam nadzieję, że mu ich nie wysłałaś. Dostał ode mnie tyle, że powinno mu wystarczyć do końca życia. Pozostawało mu tylko rozsądnie nimi gospodarować.

– Przecież wiesz, jaki on jest. – Posłała bratu lekko spłoszone spojrzenie. Widząc, że Jackson chce coś powiedzieć, czym prędzej dorzuciła: – Wiem, że zabroniłeś mi tego robić, ale nie mogłam przecież dopuścić, żeby wyrzucono go na ulicę.

– A dlaczego? To by mu dobrze zrobiło. Nie powinien mieszkać w Nowym Jorku. Za drogo tam.

– Nie dałby sobie rady. Nie jest taki silny jak ojciec.

Jackson wzdrygnął się wewnątrz na wspomnienie ojca. Czas nie wyleczył zaślępienia siostry pod tym względem.

– Dajmy temu spokój. Szkoda czasu na rozmowę o Rogerze.

– Powiedz mi, o co tu chodzi, Peter.

– Kiedy poznałeś Donovana?

– Czemu pytasz?

– Odpowiedz, proszę, na pytanie.

– Blisko rok temu. Napisał sążnisty artykuł o ojcu i jego senatorskiej karierze. To był cudowny, porywający tekst.

Jackson pokręcił z niedowierzaniem głową. A więc ona tak to widzi: zupełnie na odwrót.

– Zadzwoiłam więc do Thomasa, żeby mu podziękować. Umówiliśmy się na lunch, potem na kolację, i tak to się zaczęło. Jest cudownie. Thomas to szlachetny człowiek ze szlachetnym celem w życiu.

– Coś jak ojciec? – Usta Jacksona wykrzywił ironiczny uśmiezek.

– Tak, jest do niego bardzo podobny – podchwyciła skwapliwie.

– Jaki ten świat mały. – Jackson pokręcił głową.

– Co przez to rozumiesz?

Jackson wstał i rozrucił ramiona, obejmując tym gestem cały pokój.

– Jak myślisz, Alicjo, skąd wzięło się to wszystko?

– No jak to, z rodzinnych pieniędzy, oczywiście.

– Z rodzinnych pieniędzy? Nie było żadnych rodzinnych pieniędzy. Rozeszły się. Co do centa.

– O czym ty mówisz? Wiem, że ojciec miał swego czasu jakieś przejściowe kłopoty finansowe, ale wybrnął z nich. Jak zawsze.

Jackson patrzył na nią z pogardą.

– Gówno tam wybrnął, Alicjo. Przez całe życie nie zarobił ani centa. Cały nasz rodzinny majątek zgromadzony został na długo przed jego przyjściem na świat. On go tylko roztrwoił. Mój posag, twój posag. Przepuścił go na siebie, na swoje durne mrzonki o wielkości. Był pozerem i nieudacznikiem.

Alicja zerwała się i dała mu w twarz.

– Jak śmiesz! Wszystko, co masz, zawdzięczasz jemu!

Jackson rozcierał powoli policzek. Cerę miał bladą i gładką, jakby całe życie spędził w klasztorze.

– Dziesięć lat temu ustawiłem loterię krajową – powiedział cicho. Wpatrywał się ciemnymi, błyszczącymi oczami w jej drobną, zdumioną twarz. – Stąd pochodzą wszystkie twoje pieniądze, wszystko, co masz. Dostałaś je ode mnie. Nie od twojego drogiego, poczciwego tatusia.

– Co ty opowiadasz? Jak możesz...

Nie dokończyła, Jackson pchnął ją na sofę.

– Od dwunastu zwycięzców loterii, tych samych, w których sprawie prowadził dochodzenie Donovan, zebrałem blisko miliard dolarów. Wziąłem te pieniądze w depozyt i zainwestowałem je. Pamiętasz znajomości dziadka wśród elity z Wall Street? On rzeczywiście zarabiał pieniądze. Pielęgnowałem te kontakty przez wiele lat w bardzo specyficznym celu. Dysponując zebraną od zwycięzców loterii fortuną, którą Wall Street uznało za rodzinne pieniądze, stałem się jednym z najbardziej hołubionych klientów. Negocjowałem najlepsze warunki, przyznano mi prawo pierwokupu wszystkich nowych ofert publicznych, pewniaków. To dobrze strzeżony sekret bogaczy, Alicjo. Oni pierwsi ciągną ze wszystkiego profity: pakiet, który tuż przed wypuszczeniem na rynek kupuję, płacąc po dziesięć dolarów za akcję, dwadzieścia cztery godziny po debiucie kosztuje już siedemdziesiąt dolarów za akcję. Odsprzedaję go drobnym ciułaczom, zgarniam swoje sześćset procent zysku i czekam na następną okazję. To tak, jakbyś sama drukowała sobie pieniądze; wszystko zależy od tego, kogo znasz i co od siebie wnosisz. Kiedy dajesz miliard dolarów, to wierz mi, noszą cię na rękach. Bogaci stają się jeszcze bogatsi, biednemu to nie grozi.

W trakcie tego monologu Jackson coraz bardziej się podniecał, gestykulował z coraz większym ożywieniem, wzrok miał nawiedzony. Słuchającej i obserwującej go Alicji zaczęły drżeć usta.

– Gdzie Thomas? – wykrztusiła ledwo dosłyszalnie.

Jackson zamilkł, odwrócił wzrok, oblizwał suche wargi.

– On nie był dla ciebie, Alicjo. Nie był ciebie ani trochę wart. Oportunistą. I jestem przekonany, że najbardziej kochał to, co posiadasz. Wszystko to, co ci dałem.

– Nie był? Nie był dla mnie? – Alicja wstała. Jej twarz była blada jak papier, głos się łamał. – Gdzie on jest? Co ty mu zrobiłeś?

Jackson patrzył na nią bez słowa. Szukał w jej twarzy czegoś, co kompensowałoby zawód, jaki mu sprawiała. Od lat pielęgnował w sercu idylliczną wizję swojej jedynej siostry, z którą prawie się nie widywał, wynosił ją na piedestał. Stojąc z nią teraz oko w oko, stwierdzał, że przez wszystkie te lata żył iluzją, mającą się nijak do rzeczywistości.

– Zabiłem go, Alicjo – powiedział spokojnie. Podjął już decyzję.

Stała przez chwilę nieruchomo, potem nogi się pod nią ugięły. Chwycił ją na ręce, zanim osunęła się na podłogę, i ułożył na sofie.

– Nie przejmuj się tak, Alicjo. Zapewniam cię, że są na świecie inni mężczyźni. Możesz nadal szukać wśród nich ojca. Donovan nim nie był, ale jestem pewny, że się nie zniechęciłaś. – Nawet nie próbował kryć sarkazmu.

Ona go jednak nie słuchała. Łzy płynęły jej po policzkach. Nie zważał na to. Mówił dalej, przechadzając się przed nią tam i z powrotem niczym profesor przed jednoosobową klasą.

– Będziesz musiała wyjechać z kraju, Alicjo. Wykasowałem wiadomość, którą zostawiłaś na automatycznej sekretarce Donovana, a więc policja nie pójdzie na razie tym tropem. Ponieważ

jednak wasz związek trwał rok, ludzie o nim wiedzą. W końcu policja do ciebie zapuka. Wszystko zorganizuję. O ile pamiętam, bardzo ci się podoba Nowa Zelandia. A może do Austrii. Byliście tam kilkakrotnie w dzieciństwie, pamiętasz? Bardzo dobrze się bawiliśmy.

– Przestań! Przestań, potworze!

Odwrócił się. Alicja już nie leżała, stała przy sofie.

– Alicjo...

– Nigdzie nie pojedę.

– Pozwól, że wyjaśnię. Zbyt dużo wiesz. Policja będzie cię wypytywała. Nie masz w tych sprawach doświadczenia. Z łatwością wydobędą z ciebie prawdę.

– Oszczędzę im fatygi. Sama zaraz do nich zadzwonię i wszystko opowiem.

Ruszyła do telefonu, ale zastąpił jej drogę.

– Bądź rozsądna, Alicjo.

Zaczęła go z całych sił okładać pięściami. Ten wybuch agresji przywołał z pamięci Jacksona konfrontację z innym członkiem rodziny. Ojciec był wtedy silniejszy od niego fizycznie, potrafił go zdominować metodami, których Jackson od tamtego dnia nie tolerował.

– Kochałam go, ty zbrojeńcu! Kochałam Thomasa! – wykrzyczała mu w twarz Alicja.

Jackson utkwiał w niej wodniste oczy.

– Ja też kogoś kochałem – powiedział. – Kogoś, kto powinien moją miłość odwzajemniać, uszanować, ale tego nie robił. – Pomimo tych lat bólu, odtrącenia i upokorzeń w głębi serca nadal darzył ojca uczuciem, choć nigdy dotąd nie przyznał tego ani przed sobą samym, ani przed kimkolwiek. Uświadomienie sobie tego teraz miało efekt piorunujący.

Chwycił siostrę za ramiona i pchnął ją brutalnie na sofę.

– Peter...

– Zamknij się, Alicjo. – Usiadł obok niej. – Wyjeżdżasz z kraju. Nie zadzwonisz na policję. Zrozumiałaś?!

– Ty zwariowałaś, oszalałaś. Boże, to chyba jakiś koszmarny sen.

– Dla mnie nie ulega wątpliwości, że jestem najtrzeźwiej myślącym członkiem tej rodziny. – Popatrzył jej prosto w oczy i powtórzył powoli, z naciskiem: – Z nikim o tym nie porozmawiasz, Alicjo, rozumiesz?!

Wyraz jego oczu sprawił, że Alicja wzdrygnęła się wewnętrznie. Gniew, jaki dotąd nią miotał, zastąpiło nagle przerażenie. Dawno nie widziała brata. Nie poznawała teraz chłopca, z którym bawiła się w dzieciństwie, którego dojrzałością i inteligencją była tak zafascynowana. Ten siedzący obok niej mężczyzna nie był jej bratem.

Zmieniła pośpiesznie taktykę i powiedziała najspokojniej, jak potrafiła.

– Tak, Peter, rozumiem. Spakuję się... jeszcze dzisiaj.

Na twarzy Jacksona pojawiła się nie goszcząca tam od dawna rozpacz. Czytał w jej myślach, widział jej strach. Wszystko miała wypisane na twarzy. Palce zacisnęły mu się na dekoracyjnej poduszce leżącej między nimi na sofie.

– Dokąd chciałybyś pojechać, Alicjo?

– Dokądkolwiek, Peter, wszystko mi jedno. Nowa Zelandia, wspominałeś o Nowej Zelandii. To by mi odpowiadało.

– Piękny kraj. Austria też. Bardzo nam się podobała, prawda? – Ścisnął poduszkę mocniej. – Prawda? – powtórzył.

– Tak, prawda. – Spuściła wzrok na jego ręce i spróbowała przełknąć ślinę, ale w gardle miała zbyt sucho. – Chętnie pojechałabym najpierw tam, a dopiero potem do Nowej Zelandii.

– I ani słowa policji? Obiecujesz? – Zaczął unosić poduszkę. Obserwowała jego ruchy. Broda drżała jej niekontrolowanie.

– Peter. Proszę. Błagam, nie rób tego.

– Nazywam się Jackson, Alicjo – powiedział, odmierzając precyzyjnie słowa. – Peter Crane już tu nie mieszka.

Błyskawicznym zrywem rzucił się na nią, przewrócił na plecy i przydusił poduszką twarz. Stawiała rozpaczliwy opór. Kopała, drapała, wiała się, ale była za drobna, za słaba. Dziwił się nawet, że z tak małym zaangażowaniem walczy o życie.

Wkrótce było po wszystkim. Przestała się szamotać i znieruchomiła. Prawa ręka zsunęła się bezwładnie z sofy i dotknęła podłogi. Jackson uniósł poduszkę i zmusił się do spojrzenia na siostrę. Usta miała rozchylone, oczy szeroko otwarte, wpatrzone w pustkę. Zamknął jej szybko powieki i siedział przy niej przez chwilę, gładząc czule po dłoni. Nie próbował hamować łez. I tak nic by to nie dało. Starał się przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz płakał, ale nie mógł.

Złożył jej ręce na krzyż na piersi. Niezadowolony z efektu, przesunął je, splatając dłonie na wysokości talii. Przeniósł na sofę nogi Alicji, pod głowę podłożył poduszkę, którą ją udusił, i poprawił włosy. Przemknęło mu przez myśl, że bardzo jej ze śmiercią do twarzy. Ten spokój, ta chwytająca za serce pogoda, jakie z niej emanowały, sprawiały, że to, co przed chwilą zrobił, nie wydawało się wcale takie straszne.

Po chwili wahania poszukał pulsu. Jeśli życie się w niej jeszcze kołacze, to wyjdzie stąd, ucieknie z kraju, nie dobieje jej. Drugi raz by się na to nie zdobył. Należała mimo wszystko do rodziny. Ale nie żyła. Puścił jej rękę, wstał i spojrzał na nią po raz ostatni.

Nie musiało do tego dojść. Teraz z całej rodziny pozostał mu tylko bezużyteczny Roger. Jego też należałoby zabić. To on, a nie ukochana Alicja, powinien tu teraz leżeć. Ale na Rogera szkoda czasu i fatygi. Zastygł. Coś mu przyszło do głowy. A może by tak zaangażować brata do tego przedstawienia w charakterze statysty. Zadzwoni do niego i złoży mu ofertę. Ofertę, której młodszy brat nie będzie miał siły się oprzeć, a to ze względu na pieniądze; najsilniejszy z istniejących narkotyków.

Zebrał elementy swojego kamuflażu i zerkając co chwila na martwą siostrę, ucharakteryzował się ponownie. O odciski palców nie musiał się martwić, bo przygotowując się do tej wizyty powlókł sobie dłonie przypominającą lakier substancją. Wyszedł tylnymi drzwiami. Tak szybko jej nie znajdują. Alicja powiedziała, że gospościa wyszła załatwić jakąś sprawę. Szedł

ulicą, rozpamiętując swój czyn i jego reperkusje. Istniało spore prawdopodobieństwo, że policja uzna, iż to Thomas Donovan ogarnięty szałem zabijania zamordował swoją przyjaciółkę Alicję Morgan Crane. W gazetach ukaże się obszerna notatka pośmiertna. Pochodziła przecież ze znaczącej rodziny, będzie o czym pisać. Peter Crane będzie musiał powrócić na jakiś czas, by ją pochować. Nieodpowiedzialnemu Rogerowi nie można powierzyć takiego obowiązku. „Przykro mi, Alicjo. Nie powinno było do tego dojść”. Ten nieoczekiwany zwrot niemal wytrącił go z równowagi. Tak cenił sobie pełną kontrolę i nagle został z niej odarty. Spojrzał na swoje ręce, narzędzia śmierci, które zabiły jego siostrę. Siostrę. Nogi miał wciąż jak z waty, ciało nie dostosowało się jeszcze do rytmu umysłu.

Tak, wiedział, kto jest za to wszystko odpowiedzialny. LuAnn Tyler ciężko odpokutuje za kłopoty, których mu przysporzyła, za ból, który go teraz rozsadzał. Będzie go błagała, żeby z nią szybko skończył, bo każdy oddech stanie się dla niej niewysłowioną torturą. Torturą, jakiej nie potrafi znieść żaden człowiek. Nawet ona.

A najlepsze to, że wcale nie będzie jej musiał szukać. Sama do niego przyjdzie. Przybiegnie bez tchu. Bo on będzie miał coś, za czym LuAnn pójdzie wszędzie. Będzie miał w ręku coś, za odzyskanie czego LuAnn Tyler zrobi wszystko, za co gotowa będzie nawet umrzeć. „I umrzesz LuAnn Tyler łamane przez Catherine Savage”. Krocząc ulicą, poprzysiągł to stojącemu mu wciąż przed oczami, ciepłemu jeszcze ciału kobiety o twarzy tak podobnej do jego własnej.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Riggs rozejrzał się po raz któryś z rzędu i zerknął na zegarek. Zawierając układ z FBI, wszedł na najkruchszy lód na świecie, a LuAnn spóźniała się już trzy godziny. Co będzie, jeśli w ogóle się nie pojawi? Jackson był wciąż na wolności, a nie ma się co łudzić – jego nóż po raz drugi nie chybi celu. Jeśli nie dostarczy FBI Jacksona, nie wywiąże się z umowy ze swym byłym pracodawcą i nie zniknie szybko pod nową przykrywką, to członkowie kartelu, którzy pięć lat temu poprzysięgli mu śmierć, dowiedzą się wkrótce, że żyje i na pewno spróbują znowu. Nie może teraz wrócić do domu. Interes diabli już pewnie wzięli, a jakby tego było mało, został z pięcioma dolarami w kieszeni i bez samochodu. Gdyby chciał jeszcze bardziej zrujnować sobie życie, to naprawdę nie wiedziałby jak.

Opadł ciężko na ławeczkę i spojrzał na monument Washingtona. Zimny wiatr hulał po otwartej przestrzeni, rozciągającej się od monumentu Lincolna po Kapitol. Niebo było zachmurzone; zanościło się na deszcz. Czuło się go już w powietrzu. Pięknie. No i jesteś pan teraz między młotem a kowadłem, panie Riggs – powiedział do siebie w duchu. Jego barometr emocjonalny opadł do poziomu najniższego od czasu, kiedy dowiedział się, że żona zginęła w zamachu przeprowadzonym na niego przez gang. Czy to prawda, że jeszcze niecały tydzień temu wiodł względnie normalne życie? Świadczył usługi budowlane zamożnym, czytał książki przy piecyku na drewno, zaocznie studiował kilka przedmiotów na uniwersytecie, myślał poważnie o wybraniu się wreszcie na urlop?

Pochuchał na zmarznięte palce i wepchnął ręce w kieszenie. Zraniona ręka bolała. Miał już wstać i odejść, kiedy poczuł dotyk czyjejs dłoni na karku.

– Przepraszam.

Obejrzał się. Chęć do życia powróciła z taką gwałtownością, że zakręciło mu się w głowie. Uśmiechnął się. Musiał.

– Za co?

LuAnn usiadła obok niego i wzięła go pod rękę. Nie odpowiedziała od razu. Dłuższą chwilę patrzyła przed siebie, w końcu odetchnęła głęboko, spojrzała na niego i pogłaskała po dłoni.

– Miałam pewne wątpliwości.

– Względem mnie?

– Nie powinnam. Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś, nie powinnam w ciebie wątpić.

Spojrzał na nią czule.

– Właśnie, że powinnaś. Każdy ma prawo mieć jakieś wątpliwości. Zwłaszcza ty, po tych ostatnich dziesięciu latach. – Poklepał ją lekko po plecach, zajrzał w oczy, zauważył wilgoć w ich kącikach. – No, ale jesteś. Przyszłaś. Z tego wynika, że ze mną wszystko w porządku, tak? Zdałem egzamin?

Kiwnęła tylko głową. Nie mogła mówić.

– Chodźmy poszukać jakiegoś ciepłego kąta, to ci opowiem, co załatwiłem, i porozmawiamy o planie ataku. No jak?

– Chodźmy. – Ścisnęła go za rękę tak mocno, jakby miała już jej nie puścić. Riggs nie miał nic przeciwko takiej perspektywie.

Hondę, która już się rozmaitym ludziom opatrzyła, porzucili i wynajęli sedana. Zresztą Riggsowi znudziło się odpalanie wozu na drut.

Pojechali prawie do samej zachodniej granicy okręgu Fairfax i tam zatrzymali się na lunch. Po drodze Riggs zdał LuAnn relację z przebiegu spotkania w gmachu Hoovera. Restauracja świeciła pustkami. Minęli barek i usiedli przy stoliku w przeciwległym rogu sali. LuAnn patrzyła obojętnie, jak barman wojuje ze szwankującym telewizorem, w którym leciała jakaś opera mydlana. Uzyskawszy jaki taki odbiór, mężczyzna oparł się łokciami o bar i dłubiąc w zębach wykałaczką, zapatrzył się w mały ekran. Jak dobrze być na takim luzie, tak się nudzić – pomyślała LuAnn.

Złożyli zamówienie i Riggs wyciągnął gazetę. Nie odezwał się słowem, dopóki LuAnn nie przeczytała całego artykułu.

– Boże!

– Donovan źle zrobił, że cię nie posłuchał.

– Myślisz, że Jackson go zabił?

Riggs kiwnął posępnie głową.

– Prawdopodobnie wciągnął go w pułapkę. Kazał tej Reynolds zadzwonić do niego i zwać do siebie obietnicą, że wszystko mu wyśpiewa. Dochodzi do spotkania, Jackson wkracza i załatwia oboje w taki sposób, że podejrzenie pada na Donovana.

LuAnn ukryła twarz w dłoniach. Riggs dotknął lekko jej dłoni.

– Hej, Lu Ann, przecież próbowałaś go ostrzec. Nic więcej nie mogłaś zrobić.

– Mogłam dziesięć lat temu odmówić Jacksonowi. Wtedy by do tego nie doszło.

– Tak, ale gdybyś to zrobiła, on z miejsca by cię wykończył.

LuAnn otarła oczy rękawem.

– No i mam teraz ten wspaniały układ z FBI, który w moim imieniu wynegocjowałeś, a żeby wszedł w życie, wystarczy tylko złapać w sieć Lucyfera. – Upiła łyk kawy. – Raczyłbyś mi powiedzieć, jak my tego dokonamy?

Riggs odłożył gazetę.

– Jak się pewnie domyślasz, sporo się już nad tym zastanawiałem. Problem polega na tym, że nie wolno nam się uciekać ani do zbyt prostych, ani do zbyt wyrafinowanych sposobów. W obu wypadkach zwęszy pułapkę.

– Wątpię, czy zechce się jeszcze ze mną spotkać.

– Nie, tylko nie to. Nie przyszedłby, lecz przysłałby kogoś, żeby cię zabił. To zbyt niebezpieczne.

– Nie zauważyłeś jeszcze, że nie mogę żyć bez niebezpieczeństw, Matthew. Gdyby nie one, nie wiedziałabym, co ze sobą robić. No dobrze, spotkanie odpada. Co dalej?

– Jak już powiedziałem, gdyby udało się nam ustalić, kim w rzeczywistości jest, namierzyć go, to mielibyśmy ułatwione zadanie. – Riggs urwał, bo do stolika podeszła kelnerka z zamówieniami. Kiedy się oddaliła, wziął kanapkę i jedząc, podjął: – Nie przypominasz sobie czegoś w związku z tym facetem? Czegoś, co skierowałyby nas od razu na właściwe tory?

– Jest zawsze ucharakteryzowany.

– A dokumenty finansowe, które od niego dostawałaś?

– Przysyłała mi je jakaś szwajcarska firma. Mam kilka w domu, w którym raczej nie powinnam się pokazywać. Czy nawet po zawarciu tego układu?! – Uniosła brwi.

– Nie radziłbym, LuAnn. Fedzi mają cię teraz na tapecie, mogliby zapomnieć, jak się umawialiśmy.

– Część z tych dokumentów trzymam w banku w Nowym Jorku.

– Też zbyt ryzykowne.

– Mogłabym napisać do tej szwajcarskiej firmy, ale wątpię, żeby oni coś wiedzieli. A nawet gdyby, to wątpliwe, żeby się ze mną swoją wiedzą podzielili. W końcu ludzie nie bez powodu trzymają pieniądze w szwajcarskich bankach, prawda?

– Dobrze, dobrze. Co jeszcze? Coś musiało zapaść ci w pamięć. Jak się ubierał, czym pachniał, jak mówił, jak chodził. Może jakieś szczególne upodobania? A Charlie? On nie mógłby nam czegoś podpowiedzieć?

LuAnn zawahała się.

– Można go zapytać – powiedziała bez przekonania, wycierając serwetką ręce – ale nie liczyłabym na to. Wiem od niego, że nigdy nie widział Jacksona na oczy. Kontaktowali się wyłącznie przez telefon.

Riggs odchylił się na oparcie krzesła i dotknął zranionej ręki.

– Naprawdę nie widzę sposobu, w jaki można by do niego dotrzeć, Matthew.

– Jest jeden taki sposób, LuAnn. Szczerze mówiąc, doszedłem już do wniosku, że jedyny. Zadając te pytania, upewniałem się tylko, czy nie ma czasem innych.

– Co to za sposób?

– Masz numer telefonu, pod którym możesz go łąpać, tak?

– Mam. Bo co?

– Umówimy się z nim na spotkanie.

– Przecież powiedziałaś przed chwilą...

– To będzie spotkanie ze mną, nie z tobą.

LuAnn zerwała się z krzesła. Oczy jej płonęły.

– O nie, Matthew, za nic w świecie nie pozwolę ci się zbliżyć do tego faceta. Patrz, co ci zrobił. – Pokazała na jego ramię. – Następnym razem będzie gorzej. O wiele gorzej.

– Już byłoby o wiele gorzej, gdybyś nie zablokowała mu ręki. – Riggs uśmiechnął się do niej

czule. – Posłuchaj. Zadzwoń do niego. Powiem, że wyjeżdżasz z kraju i nie chcesz mieć z tym wszystkim więcej do czynienia. Wiesz, że Donovan nie żyje, a więc on, Jackson, ma już ten problem z głowy. Wszyscy są zadowoleni i dalej będą żyć sobie długo i szczęśliwie. – LuAnn, siadając z powrotem, zawzięcie kręciła głową. – Nie? – podjął Riggs. – No to powiem mu, że nie jestem taki w ciemną bitą. Że go rozpracowałem. Że znudziło mi się budownictwo, a z czegoś żyć przecież trzeba.

– Nie, Matthew, tylko nie to!

– Jackson i tak uważa mnie za kryminalistę. Odniesie się więc ze zrozumieniem do faktu, że próbuję go wyzyskać. Powiem mu, że podłożyłem pluskwę w twojej sypialni, że mam na taśmie całą bardzo interesującą rozmowę, jaką odbył z tobą pewnego pięknego wieczoru, no wiesz, wtedy, kiedy włamał się do twojego domu.

– Już całkiem na mózg ci padło.

– Zażądam za tę taśmę pieniędzy. Dużo pieniędzy.

– Zabije cię.

Riggs sposepniał.

– I tak to zrobi. Nie chcę biernie czekać, aż zarżnie mnie jak barana. Wolę przejść do ofensywy. Niech dla odmiany on trochę potrząsie portkami. Może nie jestem taką jak on maszynką do zabijania, ale sroce spod ogona też nie wypadłem. Jestem doświadczonym agentem FBI. Zabijałem już ludzi, pełniąc tę służbę, i jeśli myślisz, że zawaham się choć na moment przed odstrzeleniem mu łba, to mnie jeszcze nie znasz.

Riggs spuścił na chwilę wzrok. Starał się ochłonać. Plan był ryzykowny, ale który plan taki nie jest? Spojrzał znowu na LuAnn i chciał coś dorzucić, ale widok jej twarzy zamknął mu usta.

– LuAnn, co się stało?

– O, nie! – Z jej głosu przebijała panika.

– Co jest? O co chodzi? – Chwycił ją za ramię. Drżała. Nie odpowiadała. Patrzyła na coś ponad jego ramieniem. Obejrzał się niemal pewien, że zobaczy tam Jacksona szarżującego na nich z rzeźnickim nożem. Zlustrował szybko wzrokiem prawie pustą salę restauracyjną i zatrzymał go na ekranie telewizora. Nadawano komunikat specjalny.

Ekran wypełniała twarz jakiejś kobiety. Alicja Crane, bogata mieszkanka Waszyngtonu, nie żyje. Ciało znalazła przed dwoma godzinami gospoia. Zabezpieczone dowody wskazują, że było to morderstwo. Riggs słuchał z szeroko rozwartymi oczami, jak komentator wspomina, że z Alicją Crane spotykał się Thomas Donovan, główny podejrzany o zamordowanie Roberty Reynolds.

LuAnn nie mogła oderwać wzroku od tej twarzy. Już ją kiedyś widziała, te same oczy wwierały się w nią na ganku chaty. Patrzyła w oczy Jacksona.

„Jego prawdziwa twarz”.

Wzdrygnęła się ze zgrozy, kiedy ją wówczas zobaczyła, a raczej, kiedy uświadomiła sobie, co widzi. Miała nadzieję, że jej oczy już nigdy na niej nie spoczną. A teraz miała ją przed sobą.

Na telewizyjnym ekranie.

Kiedy Riggs znowu na nią spojrzał, pokazała drżącym palcem na ekran.

– To Jackson – wykrztusiła łamiącym się głosem. – Przebrany za kobietę.

Riggs zerknął jeszcze raz na ekran. Niemożliwe, żeby to był Jackson – pomyślał. Odwrócił się do LuAnn.

– Skąd wiesz? Powiedziałaś, że zawsze jest na kogoś ucharakteryzowany.

– Wtedy, w chacie, kiedy wypadliśmy z nim przez okno i szamotaliśmy się na ganku, w ręce została mi jego maska, nie wiem, z gumy czy z plastiku – powiedziała LuAnn, wpatrując się jak zahipnotyzowana w telewizor. – I zobaczyłam jego prawdziwą twarz. Tę twarz. – Pokazała na ekran.

Czyżby rodzina? – przemknęło przez myśl Riggsowi. Boże, czy to możliwe? Czy fakt, że tę kobietę łączyło coś z Donovanem, to tylko zbieg okoliczności? Zerwał się od stolika i pognął do telefonu.

– Nie gniewaj się, George, że zgubiłem twoich chłopaków. Mam nadzieję, że nie oberwało ci się za to od przełożonych.

– Gdzie, cholera, jesteś? – warknął Masters.

– Mniejsza z tym. Posłuchaj. – Powtórzył mu to, co usłyszał przed chwilą w telewizji.

– Myślisz, że on jest spokrewniony z Alicją Crane? – spytał Masters.

Z jego głosu zniknęła zupełnie wściekłość na Riggsa, zastąpiło ją podniecenie.

– Być może. Wiek się mniej więcej zgadza. Starszy albo młodszy brat, trudno powiedzieć.

– Dziękować Bogu za silne geny.

– Jaki masz plan?

– Sprawdzimy zaraz rodzinę. Nie powinniśmy z tym mieć specjalnego problemu. Jej ojciec był przez wiele lat senatorem. Bardzo znacząca rodzina. Jeśli ma jakichś braci, kuzynów czy kogo tam, szybko ich znajdziemy i przesłuchamy. Kurczę, chyba się nie obrażą.

– Facet nie będzie raczej czekał na twoją wizytę.

– Oni nigdy nie czekają, nie?

– Uważaj z nim, George.

– Wiem, wiem. Jeśli to prawda, co mówisz...

– Ten gość zabił własną siostrę – dokończył za niego Riggs. – Strach pomyśleć, jak mógłby potraktować kogoś spoza rodziny.

Matthew rozłączył się. Nareszcie budziła się w nim prawdziwa nadzieja. Nie łudził się, że Jackson będzie spokojnie czekał, aż FBI go aresztuje. Trzeba go będzie wywabić z nory, osaczyć. Będzie wkurzony, zechce się mścić. Cóż, niech próbuje. LuAnn nie dostanie, chyba że po trupie Riggsa. Zresztą oni też nie będą biernie czekali. Pora ruszać.

Dziesięć minut później siedzieli już w samochodzie i jechali ku nieodgadnionemu przeznaczeniu.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Jackson przyleciał samolotem linii Delta do Nowego Jorku. Zamierzał wpaść do domu po pewne potrzebne mu akcesoria, a wracając zabrać ze sobą Rogera. Nie mógł liczyć na to, że brat, podróżując samotnie, dotrze tam, gdzie trzeba. Potem udadzą się na południe. Podczas krótkiego lotu połączył się telefonicznie z człowiekiem, który śledził Charliego i Lisę. Para zatrzymała się na odpoczynek. Charlie rozmawiał przez telefon. Bez wątplenia z LuAnn. Potem ruszyli w dalszą drogę i niedługo znajdują się z powrotem w Wirginii, wjeżdżając do niej od południa. Wszystko szło bardzo dobrze. Godzinę później Jackson siedział już w taksówce i jechał zatłoczonymi ulicami Manhattanu do swojego mieszkania.

Zdumiony Horace Parker wybałuszał oczy. Od przeszło pięćdziesięciu lat był portierem w kamienicy, gdzie przeciętny apartament miał cztery tysiące stóp kwadratowych powierzchni i kosztował pięć milionów, a trzykrotnie większa nadbudówka na dachu warta była dwadzieścia milionów, ale czegoś takiego jeszcze nie widział. Przez hol przewaliła się przed chwilą armia śmiertelnie poważnych, uzbrojonych po zęby ludzi w wiatrówkach z literami FBI na plecach. Ładowali się teraz grupkami do prywatnej windy, którą wjeżdżało się do nadbudówki na dachu.

Horace wyszedł z powrotem przed dom i rozejrzał się po ulicy. Przy krawężniku zatrzymała się taksówka. Wsiadł z niej Jackson. Parker natychmiast do niego podszedł. Znał tego człowieka od małego. Wiele lat temu wybierał z Jacksonem i jego młodszym bratem Rogerem drobne monety z fontanny w holu. Dorabiał też sobie do pensji, pilnując chłopców w czasie nieobecności rodziców i zabierając ich w weekendy na spacer do Central Parku; to on postawił im pierwsze piwo, kiedy chłopcom zaczynały się sypać młodzieńcze wąsy. Potem patrzył, jak dorastają i jak opuszczają rodzinne gniazdo. Słyszał, że na Crane'ów przyszły ciężkie czasy i wyjechali z Nowego Jorku. Ale Peter Crane wrócił po jakimś czasie i kupił nadbudówkę. Widać dobrze mu się powodziło.

– Dobry wieczór, Horace – powitał go kordialnie Jackson.

– Dobry wieczór, panie Crane. – Parker zasalutował do daszka czapki.

Jackson ruszył do wejścia.

– Panie Crane?

Jackson obejrzał się.

– O co chodzi, Horacy? Trochę się śpieszę. Peter spojrzał znacząco w górę.

– Wpadli tu przed chwilą jacyś ludzie, panie Crane. Wjechali do pańskiego apartamentu. Kupa ich była. FBI. Z karabinami i w ogóle, nigdy czegoś takiego nie widziałem. Są teraz na górze. Chyba na pana czekają.

Jacksonowi nie drgnęła nawet powieka.

– Dziękuję, że mi powiedziałeś, Horace – odparł spokojnie. – Pewnie jakies

nieporozumienie.

Uściskał Parkerowi dłoń, odwrócił się i odszedł ulicą. Zdumiony Parker został przed swoim budynkiem z plikiem studolarowych banknotów w ręce. Rozejrzał się ukradkowo, schował pieniądze do kieszeni i ponownie zajął stanowisko przed drzwiami.

Jackson, skryty w cieniu zaułka, patrzył z drugiej strony ulicy w okna swojej nadbudówki. Widział w nich przesuwające się wolno sylwetki. Był tak oburzony tym bezczelnym najściem na swój dom, że usta zaczęły mu drżeć. Nawet mu w głowie nie postało, że trafią kiedyś do jego osobistego sanktuarium. Jak, u diabła, mogło do tego dojść? Ale nie czas teraz to roztrząsać. Wyszedł z zaułka, skręcił w przecznicę i zadzwonił z pierwszej napotkanej budki telefonicznej. Dwadzieścia minut później podjechała limuzyna. Zadzwonił z niej do brata i kazał mu natychmiast wyjść, jak stoi, z mieszkania. Umówił się z nim pod St. James Theatre. Nie wiedział, jak policji udało się ustalić jego tożsamość, ale zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili mogą też zapukać do Rogera Crane'a. Wpadł jeszcze po pewne niezbędne mu akcesoria do małego mieszkanka, które wynajmował pod fałszywym nazwiskiem. Na rachunek jednej z firemek wchodzących w skład jego korporacji utrzymywał na lotnisku La Guardia prywatny odrzutowiec z pełną załogą. Zadzwonił z limuzyny do dyżurnego pilota i kazał mu jak najszybciej zgłosić w wieży kontrolnej plan lotu. Nie zamierzał tracić czasu, kręcąc kciukami młynka w poczekalni. Limuzyną podjadą prosto pod samolot. Przedtem zabrał brata spod St. James Theatre.

Roger był od Jacksona o dwa lata młodszy i trochę rozlazły, ale tak samo żyłasty. Miał również takie same czarne włosy oraz delikatne rysy twarzy. Ciekawiło go, naturalnie, co tak nagle kazało bratu odnowić z nim kontakt.

– Własnym uszom nie wierzyłem, kiedy ni z tego, ni z owego usłyszałem w słuchawce twój głos – powiedział. – Co się stało, Peter?

– Cicho bądź, muszę pomyśleć. – Jackson siedział jakiś czas w milczeniu, potem odwrócił gwałtownie głowę i spojrzał na młodszego brata. – Oglądałeś wiadomości?

Roger pokręcił głową.

– Rzadko włączam telewizor. A co?

Najwyraźniej nie wiedział jeszcze o śmierci Alicji. To dobrze. Jackson nie odpowiedział na pytanie brata. Usiadł wygodnie i zaczął analizować w myślach nieskończenie wiele scenariuszy.

Do lotniska La Guardia dojechali w pół godziny. Wkrótce potem lecieli już na południe, zostawiając za sobą sylwetkę Manhattanu.

FBI rzeczywiście zapukało do mieszkania Rogera Crane'a, z tym że trochę się spóźniło. Jednak agentów bardziej, niż nieobecność lokatora tego lokalu, zaintrygowały odkrycia poczynione podczas wizyty w nadbudówce Petera Crane'a.

Masters i Berman, myszkując po ogromnym apartamencie, natknęli się na charakterystyczną i archiwum Jacksona oraz na jego skomputeryzowane centrum operacyjne.

– Ja cię kręcę – mruknął Berman, stojąc z rękami w kieszeniach w progu i patrząc na maski,

pojemniki z akcesoriami do makijażu, wieszaki uginające się pod mnóstwem ubrań.

Masters w rękawiczkach przewracał z zainteresowaniem stronicę albumu z wycinkami prasowymi. Wokół uwijali się jak w ukropie technicy zabezpieczający dowody.

– Wychodzi na to, że Riggs miał rację – powiedział Masters. – Jeden facet. Może jednak jakoś z tego wybrniemy.

– I co teraz?

– Bierzemy się za Petera Crane’a. Obstawiamy lotniska oraz dworce kolejowe i autobusowe. Zarządzamy blokadę wszystkich ważniejszych arterii wyjazdowych z miasta. Uprzedzisz ludzi, że to bardzo niebezpieczny osobnik i mistrz kamuflażu. Roześlij też, gdzie się da, fotografie faceta, ale wątpię, żeby coś z tego wynikło. Odcieśliśmy go co prawda od bazy wypadowej, ale dysponuje ogromnym zapleczem finansowym. Powiedz ludziom, żeby unikali niepotrzebnego ryzyka, jeśli uda nam się go zapędzić do narożnika. Niech strzelają przy najmniejszym podejrzanym ruchu z jego strony.

– A co z Riggssem i Tyler? – spytał Berman.

– Dopóki trzymają się od tego z dala, nic. Jeśli zadrą z Crane’em, niczego nie gwarantuję. Nie będę dla ich ratowania narażał swoich ludzi. Moim zdaniem miejsce LuAnn Tyler jest w więzieniu. I tu mamy na nią haka. Możemy ją wpakować za kratki albo zagrozić, że to zrobimy. Myślę, że będzie siedziała cicho. Idź zobaczyć, jak im idzie zabezpieczanie dowodów.

Berman wyszedł z pokoju, a Masters usiadł i zaczął czytać charakterystykę LuAnn doczepioną do jej zdjęcia. Kiedy kończył, wrócił Berman.

– Myślisz, że Crane zajmie się teraz tą Tyler? – spytał Berman.

Masters nie odpowiedział. Wpatrywał się w fotografię LuAnn Tyler wklejoną do albumu. Rozumiał już, dlaczego wybrano ją na zwyciężczynię loterii. Dlaczego wybrano ich wszystkich. Wiedział teraz, kim była LuAnn Tyler i dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Była nędzarką bez perspektyw, samotnie wychowującą dziecko. Żadnej nadziei na odmianę losu. Był to wspólny mianownik dla wszystkich osób wybranych na zwycięzców – żadnej nadziei. Takich właśnie ludzi wyszukiwał ten człowiek. Na twarzy Mastersa odbijały się przepełniające go emocje. W George’u Mastersie zaczynało się budzić, i to z niejednego powodu, poczucie winy.

Dochodziła już północ, kiedy Riggs i LuAnn wchodzili do recepcji motelu. Po załatwieniu formalności meldunkowych Riggs zadzwonił do George’a Mastersa. Agent, który wrócił właśnie z Nowego Jorku, zdał mu szczegółową relację, co wydarzyło się od ich ostatniej rozmowy. Riggs odłożył słuchawkę i spojrzał na zdenerwowaną Lu Ann.

– Co się stało? Co ci powiedzieli?

Riggs pokręcił głową.

– Tak jak się spodziewałem. Jacksona nie było w domu, ale znaleźli tam tyle obciążających dowodów, że wystarczy tego na posłanie go za kratki na resztę życia i jeszcze, trochę. Z albumem ze wszystkimi zwycięzcami loterii włącznie.

– A więc naprawdę był spokrewniony z Alicją Crane.

Riggs kiwnął ponuro głową.

– Był jej starszym bratem. Jackson to Peter Crane. A przynajmniej wszystko na to wskazuje.

– A więc zamordował własną siostrę – wyszeptała LuAnn.

– Na to wygląda.

– Dlatego, że za dużo wiedziała? Z powodu Donovaną?

– Tak myślę. Nie mógł ryzykować. Zjawia się u niej ucharakteryzowany albo nie. Wyciąga z niej, co go interesuje, może nawet mówi, że zamordował Donovaną. Kto wie, jak z tym było. Spotykała się z Donovanem. Straciła głowę, zagroziła, że powiadomi policję. A więc ją zamordował.

LuAnn wzdrygnęła się.

– Jak myślisz, gdzie on teraz jest?

Riggs wzruszył ramionami.

– Masters mówi, że sądząc po tym, jak mieszka, facet może palić forszą w piecu. Może się udać w milion miejsc, przybrać milion różnych twarzy i tożsamości, pod którymi tam dotrze. Niełatwo będzie go dopaść.

– I wywiązać się z naszego układu? – dodała lekko sarkastycznym tonem LuAnn.

– Podsunęliśmy Fedom trop. Są teraz w jego „światowej” centrali. Mówiąc, że im go dostarczymy, niekoniecznie musiałem mieć na myśli, że do gmachu Hoovera w przewiązanym wstążką pudełku. Moim zdaniem my swoje już zrobiliśmy.

LuAnn westchnęła.

– Czyli sprawa załatwiona? Z FBI? I z Georgią?

– Musimy jeszcze dopracować pewne szczegóły, ale w zasadzie tak, chyba tak. Nagrałem bez ich wiedzy przebieg spotkania w gmachu Hoovera. Mam na taśmie zgodę Mastersa, dyrektora FBI oraz prokuratora generalnego występującego tam w imieniu, ni mniej, ni więcej, tylko samego prezydenta Stanów Zjednoczonych, na warunki układu, który zaproponowałem. Teraz muszą grać z nami czysto. Ale nie będę owijał w bawełnę. Urząd podatkowy solidnie uszczuplił stan twojego konta bankowego. Nie chcę być złym prorokiem, ale po tylu latach kumulowania się kar za zwłokę i karnych odsetek niewiele może ci na nim zostać, o ile w ogóle nie puszczą cię w skarpetkach.

– Nieważne. Zapłacę te podatki, nawet gdybym musiała oddać wszystko, co mam. Przecież praktycznie ukradłam te pieniądze. Chcę mieć pewność, że nie będę musiała do końca życia oglądać się przez ramię.

– Nie pójdziesz do więzienia, jeśli to masz na myśli. – Dotknął jej policzka. – Nie wyglądasz mi na najszcześliwszą.

Zarumieniła się i uśmiechnęła.

– Jestem szczęśliwa. – Ale uśmiech szybko zgasł.

– Wiem, o czym myślisz.

– Dopóki nie złapią Jacksona – wyrzuciła z siebie – moje życie nie jest warte funta kłaków. Twoje też. I Charliego. – Wargi jej zadrżały. – I Lisy. – Z tym imieniem na ustach doskoczyła do telefonu.

– Gdzie dzwoniisz? – spytał Riggs.

– Muszę zobaczyć moją córeczkę. Muszę się upewnić, czy jest bezpieczna.

– Zaczekaj, co chcesz im powiedzieć?

– Że możemy się gdzieś spotkać. Chcę ją mieć przy sobie. Wtedy będę o nią spokojna.

– Lu Ann, posłuchaj...

– Ta kwestia nie podlega dyskusji! – krzyknęła.

– Dobrze, dobrze, nie jestem głuchy. Ale gdzie chcesz się z nimi spotkać?

LuAnn przesunęła ręką po czole.

– Nie wiem. Czy to nie wszystko jedno?

– Gdzie teraz są?

– Kiedy ostatnio się z nimi kontaktowałam, wracali od południa do Wirginii.

Riggs potarł brodę.

– Jaki Charlie ma samochód?

– Rangę rovera.

– Wspaniale. Zmieścimy się wszyscy. Spotkamy się z nimi tam, gdzie teraz są. Wynajęty wóz zostawimy. Zaszycemy się gdzieś i zaczekamy, aż FBI zrobi, co do niego należy. No więc tak, ty dzwoni, a ja biegnę po coś na ząb do tej całodobowej hamburgerowni, którą widzieliśmy przy wejściu.

– Dobrze.

Po paru minutach wrócił z dwoma torbami żywności.

– Dodzwoniłaś się? – spytał.

– Są już w Wirginii. Zatrzymali się w motelu na przedmieściach Danville. Ale mam jeszcze raz zadzwonić i powiedzieć im, kiedy tam będziemy. – Rozejrzała się błędnie. – Gdzie my, cholera, jesteśmy?

– W Maryland. Miasteczko nazywa się Edgewood. To na północ od Baltimore. Danville leży trochę ponad sto mil na południe od Charlottesville, czyli stąd mamy do Danville jakieś pięć, sześć godzin jazdy.

– To znaczy, że jeśli zaraz ruszymy...

– LuAnn, już po północy. Oni prawdopodobnie śpią, dobrze mówię?

– No to co?

– To, że my też się możemy troszkę zdrzemnąć, bo oboje tego potrzebujemy. Wstaniemy wcześniej i będziemy tam około południa.

– Nie chcę czekać. Chcę być z Lisą.

– LuAnn, niebezpiecznie jest jechać w trasę nie wypoczętym. Zresztą, nawet ruszając teraz, na miejscu bylibyśmy około szóstej rano. Do tej pory nic się nie wydarzy. Daj spokój, starczy

chyba przeżyć jak na jeden dzień. Poza tym Lisa nie zmruży oka, jeśli jej powiesz, że przyjeżdżasz z samego rana.

– To niech nie mruży. Wolę, żeby była niewyspana, ale bezpieczna.

Riggs pokręcił powoli głową.

– LuAnn, jest jeszcze jeden powód, dla którego nie powinniśmy się z nimi teraz spotykać: bezpieczeństwo Lisy.

– O czym ty mówisz?

Riggs wsunął rękę do kieszeni i oparł się o ścianę.

– Jackson jest na wolności. Ostatni raz widzieliśmy go, jak uciekał do lasu. Skąd możemy wiedzieć, czy nie zawrócił i czy nas teraz nie śledzi?

– A Donovan? A Bobbie Jo Reynolds? A Alicja Crane? Przecież to on ich zabił. Nie mógł być w kilku miejscach naraz.

– Mógł go w tym wyręczyć ktoś przez niego wynajęty. Albo sam ich zabił, a wysłał kogoś za nami. Ten człowiek ma gruby portfel, a za pieniądze można kupić wszystko.

LuAnn wspomniała Anthony'ego Romanella. To Jackson go na nią nasłał.

– A więc niewykluczone, że Jackson wie o twojej wczorajszej wizycie w budynku FBI? Może nawet wiedzieć, że tu jesteśmy?

– I jeśli pojedziemy teraz spotkać się z Lisą, mimowolnie zaprowadzimy go do niej.

LuAnn opadła na łóżko.

– Nie wolno nam tego zrobić, Matthew.

– Wiem.

– Ale ja chcę zobaczyć moją dziewczynkę. Czy nic się nie da zrobić?

Po dłuższym namyśle Riggs usiadł obok niej na łóżku i wziął ją za rękę.

– No więc tak, zostajemy tu na noc. Jeśli ktoś nas śledzi, to w nocy miałby ułatwione zadanie, łatwiej by mu było pozostać nie zauważonym. Wstajemy skoro świt i ruszamy do Danville. Ja przez całą drogę sprawdzam, czy ktoś za nami nie jedzie. Jako były tajny agent jestem w tym dobry. Kluczemy bocznymi drogami, często się zatrzymujemy i co jakiś czas wjeżdżamy na międzystanową. Jeśli ktoś nam będzie siedział na ogonie, to niemożliwe, żebyśmy go przy takiej taktyce nie zgubili. Spotykamy się w motelu z Charliem i Lisą i każemy Charliemu odwieźć ją prosto do oddziału FBI w Charlottesville. Pojedziemy tam za nim naszym samochodem, ale do środka nie wejdziemy. Wolę, żeby nie dostali cię jeszcze w swoje łapy. Ale ponieważ mamy z Fedami układ, to w razie czego też możemy się oddać pod ich opiekę. Jak ci się to podoba?

LuAnn uśmiechnęła się.

– Czyli zobaczę jutro Lisę?

Riggs podparł się dłonią pod brodę.

– Jutro.

LuAnn zadzwoniła jeszcze raz do Charliego i umówiła się z nim na pierwszą po południu w

motelu w Danville. Niech Jackson tylko czegoś spróbuje, kiedy ona, Lisa, Charlie i Riggs znajdą się już razem!

Położyli się i Riggs przytulił się do niej, obejmując zdrową ręką w talii. Swojego dziewięciomilimetrowca miał pod poduszką, drzwi zablokował krzesłem wklonowanym pod uchwyt zasuwki. Wykręcił żarówkę z lampy, stłukł ją i rozsypał odłamki szkła pod drzwiami. Zastosował te środki ostrożności na wszelki wypadek. Nie spodziewał się, żeby ktoś zakłócił im nocny odpoczynek.

Leżał obok niej pewny siebie i skrzepowany zarazem. Wyczuła to chyba, bo odwróciwszy się twarzą do niego, pogłaskała go po policzku.

– Coś cię gryzie?

– To nerwy. Pracując w FBI, miałem zawsze spore kłopoty z tłumieniem niecierpliwości. Mam chyba wrodzoną awersję do czekania.

– Tylko to? – Riggs kiwnął powoli głową. – A nie żałujesz, że się w to wplątałeś?

Przyciągnął ją bliżej.

– Czemu miałbym żałować?

– Pozwól, że ci wyliczę powody. Dostałeś nożem i o włos uniknąłeś śmierci. Jakiś szaleniec robi prawdopodobnie, co może, żeby nas zabić. Poszedłeś z mojego powodu do FBI, niszcząc tym samym przykrywkę, jaką ci dali, i teraz ludzie, którzy już raz próbowali cię zabić, mogą tego spróbować ponownie. Tłuczysz się ze mną po kraju, twoja firma schodzi tymczasem na psy, a wygląda na to, że na koniec zostanę bez centa przy duszy i nie będę ci mogła wyrównać strat, chociaż wypadałoby po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś. Wystarczy?

Riggs pogłaskał ją po włosach i zdecydował, że jej to teraz powie. Kto wie, jak się sprawy potoczą? Druga okazja może się już nie nadarzyć.

– Nie powiedziałas jeszcze, że się w tobie zakochałem.

LuAnn dech w piersiach zapało. Patrzyła na niego oniemiała, w głowie słyszała echo słów, które przed chwilą wypowiedział. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Milczenie pierwszy przerwał Riggs.

– Wiem, że gorszego momentu nie mogłem już sobie wybrać, ale chciałem, żebyś to wiedziała.

– Och, Matthew – udało jej się w końcu wykrztusić. Głos jej drżał, wszystko w niej drżało.

– Na pewno nieraz już to słyszałaś. Od facetów prawdopodobnie lepiej ode mnie pasujących...

Zakryła mu usta dłonią. Pocałował jej palce.

– Owszem, mówili mi to inni mężczyźni – odezwała się po chwili schrypniętym głosem. – Ale dzisiaj po raz pierwszy naprawdę słuchałam.

Pogłaskała go po włosach i poszukała w ciemnościach ustami jego warg. Całowali się powoli, namiętnie, rozbierając się nawzajem pośród dotyków i pieszczot. LuAnn łzy płynęły po twarzy. Walczyły w niej o dominację strach z poczuciem niewysłowionego szczęścia. W końcu

wyrzuciła z głowy wszelkie myśli i pozwoliła się ponieść czemuś, czego przez tyle lat, w tylu krajach szukała. Przywierała do niego z całych sił, jakby zdawała sobie sprawę, że być może jest to jej ostatnia szansa. Kochali się długo, by w końcu zasnąć jedno w ramionach drugiego.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Charlie przetarł kulakami zaspane oczy. Patrzył na telefon. Już dwie godziny temu LuAnn zdała mu relację z rozwoju sytuacji, a on wciąż nie mógł zasnąć. A więc Jackson nazywał się w rzeczywistości Peter Crane. Informacja ta jemu osobiście nic nie dawała, ale na pewno pomoże bardzo władzom w ujęciu tego człowieka. Z drugiej jednak strony, jeśli Jackson już wie, że został zdemaskowany, to jest na pewno wściekły. I Charlie nie chciałby, żeby w zasięgu tego dżentelmena znalazła się teraz któraś z bliskich jego sercu osób.

Dźwignął się z kanapy. Kolana dokuczały bardziej niż zwykle. Dawały o sobie znać długie godziny spędzone za kierownicą. Nie mógł się już doczekać, kiedy zobaczy LuAnn. Do Riggsa też już się zaczynał przekonywać. Facet chyba naprawdę przypadł LuAnn do serca. Skoro tak... Byłby to istny cud.

Zajrzał do śpiącej w sąsiednim pokoju Lisy. Patrząc na delikatne rysy dziewczynki, jak zwykle nie mógł się nadziwić jej podobieństwu do matki. Też będzie wysoka. Jak szybko zleciało tych dziesięć lat. A gdzie rzuci ich los w przyszłym tygodniu? Czy dla niego za tydzień będzie jeszcze przy nich miejsce? Na scenie pojawił się Riggs i może to on przejmie teraz po nim pałeczkę. LuAnn na pewno zabezpieczy go finansowo, ale to już nie będzie to. Tam, u diabła. Przecież tych dziesięć szalonych lat spędzonych u ich boku to i tak więcej, niż sobie zasłużył.

Dzwonek telefonu brutalnie przerwał jego rozmyślenia. Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga nad ranem. Chwycił za słuchawkę.

– Charlie?

W pierwszej chwili nie rozpoznał głosu.

– Kto mówi?

– Matt Riggs.

– Riggs? Gdzie LuAnn? Wszystko u niej w porządku?

– Nawet lepiej niż w porządku. Mają go. Aresztowali Jacksona. – W głosie Riggsa słychać było nieskrywaną radość.

– Boże Wszechmogący! Alleluja! Gdzie?

– W Charlottesville. FBI obstawiła agentami lotnisko i wszedł im z bratem prosto w ręce.

Chyba przyleciał porachować się z Lu Ann.

– Z bratem?

– Rogerem. FBI nie wie jeszcze, czy był w to wszystko zamieszany, ale to się wyjaśni. Najważniejsze, że mają Petera Crane'a. Wzywają LuAnn na jutro rano do Waszyngtonu, by złożyła zeznania.

– Jutro? To co będzie z naszym spotkaniem?

– Właśnie w tej sprawie dzwonię. Spakujcie się z Lisą i przyjeżdżajcie do Waszyngtonu.

Spotkamy się w gmachu Hoovera. Ulica Dziewiąta róg Pennsylvania Avenue. Spodziejają się tam was. Wszystko załatwione. Jeśli ruszycie od razu, zdążymy może jeszcze zjeść wspólne śniadanie. Mam ochotę to uczcić.

– A FBI? To oskarżenie o morderstwo?

– Wszystko załatwione, Charlie. LuAnn została oczyszczona z zarzutów.

– Wspaniale, Riggs. To najwspanialsza wiadomość od nie wiem kiedy. Gdzie LuAnn?

– Rozmawia z drugiego aparatu z FBI. Przekaż Lisie, że mama przesyła jej całusy i nie może się już doczekać, kiedy ją zobaczy.

– Powtórzę. – Charlie odłożył słuchawkę i bez zwłoki zabrał się do pakowania. Ależ chciałby widzieć minę Jacksona, kiedy zgarniało go FBI! Kutas jeden. Wpadł na pomysł, że wyniesie bagaż do samochodu i dopiero potem obudzi Lisę. Niech mała sobie jeszcze pośpi, póki może. Jak usłyszy o matce, długo nie będzie mogła zmrużyć oka. Wyglądało na to, że Riggs jednak się spisał.

Z sercem lekkim jak piórko, objuczony dwiema torbami, Charlie otworzył drzwi frontowe.

I zamarł. W progu stał mężczyzna w czarnej kominiarce i mierzył do niego z pistoletu. Charlie z dzikim rykiem wściekłości rzucił w niego torbę, wytrącając mu pistolet z ręki. Potem złapał mężczyznę za maskę, wciągnął do domku, pchnął na ścianę i zanim tamten oprzytomniał, siedział już na nim, okładając fachowo wielkimi jak bochny pięściami.

Mężczyzna zwiotczał szybko pod tym gradem potężnych ciosów i znieruchomiał. Charlie, czując za plecami obecność kogoś jeszcze, obejrzał się.

– Witaj, Charlie. – Jackson zamknął za sobą drzwi. Rozpoznając ten głos, Charlie rzucił się na nowego intruza z szybkością, która zaskoczyła Jacksona. Dwie strzałki z paralizatora utkwiły w piersi Charliego, ale niemal w tym samym momencie na podbródku Jacksona wylądowała ogromna pięść, odrzucając go na drzwi. Jednak Jackson dalej naciskał spust, rażąc ciało Charliego prądem elektrycznym.

Charlie klęczał i wyęzając wszystkie siły, próbował wstać. Pragnął wziąć tego człowieka w obroty, skatować go tak, żeby nie mógł już nikogo skrzywdzić. Na próżno. Próbował się do niego podczołgać. Cały swój wysiłek podporządkował jednemu celowi: zniszczyć tego człowieka. Ale ciało nie reagowało na wysyłane przez mózg polecenia. Osuwając się powoli na podłogę, patrzył ze zgrozą na stojącą w drzwiach sypialni Lisę.

Chciał coś powiedzieć, chciał krzyknąć, żeby uciekała, uciekała co sił w nogach, ale z jego ust wydobył się tylko cichy, przeciągły jęk.

Patrzył z przerażeniem, jak Jackson, zataczając się, podbiega do Lisy i przyciska jej coś do ust. Dziewczynka szamotała się rozpaczliwie, ale na próżno. Wciągnęła noskiem opary chloroformu i po chwili leżała już na podłodze obok Charliego.

Jackson otarł sobie krew z twarzy i bez ceremonii poderwał na nogi swojego współnika.

– Wsadź ją do samochodu, ale tak, żeby nikt nie widział – warknął.

Mężczyzna kiwnął w oszołomieniu głową. Jeszcze nie w pełni doszedł do siebie po

kontakcie z pięściami Charliego.

Charlie patrzył bezradnie, jak wynosi nieprzytomną Lisę. Potem przesunął oczy na Jacksona, który klęczał przy nim, rozcierając sobie ostrożnie podbródek.

– Aresztowali Jacksona – odezwał się głosem Riggsa. – Mają go. Mam ochotę to uczcić. – I wybuchnął śmiechem.

Charlie milczał. Leżał nieruchomo, patrzył, czekał.

– Wiedziałem, że mój telefon uśpi twoją czujność – podjął Jackson własnym już głosem. – Otwierać drzwi, nie sprawdzisz uprzednio, czy droga wolna, bez gotowej do użycia broni? Cóż za zaniedbanie! A do tej pory tak się pilnowałeś, z taką sumiennością sprawdzałeś, czy nie jesteście śledzeni. Wiedziałem, że tak będzie. I dlatego już pierwszej nocy po przyjeździe do Charlottesville zakradłem się do garażu w Wicken's Hunt i w kolumnie kierownicy każdego stojącego tam wozu, z rangę roverem włącznie, zainstalowałem nadajniki. Są to urządzenia skonstruowane specjalnie na potrzeby armii z wykorzystaniem techniki globalnej nawigacji satelitarnej. Nie ma takiego miejsca na ziemi, w którym mógłbyś się przede mną ukryć. Były bardzo drogie, ale warte swojej ceny. Po spotkaniu z LuAnn wiedziałem już, że wyśle gdzieś z tobą Lisę, a musiałem przecież znać dokładnie miejsce waszego pobytu na wypadek, gdybym potrzebował Lisy do ostatniej odsłony. Uwielbiam podejście strategiczne, a ty? Tak rzadko się je stosuje. No i okazało się, że będę dziecka potrzebował. Dlatego tu jestem.

Charlie skrzywił się lekko, widząc, jak Jackson wyciąga z kieszeni kurtki nóż, i skrzywił się jeszcze raz, kiedy Jackson podciągnął mu rękaw koszuli.

– Doprawdy kocham to urządzenie – ciągnął Jackson, spoglądając na paralizator. – To jeden z nielicznych przyrządów, jakie znam, które umożliwiają przejęcie pełnej kontroli nad kimkolwiek, nie czyniąc mu specjalnej krzywdy i nie pozbawiając przytomności.

Jackson schował paralizator do kieszeni. Strzałki pozostawił w klatce piersiowej Charliego. Tym razem nie był już tak pedantyczny, jeśli chodzi o zacieranie wszelkich śladów.

– Wzięłeś stronę niewłaściwej osoby. – Mówiąc to, rozpruł rękaw koszuli Charliego aż po ramię. – Byłeś lojalny wobec LuAnn i patrz, gdzie to cię zaprowadziło. – Jackson pokręcił ze smutkiem głową, ale uśmiech na jego twarzy zdradzał, że jest zachwycony.

Charlie spróbował zgiąć nogę w kolanie i skrzywił się. Bolało, ale przynajmniej ją czuł. Jedna ze strzałek, o czym Jackson nie wiedział, wbiła się w krzyżyk, który Charlie nosił na piersiach. Druga, zanim weszła w ciało, otarła się o medalik. W rezultacie natężenie prądu wstrząsającego jego ciałem nie było aż tak duże, jak to zakładał Jackson.

– Paraliż wywołany porażeniem potrwa co najmniej piętnaście minut – informował go tonem wykładawcy Jackson. – Niestety, nacięcie, które ci za chwilę zrobię, sprawi, że wykrwawisz się na śmierć w ciągu dziesięciu minut. Ale fizycznie nic nie będziesz czuł. Gorzej zniesiesz to od strony psychicznej, bo nie będzie ci przyjemnie obserwować, jak życie z ciebie uchodzi, gdy ty nic na to nie możesz zaradzić. Mógłbym cię zabić szybko, ale ten sposób wydaje mi się o wiele bardziej adekwatny. To mówiąc, Jackson naciął głęboko biceps Charliego, który, czując jak

ostrze przecina skórę, zacisnął mocno zęby. Kiedy z rany zaczęła się sączyć krew, Jackson wstał.

– Bywaj, Charlie, pożegnam od ciebie LuAnn. Zanim i ją zabiję. – To ostatnie zdanie Jackson bardziej wywarczał, niż wypowiedział. Jego twarz wykrzywiła nienawiść. Uśmiechnął się jeszcze raz i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Cał po cał, Charlie zdołał się przekręcić na plecy. Potem, z nie mniejszym trudem, uniósł muskularne ręce i chwycił za sterczące mu z piersi strzałki. Miał już zawroty głowy wywołane utratą krwi. Pocąc się obficie, wyciągnął strzałki i odrzucił je. Nie zmniejszyło to drętwoty ciała, ale i tak poczuł się trochę raźniej. Potem, wykorzystując tę resztkę kontroli nad członkami, jaka mu jeszcze pozostała, podsunął się na plecach do ściany i wywindował po niej do pozycji siedzącej. Nogi mrowiły tak, jakby wbijano w nie miliony płonących igieł, cały był we krwi, ale udało mu się jakoś podźwignąć na równe nogi. O dziwo, po potraktowaniu paralizatorem ustąpił ból w kolanach. Sunąc plecami po ścianie, dowlóknął się do ściennej szafy i otworzył ją. Wsunął się do środka i chwycił zębami za drewniany wieszak. Teraz mrowiły go już i ręce, i nogi, co było podnoszącym na duchu objawem, bo świadczyło, że wraca mu władza nad własnym ciałem. Z najwyższym trudem ściągnął wieszak i wyrwał z niego poprzeczkę do wieszania spodni. Resztę wieszaka odrzucił i odepchnawszy się od ściany, dowlóknął się do łóżka. Posługując się zębami i jedną ręką, porwał na pasy prześcieradło. Pracował coraz szybciej, paraliż ustępował. Za to robiło mu się słabo – skutek utraty krwi. Miał coraz mniej czasu. Przewiązał sobie długim pasem prześcieradła biceps tuż nad raną i skręcił go mocno poprzeczką wieszaka. Zaimprovizowana opaska uciskowa spełniła swoje zadanie i krwotok ustał. Charlie podniósł słuchawkę i zadzwonił pod 911. Podał swój adres i zwałił się na łóżko. Pot lał się z niego strumieniami, mieszał się z krwią, w której cały był ubabrany. Nie mógł mieć pewności, czy przeżyje, ale po głowie kołatała mu się tylko jedna myśl: Jackson ma Lisę. Dziewczynka była teraz przynętą. Przynętą na jej matkę.

I Charlie bardzo dobrze wiedział, co się stanie, kiedy LuAnn da się na to złapać: Jackson zabije i ją, i Lisę. Z tą przerażającą myślą stracił przytomność.

Kiedy furgonetka skręciła w autostradę, Jackson, przyświecając sobie miniaturową latarką, przyjrzał się wreszcie dokładniej twarzyczce nieprzytomnej Lisy.

– Wykapana matka – mruknął pod nosem. – Bojowego ducha też po niej odziedziczyła.

Dotknął policzka dziewczynki.

– Kiedy cię ostatnio widziałem, byłaś niemowlęciem. – Zawiesił głos i patrzył przez chwilę w ciemność za szybą. Potem znowu spojrzął na Lisę. – Bardzo mi przykro, że musiało do tego dojść.

Pogłaskał ją delikatnie po policzku i cofnął rękę. Roberta, Donovan, siostra Alicja, a teraz to dziecko. Ile jeszcze osób będzie musiał zabić? Kiedy to się skończy – obiecał sobie – zaszyje się na jakimś odludziu, gdzie nikt go nie znajdzie, i przez następne pięć lat nic nie będzie robił. Kiedy oczyści już umysł z wypadków tego tygodnia, zastanowi się, co dalej począć ze swoim

życiem. Ale najpierw musi wyrównać porachunki z LuAnn. Jej śmierć nie będzie mu spędzała snu z powiek.

– Nadchodzę, LuAnn – powiedział w ciemność.

LuAnn poderwała się gwałtownie na łóżku do pozycji siedzącej. Dyszała spazmatycznie, serce waliło jej jak oszalałe.

– Co się stało, kochanie? – Riggs też usiadł i otoczył ręką jej dygoczące ramiona.

– Boże, Matthew!

– No co? O co chodzi?

– Coś się stało Lisie.

– Przestań. To był tylko zły sen, LuAnn. Coś ci się przyśniło.

– On ją ma. Ma moje dziecko. Boże, dotykał ją. Widziałam.

Riggs ujął ją pod brodę i zmusił, żeby na niego spojrzała.

Oczy miała rozbiegane.

– Lisie nic się nie stało. Miałaś koszmary sen. To zupełnie zrozumiałe w tych okolicznościach. – Starał się nadać swemu głosowi jak najspokojniejszy ton, chociaż gwałtowne wybudzenie z twardego snu tym histerycznym wybuchem wyprowadziło go trochę z równowagi.

Odepchnęła go, wyskoczyła z łóżka i zaczęła szukać czegoś gorączkowo wśród rzeczy leżących na nocnym stoliku.

– Gdzie telefon?

– Co?

– Gdzie ten cholerny telefon?! – wrzasnęła. I w tym momencie go znalazła.

– Do kogo dzwonisz?

Nie odpowiedziała. Trzęsącym się palcem wystukała numer telefonu komórkowego. Przeszła z nogi na nogę, czekając na połączenie.

– Nikt nie odbiera.

– No to co? Charlie wyłączył pewnie telefon. Wiesz, która godzina?

– Nie zrobiłby tego. On nigdy nie wyłącza tego przeklętego telefonu. – Wybrała numer jeszcze raz. Z tym samym skutkiem.

– To może baterie mu siadły. Mógł ich nie doładować po przyjeździe do motelu.

LuAnn kręciła głową.

– Coś się stało. Coś złego.

Riggs wstał z łóżka i podszedł do niej.

– Posłuchaj, LuAnn. – Potrząsnął nią tak mocno, jak pozwalała mu na to zraniona ręka. – Posłuchasz mnie przez chwilę?

Uspokoila się trochę i spojrzała na niego.

– Lisie nic nie jest. Charliemu też. Miałaś po prostu koszmary sen. – Objął ją i przytulił mocno. – Po południu się z nimi zobaczymy. I wszystko będzie dobrze, przekonasz się. Jadąc

tam nocą, nie bylibyśmy w stanie zaobserwować, czy ktoś nas nie śledzi. Chcesz z powodu jakiegoś złego snu ściągnąć na Lisę prawdziwe niebezpieczeństwo?

Patrzyła na niego półprzytomnie, w jej oczach płonęło wciąż przerażenie.

Mruczał jej dalej do ucha kojące słowa, aż w końcu się uspokoiła. Podprowadził ją z powrotem do łóżka. Położyli się. On znowu zasnął, a LuAnn wpatrywała się w sufit i modliła cicho, by okazało się, że rzeczywiście był to tylko sen. Coś jej mówiło, że nie. Wydało jej się, że w ciemnościach coś zamajaczyło, jakby wyciągnięta do niej ręka. Nie zdołała określić, czy w przyjaznym, czy we wrogim geście, bo wizja po chwili znikła. Objęła śpiącego Riggsa. Oddałaby wszystko, żeby przytulać tak teraz swoją córkę.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Zbliżał się front burzowy i jeszcze na tę noc oraz następny dzień synoptycy zapowiadali silne wiatry oraz obfite opady deszczu. Wiatr już się wzmagił, jednak dwaj doświadczeni agenci FBI pełniący służbę na punkcie kontrolnym przy drodze prowadzącej do posiadłości LuAnn, sącząc gorącą kawę z termosu, napawali się jeszcze porannym spokojem i pięknem okolicy. Ruchu nie było specjalnego, ale to bynajmniej nie usypiało ich czujności.

O jedenastej przy ich punkcie kontrolnym zatrzymał się samochód. Siedząca za kierownicą Sally Beecham, gospodyni LuAnn, opuściła szybę i spojrzała wyczekująco na jednego z agentów. Ten machnął ręką na znak, że droga wolna. Wyjechała z posiadłości przed dwoma godzinami po zakupy. Zatrzymana wtedy na punkcie kontrolnym, bardzo się zdenerwowała. Agenci nie wyjaśnili jej wiele, dali jednak do zrozumienia, że FBI do niej nic nie ma. Kazali jej robić to co zawsze, czyli wypełniać dalej swoje obowiązki, jak gdyby nic się nie stało. Dostała od nich numer telefonu, pod który miała zadzwonić, gdyby zauważyła coś podejrzanego.

Mijając punkt kontrolny tym razem, sprawiała wrażenie bardziej już rozluźnionej, trochę nawet w białej dumie z powodu całej tej uwagi, jaką okazywały jej władze.

– A to się pani obkupiła – zażartował jeden z agentów. – I kto to wszystko teraz zje? Bo Tyler raczej nie wróci. – Tu posłał porozumiewawczy uśmiech koledze.

Furgonetka, która wkrótce potem nadjechała od strony głównej szosy i zatrzymała się przy punkcie kontrolnym, wzbudziła większe zainteresowanie agentów. Starszy mężczyzna za kierownicą podał się za ogrodnika. Obok siedział jego pomocnik. Okazali dokumenty tożsamości, które agenci dokładnie obejrzeni, a nawet zweryfikowali telefonicznie ich autentyczność. Potem zajrzeli na tył furgonetki. Zobaczyli tam narzędzia ogrodnicze, jakieś skrzynki i starą, zrolowaną brezentową plandekę. Na wszelki wypadek jeden z agentów pojechał za furgonetką do posiadłości.

Samochód Sally Beecham stał przed domem; uszy porażało przeraźliwe wycie. Drzwi frontowe stały otworem i agent widział Sally tuż za progiem. Chyba wyłączała system alarmowy, bo po chwili wycie ustało. Ogrodnicy wysiedli z furgonetki, wyciągnęli z niej jakieś narzędzia, załadowali je na taczkę i zniknęli za domem. Agent wsiadł do samochodu i wrócił na punkt kontrolny.

LuAnn i Riggs stali na motelowym parkingu pod Danville. Riggs rozmawiał przed chwilą z kierownikiem motelu. Tej nocy z motelu dzwoniło na policję. Ktoś zaatakował i ciężko zranił mężczyznę z pokoju sto dwanaście. Wezwano helikopter pogotowia ratunkowego, który zabrał rannego. Mężczyzna nie miał na imię Charlie, ale to o niczym jeszcze nie świadczyło. I kierownik nie widział z nim żadnej dziewczynki.

– Jesteś pewna, że mieszkali w pokoju sto dwanaście? – spytał Riggs.

LuAnn odwróciła się do niego jak pchnięta sprężyna.

– Oczywiście, że jestem.

Zamknęła oczy i zaczęła się kołysać na piętach. Wiedziała, co tu się wydarzyło! Nie mogła znieść myśli, że Jackson dotykał Lisy, że krzywdził jej dziecko.

– Posłuchaj, skąd miałem wiedzieć, że łączy cię z tym facetem jakaś psychiczna więź?

– Nie z nim. Z nią! Z moją córką.

To oświadczenie zbiło Riggsa z tropu. Stał i wodził wzrokiem za LuAnn, która zaczęła spacerować nerwowo tam i z powrotem.

– Potrzebne nam bliższe informacje, Matthew. Natychmiast.

Riggs był tego samego zdania, ale nie uśmiechało mu się zwracać z tym do policji. Straciliby mnóstwo czasu na wyjaśnianie sytuacji, a efekt mógł być taki, że lokalni gliniarze zatrzymaliby LuAnn w areszcie.

– Chodź – powiedział.

Wrócili do biura motelu i Riggs podszedł do automatu telefonicznego. Zadzwoił do Mastersa. Dowiedział się, że FBI nie natrafiło jeszcze na ślad Jacksona, Roger Crane też przepadł jak kamień w wodę.

Riggs opowiedział Mastersowi w paru słowach, co się wydarzyło w nocy w motelu.

– Nie rozłączaj się – warknął Masters.

Riggs obejrzał się na wpatrzoną w niego LuAnn. Czekwała w milczeniu na wieści, przygotowana na najgorsze. Chciał jej posłać uspokajający uśmiech, ale nie zrobił tego. Sam był niespokojny. Poza tym nie chciał w niej budzić fałszywych nadziei.

W słuchawce znowu rozległ się głos Mastersa. Agent mówił cicho, był wyraźnie zdenerwowany. Riggs odwrócił się do LuAnn plecami i słuchał.

– Rozmawiałem z policją w Danville – mówił Masters. – Zgadza się, jakiś mężczyzna został pchnięty nożem w motelu pod miastem. Ze znalezionych przy nim dokumentów wynika, że nazywa się Robert Charles Thomas.

Czyżby Charlie? Riggs oblizał zaschnięte wargi, mocniej ścisnął słuchawkę,

– Z dokumentów? Nie mógł sam tego policji powiedzieć?

– Był nieprzytomny. Stracił dużo krwi. Podobno to cud, że w ogóle przeżył. Tak mi powiedzieli. Rana została zadana profesjonalnie, miał się powoli wykrwawić. Znaleźli też w pokoju strzałki od paralizatora, którym przypuszczalnie został obezwładniony. Lekarze nie potrafią jeszcze powiedzieć, czy z tego wyjdzie.

– Jak wygląda? – Riggs usłyszał szelest przekładanych kartek. Był właściwie przekonany, że to Charlie, ale chciał się jeszcze upewnić.

– Ponad metr osiemdziesiąt – podjął Masters – sześćdziesiąt parę lat, potężnej budowy ciała, musi być silny jak byk, skoro jeszcze żyje.

Riggs wziął głęboki oddech. Nie miał już wątpliwości. To był Charlie.

– Gdzie teraz jest?

– Helikopter pogotowia ratunkowego przetransportował go do kliniki wydziału medycyny Uniwersytetu Stanu Wirginia w Charlottesville. Leży na oddziale intensywnej terapii.

Riggs wyczuł za plecami czyjąś obecność. Obejrzał się i zobaczył LuAnn. Z jej oczu wycierał strach.

– George, a nie ma tam wzmianki, że była z nim dziesięcioletnia dziewczynka.

– Sam zapytałem. W raporcie zapisano, że ten człowiek odzyskał na chwilę przytomność i zaczął wykrzykiwać czyjeś imię.

– Lisa?

Masters odchrząknął.

– Tak. – Riggs milczał. – To była jej córka, prawda? – spytał Masters. – Nasz gość ją teraz ma, tak?

– Na to wygląda – wykrztusił Riggs.

– Skąd dzwonisz?

– Chyba nie jestem jeszcze gotowy, żeby ci to powiedzieć, George.

– Facet porwał małą dziewczynkę – powiedział z naciskiem Masters. – Wy dwoje możecie być następni, Matt. Pomyśl o tym. Możemy was wziąć pod ochronę. Musisz się do nas zgłosić.

– Sam nie wiem.

– Posłuchaj, jedźcie do domu Tyler. Nasi ludzie pilnują drogi dojazdowej do posiadłości dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeśli ona zgodzi się tam pojechać, obstawię cały teren agentami.

– Zaczekaj, George. – Riggs przycisnął słuchawkę do piersi i spojrzał na LuAnn. Wyczytała z jego oczu wszystko.

– Charlie?

– Nieprzytomny. Nie wiedzą, czy z tego wyjdzie. Leży w klinice uniwersytetu wirgińskiego na oddziale intensywnej terapii.

– Jest w Charlottesville?

Riggs kiwnął głową.

– Przetransportowano go tam helikopterem. Drogą powietrzną to niedaleko, a mają tam świetny oddział intensywnej terapii. Będzie pod dobrą opieką.

Nie odrywała od niego wzroku, czekała. I doskonale wiedział, na co.

– Prawdopodobnie Jackson ma Lisę. – Zmienił szybko temat. – LuAnn, FBI chce, żebyśmy się do nich zgłosili. Wezmą nas pod ochronę. Jeśli się zgadzasz, możemy jechać do Wicken's Hunt. Agenci pilnują tam już drogi dojazdowej. Sądzą...

Wyrwała mu słuchawkę z ręki.

– Nie chcę żadnej ochrony! – krzyknęła do niej. – Nie potrzebuję waszej zakichanej ochrony. On ma moją córkę. I ja ją odnajdę. Odbiorę mu ją. Słyszysz?

– Pani Tyler... zakładam, że rozmawiam z LuAnn Tyler... – zaczął Masters.

– Wy się w to nie mieszajcie. On ją na pewno zabije, jeśli chociaż tylko mu się wyda, że depczecie mu po piętach.

Masters usiłował panować nad głosem, chociaż to, co mówił było okrutne:

– Pani Tyler, nie wiadomo, czy on już jej czegoś nie zrobił. Treść i żar jej odpowiedzi kompletnie go zaskoczyły.

– Wiem, że jej nie skrzywdził. Na razie.

– To psychopata. Z takimi nie można...

– Wiem, co mówię. I wiem, o co mu chodzi. Na pewno nie o Lisę. Trzymajcie się od tego z dala. Jeśli się wtrącicie i przez to zginie moja córka, to znajdę ciebie na końcu świata.

Słuchając tego, George Masters, siedzący teraz za swoim biurkiem w silnie strzeżonym gmachu Hoovera, mający za sobą dwadzieścia pięć lat tropienia przestępców, w ciągu których niejedno widział, otoczony tysiącem świetnie wyszkolonych, zahartowanych agentów specjalnych FBI, zadrżał.

W słuchawce trzasnęło. Połączenie zostało przerwane.

Riggs puścił się w pogoń za pędzącą do samochodu LuAnn.

– LuAnn, zaczekaj! – Zatrzymała się i odwróciła. – Posłuchaj, w tym, co mówi George, jest wiele racji.

LuAnn wyrzuciła w górę rękę, potem opuściła je i schyliła się, żeby wsiąść do samochodu.

– LuAnn, ty zgłosisz się do FBI. Niech cię chronią przed tym facetem. Ja zostanę i będę go szukał.

– Lisa jest moją córką. To przeze mnie znalazła się w niebezpieczeństwie i ja muszę ją ratować. Tylko ja. Nikt inny. Charlie umiera. Ty nieomal zginąłeś. Troje ludzi zamordowano. Nie wciągnę nikogo więcej w swoje przegrane, parszywe, popieprzone życie! – Wykrzyczała mu to w twarz. Kiedy skończyła, oboje dyszeli ciężko.

– Nie pozwolę ci tropić go samej, LuAnn. Jeśli nie chcesz się zgłosić do FBI, to nie. Ja też się nie zgłoszę. Ale nie będziesz, powtarzam, nie będziesz tropiła go sama. Zginęłybyście obie.

– Nie słyszałeś, co mówiłam, Matthew? Przestań się tym zajmować. Idź do swoich kumpli z FBI, niech ci zorganizują jakieś nowe życie jak najdalej od tego wszystkiego. Jak najdalej ode mnie. Chcesz umrzeć?! Bo jeśli będziesz się mnie trzymał, umrzesz na pewno, to ci gwarantuję!

– On i tak mi nie popuści, LuAnn – powiedział cicho Riggs. – Obojętne, czy zgłoszę się do FBI, czy nie, znajdzie mnie i zabije. – Nie odzywała się, podjął więc: – I prawdę mówiąc, jestem już za stary, zbyt zmęczony uciekaniem i ukrywaniem się, żeby zaczynać to od początku. Wolę już iść do gniazda tego grzechotnika i stanąć z nim oko w oko. I wolę mieć tam obok siebie ciebie niż któregośkolwiek z agentów Biura, któregośkolwiek z gliniarzy w tym kraju. Prawdopodobnie będziemy mieli możliwość tylko jednego podejścia i ja chcę podjąć z tobą to ryzyko. – Urwał. Patrzyła na niego. Oczy miała dzikie, włosy powiewały jej na wietrze, ścisnęła i rozkurczała pięści. – Jeśli mnie ze sobą weźmiesz – dorzucił.

Wiatr wzmagał się. Stali o krok od siebie. Od odpowiedzi LuAnn zależało teraz, czy ta odległość między nimi powiększy się czy zmaleje. Pomimo chłodu zimny pot zraszał im czoła.

– Wsiadaj! – burknęła w końcu.

W pomieszczeniu było ciemno choć oko wykol. Na zewnątrz lało od rana. Lisa, przywiązana do stojącego pośrodku krzesła, marszcząc nos, bez powodzenia próbowała zsunąć sobie z oczu opaskę. Te kompletne ciemności napełniały ją lękiem. Miała wrażenie, że gdzieś blisko czają się jakieś koszmarnie stwory. I nie myliła się.

– Głodna? – rozległ się niespodziewanie głos tuż przy jej prawym łokciu. Serce omal jej nie stanęło.

– Kto to? Kim jesteś? – Głos jej drżał.

– Starym znajomym twojej mamusi. – Jackson klęczał przy dziewczynce. – Więzy nie uwierają?

– Gdzie wujek Charlie? Co mu zrobiłeś? – Lisie wracała odwaga.

Jackson zachichotał cicho.

– Wujek? – Wstał. – To dobrze, bardzo dobrze.

– Gdzie on jest?

– Nieważne – warknął Jackson. – Mów, czy jesteś głodna.

– Nie.

– To może się czegoś napijesz?

Lisa zawahała się.

– Wody.

Usłyszała w tle brzęk szkła i zaraz potem poczuła chłód na wargach. Cofnęła głowę.

– To tylko woda. Nie otruję cię. – Jackson powiedział to tak rozkazującym tonem, że Lisa otworzyła usta i zaczęła pić. Jackson cierpliwie trzymał przy jej ustach szklanekę, dopóki nie skończyła.

– Jak będziesz chciała czegoś jeszcze, na przykład skorzystać z toalety, to powiedz. Będę w pobliżu.

– Gdzie my jesteśmy? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, zadała inne pytanie: – Dlaczego pan nam to robi?

Stojący w ciemnościach Jackson długo zastanawiał się nad odpowiedzią, zanim jej wreszcie udzielił.

– Twoja matka i ja mamy pewne rachunki do wyrównania. Wiąże się to z czymś, co wydarzyło się dawno temu, ale mnie popychają do tego reperkusje bardzo niedawnych wypadków.

– Moja mama na pewno nic panu nie zrobiła.

– Wprost przeciwnie, zawdzięcza mi wszystko, co w życiu osiągnęła, a robi wszystko, co w jej mocy, by mi zaszkodzić.

– Nie wierzę – zaperzyła się Lisa.

– Nie oczekuję od ciebie, że uwierzysz – powiedział Jackson. – Jesteś lojalna wobec matki, i tak powinno być. Więzy rodzinne to coś bardzo ważnego. – Skrzyżował ręce i pomyślał o swojej rodzinie, o słodkiej, spokojnej twarzy Alicji. Słodka i spokojna w śmierci. Z wysiłkiem odepchnął od siebie tę wizję.

– Moja mama przyjdzie tu po mnie.

– Właśnie na nią czekam.

Lisa zrozumiała, co to oznacza, i drgnęła.

– Chce pan ją skrzywdzić, prawda? Chce pan jej coś zrobić, kiedy tu przyjdzie. – Podniosła głos.

– Zawołaj, jak będziesz czegoś potrzebowała. Nie chcę, żebyś cierpiała nie za swoje winy.

– Niech pan nie krzywdzi mojej mamy, proszę. – Do przewiązanych opaską oczu dziewczynki napłynęły łzy.

Jackson starał się ignorować te błagania. Chlipanie przeszło w głośny płacz, a potem w szloch. Po raz pierwszy zobaczył Lisę, kiedy była ośmiomiesięcznym niemowlęciem. Wyrosła na śliczną dziewczynkę. Gdyby LuAnn nie przyjęła jego oferty, osierocona Lisa żyłaby teraz pewnie w jakimś sierocińcu. Spojrzał na nią ze ściśniętym sercem. Już nie szlochała. Siedziała zgnębiona, z głową zwieszoną na piersi. Za dużo stresu jak na dziesięciolatkę. Może lepiej by dla niej było, gdyby jednak trafiła do sierocińca i nigdy nie poznała swojej matki. Kobiety, którą Jackson zamierzał usunąć z jej życia. Nie chciał sprawiać bólu córce, ale takie już jest życie. Nie ma w nim sprawiedliwości. Powiedział to LuAnn na ich pierwszym spotkaniu: „Życie jest niesprawiedliwe. Jeśli czegoś chcesz, musisz to wyszarpywać. Zanim ubiegnie cię ktoś inny. Szybcy i zdecydowani przystosowują się i dobrze im się wiedzie; wszyscy inni nie mają szans”.

Stał w bezruchu, oszczędzając całą energię na to, co niedługo miało nastąpić. Patrzył w ciemność. Wkrótce się zacznie. I wkrótce będzie po wszystkim.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

W skład kompleksu medycznego Uniwersytetu Wirginii wchodziły budynki wydziału medycyny oraz ciesząca się bardzo dobrą opinią klinika z pierwszorzędnym oddziałem intensywnej terapii. LuAnn biegła korytarzem. Riggs parkował samochód i miał dojść później. Uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie była w szpitalu. Nie zwracała uwagi ani na unoszący się tu zapach, ani na atmosferę. Prawdopodobnie dlatego, że teraz absorbował ją całkowicie Charlie.

Leżał w jednoosobowej salce. Drzwi pilnował policjant z posterunku w Charlottesville. LuAnn minęła go i chciała pchnąć drzwi.

– Hola, hola, psze pani! Żadnych odwiedzin! – zawołał policjant, potężnie zbudowany mężczyzna po trzydziestce, unosząc rękę dla podkreślenia swych słów.

LuAnn odwróciła się na pięcie, gotując się do stoczenia z nim walki, ale w tym momencie nadbiegł Riggs.

– Cześć, Billy.

Policjant obejrzał się.

– Czołem Matt, jak leci?

– Nie za bardzo. Nieprędko pogramy w kosza.

Billy zerknął na temblak.

– Co ci się stało?

– To długa historia. Ten gość, który tu leży, to jej wujek. – Mówiąc to, wskazał głową na LuAnn.

Billy zmieształ się.

– Przepraszam panią, nie wiedziałem. Powiedzieli mi, żebym nikogo nie wpuszczał, ale członków rodziny chyba to nie dotyczy. Niech pani wchodzi.

– Dzięki, Billy – powiedział Riggs.

LuAnn pchnęła drzwi i weszła do środka. Riggs postępował tuż za nią.

Na ich widok leżący na łóżku Charlie uśmiechnął się. Był blady, ale oczy miał żywe i ruchliwe.

– Cholera, a to ci niespodzianka! – zawołał.

LuAnn była już przy łóżku i tuliła w dłoniach jego wielką łapę.

– Dzięki Bogu, że żyjesz.

Charlie chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie drzwi się uchyliły i do pokoju wsunął głowę mężczyzna w białym kitlu.

– Obchód, proszę państwa. – Otworzył drzwi szerzej i wszedł. – Doktor Reese jestem – przedstawił się.

– Matt Riggs. A to siostrzenica Charliego, Catherine. – Riggs wskazał na LuAnn i ta podała

Reese'owi rękę.

Lekarz przystąpił do badania Charliego.

– Całe szczęście – oświadczył – że Charlie wpadł na pomysł z tą opaską uciskową. W samą porę powstrzymał krwotok.

– Wyjdzie z tego? – spytała z niepokojem LuAnn.

Reese zerknął na nią sponad okularów.

– O, naturalnie. Niebezpieczeństwo już minęło. Uzupełniliśmy ubytek krwi, zaszyliśmy ranę. Musi tylko wypocząć, odzyskać siły. – Reese notował w karcie chorego wyniki badania.

Charlie uniósł się na łokciach.

– Świetnie się czuję. Kiedy mnie wypiszecie?

– Za parę dni, jak staniesz na nogi.

Charlie był wyraźnie niezadowolony z tej odpowiedzi.

– Zajrzę tu znowu jutro rano – oznajmił Reese. – Niech państwo nie siedzą za długo, on potrzebuje odpoczynku.

Ledwie za Reese'em zamknęły się drzwi, Charlie usiadł na łóżku.

– Wiadomo coś o Lisie?

LuAnn spuściła wzrok i przymknęła powieki. Dwie wielkie łzy potoczyły się po jej policzkach. Charlie dopiero teraz spojrzał na Riggsa.

– Przypuszczamy, że jest w jego rękach, Charlie – powiedział Riggs.

– Ja to wiem na pewno. Jak tylko odzyskałem przytomność, opowiedziałem glinom wszystko, co wiedziałem.

– Na pewno już nad tym pracują – rzekł bez przekonania Riggs.

Charlie rąbnął pięścią o metalowy bok łóżka.

– Cholera, oni go nie złapią. Dawno go tu już nie ma. Trzeba coś robić. Nie próbował się z tobą skontaktować, LuAnn?

– Sama się z nim skontaktuję – odparła LuAnn, otwierając oczy. – Ale najpierw musiałam się zobaczyć z tobą. Mówili... mówili, że możesz z tego nie wyjść. – Głos jej zadrżał, mocniej ścisnęła jego rękę.

– Od jednego skaleczenia się nie umiera. – Zawiesił głos, mobilizował się wewnątrz przed tym, co chciał teraz powiedzieć. – Przepraszam, LuAnn. To moja wina, że ona wpadła w łapy tego sukinsyna. Zadzwoił do mnie w środku nocy. Naśladując głos Riggsa, powiedział, że FBI zatrzymało Jacksona. Że mam przyjechać do Waszyngtonu i spotkać się z wami w budynku FBI. Przestałem się pilnować. Zaskoczył mnie. – Charlie pokręcił głową. – Boże, że też dałem się tak podejść... ale głos miał zupełnie jak Riggs.

LuAnn pochyliła się i go uścisnęła.

– Do cholery, Charlie, przecież o mało życia za nią nie oddałeś. I za mnie.

Charlie otoczył ją potężnymi ramionami. Riggs patrzył w milczeniu, jak się obejmują i kołyszają.

– Lisa wróci do nas cała i zdrowa, Charlie. – LuAnn powiedziała to z pewnością siebie, której wcale nie czuła. Doszła jednak do wniosku, że nie pomoże Lisie, jeśli zacznie histeryzować, bo wtedy do niczego nie będzie się nadawała.

– Znasz tego faceta, LuAnn. Jest zdolny do wszystkiego.

– Jemu chodzi o mnie, Charlie. Cały jego świat się rozpada. Federalni depczą mu po piętach, zabił Donovana, Bobbie Jo Reynolds i prawdopodobnie własną siostrę. I wbił sobie do głowy, że to ja jestem za to wszystko odpowiedzialna.

– Przecież to bzdura.

– Powiedz to jemu.

– Ale nie możesz tak po prostu oddać się w jego łapy.

– To samo mówię – wtrącił się Riggs. – Nie możesz zadzwonić do faceta i powiedzieć: „Proszę się nie martwić, zaraz u pana będę i może mnie pan zabić”.

LuAnn nic nie powiedziała.

– On ma rację, LuAnn – Charlie poparł Riggsa. Spuścił nogi z łóżka.

– A ty dokąd? – spytała ostro LuAnn.

– Ubrać się.

– Zaraz, nie słyszałeś, co mówił lekarz?

– Stary już jestem i przygłuchy.

– Charlie...

– Posłuchaj – wpadł jej gniewnie w słowo i celując niezdarnie nogą w nogawkę spodni, zatoczył się. LuAnn chwyciła go za zdrową rękę, Riggs podtrzymał z drugiej strony. – Nie będę się tu wylegiwał, kiedy ten skubaniec ma Lisę. Jeśli tego nie rozumiesz, to nic na to nie poradzę.

LuAnn pokiwała ze zrozumieniem głową i pomogła mu wciągnąć spodnie.

– Stary uparty niedźwiedz z ciebie, wiesz?

– Mam tylko jedną zdrową rękę, ale marny los tego faceta, jak mi się pod nią nawinie.

Riggs pokazał swoją zranioną rękę.

– To razem mamy dwie. Mnie też ten gość nadepnął na odcisk.

LuAnn wzięła się pod boki i rozejrzała.

– A ten gliniarz pod drzwiami? – spytała.

– Ja się nim zajmę – zaofiarował się Riggs.

LuAnn pozbierała resztę rzeczy Charliego, w tym telefon komórkowy, i włożyła je do plastikowego szpitalnego worka.

Riggs, nie czekając, aż Charlie skończy się ubierać, wyszedł do Billy’ego na korytarz.

– Billy, nie skoczyłbyś do stołówki po dwie kawy i coś na ząb? Poszedłbym sam, ale nie zabiorę się ze wszystkim z tą jedną ręką. No i ona mi tam histeryzuje. – Wskazał wymownym ruchem głowy na drzwi. – Nie chcę jej zostawiać.

– No wiesz, Matt, nie wolno mi schodzić z posterunku.

– Postoję tu za ciebie, Billy, nie bój się nic. – Riggs wygrzebał z kieszeni trochę drobnych. –

Trzymaj, sobie też coś kup. Pamiętam, jak po naszym ostatnim meczu w kosza sam spałaszowałeś całą pizzę. – Otaksował wzrokiem słuszną posturę Billy’ego. – Jeszcze mi tu zmizerniejesz.

Billy wziął ze śmiechem pieniądze.

– Ty wiesz, jak człowieka zbajerować.

Kiedy tylko za Billym zasunęły się drzwi windy, Riggs wywołał ich z sali. Sprowadzili Charliego schodami awaryjnymi na dół, a potem, biorąc go między siebie, pobiegli w strugach deszczu do samochodu. Chmury wisiały nisko i było już ciemno, a widoczność z każdą minutą się pogarszała.

Niedługo potem jechali już drogą Dwudziestą Dziewiątą. Charlie, korzystając z okazji, zrelacjonował im przebieg wydarzeń w motelu, nie pomijając faktu, że Jackson nie był sam. Skończywszy, pochylił się na tylnej kanapie i wsunął głowę między dwa przednie fotele.

– No to jaki mamy plan? – Skrzywił się z bólu, kiedy samochód podskoczył na dziurze w jezdni.

LuAnn skrzywiła na stację benzynową i zatrzymała się.

– Dzwonię do niego – oświadczyła, wyciągając z kieszeni karteczkę z numerem telefonu.

– I co potem? – spytał Riggs.

– Jego spytam – odparła.

– Dobrze wiesz, co powie – wtrącił Charlie. – Umówi się z tobą na spotkanie. Tylko on i ty. A jak tam pójdziesz, to cię zabije.

– A jak nie pójde, zamorduje Lisę.

– On i tak może to zrobić – mruknął Riggs.

LuAnn spojrzała na niego.

– Nie zrobi tego, jeśli najpierw ja jego załatwię. – Wróciła myślami do ostatniego spotkania z Jacksonem w chacie. Była od niego silniejsza. Czyli tu miała nad nim niewielką, bo niewielką, ale zawsze przewagę. Tylko że on też o tym wiedział. Zobaczyła to w jego oczach. A to znaczyło, że nie zmierzy się już z nią w walce wręcz. Będzie musiała o tym pamiętać. Skoro on umie się przystosowywać do rozmaitych warunków, to ona też to potrafi.

– LuAnn, wierzę w ciebie – odezwał się Riggs – ale z tym facetem nie ma żartów.

– On ma rację, LuAnn – podchwycił Charlie.

– Dzięki, że mnie uprzedziliście, chłopcy. – Nie czekała, co odpowiedzą. Wyciągnęła z worka telefon komórkowy i wystukała numer. Zanim w słuchawce odezwał się sygnał, spojrzała jeszcze na nich. – I nie zapominajcie, że ja obie ręce mam zdrowe.

Riggs namacał w kieszeni kolbę pistoletu. Tym razem musi lepiej celować.

LuAnn, podyktowawszy numer swojego telefonu komórkowego, rozłączyła się i czekała. Nie patrzyła na nich. Po trzech minutach telefon zadzwonił. Odebrała.

– Uprzedzam – rozległ się w słuchawce głos Jacksona – że w swoim telefonie mam zainstalowane urządzenie, które poinformuje mnie w ciągu pięciu sekund, czy mój aparat jest

namierzany. Jeśli tak, natychmiast się rozłączam i podrzynam gardło twojej córce. Mówię to na wypadek, gdybyś dzwoniła z posterunku policji.

– Nie jestem na policji i nikt cię nie namierza.

Milczał przez kilka sekund. Widziała go oczyma wyobraźni, jak wpatruje się w swoje urządzenie z nadzieją, że przyłapie ją na kłamstwie.

– Widzę, że nie poszłaś na łatwiznę. Moje gratulacje – odezwał się w końcu usatysfakcjonowany.

– Gdzie i kiedy? – spytała Lu Ann.

– A powitanie? A wymiana uprzejmości? Gdzie twoje maniery? Czyżby stworzona takim kosztem księżniczka tak nagle obniżyła loty? Jak kwiatek bez wody? Bez słońca?

– Chcę porozmawiać z Lisa.

– Przykro mi z powodu wujka Charliego – powiedział Jackson.

Siedział na podłodze w niemal kompletnych ciemnościach. Trzymał słuchawkę tuż przy ustach, mówił powoli, siłąc się na beztroski ton. Chciałby jej panika wciąż rosła, żeby poczuła, iż on całkowicie kontroluje sytuację. Chciał ją doprowadzić do takiego stanu, że kiedy przyjdzie pora, posłusznie podda się karze. Chciał, żeby przyszła potulnie do swojego kata.

LuAnn ani myślała powiedzieć Jacksonowi, że Charlie siedzi w tej chwili za nią i marzy tylko o tym, żeby wydusić z niego życie.

– Chcę porozmawiać z Lisa!

– A skąd wiesz, czy już jej nie zabiłem?

– Co? – wykrztusiła.

– Możesz z nią porozmawiać, ale skąd będziesz wiedziała, że to nie ja naśladuję jej głos? „Mamusiu, mamusiu – mógłbym powiedzieć. – Pomóż mi”. Tak mógłbym powiedzieć. Jeśli więc chcesz z nią porozmawiać, to proszę bardzo, ale to nie będzie o niczym świadczyło.

– Ty sukinsynu!

– To chcesz z nią porozmawiać czy nie?

– Tak – powiedziała LuAnn błagalnie.

– Znowu maniery. Tak, i co dalej?

Zawahała się. Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić i zebrać myśli.

– Tak, proszę – dorzuciła.

– Zaczekaj. Zaraz, gdzie ja zostawiłem tego dzieciaka?

Riggs starał się podsłuchiwać. LuAnn, nie mogąc się od niego opędzić, otworzyła w końcu drzwiczki i wysiadła z wozu. Nasłuchiwała z natężeniem jakichkolwiek odgłosów w tle.

– Mamo, to ty, mamo?

– Kochanie, dziecko, to ja, twoja mama. Boże, kochanie, tak mi przykro.

– Ach, wybacz, LuAnn, to wciąż ja – powiedział Jackson – Och mamo, mamusiu, jesteś tam?

– zawołał znowu głosem Lisy.

LuAnn była tak wstrząśnięta, że nie mogła dobyć z siebie słowa.

Jackson znowu odezwał się swoim prawdziwym głosem. Mówił z takim naciskiem, że jego słowa wprost wżerały się w ucho:

– Dam ci ją do telefonu. To naprawdę będzie ona. Możecie sobie uciąć swoją emocjonalną pogawędkę matki z córką. A kiedy skończycie, powiem ci dokładnie, co masz robić. Jeśli w jakimkolwiek stopniu odejdiesz od moich instrukcji...

Nie dokończył. Nie musiał. Przez chwilę słuchali tylko nawzajem swoich oddechów. Dwa pociągi wymknęły się spod kontroli i zderzą się niebawem w zdradliwej otchłani. LuAnn próbowała bezskutecznie przełknąć gulę, która rosła jej w krtani. Wiedziała, co on robi. Co robi z jej psychiką. Ale zdawała też sobie sprawę, że nie ma na to rady. W każdym razie teraz.

– Rozumiesz?

– Tak. – I w tym momencie usłyszała w tle odgłos, który przywołał na jej twarz uśmiech i grymas jednocześnie. Spojrzała na zegarek. Piąta po południu. Uśmiechnęła się szerzej, oczy jej zabłyśły. Nadzieją.

Po chwili rozmawiała już z Lisa, zadawała jej szybko pytania, na które tylko Lisa mogła znać odpowiedzi. Obie pragnęły desperacko objąć się poprzez rozdzielającą je ciemność.

Kiedy skończyły, znowu odezwał się Jackson. Wydał jej instrukcje, powiedział, gdzie i kiedy. Słuchała jednym uchem, skupiając się na odgłosach w tle. Zakończył wymownym: „Do zobaczenia wkrótce”.

LuAnn wyłączyła telefon i wróciła do samochodu. Jej spokój, zważywszy na okoliczności, wprawił w osłupienie Riggsa i Charliego.

– Mam do niego zadzwonić jutro o dziesiątej rano – powiedziała. – Powie mi, gdzie się spotkamy. Jeśli przyjdę sama, wypuści Lisę. Jeśli powęźmie choć cień podejrzenia, że ktoś ze mną jest, zabije ją.

– Czyli ty za Lisę – mruknął Riggs.

Popatrzyła po twarzach obu mężczyzn.

– Właśnie tak.

– LuAnn...

– Właśnie tak – powtórzyła z naciskiem.

– Skąd wiesz, że ją puści? – wtrącił się Charlie. – Jemu nie można ufać.

– W tej sprawie można. Chodzi mu tylko o mnie.

– Musi być jakiś inny sposób! – krzyknął Riggs.

– Jest tylko jeden sposób, Matthew, i dobrze o tym wiesz. – Popatrzyła na niego ze smutkiem i wrzuciła bieg. Ruszyli.

Nie odkryła jeszcze wszystkich kart. Ale nie zaprosi do gry ani Charliego, ani Riggsa. Dostyc już się dla niej narażali. Jackson nieomal ich obu zabił i nie chciała stwarzać temu człowiekowi okazji do jeszcze jednej próby. Wiedziała, jaki byłby wynik. Teraz kolej na nią. Sama musi ratować córkę, zresztą tak powinno być. Przez całe niemal życie zmuszona była polegać tylko na sobie i szczerze mówiąc, odpowiadało jej to. I wiedziała coś jeszcze.

Wiedziała, gdzie są Jackson i Lisa.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Już tak nie lało, z nisko wiszących chmur śiaپیł teraz drobny kapuśniaczek. LuAnn zasłoniła kocem wybite okno, Riggs włączył i podkręcił na cały regulator ogrzewanie i zrobiło się całkiem przytulnie. Znieśli z Charliem materace z sypialni na górze i rozłożyli je na podłodze. Przy okazji Riggs przyjrzał się widniejącym na niej ciemnym plamom. Jego krew. Uznali wszyscy, że najlepiej będzie przenocować w chacie. Riggs i Charlie bez powodzenia próbowali jeszcze wyperswadować LuAnn spotkanie z Jacksonem. W końcu przystała na to, żeby z samego rana, zanim zatelefonuje do Jacksona, zadzwonili do FBI. Może FBI uda się jednak namierzyć rozmowę tak, żeby Jackson się nie zorientował. Ugłaskało to obu mężczyzn do tego stopnia, że pozwolili jej trzymać pierwszą wartę. Po dwóch godzinach miał ją zmienić Riggs.

Wyczerpani mężczyźni szybko zapadli w głęboki sen. LuAnn obserwowała ich, stojąc plecami do okna. Spojrzała na zegarek, było już po północy. Sprawdziła jeszcze raz, czy magazynek w pistolecie jest pełny, potem przyklękła przy Charliem i pocałowała go leciutko w policzek. Nawet nie drgnął.

Przesunęła się na kolanach do Riggsa i odgarnąwszy sobie włosy z czoła, przyglądała się przez chwilę, jak mu się unosi i opada klatka piersiowa. Zdawała sobie sprawę, że niewielkie są szanse, by jeszcze ich obu zobaczyła. Musnęła wargami usta Riggsa i wstała z klęczek. Przywarłszy plecami do ściany, wzięła kilka głębokich oddechów. To wszystko zaczynało ją przytłaczać.

Z chaty wyszła przez okno. Z drzwi frontowych wołała nie korzystać, bo skrzypiały. Mżyło, naciągnęła więc kaptur na głowę. Samochód odpadał. Zapuszczany silnik narobiłby zbyt dużo hałasu. Podeszła do szopy i otworzyła drzwi. Joy nadal tam stała. LuAnn zapomniała z tego wszystkiego zadzwonić do kogoś ze znajomych, żeby ją stąd zabrał. Ale w szopie było ciepło i sucho, woda i siano też jeszcze zostały. Osiodłała szybko klacz, dosiadła jej i w chwilę potem niemal bezszelestnie zniknęły już obie między drzewami.

Na granicy swojej posiadłości zeskoczyła z Joy i odprowadziła ją do stajni. Po chwili wahania zdjęła ze ściany lornetkę, podkrađła się do kępy gęstych krzewów i zajęła stanowisko w tym samym miejscu, z którego kilka dni wcześniej Riggs obserwował ekipę FBI. Zaczęła lustrować teren na tyłach domu. Cofnęła gwałtownie głowę, oślepią reflektorami nadjeżdżającego samochodu, które strzeliły niespodziewanie w szkła lornetki. Wóz zatrzymał się przed garażem. Wysiadł z niego mężczyzna z insygniami FBI na kurtce, obszedł dom dookoła, wrócił do samochodu i odjechał.

LuAnn wysunęła się spomiędzy drzew i pobiegła przez trawnik w stronę domu. Kiedy wyjrzała zza węgła, samochód był już na prywatnej drodze i oddalał się w kierunku szosy. A więc FBI pilnowało dojazdu do jej domu. Tak, Riggs wspominał coś o tym po ostatniej rozmowie

telefonicznej z Mastersem. Poprosiłaby tych agentów o fachową pomoc, gdyby nie obawa, że natychmiast ją aresztują. A poza tym to jej problem, musi go rozwiązać sama. Jacksonowi chodzi tylko o nią. Na pewno spodziewa się, że przyjdzie do niego potulnie i podda się karze w zamian za uwolnienie córki. I tu się rozczaruje.

Na podjeździe przed domem stał samochód Sally Beecham. Nie wiedzieć czemu zastanowiło ją to. W końcu wzruszyła ramionami i wycofała się do tylnego wejścia.

Sprowadzał ją tu dźwięk, który usłyszała w tle podczas rozmowy telefonicznej z Jacksonem. Absolutnie unikalne odgłosy wydawane przez stary zegar – pamiątkę rodzinną, ścienny zegar, który dostała od matki i do którego była tak przywiązana. To te odgłosy powiedziały jej, skąd dzwoni i gdzie przetrzymuje Lisę Jackson.

Ten człowiek musiał mieć nerwy ze stali, skoro wybrał sobie kryjówkę tutaj, pod samym nosem pilnującego drogi dojazdowej FBI. Za kilka minut miała stanąć twarzą w twarz ze swoim najgorszym koszmarem.

Przywarła do ceglanej ściany i mrużąc oczy, zajrzała ostrożnie przez szybkę w drzwiach, by sprawdzić, czy na widocznym stąd panelu instalacji alarmowej pali się lampka czerwona, czy zielona. Odetchnęła z ulgą na widok przyjaznej zieleni. Oczywiście znała kod i w razie czego potrafiłaby alarm wyłączyć, ale ostry pisk generowany w momencie wyłączania mógł wszystko zepsuć.

Wsunęła klucz w zamek i powoli otworzyła drzwi. Wśliznęła się do środka i rozejrzała, wodząc na wszystkie strony trzymanym w wyciągniętych rękach pistoletem. Nic. Cisza. Niby nic niezwykłego, przecież minęła już północ. Ale ten spokój był jakiś nienaturalny.

Ruszyła korytarzem i nagle znieruchomiała, wstrzymując oddech. Słyszała wyraźnie głosy. Głosy kilku osób. Żadnego z nich nie rozpoznawała. Odetchnęła, kiedy do jej uszu doleciały dźwięki podkładu muzycznego popularnej reklamy. Ktoś oglądał telewizję. Spod drzwi na końcu korytarza sączyło się światło. Podbiegła tam na palcach, zatrzymała się i nasłuchiwała przez kilka sekund. Potem lewą ręką przekreśliła powoli gałkę u drzwi. W prawej trzymała gotowy do strzału pistolet. Drzwi uchyliły się do środka. Zajrzała. Światło w pokoju było zgaszone, świecił tylko ekran telewizora. I nagle zmartwiała. W fotelu, tyłem do niej, ktoś siedział... Ciemne włosy, fryzura przypominająca ul. Sally Beecham oglądała w swojej sypialni telewizję. Czy na pewno oglądała? Siedziała tak nieruchomo, że trudno było określić, czy żyje.

LuAnn przypomniało się, jak przed dziesięciu laty weszła do przyczepy i zobaczyła na kanapie Duane'a. Kiedy się do niego zbliżyła, zaczął się obracać powoli w jej stronę. Pierś miał całą we krwi, twarz szarą jak zgrzebne płótno. Patrzyła wtedy z przerażeniem, jak zwała się z kanapy na podłogę, jak umiera. A potem ktoś chwycił ją od tyłu i zatkał dłonią usta. Od tyłu!

Odwróciła się błyskawicznie, ale nikogo za nią nie było. Kiedy zajrzała znowu do pokoju, napotkała przerażony wzrok Sally Beecham. Gospodyni musiała coś usłyszeć i wstała z fotela, żeby to sprawdzić. Poznawszy ją, Sally odetchnęła z ulgą i podniosła dłoń do falującej piersi.

Chciała coś powiedzieć, ale LuAnn położyła sobie palec na ustach i syknęła.

– Ktoś jest w domu – szepnęła. – Widziałaś tu kogoś?

Sally pokręciła głową i wskazała na siebie. Twarz miała widmowo bladą.

I w tym momencie LuAnn uświadomiła sobie coś i również pobladła.

Sally Beecham nigdy nie parkowała przed domem. Zawsze wprowadzała wóz do garażu i wchodziła stamtąd prosto do kuchni. LuAnn mocniej ścisnęła pistolet. Spojrzała jeszcze raz na twarz gospodyni. Trudno było coś stwierdzić w tych ciemnościach, ale wołała nie ryzykować.

– Słuchaj, Sally, chodź ze mną do kuchni. Zamknę cię w spiżarni. Będziesz tam bezpieczna.

Sally, nie odrywając od niej oczu, zaczęła sięgać ręką za siebie. LuAnn wzięła ją na muszkę.

– Ruszaj, no już, bo cię tu zastrzelę. Ale najpierw wyciągnij ten pistolet zza pleców, kolbą do przodu. O tak. Teraz rzuć go.

Pistolet upadł ze stukotem na podłogę.

LuAnn podeszła i zerwała rzekomej Sally perukę. Stał przed nią mężczyzna o krótkich, ciemnych włosach. Przyłożyła mu lufę do ucha.

– Idziemy, panie Jackson! A raczej, panie Crane. – Nie miała już żadnych złudzeń co do losu Sally Beecham, ale teraz nie było czasu, żeby to rozpamiętywać.

LuAnn zaprowadziła mężczyznę do kuchni, wepchnęła do spiżarni i zamknęła na klucz drzwi, które zrobione były z litej dębiny i miały trzy cale grubości. Nie sforsuje ich. A jeśli nawet, trochę to potrwa. Jej nie potrzeba było wiele czasu.

Popędziła na koniec korytarza i wspięła się wyłożonymi dywanem schodami na piętro. Przebiegała od drzwi do drzwi. Była niemal pewna, że Lisa jest w jej sypialni, ale na wszelki wypadek wołała sprawdzić również inne pokoje. Wszystkie były puste. Została jeszcze jedna sypialnia: ta należąca do niej. LuAnn nastawiła ucha. Nasłuchiwała westchnienia, głosu, oddechu Lisy, czegokolwiek, co świadczyłoby, że dziewczynka tu jest i żyje. Nie mogła po prostu zawołać, było to zbyt niebezpieczne. Charlie mówił, że Jackson ma teraz współnika. On gdzieś tu był.

Zbliżyła się cicho do drzwi, chwyciła za gałkę i wstrzymując oddech, przekręciła ją.

Zygzak błyskawicy przeciął nocne niebo, wkrótce potem powietrzem wstrząsnął ogłuszający grzmot. Silny podmuch wiatru zerwał koc z okna i w tym samym momencie zaczął padać deszcz. Wszystko to razem wzięte obudziło Riggsa. Siedział przez chwilę na materacu lekko przebudzony, potem rozejrzał się. Zobaczył odsłonięte okno, przez które wdierał się wiatr i zacinający deszcz. Zerknął na śpiącego nadal Charliego. I nagle opuściły go resztki senności.

Zerwał się na nogi.

– LuAnn?! LuAnn?! – Jego krzyki obudziły Charliego.

– Co jest, do cholery?!

Błyskawicznie przeszukali małą chatę.

– Nie ma jej! – wrzasnął Charlie.

Wypadli na zewnątrz. Samochód stał tam, gdzie go zostawili. Riggs rozejrzał się

zdezorientowany.

– LuAnn! – ryknął Charlie, przekrzykując odgłosy nawałnicy.

Riggs spojrział na szopę. Drzwi stały otworem. Coś go tknęło. Podbiegł tam i zajrzał do środka. Szopa była pusta. Popatrzył na rozmiękłe błocko przed wejściem. Pomimo ciemności widać było w nim odciski podków. Trop prowadził do lasu. Pobiegli nim z Charliem.

– W szopie stała Joy – wyjaśnił Charliemu Riggs. – Wygląda na to, że LuAnn wzięła klacz i pojechała do domu.

– Po co miałyby to robić?

Riggs myślał intensywnie.

– Czy nie byłeś zaskoczony, kiedy w końcu zgodziła się, żebyśmy rano zadzwonili do FBI?

– Owszem – przyznał Charlie – ale byłem tak piekielnie zmęczony, że machnąłem ręką.

– Po co miałyby jechać do domu? – powtórzył pytanie Charliego Riggs. – Posiadłość jest pilnowana przez FBI. Co ją skłoniło, żeby tak ryzykować?

Charlie pobałdł i zachwiał się lekko.

– Co jest, Charlie?

– LuAnn mówiła mi kiedyś, jaką zasadę życiową wyznaje Jackson.

– No, jaką?

– Jeśli chcesz coś ukryć, połóż to na widoku, bo wtedy nikt tego nie zauważy.

Teraz pobałdł Riggs. Już wiedział.

– W domu jest Lisa – wykrztusił.

– A z nią Jackson. Pognali do samochodu.

Kiedy ruszyli, Riggs sięgnął do plastikowego worka po telefon komórkowy. Zadzwoił na policję, a potem do lokalnego oddziału FBI. Ku jego zaskoczeniu odebrał Masters.

– On tu jest, George. Crane jest w Wicken's Hunt. Wal tam ze wszystkim, co masz. – Usłyszał stuk rzuconej na blat słuchawki i oddalający się tupot biegnących nóg. Wyłączył telefon i wcisnął gaz do dechy.

LuAnn pchnęła z całych sił drzwi i wpadła do sypialni. Na środku pokoju stało krzesło, a na nim siedziała wyczerpana Lisa. Pracowicie tykał zegar, ten cudowny, kochany zegar. LuAnn zamknęła drzwi, podbiegła do córki i przytuliła ją. Kamień spadł jej z serca, kiedy Lisa otworzyła oczy i spojrzała na nią.

I w tym momencie na jej szyję spadła i zacisnęła się pętla z grubego sznura. LuAnn straciła oddech; pistolet wypadł jej z ręki.

Lisa próbowała krzyczeć, ale usta miała zaklejone szczelnie plastrem. Szarpała więzy, próbowała przewrócić się razem z krzesłem, doczołgać do matki, pomóc jej jakoś, zanim ten człowiek ją zabije.

Jackson stał tuż za LuAnn. Patrzył z cienia przy masywnej komodzie, jak nieświadoma jego obecności LuAnn podbiega do Lisy. Zaatakował, kiedy porwała małą w objęcia. Zaciskał pętlę

coraz mocniej, kręcąc wsuniętym w nią patykiem. LuAnn siniała na twarzy, traciła przytomność. Sznur wrzynał się w szyję. Próbowwała uderzyć napastnika, ale nie miała jak. Bezproduktywnie młóciła pięściami powietrze, tracąc tylko resztkę sił. Kopała, ale on był szybszy. Uskakiwał. Próbowwała odciągnąć sznur, ale pętla była już tak mocno zaciśnięta, że nie mogła wsunąć pod nią swoich silnych palców.

– Tik-tak, LuAnn – szepnął jej do ucha. – Tik-tak tego ślicznego zegara. Przyciągnął cię do mnie jak magnes. Trzymałem przy nim słuchawkę, żeby mieć pewność, że go usłyszysz. Powiedziałem ci, że sprawdzam drobiazgowo każdego, z kim chcę ubić interes. Odwiedziłem twoją przyczepę w Rikersville. Kilkakrotnie słuchałem jedynych w swoim rodzaju dźwięków wydawanych przez ten czasomierz. A niedawno, tamtego wieczoru, kiedy złożyłem ci tu wizytę, zobaczyłem go na ścianie twojej sypialni. Twoją lichą, tandetną pamiątkę rodzinną. – Roześmiał się. – Szkoda, że nic widziałem twojej twarzy, kiedy wydało ci się, że mnie przechytryłaś. Czy była to szczęśliwa twarz, LuAnn? No, była?

Jackson uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiedy poczuł, że LuAnn daje za wygraną, że nie ma już sił.

– Nie zapomnij o córce. Oto ona. – Zapalił światło i obrócił ją gwałtownie, żeby mogła widzieć szamoczącą się Lisę. – Będzie patrzyła, jak umierasz. A potem przyjdzie kolej na nią. Przez ciebie straciłem członka rodziny. Kogoś, kogo kochałem. Jak się czujesz, będąc odpowiedzialna za jej śmierć? – Szarpał sznurem coraz mocniej. – Umieraj, LuAnn. Poddaj się i umieraj. Zamknij oczy i przestań oddychać. To łatwe. Zrób tak. Zrób to dla mnie. Przecież sama tego chcesz – syczał.

LuAnn oczy wychodziły z orbit, ból rozrywał płuca. Czuła się jak pod wodą. Oddałaaby wszystko za jeden oddech, za jeden długi łyk powietrza. Hipnotyzujący głos Jacksona przeniósł ją wiele lat wstecz na cmentarz, przed małą mosiężną tabliczkę: „Zrób to dla Dużego Tatusia, LuAnn. To łatwe. Chodź do Dużego Tatusia. Przecież tego chcesz”.

Kącikiem nabiegłego krwią prawego oka zobaczyła krzyczącą bezgłośnie, próbującą uwolnić się z więzów Lisę. I w tym momencie ze źródła tak głębokiego, że LuAnn nie zdawała sobie nawet sprawy z jego istnienia, runął przyływ sił tak potężny, że nieomal zwałił ją z nóg. Wydając z siebie przeraźliwy wrzask, LuAnn wyprostowała się gwałtownie, a potem tak samo gwałtownie pochyliła, zarzucając sobie na plecy zaskoczonego Jacksona. Chwytiła go pod nogi i niosąc na barana pobiegła tyłem w kierunku masywnej komody. Wpadli na mebel z impetem.

Jackson, nadziejąc się nasadą kręgosłupa na ostry kant blatu, zawył z bólu, ale sznura nie puścił. LuAnn sięgnęła za siebie i wbiła paznokcie w świeżą ranę na jego dłoni – pamiątkę po walce na ganku chaty – rozrywając ją na nowo. Jackson zawył znowu i tym razem puścił sznur. Wyczuwając, że pętla rozluźnia się, LuAnn pochyliła się błyskawicznie i przerzuciła sobie Jacksona przez plecy. Przeleciał przez pokój i wyrznął w lustro wiszące na ścianie.

LuAnn, spazmatycznie wciągając w płuca wielkie hausty powietrza, zatoczyła się jak pijana, zerwała pętlę z szyi i poszukała wzrokiem Jacksona.

Ten, trzymając się za kontuzjowane plecy, usiłował wstać. LuAnn rzuciła się na niego z nieludzkim wrzaskiem, przygniotła do podłogi i siadając na nim okrakiem, chwyciła za gardło. Teraz on zaczął sinieć. Spojrzał w jej przekrwione oczy i już wiedział, że nie ma takiej siły, która oderwałaby jej dłonie od jego szyi. Macał rozpaczliwie rękami po podłodze, a ona wyciskała z niego życie. Zaczynał tracić przytomność. Oczy uciekały mu w głąb czaszki, krtań trzeszczała pod coraz silniejszym naporem. Natrafił palcami na odłamek stłuczonego lustra. Dźgnął nim na oślep, trafiając ją w ramię. Nie poluzowała uścisku. Dźgnął jeszcze raz, i jeszcze. Bez efektu. Nie czuła bólu; nie puściła.

W geście rozpaczycy sięgnął pod jej pachę i ostatkiem sił ucisnął tam pewien punkt. LuAnn momentalnie straciła władzę w rękach. Zepchnął ją z siebie, podźwignął się z podłogi i zasysając z zachłannym rżeniem powietrze, rzucił się do ucieczki.

LuAnn patrzyła ze zgrozą, jak w przelocie chwyta za oparcie krzesła, na którym siedzi Lisa, i wlecze je za sobą do okna. Zerwała się i skoczyła za nimi. Niedoczekanie! Dopadła do nich i chwyciła Lisę za nogę w momencie, kiedy Jackson rzucił krzesłem w okno – to wychodzące na wyłożone cegłą patio trzydzieści stóp poniżej. Poleciała z brzękiem szyba. LuAnn z Lisa wylądowały na zasłanej odłamkami szkła podłodze.

Jackson próbował sięgnąć po pistolet, ale LuAnn była szybsza. Kopnęła go w krocze. Zajęczał i zgiął się wpół. Zerwała się z ziemi i wyprowadziła prawy podbródkowy. Jackson padł jak ścięty.

Z oddali dolatywał jęk policyjnych syren. Jackson zaklął pod nosem, wstał i trzymając się za krocze, wybiegł na korytarz.

LuAnn nie ścigała go. Zatrzasnęła i zaryglowała drzwi. Płacząc z ulgi, zerwała ostrożnie taśmę z ust Lisy i odwiązała ją od krzesła. Padły sobie w objęcia. Długo tuliła córkę, zagłębiała twarz w jej włosy, wciągała w nozdrza cudowny zapach swojego dziecka. Potem podniosła z podłogi pistolet i oddała dwa strzały przez okno.

Huk wystrzałów przerwał ożywioną dyskusję, którą Riggs i Charlie toczyli z agentami FBI u wylotu prywatnej drogi.

Riggs wrzucił bieg i z piskiem opon ruszył w kierunku posiadłości. Agenci FBI pobiegli do swojego samochodu.

Kłusujący korytarzem Jackson zatrzymał się nagle jak wryty i zajrzał do sypialni Sally Beecham. Nikogo. Zauważył leżący na podłodze pistolet i podniósł go. Usłyszał łomotanie. Wbiegł do kuchni, odryglował drzwi spiżarni i otworzył je. Ze środka, mrużąc przed światłem oczy, wytoczył się Roger Crane.

– Dzięki Bogu, Peter. Miała pistolet. Wsadziła mnie tu. Ja... ja robiłem wszystko dokładnie tak, jak mi kazałeś.

– Dziękuję ci, Rogerze. – Jackson uniósł pistolet. – Pozdrów ode mnie Alicję. – Strzelił bratu

prosto w twarz. Po chwili był już za drzwiami i pędził przez trawnik w stronę lasu.

Kiedy wyskakiwali z samochodu, Riggs zobaczył uciekającego Jacksona i puścił się za nim w pościg. Charlie, pomimo osłabienia, dzielnie dotrzymywał mu kroku. Przedstawiciele prawa, którzy przybyli na miejsce w chwilę po nich, wbiegli do domu.

LuAnn czekała na nich przy schodach.

– Gdzie Matthew i Charlie?

Mężczyźni popatrzyli po sobie.

– Widziałem kogoś wbiegającego do lasu – bąknął jeden z nich.

Wypadli wszyscy przed dom i zatrzymali się. Na trawniku przed frontem, tnąc wirnikiem wiatr i deszcz, lądował helikopter z insygniami FBI na bokach. Rzucili się do maszyny; pierwsze znalazły się przy niej LuAnn i Lisa.

Tymczasem przy fontannie zatrzymało się kilka wozów policyjnych. Wysypała się z nich mała armia funkcjonariuszy.

Z helikoptera wyładował się zespół agentów FBI z George'em Mastersem na czele.

Masters spojrzał na LuAnn.

– LuAnn Tyler?

Skinęła głową. Masters spojrzał na Lisę.

– To pani córka?

– Tak – powiedziała LuAnn.

– Dzięki Bogu – Masters odetchnął i wyciągnął rękę. – George Masters, FBI. Przyleciałem do Charlottesville przesłuchać Charlesa Thomasa. Nie zastałem go w szpitalu.

– Musimy ścigać Jacksona, to znaczy, Petera Crane'a po wiedziała LuAnn. – Uciekł do lasu. Matthew i Charlie pobiegli za nim. Ja zostałam z Lisa. Nie zostawię jej bez opieki.

Masters popatrywał przez chwilę to na matkę, to na córkę, nie mogąc się nadziwić podobieństwu. Potem obejrzał się na helikopter.

– Przetransportujemy ją tą maszyną do tutejszego biura FBI w Charlottesville. Przydzielę jej ochronę z pół tuzina uzbrojonych po zęby agentów. Odpowiada? – Uśmiechnął się blade.

Popatrzyła na niego z wdzięcznością.

– Odpowiada. Dzięki za zrozumienie.

– Ja też mam dzieci, LuAnn.

Podczas gdy Masters wydawał instrukcje pilotowi, LuAnn jeszcze raz uściśnęła i pocałowała Lisę, a potem odwróciła się i pobiegła w stronę lasu. Za nią cwałowała chmara policjantów i agentów FBI. Była szybka, znała dobrze teren, wkrótce więc zostawiła ich daleko w tyle.

Riggs słyszał przed sobą tupot nóg. Charlie został trochę w tyle, ale Riggsa dobiegało wciąż jego ciężkie sapanie. W lesie panowały niemal kompletne ciemności, deszcz wciąż padał. Riggs mrugał powiekami i wyteżał wzrok, żeby cokolwiek widzieć. W rękę trzymał odbezpieczony

pistolet. Nagle zatrzymał się. Nie słyszał już przed sobą dźwięków, za których odgłosem się kierował. Przykucnął i rozejrzał się, zataczając szerokie łuki trzymanym oburącz pistoletem. Szmer za plecami usłyszał o ułamek sekundy za późno. Kopnięty w plecy, runął jak długi na brzuch. Szorując twarzą po trawie i ziemi, wyrzwał głową w pień drzewa. Pod wpływem uderzenia rana na ramieniu otworzyła się i znowu zaczęła krwawić. Przekręciwszy się na plecy, zobaczył nadbiegającego mężczyznę, który szykował się do wymierzenia mu następnego kopniaka. W ostatniej chwili na napastnika wpadł taranem Charlie. Obaj runęli na ziemię.

Rozwścieczony Charlie przystąpił natychmiast do okładania Jacksona pięściami. Wyładowawszy pierwszą złość, zamierzył się do zadania nokautującego ciosu. Jackson wykorzystał ten moment i uderzył go kantem dłoni w ranę na ramieniu. Charlie krzyknął i zgiął się z bólu. Jackson obiema dłońmi jednocześnie pacnął Charliego w uszy, wtłaczając w nie powietrze, które prawie przerwało bębni. Ogluszony i zamroczony Charlie zsunął się z Jacksona i leżał na ziemi, jęcząc.

– Powiniennem być poderżnąć ci w motelu gardło. – Jackson splunął na niego. Chciał już zmiażdżyć Charliemu głowę kopniakiem, ale powstrzymał go krzyk Riggsa.

– Spieprzaj stąd, bo ci łeb rozwalę!

Jackson obejrzał się i widząc mierzącego doń z pistoletu Riggsa, odstąpił od Charliego.

– Nareszcie się spotykamy, kryminalisto Riggs – rzekł szyderczo. – Może porozmawiamy o gratyfikacji finansowej, która uczyni cię bogatym? – Głos miał ochryply i drżący po podduszeniu przez LuAnn. Trzymał się za rozdrapaną dłoń; obita przez Charliego twarz krwawiła.

– Jaki tam ze mnie kryminalista, dupku. Objęto mnie Programem Ochrony Świadków, bo jako agent FBI zeznawałem przeciwko kartelowi narkotykowemu.

Jackson podsunął się bliżej.

– Były agent FBI? No to teraz przynajmniej wiem, dlaczego nie zastrzeżyłeś mnie z zimną krwią. – Pogroził Riggsowi palcem. – Zrozum jednak, że jeśli ja pójdę na dno, to pociągnę za sobą LuAnn. Powiem twoim byłym pracodawcom, że była we wszystko wciągnięta, że nawet pomagała mi to zaplanować. Odmaluję ją w tak czarnych barwach, że będzie miała szczęście, jeśli skaza ją tylko na dożywocie. Moi prawnicy już tego dopilnują. Ale nie martw się, o ile wiem, w niektórych więzieniach pensjonariusze mają teraz prawo do spędzania jednego dnia w roku sam na sam z małżonkiem.

– Zgnijesz w mamrze.

– Nie sądzę. Już widzę układ, jaki zawieram z Fedami. Zrobią wszystko, żeby to nie wyszło na jaw. Wkrótce znowu się zobaczymy. Przyznam, że już nie mogę się tego doczekać.

Kpiący ton Jacksona doprowadzał Riggsa do furii. Jeszcze bardziej frustrujący był fakt, że wszystko mogło się skończyć tak, jak mówił. Ale się tak nie skończy – poprzysiągł sobie w duchu Riggs.

– Jednego nie bierzesz pod uwagę – powiedział.

– Czegóż to?

– Że potrafię cię zabić z zimną krwią. – Riggs nacisnął spust. Brak odgłosu, który powinien był temu towarzyszyć, zmroził mu krew w żyłach. Pistolet nie wypalił; zaciął się, uderzając o drzewo. Naciskał spust raz po raz z tym samym przyprawiającym o mdłości skutkiem.

Jackson zbliżał się już ze swoim pistoletem w ręce.

Riggs odrzucił bezużyteczną broń i zaczął się cofać. I nagle zatrzymał się, nie wyczuwając pod stopą oparcia. Obejrzał się: pionowe urwisko. W dole rwący potok. Jackson uśmiechnął się i strzelił.

Pocisk zarył się w ziemię pod stopami Riggsa. Matt, balansując na krawędzi przepaści, cofnął się jeszcze o pół cala.

– Przekonamy się, jak ci idzie pływanie bez rąk. – Następny pocisk ugodził Riggsa w zdrowe ramię. Stęknął z bólu i przykucnął, przyciskając nową ranę dłonią i jednocześnie usiłując zachować równowagę. Spojrzał spode łba na triumfującego Jacksona.

– Kulka albo skok, wybieraj. Ale szybko, bo nie mam wiele czasu.

Riggs miał tylko chwilę na decyzję. Trwając w przysiadzie, wsunął powoli zranioną przed chwilą rękę w temblak – odruch całkiem naturalny w tych okolicznościach. Jackson nie docenił jego pomysłowości. A Riggs szykował się do powtórzenia fortelu, który ocalił mu życie, kiedy jako tajny agent został zdemaskowany przez handlarzy narkotyków podczas transakcji zakupu kontrolowanego. Tym razem sztuczka ta miała ocalić życie nie jemu, lecz kilku innym osobom, w tym komuś, na kim zależało mu bardziej niż na sobie: Lu Ann.

Spojrzał Jacksonowi w oczy. Miotał nim taki gniew, że nie czuł bólu w obu ramionach. Zamknął dłoń na kolbie małego pistoletu przyklejonego taśmą do wewnętrznej strony temblaka, tego samego pistoletu, który nosił kiedyś w kaburze przypiętej do łydki. Skierował go na stojącego parę kroków od niego Jacksona. Z takiej odległości nie chybiłby nawet z zamkniętymi oczami. Ale miał tylko jedno podejście.

– Riggs! – wrzasnął Charlie.

– Cierpliwości, wujku Charlie, ty następny – powiedział Jackson, nie odrywając oczu od Riggsa.

Matt nigdy już nie miał zapomnieć miny Jacksona, kiedy z temblaka padł pierwszy strzał i pocisk trafił go prosto w czoło, przebijając się poprzez warstwy pudru, modeliny i kleju spirytusowego do prawdziwego ciała i kości. Zdębiałemu Jacksonowi pistolet wypadł z ręki.

Riggs naciskał spust raz po raz, dziurawiąc Jacksona pociskami. Głowa, korpus, noga, ręka – i tak aż do opróżnienia magazynku na dwanaście sztuk amunicji. Przez cały ten czas na twarzy Jacksona malował się wyraz kompletnego niedowierzania. Krew zlepiła sztuczne włosy, ściekała po sztucznej skórze, tworzyła karmazynowa papkę w zetknięciu z kremami i pudrami. Ostateczny efekt był niesamowity. Ten człowiek jakby się rozpuszczał. Potem Jackson, brocząc krwią z dwunastu ran, osunął się na kolana, padł twarzą do ziemi i tak znieruchomiał. Był to jego ostatni występ.

I w tym momencie Riggs runął w przepaść. Odrzut broni sprawił, że stracił w końcu

równowagę i nie mógł już jej odzyskać, bo rozmokła, czerwona glina nie dawała żadnej przyczepności podeszwom butów. Spadał z wyrazem pełnej satysfakcji na twarzy, chociaż zadawał sobie sprawę, że nie ma już dla niego ratunku. Obie ręce bezużyteczne, krwawiące obficie, głęboka, wartka, lodowata woda, niczego do przytrzymania. To koniec.

Usłyszał jeszcze swoje imię wykrzykiwane przez Charliego, a potem wszystko ucichło. Nie czuł już bólu, tylko spokój. Wpadł do wody i zniknął pod powierzchnią.

Charlie podpełzł na czworakach na skraj urwiska i szykował się do skoku, kiedy naraż ktoś przemknął obok niego i rzucił się w przepaść.

LuAnn zniknęła pod wodą i natychmiast wypłynęła. Rozejrzała się po powierzchni, wartki nurt znosił ją w dół potoku.

Charlie, klucząc między rosnącymi tu gęsto drzewami, przedzierając się przez zarośla, biegł za nią brzegiem. Pokrzykiwania agentów FBI i policjantów słychać było coraz wyraźniej, ale nie wyglądało na to, że zdążą z pomocą na czas.

– Matthew! – krzyknęła LuAnn. Nic. Zanurkowała, metodycznie przeczesując nurt od brzegu do brzegu. Wynurzyła się po dwudziestu sekundach dla zaczerpnięcia oddechu.

– LuAnn! – wrzasnął do niej Charlie.

Nie zwracała uwagi na jego nawoływania. Wciągnęła w płuca haust powietrza i ponownie zniknęła pod wodą. Charlie zatrzymał się i zaczął lustrować wzrokiem powierzchnię. Usiłował przewidzieć, w którym miejscu zobaczy znowu jej głowę. Myśl, że straci ich oboje, wzbudzała w nim paniczny lęk.

LuAnn znowu się wynurzyła, lecz tym razem już nie sama. Trzymała Riggsa pod pachy, znosił ich prąd. Riggs krztusił się i pluł wodą. LuAnn próbowała kierować się do brzegu, ale widać było, że słabnie. Zamarzała. Jeszcze minuta, i mogła wykończyć ją hipotermia. Ranny Riggs nie mógł jej pomóc. Płynęła na plecach, obejmując kurczowo nogami jego klatkę piersiową. Riggsowi wystawała z wody tylko twarz.

Obejrzała się z rozpaczą w oczach za siebie. Jej wzrok padł na zwalone drzewo, którego gruby konar wystawał nad wodę. Może się uda. Przygotowała się, szacując wzrokowo odległość i wysokość. Mocniej ścisnęła Riggsa nogami i rozpaczliwym wyrzutem ciała wypchnęła się ponad powierzchnię. Dosięgła gałęzi i podciągnęła się po niej w górę, wynurzając się częściowo z wody i wywlekając za sobą Riggsa. Ale wyżej podciągnąć się nie mogła. Riggs był za ciężki. Spojrzała w dół i zobaczyła jego oczy. Patrzył na nią i dyszał urywanymi spazmami. I nagle zaczął rozwierać nogi, którymi go oplatała.

– Nie rób tego, Matt, błagam!

Poruszył zsiniałymi wargami i z rozdzierającą powolnością powiedział:

– Nie zginiemy oboje, LuAnn.

Spróbował jeszcze raz uwolnić się z jej uścisku. Teraz musiała walczyć nie tylko z prądem i przeszywającym bólem, który rozrywał jej mięśnie, ale i z nim. Usta jej drżały z wściekłości i poczucia bezradności. Spojrzała na niego jeszcze raz, jak desperacko próbuje uwolnić ją od

swego ciężaru. Może się po prostu puścić, razem z nim wpaść z powrotem do wody? Ale co z Lisą? Po kilku sekundach nie musiała już podejmować tej decyzji. Po raz pierwszy w życiu zawiodły ją siły. Zaczęła się obsuwać.

Potężne ramię pochwyciło ją w ostatniej chwili w pasie i wyciągnęło wraz z Riggsem z wody.

Zadarła głowę. Na pniu drzewa, krzywiąc się z bólu i pochrzäkując, siedział okrakiem Charlie i wywlekał ich na wąski, piaszczysty brzeg. Po chwili leżeli już w trójkę kilka cali od rwącej wody. LuAnn nadal obejmowała Riggsa nogami. Leżała na wznak, z głową wspartą na piersi Charliego, który dyszał ciężko, dochodząc do siebie po niedawnym wysiłku. LuAnn wyciągnęła prawą rękę do Riggsa. Wziął ją i przyłożył sobie do policzka. Lewą rękę położyła na barku Charliego. Przykrył ją dłonią. Żadne z nich się nie odzywało.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

– No, załatwione – powiedział Riggs, odkładając z nabożeństwem słuchawkę. Siedzieli w jego domowym biurze – LuAnn, Charlie i Lisa. Na zewnątrz prószył śnieg. Zbliżało się Boże Narodzenie.

– I jak sprawy stoją? – spytała LuAnn.

LuAnn i Charlie byli już w pełni sił. Riggs dawno pozbył się temblaka, ostatnio zaś zdjęto mu gips z ręki, w której pocisk Jacksona uszkodził kość. Ale nadal poruszał nią z trudem.

– Nie najlepiej. Urząd podatkowy wyliczył, ile jesteś im winna z racji zaległych podatków, kar za zwłokę i odsetek za ostatnie osiem lat.

– No i?

– I poszło na to wszystko, co miałaś. Gotówka, akcje, wszystkie twoje nieruchomości, z Wicken's Hunt włącznie. – Zdobył się na uśmiech. Starał się złagodzić jakoś wstrząs wywołany przynębiającymi wiadomościami. – A i tak zabrakło sześćdziesięciu pięciu centów. Dołożyłem z własnej kieszeni, nie musisz zwracać.

Charlie parsknął.

– To ci prezent pod choinkę. A reszta tych, co wygrali na loterii, zatrzymała swoje pieniądze. To niesprawiedliwe.

– Oni płacili podatki, Charlie – zauważył Riggs.

– Ona też płaciła.

– Dopiero po powrocie do kraju i tylko pod nazwiskiem Catherine Savage.

– Wcześniej nie mogła. Gdyby spróbowała, powędrowałyby prawdopodobnie do więzienia za morderstwo, którego nie popełniła.

– Tak, to rzeczywiście argument nie do odparcia.

– Przecież oni wszyscy też wygrali w nieuczciwy sposób – zauważył Charlie.

– Ale rząd nie ma zamiaru trąbić o tym na cały świat. Zarabiają na tej loterii miliardy. Gdyby prawda wyszła na jaw, to źródło mogłoby wyschnąć, nie uważasz?

– A te miliony, które rozdaliśmy instytucjom charytatywnym, nie wzięto ich pod uwagę? – spytał gniewnie Charlie.

– Urząd podatkowy przyklasnął wspaniałomyślności LuAnn, ale powiedzieli, że nie mogą tego uwzględnić, ponieważ nie składała zeznań podatkowych. Mówię wam, że to wcale nie jest taki zły interes. Za te podatki mogła powędrować na długie lata do więzienia. Co prawda uratowałyby chyba wtedy czcić pieniędzy. Ale wisiało nad nią jeszcze jedno bardzo poważne zagrożenie. Szeryf Harvey tak łatwo się nie poddaje.

– Wierzyć się nie chce. Po tym wszystkim, co przeszła i zrobiła. Rozbiła światowy syndykat zbrodni Crane'a i co? Ci z FBI wychodzą na bohaterów, rząd konfiskuje cały jego majątek –

wielomiliardowy zastrzyk dla skarbu państwa – a ją puszczają z torbami. Nawet klepięcia w plecy. To niesprawiedliwe!

LuAnn położyła rękę na ramieniu zdenerwowanego Charliego.

– W porządku, Charlie. Te pieniądze mi się nie należały. I chciałam spłacić wszystkie długi. Teraz pragnę tylko być z powrotem LuAnn Tyler. Powiedziałam to Matthew. Ale nikogo nie zamordowałam. Wszystkie zarzuty wobec mnie zostały oddalone, tak? – poszukała wzrokiem potwierdzenia u Riggsa.

– Tak. Federalne, stanowe, wszystkie. Jesteś czysta jak łąza.

– I biedna jak mysz kościelna – dorzucił zgryźliwie Charlie.

– Czyli sprawa załatwiona, Matthew? Nie będą się już mnie czepiali? Mówię o urzędzie podatkowym. Czy jestem im jeszcze coś winna?

– Wszystkie dokumenty już podpisane. Nic już do ciebie nie mają. Sprawa jest zamknięta. Skonfiskowali wszystkie twoje konta bankowe, zajęli dom. Zresztą nawet gdyby znowu się do ciebie przyczepili, czego nie zrobią, to nie masz już pieniędzy.

– Może tu będziemy się mogli wprowadzić, mamó – odezwała się Lisa, spoglądając pytająco na Riggsa. – To znaczy na jakiś czas – dorzuciła szybko.

LuAnn uśmiechnęła się do niej. Opowiedziała córce wszystko. W życiu nie przeprowadziła trudniejszej rozmowy, ale zrzuciwszy z siebie wreszcie to brzemie, poczuła niewysłowioną ulgę. Lisa przyjęła to cudownie. Teraz przynajmniej ich wzajemne stosunki mogły układać się normalnie.

Riggs spojrzął na LuAnn z niepewnym uśmiechem.

– Też o tym myślałem. – Urwał. – Można was na minutkę przeprosić? – zwrócił się do Charliego i Lisy.

Wziął LuAnn za rękę i wyprowadził z pokoju. Tamci odprowadzili ich wzrokiem, a potem wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Riggs posadził LuAnn przy kominku, sam stanął przed nią.

– Bardzo bym chciał, żebyście się wszyscy tutaj wprowadzili. Miejsca jest mnóstwo. Ale... – spuścił wzrok.

– Ale co? – spytała.

– Myślałem o czymś bardziej trwałym.

– Rozumiem.

– Widzisz, zarabiam nieźle, i teraz, kiedy nie masz już pieniędzy. – Przekrzywiła głowę i prychnęła. – Bo widzisz, bardzo się bałem, że pomyślisz sobie, że zależy mi tylko na twoim majątku. Od zmysłów odchodziłem. To było jak blokada drogi, której nie można objechać. Nie pomyśl tylko, iż ja się teraz po prostu cieszę, że nie jesteś już bogata. Byłbym szczęśliwy, gdyby udało ci się zatrzymać te pieniądze. Ale teraz, kiedy ich już nie masz, chciałbym wiedzieć... – Zaciął się znowu, przerażony głębią wód, na które odważył się wypłynąć.

– Kocham cię, Matthew – powiedziała po prostu LuAnn.

Z twarzy Riggsa znikło całe napięcie. Nie wyglądał już na przerażonego. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek był tak szczęśliwy.

– Ja też cię kocham, LuAnn Tyler.

– Byłeś w Szwajcarii? – spytała.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie. Czemu pytasz?

– Zawsze chciałam spędzić tam miesiąc miodowy. Tak tam romantycznie, tak pięknie. Zwłaszcza w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Riggs sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Widzisz, kochanie, ciężko pracuję, ale to małe miasteczko, drobnych przedsiębiorców budowlanych nie stać na takie rzeczy. Przykro mi. – Obliznął nerwowo wargi. – Zrozumiem, jeśli po tylu latach opływania w dostatku, nie będziesz mogła tego zaakceptować.

W odpowiedzi LuAnn otworzyła torebkę i wyjęła karteczkę z numerem konta w szwajcarskim banku. Konto otwarto, wpłacając sto milionów dolarów. Jackson dotrzymał słowa. Zwrócił kapitał, którym obracał przez dziesięć lat. Te pieniądze tam były, czekały. Zarabiały. Sześć milionów dolarów rocznie samych odsetek. Mimo wszystko zatrzymała swoją loteryjną wygraną. I tym razem nie miała z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia. Uważała, że na to zapracowała. Przez dziesięć lat próbowała stać się kimś, kim nie była. Była bardzo bogata i bardzo nieszczęśliwa. Przez resztę życia zamierzała być sobą i cieszyć się tym. Miała piękną, zdrową córkę i dwóch mężczyzn, których kochała. Koniec z uciekaniem, koniec z ukrywaniem się. Los naprawdę był dla niej łaskawy.

Uśmiechnęła się do Riggsa i pogłaskała go po twarzy.

– Wiesz co, Matthew?

– Co?

– Myślę, że damy sobie jakoś radę – powiedziała i pocałowała go*.[Pojedyncze błędy merytoryczne, które wnikliwy Czytelnik zapewne zauważy w tekście, wynikają z faktu, że autor oraz tłumacz chcieli uniknąć udzielania instruktażu. (Przyp. wyd.)]